

# Pokład Joanny

Gustaw Morcinek



calibre 0.9.27

Gustaw Morcinek

POKŁAD JOANNY

\ Termin zturotu ksiżki

Ilustracje Leopolda Buczkowskiego Oktadkę. projektował Mieczysław Kowale Redaktor Anna Wróblewska

KSILŻKA NAGRODZONA W 1951 r. PAŃSTWOWA

Korektor' Kalina Grzechocińska Red. techn. Wł. Balzamowa

Państwowe Wydawnictwo Iskry", Warszawa 1954 r. Nakład 30.000 + 160 egz. Wydanie pište. Ark. wyd. 23,71, ark. druk. 24.

Papier druk. mat. kl. V, 70 g, 86X122/32.' Oddano do składania 21.IX.53. Podpisano do druku 10.1.54.

Druk ukończono w styczniu 1954 r.

Druk. im. Rewolucji Padziernikowej, Warszawa. Zam. nr 1089a/53. Cena zł 15.50 5-B-53045

SZARLEJOWŁ DZIEDZINA

W pokładzie Joanny chyba nie było Szarleja. Wszystko wprawdzie wskazywało, że błška się po zawaliskach i w starych robotach, gdyż i strop kruchy, i gazy wyłażšce ze szczelin, i woda zdradziecka, i ogień podstępny, i rok w rok liczne żywoty ludzkie w daninie. Lecz tak na prosty rozum bioršc inna to była przyczyna, a nie Szarlejowš.

A może jaki urok diabelski rzuciła na ów ledwie napoczęty pokład janie grefina Joanna Gryszczyk von Schomberg-Godula z Rudy, gdy się uparła, by go nazwać jej imieniem? Bo cóż by innego?

A może jednak ów nieszczęsny pokład Joanny jest Szarlejowš dziedzińš? Któż to może wiedzieć?

Szarlej był bowiem zawisze mciwy i pamiętliwy. Lecz od chwili gdy go pognębiła Matka Boska na bytomskim Kopieczku, nikt z ludzi już go nie spotykał. Ani zabobonny gwarek, grzebišcy kretowym sposobem w ziemi, ani zadufany sztygar, zwany ongi szumnie praeses jodinae, noszšcy się z indorowš manierš po sztolniach i pokrzykujšcy z pańska na ludzi, ani nawet górmistrz,

przezwany gdzie indziej bachmistrzem, a u Agricoli magistrem, ani nawet najważniejszy wród wszystkich gwarków starosta górnicy, czyli praefectus, człowiek nadęty pychš, aczkolwiek sławny z wielkiej mšdroci i rozległej wiedzy gwareckiej. A w póniejszych czasach trudno nawet przypucić, by ujrzał go którykolwiek górnik czy hawierz. Jedyne ducha Skarbnika spotykali górnicy, Pusteckiego hawierze, Ziemskiego Ducha wypłaszałi jedni i drudzy z cuchnšcych zawalisk lub spotykali go w starych wyrobiskach, siedzšcego w głębokim zamyleniu i krelšcego barda jakie archimedesowe znaki w pyle węglowym.

Szczęć Boże, panie Pustecki! (czy jak mu tam było na imię) pozdrawiał wtedy górnik ponurego i brodatego anachoretę podziemnego, o dobrych, ludzkich oczach. Nie było w nich mciwoci ni niczego, czym trwoży się serce człowieka. Górnik wymamlał pozdrowienie i odchodził chyłkiem, na palcach. Lecz pozostało mu wspomnienie tamtych ciepłych oczu Ziemskiego Ducha, czy jak go zwykł nazywać. A potem głosił pod szybem o swej niezwykłej przygodzie, nie będąc przez całe życie pewny, czy to był sen tylko, czy też istna jawa. Towarzysze słuchali w milczeniu i kiwali głowami, a jeżeli znalazł się między nimi fuks jaki, mający mleko na brodzie a zielono w głowie, pouczano go dobrotliwie, by nie gwizdał w kopalni, bo Ziemski Duch tego nie cierpi i wtedy zdzieli go łapś w gębę, aż mu zęby tyłkiem wylecś, i że się nie powinien go lękać, tylko uchylić magierki i powiedzieć, jak się należy: Szczęć Boże, panie Skarbniku!...

.1 to wszystko.

Byli jednak ludzie, którzy twierdzili, że nie Pusteckiego, lecz Szarleja spotkali w starych robotach. Nieprawda!... To byli łga-rze wierutni, gładczy frantowie i okpiwiaty, przybusie tchórzem podszyci i mrugałowie nieszczerzy, którzy usiłowali zyskać dla siebie podziw i chadzać wśród gwarków w honorze. Zapytani, jak wyglądał ów Szarlej, różnie powiadali. A że stary i brodaty, o ponurym wejrzeniu, że cienki, chudy i' wysoki, że szczerbaty i z ca-piš bródkš, że miał czerwone oczy jak "królik i że rżał końskim chichotem, że prawš stopę miał przeobražoň w krowie kopyto, że spod futrzanej czapki na głowie wystykały dwa różki; jedni mówili, że broda jego była biała i do pasa sięgajšca, inni zasię

y.i

6

krótką, czarna i łopatowatą, a inni jeszcze dowodzili, że trścił irkš, że zgrzytał zębami i przewracał oczami na znak wielkiego liewu czy złoci, że przemienił się w wielkš ropuchę o wyłu-astych oczach, słowem, banialuki opowiadano. Gwarkowie z po-;štku wierzyli, lecz trafiali się wśród nich kopacze rozsšdni stateczni, którzy umieli dowieć, że Szarleja już nie ma pod zie-iš. Był, ale temu już dawno! ... A kiedy był?...

Ho! ho!... Już temu bardzo dawno! Nawet słuch o nim zaginšł!

jdyriie w-starej, zmurszałej kronice łacińskiej, napisanej w roku

)02 przez bogobojnego braciszka zakonnego w klasztorze więte-

} Wincentego pod Wrocławiem, w tej starej kronice można wy-

:ytać, jak to w roku 1363 stała się dziwna i niesłychana rzecz

a wiecie. Oto w Bytomiu podówczas były bogate kopalnie srebra.

. duch Szarlej przebywał w tych kopalniach, gdyż to było jego

:ebro. Nie bronił go ludziom, niech mająš!... Miał w tym swoje

icie i diabelskie wyrachowanie. Gwarkowie bytomscy rychło się oogacili, popadli w rozwiśzłe i wszeteczne życie, opanowała ich ticiwoć wielka, krzywdzili nawet wdowy i sieroty po gwarkach, ie chcieli płacić zamkostów, czyli opłat na utrzymanie kopalni, ozbijali sobie łby przy podziale panis argentei, czyli kwartalnego ochna srebra, lecz Szarlej owi wszystkiego było za mało. Przez ługi czas przeto podjudzał gwarków bytomskich do grzechu jesz— ze większego. I oto pewnego razu w przystępie nieokiełznanej hciwoci utopili w Stawie świętej Małgorzaty pod Bytomiem wego proboszcza Piotra z Kola i jego wikarego Mikołaja z Pys- :o'wic, gdyż chodziło tutaj o przedawniony spór o dziesięcinę socielnš i o meszne.

Boże, co się potem działo!...

Za karę na miasto przyszedł mór i ludzie wymarli, przyszedł pożar i miasto spłonęło, zabójcom odpadły ręce lub nogi, a Szarlej zatopił kopalnie bytomskie, srebro za z nich zniknęło po wieczne czasy, amen!... A wraz ze srebrem znikł Szarlej!...

Może byłby nadal sprawował swe nieczne rzšdy nad ludmi, lecz Matka Boska ulitowała się nad nimi i Szarlej owi kazała stawić się pod Božš Męksš na bytomskim Kopieczku. A gdy przyszedł, wygoniła go precz z tej ziemi.

Wtedy więc o wicie, w dzień Wniebowstšpienia Pańskiego Szarlej upierał się, że nie odejdzie ze swego państwa i ze swojej dziedziny. Wówczas Matka Boska lekko tylko tršciła go palcem i to wystarczyło. Szarlej przewrócił się i toczył ze stromego Kopieczka w głęboki, kamienisty wšdolec. I spadajšc wywichnšł sobie nogę. Od tego czasu kuleje, ježeli się jeszcze gdzie tuła po starych robotach.

Czarownik godulski Godula też kulał!...

Co innego Godula godulsiki, co innego za Szarlej szarlejski! Szarlej zabrał swoje srebro bytomskie, zabrał nawet olkuskie i przepadł. A ludzie przez bardzo długie czasy żałowali srebra. Chodzili, szukali, dłubali w ziemi, stukali, pukali, lizali wykopanš grudę, pod słońce przepartrywali, uważali w dłoni, a srebra nie było. Płonna skała tylko mamila ich oczy i nic więcej. Gdzież się więc podziało srebro, gdzie?...

Sprowadzono przeto wiergułów. Wszak oni potrafił je znaleźć!...

Przyszli wiergułowie beskidzcy, bacowie kudłaci, cuchnący baranim łojem, w kozuchach na ręby wywróconych, z długimi, twardymi włosami splecionymi w drobne warkoczyki na karku, gadający z polską, lecz jako inaczej, i ci wiergułowie ucinali gałązki leszczynowe w kształcie widełek, nazywając je z cudzoziemską virgula furcata. Potem ujmowali je w dłonie i chodząc po polach mamrotali dziwne, przedziwne zaklęcia.

Ely, Eloy, Eloym, Elion, Sabaoth, Emanuel, Adonay, The-tragammaton, Ziemi Duchu, zaklinam cię w Trójcę Przenaj-większą, otwórz swoje skarby!... Ely, Eloy, Eloym!...

A za nim wielki kupił tłoczyli się chudzi gwarkowie ze skórzanymi łatami na tyłkach, ze skórzanymi nakolannikami, z kilofami i motykami, a między nimi szmatłał się jeden i drugi juratos, przysięgły górniczy, z barda w dłoni, barda za była uczyniona we wdzięczny kształt kilofa gwarkowego. Łazili więc wszyscy wielki kupił za beskidzkim wiergułem i lepili z niepokojem na jego pręt leszczynowy. I czekali, skoro się przechyli ostrym końcem do ziemi, skoro się przechyli?...

1 Dosłownie: rozwidlona różdżka; miała ona jaikotay wskazywać podziemne złoża srebra, węgla, zbiorowiska "wody itp.

Wzdychali nabożnie, pociągali nosami ze wzruszenia, oczy im łaziły z głowy, wiergułowie za mamrotali swoje zaklęcia ^włoczyli starymi nogami po wydmuchowisku. Na wydmuchowisku gziły się po nocach jesienne wichry, wieszano łotrzyków dług miejskiego prawa i o północy skamlały potępione dusze ch panów, prosząc o Boskie i ludzkie zmiłowanie. Czyżby takim szubienicznym miejscu srebro się ukrywało? A może tam rtrzy wiergułowie szukają korzenia mandragory, który ronie ziemi pod szubienicą, na kształt małego człowieczka?... Lecz ?b& nie, bo po mandragorę trzeba wybrać się w piasek przed chodem słońca i uszy zalepić sobie woskiem. A poza tym nie-fsta to sprawa, diabelska!...

Ho! ho!... Wiergułowie mamroczył i mamroczył swoje cudaczne klęcia i szukaj! Nareszcie!... Virgula furcata przechyliła się rym końcem do ziemi, powstał wielki wrzask wśród gwarków, doć spadła na ludzi, gdyż w tym miejscu isto Szarlejowe srebro !...

I znaleziono rudy przeróżne, żelazne, ołowiane, wszelijakie

jeszcze inne, o przeróżnym smaku, gdy ich grudkę polizać,

2z nie mające nic wspólnego z upragnionym srebrem. Ha! Mi-

>ły te czasy, gdy bytomscy gwarkowie robili sobie ze srebra pod-

)żki lub zgoła schodeczki do swych łóżnic zasłanych bufiastymi

ernatami!... Ha!... Minęły te czasy, gdy psom strzegącym ich

rewnianych chałup obroże ze srebra kowano!... Nie-było więc sre—

ra w miejscach przez wiergułów wskazanych, tylko ruda wszela—  
a, niemniej jednak cenna i zamożność przynosząca.

Górmistrz, zwany w polskich żupach solnych bachmistrzem,  
podpisujący się magister metallicorum, udzielał prawa kopania  
idy wybranemu gwarkowi, czyniąc ich wybór po kolei i według  
ależnej sprawiedliwoci. Odliczał siedem kroków wzdelkę i sie—  
em kroków wzdłużkę i owiadczał, że to jest wyłączność gór—  
icza”, czyli area tego a tego gwarka. Pisarz górniczy spisywał  
wszystko wiernie w grubej księdze cechowej. Gwarek za brał  
spatę i motykę, żelazo i młot, kilof z jednostronnym lub z obu—  
tronnym ostrzem, wreszcie łamulce ii kliny, po czym imał się pra—  
y w ziemi. Grzebał w niej z pomocš Boga, swojej żony i swoich  
Iziedi, aż dogrzebał się do rudy.

Id

A jeżeli obrotniejszy gwarek na własną rękę odkrył w ziemi kruszcówś żyłę, przychodził rzeczony górmistrz z ozdobnym bardem w dłoni, a który był znakiem jego władzy, i odbierał przysięgę. Gwarek kładł dwa palce prawej dłoni na wale kołowrotu i owiadczał, że przysięga na Boga i na wszystkich, świętych i wiadczy się nimi, że ta to żyła kruszcowa, nad którą stoi, jego jest własnościś, a gdyby za tak nie było, to niechaj głowa jego skołowacieje, a jego ręka niechaj uschnie. Amen!”

Żyły kruszcowe płożyły się w ziemi splśtanymi ciegami. Ginęły zdawałoby się na zawsze, uciekały w boki, opadały lub przerywały się i wtedy gwarkowie martwili się ciężko, bo jakże takś żyłę odszukać, kiedy już i mśdrzy wiergułowie ze swojsz virgula furcata niczego tu nie wskórajsz!... A może je mciwy i pamiętliwy Szarlej pod nieobecność gwarka w litej skale zaprzepacił?...

Przychodzili przeto górmistrze, jako że to byli mężowie głębokiej nauki i wielkiego dowiadczenia gwareckiego, wyjmowali z ipuzdra mniejsze puzderko okrśgłe, w którym dygotała czarodziejska igła magnesowa. Igła chybotwała na okrśgłej tarczy, tarcza była podzielona na dwadziecia i cztery znaki, każdy za znak oznaczał nazwę wiatru. Najważniejszymi wiatrami były: wschodni, czyli suhsolanus, zachodni, czyli favonius, południowy, czyli au-ster, i północny, czyli septentrio. I teraz górmistrz mierzył raz tak, potem znów owak, wiecił na igiełkę, cmokał, kiwał mśdrze głowś, zakreślał barda kierunek, stukał, lizał grudę kamiennś, ważył w dłoni, znowu lizał, podawał do lizania gwarkowi, a potem orzekał, że kruszcowa żyła uciekła w tym a tym kierunku i że jsz tam trzeba szukać z pomocś Boga, żony i dzieci gwarkowych. Niechaj więc gwarek łamulcem kruszy skałę w kierunku wiatru Atlantusa lub w kierunku Boreasza, lub w kierunku innego jeszcze wiatru o greckiej lub łacińskiej nazwie, a kruszcówś żyłę odna-lezie!...

I tak bywało! Kruszcowa żyła znalazła się. A czasem znalazła się zbełtana woda, co wybiegała zniecka z odłupanej skały i zalewała sztolnie. A czasem wywaliła się zdradziecka kurzawka i wtedy było trzeba budować dębowe jarzma, a za jarzma wtykać opierzenia gęste, spolegliwe. A czasem smród ziemski wyłaził ze

11

ir w spśgu. Wtedy łojowe lampy gasły powoli i dech ludzki dera! także powoli...

- Pomóż nam, święta Barbarko, orędowniczko gwarków! lychali wszyscy.

- Niech Szarlej będzie przeklęty! Ś zzymali się popędliwsi, z przypuszczali, że to znowu sprawka tamtego piekielnika.

- Bożśtka ziemskie by nam pomogły, lecz jak ich dla naszej iwyy pozyskać? zastanawiali się inni.

- Może to robota niecnego Kobalosa! mrucał zafrasowany mistrz, biegły w znajomoci greckich demonów.

- To nie Kobalos! To Szarlej! upierali się starzy gwar-/ie.

- Tak! To na isto Szarlej! szerzyło się przekonanie wszystkich.

- A przecież miała go Matka Boska pokonać na bytomskim ńeczku kiedy przed wiekami! A teraz, przechera diabelska, wu przy laźł i czyni nam paskudę! Żeby z piekła nlie wyrzał!... zarlej włóczył się teraz po zapadłych sztolniach, po opuszczo-h robotach, czasem wyszedł na powierzchnię i wałęsał się czas bezgwiezdnej nocy po usypiskach i zwałach, grzebał bar-w ziemi, schylał się, lizał podniesiony kruszec i odrzucał z chi-tem. Tak przynajmniej twierdzili poniektórzy gwarkowie bijśc w piersi i zaklinajśc wiiętyimi-słowy, że widzieli go na własne

y-

- A jak wyglśdał?

- Ha! Jak wyglśdał?... Ciemno było, więc tylko widziadło iego było, czarne dziwadło, chude, wysokie, zgarbione i kula-!...

- Kulawe, powiadacie? A może to nie Szarlej? Czyżby nie to ów czarownik godulski, Godula z Rudy? Powiadajš, że

Złym Duchem kramarzy, i on także chudy, wysoki, zgarbiony ulawy!...

- Powiadam, że to był Szarlej! Oto Mateusz widział go, jak szedł z tamtej zalanej sztolni, otržsñšł się z wody, rozczesał rñš brodę paluchami i jak koń zarzał!... Z oczu sypały mu iskry!...

- O jerum, jerum!... narzekał górmistrz-magister.

Potem wszystko się uciszało. Szarlej znikał i gwarkom znowu darzyło się w pracy. Nabierali przeto otuchy, schodzili się o godzinie czwartej nad ranem i czekali na bicie w kłapaczkę, czyli w tintinnabulum jak to okrełał uczoney starosta górniczy. Znak to był, że czas już zstępować po drabinach do szybów. I znowu trudzili się nisko schyleni, z wysiłkiem łapali oddech, przysparzali sobie darcia w kociach, jeżeli woda ciekła po cianach, lub srogiej dychy, czyli astmy, jeżeli w suszy było trzeba pył łykać, lub też zwolna krztusili się smrodami ziemskimi, jakimi plugawymi gazami, tracśc stopniowo siły i stopniowo ulegajśc złudzeniu, że ciało ich przybiera postać kuli...

Dławili się dymami, gdy upartš skałę musieli kruszyć ogniem. Kładli pod niš smolne bierwiona, obtykali wiórami i podpalali płomykiem swej łojowej lampki. Ogień lizał skałę, skała się rozpalala i kruszyła w żarze. Potem zgrzytały kilofy i żelaza, wyginały się łamulce, stękały młoty, a spoczone wozaki popychały po dębowych ławach” wózki z urobkiem.

Mijały tygodnie, mijały miesiŃce, mijały nieraz lata, a gwarkom wcišž darzyło się w pracy. Lecz nieoczekiwanie jęły zarywać się stropy i grzebać pod sobš ludzi. Wydzielały się gazy trujšce w wielkiej obfitoci i dusiły ludzi. Wybuchały podziemne żyły wodne i zalewały przekopy i chodniki. Wywalała się kurzawka i aczkolwiek stawiano tęgie jarzma w chodnikach jedne obok drugich, jedne obok drugich jarzma pękały pod naporem, łamały się i roz-paprana, błotnista kurzawka ciekła na wszystkie strony, zlewała upadnice, podnosiła się pod stropy, ciężka, mazista, kleista...

Szarlej szarlejski szaleje w swej złoci! Š narzekali gwarkowie, przewani potem hawierzami, a



jeszcze póniej górnika.

Pieroński Szarlej zaszarlejowany! klęli w gniewie hawierze.

Czasami było tego już za wiele. Zwłaszcza gdy wielmoża cudzoziemski, Jan margrabia brandenburski, sprowadził z Niemiec w roku 1533 całość sforę przybusiów, urzędników i piesków, naganiaczy i piętogryzów niemrawych. Trudno było się z nimi ujednać, gdyż była to hałastra bełkotliwa, pańskiej klamki czepiająca się mocno, przekpiwna, przemiewna, za otroka mająca łskiego gwarka.

13

-.-. I ^-.

. to pierony zapieronowane! mrużeli tak długo gwarko-ż w końcu skrzyknęli się i' uczynili srogą rebelię. Pierwszą w dziejach łskiego górnictwa. Wyszli z kopalni i z kur-chałup chudzi, umorusani, z kilofami, łamulcami i toporami się gniewać. Poršbali i połamali, co się dało poršbać i połasołamali również gnaty cudzoziemskiej hałastrze, napsioczyli ymi słowy na cały wiat szalbierski i złodziejski i rozeszli się ro wtedy, gdy przyszedł uzbrojony oddział ludzi i tumultan-ozpędził". Malarz za jaki, niewiadomego nazwiska, gdy mu zło przedstawić Ssd Ostateczny na nagrobku wielmoża, wy-rał także i diabłów pchających do piekła taczki wypełnione mi gwarkami.

>otem jeszcze żyły kruszcowe pogubiły się w skałach, uciekły.

je Szarlej zabrał, jak zabrał kiedy srebro bytomskie i ole?... Na szczęście, pasterze gdzie rozdmuchali ognisko na

nych, błyszczących kamieniach. Gdzie tam węgielnik zasypał

I w mielerzu czarnymi, łupiścymi się kamuszkami, wygrze—

mi spod darni. I jeszcze gdzie indziej las objął pożar, a w po-

lisku jarzyły się kęsy czarnego kamienia i kopciły jak sto

ów. Podobnie, jak jarzyły się, gorzały i kopciły tamte kamusz—

pasterskim ognisku i w węgielnikowym mielerzu.

ary, czy co?...

wtedy gwarkowie przemienili się w hawierzy i jęli grzebać emi za owym dziwnym kamieniem palącym się w ogniu. sucali darnie i trafiali na grube pokłady. Pędzili w nich upad-, gdyż i pokłady zstępowały ukonie w głębi ziemi. A potem szyby proste, niewymylne, studnie głębokie, coraz głębsze raz szersze, zapuszczali się coraz niżej pod ziemię i żłobili ne ganki, schodzili upadnicami, podłazili pochylniami, wyty-i chodniki i przekopy proste, równe, pod godziny" prowa-le. Pojawiły się szyby i szybiki, stemple i stropnice, jarzma ierzenia, okorki, respy, organy. A potem jeszcze maszyny, wen-

tory, pompy, żompie, upady, przecinki, diagonale, ciany, ry...

/ uskokach gubiły się pokłady, stropy tśpały, zarywały się, y truły ludzi, przedzierały się żyły wodne, zapalał się metan, alał pył węglowy, nastawały sśdne dni, gdy gankami przebiegł

ogień lub gdy tlił się w ukryciu w starych wyrobiskach, ludzie za ginęli...

To wszystko działo się także w pokładzie Joanny.

Lecz trudno uwierzyć, że to Szariejowa robota. Przecież już w roku 1370 wywieciła go Matka Boska ze łśkiej ziemi!...

To może grefina Joanna Gryszczyk von Schomberg-Godula rzuciła diabelski urok na ów pokład, gdy się uparła, by nazwać go jej imieniem. Wiadomo, jej opiekun, czarownik godulski Godula z Rudy, ze złym duchem kramarzył i po nocach szacherki z nim uprawiał!...

Ś

GOUuluu—

Grefilna Joanna Gryszczyk von Schomberg-Godula zatrzymała się przed nowym pokładem. W jej dużych, niebieskich oczach wciśz jeszcze trwało zdumienie pomieszane z lękiem. Naokoło bowiem była tajemnicza noc kopalni. Z mroku wyławiała szare, poszarpane ciany i równe stemple idśce w głśb przekopu w dwóch szeregach jak tamci żołnierze Jego Królewskiej Moci na zamku w Berlinie, sztywni, wyprostowani, zamarli w bezruchu. Gdy przechodziła między ich szeregami, prowadzona przez frejliny dworskie i przez oficerów w długich, błyszczścych butach kira-sjerskich, widziała ich dwuszereg wytyczajścy jej drogę przez nieprzejrzańš amfiladę komnat o lniścej posadzce. Wszyscy ci wielcy państwo patrzyli na niś z, dziwnym umiechem. W kścikach ust kryła się wyniosła wzgardliwość. Żołnierze za stalli; jak kolorowe kukły, w bermycach, z bezmylnymi oczami, trzymajścy przed sobś karabiny jak wiece. Wtedy przerażały jś owe dworskie umiechy i tępę oczy uszeregowanych żołnierzy.

Stemple na przekopie nie majś ócz, lecz mimo to podobne sś do żołnierzy Jego Królewskiej Moci. I także jś niepokojś. , -

Koło niej pętajś się inżynierowie i jej narzeczony, suchy, chudy, o podłużnej głowie hrabia Hans Ulrićh von Schaffgotsch na

Kopicach. Patrzy na niś żabimi oczami jak ów satyr w auli wrocławskiego pensjonatu więtej Jadwigi. Na jego wśskich, skrzywionych ustach błśka sđę szyderstwo i obłuda. Podobnie jak u tamtego wrocławskiego satyra. Zdjśł czapkę i wytarł łysinę pachńścś chusteczkś. Potem mruknśł co po francusku do bergrata1 Kudericha. Bergrat Kuderich skłonił kwadratowś głowś, na grube usta wylazł przychlebny umiech, wyłupiaste oczy zasłoniły się powiekami opuszczanymi z udanś pokorś. Grefina Joanna spojrzala na niego niechętnie.

Jacy oni wszyscy wstrętni! pomyślała z odrazą. Bergrat Kuderich zwrócił się do niej z rozmazanym umiechem:

- Wasza ekscelencja pozwoli... rzekł po niemiecku. To tutaj... Nowy pokład... Najlepszy pokład w kopalniach waszej ekscelencji!

Grefinie Joannie wydawało się, że jego słowa są jakby oplute lepko, ciepło i sucho. Odwróciła się do górników w chodniku. Chodnik był zaznaczony głębokimi wdzierkami z boków i u spodu. Górnicy stali pokorni pod sklepieniem cian, starzy, chudzi, o wystraszonych oczach, z czapkami-w garci, z kopcącymi lampami olejnymi. Tylko jeden z nich miał oczy zimne, twarde, prawie zuchwałe. Patrzał uparcie w jej oczy. Obok niego stał chłopiec z twarzą matką, o przykrych ustach z zajęczkami warg, wyszczerzonych w głupim umiechu.

I te usta z zajęczkami warg przypominały jej znowu całe dzieciństwo.

Jak dziwnie pachnie mrok kopalni! Zastanowiła się, do czego ów zapach przyrównać. Znajomy jaki, miły jej nozdrzom. Już wie!... Tak pachniało ubranie jej ojca, gdy wracał z kopalni i po nim siedział zmęczony za stołem. Po drugiej stronie niskiej, brudnej izby krzątała się matka koło pieca. Na piecu i na ławie stały garnki. Wynosiła się z nich ciekawa woń spalenizny, kiszzonej kapusty i zjełczałego tłuszczu. Nad piecem suszyła się bielizna i także cuchnęła. Jedynie ubranie ojca pachniało kopalnią. Usta chłopca z zajęczkami warg wszystko jej przypominają. Sie-iała na podłodze, obok niej przykucnął Zeflik Klimszów. Pa-i

i Iwgnat radca górniczy.

Foanny

L6

rzył na jej dłonie wielkimi oczami, brzydki i przez szczelinę w zajęczej wardze ciskał z gniewem jakie szepleniście słowa. Ona :a ustawiała pod cian trzy lalki z gałganów i skandowała:

Godu, godu, godula, Kaj jest moja złoto kula?... Pojada przez morze, Znajda ją w komorze...

I każdej lalce wkładała w gałganowe dłonie złotą kulę, której nie było. A potem Zeflik szukał złotej kuli w dłoniach lalek. Złotej kuli jednak nie było. Miała się pojawić dopiero kiedy po latach. Lecz zanim się znalazła, życie jej poczęło się układać jak w tamtej bajce o Kopciuszku.

Gtodu, godu, godula,

Kaj jest moja złoto kula?...

Nie mów tak, Joanko! upominała ją matka. Bo pan Godula usłyszy i pogniewa się na ciebie i na nas!

Karol Godula nie pogniewał się na Joankę. Chodził samotny polami i miedzami, ponury, zamyślony, kulawy. Joanka często patrzyła za nim, czy nie dojrzy u kulawej nogi końskiego kopyta. Nie było

końskiego kopyta. Ludzie za omijali go wielkim kołem, a gdy go nie mogli ominąć odwracali głowę i żegnali się zabobonnie.

Wasz zagodulowany Godula godulski z diabłami kramarzy! wołały rudzkie dzieci za Joankš.

Wasz Godula sprzedał dusza diabłom! mówili starzy ludzie.

A jo widziolech, jak Zły Duch smyczył przez komin do Godulowej izby worek z talarami! upierał się pijany kopidoł szombierski.

Rudzkie dzieci nie chciały się bawić z Joankš Gryszczykówńš.

Id precz! wołały i ciskały w niš kobylińcami. Wy mieszkacie w Godulowej chałupie, kaj się diabły zlatujš, a Godula godulski czaruje po nocach w smrodlawej izbie i warzy złoto z ropuch w miedzianym kotliczku!... Diobły tańcujš nad waszš chałupš!... Twoja matka na miotle lata po nocach w powietrzu!...

18

Gzi się z diobłami na Łysej Górze!... Id precz, bo nas zaczarujesz! Id precz!... i odpędzaly jš od siebie.

Jedynie Klimszów Zeflik z zajęcš wargš nie unikał Joanny. Lecz bał się rudzkich dzieci, bo pomiewały się z niego i przedrzeńiały jego seplenišć mowę. Bał Się także ponurego czarownika Goduli, Uciekał przed nim z krzykiem, podobnie jak z krzykiem uciekały wszystkie rudzkie dzieci, gdy dostrzegły Godulę z daleka. .

Przyszedł do Godulowej chałupy ksišdz dziekan rudzki i usiadł na ławie w altanie. Po drugiej stronie usiadł stary Gryszczyk i pykał fajkę, a Gryszczyzka stanęła w progu i wycierała dłonie w fartuch.

Toć nóm kocur zdechnie, wielebny panie! rzekła z zakłopotaniem.

Nie zdechnie, nie!... A gdzie pan Godula? Gryszczyk wskazał fajkš nieokrelony kierunek.

Aha! Znowu chodzi po polach! Aha!... domylił się wielebny pan rudzki.

A potem jšł narzekać. Taki ogromny majštek!... Można go szacować na kilka milionów talarów! A może nawet na kilkanacie milionów!... O, jerum, jerum!... I aż dłonie złożył na brzuchu w podziwie. Bo trzeba tylko pomyleć! Dwie huty cynkowe, dziewiętnacie kopalni galmanu i czterdzieci szybów węglowych! Jerum, jerum!... A na chwałę Bogu, ad maioram Dei gloriam!, też by się co zdało z tego majštku! Samotny to człowiek, bez żony, bez dzieci, bez krewnych, bez przyjaciół, komuž to zostawi, aże komu?... A to nieprawda, co zawistni i ciemni ludzie mówiš, że z diabłami kramarzy, że duszę zaprzedał diabłu!... Fauete linguis!...<sup>2</sup> Porzšdny bowiem z niego chrzecijanin i chociaż do kocioła nie chodzi, Pan Bóg będzie miał nad nim miłosierdzie. Nie krzywdzi bowiem robotników, pozwoli zarobić, a że czasem, jadšc przez wie, osmaga biczyskiem pijaka, słusnie czyni! Pijaństwo bowiem rozpleniło się na ziemi szłšskiej, porubstwo i wszeteczeń-stwo!... Dobrze też to wykoncypował według angielskiej manie-1 Ku większej chwale Bożej.

- Uciszcie się! W przenoni: niech zamilkni oszczercze języki!

19

ry, by robotnikowi nie płacić w gotówce zarobionych pieniędzy, bo je przepije w karczmie, lecz raczej wypłacać mu je w żywności i w tym wszystkim, co mu do życia potrzebne, a pozostał gotówkę składać jako iciznę w kasie. Żli ludzie pomawiajś go, że wyzyskuje w ten sposób robotnika, lecz to nieprawda!

Zapalił się wielebny ksiśdz dziekan rudzki, lecz nieoczekiwanie dostrzegł między lićmi altanowego bluszczu wdzięczniś twarzyczkę Joanny. Zapatrzony w niś przepomniał na chwilę, po co był przyszedł do Godulowej chałupy. Zdawało mu się bowiem, że tak chyba wyglśdał jeden z owych aniołków, który przez szparę w deskach patrzył na grajścego na skrzypcach starego mnicha. Foremnie to przedstawiał znamienity malarz, niejaki Bocklin, a co ksiśdz dziekan podziwiał ze wzruszeniem w malarskiej Galerii Drezdeń-skiej. Ale to było dawno. Te same niesłychanie błękitne oczy, ta sama uroda anielska, te same usta, na których piękno trudno szukać nazwy w ludzkim języku, i takie same jasne włosy. Tylko że ów aniołek nie miał chyba takich warkoczyków podobnych do mysich ogonków, co teraz sterczś ponad główkś Joanki. A ta czerwona wstśżka we włosach bodaj się nadaje do ich złocistego koloru!... Ale niech będzie!... Dziwne, przedziwne dziecko!...

Zadumał się wielebny ksiśdz dziekan rudzki nad urodś Joanki, a potem zapytał:

Czy to wasze dziecko, Gryszczyku?

Jak to myłś, wielebny panie? nachmurzył się stary Gryszczyk.

A czyjeż by? zdziwiła się niemile Gryszczyczka.

No, nic, nic!... uciszył ich ksiśdz dziekan. Lecz tego, co jeszcze mylał, już nie zdradził. Że to może dziecko nie Gryszczyka, lecz... Eh, Zęby tak prawdę powiedzieć, sine ira et studio<sup>1</sup>, cóż go to może obchodzić?... Tylko że izbyt pańska uroda u owej Joanki! Może to Gryszczyczka gdzie nagoniła, gdyż jeszcze młoda i zapewne krwie gorścej...

Służylicie w zamku? zapytał jednak, nie mogśc powciśgnśc swej ciekawoci.

Gryszczyczka zachnęła się obruszona, gdyż zrozumiała jego pod—

<sup>1</sup> Dosłownie: bez gniewu i bez zapalu, bezstronnie.

20

chwytliwe pytanie! Stary Gryszczyk za splunśł, że aż nie przystało tego czynić wobec duchownej osoby, i rzekł twardo:

Moja staro nikaj nie służyła u panów w zómku! Ani teraz, ani za młodu. Wyjonech jś z roli takś, jako była, córka pampucha, a Joankę mielimy przed pięciu rokami, gdymy już nie spodziewali się dziecka... Bylimy na pści w Częstochowie i tam jś u Panienki Maryje wyprosilimy!... Tak temu jest,

wielebny panie!... Czemu się pytajsz, aże czemu? zapytał nieufnie.

Ksiądz dziekan jednak już nie odpowiadał, lecz znowu wrócił do swojej sprawy. Oto przyszedł, a co niech będzie uważane jako pia desideria<sup>1</sup>, by nakłonić pana Karola Godulę, żeby pamiętał o zbawieniu swej duszy i swój ogromny majątek, którym tak umiejętnie włodarzy, lecz który sub specie aeternitatis<sup>2</sup> jest niczym, powiecił na chwałę Boższą. To raz. A po drugie, żeby nie wierzono złym ludzkim językom, iż prowadzi szacherki z diabłem. To jest człowiek nieszczęśliwy...

Nieszczęśliwy? Po jakimu? zdziwił się Gryszczyk i aż bliżej przysiadł do księdza dziekana.

Nieszczęśliwy, powiadam! Ś podjął ksiądz dziekan, rad, że może wszystko opowiedzieć. I teraz dopiero Joanka dowiedziała się całej prawdy o ponurym Goduli./A więc, że urodził się w Makoszowie pod Zabrzem w roku 1771. A gdy miał lat pięć, przyszła cholera i zabrała mu ojca, matkę i rodzeństwo. Ponieważ za ojciec był tylko biednym fornalem dworskim, przeto nie zostawił po sobie żadnego majątku. Od małego Karolka stronili ludzie, gdyż lękali się cholery. Poszedł więc do Polski, gdzie przez dwa lata pasał bydło. Potem wrócił na Śląsk i najął się w służbę u pewnego karczmarza w Toszku. Był chłopcem stajennym. Jednego razu zatrzymał się w tej karczmie graf Karol Franciszek Ballestrem, dziedziczny pan na Pławniowicach. Młody Goduloszek wyczycił mu tak pięknie jego konie, że graf Ballestrem był zachwycony. A ponieważ chłopiec przypadł mu do gustu, przeto zabrał go z sobą na pławniowski zamek. I tam kazał mu chodzić do szkoły parafialnej. Lecz po roku rektor orzekł, że nie będzie tego chłopca uczył, gdyż on więcej wie aniżeli on, rektor. Graf pozwolił

1 Pobożne życzenia

2 Wobec wieczności

21

przeto, by młody Goduloszek uczył się z jego dziećmi u zamkowego nauczyciela. Pilnie uczył się Goduloszek, bardzo pilnie, a zwłaszcza czynił niezwykle postępy w matematyce i chemii. A gdy się jako tako poduczył, nauczyciel zamkowy za nie wiedział, co z nim począć, gdyż już wszystkie jego rozumy pozjadał, pan graf Ballestrem zastanawiał się, czyby chłopca nie wysłać na wyższe studia do Wrocławia. Lecz było mu żal pieniędzy i uczynił go gajowym. Karol Godula chodził teraz z flintą po pławniowskich lasach i cigał raubczyków i biedotę wiejską, co przychodziła do lasu na grzyby czy po suche gałszki. Karol Godula stał się wiernym pieseczkiem pańskim! Ale to tak: kto panu służy wiernie, ten mu za to pierdnie! W końcu się przebrała miarka cierpliwości ludzkiej. Raubczycy napadli na gajowego Godulę, zbili go ciężko i poranionego, ze złamanymi rękami i ze złamanymi nogami oraz pozbawionego męskoci powiesili za nogi na drzewie. I poszli. Byłby skonał haniebnie, gdyby nie ludzie idący wczesnym rankiem do kocioła. Ujrzeni biedaka na drzewie, spucili go, zanieli do zamku. Karol Godula chorował. Zdawało się, że pójdzie na drugi wiat. Opatrzność Boska chciała jednak inaczej, by wylizał się z dwudziestu i trzech ran, połamane ręce i nogi zrosły się, wygoiły i w końcu wstał niepodobny do dawnego Karola Goduli. Chudy, krzywy, kulawy, z bezwładnymi rękami, brzydki na twarzy, bo oszpecony bliznami, zamknięty w sobie, milczący, nigdy się nie umiechający jak na ten przykład Wallen-stein<sup>1</sup> i brzydki jak ten Quasimodo<sup>2</sup> z wieży Natrę Dame w Pa-ryżu. I co mu padło na rozum. Stał się dziwakiem, samojednikiem, odludkiem. Siedział teraz po nocach, jak to i dzisiaj czyni, lęczał nad księgami, co mierzył, ważył, obliczał, sumował, smażył w retortach

na wielkim ogniu, przelewał, pod wiatło przepa-trywał, grzebał w hałdzie przy cynkowej hucie, a potem poszedł do grafa Ballestrema i powiedział, że kupi starš hałdę żuzłowš obok jego huty cynkowej.

1 WaUenstein (15831634) wódz cesarskich wojsk niemieckich w okresie wojny trzydziestoletniej. Brał m. in. udział w stłumieniu ruchu wyzwolenczego Czechów spod jarzma niemieckiej dynastii Habsburgów.

2 Quasimodo brzydki, garbaty dzwonnik z wieży kocioła Notre Dame, występujący w powieci Wiktora Hugo.

22

A dlaczego chcesz jš kupić? pytał graf Ballestem. Bo w tej hałdzie jest cynk! Głupi, nie ma cynku! Hałdy ci nie sprzedam, bo godzi się tylko jako żwir na drogę! We za darmo! Niie chcę za darmo! To daj pięćdziesiąt talarów, a nie zwracaj mi głowy! Karol Godula wypłacił pięćdziesiąt talarów i hałda stała się jego własnościš. I co się okazało? Karol Godula ze starej hałdy wytopił jeszcze cynku za pięćdziesiąt tysięcy talarów... A potem jšł skupować czynne już kopalnie rudy cynkowej, skupował huty, wsi i zamki. Kupił Bobrek, Szombierki, Orzegów, Bujaków, już ma siedem zamków, pieniądze mu rosnš, aże rosnš, a mieszka w takiej mizernej chałupie w Rudzie!...

A czemu mieszko w Rudzie, jeli mo tyle zómków i tyle pieniędzy? zapytał Gryszczyk. Moja staro warzy mu jedzenie to samo, co my jemy, pderze mu bieliznę, pochranio w jego dwóch izbach, a do trzeciej tnie pozwoli jej wstšpić. Mnie też nie!... Nikomu!...

W tej trzeciej izbie pracuje nad chemiš!...

Nie wiem, nad czym tam pracuje, bo mnie to mało obchodzi. Wiem tylko, że co tam pranczuje i smaży, smrodu tam i dymu, że aż przez szpary w dwierzach wychodzi i krztusi jak sto diabłów!...

Gryszczyk!

...jak sto diasków. Mnie to tam nic nie obchodzi, lecz boję się, że kiedy chałupę spoli, Roz mu tam co strzeliło jak sto diabłów...

Gryszczyk! upomniał go po raz wtóry ksišdz dziekan.

...jak sto diasków, a Godula wyszedł z izby czorny po gębie, z opalonymi brwiami i kudłami. Mnie to tam nic nie obchodzi. Jo tylko strzegę jego chałupy, naršbię drzewa, zajdę po pocztę, dopilnuję, żeby było wszystko w porzšdku.

Ksišdz dziekan powiedział Gryszczykowi, że aczkolwiek Karol Godula, lšski król cynkowy, nie jest unus multorum1, to jednak jest nieszczęliwy. Oszydził się na ludziach, oszydził na pieniądzech. Ludzie go skrzywdził, pozbawili męskoci, uczynili kalekš. I teraz cierpi z tego powodu. On bowiem nie może zaznać tego

Jeden z wielu, człowiek pospolity.

szczęcia, które jest pisane najprostszemu człowiekowi i najbiedniejszemu człowiekowi. Nikt go nie kocha, nikogo nie ma, dzieci przed nim uciekają, ciąży mu samotność, słowem, to jest człowiek bardzo nieszczęśliwy. Myślał, że za pieniądze kupi wszystko. Niczego nie kupi, prócz tego żarcia i dachu nad głową... Ho, ho, Gryszczyku!... Trudno człowiekowi dotrzeć per aspera ad astra!... 1

Co takiego wielebny pón mówiś?

Nic, nic!...

Ksiądz dziekan poszedł nie doczekawszy się powrotu Goduli. A wieczorem, gdy już zmrok zapadł, Godula przyszedł i zamknął się w swej tajemniczej izbie. Wtedy Joasia pobiegła do ogrodu, narwała po ciemku kwiatów i poszła do drzwi. Przypomina sobie teraz ów ogromny lęk, gdy skradała się do nich na palcach. Dotarła wreszcie, zapukała niemiało, leciutko. I już chciała uciec, przerażona swoją zuchwałością, gdy zniemacka tamte tajemnicze, straszne drzwi otworzyły się i w progu stanął Godula z wysoko podniesionym kagankiem.

Czego chcesz? zapytał chrapliwie.

Ś Kwiaty Warn przyniosłam, panie Godula... Nie biljcie mnie, bo ja wam kwiaty przyniosłam... Bo jesteście nieszczęśliwy... A ja was chcę kochać, panie Godula...

I stała się dziwna, przedziwna rzecz. Oto Godula schylił się nie wierzący, owiecił Joasię, postawił kaganek na progu, wyciągnął do niej ramię, pogłaskał niemiało po głowie. A potem ujął ostrożnie jej dłoń i poprowadził do izby. Cofał się i patrzył zdumiony na Joannę. Jakby własnym oczom nie dowierzał. A potem zapytał zdziwiony:

Joanko, ty się mnie nie boisz?

Trochę, ale bardzo nie, panie Godula...

Gdy zaniepokojona matka wstąpiła do Godulowej izby, zastała go siedzącego na niskim stołeczku, opowiadającego zasłuchanej Joance jakąś słoneczną bajkę... Bo się oboje mieli.

Grefina Joanna Gryszczyk von Schomberg-Godula obejrzała się, bo zdawało się jej, że sporo czasu minęło, jak stoi przed swoim pokładem węgla. Inżynierowie rozłożyli pokrelone papiery na spłgu, nachyliłi się nisko nad nimi, a gdy jedni wiecili, drudzy

Przez skalistą cieżką do gwiazd {przez walkę do zwycięstwa}.

wodzili palcami po liniach. Bergrat Kuderich stał obok i wymieniał jakie cyfry hrabiemu Schaffgotschowi. Nic z tego nie rozumiała. Przypuszczała tylko, że obliczają, jakie zyski przyniesie odkryty pokład. Niech obliczają!...



Ujrzała się znowu między dwoma szeregami żołnierzy w królewskim zamku w Berlinie. Żołnierze stoją wyprostowani, sztywni, nieruchomi jak te dwa rzędy stempli w przekopie. Frejliny i oficerowie zawiedli ją przed króla Fryderyka Wilhelma II, który czekał w ostatniej sali. Nie pamięta, jak zdołała wykonać ów wyuczony ukłon dworski, co mówił do niej król pruski. Pamięta tylko, że podał jej jakiś zwinięty pergamin, z którego poprzednio czytał, iż ją mianuje grefina Joannę Gryszyk von Schomberg—Godula na Rudzie, łódzkiej. Dziewięć lat miało wtedy od chwili, gdy stary, 67 lat liczący Karol Godula, łódzki król cynkowy, schlesischer Zinkkönig, zmarł we wrocławskim hotelu Pod Złotą Gęsią w roku 1848, chroniąc się tam przed grasującym na łódzku cholera. W testamencie mianował ją wtedy spadkobierczynią swego majątku. Przypadły jej kopalnie rudy cynkowej i kopalnie węgla, huty cynkowe, kilka wsi, kilka zamków, papiery wartociowe, kosztowności, stała się dziedziczką majątku wartoci 14 milionów talarów. A za co?... Za tamten umiarkowany darowany nieszczęśliwemu człowiekowi i za tych kilka kwiatów!... A że została grefina, sprawa to zubożałego hrabiego Hansa Ulricha Schaffgotscha. Pojutrze ma zostać jego żoną! Wzdrygnęła się bezwiednie, gdy spojrzała na jego łysą, końską czaszkę z żabimi oczami. Odwróciła się do górników stojących pod cianą. Tamten chłopak z twarzą matką wciśniętą w usta znaczone obrzydliwą wargą zajęczy. Jakby się umiechał szydlerzo!... Inni stoją pokorni i patrzą na nią psim wzrokiem. Mierzą ją widok ich uległych, pańszczynianych oczu! Jeden z nich tylko, młody, o czarnej czuprynie, ma oczy twarde, spokojne i zimne. Patrzy w nią uparcie, wyzywająco. Zrozumiała jego spojrzenie.

Zrzuciła kapuzę z głowy, rozsypały się jasne, puszyste włosy koło jej twarzy. Tego uwodzicielskiego gestu nauczyła się przed zwierciadłem w swym szymbierskim zamku. Smukła, wysoka, o urodzie jakby pastelowej, lecz zmysłowej, podeszła do niego. wiatło padało na jej twarz od dołu. Górnik ją się cofać, lecz

25

nie spuszczał z niej oczu. Teraz oczy Joanny skupiły się, jego za stawały się ciepłe i płonące.

Ja wiem, co wy mylicie! rzekła do niego półgłosem.

Lecz wierzcie mi, że...

Nie dokończyła, bo przegrodził ich hrabia Schaffgotsch. mieszy był z tą swoją chudą szyją tkwiącą w wysokim kołnierzu, z tym pstrokatym fontaziem pod wydłużoną brodą, z tym brylantem w fontaziu, z rudawymi bokobrodami, z cienkimi ustami wykrzywionymi w pogardliwym, grymasie. Joanna odrzuciła głowę i zmierzyła go chłodnymi oczami, jak nauczyła się tego u wrocławskich sióstr zakonnych u świętej Jadwigi.

Proszę mi, hrabio, nie przeszkadzać! wycedziła gniewnie

po francusku.

Hrabia Schaffgotsch prychnął krótkim miechem i odsunął się na bok. W jego oczach zapełgał gniew. Joanna chciała teraz dokończyć przerwanej rozmowy z owym dziwnym górnikiem o oszałamiającej męskiej urodzie. Chciała mu powiedzieć, że... Nie! Teraz już nie wiedziała, co mu pragnęła powiedzieć. Miała przed sobą sformułowane słowa gładkie i ozdobne, a już ich nie ma! Ich cień pląta

się tylko w wspomnieniu. Zleciały się wspomnienia. Hrabina Joasia Gryszczykówna, suszśca się nad piecem bielizna, von Schomberg-Godula, zapach ojcowego ubrania, godu, godu, godula, kaj jest moja złoto kula...”, łyzy ponurego czarownika Goduli kapiśce na jej włosy, białe, chłodne salki we wrocławskim pensjonacie więtej Jadwigi, szeroka, szeleszczśca suknia z najprzedniejszego jedwabiu, ujmowana koniuszkami palców u dołu, rozpostarta szeroko, niski, bardzo niski ukłon dworski przed pruskim królem z bokobrodami, cuchnścym tabakś, pieniśdze, pieniśdze i jeszcze raz pieniśdze, ogromna hałda pieniędzy, przykry zapach spoconych ciał ludzkich schylonych nisko w prażelniach cynku, zapach kiszzonej kapusty na przypiecku w rudzkiej chałupie

Godulowej...

Poszukała oczami górnika o drapieżnych, zniewalajścych oczach. Oczy jego sś już ciepłe, płonśce, urzeczone i przebaczaśce... O, tak! Przebaczaśce!...

Cóż ja temu winna? zrodziła się znienacka jedna jedyna myl,

mieszna i tragiczna.

26 ‘ Ś . .,ŚŚŚ.

Dostrzegła, że wyszedł na rusztowanie pod kapś odgraniczajścś przekop od zaczętego chodnika. Umiechnęła się do niego. Odpowiedział jej również lekkim umiechem. Doznała wrażenia, że umiecha się nie do obcego górnika, lecz do Karola Goduli.

Hrabia Schaffgotsch wyszpiegował ich umiechy.

Joanna Gryszczykówna z kurnej chałupy Godulowej! uwiadomił sobie zjadliwie. Nachylił się do dyrektora kopalni i co mu szeptał wskazujśc nieznacznie na zuchwałego górnika pod stropem. Dyrektor przymrużył oczy, kiwnśł głowś na znak, że rozumie, i nachylił się do sztygara. Teraz jemu co szepce, a sztygar wyjmuje służbowy notes z kieszeni, przewraca kartki i szuka. Sam pan dyrektor wieci, a jego ekscelencja hrabia von Schaffgotsch patrzy mu przez ramię. Sztygar podkrelił nazwisko, podkrelił imię, dopisał do nazwiska, co mu nakazał dyrektor.

A teraz, wasza ekscelencjo... zaczął bergrat Kuderich swym mlaszczścym głosem, zwracajśc się do Joanny. Teraz wasza ekscelencja pozwoli, że dla uczczenia tak wielkiej chwili, iż odkryty pokład... oby rozpoczął się pod szczęliwymi aspektami!... Iż odkryty pokład jest najbogatszym pokładem we wszystkich kopalniach waszej ekscelencji... że ten pokład zabrany nieszczęśnemu Plutonowi, żeby ludzkoci przyniósł Prometeuszowy... eh, tego... Co chciałem powiedzieć... Że ten pokład nazwiemy dostojnym imieniem waszej ekscelencji... Będzie się odtśd nazywał pokładem Joanny...

Hoch! Hoch! Hoch!... wrzali wszyscy za panem bergratem Kuderichem, podnieśli lampy wysoko, a górnik na rusztowaniu schylił się. ujśł czarnś tabliczkę i jśł przybijać do kapy. Na tabliczce bieleły się gotyckie litery ułożone w napis: Joanna-Flóz.

I gdy hrabia Schaffgotsch, bergrat Kuderich, dyrektor, inżynierowie i sztygar podchodzili do grefiny Joanny i składali jej życzenia dotykajśc jej dłoni w niskich i przesadnych ukłonach, Joanna patrzyła

nad nimi na rusztowanie, gdzie pod stropem stał jeszcze ów dziwny górnik o męskich, buntowniczych oczach. Umiechnął się znowu do niej i skłonił głowę. Joanna wyczuła w sobie wzbierającą radość.

I teraz wszyscy szwargotali i rzekomo ogromnie się radowali, górnicy za wyciśgali pokornie dłonie po talary, które im roz—

27

‘1

dawał sztygar. Podał talara i tamtemu górnikowi pod stropem. Musiał ramię wysoko podnieć trzymając pieniądze w koniuszkach palców. Górnik schylił się, podjął pieniądze, przez chwilę wahał się, a następnie cisnął w rumowisko węglowe. Z pasją, z nienawicią i wzdrgnięciem.

Joanna dostrzegła jego pogardliwy gest. Chciała jeszcze się raz do niego umiechnąć, lecz już nie potrafiła. Radość w niej umarła.

## ZŁOTA KULA

Lj, powodu talara ciniętego w rumowiska węglowe, towarzysze kopacza Joachima Strandelli, cudzoziemskiego przybusia, Italoka, przezwanego zrozumiałej Strzśdałś, potracili głowy, grefiniś Joanna za dostała spazmów w windzie. Uciszyła się raptownie, gdy nachylił się nad nią graf Schaffgotsch i objął ramieniem. Winda leciała pod górę, klekotała, objęła z łoskotem o dębowe lizgi, wicher szumił, a Joanna uległa złudzeniu, że unosi się w ciemnej rozwichrzanej nocy, a naokoło czają się diabły. Ujrzała jednego z nich!... Podłużna czaszka, żabie, wyłupiaste oczy, olinione usta wykrzywione w dziwnym uśmiechu!... Odrzuciła gwałtownie Schaffgotscha. Byłaby splunęła z obrzydzenia, lecz przypomniała sobie na czas, że to zbyt gminny sposób ujawniania uczuć. Tak ją uczono we Wrocławiu w pensjonacie. Odwróciła się tylko i pa-11 żyła na uciekającej belki ocembrowania. Ich rytmiczne przepadanie w głębi szybu uciszało ją stopniowo.

29

A towarzysze Strandelli krzyczeli, przepychali się do rumowiska, roztrścali łokciami, szukali gorśczkowo, grzebali palucha-ni w kęsach węgla, Strandella za siedział na rusztowaniu pod capa, ponury i zawzięty żuł jakie przekleństwa w swoim języku; mocował się ze wspomnieniem dziwnych oczu grefiny Joanny. Urzekły go i teraz musi o nich myśleć.

Grefina Joanna zamknęła się w sypialni i nie chciała przyjść hrabiego Schaffgotscha

Nie chcę!... Nie chcę!.. wzbraniała się, gdy lekarz, stary Urbaintschyk, tłumaczył, że wpłynie to kojąco na jej melancholię, jeżeli przyjdzie jego ekscelencja graf von Schaffgotsch.

Przecież wasza miłość nile może wzbraniać... Narzeczony waszej miłości dostanie palpacji serca,

jeżeli... tłumaczył oględnie, a w duchu radował się, że grefina taka zawzięta.

Nie chcę!... krzyczała już Joanna zakrywając oczy dłońmi. Doktor Urbaintschyk wzruszył ramionami i podreptał do okna.

Jeżeli janie grefina nie chce, wola pańska... On na jej miejscu także by nie chciał! Na stoliku pod oknem stały flaszeczki i flakoniki. Urbaintschyk już odliczać krople, cedzić, mieszać, po czym pachnącą miksturę wlał w małą kryształową kubek i przyniósł grefinie. Joanna wypła z ulgą. Znowu się uciszała.

Godu, godu, godula, kaj jest moja złoto kula... jąła skandować szeptem. -j

Zleciał do niej dawny wiśt wraz z aniołem z Godulowej izby. Anioł miał ogromne skrzydła i prowadził małą dziewczynkę nad czarną przepaść. Przepaść sięgała do złotej ramki, a prawe skrzydło anioła koniuszkiem swym także dotykało ramki.

Kto to jest? zapytała ponurego Godulę, ...:;>

To jest Anioł Stróż!... ..?;

A ta dziewczynka?

To ty jeste, Joanko! ..'Ś.: \ ,,) Ponurego Goduli już nie ma, ludzie o nim zapominają, dzieci

już nie lękają się jego nazwiska. Powiadali, że ona jest córką Goduli. mieszni ludzie!... Przecież Godula nie mógł być ojcem... Zapłoniła się po dziewczęcemu przy tym wspomnieniu, gdyż przypomniła sobie jedną noc pełną zwierzeń, gdy przytuliła się do czarnowłosej Hildegardy w pensjonatowej sypialni. Hildegarda

30

była duża i rosła. Hildegarda wiedziała bardzo dużo i bardzo dużo jej powiedziała. Nawet umiała jej wytłumaczyć, dlaczego Godula nie mógł być jej ojcem.

Wykastrowali go jak wieprzka! słyszała Joanna w karczmie, gdy przyszła po pijanego ojca.

Chudy karczmarz na krzywych nogach, w miesznej magierce z czerwonym kutasikiem na głowie, biegał po sali z wódką i zachęcał do picia. Oczy jego były chytre, lisie, kaprawe. Zapiszczał cienkim chichotem, lecz potem psyknął, przyłożył brudny palec do ust i już kiwać głową.

Nic nie mówcie o panu Goduli!... Że wykastrowany, nic was to nie obchodzi!... Gdy się dowie, że tak le o nim mówicie, będzie i z wami le. Ja wam to powiadam!... To jest wielki, to jest możny pan! ... Co on winien, że raubczykii z pławniowickiego lasu tacy niedobrzy ludzie!... Ja wam co powiem! Wy nic nie wiecie, ja nic nie wdem i szal...

Hildegarda zamiewała się do łez w tamtą księżycową noc wrocławską, gdy Joanka powtórzyła jej wszystko, co słyszała. A potem przytuliła się do niej i długo jej szeptała o tajemniczych misteriach miłości. Jak ona dziwnie mówiła!... Jej słowa były jak pożar w czarnej nocy. Jej słowa paliły, rozniecały ogień w ospalej krwi, smagały jak języki płomieni.

Teraz tamte płomienie ożyły, zerwały się, buchnęły wysoko, zasłoniły cały wiat. Pożądanie miłości przemienia serce Joanny w żagiew. Żagiew nieci pożar... Każda myśl o tamtym dziwnym człowieku w pokładzie Joanny jest płonąca żagiew.

Godu, godu, godula, Kaij jest moja złoto kula?... Pojada przez morze, Znajda ją w komorze!...

Szeptane słowa sypią się w ciszy jak szelest lici osiki nad wodą.

Pojada przez morze... znajdzie ją w pokładzie Joanny!... ; uprzytomniła sobie zniechęca. Odurzyła ją ta myśl, poraziła nadludzkim szczęciem. Wychyla się do niej smagała twarz mocnego człowieka z pokładu Joanny, rozwiera ją jego ramiona, przy—

31

że aż

tchu brakuje, usta rozgniatają jej usta,

r Ś

przez chwilę mrugał oczami o grubych,

\_\_ Nie umrze? zapytał szeptem.

Tchichotał. Gdzieżby tam umarła. Biedaczysko hrabia,

SS5

że osiedzie prawiczkę!... No, i miliony talarów!...

U<sup>nts</sup>chyk pomyślał, że Joanna umrze, lecz J<sup>gdy</sup> za trzy dni hrabia będzie ją całował w małżeńskiej Sosno zaJzapewniał go, że to nic, że to W<sup>wiecie</sup>, że jutro, pojutrze wszystko mima, a na trzeci

JSZZL 2L ty, wyżyta pokrak, w j<sup>wiła</sup>! - pomyślał znowu, lecz głośno powiedział ze jego eksce Tencja może być spokojny. O tak!... Może być spokojny!

mabia SchayffgoPtsch mrugnął wtedy P<sup>mu</sup> talara Jak psu ogryzionś koć. Urbaintschyk złapał go w po rt rł' Potem chuchnął nań trzykrotnie i schował

nie Owiadczyła hrabiemu po burzliwej

termin lubu. Powstało stąd wielkie zamieszanie, lecz Joanna Postawiła na swoim.

Po tygodniu zjechała do kopalni. w

- Chce. ^baczyć swój pokład! -^rzekła dyrektorowi. Dyrektor

sprzeciwił się, tłumaczył, że to niestosowna pora, że praca w toku, że to i tamto.

X Virgo intacta dziewica.

32

Chcę zobaczyć swój pokład! powtórzyła twardo. Dyrektor ustąpił. Usiłując zatrzeć niemiłe wrażenie, jakie mogło

u grefiny wywołać jego sprzeciwianie się, jeśli omawiać szeroko wartość pokładu i tłumaczyć plany tyczące jego odbudowy.

Oto pokład Joanny jest najlepszym pokładem. Takiego węgla nie ma w żadnym szybie grefiny. A jest ich przecież aż czterdzieci. W żadnym też szybie nie dotarli górnicy tak głęboko w ziemię jak w szybie Arnolda. Dwieście i piętnaście metrów!... Szyb jest czworoboczny, ocembrowany dębowymi jarzmami, opierzony dębowymi deskami, aczkolwiek na kurzawkę nie natrafiono, za co niech Bogu bądź dzięki!... Dotychczas wszystkie pokłady węgla wybierano systemem odkrywkowym, a potem pędzono w nich upadnice coraz głębiej. Lecz wydobyć i e węgla było kosztowne. Wózki z urobkiem było trzeba wyciągać kołowrotami. Szyb Arnolda za jest pierwszym szybem na lśsku, na którym zmontowano parowś maszynę wyciągowś sprowadzonś za wielkie pieniądze z Anglii.

Dobrze, dobrze, a pokład? niecierpliwiła się Joanna.

Pokład Joanny gruby przeszło cztery metry. Dokładnie cztery metry dwadzieścia centymetrów. Węgiel tłusty. Z przekopu pędzi się teraz główny ganek przewozowy w pokładzie. Odbudowa dużo kosztuje, bo musi wytrzymać lata. Strop, niestety, słaby!...

Co takiego?

Że strop słaby, czyli powała. Strop jest z łupku. Warstwa łupku gruba ponad metr, oddzielona od piaskowca w piętrze decymetrowś warstewkś węgla. Łamie się i kruszy. Łamie stemple i stropnice...

Co takiego?

Stemple i stropnice. Spśg znowu jest miękki i wybrzusza się...

Co robi? zapytała Joanna dusząc w sobie miech. Rozmieszyło jś bowiem tamto okrelenie.

Wybrzusza się... To znaczy, wasza miłość, że spśg wyzbyty nacisku warstwy węgla wydyma się rodkiem chodnika na kształt skiby. W ogóle piętro jest słabe, spśg miękki i dlatego filary nie będą duże. Poprowadzi się ich odbudowę nie sytemem polskim, lecz niemieckim. Z wybierkś, z nogami” i z organami”.

Nic nie rozumiem. A ludzie?

Co wasza ekscelencja raczy rozumieć...

Ludzie! Przecież mówię wyranie! Co ludzie, jeżeli strop słaby?... chyba grozi mierć?....

Górnikowi zawsze grozi mierć w kopalni! odparł sente—

cjonalnie.

Zjeżdżamy do kopalni! rzekła sucho i wstała.

W biurze pełgała oschła woń starych szpargałów, swśd tytoniowego dymu i słodkawego zapachu pyłu węglowego. Przez zakurzone szybki sšczyło się poszarzałe słońce. Joanna z niechęcią spojrzała na ciany, na zakurzone mapy kopalni, na biurko zavalone papierami.

Dyrektor zdołał jeszcze wyjanić, że główny chodnik nie jest długi, bo dopiero od tygodnia pracujš w nim górnicy na dwie zmiany. Użył wyrażenia niemieckiego Grundstrecke.

Co takiego? zapytała znowu Joanna.

Grundstrecke. To jest główny chodnik, proszę waszej miłoci!

Pan dyrektor wspomniał, że górnicy pracujš na dwie zmiany. Jak to rozumieć?

Szychta trwa u nas, jak na wszystkich kopalniach, dwanaście godzin. Z faraniem... z wychodzeniem i schodzeniem po drabinach poprawił czternacie godzin.

A ludzie? Ile zarobiš?

Dyrektor umiechnš się nieznacznie. Pomyślał, co by się stało, gdyby odpowiedział, że zarobiš więcej, aniżeli zarabiał jej ojciec,

rębacz Gryszczyk.

< Jak gdzie indziej. Ani mniej, ani więcej!... rzekł i pragnšc już zakończyć wypytywanie uklonił się głęboko i otworzył szeroko drzwi na korytarz,

Sš wprawdzie niecni ludzie, rebelianci dodał jeszcze jakby na usprawiedliwienie którzy buntujš nam górnika. Zresztš, czy zarobiš mniej lub więcej, i tak wszystko przepijš! dorzucił

z przekšsem.

Joannę obesza boleśnie ostatnia uw^aga dyrektora. W dalekim i jakby przymglonym wspomnieniu

ujrzała swego ojca pijanego w rudzkiej karczmie. Ojciec ślaniał się niemrawie za stołem, krzyczał, bił pięciś w szynkwas i obiecywał mordować pšsibrzu—

34

chów. Przypomniłał się jej zapach oparów karczemnych, dymu fajkowego, ludzkiego potu i kwanego piwsu. W oparach majaczyły ludzkie twarze podobne do maszkar. Nic przeto nie odpowiedziała. Zagryzła usta i pozwoliła zarzucić na siebie ciemny, szorstki płócienny płaszcz z kapużš. Gdy dyrektor pomagał jej włożyć na głowę kapużę, z lubociś wciśgnł w nozdrza zapach jej włosów i ciała. Z nawyku obleciał spojrzeniem jej smukłš, prawie chłopięcš postać. Zatrzymał się na jej biodrach w szarej obcistej sukni i bezwiednie mlasnł językiem. Joanna podniosła ramiona ponad głowę, by wsunć włosy pod kapużę. Wtedy dyrektor odkrył w sobie zuchwałę pragnienie: porwie tę głupiś smarkulę w ramiona i... I co? Zachnł się, przerażony swoim zuchwalstwem, odstšpił od niej pełen udanej rewerencji. A gdy potem szedł za niś ku szybowi, słucał z niepokojem drażnišcego szelestu jej sukni. Spozstrzegł się, że ulega urokowi Joanny i jśł się zżymać i oburzać.

Głupia smarkula! myłał >ze starczš złociś. Gęsi kiedy pasala, brudna i kudłata, o zawszonych włosach na głowie, a dzisiaj z niej janie grefina!... W jej bzdurnej głowie lęgnł się jakie rebelianckie urojenia!... Ludziom grozi mierć!” Ile zarobiś?” Dziwi się i roztkliwia, że pracujš dwanacie godzin!... Głupia! Po stokroć głupia!... Gdyby nie pracowali po dwanacie godzin, nie byłaby janie grefinš... A ja nie byłbym dyrektorem! uwiadomił sobie z lękiem.

Co pan dyrektor mruży? Może się panu dyrektorowi co nie podoba? zapytała ostro, odwracajšc się i patrzšc wyzywajšco w jego rozbiegane oczy. ciśgnęła brwi, zagryzła usta.

Ależ wasza ekscelencjo! Jestem szczęliwy, że mam honor..

Niech pan dyrektor prowadzi! przerwała oschle, przepuszczajšc go przodem. Wyczuwała jego niechęć do siebie, jak wyczuwała jś u wszystkich naokoło. Zdawała sobie sprawę, że odziedziczone Godulowe talary osaczyły jš ludzkš wrogociś. Po raz pierwszy zaznała goryczy ich istnienia w pensjonacie wrocławskim, gdy jedna z koleżanek, córka bogatego patrycjusza ze Starego Rynku, cisnęła jej ze wzgardš podczas drobnej sprzeczeki:

Ty pozłacana kobielo żebracza!...

Była to bolesna aluzja do jej pochodzenia z nędzarzy.

3”

35

Godulowe talary budziły zawić wród ludzi z dawnego jej dziecięcogo wiata. Ci za, do których kręgu wstšpiła z takim niesłychanym triumfem, z trudem godzš się z jej obecnościś, okazujš jej wyniosłš, aczkolwiek maskowanš, pogardę. Nawet jej narzeczony, Hans Ulrich von Schaffgotsch na Kopkach, nie umie ukryć owej pogardy. Joanna juź teraz wie, że jemu chodzi przede wszystkim o Godulowy majštek i o jej młode ciało. Wszak posłyszała pod drzwiami rozmowę jego z doktorem



Urba:ntschykiem, gdy się upewniał, czy jest dziewicš!.. A teraz taki dyrektor Kuderich, stary mamut, pożerajšcy starczymi lepiami kształt jej piersi i bioder!... Kłania się w pas, szepleni obieranymi słówkami, płaszczy przed niš, a równoczenie nienawidzi jej... Wszyscy sš tacy! Juž ich zdołała przejrzeć! Uwiadomiła sobie juž dawno, że Godulowe talary zyskała za swój umiech, a dzisiaj za te same talary stała się grefinš i stanie się žonš hrabiego Schaffgotscha. [ one sprawiajš, że czuje się tak bardzo opuszczona i łaknšca czyjego bezinteresownego umiechu, jak ongi pragnšł tego osamotniony Godula.

Dziękuję ci aksamicie, kłaniajš się WadowicieL. przypomniał się jej ów dziwny dwuwiersz z lekcji starego profesora Szkyrły we wrocławskim pensjonacie. To był piękny, chociaż dziwny człowiek. Chwilami aż mieszny. Podczas lekcji sięga] ukradkiem do kieszeni spencera i wycišgał ksišżkę w czarnych, podartych okładkach.

Cicho, silentiuml, moje dziewczki!... - mówił z namaszczaniem. - Przeczytam wam co...

Nastawała cisza, a stary Szkyrła czytał to co” w dziwnie swojskim języku. Powiadał, że to szlachetna polszczyzna. Długo czytał i pocišgał czerwonym nosem ze wzruszenia. A potem ksišżkę zamykał z nabożeństwem, jak ksišdz na ambonie zamyka ewangelię, wsuwał do kieszeni tabaczkowego spencera i wracał do Klop-stocka lub młodszeo odeń, Uhlanda2.

.....wszystkim się zdawało,

2e Wojski wcišż gra jeszcze, a to echo grało!...

1 Spokój! .

2 Klopstock. i Uhland niemieccy poeci z XIX w.

Na tym grajšcym echu” skończył Szkyrła swoje przedziwne godziny niemieckiej poezji, zamieniane na czytanie wierszy z czarnej ksišżeczki wypełnionej szlachetnš polszczyznš”. Nazajutrz umarł, a za trzy dni miał liczny pogrzeb.

Gdy czytał z czarnej ksišżeczki, często podnosił zmęczone oczy i patrzył umiechnięty na Joasię. A gdy wychodził z ostatniej swej lekcji, stanšł w progu i znowu się dziwnie umiechnšł do niej.

Wspomnienie tego umiechu przywiodło jej przed oczy umiech tajemniczego górnika z pokładu Joanny. Jak bardzo jest podobny do Oteła z wrocławskiego teatru!... Widzšc Otella, po raz pierwszy zrozumiała istotę miłoci. Potem przyszedł hrabia Schaffgotsch do loży. Teraz juž wie, że to było z góry ukartowane. Stał przed niš skropiony pachnidłami, ułożony, gładki, prawišcy napuszone słowa, cuchnšcy winem, o mętnych żabich oczach. Och, te oczy!... Otržšnęła się z obrzydzenia i z radociš wróciła do przerwanych myli o licznym górniku w jej pokładzie. To chyba nie jest zwykły górnik?... Przekona się dzisiaj! Jakżež mu teraz wdzięczna, że cisnšł ze wzgardš ofiarowanym mu talarem. A ilež uwielbienia i niemiałej próby o miłoc było w jego oczach!..

Uderzyły w niš ognie, serce załomotało, jak wtenczas gdy ujrzała Otella na scenie.

Zjechali windš. Pod szybem dyrektor wyszedł pierwszy i podał jej rękę, by nie potknęła się na

szynach. Potem wiódł jś przekopem. Sprawiało jej to jakie przykre zadowolenie, gdy mijała górników spoconych i umorusanych, o tak błyszczących białkach oczu, że twarze ich stawały się podobne do greckich masek wyrażających zastygły krzyk tragiczny. I równocześnie z niechęcią patrzyła, jak usuwajś się pokornie pod ciany, jak zdejmujś prze-poccone magierki, jak kłaniajś się nisko i bełkoczś zalęknione: Szczęć Boże!...

Zapomniała o nich, gdy zastąpił jej drogę znajomy zapach kopalni, słodkawy, ciepły i również tajemniczy. Ujrzała w nim swojego ojca i wróciły do niej pierwsze przeżycia, naiwne i patetyczne, gdy usiłowała wyobrazić sobie podziemie kopalni i Ziemskiego Ducha, i mierć górników pod obwałem, w pożarze lub w gazach. Słuchała ojcowych opowiadań z trwogś, a wieczorami

37

modliła się żarliwie za górników i za Godulę, sprawujścego sa-mojednie jakie czary w zamkniętej komorze.

Minęli niski pokład Fryderyka, minęli podobny pokład Waclawa, doszli do pokładu Joanny. W głębi przekopu tkwiły w mroku drobne wiatła i dochodził, stamtąd stłumiony szcęk widrów wgryzających się w piaskowiec.

Co tam? zapytała Joanna wskazujśc na wiatła. Dyrektor uradował się, że może rozproszyć niechęć grefiny do siebie. Jśł przeto skwapliwie wtajemniczać jś w zawile sprawy kopalni. A więc oba pokłady, Fryderyka i Waclawa będś skśpe, gdyż węgiel w nich nieczysty, przerastany łupkiem. Przyniosł małe zyski. A tam w głębi, na co wasza miłość raczyła zwrócić uwagę, to przedłużanie przekopu. Ponieważ pokłady węgla leżś ukonie, przeto naprzeciwko nie odkrytych pokładów pędzi się przekop w piaskowcowej calinie. Dojdzie się nim do nowego pokładu i rozpocznie się jego odbudowę. Potem dojdzie się do następnego i znowu rozpocznie się odbudowę. Potem jeszcze do następnego i jeszcze do następnego... A jak wykazało wiercenie, węgiel w tamtych nie odkrytych pokładach zdaje się być równie dobry i tłusty jak w pokładzie Joanny. W pokładzie Joanny za pędzi się główny chodnik, Grundstrecke, z lewej strony przekopu. Będzie doprowadzony do granicy albo do uskoku. Górniczy mówiś: do szprungu. To jeszcze się zobaczy...

Schylił się i jśł rysować kilofem w pyle plan przyszłych prac Pociśgnśł grubś kreskę. Bardzo grubś. To jest przekop. Zaznaczył na niej pokłady Fryderyka i Waclawa. Zatrzymał się na pokładzie Joanny. Pociśgnśł teraz z lewej strony długś, równś linię. To jest Grundstrecke, czyli główny chodnik. Z linii tej “wyprowadził prostopadłe i równoległe kreski, majśce przedstawiać pochylnie, chodniki pomocnicze, przecinki... Powstała szachownica prostokśtnych pól, licznych, gęstych, równomiernych. To śś filary, proszę waszej miłości! objanił. Joanna usiłowała zrozumieć. Zapatrzona w powstajścy rysunek zapomniała o wielkopańskich manierach, wyuczonych u Sióstr Urszulanek we Wrocławiu. Schyliła się, potem ukucnęła nisko, jak to zwykła czynić w dzieciństwie, gdy patyczkiem rysowała w piasku zamki i konie. Ujęła się oburścz za kolana i ledziła ruchy okutego końca kilofa. Rysunek wywoływał w niej wizję ponurego kretowiska, w którym będś się mozolili ludzie i z którego potoczś się talary. Więc tak to będzie?... dziwiła się pokrzykujśc czasem

w zdumieniu.

Dyrektor spojrział na nią i w tej samej chwili pozbył się zawziętości, Rozbroiła go swym wdziękiem prostoty, zdziwionymi oczami, podniesionymi łukami brwi, rozchylonymi lekko ustami.

Jaka ona liczna! Ona chyba nie jest córką górnika Gryszczyka?... pomyślał z ulgą A uradowany, że wykład o kopalni wzbudził u grefiny Schomberg-Godula tak wiele zainteresowania, jeśli teraz tłumaczyć ze swadą, iż nie wie, jak długie i jak szerokie będą owe filary, gdyż strop jest słaby, spąg miękki i dlatego dzisiaj trudno przewidzieć ich rozmiary. A musi jeszcze o jednym powiedzieć, co wasz miłość wielce uraduje. Oto węgiel w pokładzie Joanny jest koksujący!...

I cóż z tego? wyprysło irytujące, wielkopańskie pytanie.

Czy wasza miłość nie wie, co to znaczy?... To znaczy, że z pokładu waszej miłości potoczą się talary, talary!... Węgiel z pokładu Joanny będzie bowiem niesłychanie bogatym nabytkiem dla pieców hutniczych wszelkiego rodzaju! A przede wszystkim dla hut żelaznych! Jego ekscelencja graf von Schaffgotsch już obliczył wszystko dokumentnie. Jeżeli dobrze pójdzie, jeżeli górnicy nie będą się jeżyli, jeżeli będą radzi z tego zarobku, jaki teraz mają, to dochody z kopalni Arnolda przyniosą krociowe talary!... Tylko jedno dodał szybko, bo zauważył, że grefina Joanna czego się zżyma. Tylko jedno, lecz niechaj wasza miłość nie przejmie się, nie!...

Dyrektor przeszedł teraz w ton ojcowski. Robiło to wrażenie, że oto za chwilę wyciśnie dłoń i pogłaska ją po głowie, by się zbytnio nie martwiła.

Co takiego?

Oto, proszę waszej miłości, pył węglowy, a raczej miał węglowy i skruszony węgiel w pokładzie waszej miłości jest łatwo zapalny. To znaczy, że będzie ulegał samozapalaniu. Trzeba będzie liczyć się z możliwością pożarów. A potem jeszcze gazy, nie mówić już o wodzie!... Przeklęte gazy!... Metanu, Bogu najwyżej-

39

szemu niechaj będą dzięki, jeszcze nie ma i dałby Bóg, żeby nie było!... Lecz jest kwasorodek węgla i bezwodnik węglowy...

CO i CO<sub>2</sub> zawołała Joanna uradowana, że może się popisać przed dyrektorem znajomości znaków chemicznych, jak radowała się w pensjonacie wrocławskim, gdy recytowała je na lekcji profesora historii naturalnej, pana Idzikowskiego. Profesor Idzikowski cmokał wtedy z wielkiego ukontentowania.

Tak jest, comtesse! pochwalił ją dyrektor i tak samo cmoknął, jak ongi cmoknął profesor Idzikowski. I tych zasmolonych gazów trzeba się najbardziej lękać. Lecz chociażby ich była nie wiem jaka siła, nie pozwolimy się!... Nie skapitulujemy!... zawołał podniecony i z tą dziwną pasją górnika, wobec której wszystkie inne sprawy tracą swą wartość.

Pasja dyrektora porwała Joannę. I gdy jeszcze spostrzegła, że w zapalczywości zaczął stukać kilofem po spągu, dziurawiąc swój misternie wyrysowany plan pokładu, Joanna poczuła się zwiżzana z nim

jednym wspólnym pragnieniem człowieka prostego, podejmującego się walki z żywiołem. Pożar, gazy, obwały, woda!... To wszystko synonimy miernoty chytrej, głupiej, podstępnej!... A przede wszystkim głupiej!... Po stokrót, po tysiścokrót głupszej aniżeli ta, która oglądała na Holbeinowych2 drzeworytach w pensjonatowej kaplicy świętej Jadwigi. Nawet po wielekroć głupszej aniżeli ta z obrazu Hansa Baldunga Griena w szombierskim zamku!... Ileż to razy widziała się w postaci owej nagiej dziewczyny na obrazie, która mierć ujmuje za rozplecione włosy!... Zawsze ją przechodził lęk, gdy musiała nań spojrzeć!... Teraz wszystko minęło. Obraz kazała wyrzucić na strych zamku, a przed nią rozwiera się życie!...

Wyczuła radosny dreszcz na grzbiecie, na ramionach i na nogach. Taki sam, jaki wyczuwała po raz pierwszy, słuchając we wrocławskim „Konzerthausie”3 piątej symfonii Beethovena!...4 Nie, to było w Królewskiej Operze Berlińskiej!...

1 Camtesse hrabianka.

2 Hans Holbein (Starszy) (około 1410 ^1524) wybitny malarz niemiecki.

8 Sala koncertowa, filharmonia.

4 LAidwik van Beethoven (1770 1827) wybitny kompozytor niemiecki

Dziękuję, panie dyrektorze! rzekła. Wstała znad zniszczonego planu jakby odmieniona. Oczy jej płonęły. Podała mu rękę, on za przez drobną chwileczkę zapatrzył się w jej kształt spoczywający w jego szerokiej i grubej dłoni. Podniósł ją i z kawalerskim gestem cmoknął głono, dotykając jej palców twardymi wśami. A potem rzekł z ukłonem:

Wasza miłość pozwoli!... i wskazał na wejście do pokładu

Wstąpili w chodnik. Stemple i stropnice były jeszcze wieże, wilgotne własnym, pachnącym sokiem i woniejsze żywioł. W głębi kłębił się łoskot pracy. Zamarł raptownie, gdy górnicy zauważyli przed sobą dyrektora z janie grefiną Schomberg-Godula.

Szczęć Boże! pozdrowili nieskładnie, zdejmując magierki z głów, znowu z tym obmierzłym, pokornym gestem, mającym wyrazić ich wiernopoddaństwo.

Szczęć Boże! Ś odpowiedziała Joanna. Spochmurniała, bo jej było wstyd za nich wobec dyrektora. Mierzyła ją pokora tych ludzi wciśz jeszcze bliskich jej sercu.

Jak idzie? zapytał dyrektor szorstko.

I znowu było jej przykro, że przemawia do nich w takim ubliżającym tonie. Z tumanów czarnego pyłu wynurzył się dozorca. Jego towarzysze byli nadzy do pasa, spoceni i czarni, on za by! ubrany w kitel górniczy z aksamitnymi wyłożkami na kołnierzu. Na wyłożkach srebrzyły się dwa znaki górnicze, młotek skrzyżowany z kilofem. Dozorca stanął przed dyrektorem w służbowej postawie widać, nauczył się tego w wojsku zdjął czapkę i zameldował, że długość chodnika wynosi już piętnacie

metrów, że węgiel łatwy do łupania, wysokość stropu wynosi dwa metry, w stropie zostawiajś resztę lagi węglowej gruboci przeszło dwa metry.

A szerokość?

Szerokość, pięknie proszś, panie dyrektor, jak mi naporęczo-no! Cztery metry i dwacet centymetrów!

Gazy?

Ni ma gazów, pięknie proszś, panie dyrektor. Ale jutro już budujemy szalunki.

Co to jest? zapytała Joanna po francusku.

40

Dyrektor objanił łamanś francuszczyznś, że rodkiem chodnika zaprowadzi się przepierzenie z desek nakładanych na siebie jak chówki na dachu. Przepierzenie będzie się kończyło, a raczej zpczynało, drzwiami na przekopie, a to dlatego, by doprowa—

ić wiatry do przodka.

Joanna zadała owo pytanie dyrektorowi, by utaić swoje wzru-enie. Wszak w tamtym opadajścym pyle stoi jej umiłowany ;zeka... Zdawało się jej, że dyrektor powinien chyba słyszeć, jak j serce szaleje. Tak mocno, że aż dech zapiera. Pył węglowy )adł, ona za szuka znajomych zuchwałych oczu. Podeszła bliżej > grupy górników, podniosła kaganek, powieciła. Widzi wpa-zone w siebie oczy ludzi zalęknionych, pokornych, przymilajś-fch się w niezdarnym umiechu. Nie ma tamtych umiłowanych :zuh.. Po drugiej stronie przodka jeszcze jeden górnik. Może to n?. Podeszła, powieciła. Nie!...

To cała załoga? zapytała dyrektora. Dyrektor wyczul w jej łosie zawód. Już teraz wszystko rozumiał. Umiechnś się w po-zuciu swej przewagi nad janie grefinś Schomberg-Godula z do-au Gryszczykównś, która kiedy pasala kozy na hałdzie.

To cała załoga? zwrócił się dla niepoznaki do dozorca.

Cało, pięknie proszś panie dyrektor. Chybia Balarusa, ale ;en wczora ożarł się w karczmie i nie przyszoł na szychta. Wziś-:ech za niego Szewieczka, pięknie proszś, panie dyrektor!...

Joanna zawahała się, szukała z wysiłkiem słów obojętnych, nie—

zdradliwych.

A gdzie jest...

O kogo chodzi waszej miłoci? zapytał z przesadnś uprzejmociś dyrektor.

...ten górnik, co wtedy... co wtedy tabliczkę przybijał do kapy?

A Strzśdała!... Ho, ho!... Ten, pięknie proszś janie konteski, ten chachar pieroński siedzi już w hareszcie! popieszyl z odpowiedziś dozorca.

Co takiego? zawołała wzburzona Joanna. Panie dyrektorze, co to znaczy?

Dyrektor patrzył na jej wzburzenie ze złoliwym zadowoleniem. Oto przed chwilś była jeszcze potulnym dziewczśtkiem, naiwna

42

gśskś z pensjonatu, a teraz stała się znowu grefinś!... Oto przed chwilś podziwiał jej prostotę, gdy przykucnęła nad planem podobna do zwykłej dziewczyny-pastuszki czy do młodej robotnicy na powierzchni kopalni, gdy się grzeje nad ogniskiem, a tu znienacka taka wielkopańskoć!..,

Panie dyrektorze, proszę o wyjanienie! powtórzyła twardo, wyniole.

To był, pięknie proszś, janie konteski, to był taki jeden re~ beliant, co nóm ludzi w robocie bańtowoł!... wtrścił dozorca li-zusowskim sposobem.

Milcz, du bioder Hund!...1 krzyknś dyrektor. A potem zwracajśc się do Joanny jśł jś przeproszać w swej kolawej fran-“Cuszczyńie za to, że się uniśł, przeproszał za niemriwego dozorcę, za wszystko...

Wasza ekscelencja raczy pozwolić! bełkotał. Wyjanię wszystko. Tu ludzie słuchajś... Wasza ekscelencja pozwoli... i wyprowadził jś na przekop.

Niech wasza ekscelencja raczy wybaczyć zaczął znowu tłumaczyć. Ten Strzśdała vel Strandella to obcokrajowiec, jaki farmazon i nihilista!... To niebezpieczny libertyn i rebeliantL. Robotników buntował, hasła rewolucyjne szerzył, to łajdak...

Dosyć! Niech pan dyrektor odpowiada na moje pytania! Gdzie się znajduje?

Już powiedział dozorca! wycedził zjadliwie, gdyż uradowanie z klęski Joanny było w nim większe aniżeli lęk przed jej gniewem.

Za co?

Już waszej ekscelencji powiedziałem!

Nastala cisza. Strzėpił jś uwiėdły krzyk widrów w przekopie, rytmiczny stukot kilofów w chodniku, daleki roztrzęsiony zgiełk toczścych się wagoników z urobkiem. Joanna słuchała z trwogś Dostrzegła w splśtanym rytmie kopalni osaczajścś jś wrogoć Przemogła lęk, odrzuciła hardo głowę, kapuza obsunęła się na plecy, jej włosy rozplnęły się po ramionach. W wietle kaganków łyskały złotem, oczy za były czarne i głėbokie. Czaił się w nieb gniew.

Panie dyrektorze zaczęła spokojnie. Zdziwiła się, że głos 2j taki spokojny. Panie dyrektorze! podjęła znowu z nacis-iem. Niech pan słucha uważnie, co powiem. Nie chcę żadnych wyjanień! Albo Strandella, czy jak go tam nazywacie, wróci lo pracy w moim pokładzie, albo pan dyrektor odejdzie! Jeżeli >an dyrektor zechce się namylić, proszę mnie jutro uwiadomić ‘roszę ic przodem! Wracamy!... To tak! mylała z gniewem. To tak!... t znowu ujrzała się samotna i opuszczona, jak samotny i opusz-izony był Godula na olbrzymiej kupie talarów. Wszędzie koło niej obłudnicy i ludzie zakłamani, przychlebne umiechy i jadowite myli, nienawić i strach!... Godulowe talary temu winne!

...

# JAGO

Doczekała się wreszcie. Wyczuła gwałtowny, słodki skurecz serca. Wzruszona oparła się dłońmi o kominek. Przymknęła oczy. Ujrzała się na ogromnym rozstaju, gdzie zbiegają się drogi z całego świata, gdzie przelatują ogromne wichry, gdzie rodzi się szczęście. Takie wielkie, oszałamiające szczęście, że aż obłąd ogarnia.

Dobrze! Dobrze!... szepnęła z wysiłkiem, odprowadzając dyrektora. A potem rzuciła się na kozetkę, ukryła twarz w dłoniach i zaniosła się radosnym szlochem.

Tak długo musiała czekać na tę wiadomość!

Codziennie przychodził dyrektor i codziennie jej głosił, że Strandelli jeszcze nie ma. Mówił jej szeroko o swoich staraniach, by go wypuszczono na wolność. Sprawa rzekomo oparła się o Wrocław. Prezydium policji zwleka z jego zwolnieniem. Wyszukuje wciąż nowe przeszkody. Joanna już teraz wiedziała, że to podstępna robota Ulricha Schaffgotscha. Utwierdzała już w tym przekonaniu rozmowy urywane z chwilą, gdy wchodziła do salonu, gdzie czekali

45

^j Italii, a wi,c

Zniecierpliwiona ȚȚf^a nie spt>woduje jego zwolnie-SS ŁwisUa na moich miO,  
płaczliwym głosem. (

Dlaczego? \_ Hrabia Schaffgotsch zakazał mi,

il że w przeciwnym ił...

3^

cyduję o wszystkim.

\_ Tak, t'f-fb"eCdeCyaowa,a, gdy hrabia Schaf.gotech

Ś\*\*\_

zrozumiał? t'

- Zrozumiałem, wasza miłość.

Śpan

mme

} ^



i proszŝce. F dyrektora i gŝaszcz^

\_\_ Parne ^^ Nie trzeba!

iem!... Ja

- Zna go pan

f waL miŝoć!... Ja wszystko rozu-a ^ zwolniony... Ja...

!!‘zapytaŝa znienna, zapy pr

k pr

^ zwolniy

miem!... Ja wszy^orY?!!‘zapytaŝa znienna. - Zna go pan dyrektor. zapy przytaknŝ skwa—

Dyrektor zamrugaŝ miesznie powiekami, przy

46

zna Homera<sup>1</sup>, on zna Szekspira<sup>2</sup>, on sam pisze wiersze! Ja te wiersze czytaŝem, proszŝ waszej miŝoci! Jego wiersze sŝ piŝkne, lecz straszne. Krew, rewolucja, znowu krew, krzywda, gniew uciemieŝzonych, bunt otrokŝw!... On byŝ na barykadach paryskich! Ja wszystko wiem od policji! On studiowaŝ na uniwersytecie w Bolonii, potem w Szwajcarii... On zna siŝ osobicie z Marksem i z Engelsem. On byŝ z Marksem w Londynie, a potem przyjechaŝ do Niemiec. To jest agent socjalistyczny, awanturnik, wrŝg porzŝdku spoŝecznego. To jest w ogŝle czŝowiek niebezpieczny. To jest czŝowiek grony! On buntuje ludzi waszej miŝoci, ma swoich zaufanych na kaŝdej prawie kopalni ŝŝskiej! Ja wszystko wiem od policji! Tylko wasza miŝoć potrafi go obŝaskawić, ŝe nie bŝdzie buntowaŝ naszych gŝrników! Niech to czyni gdzie indziej! W Austrii, we Francji, gdziekolwiek, tylko nie tu!... Wasza miŝoć jemu powie: Tu masz sto talarŝw, powiedzmy tu masz tyŝsiŝc talarŝw, a id sobie w wiat...” On to dla waszej miŝoci uczyni. Ja juŝ wszystko rozumiem, wszystko!... i wyszedŝ w ukŝonach, mieszny i gŝupi.

Po tygodniu przyszedŝ znowu. Zacierajŝc dŝonie owiadczyŝ, ŝe Strandella juŝ pracuje w pokŝladzie Joanny. Od dzisiaj rana!...

Co jŝ obchodzi strach dyrektora, co jŝ obchodzi Marks i jakW socjalizm, i rebelia gŝrników, jeŝeli on jest!...

Miŝosna poŝŝdliwoć spadŝa na niŝ poŝarem i czyni jŝ obŝŝkanŝ szczŝciem i radociŝ!... Niech siŝ caŝy wiat wali, niech wszystkie Godulowe talary przepadnŝ, byleby on pozostaŝ.

Godu, godu, godula... kaj jest moja zŝoto kula!... szeptawaŝ jak ŝarliwŝ modlitwŝ. Splotŝa dŝonie,

zamknęła w nich wyimaginowanś złotś kulę, podniosła wysoko ponad głowę. Już jej nie wymknie się z dłoni!...

Na trzeci dzień zjechała do kopalni. Nie chciała, by jej dyrektor towarzyszył.

Niech przyjdzie po mnie sztygar z pokładu Joanny i niech czeka na mnie pod szybem poleciła dyrektorowi.

1 Homer starożytny, na pół legendarny, poeta grecki.

2 Szekspir (1564-1616) największy angielski poeta dramatyczny. W jednej z jego tragedii pt. Otello występuje Otello, jego żona Desdemona i Jago, czarny charakter”, który podstępnie burzy szczęście małżonków.

47

Czekał. Stary, nastroszony, ciężki i ponury. Rozjaniły się jego siwe oczy, gdy zstąpiła z windy. Dyrektor wrócił na powierzchnię, sztygar za poprowadził ją do pokładu Joanny. U wejścia kazała mu czekać na siebie. Udała się sama do przodka. Zdumiona szła koło ciany przepierzenia rozdzielającego chodnik na dwa wąskie ganki, słuchała z niepokojem szumu wiatru w szczelinach desek, dziwiła się, że odbudowa posunęła się tak daleko. W dwóch miejscach z prawej strony zauważyła wznoszące się pochylnie. Doszła do przodka. Tuż u wejścia spotkała Strandellę. Stał obnażony do pasa, oparty o stempel i patrzył spokojnie w jej oczy. Joanna uwiadomiła sobie z zalęknionym zachwytem, że jest podobny do greckiego półboga. Jak bardzo podobny do tamtego posłgu wojownika rzymskiego porywającego dziewczynę, w królewskim zamku w Berlinie! Na cokole był napis tłumaczący ciekawym, że to porwanie Sabinki<sup>1</sup>. Dla niej było to bez znaczenia. Strandella ze wspaniałym nagim torsem podobny jest do tamtego wojownika. A równocześnie patrząc na drapieżną urodę jego twarzy, poczerwionej pyłem węglowym, dostrzegła w nim podobieństwo do Otella. Znowu ten Otello!... I znowu ta niewypowiedziana słodycz pożądliwoci! Oczy jego są harde i wyzywające.

Szczęć Boże! rzekła niepewnie. Chciałam z wami rozmawiać...

Służę, comtesso!

Na osobności!

Strandella ubrał marynarkę, ujął kaganek i uczynił gest, jaki Joanna zwykła widzieć w operach włoskich wystawianych we Wrocławiu. Tam byli kawalerowie ze szpadami, z kapeluszami o szerokich rondach, z pióropuszcami, gładcy i rycerscy, pełni elegancji, a przed nimi stoi górnik z tymi samymi manierami!... Jak tamci kłaniali się nisko z dłońmi przyłożonymi do serca, to samo czyni Strandella. Potem umiechnął się dziwnie i poprowadził przodem. Joanna szła za nim bezwolnie, zapatrzona z uwielbieniem w jego wdzięczną sylwetkę.

1 Porwanie Sabinek legenda o rzymskich wojownikach, którzy porwali dziewczyny i kobiety sabińskie i pojęli je za żony.

Weszli do pierwszej pochylni. Nie było w niej ludzi. Prowadził ją pod górę, podtrzymując lekko pod rękę. I znowu ten dworski gest widziany na scenie we Wrocławiu. Wiedzie ją, jak tamten wspinały Otello wiódł pod rękę Desdemonę po marmurowych stopniach weneckiego pałacu. Bezwiednie oglądając się, czy nie zobaczy wykrzywionej twarzy Jagona. Ujrzała zwierając się za nią mroki kopalni.

Wyszli na pierwszą przecinkę. Powietrze było tu ciężkie, ciepłe i słodkawe. Strandella postąpił w głąb przecinki, wbił hak lampy do stempla, to samo uczynił z jej lampą. Stał przed nią milczący.

Jestemy sami? zapytała Joanna.

Uczyniłem zadość waszemu życzeniu, szlachetna pani! Jestemy sami.

Chciałam z wami... Chciałam was przeprosić za przykroci, jakie was spotkały porednio z mego powodu... podjęła niemiało.

Wszystko, co mnie spotyka przez was, szlachetna pani, jest dla mnie szczęciem! odparł dworsko z ukłonem.

Bylicie aresztowany...

Mylałem o was, szlachetna pani!

Jak wam na imię?

Joachim... Joachim Strandella. Moje nazwisko pochodzi z italskiego słowa stranezza. Na nasz język zwyczajny na Śląsku wyklada się to słowem niezwykłość lub dziwaczność. Mój ojciec był Włochem, matka Ślązaczka. Jam więc tutejszy, wasz poddany, comtesso!... Lecz myli moje nie są nikomu poddane i dlatego będę i dla waszej miłoci, szlachetna pani, niezwykle i dziwaczne...

Ś Nie sądzę!... Czy wasza ojczyzna Śląsk czy Italia?

Cały wiat, szlachetna pani!

Joanna mocowała się przez chwilę. Oniemiała ją jego dworski ton i gest w rozmowie, widziany na scenie w teatrze lub wyczytany w książkach.

Joachimie, czy to prawda, że jesteście rebeliantem i anarchistą? Czy to prawda?

4 Pokład Joanny

Nie wiem, czy tak można mnie nazywać? Może też jestem tylko Donkiszotem walczącym z wiatrakami. Nie, nie jestem dm! Dla was, szlachetna pani, mogę być owym Donkiszotem albo jakim romantycznym błędnym rycerzem. Dla siebie jestem człowiekiem, który pragnie sprawiedliwoci.

Dlaczego?

Powiem za świętym Hieronimem: Bogacz albo jest złodziejem, albo dziedzicem złodzieja!”

Joachimie, przecież ja nie jestem złodziejką ani dziedziczką

złodzieja!

Joachim umiechnął się nieznacznie.

Szlachetna pani! Nie czas nam i miejsce na takie dyskursy!

Lecz ja chcę wiedzieć!... Ja chcę wiedzieć!... Czy wy mnie nienawidzicie za to, że jestem grefiną?

...

Czas wszystko powie! I serce...

Joachimie!

Nachylił się do niej. Ujrzała przed sobą jego czarne oczy. Oczy były aksamitne i miękkie. Joanna przechyliła głowę, a wtedy kapuza zsunęła się na ramiona, rozsypały się włosy koło jej twarzy, rozszedł się ich zapach w zaduchu kopalni. Zamknęła oczy. Wyczuła, że już obejmując drapieżne ramiona, przygarniając mocno, na swych rozchylonych ustach czuje jego usta... Wszystko koło niej ztraca się, przestaje istnieć, czas stanął, rozszumiał się ogromny wicher słoneczny, a w wicherze piętrzy się ponad nią zatapiający szal szczęścia i radoci...

A potem, leżąc na śpiżu obok Joachima wspartego na łokciu, gdy się jej zdawało, że zstąpiła znowu na ziemię, głaskała jego głowę, zanurzała palce w jego włosach i znowu głaskała dziwnie umięknęta i jakby nieprzytomna. Joachim nachylił się nad nią. Był podobny do rozmodlonego człowieka. W pewnej chwili już cicho skandować. Głos jego był miękki, melodyjny.

..e chi v'ama con fede t'.

trascende a Dio e fa dolce la morte.

1 Domkiiszot (w poprawnej wymowie Don Kichot) błędny rycerz, bohater ipowieei hiszpańskiego pisarza Ceryantesa pt. Don Kichot z Manczy.

50

Otello, co mówisz? szepnęła przygarniając jego głowę do piersi.

Nic... To mój Michelangelo!1 Przypomniał mi się w tej dziwnej godzinie, Desdemono!

Powiedz, co to znaczy?

Powiem, Desdemono! Kto tutaj kocha w wiernoci, wraca do Boga i mierzć jest mu słodyczś...”

Dlaczego mówisz o mierci, Joachimie?

Ulubieńcy bogów umierajś młodo”. A poza tym nazwała mnie Otellem...

Joachimie!

...a ja cię nazwałem Desdemonś. Nie wyrzeklimy imienia Jagona. Jago jest wcieleniem izła. Dla nas i dla naszej miłoci kopalnia jest Jagonem.

Joachimie! krzyknęła Joanna i splotła ramiona na jego karku. Nachyliła twarz jego do swojej twarzy i całujśc jś szeptała w miłosnym uniesieniu: Nie będzie Jagona, mój Otello! Ja pójdę z tobś!... Ja pójdę wszędzie za tobś!... Joachimie!...

Joachim posłyszał zbliżajśc się kroki z upadu. Zerwał się, podniósł Joannę, otulił w płaszcz, nałożył kapuzę na jej głowę. Kroki zbliżały się. Joachim podał kaganek Joannie, wził swój, poszedł przodem. U wejcia z przecinki do pochylni stanęli. Joanna, przytuliła się do niego, Joachim ogarnł jś ramieniem.

Jest tu konteska? wyleciał z mroków zaniepokojony głos sztygara, Bo sie boja, czy kontesce nie stało się co złego!

Już wracamy!... Wasza miłość pozwoli...

Schodziła powoli, nogi pod niś drżały. Strandella znowu podał jej dłoń i prowadził ostrożnie. Gdy przechodzili koło sztygara, zauważył, że patrzy na nich podejrzliwie. Sztygar szedł teraz przodem, milczśc i nachmurzony, i owiecał drogę grefinie von Schomberg-Godula.

Zeszli na główny chodnik. Sztygar wciśz szedł przodem. Przed drugś pochylniś zatrzymał się, odwrócił się do Strandelli i do Joanny.

1 Michał Anioł jeden z największych artystów włoskich epoki Odrodzenia, rzebiarz, malarz, poeta i budowniczy.

4\* 51

Wasza miłość pozwolś, że jo ich terazki odprowadza pod ;zyb do windy... A wy, Strzśdała, wy skoknijcie sie jeno podziwać lo pochylni. Jakzech tu stół\* cosi tam gruchło!... Może strop siś :awalił... Gdy wrócś spod szybu, powiecie mi... Ale dejcie se po-lór! Tam mogś być gazy!... Jeli wiatło bydzie gasnśc, to wra-  
:ejcie!... .

Szczęc Boże waszej miłoci! rzekł Strandella i ukłonił

się nisko.

Joanna umiechnęła się i szepnęła: Szczęć Boże!... A gdy Strandella odwrócił się i jśł wstępować w pochylnię, Joanna pobiegła za nim, ujęła za ramię i szepnęła po raz drugi: -!- Szczęć Boże, Joachimie!... Do jutra!...

Strandella nic nie odrzekł. Ukłonił się tylko, przyłożywszy dłoń do serca, i odwrócił powoli. Szedł teraz pod górę, ostrożnie, patrząc na wiatło kaganka. Długo szedł. W pewnej chwili obejrzał się. W mroku tkwiły dwa wiatła jak dwie płonące krople. Zrozumiał, że Joanna patrzy za nim. Doszedł do pierwszej przecinki, Podniósł kaganek wysoko, przez chwilę patrzył. Przodek był niedaleko. Nie! Tam nie ma obwału. Stemple stoją, bieleją w mroku i pachną. Jak włosy Joanny!... Nie! Włosy Joanny inaczej pachną!... Umiechnął się niewierząco, odurzony tamtym przeżyciem. Nieoczekiwanie przelśnił się owej chwili. Zrozumiał, że stanął przed granicą w swym życiu. Zapach włosów i dziewczęcego ciała Joanny, ta nieoczekiwana, żywiołowa miłość, co spadła na nich jak burza, może go zawrócić z obranej drogi!...

Jśł wstępować znowu pod górę. I znowu się obejrzał. Głęboko pod nim, w dolinie, wciąż żarzy się tamte dwie kropelki wiatła. Zachnął się, postanowił nie oglądać się za siebie. Wyczuł lekki szum w uszach. wiatło nieznacznie pożółkło. Zrozumiał, że wstępuje w gazy. Doszedł do drugiej przecinki. Szum w uszach coraz większy. wiatło kaganka zrudziało. Strandella zawahał się. Spojrzał mimo woli za siebie. Tamte dwa wiatelka wciąż czekają. Ich widok odegnał uczucie wrogiego osamotnienia. Stanął u wejścia do przecinki. Tamte wiatła znikły. Pomyślał z żalem, że Joanna już poszła, że Desdemona ustąpiła miejsca Jagonowi. Obleciał go niepokój. Wejść czy nie wejść?... Spróbuje! Tak daleko pójdzie, dopóki nie ostrzeże go wiatło, że dochodzi granicy życia.

Ś52

Za ową granicę czai się Jago!... Wiedział, że przodek drugiej przecinki sięga daleko. Jutro w nocnej zmianie przyjdą koledzy i poprowadzą przepierzenie, by dochodziło powietrze. Pójdzie jeszcze kilka kroków. O tak!... W podniesionym rudym wietle kaganka majaczy obwał!... Zmierzwiłone bloki węgla, połamane stemple!... A więc strop jednak się zarwał!... Postąpił jeszcze krok, zapatrzony w obwał. Znienacka usunęła się bryła węgla spod nogi. Zachwiał się, usiłował zatrzymać równowagę. Rozciśnął szeroko ramiona, uderzył kaganikiem o cianę. Kaganek wypadł z dłoni, wiatło zgasło. Strandella schylił się ostrożnie, jśł szukać kaganka. Znalazł... Lecz w skroniach i potylicy łupie coraz mocniej. Głowa toczy się, jakby był pijany. Sięgnął do kieszeni po krzesiwko, sięgnął do drugiej, nie ma!...

Madonna!... szepnął struchlały.

Po raz pierwszy w życiu poczuł się bezsilny. Naokoło najczarniejsza noc. Noc jest tak czarna, że aż kłuje pod powiekami. Zagubił w niej kierunek. Zastanowił się, czy przyszedł z tej czy z tamtej strony? ... A może stamtąd?... Wyciśnął ramiona, rozczapierzył palce, jśł szukać ciany. Dojdzie do niej i wtedy odgadnie swą powrotną drogę. Maca ciemności dookoła, szuka... Postąpił krok, drugi... trzeci... I jeszcze jeden!... Znienacka rozdzwoniły się ogromne dzwony w skroniach i uszach, w oczach zakolo-wały jaskrawe smugi wietliste, miękkie, puszysty ciężar strścił go na spąg. Chciał się zerwać, lecz wtedy wszystko się skończyło.

Nazajutrz na wieży szybowej Arnolda łopotała w wichrze czarna chorągiew.

## POWRÓT SZARLEJA

W pokładzie Joanny chyba nie było Szarleja.

Pamięć o Szarleju już dawno zginęła. W starych kronikach czasem kto wysylabizował owo miano, wyłuskał je z pogmatwanych liter gotyckich, nakrelonych gęsim piórem i spłowiąłm juz dzir siaj inkaustem, i wyniósł między ludzi. Ludzie za przypominali sobie i przypominali, aż w końcu orzekli, że owszem, był taki Szarlej! Lecz temu już bardzo dawno. W wielowiekowych pokoleniach gwarków łśskich wieć o Szarleju była przekazywana jakby w dziedzictwie z ojca na syna, a potem na wnuki, lecz w tak dalekim czasie postać jego również wyblakła i spłowiąła.

Był więc kiedy taki Szarlej. A co do pokładu Joanny, trudno powiedzieć, iż to wszystko jego robota.

‘ - Jaka robota? - pytali ci młodszy lub gorole’<sup>1</sup> spod Żywca, lub wyrobniacy pampuchów’<sup>2</sup> spod Opolu, którzy zbiegli się do kopalni, bo im obmierzło głodowanie w chłopskim żywobyciu.

t Gorol pogardliwa nazwa przybyszów spoza łśska. 2 Pampuch pogardliwa nazwa chłopa.

54

Ha, jaka robota?... A to ta robota, że w pokładzie Joanny wali jak sto diabłów, że strop z ciasta, że łamiš się stemple, że gazy trujš, że uskoki mamiš górników, że ludzie ginš, że woda się przedziera, że to i tamto... Małoż tego, aże mało?...

O Jagoiiiie nigdy nie słyszeli, a grefina Joanna Gryszczyk von Schomberg-Godula von Schaffgotsch również już dawno wykrelila owo ponure imię, podobnie jak usiłowała wymazać z pamięci Otella i swoje uniesienie, li zamroczenie w pokładzie Joanny. Wtedy była jeszcze niedowiadczonš młódkš, oczarowanš i uczarowa-nš oczami tajemniczego przybusia italskiego. Wartka była wtedy jej krew, usta spragnione całowania, jako że wychowywana przez tyle lat w chłodnych murach pensjonatu Sióstr Urszulanek u świętej Jadwigi’ we Wrocławiu, karcona za najrobniejszš mył swawolniej szš, wdrażana w cnotliwe i czyste życie dziewicze, uczona po nocach przez swoje współtowarzyszki, a zwłaszcza przez dowiadczonš już w kunszcie miłosnym czarnš Hildegardę. Czytajšca Boccacciowego Dekameronu<sup>1</sup> pod kołdrš Joanna rychło uległa pokusie czarnych oczu i zachłannych ramion Joachi-mowych i stało się...

O Jagonie więc nikt z górników nie słyszał, a jedynie starsi kopacze z pokładu Joanny umieli opowiadać o Joachimie i o przedziwnej jego mierci.

’ A był taki jeden Italok powiadali który ciepnšł uxok na grefinę i grefina była mu rada...

A co potem?

Ha, co potem!... Zaledwie raz jeden tylko byli z sobš w tej starej przecince, co dzisio jest wiatrowš, lecz czy tam co było między nimi, któž to może wiedzieć?

A musiało być, bo Schaffgotsch powiedział, że dobrze, iż Italok został w gazach, że nie musi go strzelać, a grefina lamencila i w zomku było straszne piekło i ostuda... Powiadał ten Goj-ny, co był u nich kamerdynerem...

1 Boccaccio Giovanni (1313-1375) wybitny pisarz epoki Odrodzenia. W Dekameronie zbiorze mistrzowsko napisanych opowiadań daje realistyczny obraz obyczajów swojej doby, niejednokrotnie ostro występując przeciw zepsuciu i nieuczciwoci kleru. Przeciwwstawiając się redniowiecznemu poglądomu na wiat, Boccaccio wysławia miłość i urok życia.

55

Jo też myłš, że było...

Po jakimu?

Bo jeli tamten przybu italski zostoł w gazach, to chyba lernski Duch go za to potrestoł...

A może Szarlej?...

Z czeluci obwału powiało lękiem. Drobne wiatelka tkwiłš / ciemnoci i lekko, bardzo lekko trzeszczłš. Cienie znierucho-aiayłš, cisza dzwoni w uszach. Ludzie słuchajłš ciszy i trzeszcze-da rdzawych płomyków, a serca truchlejłš. Bo oto za chwilę wy-lurzy się z głębi obwału Ziemski Duch czy Szarlej, czy nawet jodula...

A może to był Godula? potoczył się czyj szept nie—

imiiayłš.

A może! Któż to może wiedzieć?

Powiadajłš starzy ludzie, że z diabłem kramarzył... Ś Powiadajłš...

... że swoje talary z robotników wydusił!

To samo powiadał tamten Italok, co z grefinłš kramarzył...

To on może... ten Godula teraz tu pokutuje? napierał się głos młody, uparty.

Ty nic nie mów o Italoku ani o grefinie, ani o Goduli, bo za to możesz wylecieć z roboty! skarcił młokosa głos twardy, przemłdrzały.

Znowu nastała cisza. W mroku pałš się nieruchome, stężayłš, rdzawe płomyki olejnych lampek i pałš się ludzkie oczy, pragnłšce tajemnicę życia przepatrzyć. W stropie pełzajłš szmery lekkie, leciutkie, ledwie uchwytnie wyuczonym słuchem.

Strop siada! pomyłał kto głono i wstał spod ciayłš. Za nim wstali towarzysze. Pomierzwiły się głosy, chrzęst starych koci ludzkich robotłš zbitych, zgrzyt łopat i niecek, kucie kilofów i turkot



wózków. Panowie oszczędzajś na smarach i dlatego kółka u wózków piszczś, a wozacze pieronujś ciężko i zapierajś się plecami w ciężar.

Trzeba się pieszyć. W pokładzie Joanny trzeba się bardzo pieszyć, by talary mogły się szcudrze kocić dla janie grafa Schaffgotscha i by z robotś wydolić. Daleko do szybu, a węgiel twardy, trudno się kruszścy. Panowie za žśdajś dužo, bardzo dužo.

Musicie wydobyć na szychtę sto pięćdziesišt cetnarów węgla na jednego człowieka! powiedzieli w cechowni. W cechowni wałęsa się swśd potu ludzkiego i smęci się więta Barbara na ołtarzu, zapatrzona martwo w przestrzeń. Jeźeli wydobędziecie mniej na człowieka aniźeli sto pięćdziesišt cetnarów, zapisze się wam tylko połowę zarobku!... Możecie odejć!...

Jaka szkoda, że nie ma Italoka Strzśdały! On tylko umiał odpowiedzieć, podnieć głos, uderzyć pięciś w stół. Gdy wadził się z panami, a panowie się pienili ze złoci, górnicy truchleli zbici w owczy kierdel. Któż to widział podnosić głos na panów!... On podnosił!... Potem farał drabinami do podszybia wraz z innymi górnkami i w przodku tłumaczył gorliwie, że trzeba się podjść w kupie walki z wyzyskiem!... Gadaj sobie zdrów!... Tak było od wieków i tak będzie na wieki! Nie každy może być Godulś, który rozpocźł od pasterzowania przy krowach, a skończył w roku 1848 królewskś fortunś!... Bo z diabłem kramarzył!... Duszę zapisał diabłu! Diabeł wwlekał mu talary w worku przez komin do chałupy w Rudzie!... Italok mówił swoje, a górnicy słuchali, kiwali głowami i myleli swoje. Poniektórzy za biegli po szychcie prędko z cieplutkim do pana inżyniera lub zgoła do pana dyrektora i skarżyli na niego.

Szkoda Italoka!... Omamiła go grefina, byłby może przy niej i tak z panami trzymał do gromady!... Taka grefina!... Ho, ho!... Lepiej, że został w gazach. Lecz szkoda człowieka, aże szkoda!... Mśdrze gadał, bardzo mśdrze, że nie można było dobrze zrozumieć, o co mu chodzi!... Ale on swoje, a ksiśdz na ambonie swoje, karczmarz swoje, a baba w domu także swoje. A już najbardziej swoje panowie! ... Italok mówił o sprawiedliwoci społecznej, ksiśdz farorz o sprawiedliwoci boskiej, karczmarz zachęcał do picia, baba skrzeczała nad głowś, że mały zrobek, a panowie tłumaczyli, że jeźeli podwyższś zarobki, kopalnia zbankrutuje i wszyscy górnicy wraz z janie grafem Schaffgotschem pójđś po fehcie...

Po jakim fehcie? zapytał jaki gorol, fuks niemrawy, majścy jeszcze mleko na brodzie.

No, po żebraniu!... Od chałupy do chałupy, by wyprosić jaki czeski lub kśsek chleba!

5?

Hrabia Schaffgotsch też musiałby chodzić po owym fehc-ie?...

Głupi jak stare sadło!...

Żeby więc janie hrabia nie musiał chodzić po fehcie, trzeba wydobyć na szychtę sto pięćdziesišt cetnarów węgla. Jakże tu wydobyć, kiedy węgiel twardy jak sto pieronów, a pod szyb da-eko jak wszyscy pieroni!... Dawniej, gdy jeszcze Italok był mię-Izy nami, wydobywano tylko pięćdziesišt cetnarów i wystarczyło. Dzisiaj w trójnasób więcej!... Pierony zapieronowane!... Tamtych

Dięćdziesišt cetnarów wydobył górnik w cišgu omi godzin, dzi-;iaj nie starczy dwanacie!... A zarobek?... Pierony zapieronowa-ie!. Jeżeli praca na dyng, docišgnie do 10 groszy srebrnych na szychtę. Lecz z tych dziesięciu srebrnych groszy panowie odcišgajš za dynamit, za wiatło, za lazaret, za znalezione kamień w urobku, za złamane styliskoL. Pozostaje czasem jedna czwarta z całego zarobku!...

Szpicle, piętogryzy, pieseczki pańskie i przeróżne lizonie przy-chlebiajš się panom i przysparzajš krzywdy człowiekowi. Ten a ten nie obiera węgla, tylko miesza z kamieniem i ładuje w wagoniki!... Ten a ten znowu podczas pańskówki leżał na desce w chodniku wiatrowym i powiadał, że od roboty konie zdychajš!... A ten a ten znowu na panów wymyłał i namawiał kamratów do rebelii!... A inny jeszcze rabował węgle ze cian chodnikowych, a tamten dobrze nie podbudował w filarze!...

O rebelii mówił i kamratów namawiał?!... oburzajš się panowie i ręce załamujš nad zepsuciem wiata. Nazajutrz taki rebeliant szedł na zielonš trawkę, bo już nie było dla niego pracy. Przychodzili inni na jego miejsce. Spod Rusa, z carskiej strony, synowie pampuchów lšskich, gorole od Żywca, za bochenek chleba pragnšcy pracować!...

Gdzie tam na wiecie toczyły się wypadki, działy się dziwne, przedziwne rzeczy, były wojny, a potem pocišgi wiozšce z jakiej Francji do Niemiec pięć miliardów złota. Był gdzie Marks, jakie bijatyki w parlamencie, szarżę konnicy, barykady i komunardzi, chwiejšcy się porzšdek społeczny, lecz w pokładzie Joanny niewiele o tym wiedziano.

W pokładzie Joanny wiedziano tylko, że aby zarobić jeżeli będzie darzyć się w pracy owych mizernych dziesięć srebrnych groszy za wydobycie 150 cetnarów węgla na chłopa, to nie starczy dwunastu godzin, lecz trzeba urwać ze snu i popieszyć do kopalni o godzinę, dwie wczemiej. Zamiast o szóstej rano o godzinie czwartej nad ranem. Lub nawet o trzeciej!... A potem wracać po drabinach na powierzchnię nie o godzinie szóstej wieczorem, lecz o siódmej przynajmniej lub zgoła o ósmej!... Wprawdzie dzieci zobaczy się tylko pišce, dzieci za nie zobaczš ojca, słońca nie zobaczy się wcale! Po drodze wypadnie wstšpić do karczmy, by potem wracać zamroczonym wódkš do domu, zjeć, co baba nagotowała, zwalić się na niš, spełnić obowišzek małżeński, wykorzystać do reszty tę jedynš poza wódkš przyjemność życia, a potem spać snem utrudzonego bydłęcia do wczesnej godziny porannej, by znów pieszyć po owo wydobycie 150 cetnarów węgla!...

Jest tam jeszcze gdzie jaki Karol Miarka<sup>1</sup>, który wypisuje okropne rzeczy w swym Katoliku i krzyczy o tę sprawiedliwość społecznš, o którš krzyczał Italok Strandella. Lecz cóż taki Karol Miarka uczyni, jeżeli w porównaniu z grafem Schaifgotschem i z innymi panami podobny jest do mrówki wobec słońca!

Górnicy w pokładzie Joanny nie wierzyli nikomu. Ani jakim barykadom i komunardom w dalekiej Francji, ani Marksowi w Berlinie, ani nawet Karolowi Miarce w Pielgrzymowicach, ani swoim współtowarzyszom. Wierzyli tylko sobie, a nikomu więcej Nawet swej babie nie wierzyli. Bo jakże jej tu wierzyć, jeżeli rodzi dzieci cherlawe, kolawe, połamańca, obolałe, matołkowate niepodarzone!... Pisze Karol Miarka w swoim Katoliku, że wódka, temu winna!... Ha, może i wódka!... Wszak wielebny pan ksišdz Ficek<sup>2</sup> w Piekarach to samo prawi i pisze w mšdrych ksišzkach, a inni wielebni panowie w kociołach na ambony wylažš i grzmiš z nich, i pięciš wałš, li wieczne zatracenie prorokujš dla narodu robotniczego, jeżeli nie przestanie chlać wódki. A potem jakie

1 Karol Miarka (1825-1882) działacz narodowy i społeczny na Śląsku w okresie zaboru pruskiego.

2 Ks. Ficek w okresie zaboru pruskiego zwalczał gorliwie pijaństwo na Śląsku.

59

actwa zakładajś i przysięgi odbierajś, i znów wołajś, że wódka  
jwiększym wrogiem dla człowieka. Być może!...

W kopalni Arnolda największym wrogiem człowieka jest pokład  
anny!

W pokładzie Joanny zatracą się ów przedziwny szum dalekiego

iaty, u jego progu czezną wszystkie wspominki słów ciskanych

ambony na wódkę, umierajś płomieniste słowa Miarkowe

krzywdzie człowieka, a zostaje tylko troska, jak to uczynić, by

fdobyć owych przeklętych 150 cetnarów węgla, jak to uczynić,

najmniej drzewa zużyć na podbudowę, by najmniej kamienia

ypało się do urobku, by nie było gazów i by nie trwożył ludzkie—

i serca Ziemi Duch czy Godula, czy przeklęty Szarlej zaszar—

jowainy!...

Trudno wprawdzie powiedzieć, tak z ręką na sercu, że Szarlej

.ajduje się w pokładzie Joanny, lecz wszystko by wskazywało,

jest!...

Rozpoczął swoją zemstę na tamtym Italoku, Joachimie Stran-slii przezwanym Strzśdałś, który  
pierwszy skończył w gazach, n rozpoczął posępny różaniec ofiar. Lecz temu już dawno. W ciś-i  
owych długich lat pokład Joanny stał się ogromnym kretowi-dem, w którym istotnie kocz się  
Godulowe talary i w którym )najś ludzie.

Powiadajś inżynierowie, że strop słaby, że ukształtowany z łup-i, że łupek oddzielony od calizny  
piaskowcowej warstewkś wę-a. Nie ma spoidła, strop łupkowy oddziela się od piaskowca jak córka  
chleba od orzódki przedzielonej warstewkś zakalca. Być ioże!... Lecz że łamie stemple, kapy,  
stropnice i reszpy, że wali ę na głowy, że wyłamuje organy”, że kruszy nogi” filarowe, i już chyba  
Szarlejowa robota!...

Rozbiegły się chodniki, pochylnie, upadnice i przecinki po naj-alszy kraniec pokładu, aż dotarły do uskoku. Przyszli inżynierowie i znowu łamali sobie głowy, gdzież diabli wzięli węgiel?... To ie diabli go wzięli, lecz Szarlej z pewnością!... Podobnie jak r XIV wieku zabrał srebro bytomskie,, tarnogórskie i olkuskie,

kopalnie zatopił po brzegi. Koło uskoku strop i spąg podobne

ć zbitego popiołu szarego, wilgotne, sypkie, dajšce się palcami

ryblerać. Można w nim grzebać jak w stężalym, błocie, a równo—

e stemple skręcajš się, wywalajš słoje, stękajš, łamiš na

Ś

drzazgi, a węgla nie ma!... Gdzież się, u jasnego pioruna, zagubił, aże gdzie?... Górnicy bijš chodniki raz na lewo, potem w prawo. Wszak zagubiony pokład musi się znaleźć! Przecież to nie jest ludzkie łajno, które skinie, uschnie i w pył się zamieni! Grzebiš więc najstarsi kopacze w sypkim uskoku jedni na lewo, drudzy na prawo od głównego chodnika, strop obniża się, stemple strzelajš jak wszyscy diabli, na głowy sypie się plackowaty ił i skruszony łupek, mijajš dni, inżynierowie lepiš w swoje mapy, klnš po niemiecku i tłumaczš się gęsto przed zasapanym dyrektorem. Potem znowu wymierzajš, wytrzeszczajš oczy na kompasowš igielkę, mšdrujš i niecierpliwiš się. W końcu do zagubionego pokładu dotarli stary Cmok i młody Kucharczyk. Obaj przyplacili to życiem!... O tak! Takš zdobycz trzeba okupić życiem! Leżeli zgnieceni zarwanym stropem, podobni do rozdeptanych dżdżownic. Lecz obsunięty pokład Joanny znalazł się w dolnym uskoku, o siedem metrów poniżej głównego chodnika.

Przyszli koledzy i stanęli przed obwałem. Wysterkały spod niego nogi obu towarzyszy. I nic. Tylko jeden z kamratów nachylił się nad nimi i rzekł spokojnie:

Widzicie, pieroni, po cocie tam leli!...

To było wszystko, co mogli powiedzieć. Nie umieli inaczej wyrazić swego żalu.

Graf Hans Ulrich von Schaffgotsch był uradowany, że górnicy przebili chodnik przez uskok i że ich tylko dwóch zginęło. Mogło ich przecież zginšć więcej, a jeżeli dwóch, nie ma potrzeby zaprzštać sobie głowy takš drobnš stratš. Na wojnie takže ginš ludzie, a nie czyni się z tego powodu wielkiego larum. Praca za górnika w kopalni to jakby walka żołnierza na froncie.

W taki piękny sposób wytłumaczył to wzdychajšcej grefinie Joannie. Owo porównanie wyczytał gdzie w jakim kalendarzu, bardzo podobne, lekko je przeinaczył i jako swoje zdanie objawił Joannie. Poza tym zadowolenie z dotarcia do pokładu poza uskokiem było większe aniželi zmartwienie z powodu mierci dwóch górników. Jak okazało się bowiem w laboratorium, węgiel w odkrytej części pokładu jest jeszcze lepszy od węgla w pokładzie przed uskokiem. Talary znowu się potoczš z pokładu Joanny, obfitsze i szczodrzejsze.

Obudowa chodnika przez uskok była jednak kosztowna. Trzeba było postawić najgrubsze stemple, nie wierkowe, lecz dębowe, jeden obok drugiego, zamiast stropnic umieścić szyny, oszalować ciany grubymi deskami, oszalować strop, by zabezpieczyć ów odcinek przed zacinięciem lub obwałem.

Pierwszą wdziękę do nowego pokładu postanowił hrabia uczcić uroczycie I podobnie jak przed dwudziestu przeszło laty, znowu zjechał do kopalni w towarzystwie swej żony, grafiny Joanny, nowego dyrektora Taube, zaproszonych gości i dwóch dziennikarzy niemieckich. Przyszli, pogadali, dyrektor Taube wygłosił napuszone przemówienie, a hrabinę Joannę ogarnęło-wzruszenie. Zwały się na nią wspominki tamtej osobliwej chwili, w której uległa słodkiemu zapomnieniu. Potem wyjechali wszyscy na powierzchnie i poszli ucztować do szombierskiego zamku. W przodku pozostali górnicy, nieduża załoga, jako że nie było w nim miejsca dla większej ilości ludzi. Sztymar powiedział, że dzisiaj mogą także wietować. Oto hrabia posłał im beczkę piwa i dwa litry wódki w koszu za jest kiełbasa i chleb. Usiedli przeto wszyscy pod cianś, jedli i pili, i raz po raz sławili szcudroć jame pana

grafa.

Stary Szewieczek tylko spluwał i mrucał z czego niezadowolony. Lecz gdy sobie raz i drugi pociśgnął z butelki, złagodniał i język mu się rozwiślał. Obsiedli go towarzysze, nawet sztygar i dozorca, czyli oberhajer, przyłszyli się do słuchających, a Szewieczek już opowiadać o starych dziejach. I o tym jak Karlik Godula z Makoszowa dorobił się fortuny kupując od Ballestrema starszą hałdę cynkową za pięćdziesiąt talarów, a sprzedając ją następnie hucie cynkowej księcia pszczyńskiego von Plessa po dwanaście srebrnych groszy za funt. Zarobił na czysto pięćdziesiąt tysięcy talarów. A potem już rosła jego majątność. Godula skupował obszary dworskie, bił nowe szyby, szukał blendy cynkowej i węgla, stawiał huty cynkowe, talary jego mnożyły się i mnożyły, ludzie przed nim uciekali, dzieci uciekały...

Czamu? zapytał pacholik, górakz Istebnej, który przyplętał się za zarobkiem do kopalni Arnolda.

„Czemu nie czamu... - ofuknął go dobrotliwie Szewieczek, człek mądry i stateczny. - A to skuli tego, że ludzie powiadali,

62

że zaprzędoł dusza lucyperowi. Jo tam nie wiem, ale mój starzyk pedali, że widzieli, jak kudłaty i rogaty lucyper z takim krowim chwostem smykoł na plecach talary w worku i przez komin wlaził do Godulowej chałupy w Rudzie. Ale to są bójkę starego Żyda, Godula miał głowa na karku i to wszystko. On wiedział, co w trowie piszczy, był z niego dobry kszefciorz, sprytny z niego był gizek, wszelijakimi maciami mazany... A przede wszystkim to był tutejszy człowiek. To był syn dworskiego wolorzaczy fornala, kieremu ojcowie na cholere umrzyli. Jego też sie cholera chwyciła. A to było w roku czterycet ósmym. Uciekł przed nią do Wrocławio i tam go ta cholera drapała i chłop biedok chcąc nie chcąc musioł umrzyć... A już też mioł piękne roki. Bo gdy umarł w tamtej wrocławskiej gospodzie „Pod Złotś Gęsiś”, to mioł szećdziesiąt siedem roków. No i już było po paradzie...

A grafina Joanna Schaffgotsch? zapytał teraz sztygar Knosalla.

To każdy wie, że to była Gryszczykówna z domu. Godula miał rod tš grefinę, jak to jeszcze było małe i usmarkane i gęsi pasało na łądzie. I za to, że się go nie bała, zapisał jej cały majątek i w taki sposób stała się milionerkš, a potem jeszcze konteskš, a potem ożenił się z niš graf Schaffgotsch i cały majątek naszego lšskiego Goduli przepodł...

Co ludzie mówiš, że grefina miała jaki romans z górnikiem...

Eh, nie warto wspominać. Miała, nie miała, to jej rzecz, nas to nic nie obchodzi. Tyle tylko wiem, że gdy przed dwacet i co tam roków odkryli my ten pokład przegrzeszony ii panowie ochrzcili go pokładem Joanny, niby na czeć grefiny Joanny, to ona wtedy była na dole. Mój Boże, jak się to człowiek zmienia. Wtedy byłech jeszcze młody, ona też była młodo. Tako szwarno dzieuszka, jakby więto z obróžka!... Delikatne to było, wychu-chane, subtelne, żech se zarozki pomyłał, jak z tym koniem żyć będzie...

Z'jakim koniem?

No, z tym grafem Schaffgotschem!... Ho, ho!... To była kostka!... Lotoł za dziewczkami jak kocur z pacharynš!... Jakby mu kto pieprzu w zadek zasypoł!... I też bardzo żech się nie dziwił, że wota tamtego szwarneho przybusia italskiego!... To był człowiek charakterem, to był herski człowiek!... I jako powiadom Wte-r była jak więto z obróžka, a dzisio tako z niej baba jak Herod. >dobno jest do tej rzeniczki Szotkule, co siedzi za pudłš w skle-e i odliczo pienišdze za ten kšsek kabaniny ze zdechłe] swi-!... Ręczyska mo grube, szeroko, obaniało po gębie... Ledwie że , sadło może na sobie unieć!... No tak! Nic nie robi, do południa e wyleguje w pierzynach, na niodani jada rožeczki z masłem, a obiod kurczštka wysmażowane lub gołšbki zapija winem, - nocy się gzi w łóžku z hrabiš, talary jej wygrzebujemy, aze wygrzebujemy... Nic dziwnego!...

- Nie mówcie tak, Szewieczku - przerwał mu sztygar Knosal-i. - Bo jakby się o tym janie graf dowiedział, mielibycie ostu-

^ DycTo^te^nlc nie padom!... A ty, goroliku, zapiewaj nom akš pieniczka szwarnš!... - zwrócił się do gorola Probosza Istebnej Polękał się trochę, że istotnie za dużo powiedział . swych panach, jeszcze im kto gotów donieć i ostuda gotowa. - 'apiewaj, synku, zapiewaj!... Probos;z zapiewał:

W stodole na gumnie cosi przyszło ku mnie.

Jo się kryję pod łoktusž,

A to jeny ku mnie!...

Cielę to nie było, bo to nie beczało,

Ręczyska to miało,

Całować mnie chciało...

Rozjaniło się w przodku, jakby ršbek słońca wychylił się zza stempla, wszyscy poweseleli, zarechotali wielkim miechem. Górnicy lubili gorola ponad zwykłš miarę. Wesoly był bowiem,

sowizdrzał górniczy, frant zabawny, wesolek ucieszny o szerokiej py-zatej gębie, o zadartym nosie, o chytrych, filuternych oczach. On to pierwszy rozpoczął wypisywać na wózkach mieszne wiersze

o górnikach, o dziewczynach ograbulach, pracujących na mocie

1 w sortowni, o sztygarach i dozorcach. Wiersze były dowcipy w miarę złoliwe, ilustrowane rysunkami. I on to był autorem słynnego wiersza o Kalabusie. Kalabus był dozorcą na powierzchni, nienawidzonym przez górników, bo czyhał przy windzie na wózki z urobkiem grzebał w węglu i szukał w nim kawałeczka kamienia.

Znalazł wtedy umiechał się złoliwie i wyciśgał flok” z wózka. Na deszczułce zwanej flokiem był wypalony numer górnika, do którego należał wózek z urobkiem. Zapłata za pracę przepadała. Górnik był bezsilny. Zmawiali się mielsi, że go kiedy po nocy przyłapiś, gdy będzie wracał z gospody do domu, i wyrznś go, jak raubczycy wyrznęli kiedy Godulę w pławniowickim lesie”. Lecz kończyło się tylko na pogroźkach. Kalabus wiedział o nich i dlatego zawsze się przechwalał, że nosi rewolwer w kieszeni. Może go miał, a może tylko tak straszył! Ustał jednak w swej psiej gorliwoci, gdy pewnego razu na wagoniku ujrzał czterowiersz o niesłychanie kpiścej treści. Przerażony czytał:

Kalabus węgli wióz, Kalabuska cisała. Kalabus wywrócił, Kalabuska drzisała!...

Wiersz pojawiał się teraz kilka razy na szychtę, czytali go górnicy, czytały ograbule w sortowni, dozorczy na mocie i w podszybiu, wszyscy zamiewali się, ryczeli z uciechy, a Kalabus wciekał się i obiecywał połamanie nóg nieszczęsnemu autorowi. Lecz kto to mógł ów wiersz ułożyć, aże kto?...

Kto mi powie, kto jest tym pierońskim gizdem zapierono-wanym, dostanie ode mnie gnotek i kwader węgla po szychcie!... ogłaszał górnikom w nadszybiu.

Nikt nie łakomił się ani na jego spróchniały klocek, ani na ów kęs węgla.

Zeżryj sobie, pieronie, swój gnotek i kwader węgla!... wołali górnicy, radzi, że nareszcie znalazł się kto, kto mu zalał sadła za skórę.

Kalabus pobiegł do dyrektora Taube ze skargą. Dyrektor wzruszył ramionami i mruknął, by mu nie zawracał głowy takimi głupstwami. Kalabus był pełen rozpaczy. Już nawet dzieci skandują za nim ów przeklęty wiersz, gdy wraca do domu, w gospodzie wykrzykuje go kto pod oknem, baba się wadzi z nim i wymyła mu od pierońskich mamlasów, a on jest bezsilny. Wiersz wciśz się pojawia na wagonikach, a obok wiersza pojawiają się rysunki i karykatury ilustrujące jego treść w sposób wielce złoliwy.

5 Pokład Joanny

65

Zrozpaczony Kalabus przegrał. Przestał wyciśgać floM z wago-iików i z tś chwilś nastalo zawieszenie broni, jak to nazwał ucze-lie inżynier Drabina. Wiersze już się nie pojawiały, rysunki zm-cnęły z wózków.

Zapiewaj nóm jeszcze jednš pieniczkę, goroliku!... napierali się teraz towarzysze ze sztygarem.

\_\_ Zapiewam, ale musicie mi dać na liwkę”!

Ubawiony sztygar sięgnš za pasek po pęcherz z tytoniem trzasnš nim o dłoń, otworzył, wydobył sporš szczyptę i podał Frobo-szowi. Probosz utoczył z tytoniu gałkę i włożył między policzek a dzišsła. Pomiesił ze smakiem językiem, strzyknš z gracjš na stempel i zaczął piewać:

Za tš naszš szopkš leżołech tam z ciotkš,

A teraz jest mnie gańba, gdy się z ciotkš spotkóm.

Leżołech tam, leżoł, ciotka też leżeli,

Ale jo nie wiedzioł, czego po mnie chcieli!...

Gruchnš znowu miech, a najbardziej chlachonił się i krztusił dychawiczny sztygar Knosalla. , ,

Ale z ciebie jest pierzyński łeboń, aże jest!... rzekł w końcu wycierajšc oczy podeszłe łzami. - Aż mnie brzuch boli od tego miechu! Gizd z ciebie stomilioński!... Dopiszę ci za to poł szychty \_\_ dodał z namaszczeniem, wycišgnš notes i zapisał.

- Ale pamiętaj, ty bajtlu, żeby ci się robota paliła w rękach! -

dodał surowo...

Probosz strzyknš linš na drugi stempel i w odpowiedzi znowu

zapiewał:

W niedzieliczkę do kocioła, w pendziałek się napić,

We wtorek dług porachować, we strzode zapłacić.

We czwartek se kapkę przespać, w pištek se pochodzie,

W sobotę się sztajgra spytać: co bydymy robić?

A idże ty, sowizdrzole, co się bydziesz pytoł!

Jutro bydzie niedzieliczka, to za bydaiesz tutoł!...

Nie! Tego już było za wiele! Sztygar Knosalla chwycił się za brzuch i kwiczał z radoci, piał jak kogut, krztusił się, spluwał i znowu wybuchał miechem, i potrzšsał brzuchem. miech towarzyszy za dudnił w przodku jak w sklepionej beczce, a Probosz



spokojnie żuł tytoń i strzykał lins koło ich nosów. A gdy się w końcu wszyscy jako tako uciszeli, Konsalla wysapał:

Ale z ciebie jest, aże jest pierzyński sowizdrzoł!...

I odtąd gorol z Istebnej Jura Probosz został przezwany Sowizdrzołem. j

Nazajutrz przyszli wszyscy do pracy, by rozpocząć bicie głównego chodnika w odkrytym blińcym pokładzie Joanny i by następnie pędzić pochylnię wzdłuż uskoku. Chodnik poprowadzi się, jak zwykle, poziomo, pochylnia z prawej strony chodnika będzie się wznosiła pod górę. Przed uskokiem były już wybrane filary. To była robota byłego dyrektora Kudericha. Uskok bowiem uważał za granicę pokładu i rozpoczął wybierkę węgla. Dobrze jeszcze, że dał się przekonać inżynierom i pozostawił nogę odgraniczając wybrane filary od głównego chodnika. Nogę stanowiła ciana węgla gruba na cztery metry. j Wystarczyła, by chodnik zabezpieczyć przed walścymi się stropami w filarach. Dyrektor Taube, objąwszy kopalnię po Kuderichu, długo medytował, oglądał uskok, obliczał, krelił na mapie, a w końcu postanowił spróbować szczęścia. Starzy górnicy tłumaczyli mu, że tu nie trzeba mówić o szczęciu, gdyż oni wiedzą, iż za uskokiem jest węgiel. ., Skąd wy możecie wiedzieć? dziwił się dyrektor.

Ha, skąd?... Wiemy i zbyte! Inny jest kamień u granicy pokładu, a inny w uskoku. Niby ten sam, a jednak inny. W palcach to można poznać! I po czuchu!...

Po czym? zapytał dyrektor, gdyż nie zrozumiał.

Po zapachu! objanił inżynier Drabina.

No, zobaczymy! mruknął i kazał przebijać uskok. I zobaczył. Teraz zacierał dłonie.

Wybrane filary przed uskokiem ziały pustką i zaduchem. Niektóre z nich były już zawałone, inne jeszcze stały puste z obwisłym stropem, wspierającym się na wyłamanych stemplach. Sowizdrzoł twierdził, że gdy załatwiał w jednym z nich swą potrzebę i kucał z opuszczonymi spodniami, pokazał mu się Szarlej czy jaki inny Ziemiński Duch. Brodaty, kulawy, z ponurym wejrzeniem. Nikt mu nie wierzył, gdyż każdy wiedział, że Sowizdrzoł co słowo to żelzę. Lęk przed pustymi filarami jednak pozostał i nikt prócz Sowizdrzoła nie odważał się tam zapuszczać.

67

Stropy w wybranych filarach waliły się wciśz z łoskotem, wypłyły powietrze, powietrze za przemieniało się w duszny i słodka-f wicher i ciskało ludmi pod ciany, gasiło wiatła, łamało stem-e.

Nad filarami za, na-powierzchni, drzemała woda w ogromnym iwie. Woda była cuchnąca, stara, skisła, podobna do rdzawej Lojówki. Kšpały się w niej dzieci górników, baby topiły w niej echle koty i winie, ciskały odpadki i miecie. Nad wodą becza-kozy i szczypały drobne piórka trawy. Kilka chudych, kolcza-ych akacyj szumiało w czas jesiennych wichrów i smęciło się letnie upały. Naokoło wznosiły się rude, zmierzwiłone usypiska ildowe, przepalone już i wystygłe, nagie i bezpłodne. Podczas tnych nocy krzyczały pod kamieniami wierszcze, a dziewczyny Idawały się chłopcom. W

wodzie za przegłądały się gwiazdy czarnego nieba i lizgał się roztrzęsiony księżyc po stawie. Czarni jeszcze jak twierdzili niektórzy koło stawu wałęsał się ach, kulawy Godula, i narzekał. Lecz to były już chyba plotki. Pod stawem ciśgnęły się ongi nie wybrane filary pokładu Jo-my. Potem je górnicy wybrali, odgradzili od chodnika rzędem ubych stempli, czyli organami, pozostawili czterometrowś nogę wyrobiska pozostawili własnemu losowi. Stropy się załamywały, ypełniały komory rumowiskiem, a piaskowcowe piętro nad obilem rysowało się, pękało powoli, rozszczepiało, kruszyło, szcze-ny rozbiegały się zygzakami i z grzmotem coraz wyżej i wyżej. Ż dosięgły dna stawu...

Sowizdrzoł polazł znowu do odległego filara. Taka już była je-o natura, że nie mógł usiedzieć spokojnie. Albo błaznował i piewał, albo wymykał się w stare wyrobiska i ledził w zdumieniu ostrzępione obwały i słuchał w nie mniejszym zdumieniu ich marłej ciszy. Dzisiaj znowu się wybrał. Wstšpił w pierwszy filar stanšł. Doleciał go osobliwy szmer w poszarpanej głębi. Co to loże być?... Szmer jest jednostajny, mlaszczšcy, jakby kot bardzo owoli chleptał mleko. Czyżby Szarłej?... Lęk zjeżył mu włosy Hrzšsnšł się, postšpił głębiej. I zrozumiał. Z obwisłego stropu, zT zczeliny szerokiej na dłoń kapie woda...

Sowizdrzoł wyczuł niebezpieczeństwo instynktem pierwotnego złowieka. Wyrósł w Beskidach i w dziedzictwie po swych przodkach', pasterzach wołoskich, wyniósł zdolność przeczuwania czajšcej się mierci po znakach, których niesposób ujšć w słowa i w logiczne zrozumienie. Nastroszył się wewnątrz, wycofał z obwodu, pobiegł do przodka.

W przodku stary Szewieczek i Plinta leżeli bokiem na spšgu pod czołowš cianš i kuli miarowo kilofami w jej podstawę. Jeżyszek przecinał cianę z lewej strony. Michnik z prawej. Ich kucie było podobne do rytmicznego bicia cepami w stodole po gumnie. Ruchy ramion były odmierzone, równe i niezawodne. Oto podkopiš czołowš cianę jak najgłębiej, przetnš z boków jak najgłębiej, wbijš kliny pod stropem i zacznš walić perlikami. Kliny odłupiš calizną węglowš, calizna zwali się z hurkotem, pokruszy, a Sowizdrzoł będzie jš grabił w blaszane niecki i wsypywał w podstawiony wózek na chodniku. Podobnie, jak to czyniš w tej chwili chłopcy w całym pokładzie Joanny, w filarach powyżej i poniżej głównego chodnika.

Szewieczku! zawołał Sowizdrzoł. W starym wyrobisku woda kapie...

Ustała młocka, zwróciły się twarze do chłopca,

Woda? A nie gorzoła?... To daj sie wypchać z takš nowinš! powiedział Michnik.

Niech se kapie! Jak tam pójdziemy z potrzebš, to se wemiemy pary soi! mruknš Plinta.

Gdzie kapie? zapytał Szewieczek.

W wyrobisku. W pierwszym filorze od sztreki... Ze stropu... Pójdš się podzdwać, kamraci! rzekł spokojnie i poszedł za

Sowizdrzołem. Szli w milczeniu. Wstšpili przez okno” do filara, stanęli przed obwałem, podnieśli kaganki, zapatrzili się czujnie. Istotnie, woda!... Ze szczeliny w nachylonym stropie nie kapie, lecz

cieknie, spada z wysoka płaskim łukiem i rozbija się mlaszcz-co na rumowisku.

Aha, już wiem!... rzekł do siebie Szewieczek.

Co wiecie?

Bo gdy szlimy do przodka z kamratami z innych filarów, wszyscy się dziwili, że myszy uciekają na przekop.

A uciekały! przywiadczył Sowizdrzoł. Przypomnił sobie, że istotnie wybiegały z przeciwka myszy. Niektóre przemykały

69

w pojedynkę, inne gromadami. Wszystkie w kierunku przekopu. Sowizdrzoł chciał cisnąć w nie kamieniem, lecz powstrzymał go Szewieczek.

Nie wolno! Niech cie ręka Bosko chroni! zgromił go ostro.

Czamu?

Nie czamu, ale ćfemu! Skuli tego, że między nimi może być Ziemski Duch! A że uciekają, to co grozi. Albo gazy, albo woda... Szarlej może!... dodał niepewnie.

Nie było ani gazów, ani wody. Lecz u górników zostało przekonanie, że jeżeli myszy uciekały, wyczuły niebezpieczeństwo. Obejrżeli przeto przodek dokładnie, wstąpili, do obwałów w wyrobiskach, owiecili dokładnie, pociśgali nosami, patrzyli na wiatło kaganków, lecz wszystko było w porządku. Ani gazów ponad miarę, ani wody... Woda wprawdzie ciekła rowkami pod cianami w głównym chodniku, a w wodzie bulgotały gazy, lecz to zwykła rzecz. A jednak myszy uciekały... Kiedy dostały się tutaj z owsem dostarczonym koniom na przekopie i teraz zadomowiły się w całym podziemiu. Stały się przyjaciółmi ludzi. Już kilka razy ostrzegły ich przed groźnym obwałem i przed gazami. Kto im wtedy zawierzył i miał się na bacznoci, uszedł z życiem. Kto zlekceważył zginął.

Dzisiaj to samo. Myszy uciekały z ich przodka w kierunku przekopu. A więc pod szyb!... Znak to bez ochyby, iż co grozi!... A teraz okazuje się, że nie cyganiły!

Zdaje mi się, synku, że tu długo nie zabawimy!... rzekł spokojnie Szewieczek.

Po jakiemu?...

Będzie woda!...

Kiedy?

Diabli wiedzą... Lecz będzie!... Leć zarozki pod szyb i szukaj sztygara Knosalli. Łebo dozorca Hahna. Niech tu zarozki przyjdzie jeden z nich. Powiedz, że tu smierdzi... że tu będzie woda jutro, pojutrze...

Sowizdrzoł pobiegł pod szyb, Szewieczek wrócił do towarzyszy. Usiadł pod cianś i jśł wyliczać, gdzie się teraz znajdujś. Pomagali mu towarzysze. Zestawiali kierunki i odległoci przekopu i głównego chodnika z obrazem powierzchni. Szymiczek rysował w pyle na

70

spşgu. A więc szyb jest tu! Przekop cişgnie się na zachód od szybu. W tym miejscu, gdzie wchodzi się do pokładu Joanny, to na powierzchni jest Witalusowa karczma, koło której krzyżujś się drogi. Jedna do Piekar, druga na Gliwice. Główny chodnik biegnie teraz na południe. Łajdak wykrzywia się po drodze i trudno tak na pomiarkunek dobrze utrafić, lecz Szymiczekowi się wydaje, że jeżeli obliczy się kroki od przekopu aż po uskok, to na powierzchni mniej lub więcej uskok będzie pod tymi starymi hałdami... Przechodzi na wskos przez całe Miechowice, wychodzi na farorzowe łski koło kocioła i kończy się pod hałdami.

Wywoływał we wspomnieniu obraz powierzchni ziemi i przenosił go pod ziemię. Czynił to z wysiłkiem, bo zacierały mu się kształty i kierunki głównego chodnika. Ha, żeby miał kompas, jak pan inżynier, zaraz by wymiarkował dokładnie. Bez kompasu trzeba błśdzić omackiem. Lecz już wie...

Wiecie, kamraci!... zaczął nareszcie. W tym miejscu, gdzie jest ten stary filar z kapiścś wodś, to na powierzchni jest ten wielki staw między hołdami... Przypominocie se?... Jest to stara hołda koło gospody Knypsa, tu idzie droga do Miechowic, a tu za hołda jest ten wielki staw... Mówiś na niego Stary Staw...

Wiemy!... przytaknęli towarzysze. I co terazki?

Nic! Bydzie woda jak sto pieronów. Piętro spękane aż pod staw, woda teraz pięknie cieknie ze stawu tymi szczelinami do pokładu Joanny... To może trwać całe roki, a może też w jednej chwili przerwać się...

Maryjko więto!... wychynśł strwożony głos najmłodszeo z nich, Jeżyszka.

Nie rób już zawczasu do galot, pierzynie głupi! skarcił go Szewieczek. Oto już kto idzie... Ha, szczęć Boże, panie Knosalla!... Mapa macie?

Do przodku wszedł zdyszany sztygar Knosalla, za nim Sowizdrzoł. Spotkał go na drodze. Zaniepokojony Knosalla pieszył i sapał.

Już byłem w wyrobisku oto z tym Sowizdrzołem. Woda jest... Zarozki się dowiemy, co to za woda...

Rozłożył na spşgu mapę i długo lepł w niś i wodził palcem. Nie mógł znaleźć.

71

To ja im powia, panie sztygar! przerwał mu Szewieczek. sś akurat pod tym Starym Stawem między hołdami...

Skąd wiecie?

No, proszę się jeny dobrze przydziwać tej mapie!... ‘nowu się nachylili wszyscy i patrzyli za Knosallowym palcem dzżcym po mapie i ledzili dygotanie igielki kompasowej. Kno-la wreszcie odetchnął i rzekł:

No tak!... Mocie prawie, Szewieczku!.. Akurat pod Starym iwem jesteśmy... No, to nie ma co się namylać!... Leć, Sowiz-:ołku, pod szyb, niech tam zatelefonujś po inżyniera Drabinę, jest jego rewir, albo po starego... To znaczy po dyrektora Ta-a... Bo nas tu może zatopić jak szczury!... A nie obsrowej się po >dze, jeny gzuż jak pierun!... rzucił jeszcze za chłopcem.

Jasny pierun, to znowu jaki kalamite nam grozi!... Nachylił się ponownie nad mapś i jśł snuć swoje przypuszczenia:

Oto jest przekop w pierwszym horyzoncie. Inni mówiś na to r pierwszym poziomie”. Wszystko jest w pierwszym horyzoncie, zekop, główny chodnik i nasz przodek. Ale oto w połowie głów-go chodnika jest upadnica. Prowadzi do drugiego horyzontu, hodzi na tamtejszy główny chodnik, główny chodnik za na prze-p pod szyb. Nasz przekop prowadzi na zachód, w drugim hory-ncie na wschód. No, musi tak ić, przecież węgiel ucieko sko-e w głębinę. W naszym horyzoncie złapało się pokład Joanny na chód od szybu, a w drugim horyzoncie na wschód o dziewięćdzie-śt dwa metry niżej...

Jeżyszek i Michnik z trudem rozpoznawali położenie podziemia >palni, zwłaszcza w jej drugim poziomie. Rozumieli dopiero te-z patrząc na mapę KnosallLjLecz Szewieczek i Plinta mieli jej >raz pod powiekami. Wystarczy je przymknąć, a wszystkie krecie Lodniki, ganki widzś dokładnie. I jeżeli słuchali teraz sztygaro-yh wywodów i nachylali się nad jego mapś, czynili to gwoli mazania mu swego szacunku. Sztygar bowiem był porzśdnym czło-iekim. Żaden wydrzyduch, żaden pański pieseczek, przychlastek :y piętogryz, lecz człowiek sprawiedliwy i stateczny. Szewieczek i Plinta wiedzieli, że w drugim poziomie ustawiono im jakie zamorskie maszyny cudaczne, że robota tam dopiero

w zaczątku, że szyb Arnolda znajduje się w trakcie pogłębiania i że pracę w nim wykonujś angielscy czy belgijscy przybusie, gęgajścy między sobś jak gęsi, lecz pracujścy nowoczesnym sposobem. Wiedzieli także, że były dyrektor Kuderich, który rozpoczął bicie upadnicy do drugiego poziomu i pogłębianie szybu, kazał zbudować tamę w połowie owej upadnicy. Dla jakiego diabła? to była jego tajemnica. Dyrektor Taube zamierzał jś już dawno znieć, lecz że chwilowo nie przeszkadzała w pracy, przeto stała. W ogóle dyrektor Kuderich głupio sobie poczynał w kopalni, a zwłaszcza w pokładzie Joanny. Bo inne pokłady były diabła warte. Ich węgiel godził się tylko na opał w kuchennym piecu. Lecz węgiel z pokładu Joanny, ho, ho!... To jest złoto, nie węgiel!... A dyrektor Kuderich, człowiek starej daty, zasuszony mól ksiżzkowy, dziwak i straszdyło włóczśce się po pokładzie Joanny z jakim maniackim uporem, często omieszał się przed starymi górnikami. Chociażby z tym wybieraniem filarów przed uskokiem! Zamiast pchać się przez uskok do blińaczego pokładu, fukał jak jeź z płonkami, gdy mu tylko wspomnieć, że tam jest węgiel. Albo owa tama w upadnicy! Po jakiego diabła owś tamę postawił?... Niby dlatego, żeby w razie pożaru czy wybuchu gazów, których jeszcze nie było, ratować drugi poziom!... W tamie kazał umieścić dwoje drzwi stalowych, zamykanych na kilka rygli i teraz trzeba będzie jś rozwalić!...

Pod koniec szczyty przyszedli inżynier Drabina i dyrektor Taube. Wysłuchali raportu dychawicznego Knosalla, poszli obejrzeć filar z cieknięcą wodą. Istotnie, woda cieknie! Długo lepili, kiwali głowami, mśdrowali, potem jęli się sprzeczać. Dyrektor Taube twierdził, że to drobnostka, że pokładowi Joanny nie grozi zalew, a gdyby nawet był, wstrzyma go Kuderichowa tama w upadnicy. Inżynier Drabina upierał się, że zalew może nastąpić każdej chwili, zwłaszcza jak się okazuje z mapy że nad filarem na powierzchni znajduje się Stary Staw. Popierali go sztygar Knosalla i Szewieczek.

Tama w upadnicy tłumaczył Drabina może wstrzymać zalew drugiego poziomu, lecz poniżej głównego chodnika w pierwszym poziomie pracują przeciw górniczy w filarach. Tamtych grozi zalew...

73

I tak, pięknie proszę, panie dyrektor! poparł go sztygar Knosalla. Jeżeli woda wybuchnie, tamtych poniżej chodnika czeka śmierć...

Głupstwo! warknął dyrektor. Robicie w galaty ze strachu na widok trochę wody!

Tamci ludzie nie uciekną w razie katastrofy! nalegał inżynier Drabina.

Sztygar Knosalla wydobyl notes z kieszeni, jęł przewracać arkty.

Pięknie proszę, panie dyrektor zaczął uparcie tam ro-i osiem drużyn po sześć albo siedem ludzi... To jest summa summarum...

Kto tu jest dyrektorem? Ja czy wy?... wciekał się teraz aube. Kto się lepiej rozumie na górnictwie? Ja czy wy?...

Nastalo ciężkie milczenie. Z milczenia wyrastała nienawieć tam-fch trzech do upartego dyrektora Taube.

Robota będzie prowadzona nadal! I tu, w pochylni za usko-kiem, i w filarach powyżej głównego chodnika, i w tych filarach onieżej chodnika!... jęł skandować z naciskiem. Wszystko iore na własną odpowiedzialność!... Skończone! rzucił jeszcze wardo i poszedł.

Szewieczek postanowił głono:

Jeli bydzie woda, to w moim przodku uratujemy sie. Ale amci kamraci poniżej chodnika utopiš sie jak szczury!... A wte-y ja zrobiš koniec z Taubem!... Przeklęty gizz zagizdżony!...

Cicho, cicho, stary!... mruknęł pojednawczo Knosalla, a in-ynier Drabina spojrzal dziwnie w oczy Szewieczka, rzucił:

Szczęć Boże! fi. poszedł za dyrektorem.

I robota była prowadzona nadal. Szewieczek ze swojş załogş wdzierał się w węgiel na pochylni za uskokiem, osiem załóg wgry-;ało się w węgiel w filarach poniżej głównego chodnika, a woda v

starym filarze ciekła coraz obficie. Spływała rowkami wzdłuż iłhodnika i przekopu do żompia pod szybem na pierwszym poziomie. Chrapiąca pompa wypychała ją rurami na powierzchnię.

Pieruna jasnego, mnie to się nie podoba! mrucał Szewieczek. Myszy uciekły wszystkie. Oto przed chwilą ostatnio po-;zła... Ta moja, z krzywą nóżką... Powoniała mi chleb podrobiony

na dłoni, zjadła dwie czy trzy okruszynki i pognęła chodnikiem... Z pewnością pod szyb lub na przekop za swoimi kamratkami... Pieruna jasnego, mnie to się nie podoba!... Musimy, kamraci, uważać!...

Minęły cztery szychty. Pochylnia, pędzona przez załogę Szewieczka za dnia, przez załogę Niebroja w nocy, wynosiła już czterdzieści metrów długości. Woda w filarze skłópiej ciekła. Zaniepokojone załogi z filarów poniżej chodnika przestały wierzyć w niebezpieczeństwo. Dyrektor Taube triumfował. Lecz myszy nie wracały.

Jak długo myszy nie wrócą, nie jest dobrze! mrucał Szewieczek.

Pięta szychta dobiegała końca, gdy nastąpiło to, czego się spodziewano. Bez zbytecznego trzasku i zgiełku, jako spokojnie i łagodnie. Tyle tylko, że twarde wichry cisnęły ludmi pod cianę, że kaganki zgasły i nastąpił wyższy szum w chodniku. Szum był podobny do szumu wichru w ogromnym lesie. Chwilami przechodził w ryk, lecz szybko głos ów opadał, stawał się miękki, jakby o poszarpanych brzegach. W uszach kłuło boleśnie, a tchu brakowało w piersiach.

Woda!... rzekł spokojnie Szewieczek. Poszukał kaganka, znalazł. Z krzesiwka posypały się iskry, z knota wyskoczył płomyk, mroki się cofnęły, wyłuskały się z nich zdumione twarze. Potem wstał i zszedł w dół pochylni. Za nim towarzysze. Woda wlewała się z bełkotem pod nogi, podnosiła szybko, kotłowała spieniona.

Uciekać!... zawołał Michnik.

Kaj?... Kaj będziesz uciekoł, głupi?... otrzewił go opanowany głos Szewieczka.

Patrzyli na rozbełtaną wodę. Woda była podobna do kłębowiska czarnych dużych żmij. Syczała, ciskała się, bryzgała pianą i rosła. Oto każdy widzi, że strop u dołu pochylni, na chodniku, nie jest jeszcze zalany. Lecz woda podnosi się szybko i podnosi, przestrzeń pod stropem zmniejsza się, cienia... Robi to wrażenie, że przed ludmi zamykają się czarne wrota. Woda wsparła się już o strop. Teraz już nie szumi i nie bełkoce. Czołga się po stromym spłogu cicha i łagodna.

75

- Utopimy się! zakwilił czyj głos.

- Nie utopimy! Woda wypełni główny chodnik, polecą upadnie tamy, zatopi filary z ludmi poniżej głównego chodnika, po-;y się pod szyb w pierwszym poziomie do żompia... Wyleje się Starego Stawu i koniec. Tamci zginą, my nie... Za chwilę opad—

wyjdziemy...

- Czy na isto, Szewieczku? pokulał łamliwy głos SowizDła.

- Jako prawie!...

atrzyli w zdumieniu na czarnš, spokojnš taflę wody pod sto-li. Woda już się nie podnosi. Marszczy się lekko jej powierz-ia. Jakby się czarna twarz marszczyła w gniewie. I znieacka, przekór prostemu rozumowaniu, spadło teraz na ludzi przera-ie.

izewieczek umiał ich uciszyć.

izewieczek był mšdry. Szewieczek był bardzo mšdry. Gdy mu zie zaczęli krzyczeć, rwać włosy z głowy, tarzać się, biegać jak Štani, wznosić ramiona i skowyczeć, a potem jeszcze, gdy znie-:ka popadli w tępe osłupienie i jęli myleć, jak zadać sobie erć, by uciec przed okropnymi godzinami w ciemności, Szewie-k umiał ich uciszyć.

- Pierońskie błozny zapieronowane! krzyczał i tłukł pięciš ch karki. Cóż wrzeszczycie? Czy was zły duch opętoł, limoki legrzeszone!... Przecież woda za chwilę spłynie!... Za godzinę, dwie... A cicho już, do jasnego pierona, bo was tym kilofem zna po tych rozwrzeszczonych pyskach!... O, woda już się po-li wycofuje... No, maloki pierońskie!...

: znowu ucichli znieacka, wlepili oczy w czarnš wodę. Istot-i! Woda powoli ustępuje!

- A ty, gorolu pierzyński! rzekł teraz łogodniej. Ty, So-zdrzole, zapiewaj nóm jakš pieniczkę... O tej ciotce!...

[ jak szybko popadli w rozpacz, tak szybko przerwali się teraz radoć. Woda ustępuje!... Powoli wprawdzie, bardzo powoli, lecz ;ępuje!. Skakali, wybuchali chrapliwym^ miechem, dotykali idy, goršczkowali się, ciskali...

- piewaj, bajtlu, bo mi teraz znowu głupnš z radoci za-ęcił Sowizdrzoła.

Sowizdrzoł jšł piewać. Piszczął jak zarzynany kogut, mocował się z łamišcym głosem, nabierał tchu, potykał, lecz nie ustawał.

Za tš naszš szohopkš... Leżałech tam z ciohatkš,

A teraz jest mnie gańba, gdy się z ciotkš spółkom...

Leżałech tam, leżoł, oiohotka też leżeli...

Ale jo nie wiedzioł... czego po mnie chcieheli!...

I gdy skończył, ludzie już byli opanowani. Plinta, dygocšc ze wzruszenia, nachylił się z Jeżyszkiem i Michnikiem nad wodš. Pa^ trzyli, jak ustępuje.

O, widzicie! mrucał Szewieczek. Woda sie wyłoła ze Starego Stawu, poleciała do upadnicy, wypełnia teraz upadnicš i filary po jej obu stronach i płynie po głównym chodniku na przekop, a



przekopem do żompia... Za chwilę pójdziemy, jeżeli nom nie zarwała stropu w chodniku... Ale tamci kamraoi poniżej chodnika!... Tego pierona zabija!...

Kogo?

Dyrektora Tauba!... Jak tylko woda opadnie, że bydziemy mogli wyjść, pójdziemy. Może Knosalla lebo inżynier Drabina wysadź dynamitem tama na upadnicy...

Po jakimu? zainteresowali się wszyscy.

Bo jeli tama wysadź, woda spłynie na drugi poziom i jeli wszystkich naszych kamratów nie wytopiło, bydom uratowani... Myśl, że ni, bo filory sś wybierane pod góra od przecinki. Woda zaleje przecinki, lecz do filora nie wejdzie całkowicie, bo jej powietrze nie wpuci. Każdy taki filor to jakby cebrzyk do góry wywrócony na wodzie. Chodzi o to, że jeżeli wody nie spuszcź na drugi poziom, kamratom może braknąć powietrza i podusz się. No, kamraci!... Widzicie? Wrzeszczelicie, jakby woni kto pierzu nasypoł w zadek, a woda już odchodzi!... Widzicie?...

Istotnie, woda spływała szybko, pełzała z powrotem po pochylni do upadu, już wynurza się strop głównego chodnika, już opuszcza się po lniścych stemplach, szumi lekko i mlaska...

Za godzinę ruszyli. Woda sięgała jeszcze wszystkim po pachy, gdy się w niej zanurzyli na chodniku. Lecz ubywało jej z każdym krokiem. Szewieczek naglił do popiechu. Wiedział, że po drodze natrafiś na zwały rumowiska. Kto wie, czy chodnik naprzeciwko tamtego nieszczęsnego filara nie będzie całkowicie zawalony?... A tu przecież chodzi o wysadzenie tamy w upadnicy!...

77

3rodzili w wodzie, tonęli w mule, wyciśgali nogi z wysiłkiem, suwali się jeden za drugim. Na przedzie Szewieczek, pochód nykał Plinta. Sowizdrzoł szedł za Szewieczkiem. Grunt był niecny. Miejscami były wyłamane stemple. Trzymali kaganki wy-10 podniesione. wiatło łamało się w wodzie na rude błyski. Do-Śli do miejsca, gdzie woda z filara runęła w chodnik. Zjeżył się zed nim obwał. Wyszli z wody, czołgali się na czworakach. Haki ganków trzymali w zębach. Woda zapchała przejcie usypiskiem < d strop. Po prawej stronie chodnika, tuż pod stropem, zostało ;równe, ciasne i niskie przejcie. Jęli się czołgać. Długo się czoł-li. Miejscami Szewieczek mocował się z dużymi kęsami węgla b kamienia, które zagradzały przejcie. Przewlekali się z wy-kiem pod stropnicami. Chwilami zdawało się, że nie przejdś, tedy Szewieczek kilofem żgał w muł i kamienie, przepychał, abiał przesmyk. Byleby tylko móc się wczołgać... Golgotowa droga ciśgnęła się w nieskończonoć. Podobni byli te-z do czarnych, mokrych kretów. Oczy zalepił im pot i muł. Ra-iona mdlały. Oddechy wiszczały. Każdy z nich stękał. Zapierali I nogami, podrzucali drobnymi skurczami jak glisty... Stopniowo przestrzeń pod stropem rozszerzała się, usypisko się miżało...

Kamraci! Wygraliśmy!... zawołał Szewieczek zduszonym osem, gdy nareszcie mógł się wyprostować.

I znowu wędrowali z wysiłkiem w mule wiśżścym ich nogi, 'bro-dli w wodzie po kolana... Utyłani od błota, czarni, z zalepionymi ;zami, podobni do poczwara dotarli w końcu na przekop. Na przepię

otoczyły ich wiatła. Szewieczek z załogą usiadł pod cianą dyszał ciężko. Zbeltane głosy otoczyły go dokuczliwie chmarą, adały pytania, kto nim potrzebował, kto co wołał.

A idcie do jasnego pieruna!... rozgniewał się. Co tamtymi?...

Zatopieni!...

Tama w upadnicy otwarta?...

Nie Iza otworzyć!... Pierwsze drzwi otwarte. Drugie, te od trony pierwszego poziomu, nie...

Czemu?

Otwieraj się do pola. Zaprane są rumowiskami!...

Dynamitem wysadzić! wrzasnął Szewieczek i jęł się z trudem podnosić. Pomogli mu ludzie powstać. Przed sobą ujrzał popielatą twarz sztygara Knosalli.

Knosalla!... Tam są ludzie! Oni jeszcze żyją!... Wydejcicie mi dynamit i lonty!... Ja tam pójdę i zburzę to pieroństwo!...

Ale nie uciekniecie!... Woda was zatopi!...

Nie bój się, pierunie!... Bo sam idę po dynamit!... Poszli do magazynu pod szybem.

Szewieczku, ja pójdę z wami! zawołał za nim Sowizdrzoł.

Pód!...

Na przekopie mijali ludzi podnieconych, przerażonych. Widać było, że potracili głowy. Kto na nich co wołał, kto usiłował zatrzymać. Szewieczek z Knosalla otrząsali się i opędzali kilofami. Spieszyli. Dotarli do magazynu. Knosalla otworzył. Ujrzeni skrzynki z dynamitem, zwoje lontu na półce. Szewieczek nabrał kilka garci szarych tulejek z dynamitem, wybrał największy zwój lontu, pobiegł do szybu. Teraz trzeba po drabinach w szybie zejść na drugi poziom. Jęł schodzić. Za nim Sowizdrzoł. Knosalla został.

Schodzili, schodzili, przekładali rytmicznie, wyuczonym ruchem, dłonie i stopy po oliżonych szczeblach, woda mlaskała, wicher szumiał, wiatła chygotały. Nad głowami zostawiali nienajwiększy gwar ludzki i łoskot windy. Nie odpoczywali na pomostach. Otoczyła ich dzwoniśca cisza i samotność, gdy zeszli pod szyb w drugim poziomie. Szewieczek dyszał ciężko. Nie było nikogo. Belgowie z pogłębianego szybu już dawno wyszli drabinami na powierzchnię.

Idziemy! rzekł nareszcie do Sowizdrzoła. Bój się?

Ni!...

Idziemy!...

Szli szybko. Miejscami biegli. Z przekopu skręcili w chodnik. Chodnik był solidnie podbudowany. W przekopie i na chodniku spotykali jakie maszyny. Nie zwracali na nie uwagi. Takich maszyn Szewieczek jeszcze nie widział. To sš te maszyny z Anglii!... Woda je zniszczy, potoczy do szybu, zatopi!... Wysmolić się na pieroństwo!... Tam sš przecież ludzie!...

Dotarli do upadnicy. Pobiegli w górę. Tama stoi!... Pierwsze drzwi otwarte, drugie zablokowane rumowiskiem z przeciwnej

strony. Widać, kto próbował je otworzyć, bo rygle odsunięte. Wo-ia sšczy się cieniutkš strużkš koło stalowych futryn.

Tu mosz lont! zwrócił się Szewieczek do Sowizdrzoła. Był spokojny, bardzo spokojny. Rozwijaj go, ale pięknie! Ręce se Dbetrzuj, osusz, bo sš mokre. Lont musi być suchy! Rozcišgej go oieknie, prosto! Podkłodej kamienie, żeby nie dotykał wody. Wykręć go w chodniku w kierunku szybu. Obok niego drugi lont!... Bydš dwa lonty obok siebie... Jak jeden zdechnie, żeby drugi nie zawiódł... No, już!...

Sowizdrzoł roztaczał lonty. Szewieczek wszedł w tamę przez pierwsze drzwi otwarte, szukał pod drugimi miejsca, gdzie wpakować dynamit. Znalazł!... Między sztabami!... Jeżeli tulejki z dynamitem rozplaszczą, można je wepchnšć za sztaby!...

Rozgniatał i wpychał. Zwisajšce zapalniki łšczył z obu lontami na spšgu. Obejrzał, czy wszystko w porzšdku, sprawdził i teraz poszedł nachylony do upadu. ledził, czy Sowizdrzoł wykonał zadanie dokładnie. Tu poprawił, tam przesunšł, w porzšdku! Zstšpił na chodnik. W głębi chodnika majaczy wiatło Sowizdrzoła. A w dalszej głębi drugie wiatło. Kiž diabli?...

Sprawdzał teraz położenie lontów w chodniku. I tu wszystko w porzšdku. Sowizdrzoł to sprytny chłopiec! Idšc do niego dostrzegł, że tamto drugie wiatło biegnie. Stanšł obok chłopca, zaczekał. Z mroków wynurzył się dyrektor TaubeL.

Szewieczek ujšł mocniej lampę, gotował się do uderzenia. To jest ta przekłęta winia, co spowodowała może mierć załogi w filarach!... Pieruna jasnego, bo trzanie w jego łeb!...

Co robicie? zapytał dyrektor łapišc z trudem oddech.

Tama pójdzie do luzu!... Cofnijcie się, panie dyrektor!...

Lonty już sš?... Sš! Jeżeli podpalicie, za ile minut będzie płomień pod tamš?...

Mylš, że za jakich siedem minut!...

To dobrze! Teraz obaj uciekajcie!... Ja podpale, gdy już będziecie na przekopie!... Inaczej was woda dopędzi i zginiecie...

Nie ma głupich! Panie dyrektor, nie ma głupich!... Pan dyrektor chce tama ratować! Nas chce odprawić, a pan dyrektor wyrwie lonty i pójdzie sobie... Niech pan dyrektor ucieka po dobroci!...

Głupi jesteście! Wy uciekajcie!... Ja podpalę! Ś Panie dyrektor! Wy mnie chcecie oszukać!

Głupi jesteście!... Powiadam, uciekajcie pod szyb i po drabinach na pierwszy poziom... Ja tu zostanę, lonty podpalę... Potem pobiegnę za wami!...

Panie dyrektor! Co tu .po próżnicy fanzolić! Jo wóm nie wierzś!... Jo podpole lonty i obaj będziemy uciekali!... Synek! zwrócił się do Sowizdrzoła. Ty już grzmij pod szyb!... No już! Co jeszcze stoisz!... Jo se tu dam sam rady z całym tym zaipiieronowa-nym kramem!... Panie dyrektor! Jak powiedziołech! Jeli chcecie, zostańcie przy mnie Lecz jak co, to wóm głowa rozbija!...

Sowizdrzoł pognął pod szyb. Na zakręcie obejrzał się. Dostrzegł nieruchome dwa wiatła, posłyszał stłumione głosy, ciskane jakby w podnieceniu. Sowizdrzoł pomyślał, że jeżeli Szewieczek zginie, on rozwali łeb dyrektorowi. Widocznie teraz wciśz się jeszcze spierajś i wzajemnie odpędzajś od lontów. Szewieczek nie ufa dyrektorowi. On, Sowizdrzoł, także nie ufa! Po cóż się teraz, pieron, pcha do nie swojej roboty?... A może go ruszyło sumienie, któż to może wiedzieć? Może go ruszyło sumienie górnika? Sowizdrzoł wie^ dział już, że górnik w kopalni nie jest tym samym człowiekiem, jak ci wszyscy ludzie, co łażś po powierzchni ziemi. W kopalni bowiem, na dole, nie ma różnic w obliczu groźszej mierci. Wtedy wszyscy stajś się braćmi. Może więc i dyrektor zrozumiał, że w tej chwili jest bratem Szewieczka i bratem tamtych ludzi zamkniętych wodś w filarach. Diabeł się wyzna na takim dyrektorze!... W każdym razie trzeba obu ratować!...

Przed Sowizdrzołem stały próżne wagoniki. Olniony dziwnś myłś, jśł je wywracać na poprzek przekopu. Zatarasował go na wysokoć metra. Pod cianś leżały stemple. Zaczśł je wtykać między wagoniki, tworzył jakby barykadę. Zrozumiał, że jeżeli woda polecı, zatrzyma się w swym impecie na wagonikach. Czynił tak jego dziadek, czynił ojciec i on tak czynił podczas nagłych wylewów potoku koło ich chałupy w Beskidach.

Ciszś targnśł daleki, stłumiony grzmot. Sowizdrzoł zrozumiał, że tama poszła!... Teraz leci szum. Daleki jeszcze, bardzo daleki, zbliża się, ronie... Sowizdrzoł przelazł przez zaporę, dobiegł do zakrętu,

6 Pokład Joanny

pojrzał w głśb. Widzi biegnśce wiatła. Za wiatłami leci szum. lwiatła uciekajś, zbliżajś się, szum ronie i także się zbliża...

Prędzej! Prędzej!... krzyczy bezwiednie.

Widzi, wiatła lecś pospólnie, pieszś, zdaje mu się, że poprzez zum słyszy tupot butów. Dobiegli. Teraz on ucieka przed nimi. Wyprzedził ich, skoczył na wywrócony wózek, wbił hak lampy do templa, wyciśgnśł ramiona. Ujśł za rękę pierwszego. To Szewie-zek. Pomógł mu wyleć na zaporę. Teraz obaj podajś dłonie dy-ektorowi. Pomogli. Zeskoczyli i pognali w trójkę. Za nimi nadle-iała

woda. Uderzyła w zapdrę, spiętrzyła się. Doleciał ich zgrzyt elaza, trzask łamanych stempli, stłumiony ryk.

W ogromnym skrócie rozumowania Szewieczek dostrzega, że So-itizdrzoł mśdrze uczynił. On nie byłby wpadł na taki: pomysł! Zaora wstrzymała istotnie napór dopędzającej ich wody. Woda łożyła przed sobą drzewo, puste wózki, wylamywała stemple, szala-a. Teraz szamoce się z barykadš. Jak żywy człowiek ogarnięty uriš. Leci znowu za nimi, lecz już bez tamtych stempli i wózków i czoła. Dopędza ich, zalewa stopy, przebiega, pieszy na wyrywki irzed ludmi. Już niedaleko do szybu!... Jeszcze kilkanacie merów!... Za nimi ronie ryk. ciga ich spiętrzona fala, co zdołała się už przewalić przez zaporę. To nie jest woda! To jest oszalały izarlej!... Jeszcze kilka metrów! Sowizdrzoł wysunął się znowu do itrzodu. Dobiegł! Zawiesił wysoko lampę, skoczył, uczeił się dra->iny, wybiegł, założył nogi na szczeble, przechylił w dół, wycišgnął amiona. Jeżeli szczeble nie pękńš, zdoła tamtych uratować! Woda bpadła Szewieczka i dyrektora!... Lampy ich zgasyły! Woda ich rzewala... Za chwilę cinie nimi w głębinę!... Już!... Dopadł pierw-zego za marynarkę, podniósł z wysiłkiem. Tamten trzyma się zczebli. Chłopiec przerzucił się znowu, wycišgnął ramiona. Drugi owarzysz toczy się w wodzie jak klocek drzewa. Ramiona młócš rodę. Sowizdrzoł nachylił się głębiej. Palcami dotyka wody. Woda tacza się z grzmotem do szybu. Mignęło przed nim ludzkie ramię

topieli. Sowizdrzoł rzucił się, porwał je w dłonie, podcišgnął!... /la!... Trzyma!...

Pomóż! woła na towarzysza obok siebie.

Wysuwa się ramię sšsiada, pomaga Sowizdrzołowi. Woda wyry—

2

d

wa swój łup, miota gwałtownie, szarpie... Obaj wycišgajš z wody obwisłe ciało, wywlekajš... Już! ...

Sowizdrzoł nie wie, kto stoi obok niego na drabinie, kogo za trzyma w drętwiejšcych ramionach. Woda ryczy pod nimi jak wszyscy diabli...

Potem już nic nie wiedział, co się działo. Wszystko skotłowało się w jego pamięci. Pozostało tylko wspomnienie przeraliwego ryku wody i to radosne uczucie, uczucie tak bardzo radosne, że aż za grdykę łapišce, iż Szewieczek i dyrektor uratowani. Potem przypomniał sobie jeszcze schodžšce wiatła, czyje ramiona koło siebie, zapach ludzkiego potu, kto stękał koło jego ucha, kto sapał, kto pieronował...

6\*

\

SKON ARNOLDA”

refina Joanna płakała, hrabia von Schaffgotsch obliczał za raty z generalnym dyrektorem. Nowe maszyny diabli wzięli, >dzś się teraz na złom do huty. Woda zmiotła do szybu te lżejsze, Ś cięższe znowu zamuliła, pogięła, a nawet połamała. Woda zapiła cały drugi poziom. Pogłębianie szybu musiano wstrzymać, ałogę, tak bardzo kosztownś załogę belgijskich fachowców i in-mierów, wysłano do domu, wypłacajśc jej pobory za cały rok, lociaź pracowali tylko cztery miesiśce. Kontraktu nie można było nienić.

A przede wszystkim trzeba było sprowadzić nowe maszyny od-adniajśce, dwie ogromne pompy parowe, ustawić je w wykutej iszy na pierwszym poziomie i przez półtora roku wypychać wo-ś na powierzchnię. I przez półtora roku pokład Joanny w dru-łm poziomie był nieczynny!... Woda zamuliła główny ganek przekop, wyłamała stemple, podgryzła ciany, zostawiła ponure jmowisko. Trzeba wszystko na nowo odbudować!...

Przekłęty pokład Joanny!... ciskał się graf von Schaffgotsch i walił pięciś po biurku generalnego dyrektora.

Pierwsza wiadomoć przybiegła i głosiła, że woda poleciała pochylniś do upadu, zatrzymała się na Kuderichowej tamie, zatopiła filary i chodniki, a w ‘Chodnikach i filairach potopili się ludzie.

ŚŚ ...jak szczury! powiedział wtedy hrabia Ulrich von Schaffgotsch do przerażonej grefiny Joanny.

I to znowu w moim pokładzie? zawołała grefina i załamała białe ramiona.

Znowu w twoim pokładzie, ma chere!..,1

Grefina Joanna znała dokładnie swój pokład. Niczym się nie interesowała: ani kopalniami blendy cynkowej, ani hutami cynku, ani czterdziestu kopalniami węgla, ani siedmiu zamkami, ani nawet bankrutujścymi kopalniami i hutami w sśsiedzkich okjręgach, ni zamieszaniem i krzykami bezrobotnego pogłowia ludzkiego, mieszkajścego w jakich norach, w klitkach skleconych z desek i starej blachy, w wykopanych wnękach hałdowych i w rudych budelach górniczych, lecz interesowała się swoim pokładem.

Bo tam zginśł twój kochanek! powiedział jej pewnego razu zjadliwy hrabia Schaffgotsch. Może tam każesz postawić jakie mauzoleum na jego czeć?...

Och, ty!... rzekła tylko hrabina i znowu załamała ramiona nad głowś.

Gdy przybiegła ponura wieć o zalewie jej pokładu, pojechała na szyb Arnolda. Trścała kuczera Jędrysika parasolkś w plecy i krzyczała, by jechał prędzej, prędzej!... Jędrysik smagał konie batem, kabriolet skakał po wybojach, błoto bryzgało szeroko, Joanna wciśż popędzała kuczera Jędrtrysika, a kuczer Jędrysik prał konie batem. Wpadli jak burza na podwórze kopalni.

Gdzie jest dyrektor Taube?... Natychmiast go szukać!... Czekam na niego w biurze! wołała na wszystkich. Rozbiegli się ludzie, szukali, znaleli go pod szybem. Wyjechał i stanśł przed wzburzonś janie grefinś Joannś Gryszyk von Schomberg-Go-dula von Schaffgotsch.

Co się stało? Niech pan dyrektor objani! Na mapie!...

Stanęli przed mapą wiszącą na ścianie. Dyrektor wodził ołowiem po liniach i tłumaczył. Tu przerwała się woda, tu spłynęła, i się zatrzymała... Tę a tę część pokładu zatopiła...

A ludzie?

Ludzie zatopieni! Może jeszcze żyją! spojrzął na zegarek; jeżeli schronili się do filarów...

Czy woda spłynie spod filarów, jeżeli się wysadzi tamę? Dyrektor Taube spojrzął zdumiony. Tamę wysadzić? Przecież to

niebezpieczna! Maszyny znajdują się w drugim poziomie, nowe maszyny, oszutowe maszyny, szyb pogłębiany, w szybie również maszyny... Wszystko kosztuje setki tysięcy talarów... Joanna odgadła jego myśli.

Pan, panie dyrektorze, każe natychmiast tamę wysadzić!... [atychmliast!...]

Ależ wasza miłość!...

Natychmiast! krzyknęła. To jest moja kopalnia, ja tak chcę!...

Ale kto ją wysadzi? Kogo tam posłać? Przecież temu, kto się tego podejmie, śmierć pisana!... Woda go dopędzi w chodniku lub / przekopie, zaleje, do szybu porwie...

A kto temu winien, że tamci ludzie zatopieni? zapytała hłodno, opanowana. Oczy jej stały się szare i zimne. Pan temu winien, panie dyrektorze! Inżynier Drabina, sztygar Knosalla starsi górnicy ostrzegali pana! Pan się uparł! Nie wiem, dlaczego!... Nawet i mnie pan omamił swoim uporem!... Nie byłabym przeciw!... To jest pańska wina! No więc?

Dyrektor Taube milczał. Wążył myśli, mocował się z nimi. Potem zekł twardo:

Idę, wasza miłość!... Wydam rozkaz! Lecz co powie pani sztygar Schaffgotsch?

Joanna przecięła pytanie ruchem dłoni. Dyrektor wyszedł.

Za godzinę wydobyto go z kopalni nieprzytomnego, z połamanymi żebrami, ze złamanymi nogami. Nazajutrz wywleczono z topieliska aęćdziesięciu ośmiu żywych górników i trzech topielców czarnych, nieprzytomnych i sztywnych.

Lecz to działo się dawno.

Komisja, która wtedy zjechała z Urzędu Górniczego z Tarnowa—

składająca się z trzech członków, a za nią druga komisja z Wyższego Urzędu Górniczego z Wrocławia, a w końcu trzecia z

Berlina z jakiej królewskiej kancelarii, komisje te orzekły, że ponieważ ogromne pola filarowe w starych wyrobiskach pokładu Joanny w pierwszym poziomie ponad głównym chodnikiem nie były podsadzane, przeto musiał nastąpić obwał powodujący wstrząs tektoniczny w pięttrze. Utworzyły się szczeliny, dotarły pod dno Starego Stawu i woda runęła do kopalni. Odtąd musi się wyrobiska zabezpieczać podsadzką, kasztami, kastlikami.

Stawianie kaistlików przysparzało kosztów. W każdym pustym filarze wznoszono jakby rusztowanie ze starych stempli Ł stropnic, układanych na krzyż w czworobok, i wypełniano rumotwiskiem. Kastlikowa podsadzka była tyle warta, ile by kot napłakał, jak owiadczyli starzy górnicy. Sklecone były jak, naprędcę, częstokroć nie wypełniane rumowiskiem, lecz z zewnątrz maskowane licowym kamieniem rozjeżdżały się pod naciskiem stropu, rozłaziły jak chłopięce bawidła.

Wykonywali tę pracę najniżej opłacaną inwalidzi górniczy, różne potłuki, objaki, niezdary i ci, których za karę przekazywano z przodka na skłóps pańskówkę w filarze. I dlatego też owe kastliki były diabła warte! Stały, bo stały i gdyby zjechała znowu jaka komisja, musiałaby przyznać, że stoją i strop podpierają. Lecz czy spełniają swoje zadanie, to inna rzecz. Dyrekcji nie chodziło tak bardzo o podtrzymywanie stropu i zapobieganie owym wstrząsom tektonicznym, ile o wykazanie, że dzieje się zadość wymaganiom Wyższego Urzędu Górniczego we Wrocławiu.

Górnicy nie wiedzieli, co to jest ów jaki cudaczny wstrząs tektoniczny”.

Panowie nas kminiś! bełkotał w karczmie pijany Balarus, rębacz z szóstej przecinki, na drugim poziomie pokładu Joanny.

To wszystko, co się stało wtedy z tą wodą, to była sprawka ducha czarownika Goduli! podrzucił zabobonny Gojny, ten sam Gojny, który będąc jeszcze małym chłopcem na własne oczy widział, jak pewnej nocy diabeł wwlekał wory z talarami przez komin Godulowej chałupy w Rudzie.

To był chyba pieroński Szarlej zaszarlejowany!... mówili inni.

87

Chudy karczmarz na krzywych nogach, w miesznej magierce czerwonym kutasikiem na głowie, cmoknął tylko i zachęcał do ciał wódki. Oczy jego były chytre, lisie, kaprawe.

A ja wam co powiem, panowie hawierze!..., wcibił swoje żywy wytarte grosze. Ś Ja wam powiem, co to nie był ani Godula, ani Szarlej, a to było to, co panowie inżynierowie powiedzieli. Bo oni są sztyrowani ludzie!

Całuj mnie, dziadzie pieroński, w zadek! wrzasnął oburzo-7 Balarus. Jak ja ci padom, że to był Godula, tak to był Go-ila! f

A przecież mówiliście, że to panowie!

Godula, padolech!

Ni! Szarlej pieroński zaszarlejowany! wrzeszczeli inni. I pobili się kuflami i wyłamany nogami



od stołków.

Ludzie powoli zapominali o tamtym zdarzeniu w pokładzie Jo-my.

Motory grały w kopalni, rury cyckały wodę i wypychały ją na > wierzchnie, zatopione filary już nie były zatopione, chodnikami iowu kołatały się wózki z urobkiem, w gospodach” unosiły się miany pyłu węglowego, a w filarach dwiezczały widry, kilofy iudndiły odstrzały dynamitowe.

Woda już nie groziła pokładowi Joanny. Grefina Joanna wyje-mła przeto do zagranicznych badań, hrabia Schaffgotsch za dził na czarnym koniu po polach, sztywny, mieszny, łypišcy Mmi oczami, krzyczał na pańszczarzy, że się ocišgajš w robocie, aaehylał się z konia do młodych dziewczyn, i głaśkał je pod brodš. I znów wszystko toczyło się własnym porzšdkiem. Na powierzchni zmieniał się krajobraz. Wyrastały kominy, mno-rły się czynszowe domy z rudej, nie otynkowanej cegły, zapadały š pola i łški, powstawały stawy z gnijšcš wodš, rosły usypiska iłdowe, w usypiskach gniedził się żar, który w nocy wybłyśkał k rudy, płońšcy liszaj i sycił powietrze krztuszšcym czadem. Nie-) za stawało się niskie i szare, a po ziemi-przewalały się dymy ężkie i również szare.

Ludzkie mrowiska gęstniały. Zbiegali się ze wszech stron ludzie korni większego zarobku, ludzie żzarci nędzš, nie majšcy nic do

stracenia, ludzie młodzi, žšdni przygód i wiata, ludzie wychylajšcy się po raz pierwszy poza opłotki swojej wsi i czworaków dworskich, ludzie pragnšcy innej wolności i marzšcy o innej sprawiedliwoci społecznej, a obok nich ludzie bez jutra, obieżywiaty, chytry frantowie, pragnšcy żerować na pracy innych, kramarze i spekulanci, bankierzy i pasibrzuchy z grubymi portfelami za pazuchš, powstawała nowa wieża Babel z pomieszanych językami, głowami i sercami. A obok ogromnych skupisk ludzkiej biedoty wyrastały i pęczeniały goldkondy hrabiów i baronów przemysłowych, na berlińskiej giełdzie żonglowano takimi nazwiskami, jak: Winkler, Go-dulla, Schaffgotsch, Henckel, Ballestrem, Donnersmatek, Giesche, Reiihaben, Hohenlohe, Pless Borsig, tworzyły się spółki, gwarectwa, towarzystwa akcyjne i koncerty, sypały się talary, szeleciły akcje, bankrutowały i wały się w cišgu nocy fortuny, pod ich bokiem wyrastały nowe, pochłaniały słabsze, wzajemnie się pożerały, rozpychały łokciami, dobijały o coraz większe zyski z czarnej ziemi łškiej.

Po czarnej ziemi za rozbiegały się drogi takie i owakie, coraz wydłużały się linie kolejowe, powstawały nowe osady i ulice, mnożyły się karczmy, a w karczmach krzyczeli pijani ludzie, wadzili się, bili) i kłuli nożami. Co sobotę lub co niedzielę wieczorem odbywały się w nich zabawy taneczne”. W kšcie sali, na pomocy ustawionym na beczkach po piwie, dudnili muzykanci, a przed nimi tańczyli chłopcy z dziewczynami. W karczmach było duszno, goršco, dym machorkowy, podniecenie, pragnienie zapomnienia o wszystkim co bezmiernie szare i biedne, przyjemność wydawania pieniędzy. Marki i czeskie” toczyły się po szynkwasiu obitym blachš, a na rodku sal tańczyli ludzie. Pary splecione spoconymi dłońmi pochylały się w tłoku, dziewczyny piszczały, wyskali pijani chłopcy, szlepy, wozacze i młodszy rębacze radowali się swojš jurnociš, a gdy muzykanci ustali na chwilę, by przepłukać gardła piwkiem lub wódkš, chłopcy wyprowadzali dziewczyny na dwór w ustronne miejsce, pod skarpy, we wnęki hałdowe. Szukali miejsca na miłoc w ciemnej nocy poprzetykanej jęzorami płomieni z hut. Potem wracali na salę i znowu tańczyli!... A potem jeszcze, nad ranem, wiedli się wpół objęci ramieniem, przeżywali ostatni dreszcz miłoci pod wtór kwilenia ptaków, co się już budziły,

i rano szli na szczytę, Chłopcy do kopalni, by pchać wózki lub grabić urobek w niecki i wynosić do gospody ipod przodkiem, łziewczyny do sortowni, by jako ograbule wybierać kamienie : węgla płynšcego czarnš rzekš po roztrzęsionych sitach stalowych.

Czasem powstawały bójki w karczmach o dziewczynę, o jakie crzywe słowo, z powodu dawnych porachunków osobistych, z powodu donosicielstwa do panów na towarzyszy. Gaszono lampy, łanano krzesła, ujmowano kufle za ucho i obłukiwano je tak, że acho z kawałkiem szczyby zostawało w dłoni, wyjmowano odpustowe scyzoryki i osławione noże italskie o wygiętej lekko do tyłu dindze i wtedy żgano się wzajemnie, kluto, krajano ii stołkowymi logami ‘rozbijano głowy przeciwników i łamano żebra. Dziewczy-iy znowu piszczały, darły się wniebogłosy i wyskakiwały oknami, sarczmarz zamykał się przerażony w mieszkaniu, a żandarmi wy-Dierali się na ratunek i klęli po drodze.

W pokładzie Joanny za mnożyły się chodniki i ganki, przecinki, apadnice i pochylnie. Zmieniali się ludzie. Starzy odchodzili, przychodzili młodzi. Czasem obwał wydusił czyje życie, czasem wózki serwały linę w upadnicy i leciały w dolinę rozgniatając wozacza ia przeciwległej cianie. Czasem kto polazł w gazy i został. Garów było dużo. Inżynierowie nazywali je uczenie, po ksišzkowemu, iziwnymi imionami, górnicy nazywali je po prostu gazami. Taki sy owaki, zawsze pieroński gaz zapieronowany!... Albo bestiiia unosi się pod stropem, człowiek idzie z podniesionš głowš i znieacka tładzie się na spšgu. Jeżeli jeszcze kto z kamratów na podorędziu, wyratuje, wskrzesi, życie z powrotem wykołace. Jeżeli sam, przyj-Jš kamraci za godzinę, za dwie i wyniosš trupa. Czasem taki zapieronowany gaz włóczy się po spšgu i gasi wiatło. To znak ostrzegawczy, by uciekać, a pderonem!... Lecz czasem lampa wbita ha-dem wysoko do stempla, wiatło pali się spokojnie, a gdy górnik schyli się, już się nie podnosi. Zaryje twarzš w pył na spšgu i. wszystko skończone.

Za uskokiem jeszcze gorsze gazy. Pan dyrektor nazywa je schla-jende Wetter, inżynier Kubik jakim metanem stodiabelskim!... rruje i wybucha!... Trzeba tam chodzić jak koło malowanego jajka!... wiatło musi być zamknięte w szklanym cylindrze i pod

drucianymi siatkami, nie wolno palić fajki, przed odstrzałem należy wydmuchać przodek strugš zgęszczonego powietrza, trzeba zlewać ciany i strop wodš, trzeba uważać, trzeba bardzo uważać!...

Żaden pokład w kopalni Arnolda nie był tak bardzo zdradliwy i oszydny jak pokład Joanny. Jeżeli zliczyć ofiary ze wszystkich arnoldowych pokładów, a więc z pokładu Friedricha, Waclawa, Heinricha, Ulricha i Hansa, to w siumie mniej ich aniżeli w tym jednym jedynym pokładzie Joanny.

Na nim cišzy przekleństwo Godulowych talarów! mawiali stateczni i słuszni górnicy.

Na nim cišzy jaki fatalizm!1 orzekł inżynier Kubik, który już dużo ksišzek przeczytał.

Urok diabelski! mówiły dewotki i żegnały się.

Mówcie wszyscy, co chcecie, ale jo padom, że to wszystko Szarlej owa robota! upierał się stary Gojny.

Fanzolicie, Gojny!... rzekł młody Szeruda. Ani fatalizm, ani przekleństwo, ani Szarlej, tylko strop słaby, niedokładna wentylacja, gazy, za dużo gazów, rabunkowa gospodarka w filarach.

Jako powiadosz?

Rabunkowa! Schaffgotschowi chodzi o wydobyć z pokładu Joanny jak najwięcej węgla. To nie jest bowiem węgiel. To sš talary!

Godulowe! wtrścił kto z gromady.

Niech bądź Godulowe! Schaffgotschowi chodzi, by jak najwięcej węgla wydobyć z pokładu Joanny. To jest węgiel poszukiwany w hutach!... To już jest chciwość ludzka, a nie jaki Szarlej, Godula czy fatalizm!... Schaffgotsch oszczędza na drzewie, płaci dyrektorowi, inżynierom i sztygarom tantiemy od ilości wydobytego węgla, ci za poganiajś górnik, wyznaczajś dyng, ludzie pracujś na akord, przecigajś się, zamiast do dwunastu cišgnś do piętnastu godzin na szychtę... Potem urzędnicy dyng zmieniš! Powiadajś, że jeżeli jeden potrafi wydobyć na szychtę tyle a tyle wózków, drugi też potrafi!... Obniżyć więc stawkę za wózek urobku!... Ludzie sami zzerajś swoje zarobki! Tamtym rosñ tantiemy, Godulo-1 Fatalizm wiara w przeznaczenie, w los nie dajścy się zwalczyć czy ominść, tu: izłoiwnogie przeznaczenie.

91

we talary kocš się w pokładzie Joanny jak króliki, a wy tylko narzekacie i pomstujecie, a gdy przyjdzie inżynier czy dyrektor do przodka, to mu za przeproszeniem do zadku włazicie!...

Ho, ho!... Mšdrala! Wszystkie rozumy pozjodoł!... Miarkuj się, co mówisz!... mruczał zgorszony Gojny.

Szeruda od niedawna pracował na szybie Arnolda w pokładzie Joanny. Był na wojnie, był pod Sedanem, widział paryskie barykady, słuchał rebeiiianckich mów we Frankfurcie, czytał Katolika i nawet jaik przebškiwano pisał doñ artykuły o krzywdzie i o głupocie robotnika lšskiego. Spotykał się często z Karolem Miarkš, bywał z nim na wiecach i zgromadzeniach, nie pił wódki, nie grał w karty, nie uganiał za dziewczynami, tylko zamykał się w izbie u swej matki i lęczał nad jakimi szpargałami i papie-rzyskami.

Cóż ty, Szeruda, tyle siedziesz nad tymi charbołami? pytali go kamraci.

Uczę się!

Zgłupniesz! tłumaczyli mu dobrotliwie i cišgnęli do karczmy.

A może chcesz być drugim Godulš i po nocach z diabłem szachrujesz co i kramarzysz? napierał się pijany Balarus.

Pleciecie, Balaiusie! odpowiedział Szeruda.

Aż oto jednego razu dowiedzieli się wszyscy, jakie sš jego myli i zamiary. Wracali po skończonej

szychcie z filarów pod szyb i jak zwyczaj każe usiedli na rozjazdowych płytach przed kołowrotem, tuż u wyjścia z pokładu na przekop. I jak zwykle wszyscy utyskiwali na swój biedę, na niskie zarobki, na psi żywot górniczy.

Sami jesteśmy sobie winni! rzekł wtedy Szeruda.

Jak to sami jesteśmy sobie winni? Cóż ten człowiek fanzoli? Panowie są winni, wydrzyduchy przeklęte, pasdbrzuchy zatracone!...

Gdybymy się zorganizowali wszyscy, ale to wszyscy, byłoby inaczej!

Jeszcze nigdy nie umiali się towarzysze Szerudy z czyjego gadania, jak umiali silić z jego słów. Szeruda za milczał nachmurzo—

92

ny i wodził spokojnymi oczami po ludziach. A gdy uważał, że dosyć tych miechów, wstał i rzekł twardo:

Jestecie biedni! Jestecie podobni do stada baranów, potulni, pobożni, ulegli, cierpliwie znoszący swój los, dobrodusznicy i pracowici. Jestecie najpracowitszym górnikiem na wiecie i najciemniejszym górnikiem na wiecie. Podobni jesteście do Murzynów-Ś niewolników. Uważajś was przybysze z Niemiec istotnie za niewolników i traktujś was jak niewolników. Brak wam poczucia własnej godności i solidarności. Wiem, jeszcze dzisiaj dyrektor będzie wiedział o tym, co w tej chwili do was mówię. Pełno wśród was donosicieli, piętogryzów, pieseczków pańskich, wazeliniarzy...

ŚŚ To nieprawda! zaprotestował ktoś z gromady. Reszta słuchała w zdumieniu. Po raz pierwszy ktoś im mówi coś podobnego. Jakby po twarzy bił... Każde tamto słowo doskakuje, ciska się, po<sup>o</sup> liczkuje! ...

Zobaczycie! Jutro zawezwie mnie dyrektor do siebie i powtórzy mi wszystko, co mówię do was w tej chwili. Ale nie o tym chciałem mówić. Chcę jeszcze jedno wam wytłumaczyć. Jestecie pijakami, płodzicie dzieci w pijaństwie, wasze żony rodzą matołki i cherlaki, lśskie pokolenie ulega fizycznemu zwyrodnieniu...

Ho, ho!... Jaki mśdrała!... przerwał ktoś z zasłuchanego tłumu.

Cicho!... Niech mówi!...

A co nam radzisz? Co trzeba robić, żeby było inaczej?...

Urządźcie dzikie strajki, przychodzi wojsko, rozpędza was... Zamiast podjąć strajk w całym okręgu przemysłowym, strajkuje jedna kopalnia i kończy klęskę...

A co będziemy żrać, my i nasze dzieci, jeśli wszyscy zastrej-kujemy!... Panowie nie popuszczaj!...

Nieprawda! Ś zaprotestował Szeruda. Jeżeli wszyscy się zorganizujemy, jeżeli wszyscy pójdziemy

ławš...

To ława sie załomie i wpadniemy do wody!

Gruchnśl miech długi, natrętny. Szeruda zaczekał, dopóki nie zganie.

Jeżeli wszyscy zorganizujemy się w jeden wielki zwiśzek robotniczy, wtedy będziemy tworzyli siłę... Wiecie, czemu strajk na

93

opalni Eleonory trwał tylko cztery dni? Dlaczego skończyło się ia niczym?...

Bo przyszło wojsko...

Nie! Bo nam brak organizacji...

Dobrze mówisz, SzerudaL. Ale co robić, żeby była tako organizacja?

Dzisiaj mamy rodę. W niedzielę po południu odbędzie się /ielkie zebranie. Będzie radca sšdowy Letocha, który broni spraw obotnicznych w sejmie pruskim, będzie fesišdz Radziejewski, reda-tor Katolika, i przede wszystkim będzie nasz Karol Miarka. Tam wszystkiego się dowiedziecie...

A ty też bydziesz...

Też!

Panowie wyciepnš cie z roboty!

To wyciepnš! Ale swoje zrobię!

Nie wyciepnęli go ani swojego nie zrobił, bo przeliczył się Szarlejowš chytrociš. Tak przynajmniej dowodził przez długi ita stary Gojny w karczmie.

Minšł czwartek, minšł pištek, Szeruda miał gotowy tekst prze-lówienia, które zamierzał wygłosić na niedzielnym zgromadzeniu, ędzie Karol Miarka, człowiek mšdry i odważny, o dużej, patriar-lalnej brodzie, rozłożonej na kształt łopaty na kwiecistej kami-sli. Będzie radca sšdowy Letocha, człowiek zamknięty w sobie, varydy, o przenikliwych oczach, o zaciętych ustach, o klinowa-;j brodzie, mówiący z trudem po polsku. Będzie w końcu gwał-iwny i krewki ksišdz redaktor Radziejewski o kwadratowej twa-:y, o kanciastych szczękach, nie przebierajšcy w słowach, zbiera-icy gromy od swych konfratrów centrowców, ciskane z ambony na leretyka i nieznaboga”, przynoszšcego wstyd sukience kšpłań-dej. Szeruda wyłuszczy wszystko na [zgromadzeniu, jeszcze raz Dwie, co przemyślał w domu i w pokładzie Joanny. Czytajšc te-iz tekst przemówienia, utwierdzał w pamięci poszczególne zarzu-r. A więc po pierwsze, nie ma między górnikami zgody i solidar->ci. Po drugie, jest zdrada i donosicielstwo. Po trzecie, górnicy legajš namowom sztygarów i inżynierów,\*” by wydobyć więcej x>bku, pracujš ponad miarę, w pierwszym miesišcu zarobiš wię-;j, lecz następnie urzędnicy obniźš stawkę i górnik musi teraz

wydobyć więcej węgla, lecz mniej zarobi. Górnicy dla uzyskania owej stawki schodzą o godzinę, dwie wcześniej do kopalni, o godzinę, dwie wychodzą później i przedłużają szachtę do czternastu, a nawet i więcej godzin, z krzywdą dla siebie i dla towarzyszy. Gdy górnik stanie się dozorcą, przemienia się w tyrańca, gnębi podwładnych, wyzywa, bije i zmusza do nadmiernej pracy. Górnicy nie troszczą się o naukę, o zwiżki, o czytanie gazet, są ciemi i surowi i panowie nazywają ich bydłem. Pijaństwo wśród górników niszczy ich człowieczeństwo. Branie żywności na kredyt u kramarzy i w magazynach żywnościowych na kopalni, podobnie jak i picie wódki na kredyt wkopuje górników w nędzę i w zależność gospodarczą od tamtych pijawek. Po dziesięcie, żony górników nie umieją prowadzić gospodarstwa domowego. A po jedenaste, wychowanie dzieci jest złe.

W sobotę o godzinie trzeciej nad ranem przyszedł Balarus na szachtę i już schodzić po drabinach do szybu. Czynił to często, podobnie jak czynili to często jego kamraci. Przecież chodziło o te nieszczęsne 150 cetnarów węgla na chłopca!... Dobrze mówić Sze-rudzie, mśdrali!... W Balarusowym przodku węgiel jest twardy. Gdyby pracował tylko owych przepisanych dwanaście godzin, za nic w wiecie nie ukopie tyle węgla!... Umówił się przeto ze swoim kamratem Gałuszką spod hałdy, że w sobotę wybiorą się wcześniej do kopali i gdy przyjdą ładowacze i chłopcy po godzinie szóstej, będą już na nich czekały zwały węgla w przodku.

Na szybie zastał już kilku kamratów z innych pokładów. Gałuszki jeszcze nie było.

Znowu pieron zaspoł! pomyślał ze izłociś. Postanowił nie czekać. Pójdzie sam. Obleciał go lekki niepokój, gdy na przekopie rozszedł się z towarzyszami i wstąpił w pokład Joanny. Kroki jego dudniły, dudniły, wiatło kolebało się szeroko, po cianach i stemplach skakały pokrzywione cienie jego nóg, on zaś szedł zamyślony. Minął główny chodnik przejazdowy, wyszedł pochylnią na drugi chodnik i długo wędrował, zanim dotarł do ostatniej pochylni przed uskokiem, a z pochylni wstąpił w czwartą przecinkę. Stąd już niedaleko do filara. Kilkakrotnie zdawało mu się, że słyszy za sobą dalekie kroki. Wtedy zatrzymywał się i słuchał. Nic nie było słychać. Czasem wiatło kaganka zachybotowało jakby kto

95

daleko drzwiami trzasnął i nastąpił króciutki wstrząs powietrzem. Znowu się zatrzymał i słuchał.

A może to jednak Godula idzie za mną!... Albo Szarlej?... pomyślał i lęk z jeżył mu włosy. Opanował się szybko, splunął z pogardą i zastanowił się, czy to może Gałuszka idzie za nim. Tak, to z pewnością Gałuszka!..

poszedł do filara, stanął w oknie, podniósł lampę wysoko.

Stemple stoją, strop się nie zarwał, cisza dzwoni, powietrze ciężkie i słodkawe. Oto dzisiaj wywierci otwory w tej nachylonej cianie. Policzył spojrzeniem, ile otworów zrobi. Dwa, trzy, cztery, wystarczy. Dynamit miał przynieść Gałuszka. Dwa otwory skone, dwa nad nimi poprzeczne.

Muszę zerwać sporo węgla!...

pod cianš ležš widry, długie sztaby, okršgle, o spłaszczonych końcach. Młotek chyba w skrzyni?... Poszedł, pogrzebał, jest! Kalka młotków! Wybrał, ważył w dłoni, odłożył. Znowu wiatło zachybotalo.

Idzie Gałuszka! pomyłał już teraz upewniony. Przeszedł dwierze na trzeciej pochylni. Jeszcze mo jedno d wierze, a potem już tu bydzie!

Zgarnšł trzaski, co bielily się pod cianš od wczorajszej szychty. Zacišgali reszpy i było je trzeba przyciosać siekierš, by zmieciły się pod stropem. Usiadł więc na kupie trzasek i czekał. Kaganek postawił obok nóg na spšgu. Obłožył go trzaskami, by się nie przewrócił. wiatełko wisi teraz w mroku i leciutko trzeszczy od czasu do czasu. Cisza dzwoni w uszach. Balarus usiadł wygodniej, oparł się o cianę, wycišgnšł nogi. Dobrze się odpoczywa na kupie trzasek!... Przymknšł oczy, bo powieki sš ciężkie, klejšce się. Słodycz spoczynku rozchodzi się po kociach. Jeszcze raz się poprawił, by mu było wygodniej. Postanowił zdrzemnić się na dobrš chwilę, dopóki nie nadejdzie Gałuszka.

I zdrzemnił się.

Lecz zanim nadszedł sen, podniósł z wysiłkiem powieki raz I drugi, zapatrzył się w rdzawy płomyk lampy i znowu zamknšł oczy. Pod powiekami widział dužo obrazów: Godulę liczšcego pienišdze, karczmę z chudym karczmarzem o pokrzywionych nogach, diabła wlokšcego w worku talary do Godulowej chałupy w Rudzie, nieprzejrzany sznur wagoników z jego urobkiem, tajemniczego

Szerudę opowiadajšcego na rozjazdowych płytach o jakim zebraniu, które połožy kres ludzkiej udręce; skrzywił się niechętnie, bo dostrzegł swójš kożę ogryzajšcš jednš jedynš jabłonkę w jego ogródku, a jabłonkę przeciež tak bardzo ochraniał. Potem wszystko się pomieszało, nastał jaki miły szum w nim i koło niego i już go sen zmorzył.

A potem jeszcze przyszedł Gałuszka z dynamitem. Pomyłał sobie, że jeżeli Balarus tak chrapie, nic nie zaszkodzi, że i on chociažby na chwileczkę wycišgnie się na okorku, koci wyprostuje i odpocznie. Nogi bowiem bolš po takim złażeniu drabinami w szybie i po tak dalekiej drodze do przodka. Nie zbudził więc Balarusa, tylko ułožył się ostrożnie, a kaganek postawił obok Balarusowego kaganka.

I także usnił.

Kaganki paliły się w stokrotnej ciszy. Strop szelecił w filarze, czasem co tam sypnęło leciuchno, co zatrzeszczało, czasem przeleciał stłumiony grzmot w piętrze. Wtedy Gałuszka ocykał się i słucał.

Aha, strzelo! myłał uradowany. Węgiel sie posypie...

W pewnej chwili zauważył dwie myszy. Przebiegły koło jego buta i pognały w kierunku pochylni.

Cóż to? Myszy uciekajš?... zdziwił się niemile. Lecz rychło się uspokoił. Widać Balarus nażarł się na rano kapusty lub fasoli, teraz smrodzi jak stary koń, myszy majš delikatne noski i uciekajš!...

Spojrzał na kaganki. Palš się spokojnie. Tylko że za blisko trzasek. Ale nie chce mu się podnieć z okorka i odsunąć je na rodek chodnika. Nic im nie będzie, niech się palš. Spojrzał na Balarusa. Balarus przechylił głowę na piersi i chrapie, aże chrapie!...

Za się pieron ożarł wczora w karczmie, to teraz charczy!... pomyłał z przekšsem. Wycišgnšł się na okorku, nakrył czapkš oczy, pod głowę wsunšł dłoń i znowu zasnšł.

O godzinie szóstej rano zaczęli się schodzić górnicy i zstępować po drabinach do szybu. Rozcišnšł się w szybie wysoki, migotliwy, ruchomy różaniec wiatel, zstępujący miarowo coraz głębiej i głębiej. Szyb rozwidni! się, rozszurgotał stłumionym klekotem butów na szczeblach, rozbełkotał ludzkš mowš. Pod szybem zwoływano

T Pokład Joanny

97

f

się, wzajemnie, tworzone gromady i ruszano przekopem do swych pokładów. Szeruda czekał na swoich towarzyszy. Zbierali się powoli, ciężcy, o znużonych oczach, wlokšcy podszwami butów po Płytach, jakby nie mogli nóg podnieć. Liczyli się wzajemnie, wyczekiwali, a gdy wreszcie wydawało się, że już nikt więcej nie Przyjdzie, ruszyli. Szli gęsiego. Przed nimi i za nimi kolebały się wiatła, kroki dudniły jak w beczce.

U wejścia z przekopu do pokładu Joanny czerniła się zardzewiała tabliczka metalowa z poszarzałymi literami. Każdy wiedział, że litery ułożone sš w słowo Joanna-Floz. I każdy wiedział, że grefina Joanna jest już dzisiaj stara i chora i że jest córčkš górnika Pryszczyka, i że Godula ofiarował jej swój mająstek, ona za wniosła go w posagu zubożałemu wiszczypale hrabiowskiemu Hansowi Ulrichowi Schaffgotschowi. Godulowe talary pomnożyły się w Shaffgotschowych dłoniach, pomnożyły się u górników godziny pracy \ pomnożyła się ich nędza. Wielu przypuszczało, że pokład Joanny jest dotknięty jakby przekleństwem.

Szarlej w nim mieszko i robi ludziom na paskuda, jak robił kiedy przed wiekami gwarkom bytomskim, tarnogórskim i olkuskim! pomyleli niektórzy i splunęli z niechęciš.

Nikt nie wymieniał jego miana, gdyż mylano o nim z lękiem.

Szeruda przypomniał sobie Mołdrzykowe dowodzenie o fatalizmie cišžšcym na tym pokładzie. I także splunšł, bo go mierziła ciemnota ludzka.

Zatrzymali się na rozjazdowych płytach przed kołowrotem.

Kogo nie ma? zapytał najstarszy z załogi, siwy Brachaczek.

Balarusa i Gałuszki! Oni dzisio poszli już o trzeciej na szychta! . objanił kto z gromady.

Pierońskie hyrtonie!... mruknšł Brachaczek. A kogo jeszcze nie ma?



Sš wszyscy!

To idziemy!

I Poszli. Minęli drzwi w głównym chodniku, minęli drugie drzwi, jęli wędrować najstarszym chodnikiem w całej kopalni. Potem zaczęli się rozchodzić. Znikały grupy w pochylniach i przecinkach, żegnali się swoim „Szczęć Boże”, rozchodzili do przodków.

98

Gdy ostatnia grupa z Szerudš dotarła na trzeciš pochylnię i wstšpiła za drzwi, doleciał jš swšd spalenizny.

Co to? zapytał Szeruda idšcy przodem. Stanęli wszyscy, jęli pocišgać nosami.

Co czuć!... Dym czy kiego diabła? zaniepokoił się kto z gromady.

Jakby się hołda poliła...

Albo węgiel...

Przypieszyli kroku. W miarę zbliżania się do filara, gdzie spodziewali się zastać Balarusa i Gałuszkę, wzmagął się swšd. Za ostatnimi drzwiami zastšpił im drogę rudy dym.

Pożar w ostatnim filarze! uwiadomił sobie Szeruda.

A tam Balarus i Gałuszka!

Czy sš tam na pewno?

Mówili mi wczora, że dzika rano pójdš na szychta o trze^ dej!

Co robić?

Popatrzyli na siebie. U wszystkich oczy wylęknione i latajšce. Trwoga czołga się z tamtych rzadkich dymów i ciska za gardło. Pokład się pali!... A więc to mierć!... Uciekać!...

Wy uciekajcie, a po drodze alarmujcie ludzi!... Ja idę po Balarusa i Gałuszkę! Kto ze mnš na ochotnika?...

Porwało się kilku miałków, pobiegli za Szeruda. Dym gęstniał, Ludzie zaczęli się krztusić. Szerudowa gromadka rzedniała. Coraz kto pozos+awał w tyle, łapał się dłońmi za piersi, krztusił gwałtownie, a potem cofał przerażony.

Znienacka rozklekotały się wołania na wodocišgowych rurach. Biegły wołania, krzyczały, ostrzegały i znowu krzyczały, żeby uciekać ze wszystkich przodków pod szyb, pod szyb, pod szyb!... Bo w pokładzie Joanny ogień, ogień, ogień!...

Szeruda dopadł ostatniej przecinki, obejrzał się. Z przecinki wali już gęsty, czarny dym i wlecze się w górę chodnika wentylacyjnego. Obok Szerudy stoi trzęsący się Czendlik. Schylił się nisko i dławi się kaszlem.

Czendliku? Pójdziecie ze mną? woła Szeruda. Czendlik krztusi się gwałtownie, czołga na czworakach z powrotem. Dym kłębi się i zakrywa go płachtą. Szeruda zerwał mary—

99

tarzę, zerwał z siebie koszulę, umaczał we własnym moczu, ibwił twarz i pobiegł w dym. I już nie wrócił. Czendlik przywlokł się ostatni pod szyb z pokładu Joanny.

Gdzie Szeruda? Gdzie tamci dwaj?... trzął nim sztygar krzycał.

Zostali... wymamlał i obsunął się wyczerpany na spąg. i rury wciśz krzycały i krzycały. Ludzie uciekali drabinami na zwierzchnie, pieszyli, gnali na przedbieżki, spychali się i także rzycałi. Sztygarzy i co starsi, rozsądniejsi górnicy musieli ich /alić po łbach, pieronować i odtrzącać, bo inaczej drabiny się po-amiś... Spuszczono windy. I znowu koło wind w podszybiu prze-ażeni ludzie przepychali się, torowali przejście łokciami i kuła-ami roztrzącałi, ujmowali się pod gardła, dusili i krzycałi. Czarny dym czołgał się już przekopem do podszybia. Z głębi przekopu wylęgali wciśz jeszcze ludzie z obłąkaniem w oczach, krztuszcy ię, przerażeni. A we wnęce pod szybem zmieniali się sztygarzy

wydzwaniali na rurach podzwonne, rury za krzycały w całej opalni, we wszystkich pokładach, żeby uciekać, uciekać, uciekać!...

Ostatnie resztki ludzi wtłoczyły się do windy i winda poleciała

nimi w górę. Ostatnie resztki ludzi uciekały drabinami w szyb i powierzchnię. Krzycałi, naglili do popiechu, dyszeli z utrudzenia, przepychali się na pomostach i znowu uciekali. Pod szybem ostali jeszcze starsi górnicy, sztygarzy, trzech inżynierów i dyrektor, gdy nastąpił wybuch. Wybuch był tylko głuchym, spiętrzoną stęknieniem. Kaganki zgasły, ludzie zatoczyli się i upadli na spąg. Podzwonne w rurach umilkło. Teraz już wszyscy wiedzieli, że pożar dotarł za uskok, że zajął się metan, od metanu pył węglowy i nastąpiła eksplozja. Był to znak, że kopalnia Arnolda kona. So wybuch poszedł najkrótszymi drogami pod szyb wentylacyjny, iowywałał drzwi, załamał stropy w chodnikach, rozrzucił ogień po irodze i zniszczył wentylator w szybie wiatrowym. Czyli że to już koniec!...

Splnęła ostatnia winda spod pułapu, stanęła z westchnieniem La stawidłach. Wstąpili do niej wszyscy, dyrektor został obok sygnalu. Ostatni żalony człowiek schodzący w pohańbieniu z drogi reprzyjacielowi. Trzymał dłoń na rękojci sygnalu, a dłoń mu Irzała.

Gotów? spytał.

Gotów!

Dyrektor pociśgnął trzykrotnie za rączkę i wskoczył do windy. Uchwyciły go ramiona towarzyszy. Dostrzegli jeszcze, że z przekopu wybiega koń. Cwałuje ciężko, potyka się, lepy i okrwawiony, staje

przed windš, podnosi łeb i rzy. Winda poderwała się i pomknęła z szumem na powierzchnię. Za windš włókł się czarny, smolisty dym i gasnšce rzenie konia pod szybem.

## NIE DOKOŃCZONA SZYCHTA

Jdy lepy koń konał pod szybem, a jego towarzysze zdychali r przekopie, i gdy myszy pełzajšce po drabinach za ludmi odpa-aly duszone dymem i staczały się do szybu, w szombierskim zam-u umierała grefina Joanna Gryszczyk von Schomberg-Godula von chaffgotsch z tym całym przepychem, na jaki mogły się złożyć rodulawe talary. Z płaczšcymi damami, ze smutnymi panami, zawodzšcymi kamerferj linami, z płošcymi wiecami w sre-rnych lichtarzach rokokowych, z drepczšcym bezradnie lekarzem westchnieniami, jękami i spazmami, w szalbierstwie maskowa-ego uczucia. Hrabia Schaffgotsch za ciskał się w biurze dyrektoi i klšł srogo z żalu, że wymykajš mu się talary z pokładu Jo-any.

Czemu nie gasicie pożaru? krzyczał.

Dyrektor tłumaczył, że teraz już nie można ugasić pożaru.

Dlaczego? Od czego tu pan jest dyrektorem?... Dyrektor rozłożył bezradnie dłonie.

Hrabia Schaffgotsch stanšł w oknie i patrzył na czarny słup dymu wyrtoszšcy się z szybu wentylacyjnego pod niskie niebo. Poprzez mulinowe firanki w oknach sypialni grefiny Joanny również można było widzieć czarny, skłębiony słup dymu wynoszšcy się z szybu wentylacyjnego pod niskie, jesienne niebo. Po oknach toczyły się łzy dżdzu.

Co to?... Co to?... szepnęła grefina, ciężka, o nalanej twarzy, sina i jakby dławišca się słowami. Patrzyła zdumiona na dym, bo teraz dopiero go zauważyła.

To pokład janie pani... To pali się pokład waszej ekscelencji!... Pożar!... rzekł nierozsšdnie lekarz.

Mój pokład się pali?... szepnęła zdumiona Joanna i z tym zdumieniem na twarzy skonała.

Na trzeciej przecince w pokładzie Joanny konał koń Jurek. Ludzie uciekli, zostawili go na chodniku, a on biegł po ciemku za ru-mi, za nim za klekotały wózki z urobkiem. Dobięł do tego miejsca, gdzie z nawyku zawsze zwałniał, zapierajšc się zadem do czoła pierwszego wózka. Teraz się nie zapierał. Pierwszy wózek przejechał przez zdradliwš zwrotnicę, przejechał drugi, trzeci wyskoczył z szyn, zarył się przednimi kołami w rozmokły spšg, zwałił na poprzek. Jurek szarpał, zapierał się, stękał z wysiłku, lecz nie mógł ruszyć z miejsca. Wtedy zrozumiał, że jest uwięziony i że to jego mierć. Długo rżał. Nawet wtedy jeszcze rżał, gdy dławiony dymem uklęknšł powoli na przednie nogi, potem opucił głowę i położył się ciężko na prawym boku. Umilkł w końcu, gdy go dym całkiem zatopił.

Na przekopie skonał Jacek, koń mšdry, przechytrzały i dowiadczony. Znał swój chodnik na pamięć i potrafił w nim pracować bez wiatła. Zresztš i tak niewiele pożytku miał z niego, gdyż był już na wpół olepty. Jego opiekun Macura uciekł. Poklepał go tylko po grzbiecie i powiedział:

Z Bogiem, Jacku!...

Potem jeszcze uciekali koło niego inni górnicy. I ci, co mu przynosili chleb, i ci, co mu podsuwali kieszeń marynarki, by szukał w niej cukru, i ci także, którzy nie mieli dla niego dobrego słowa lub którzy strzykali linś z żutego tytoniu na jego nogi, lub co usi—

103

łowali go zgoła oszukać. Podawali mu na dłoni chleb, a w chlebie była liwka”, wyzuty, cuchnący i obrzydliwy tytoń.

Teraz wszyscy uciekali, on za włókł za nimi dwanacie wózków z urobkiem.

Hanys czuł mierć już wtedy, gdy do stajni przyszedł młody Rychlik, wyprowadził go na chodnik i jśł mu nakładać chomšto. Hanys dreptał zaniepokojony, wydymał chrapy i łypał oczami. Rychlik był zły, bo nie wyspał się do syta. Wiedział, że dzisiejsza szychta będzie diabła warta. Powieki sś ciężkie i z ulgś się zamykajśce, w ciele słabota, nogi mu drzś. Postanowił unikać nienasyconej Zofki Folwarcznego.

Torba pierońsko! mruknśł z pogardś i kopnśł Hanysa w brzuch.

Hanys pokazał zółte zębska, usiłował ugryć Rychlika w ramię, nie udało się. Rychlik zakłśł ciężko i znowu go kopnśł w brzuch. Hanys uciszył się. Rychlik wyprowadził go do kołowrotu. Hanys adwrócił się, cofnśł, dotknśł zadem ciany wózka. Lecz wciśz był niespokojny, rzał krótko, dygotał, bo wciśz wyczuwał skradajścś się mierć.

No, ciśgnij, pieronie!... zawołał Rychlik.

Lecz zanim Hanys zaparł się, by powlec za sobś dwanacie wózków spod kołowrotu, rury zaczęły krzyczeć. A potem nadbiegli pierwsi towarzysze. A potem wszyscy już uciekali. Hanys zauwa-yl dym. Ruszył za ludmi po ciemku. Ciśgnśł i stękał z wysiłku. Po drodze napotkał Jacka. Jacek także ciśgnśł z wysiłkiem. Oba ch pociśgi zbiegły się w przekopie. Szepiły się, wykol ,; :a-jrodziły przejcie. Konie szarpały, szamotały się w uprzęży, ko-3ały, zapierały, a dym rósł. Potem zaczęły rzeć. Długo. Jakby ;złowiek wołał o ratunek. Ludzie wciśz uciekali, potykali się na wywróconych wózkach, przelazili, staczali na drugś stronę, klęli, jęczeni i znowu się zrywali i uciekali. Potem zaczęły nadbiegać konie, których jeszcze nie zdołano wyprowadzić ze stajni. . więc był Fryc, ten głupi, młody koń znarowiony, był czarny ruks z wydartś grzywś na karku, był mały Zeflik z jednym okiem, jdyż to drugie tworzyło ropiejścś ranę, był jeszcze stateczny Smok młody Szczur. Wszystkie gnały przekopem pod szyb. Stańła im v drodze przegroda z przewróconych wózków. Usiłowały jś prze-104

sadzić, lecz łamały nogi. Jedynie lepy Jowisz zdołał dotrzeć pod szyb. Wybiegł bowiem z pokładu Waclawa, skśd było już niedaleko do podszybia. Wyczuwał mierć jak wszystkie konie i wyczuł jeszcze obecność ludzi przed sobś. Ludzie mu jednak uciekli. Stał w podszybiu i rzał. Podobnie jak rzały wszystkie konie w płońścej kopalni. A potem konał, jak konał Jurek na trzeciej przecince i jak konał Jacek na przekopie, a obok niego Hanys oraz Fuks, Zeflik, Szczur i Smok z połamany

nogami. Omotał ich czarny, smolisty dym i wydusił z nich resztę życia. Ich szychta została nie dokończona.

Potem przyszła kolej na myszy.

Chociaż pierwsze przeczuły nadchodzące zatrącenie, wcześniej nawet niż konie, i chociaż pierwsze uciekały w kierunku podszybia, i chociaż drapały się po drabinach za ludmi, ginęły w rosnącym czadzie. W ich mierci był strach i pokora. Gdy ich oczy, podobne do malutkich czarnych perełek, zaczęły mętnieć, a drobne ich ciała prężyć, odczuwały wciąż strach i pokorę. Konie umierały z patosem pełnym buntu i przekory, potrzęsały grzywami, kopały i kopytami krzeszały iskry, rżały gromie i jakby z wyrzutem, że człowiek je opuścił. W ich mierci był gest bohaterski. W mierci myszy był smutek skrzywdzonego stworzenia.

Myszy uciekały przed dymem, chowały się w szczeliny nad spł-giem. Rozumiały bowiem, iż dym powlecze się najpierw pod stropem, a potem dopiero będzie się obniżał powoli, bardzo powoli i może ich nie dosięgnie. Lecz ich dosięgnął.

Mysz z krzywś nóżkš skonała ostatnia, wtulona pod ciepły jeszcze zew|nk Smoka.

Były jeszcze karaluchy. Karaluchy były głupie. Uciekały po stemplach pod strop, spadały na spłg i leżšc bezradnie na grzbiecie grzebały nogami i grzebały, aż w końcu ustały.

Ludzie już dawno leżeli zwinięci w kłębek, skurczeni i martwi. Balarusa i Gałuszkę pożerał ogień, Szerudę smałił dym, wciskał się w nozdrza i w rozchylone usta, wypełniał płuca, twarz i dłonie powlekał kopciem. Jego zuchwałę myli umarły pod martwym czołem.

W kopalni nie było już żadnego życia.

Dym rozwlekał się w chodnikach, czołgał ociężale, przewalał i wypełniał filary pod stropy. Wciskał się w zawaliska, w poszar—

105

i

ane piętra, ważył ciężko i znowu się włókl i włókl, jak człowiek, tory ma ogromnie dużo czasu i wie, że na czas dojdzie do celu. ym był brudnożółty, ciężki, smolisty. Zatapiał stopniowo całe ol-rzymie kretowisko ludzkie, docierał do ostatnich przodków, obma\_ ywał ciany, lepy, ciemny i martwy.

W przodku Balarusa płonęły ciany i stemple.

Ogień przerzuczał się niemrawie ze stempla na stempel, lizgał po cianach, nagryzał je, pryskał iskrami, skoczył na okorki pod stro->em, przechodził stropnicami i reszpami i znowu zstępował po templach na spłg i szukał żeru. Jak dym był lepy, ciemny i mar-wy, tak ogień był żywy, wytrzeszczony i jaskrawy. Broczył krwistym blaskiem jak smoczš juchš.

W kanciastych płaszcach dotarł przez uskok do bliźniaczego połączenia Joanny. W uskoku rozpałił się huczczym pożarem, bo stem-el stał obok stempla, stropnica leżała obok stropnicy, a ofelowania cian i stropu, cienkie, wysuszone deski opinajšce boki i strop hodnika, poddawały się z radociš pożarowi. Ogień zatrzymał się irzez chwilę w uskoku, bo chciał się nazreć.

Obejmował stemple, podnosił się, wgryzał w biały miššsz drze-ra, sięgał do stropnic i teraz już stšpał po nich, zataczał i pęcz-iał. Przepalone stropnice załamywały się z trzaskiem, a za stronicami walił się miękki, iłowaty strop. Płomienie były jędrne

pełne wigoru. Przyskakiwały z szumem do drzwi, oblepiły je, blizały i szczepiły się z wysuszonymi deskami. Runęły drzwi

przepalonych zawiasów, płomień buchnął w głšb chodnika i te~ az już wędrował i wędrował. Až dotarł do pierwszego wybranego Llara. W filarze przyczał się metan pod stropem. Ogień wyrzu-ił iskry, sięgnął postrzępionym językiem, metan zajął się niebies-im płomieniem, wybuchnął, wzniecił tumany węglowego pyłu. ‘eraz zajął się pył i nastšpiła eksplozja!

Rozpętały się pioruny w chodnikach, gankach, pochylniach, padnicach i filarach, poleciały na olep,, wywaliły wszystkie za-iory, drzwi i stemple, zarwały stropy. Pioruny były prężne i žaa> aczne, oszalałe i głupie.

Stęknęła kopalnia i skonała.

Wybuch poleciał najkrótszymi gankami pod szyb wentylacyjny. Wyrznął skołtunionym łbem ogniŃnym o betonowe ocembrowanie.

06

podskoczył i trysnął w górę. Stanęła mu w drodze maszyna. Ogromny wiatrak o łopatowatych skrzydłach toczył się oszalały i dudnił. Wybuch wpadł między skrzydła, wyważył go z panewek, wyłamał i cisnął w powietrze! Maszyny stanęły, tylko para ryczała z poszczerbionych rur, a z otworu szybu leciał skłębiony filar dymu przetykany rdzawymi błyskami.

Ludzie krzyczeli.

Z wylotu zjazdowego szybu również wyłaził rosnšcy baldachim dymu. Korona jego podwijała się kłębami, kłęby za były gęste, soczyste i ruchliwe. Wynosiła się pod niebo i wynosiła, a za niš włókł się okršgły, puchnšcy słuł, podobny do bestii wynionej w snach czarownicy.

Tu również ludzie krzyczeli.

Ogień w pokładzie Joanny rozpaszał się teraz do ostatnich granic. Podgryzał ciany węgla, kruszył je, podgryzał stemple, pochłaniał wozy, kilofy, taczki, skrzynie, pastwił się nad zwłokami ludzi, koni i myszy, przemieniał je w czarne, pokurczone straszydła. Upił się do reszty, gdy dotarł do magazynu i językami jšł obmacywać zamczyste skrzynie z dynamitem. Dynamit wybuchł, wyrzucił ogień za próg, wypełnił przestrzeń swoim jasnym płomieniem, poleciał na przekop i zdechł na pierwszym zakręcie. A w te same pędy ogień runął znowu do kamiennej komory i zagarnął łapczywie wszystko. Rozbite

drzewo, rozbite skrzynie, rozpryniętś smołę, gwodzie, kłamry, lonty.

Magazyn z dynamitem dał mu sporo zajęcia. Zatrzymał się przeto dłużej w tym miejscu i sycił swójś żarłoczność. Mlaskał, szumiał, pryskał iskrami, mruczał, a chwilami jego mruczenie przechodziło w puszysty łoskot. Na przekopie za ogień huczał jak lejścy się z wysoka wodospad.

Pod szybem jeszcze nie był.

Poleciały więc na przedbieżki jego forpoczty, wyżyły zjeżone ognistś grzywś Pomyszkowały tu, pomyszkowały tam, dotarły do podszybia. Obmacaly jęzorami stalowe rusztowania, zasycaly zjadliwie, bo po bcembrowaniu ciekła woda. Obeszły przeto stalowe sztaby, przyklejaly się. do cian i długo je lizaly. Gdy wystarczyło, drobnutkami skokami, popychane z tyłu spiętrzonś tłuszczś, dotarły do pomostu z drabinami. Rozbiesily się płomienie! Wybiegaly

107

ta drabiny, czołgaly po szczeblach, sięgnęły do pierwszego pomo-tu. Rozsiadły się za nim szeroko, zaczęły wylazić na drugś dra-dnę. Nie trwało długo, a pomosty i drabiny ogarnśł pożar. Ła-nały się z trzaskiem i leciały do drugiego poziomu jak płonśce agwie ciskane do studni.

Ogień niechętnie schodził po drabinach do drugiego poziomu. )ciśgał się i wahał. Lecz gdy z góry jęły lecieć obłamki drabin

pomostów, podobne do strścanych gwiazd z czarnego nieba, yskał na odwadze. Teraz spadał z pomostu na pomost, jakby stś->ał ogromnymi krokami w głębinę. Długo to trwało.

Gdy dopalał się ostatni pomost i kawałkami staczał się do żom-ia na dnie szybu, w żompiu za zdychał we wzburzonej wodzie, rtedy na płonścś kopalnię spadł popłoch.

Oto ludzie na powierzchni nareszcie opamiętały się i przystśpili o walki. Wyloty obu szybów, a więc szybu zjazdowego i szybu ;entylacyjnego, zaczęły nakrywać grubymi deskami dębowymi. )eska obok deski, deskś obok deski. Uważali pilnie, by szpary liędzy nimi były jak najmniejsze. A następnie rozpoczęły ciskać a deski wilgotnś ziemię. To była raczej glina mazista, ocieka-^ca jeszcze żółtś wodś, lepka i przylepna. Ubijano jś tłuczkami, capkano łopatami, udeptano nogami, by nie było najdrobniej-zej szczelinki. Myleli wszyscy:

Wszak pieroński ogień zapieronowany zdechnie, gdy mu się detnie dopływ tlenu!...

O tlenie mówili inżynierowie i dyrektor, o zdychaniu ognia ajadli górnicy.

Zatkali oba wyloty szybowe i długo jeszcze stali nad nimi przeżywali po tysiścny raz swoje doznania. Oto ogień będzie ;raz powoli zdychał, zdychał, aż zdechnie do ostatka. Nie wia-omo, długo to potrwa. Może rok, może dwa, może jeszcze dłu-jj!... Lecz w końcu zdechnie, aże zdechnie!... Szarlej, Godula, ustecki, Skarbnik czy Ziemiński Duch temu winni? Konina pie-)ńska!... Ani Szarlej, ani nic, tylko...

Tylko co?...

...tylko pożar wzniecony przez nieostrożność. Balarusowa czy ałuszkowa lampa przewróciła się... A może kto z nich zawiesił

jś ha okorku pod stropem, okorek się zajął od parszywego płomyczka i teraz taka pierońska breweria!

A może jś Szarlej przewrócił?

A może to był jednak Pustecki?...

Ś Konina pierońska!... A wynocie się do jasnego pieruna, bo fanzolicie, aże fanzolicie!...

Ludzie patrzyli z ulgą, że dym nie opiera się już swą czapą

O niskie niebo jesienne. Że dym nie rozwiewa się po wiecie. Że już najdrobniejsze pasemko jego nie wycieka spod gliny na szybowych pokrywach.

Powiadocie, że teraz zdechnie ten gizd zasmolony?

Zdechnie! Długo będzie zdychał, ale zdechnie!

Ale kiedy?

Zapytaj się świętego Ducha!...

A co z nami?

Co z nami? Ha, co z nami!... Na zielono trowka pójdziemy, kamrat!...

Przeklęty ogień zapieronowany!...

Przeklęty ogień zapieronowany w pokładzie Joanny i we wszystkich innych pokładach spurpurzał, potem poczerniał, zrudział

1 przysiadł na piętach. Jął się dławić i krztusić własnym dymem. Dym za gęstniał i gęstniał. Przemieniał się w kopeć. Nie wszystek, bo tylko ten, dla którego już nie było miejsca. Ogień za błyskał podobny do rudego człowieka, któremu oczy wyłupiono. Położył się na spłgu, czepiał cian, przylegał do nich na płask i wciśz się dławił i charczał.

To trwało długo.

To trwało bardzo długo. Wyzbywał się swej jurnej i hyrnej krasy, zamieniał w kaprawego i owrzodzonego żebraka, przekształcał w mrowie malutkich trzęsących się płomyczków, które obsiadały ciany jak niebieski liszaj. Swój buńczuczny kolor przemieniał bowiem na u wędła niebieskość, bladą i bezkrwistą. Liszaje trzepotały się i trzepotały, i nie mogły się oderwać. Szukały ratunku w przepalonych cianach. Drżły węgiel, przeciekały w głąb szczelinkami, ciany za pstrzyły



się żarem. Żar był podobny do smoczycych lepi broczących rubinami w czeluciach.

I znowu trwało to długo.

109

Wybrane filary ziały pustkš, a piętra nad filarami rysowały ę, tšpały z grzmotem, wybrzuszały, a potem łamały się i waliły, owstawały zawaliska coraz większe i coraz szersze, bo nogi ‘spierajšce stropy trawił ogień. W piaskowcowej calinie, w pię-ze, rozbiegały się szczeliny, rosły, wydłużały, aż w końcu do-ęgły powierzchni.

Przybiegły dzieci do domu i opowiadały, że kozy nie chcš się ić na bezpańskim wydmuchowisku.

A dlaczego nie chcš się pać, aże nie chcš? biadoliły tatki. Bo wy, limoki przegrzeszone, zamiast kóz dogłšdać, rłko zbytkujecie na hałdach i w guziki gracie!...

Ni, mamulko! Bo z ziemi, spomiędzy kamieni kurzy się! Nie-iele, ale zawsze co!... A ziemia cuchnie jak zdechlina...

...jak gorejšca hałda! I wszystko na niej wysycha. Woda, :zewa, nawet te najplugawsze chwasty i zieliny... A kozy becš uciekajš!...

Poszli ojcowie i przekonali się. Istotnie, dymki sšczš się tu tam, i jeszcze gdzie indziej, po całym szerokim i dalekim polu. ikby pod ziemiš siedział regiment diabłów i fajki pykał!...

To Szarlej zaszarlejowany fajka pyko!... wymiarkowali dni z trwogš w głosie. Siedzi w zaszarlejowanym pokładzie lanny i kurzy se fajka!...

To jaroszki Godulowe talary susž w pokładzie Joanny skuli tego tak się kurzy z ziemi!... rzekli inni.

Jakie jaroszki?

To nie wiecie?... Takie małe diabełki podobne do młodych pków i nie większe od riłodych capków. Kudłate, rogate, jeny miast krowiego chwosta majš takie ogonki jak prosiška! To ie Godulowych talarów pilnujš, a talary się teraz palš i dlatego I kurzy spod ziemi...

Ale fanzolicie, starzyku, ale fanzolicie!... pomiewali się lukowie, usmarkane niedorostki, polewacze i szlepry, nie chcš-

wierzyć dziadkowi, staremu górnikowi. Radzi słuchali takich rów o duchach i diabłach z prosięcymi chwostkami, lecz co in-go słuchać, a co innego wierzyć... To dobre dla starki podczas ubaczek!... Bo wnukowie przecież dobrze wiedzš, że to gazy pieronowane!... ;

0

Rozleciała się jednak pstrokata wieć między pogłowieciem ludzkim, co wyrosło w szerokim zasięgu

koło szybu Arnolda. Teraz już nie wyrastało. Kurczyło się, bo Arnold umarł, ogień w nim jeszcze nie zdechł, chociaż już trwa przeszło rok; trzeba było szukać pracy na innych kopalniach.

Przyszli przeto ludzie, starzy górnicy i zielone fuksy z mlekiem na brodzie, mśdrale i zatracone fideusze, dewotki wietrzšce diabłów i zatroskane matki. Nachylali się nad ziemiš, klękali, kładli się nawet, wtykali nosy do szczelin i pocišgali. Istotnie, ziemia mierdzi jak wszyscy diabli! Jakby się pod ziemiš hałda paliła!... O! Nawet dym widać!... Cieniutki, zwiewny, leciutki jak oddech bladego dziecka o dużej głowie, o wyduętym brzuszku, o nóżkach cienkich i w kabłšk skrzywionych.

Jasny pierun! To z pożaru w pokładzie Joanny! orzekli mśdrale i poszli do dyrektora.

Droga wiodła koło szybu Arnolda. Zabudowania były puste, okna powybijane, maszyny przewiezione na sšsiednie szyby. Szary wiatr trzaskał drzwiami na oberwanym zawiasie, zdzierał z dachów papę, gwizdał w wytłuczonych oknach i szamotał się z linami, które wielkim łukiem zwisały z Arnoldowej wieży szybowej. Na linach hutały się osowiałe jaskółki, a między zardzewiałymi kołami na wieży uwiły sobie gniazda gawrony i wrzeszczały na ludzi. Droga do Arnolda i plac koło szybu zarosły trawš. Szmatłał się w niej kuternoga Warcynga, wiodšcy trzy kozy na powrózku. Kozy skubały trawę, a Warcynga pilnował starych i zardzewiałych dziorbów, na które nie połakomiłby się nawet stary Żyd skupujšcy od dzieci Źelaziwo i złom nieużyteczny.

Ho, ho! A kandyž idziecie, kamraci, takš kupš? zapytał.

Do starego! Ogień z pokładu Joanny przegryzł się przez ziemię i teraz się kurzy...

Ho, ho!... To posikejcie každy do dziury, a ogień zdechnie! poradził przekornie.

Kamraci machnęli dłoni i poszli do nowego dyrektora. Ten poprzedni bowiem, Hans Wolf, strzelił sobie w łeb z rozterki. Nie mógł znieć pyskowania Schaffgotscha. Nowy dyrektor, rów—

111

m

rež Hans, lecz cudzoziemskiego nazwiska Santarius, wysłuchał nšdrali i powiedział, że dobrze.

Ha, jak dobrze, to dobrze! rzekli mśdrale i poszli do donu. Swoje zrobili, a teraz niech się tamten zamorski rudzielec nartwi.

Zamorski rudzielec wcale się nie martwił. W swojej ojczyźnie, v Walii<sup>1</sup>, może by się martwił, lecz tu nie trzeba. Zaczšł się do-)iero wtedy martwić, gdy na łęgach i polach między hałdami >okazał się ogień. Za dnia była tylko jaka para cuchnšca siarkš

innym diabelstwem, rozparzona ziemia, trzęsšce się nad niš podetrze na kształt płynnego szkła, krztuszšce wyziewy węglowo-lorów, lecz w nocy wszystko przemieniało się w piekło. Po zie-ni wałęsały się niebieskie płomienie, przygasały, wyskakiwały nienacka, syczały, trzepotały się, tajemnicze i ponure, jakby się labły gziły!... Schodzili się zdumieni ludzie i patrzyli. Ziemia udziała, żar bił od niej, wiatr zwiewał stamtšd opary, paliły się rzewa i trawa, uciekały ptaki, a niebieskie

płomienie tańczyły 7 głębi nocy i przerażały ludzkie oczy. Mnożyły się wieci i zda-zenia. Oto wracał w nocy jaki pijany chachar czy zgoła kocen-er, położył się w rowie, bo rów był wygodny i ciepły, usnął i nie budził się. Zagorzał! jak mawiali ludzie. Lub szedł drogę po ocy jaki bezdomny czy bezrobotny człowiek i skuszony bijącym ieplem z ziemi wykopał sobie drobną wnękę, podłożył marynar-ę pod głowę i usnął. I ten zagorzał.

To zemsta pogniewanego Skarbnika! mówili jedni.

To Szarlejowa robota! twierdzili inni.

To Godulowa dusza smaży się w piekle, a w nocy wycho-ń na powierzchnię i pokutuje... Trzeba bydzie porzekać Ojczy-aszek za jego potępiono dusza!... szeptały babinki przy rzwiach kocielnych.

A jo wóm powiadom, że to jaroszki, co Godulowych talarów rzegł!... wrzeszczał w karczmie ożrały Pasierbek. I z pijackim Dorem jśł bełkotać niesłychanś historię, jak to w swojej rodzin-j okolicy, pod Ochodzitś w Koniakowie nieraz widział, że na

1 Księstwo (prowincja) w zachodniej części Wielkiej Brytanii, obfitująco pokłady węgla i rudy żelaza.

szczytce Ochodzitej jaroszki suszł Ondraszkoew 1 talary... A Ondra-szek to był zbójnik beskidzki, który talary zakopał na Ochodzitej... Już kołka razy wybierał się po nie, lecz jaroszki nie dopuszczł. Teraz przeniosły się do Rudy w Godulowa dziedzinę... Pierona, żeby tak wydrzeć im owe talary!...

Poszedł po nie cichaczem, gdy noc była ciemna i bezgwiezdna, i nie wrócił! Zagorzał!...

Z nakazu władz otoczono płonśce pole parkanem z drutu kolczastego, powbijano słupy, na słupach umocowano blaszane tabliczki, a na tabliczkach wymalowano trupie czaszki z napisami, że wstęp ostro wzbroniony!...

A niezadługo przyszli inżynierowie wielkś kupś, przyszedł z nimi dyrektor Hans Santarius, który czasem podpisywał się John Santarius lub zgoła Johannes Santarius. Hans Santarius był chudy, z długś, gśsiiorowatś szyjś, z wystajścym ogryzkiem adamowym, lekko się jśkajścy. Pomagał sobie zawsze oczami. Za każdym bowiem słowem, które potykało mu się na języku, mrugał powiekami i to istotnie pomagało. Słowo wylatywało mu z ust jak oliniony kamyczek z chłopięcej procy.

Inżynierowie rozłożyli mapy na trawie, powyciśgali kompasy z puzderek, nachylili się i zaczęli lepić. Długo i mśdrze. Potem długo i mśdrze mśdrowali. W końcu uznali, że istotnie dym ii ogień pochodzś z pokładu Joanny, który skonś ławś podchodzi pod powierzchnię. A więc już teraz zagadka rozwiśzana, dlaczego ogień nie chce zdechnść! Pożar na wpół zduszony tli się wciśż, bo przez szczeliny w piętrze dochodzi tlen!... Jaki wynik analizy chemicznej? Zaraz, zaraz!... Jest O<sub>2</sub>, jest CO<sub>2</sub>, jest CO, jest H<sub>2</sub>, jest CH<sub>4</sub>, jest N<sub>2</sub> i sś lady acetylenu. Wszystkiego po tyle a tyle procent. Czyli ten sam skład chemiczny z nieco większś domieszks tleny, co wykazuje analiza powietrza pobranego z szybów.

I co teraz? zafrasowali się wszyscy.

Kopalnia bez wartoci. Będzie się palić bez przerwy. Chyba żeby zalać wodą!... Koszta wielkie, lecz uchroni się sąsiednie kopalnie.

1 Ondraszak zfoójniik lški żyjŝcy w XVII wieku w Beskidach, ludowy bohater.

8 Pokład Joanny

113

1

Skąd tyle wody nabrać?

I znowu myleli, kombinowali, wazyli w głowach przeróżne projekty. Jedne były naiwne, drugie fantastyczne, inne rzeczowe. Stało na fantastycznym projekcie.

O dwa kilometry stąd płynie rzeka. Przekopie się nowe łóżysko, skieruje do szybu wjazdowego i rzekę wpuci do kopalni...

Gdy się woda zetknie z pożarem, nastąpi wybuch! sprzeciwił się chudy dyrektor Hans Santarius. Woda się rozłoży na tlen i wodór...

Może nastąpić i sto wybuchów! Nam to nic nie zaszkodzi! Kopalnię i tak diabli wzięli!

Tyle szkody! Tyle szkody! bełkotał stary Hans Ulrich von Schaffgotsch. I jeszcze nowe wydatki z tą wodą... Przeklęty pokład Joanny!...

Jeszcze raz mu tłumaczono, że sąsiednie kopalnie jego ekscelencji są zagrożone. Opłaci się więc wydatek na przekopanie łóżyska rzeki do szybu, w przeciwnym razie sąsiednie kopalnie będzie musiał zaniknąć!

Zbiegli się ludzie i kopali. Minął miesiąc, minęły dwa miesiŝce, minęły trzy. Rzeka Koprzywnica, brudna i cuchnąca, z pawimi okami smarów na powierzchni, potoczyła się do szybu. Zdjęto z niego na wpeł już przegniłe deski, zgarnięto glinę, wywalił się smolisty dym z głębi. Woda leciała płaskim łukiem w głąbinę. Łuk jej był srebrny i szumiŝcy.

W pokładzie Joanny i we wszystkich innych pokładach ogień zacierał ludy człowieka. Zawałały się wciŝ filary, obwały wybiegały na chodniki, mnożyły się usypiska, ogień za toczył słoje węgla, przemieniał je w gŝbczasty koks, wŝerał się coraz głębiej. Jedyne przekopów w pierwszym i drugim poziomie oraz obu szybów nie mógł rozkruszyć. Poza tym wszystkie chodniki, ganki, upadnice i pochylnie stały się zawaliskami.

Potem przyleciała woda. Spieszyła się ogromnie. Myszkowała to tu, to tam, wybiegała struŝkami po spŝgu w drugim poziomie, chytra i przebiegła. Jakby wŝszyła, gdzie najłatwiej podejć i skoczyć na trzepocŝce się niebieskie liszaje i na broczŝce ŝarem rubiny w cianach. Spotkała się z nimi na końcu przekopu w drugim poziomie. Ogień zasyczał, woda zasyczała, ogień zaskwierczał, wo-114

da rozpiekliła się, zakrzuszyła parš. Teraz już szła niepowstrzymanie. Zalewała drugi poziom, podnosiła się powoli, czołgała pochylniami na poziom pierwszy. Zagłšdała w filary, przeciekała przez obwały na drodze, przeszczała z uporem, ogień za parskął i cofał się także powoli. W podziemiu kłębily się dwa żywioły i zagryzały wzajemnie na mierz. Miejskami, gdzie woda nagle skoczyła na skupisko niebieskich liszajów, następował wybuch. Niewielki i nieszkodliwy. Jak przewidział chudy dyrektor Hans Santarius, woda rozkładała się na tlen i wodór. Wodór zapalił się i strzelił jak raca. Ziemia zadygotała, w piętrze obrywały się ostatnie spojenia calizny, sypał się kamień i miał, ludzie pod stopami wyczuwali lekkie drzenie ziemi. Potem wszystko milkło, bo nowa woda wdzieraa się bełkocšš ławš, dusiła ogień z nienawiciš. Ogień zdychał.

Ludzie stawali nad szybem, tuż nad srebrnym i szumišcym łukiem rzeki, i patrzyli z radociš, jak dym rzednieje, jak wlecze się niemaało z szybu, jak podobny jest do pobitego człowieka. Oni także byli pobici i uciekali, przed ogniem. Teraz zmieniły się role. Ogień, przekłety ogień ucieka przed wodš, coraz słabszy i głupszy!

Ogień zdycha w pokładzie Joanny! wołali, chociaž každy widział, że ogień zdycha w pokładzie Joanny.

Zapieronowany ogień zdycha w kopalni Arnolda! cieszyli się inni,

Š Ogień zdycha!... Hej, ludzie! Słyszycie! Ogień zdycha pod ziemiš!... krzyczeli jeszcze inni.

Ludzie, nie znajšcy się wzajemnie, stawali się w owej chwili najserdeczniejszymi przyjaciółmi, ciskali sobie dłonie, patrzyli w oczy, przepijali w karczmach skon ognia, radowali się, jak tylko radować moze się człowiek, gdy widzi poražkę swego największego wroga.

Chłopczyška i dziewczyski, pasšcy kozy na wydmuchowisku, przytykali nosy do szczelin w ziemi i wšchali. Jest jeszcze dym czy go już nie ma?... Jest, lecz z dniem každy coraz mniej i mniej!...

Ogień zdycha! buczeli chłopcy i ficali koziołki.

115

Ogień zdycha! piszczały dziewczyski i tańczyły nad szczelinami, z których sšczyły się zwiewne pasemka burego dymu. Ujmowały się za dłonie, tworzyły korowód i tańczyły wyrażajšc swš naiwnš radoć w naiwnych plšsach.

Rzeka wcišž waliła w głšb szybu.

Ogień wycofał się już na pierwszy poziom, teraz umykał przed rozjuszonš wodš pochylniami pod górę, zamykał się w osaczonych filarach, pienił się, dygotał i parskął iskrami. Zdychał z westchnieniem, gdy go woda dopadła.

Pewnego dnia woda jeła się podnosić w szybie wjazdowym, podnosiła się w szybie wentylacyjnym, dosięgła w końcu powierzchni.

Dosyć! Kopalnia zalana!...

Skierowano rzekę do opuszczonego łożyska, przegrodzono tamś i faszynami od łożyska wiodącego do szybu i teraz dopiero ludzie zaczęli się zastanawiać, co teraz?... Stali nad szybem i patrzyli na wodę sięgającś po brzegi. Woda była czarna i cicha.

A więc, co teraz?...

Zjechały się znowu jakie komisje, zjechali się uczeni profesorowie, zeszedli się starzy górnicy, którzy przez trzydzieci przeszło lat pracowali w pokładzie Joanny. Teraz pracujś na kopalni Siegfrieda, inni na kopalni Gottes Segen, inni jeszcze na kopalni Petrus. Wszyscy zastanawiali się, co uczynić z kopalniś Arnolda. Stary i bełkotliwy graf Hans Ulrich von Schaffgotsch nie chciał o niczym słyszeć. Lecz inni chcieli słyszeć. Przecież słusznie dowodzi pan bergrat von Schönwald z Wrocławia, że opłaci się odbudowa Arnolda. Przede wszystkim z powodu pokładu Joanny. Takiego węgla, jaki zawiera pokład Joanny, daleko, szeroko nie można uwiadczyć. Węgiel koksujścy i bogaty w kalorie, tłusty dostatecznie, nie wyzyskany, szkoda go zostawić bez pożytku! W interesie nie tylko jego ekscelencji grafa Schaffgotscha, w interesie nie tylko czcigodnych i szanownych panów akcjonariuszy, lecz przede wszystkim w interesie ojczyzny niemieckiej leży, by się uniezależnić od koksu austriackiego z Zagłębia Ostrowskiego, a korzystać z własnego, niemieckiego!...

Koszta odbudowy opłacś się w każdym razie. Wystarczy wziść Dłówek i liczyć!

116

Posypały się cyfry, wydłużyły się ich kolumny, cyfry za dowodziły mśdrze, uczenie, przekonywały, czasem doskakiwały sobie do oczu, czasem zawieruszyły się w zburzonym tłumie pobocznych cyfr, lecz w końcu zwyciężyły.

Stanęło na tym, że jeszcze w bieżścym roku stanś pompy nad szybem Arnolda, pompy nowe, najnowsze, angielskie, spoczywajśce na ruchomym pomocie. Pomost będzie unosił się na czarnej wodzie w szybie, na pomocie za będsz mozoliły się pompy z wodś. W miarę ubywania wody pomost będzie się opuszczał, aż dojdzie do pierwszego poziomu. Wtedy zainstaluje się pompy w podszybiu. I kopalnia musi być odwodniona!...

To ostatnie słowo musi porwało wszystkich. Wrzali na czeć ojczyzny i cesarza, potem wypuszczono nowe akcje i po kilku miesiścach nadeszły pompy z Anglii.

Ustawione na pomocie ruszyły, by dokończyć rozpoczętś szychtę!...

# IGNIS FATUUS

Stary rektor Rudzkiej Szkoły Elementarnej, pan Fabricjusz Ke-eusz, nazywajscy się po prawdzie Prokop Slimok, czytał z uwagš statniš kartę swego diariusza. Z lubociš wodził wyblakłymi oczami po równych literkach gotyckich, krocžscych w wymuskany rdynku na papierze jak żołnierze w pikelhaubach. Juž kilka ra-y przepisywał i uzupełniał kronikarski tekst, wygładzał oporne :owa polskie, poprawiał, dzisiaj za przeniósł to wszystko do diiia-:usza w zielonych okładkach, starajšc się každš literkę uczynić odnš podziwu i pochwały. Jeżeli kiedy potomni będš czytali, Lech pomyłš, iż to pięknie i składnie napisane. Czy składnie na-isane?...

Zafrasował się nad tym pytaniem i jeszcze raz jšł czytać powoli, ałgłosem.

Ogień w grubie Arnolda, w tym czasie\* kiedy pisało się Rok Pański 1890, powstał na rannej szychcie od olejowej lampki dwóch nieszczesnych hawierzy, którzy obaj zostali, a trzeci pieszczy ich ratować także został, i ogień objšł nasampierw pokład grefiny Joanny, kiera w-tym samym czasie oddała Bogu swego nabožnego ducha, a z pokładu grefiny Joanny von Schomberg—Godula von Schaffgotsch z domu Gryszczyk ze Szombierk ogień przeszedł do inszych pokładów i powstała wielka szkoda, iż całš grubš musiano zalać wodš, skierowawszy do szybu przez nowo wykopane łozysko rzeczke Koprzywnicę, co uczyniło na isto moc szkody w samej grubie. Przez długi czas, zanim woda zalała ogień na dole, paliły się płomienie na polu między dwiema hałdami, jako że pokład grefiny Joanny wychodził pod powierzchnię, a co było wielce podobne do i g nis f atuus. Można by powiedzieć, iż to stało się za niecnš sprawš nie Ducha Szarleja czy Ducha Skarbnika, czy zgoła Ducha Pusteckiego, czy też jeszcze inszego Ducha Ziemskiego, jak pospólstwo rade opowiada, wszelakož za prawdę można by przyjšć, iż to była sprawa samego szatana dybišcego na ludzkie życie i duszę, a kiery i mnie kiedy omamił, nieszczeliwym uczynił i duszę mojš na potępienie wiekuiste naraził. Bo w tym samym czasie, a co może być wiadectwem przemawiającym za onš hipotezš, gdy ogień ogarnł całš grube Arnolda, pomijajšc tamtych trzech hawierzy, którzy zostali, i moc koni, dyrektor z rzeczonej gruby, czcigodny pan Johannes Lup u s alias Johann Wolf, strzelajšc sobie w głowę z pistoletu, mierć sobie niesławiniš zadał, lecz potem jeszcze, gdy ogień jakoby i g nis f atuu s na powierzchnię ziemi się wydostawał, moc ludzi przy nim zagorzało, którzy le-gnšwszy w nocy w jego pobližu na rzeczonym polu między hałdami ducha wyzionęli.

Podobny ogień ogarnł grube F anny Cha s s e w Roku Pańskim 1859, gdzie było moc nieszczęcia, ludzkiej biedy i utrapienia biednego narodu, a jeszcze większy ogień owładnł gru-bami Jego Excelencji Hrabiego Hansa Larischa w Karwinie, po cesarskiej stronie, Roku Pańskiego 1894, gdzie w grubach Joha-na, Karola, Franciszki, Henryka i na Tiefbauschacht pozostało ponad 200 hawierzy życie tam postradawszy. Napisałem w dzień Oczyszczenia Panny Maryi Roku Pańskiego 1895. Fabricjusz Kepeusz, emerytowany rektor szkoły parafialnej w Rudzie, na Szłssku Pruskim.

Owszem! Jednak to składnie napisane! Z trudem mu przyszło bo-yać się z owym polskim słowem, które przecież tak bardzo podane do lekko przeinaczonego słowa na lšsku, lecz teraz z zadowoleniem stwierdzał, że dał sobie z nim jako radę. Wzorował się ieco na Gdacjuszowej Postylli, na Zadiuszowej Muzyce Aniel-kiej i na Muthmannowej l ksišzce Wiernoć Bogu y Cesarzowi, siłował

przyswoić sobie gładkość języka z ksiżek Lompy, Ligo-ia, a przede wszystkim z dzieł księdza Norberta Bonczyka i jego onfratra księdza Damrotha, lecz żeby tak pisać, jak pisał jaki olski Mickiewicz, którego Pana Tadeusza w Miarkowym wyda-Lu mikołowskim kilka razy przeczytał tego już nie potrafi. W języku niemieckim przyszłoby mu to składnie], lecz on uparł ę napisać swój diariusz w języku zwyczajnym w Xionżyństwie złśskim”, jak to określił pastor Muthmann w Cieszynie. Zadowolony, głośnł się po łysinie, zapił piwem i diariusz w zie-nych okładkach włożył między inne zapiski w szufladzie. Potem siadł wygodniej w fotelu i zamylił się z ulgš. Wydawało mu się, i jego myli przybierajš kształt cegieł o wypłowiałej czerwieni, iwno układanych pod pion w długi jaki mur niewysoki. Za mu-m kłębiš się i szamocš przeróżne zdarzenia, obce i hałaliwe, po->bne do pijanej hałastry na jarmarku opolskim, w obrębie muru nastaje cisza i wszystkie wspomnienia stajš się zamylone Sos tajne.

Drgnł lekko, wspomnienia uciekły, bo spoza drzwi doleciało go płakiwanie dziecka. Lecz że płacz rychło ustał, uciszony miękkim asem niewiecim, umiechnł się nie wiedzieć do czego i znowu I zamylił.

Płacz dziecka przywiódł mu w wspomnieniu tamtš osobliwš wilę, gdy w ciepły wieczór majowy wyszedł przypatrzeć się rym błędnym ognikom między hałdami, czyli ignis fatuus, jak lubił nazywać po łacinie.

Elektor Prokop Slimok pysznił się bowiem swojš łacinš. Nauczył jej w gimnazjum opolskim, uzupełnił w seminarium duchowna we Wrocławiu. Nie skończył jednak teologii i zawiódł na-eje swojej starej matki, gdyż poszedł w wiat za jakš smagł1 Gdacjusz, Zasadiusz i Muthmann łšscy pastorowie z wieku XVIII, zšcy ksišžki dewocyjne po polsku dla łšskich ewangelików.

lica wietrznicš z cyrku, dla której stracił serce, oczekujšcš go sukienkę kapłańskš, a kto wie, czy nawet i nie duszę?...

Domine, libera nos a mało!...1 westchnł żarliwie półgłosem.

Owa myl przeleciała znienacka jak anioł z ognistym mieczem, poraziła tłum wspomnień i przepadła. Wspomnienia znowu ruszyły przed siebie, podobne do ludzi wracajšcych po pracy do domu.

Irmgarda dała mu wiele chwil radosnego zapamiętania i słodczy miłoci, przez wiele nocy czuł się jakby odurzony. Lecz potem nadeszła ostatnia noc!... Wstała ukradkiem nad ranem, zabrała mu wszystkie talary spod wezgłowania i uciekła. Gdy się zbudził, zastał koło siebie puste miejsce i zapach jej ciała. A potem jeszcze stwierdził, że pod wezgłowiem nie ma talarów! Stanł wtedy nad łóżkiem, w koszuli, rozczochrany i patrzc z niewymownym żalem na próżny mieszek po talarach, zawołał z goryczš:

Cur inšuit turbulentajn fecisti mihi ašuum bibenti!...2 Uważał bowiem, że Fedrusowym3 cytatem godnie opieje swój

ból serdeczny. Zapomniał, że Fedrus miał całkiem co innego na myli w swej bajce, kažc wilkowi w tak pdękných słowach przy-r ganiać owcom, że poniżej mšcš mu wodę w potoku.



Potem już nie wrócił do seminarium duchownego, bo brat fur-tian zatrzasnął mu bramę przed nosem. Stał się przeto bakałarzem w szkole parafialnej w Rudzie, gdzie w chwili gniewnego uniesienia wymyślał dzieciom po łacinie, dzieci za wytrzeszczały oczy i dziwiły się jego cudacznym biadoleniom.

Z czasem zdołał zapomnieć o smagłolicej Irmgardzie, nabrał pogardy do niewiast, zagrzebał się w starych szpargałach łacińskich, nabił sobie głowę różnymi herezjami, czytał jakie wywrotowe księżki, pokrzykiwał co w gospodzie o niesprawiedliwości społecznej, popierał swe obrazoburcze wywody łacińskimi cytatami, ludzie za słuchali go i kiwali głowami. Uważali go za lekko pomyłonego i współczując mu złorzeczyli tamtej wszetecznicy Irmgar-1 Panie, zbaw nais od złego!...

2 Dlaczego zmściła mi wodę, którą piję?

3 Fedrus rzymski poeta plebejski, bajkopisarz, wyzwolony niewolnik; żył w I wieku naszej ery.

# V

# T

zie, komediantce z wędrownego cyrku. Ona bowiem była wszystkim winna!...

Poza tym mieszyło jeszcze poniekórych, że swoje imię i naz-dsko tak dziwnie przemienił. Rektor Slimok za uczynił to celo-ro, wywodząc swoje nowe imię od kowalskiego zawodu swego oj-i i przekręcając je na Fabricjusza, nazwisko za klejąc niezdarnie łacińskiej nazwy limaka ogrodowego *cepaea hortensis* według -edniowiecznej manieri. Uważał bowiem, że brzmi to uczenie i że jedna mu większy respekt u ludzi nie tylko w zasmolonej Rudzie, ;cz nawet w Opolu i jeszcze dalej.

I on to zawołał na widok tańczących płomyków niebieskich ciemnej nocy:

Patrzcie, patrzcie!... To ignis fatuus!...

Potem w tamtś osobliwś noc majowś poszedł przypatrzeć się h tajemniczemu życiu. Wiedział, że niewiele już im go starczy, iż Koprzywnica wlewa się do szybu od dwóch tygodni. Chciał iść, jak będsz powoli konały. Tak konało bowiem w nilm wspomnienie o Irmgardzie. Irmgarda była takim ignis fatuus!!... ‘amidło przegrzeszone, wnuczka Lucypera, dzika diablica!... Splu-śł z odrazś.

I nie spodziewał się wtedy, że Monikę, tę wspaniałś Monikę mie-aanowłosś zastanie tam z Józkiem Kuliszem! Monika była córks tygara Bertholda z szybu Luizy. Ludzie patrzyli na niś z lękiem z podziwem. Jej miedziane włosy płonęły w słońcu, na skroniach adko uczesane, na karku rozwichrzając się w puszysty ogień, zepasane szafirowś wstśżkś. Szafirowy kolor jej sukni, szafiro-a wstśżka na głowie, biała cera, niebieskie oczy i feerwone, peł-i usta stanowiły co zuchwałego w owym zestawieniu kolorów ayły jakby odbiciem jej zuchwałego charakteru. Urzekła chłop-‘w i mężczyzn swojś niesamowitś urodś. Jej płonśce włosy pod-ecały ich pożśdania. Jej pełne, lekko rozchylone usta wodziły h na pokuszenie. Ona za szła przez Rudę dumna i wyniosła, itrśca na nich z pogardś. Kobiety odwracały się i pluły z zawi-i, że nie mogś być takie piękne. Z nikim się nie zadawała. Baby sierdziły z przekśsem, że czeka na hrabiego-Schaffgotscha. Pew-!go dnia zobaczy jś idścś koło szombierskiego zamku, poprosi do siebie i stanie się jego dziewczkś. Lecz nikt nie wiedział, że

# !2

stary hrabia Schaffgotsch już jś był spotkał, że zlął z konia z trudem, że jś pogłaskał po twarzy, że jś chciał pocałować i że go trzasnęła pięciś w twarz, aż mu monokl wyleciał z wybałuszonego oka. Jej ojciec, sztygar Berthold, stracił wtedy pracę na Schaffgotschowych kopalniach, uzyskał jś na Winklerowym szybie Luizy. I ta dumna Monika, wyniosła i podobna chyba do Sulamit-z Pieni nad pieniami Salomona lub do biblijnej Salome domagając się głowy świętego Jana, ta tajemnicza i podziwiana przez rektora limoka Monika spotykała się teraz obok tamtych ignis fatuus z Józkiem Kuliszem!... O, horror!... 1

Spoczywali w trawie, opętani swś miłociś, odgradzeni od wiata, lepi na szare, ludzkie sprawy.

Niebieskie płomyki tańczyły koło nich jak stadko radujących się szatanów, Monika leżała na wznak, z rozrzuconymi włosami, a Józek Kulisz szeptał jakieś słowa nabrzmiałe miłosną ekstazą.

Chciał wtedy pomyśleć, że Monika to Venus Vulgiva<sup>2</sup> i dziwnie zabolęło go serce. Jakby ów widok nasypał w nie rozżarzonych żużli. Lecz potem ocknął się z krótkiej bolesnej zadumy i pomyślał z ulgą za Wergiliuszem mędrze i wyrozumiale:

Varium et mutabile semper femina!...<sup>3</sup>

A potem mruknął smętnie:

Pulvis et umbra sumus!\* -i- westchnął, spojrzawszy jeszcze raz na Monikę. Monika umięknęła i cicha, pokorna i łagodna, głaskała czarną czuprynę Józka i przygarniała jego głowę do piersi. Niebieskie płomienie przemieniły jej miedziane włosy w ciemny, błyszczący brąz, jej twarzy nadały księżycowy poblask, że wyglądała jakby umarła, a niebacznie podpatrzone miłosne misterium napełniło rektora dziwnie jasnym wzruszeniem. Odszedł na palcach, jak najciszej, by nie spłoszyć tamtej godziny.

Dzisiaj Monika mieszka u niego.

Ojciec wypędził ją z domu i wyrzekł się jej, gdy dziecko przyszło na świat. Za namową rektora nadano mu na chrzcie imię Ignacy. Tłumaczył długo Monice i Józkowi, że dziecko zostało po-1 O, zgrozo!

2 Młodość niestała, nierządna w przenośni nierządnicą.

3 Kobieta jest zawsze chwiejniejsza i zmienniejsza istota.

4 Jestem pyłem i cieniem.

123

1

?te w otoczeniu płomieni, ignis jatuuś, i że od słowa ignis łatwo oprowadzić szlachetne imię Ignacy. Dziecko przejęło z nich chytliwy kolor niebieski w dużych, zdumionych oczach. Włosy zażyły kolor starego złota.

Monika chciała się utopić w stawie pod hałdą, lecz rektor Kepez zdołał ją namówić, by poszła do niego.

Jestem stary... sam jestem!... Będiesz dla mnie, jakby by moim dzieckiem... A gdy się pobierzecie, ty i Józek, także u mnie staniecie. Józka uczyłem i ciebie uczyłem...

Monika zgodziła się. Rektor Kepez-Slimok rozrzewnił się bar-), bo ujrzał się w roli romantycznego bohatera z powieści kurnej na odpucie w Opolu. Powieść była zaopatrzona w piękny układ: Hrabina-żebaczka, czyli miłość zwycięża. Działo się w niej i wie to samo, co teraz przeżywał. Monika to hrabianka, Józek to wyblęda tajemniczego pochodzenia, miłość i dziecko, podobnie : w

tamtej niezrównanej powieci a Fabricjusz Kepeusz to ry pustelnik w lesie. W powieci dziecko wyrosło na znamieni-0 rycerza, rektor limok za wychowa dziecko Moniki na rewo-jonistę!... Tak, na rewolucjonistę!... Przyjdzie bowiem chwila, rewolucja nadejdzie, a Ignacy będzie jej przewodził! Na baryły!... Czerwony sztandar!... Allons enfants de la patrie!... 1 Aux eaux!... Na latarnię!... Niech żyje wolność, równość i bra-stwo!...

lektor biegał po pokoju i wykrzykiwał zapalczywie tamte gro—

1 słowa, zaciskał pięci Ęmad głowš, groził komu, podbiegał do wartej ksišżki i tulił jš do piersi. Ksišżka za prawila mu w spo—

twardy i logiczny o ludzkiej krzywdzie, która musi być znie-la. Ignacy jš zniesie!... On, stary, emerytowany rektor rudzkiej oły, Fabricjusz Kepeusz, wychowa z niego znamienitego ryce- , , takiego drugiego jakoby więtego Jerzego, który pognębi smo—

Smokiem jest wyzysk robotnika, niesprawiedliwość społeczna, ę tym Jerzym będzie rewolucjonista Ignacy, poczęty wśród hałd (toczeniu ignis jatuus!... ia godzinę powinien wrócić Józek ze szychty.

Naprzód, dzieci ojczyzny!” dosłownie tłumaczony poczšte francu-j pieni rewolucyjnej, Marsylianki.

Rektor spojrział na zegarek. Istotnie, za godzinę powinien wrócić!... Czeka na niego miedzianowłosa Monika z synaczkim Igna-siem!... Przyjdzie umorusany, gwałtowny i radoci pełny, liczny jak młody Hefajstos z Hadesu, gdy jeszcze nie był kulawy. Monika będzie na niego krzyczała, że pobrudzi jej dziecištko łapami od węgla, że umorusze je twarzš czarnš od pyłu, że mu kosteczki połamie!... A Józek wcišż całuje dziecko, całuje Monikę i mieje się z nieopanowanego szczęcia!...

Umiechnšł się rektor do tych obrazów, codziennie podpatrywanych przez szparę w odchyłonych drzwiach.

Amor omnia Vincit!1 szepnšł i sięgnšł po rebelianckš ksišżkę w szarej okładce. Przeczyta jeszcze ten rozdział, a chociażby fragment z owego rozdziału, który prawi uczenie i przekonywajšco o podziale dóbr. Bo potem juź nie będzie można czytać. Gdy bowiem minš chwile powitania, Józek zacznie grać na harmonice. Nikt tak nie gra na harmonice jak Józek Kulisz!... Przytknie jš do ust, podmucha raz do tej dziurki, potem do innej, jakby szukał odpowiedniej nuty, a następnie zacznie grać. Nakrywa dłoniš, rozwiera jš, potrzšsa palcami, zamyka w garci, a spomiędzy palców tryska muzyka jak płynny kryształ przeplatany tęczš!..- Wtedy dziejš się dziwne rzeczy ze starym sercem rektorskim... Monika za siedzi na zydelku koło pieca, trzyma dziecištko na kolanach i zapatrzona w Józka słuca urzeczona. Jej włosy płonš złotem, oczy płonš błękitem, rozchylone usta płonš czerwieniš!... A dziecištko patrzy Wielkimi zdumionymi oczami pełnymi chybotliwego szafiru i słuca... Józek Kulisz za gra!...

Mijały tygodnie, mijały miesiŃce.

Ruchomy pływajšcy pomost w szybie dygotał rytmicznie pod dwiema elektrycznymi pompami, opuszczał się coraz głębiej, a ludzie stojšcy na nim patrzyli zdumieni na olizłe ciany szybu.

Wynurzały się z czarnej wody obwieszane jakimi dziwnymi glonami i upstrzone szarymi muszlami. Ludziom wydawało się, że zstępując w zawiąty, w otchłanie ciemności i ciszy. Woda chlupotała na brzegach pomostu, motory grały wysokim, jęklwym tonem, a grube rury, opuszczające się z pomostem, dudniły mrukliwym basem. Kopalnia zmartwychwstawała.

1 Miłość wszystko zwycięży!

125

HHte

W miarę opuszczania się pomostu, w miarę ubywania wody 7 szybie wizja żywej kopalni nabierała wyrazistoci. Józek Kulisz ibił chwilami zapatrzeć się w gwiazdy nad sobą. Wskazywał je 3warzyszom.

ŚŚ Patrzcie! Nad nami gwiazdy!... wołał. Podnosiły się głowy, przechylały do tyłu, a oczy wyluskiwały drobnego kwadratu nieba mrowie mrugających gwiazd. Kwadrat ieba tkwił strasznie wysoko nad nimi, a gwiazdy były jeszcze

Ś Kiż diabli? Przecież na wierzchu wieci słońce, a my widzimy wiazdy!... dziwili się towarzysze.

Widzimy!... potwierdzali inni i nie ledzili przyczyny tego sobliwego dla nich zjawiska. Było im dobrze z gwiazdami.

Iz najgłębszej otchłani zawsze można dostrzec gwiazdy nad >bś! rzekł tylko stary Broda. Pamiętaj o tym, Józku!...

Józka zastanowiło to powiedzenie. Niby nic w nim nie było, jednak co było. Jaka prosta mśdroć życiowa. I z najgłębszej ;chłani zawsze można dostrzec gwiazdy nad sobą!..." Pięknie to wiedział stary Broda, człek stateczny i dobry towarzysz.

Kiedy bierzesz lub z Monikš? zapytał, gdy znajdowali się iż blisko podszybia. Pomost wciśz dygotał rytmicznie, woda ciśz chlupotała, tylko zdawała się być ciemniejsza, gwiazdy za

kwadracie nieba janiejsze.

Wezmę... Gdy zarobię i co zaoszczędzę.

Mieszkasz z niś u rektora limoka?

Mieszkam...

Dziecko zdrowe?

Zdrowe.

Czemu jś stary Berthold wypędził z domu?

Bo to Niemiec, a ja jestem Polakiem!...

Aha! Takim lśskim Polakiem?

Takim lśskim Polakiem!

Monika miłuje ciebie?

Miłuje!

A ty?...

I ja jś miłuję!

Daj ci Boże szczęście! Pójdę ci za starostę!

16

ŚŚ Dziękuję wam, Brodo!...

Kulisz pomyślał, że Monika istnieje w jego życiu jak tamte gwiazdy w kwadracie nieba widziane z głębi szybu. Chciał o tym odkryciu powiedzieć Brodzie, lecz wstrzymał się, w obawie, że to mieszne. O takich sprawach nie powinno się mówić. To jest tajemnica zagrzebana w sercu. Serce za powinno być chropowate i kanciaste. Jak bryła węgla!...

Pomost opuścił się wreszcie do podszybia na pierwszym poziomie. Z przekopu ciekła woda brudna i gęsta, leniwa i cuchnąca. Długo to trwało. A gdy wreszcie wyciekła, pomost za jśł się obniżać poniżej pierwszego poziomu, ruszyły pierwsze drużyny w przekop. Na przedzie dwóch inżynierów i kilku sztygarów. Wszyscy szli powoli, ostrożnie. Owiecali ciany, owiecali spąg, pukali kilofami w strop i radowali się głośno, że strop dzwoni, że nie grozi obwałem. Stopy tonęły w gęstym mule. Mijali spalone stemple i stropnice. Czasem musieli przełazić na czworakach przez drobny obwał, jakie nieznaczące usypisko. Zagroziła im drogę barykada uczyniona z przewróconych wagoników. Wagoniki były żelazne i przepalone, w wagonikach za czernił się koks. Nie węgiel, lecz koksL. Za barykadś leżały konie. Były to raczej mieszne kukły w kształcie drobnych koników. Łby były tylko duże, wyszczerzone czarne zęby. Końskie truchła, dotknięte butem, rozsypywały się w czarny, wilgotny popiół.

Drużyna dotarła do pokładu Joanny. Wejcie było zawałone, węgiel spalony na czarny, porowaty żużel.

Drużynie chodziło o to wejcie do pokładu Joanny. Nie było trzeba zbyt się namyślać i medytować. Każdy widział, że chodnika nie będzie można odbudować. A więc popędzi się nowy chodnik, trzy metry na prawo od spalonego. Równocześnie podobny chodnik rozpocznie się pędzić z prawej strony przekopu, we wschodnie pole.

Mijały tygodnie, mijały miesiące.

Józek Kulisz zjeżdżał codziennie do szybu Arnolda, wędrował z towarzyszymi do pokładu Joanny i mozolił się z innymi rębaczami nad wdzierkę do nowego chodnika przewozowego.

Malutki Ignacy, o szafirowych oczach i o czuprynce koloru starego złota, wołał już na niego tata!” i wrywał się doń z ręk Mo—

127

liki. Od miesiśca byli po lubie. Stary Broda był im za starostę weselnego wraz z rektorem Slimokiem. Rektor Slimok wygłosił niesłychanie liczną orację weselną, przeplatając ją gęsto łaciną.

Kopalnia Arnolda zaludniała się górnikami, wypełniała łoskotem iowych maszyn. Maszyny czekały i wgryzały się z łatwością w węgiel. Pierwsze wagoniki z urobkiem wynurzyły się w win-izie na powierzchnię. Robotnicy wierzchowi brali do ręki kęsy wę-;la, oglądali je, patrzyli wzruszeni, lecz wzruszenia nikt nie okazał, /faskowali je rubasznymi uwagami i przegradzali pierunami.”

Oto pierwszy urobek z pokładu Joanny!...

Węgiel jest tłusty, lekki, łuszczy się, wyblaskujący miejscami łocistymi płatkami pirytu. Węgiel pachnie słodkawym czadem. My weń uderzyć młotkiem czy kawałkiem żelaza dzwoni. Ton est czysty i jasny.

W biurze dyrektora Jeschonika zebrali się inżynierowie i głowili się nad starą mapą kopalni. A przede wszystkim nad mapą pokładu-u Joanny. Wytyczając przyszłe chodniki, pochylnie, upadnice, Tzecinki, wiatrowe i diagonale. Rysując przyszłe filary. Zastanawiając się, czy nie uda się wykorzystać gdziekolwiek starych chodników i ganków. Lecz trudno o tym myśleć. Pożar i woda dokończyły zniszczenia. Przypuszczalnie wszędzie jest obwał. Korzystajciej pędzić nowe chodniki, o kilka metrów na prawo czy na Lewo d starych chodników i ganków.

Gdzie koło uskoku leżą tamci trzej górnicy... zauważył ztygar Wujek.

Ś Jeżeli przypadkiem natrafimy na ich zwłoki, zostaną wydo-yci i pogrzebani na cmentarzu! odpowiada sucho dyrektor eschonik. Uważam jednak, że już ich nie znajdziemy. Spalili ich, zasypani...

Główny chodnik przewozowy, pędzony w zachodnie pole, do-irł do pierwszej pochylni. Pochylnia była jak słusznie przy-uszczano spalona. Trzeba będzie przebić się na poprzek przez bwał, mocno podbudować, stemple i stropnice ustawić gęsto obok siebie, a następnie rozpocząć wdzierkę do ^calizny węglowej po rugiej stronie przekopu.

Posypało się rumowisko, wionęło na ludzi stęchłym czadem spalenizną. W stropie otworzyła się obszerna czarna czeluć. Od—

28

budowa czterometrowego odcinka na poprzek pochylni pochłoneła dużo drzewa. Górnicy wdziawali na siebie aparaty tlenowe, brali elektryczne lampy i wstępowali po drabinach w oberwane piętro. Czeluść w pięttrze pochłaniała stemple, nienasycona i wciśz groźsca oberwaniem się wiszycznych głązów piaskowca. Obrzynki, stemple, połamane stropnice, odpadki wszystko pchano w czeluść, podbijano, umacniano, wypełniano szczelnie. Owa cudaczna nadbudowa spoczywała na gęstym rzędzie stropnic, poprzeczne stropnice za na mocnych, dębowych stemplach. Za stemplami utworzono przepierzenie z grubych tarcic.

Gdy szychta miała się ku końcowi, a zmęczeni górnicy przytaczali kęsy piaskowca pod cianę i siadali ciężko, by odpocząć, Józek Kulisz grał na ustnej harmonice.

Sprzymierzenie ciszy z ciemnościś tworzyło otchłań wypełnionš po brzegi nieodgadnionymi znakami. Istnienie ich stwierdzać można było podświadomym czuciem. Jakie one były, skšd przyszły, co przepowiadajš nikt tego nie umiał ni nie kusił się odgadnąć. Gdy ustał zgiełk pracy, gdy ludzie ciszyli oddechy, gdy już nie szeleciły jak roztrścane suche licie w lesie, wtedy mrok tężał, a w mroku zawisały nie wypowiedziane słowa i nie dokończone szmery. Były to pozostałoci po tamtych towarzyszach, którzy tu byli, a dzisiaj już ich nie ma. Myli, oddechy, drgnienia serca, spojrzenia znużonych oczu, spłowiały płomyk kaganków, wysiłek mięni, zduszony krzyk, zapach potu wszystko tkwiło w mroku. Naiwna muzyka Kulisza wskrzeszała je, pozwalała im zmartwychwstawać, jakby samym tylko mizernym dźwiękiem harmoniki poruszał się kamień na ich grobowcu, odwalał szeroko, a one wynurzały się z głębi grobowej pieczary.

Nikt z towarzyszy nie rozumiał, dlaczego muzyka Kulisza jest inna w kopalni aniżeli na powierzchni, w słońcu. Przecież wygrywa te same melodie, które po tylekroć słyszeli w karczmie, pod cianš rudego domu czynszowego, na miedzy czy pod hałdš. Kulisz tak samo dmucha w dziurki harmoniki, tak samo nakrywa jš dłoniš, potrzebša zabawnie palcami i tak samo urabia nimi melodię, jak to czyni na powierzchni, a jednak pod ziemiš wypada to inaczej! Czemuż tak się dzieje?...

Siedzieli oparci o cianę węglowš, przechylili głowy do tyłu, in-

## 9 Pokład Joanny

129

opucili je na piersi, inni jeszcze podpierali dłońmi i słuchali. zy niczego nie widziały. Byli jak lepcy, którzy słyszš w dwój-sób i to im wystarcza. Kulisz myślał o Monice i o Ignasiu.

Potem wracali pod szyb, spotykali się na przekopie z kamrata-, witali twardymi słowy, omawiali swoje zarobki i klęli. A na-ipnie stawali w windzie i czekali, sko.ro winda poderwie się i po-:i na powierzchni. Czatowali z utajonš radociš na chwilę, której słońce chłunie im w oczy. Słońce albo zachodziło, albo chodziło. I zawsze było jakby popiołem przyprószone. Długo yało, zanim nabrało dla nich blasku prawdziwego słońca. W mie-cach zimowych za nie było słońca, lecz szare zmierzchy. Dla Kulisza było zawsze słońce w domu. Mawiał żartem do Mo-d, że mu je zastępujš jej miedziane włosy. Przygarniajśc jš do fcie zanurzał w nich palce i słuchał ich jedwabnego szelestu. Józek Kulisz



niechętnie zdradzał się przed towarzyszami, że Mocš jest mu wszystkim. Towarzysze bowiem byli skorzy do kpin lomiewania się z niego, twierdzili, że Monika go urzekła, że jej dniczka mu wystarczy do szczęścia, między sobą za twierdzili, gdyby taka Monika pojawiła się dawniej, z pewnością spalono ją na stosie jako czarownicę. Jej włosy bowiem wskazują, że to ca osobliwa stwora, niezwykła i niebezpieczna.

Urzekła go i synek stracił dla niej głowę!... mawiali jedni,

Zadała mu jakie czary!...

To grzeszna stwora! mawiali jeszcze inni. Do kocioła i chodzi, tak długo żyła z nim na miarę, Germanka...

Przecież ona nie jest Germanka! próbował jeden i drugi >nić. Po polsku mówi, ojca Germana wyrzekła się...

To on się jej wyrzekł!

Ale powiedzcie mi, o co wam chodzi? zapytał jednego razu iry Broda. Przecież chłopiec porządny, nie łązi po karczmach, ; przepija zarobku, nie ma zowitki... Co chcecie od niego?...

Dawniej trzymał z nami, a teraz taki z niego samojednik!...

Nie przychodzi na zebrania robotnicze!...

lak, nie przychodzi na robotnicze zebrania! Na wiecie wciśz zetaczały się wypadki, na,rastały bunty, pęczniały krzyki, lu-ie usiłowali znaleźć wyjście, zwoływali się, naradzali, wzajemnie

przekonywali, że trzeba stworzyć jaki jeden wielki zwiśzek, któ-ry by bronił praw robotnika, a Józka Kulisza to nic nie obchodzi. Przyłgnął do Moniki i wiata za niś nie widzi. A mógłby taki bystry człowiek niejedno pomóc, gdyby tylko chciał!...

Rektor Fabricjusz Kepeusz czynił to za niego. Chodził po karczmach i podjudzał górników do rebelii, krzyczał, że panowie sš krwiopicjami, że trzeba zrobić porzśdek na wiecie, że to jest niesprawiedliwość, by jeden miał tak dużo z ludzkiej krzywdy, a drugi zdychał ze swoich nędznych zarobków, i że gdy tylko malutki Igna doronie, to on już pokaże, co potrafi ho! ho!...

Ludzie mieli się ze starego rektora rudzkiego, uważali go za pomyłonego i zdzieciniałego, złorzeczyli jakiej Irmgardzie z cyrku, podobnej chyba do Moniki, lecz gdy potem rozważali jego słowa, czupurne i przetykane łacinš, dochodzili do wniosku, że słusznie krzyczy. Zresztš, co tu gadać! Jest le i zbyte! Wciśz tych dwanacie godzin pod ziemiš, wciśz te same szalbierstwa z akordem i dyngiem, wciśz to obrywanie zarobków i wyrzucanie z pracy za czytanie polskich gazet robotniczych w kopalni!... Jasny\* pierun by strzelił!...

Lecz jak bardzo zzymali się na Kulisza po karczmach, tak bardzo go cenili pod ziemiš. Wszyscy przepadali za jego muzykš. Kulisz za nie skšpił im tej radoci. Grał im pod szybem, gdy czekali na sztygara, grał w przodku, gdy odpoczywali pod cianš, i grał wtedy, gdy wracali po szychcie pod

szyb.

Główny chodnik przewozowy wydostał się już za trzeciś pochylnię i teraz inżynier Racek przekonał się, że nie wystarczy przepierzenie do przewietrzenia przodka, że trzeba szukać starego chodnika wentylacyjnego. Według mapy powinien być w tym miejscu, gdzie się kończy przodek. Chodnik będzie z pewnością zawalony, lecz znów nie do tego stopnia, by pewna część zużytego powietrza nie przeszła tamtędy pod szyb wentylacyjny.

A może by tak dobić się do uskoku, panie inżynier? zauważył Broda. >

Jak to mylicie?

Bo wiem, że wzdłuż uskoku była wiatrowa... chodnik wentylacyjny! poprawił. I ten chyba nie będzie zawalony... Chociaż, kto wie?

131

Więc jak? nalegał inżynier.

Bo widzi pan inżynier, tylko prawa strona chodnika była wę-[lowa, lewa to już był uskok. Kamień. Lecz strop był diabła war-y!... Jeżeli stemple spalone, a spalone będą na pewno, to można ię oszydzić... Niech już tak będzie, jak pan inżynier myli...

Lecz inżynier już postanowił. Wydzielił dwie drużyny. Jedna bę-Lzie przebijała się pochylnię pod górę, druga popędzi nadal cho-inik poziomy. Upewnił się, ile jeszcze metrów do uskoku. Długo nierzył na mapie, medytował sumował i klął. Siedzcy obok nie-o Broda wiecił mu i milczał. Potem zauważył spokojnie:

Ja wiem, ile metrów!

Więc ile?

Trzydzieci i dwa!

No tak!... Powinno się zgadzać! mruczał inżynier zestawia-śc swoje obliczenia.

Tylko jedno, panie inżynier!

Co takiego?

Przy uskoku sš gazy!... Schlagende Wetter!... dodał po iemiecku.

Skšd wiecie?

Przecież w pokładzie Joanny pracuję od trzydziestu lat!... To obrze wiem!

Inżynier Racek pracował na Arnoldzie dopiero od czasu jego odwodnienia. Nie mógł przeto

wiedzieć, iż koło uskoku znajduje się sędę letan. I dlatego też rad był uwadze dowiadczonego Brody. Po;anowił radzić się go w każdej trudniejszej sprawie górniczej.

Nowy chodnik przewozowy był szerszy od poprzedniego. Był Dliczony na dwie pary toru, obudowywany stemplami i stropni-imi nasyconymi chemicznymi roztworami, by je zabezpieczyć rzed gniciem. Poza tym użyto do jego odbudowy najgrubszych empli. Wszystko to sporo kosztowało i stary graf Ulrich Schaff->tsch narzekał przed dyrektorem, że zbankrutuje z powodu tam-go przekłętego pokładu Joanny. Gorzej jednak było z przewie-zaniem. Zbudowane rodkiem chodnika przepierzenie już zawo-dło. Deski, które z poczstku przylegały szczelnie do siebie, zdo-ły się już zeschnść, wypaczyć, porobiły się szczeliny i wszelkie tmazywianie ich wilgotnš glinš niewiele skutkowało. Gлина wysychała, pękała i powietrze przeciekało po drodze. Sprowadzono więc lutnie” z lekkiej, pofałdowanej blachy, zawieszono pod stropem, połączono i u wlotu wpuszczono zgęszczone powietrze. Struga powietrza, podobna do nikłej pary, ryczała przeraliwie i oblepiała szronem kurek i wlot lutni. Lecz powietrze zdołało przepchać się do przodka, by potem po drugiej stronie przepierzenia wracać ociężale na przekop i czołgać się odbudowanym chodnikiem do szybu wentylacyjnego.

Główny chodnik przewozowy miał być doprowadzony do uskoku, potem miano przebić uskok i chodnik poprowadzić aż do granicy pokładu. Następnie poprowadzi się pochylnie w górę pokładu i dotrze z nimi, jak daleko się tylko da. Wiedziano bowiem, że pokład Joanny dochodzi pod powierzchnię, że kończy się na kilka metrów pod niš, lecz że jego wartość kaloryczna w tamtym odcinku będzie już znikoma. Po długiej naradzie z inżynierami i sztygarami dyrektor Jeschonik postanowił, że wydobywanie węgla z pokładu Joanny wstrzyma się na głębokoci osiemdziesięciu metrów.

I dyrektor Jeschonik również zadecydował, że wybierkę pokładu rozpocznie się poza uskokiem, od granicy pokładu. Odbudowie ulegnš najpierw filary nad głównym chodnikiem przewozowym, następnie przejdzie się do filarów poniżej chodnika. Lecz z tych filarów urobek będzie opuszczany upadnicami do drugiego poziomu. Drugi poziom jeszcze zatopiony, lecz do tego czasu, do wyczerpania się filarów .powyżej chodnika, drugi poziom będzie już dawno odwodniony.

Dyrektor Jeschonik był ambitny. Przewędrował kęs wiata, natrudził się w niejednej kopalni walijskiej, francuskiej i westfal-skiej, postanowił przeto szyb Arnolda uczynić kopalniš rentownš, nowoczesnš, zaopatrzonš w maszyny. Z tymi ludmi za, jakich tu spotkał, wszystko zrobi. Takich górników mogliby mu pozazdrościć Anglicy, Francuzi i Niemcy. Potulni, pobożni, pracowici, przede wszystkim pracowici, a chociaż tam czasem pokrzykujš gronie po pijanemu i obiecujš straszne rzeczy, można się z tego mieć!...

Ufny w swe dowiadczenie górnicze i obdarzony trzewociš w obliczaniu planów na przyszłość, wierzył, że szyb Arnolda po dwóch, trzech latach nierentownoci przemieni się w prawdziwš kopalnię złota. Zdawał sobie sprawę, że to przesadne okrelenie, lecz wiedział również, że węgiel z pokładu Joanny nie ma równe—

go sobie na łsku. I chociażby wszystkie kopalnie stały z powodu braku zbytu, jego Arnold będzie pracował!... Przecież to najlepszy koksujący węgiel w całym Zagłębiu łskim!... Tantiemy będą rosły z każdym rokiem, zaoszczędzi na czarns godzinę niezgorszy kapitalik, co mu się zresztś słusnie należy po tylu latach głodowania w szkołach rednich i w akademii górnicej i po tylu latach poniewierki w kopalniach zagranicznych. Z pobłażliwym umiechem wspominał swego ojca, kunika Jesionka w hucie Fitznera w Siemianowicach, i swoje pacholece lata, gdy biegał w zrolokach, w ubranku kupionym na jarmarku bytomskim, a pode bnym do kombinezonu, z wysterkujcs koszulś na tyłku, lub gdy pasał kozy na siemianowickich hałdach. A dzisiaj jest dyrektorem kopalni!... I to jakiej kopalni!... Nazwisko zdołał zmienić już w gimnazjum gliwickim, gdyż było kompromitujśce. Narodowoć... Nie, narodowoci nie zmieniał. Czuł się Niemcem, od chwili gdy opucili siemianowickś szkółkę parafialnś. A zresztś trzeba temu służyć, czyj chleb się je!...

Poza tym głupstwo wszystko! Wspomnienia, pacholece lata, ojciec kunik Jesionik Błażej, narodowoć... Najważniejszś rzeczś pokład Joanny! Niepokojś go tamte przekłete gazy za uskokiem, o których mu tyle naopowiadano i o których naczytał się tyle w sprawozdaniach poprzednich dyrektorów. Metan, pył węglowy, wybuchy, pożary, stracone tantiemy!... Będzie musiał dbać o przewietrzanie pokładu Joanny! Nie ma rady!... Inaczej wszystko mogś diabli zabrać! A ludzie?...

Machnś niedbale dłoniś i zjechał do kopalni. Zwiedził pokład Joanny, obejrzał roboty. Niewiele tam było do zwiedzania i oglśdania. Główny chodnik przewozowy, docierajcy czołem do uskoku, przebijanie pochylni poprzez stary chodnik przewozowy i szukanie starego chodnika wentylacyjnego... Inżynier Racek dobrze wszystko obmyla. Kazał pobrać próbę powietrza w przodku chodnika. Analiza wykazała, że ilość tlenu dostateczna, że trochę za dużo dwutlenku węgla, lecz da się wytrzymać. Poza tym zbyt wysoka temperatura! I za dużo wilgoci w powietrzu. Ludzie szybko się męczś i wydajność ich opada!... Najlepiej trzyma się tamten czarny diabeł z harmoniks. Już zdołał się dowiedzieć, że to ów Józek Kulisz, któ,rego żona... Ha, wspaniała kobieta!... Co za włosy!... Jak

licznie zbudowana!... Te usta!... Wenus kapitolińska!... I to, psiakrew, taki zasmolony górnik owś kobietę posiada!... Warto go mianować dozorcś, sztygarem, by jś posiść!... Jeszcze zobaczy!...

Palily mu się w oczach jej włosy, ogarneła go krwista požoga, wzburzona krew szumiała z chrzęstem. Podobały mu się również inne dziewczyny, upatrył sobie ograbulę Jankę z mostu, popychajcs wagoniki, z węglem od szybu do sortowni, lecz jej się ani umyć do tycjanowskiej Wenus z górnicej kolonii' pod hałdś!...

Lutnie w chodniku okazały się doskonałym rodkiem dostarczajcy powietrza górnikom w przodku. Kłopot był tylko z przewietrzaniem pochylni zmierzajścej do odszukania starego chodnika wentylacyjnego. Pochylnia minęła już dawno stary, zawalony i spalony chodnik przewozowy, teraz posuwała się w cali nie węglowej. To nie była pochylnia' lecz raczej zwykły chodnik wiodścy z upadku pod górę. Inżynier Racek musiał tu zastosować cały system drzwi takich i owakich, które by regulowały przewietrzanie, doprowadzić częć cennego powietrza do czoła pochylni, wskutek czego ciejszał dopływ do przodka głównego chodnika. Poza tym nie można było utrafić na właciwy kierunek. Dopiero stary Broda zdołał to uczynić. Obejrzał dokładnie mapę, wymierzył kawałkiem

sznurka, przeliczył na metry, odmierzył krokami i powiedział, że pochylnię muszę poprowadzić lekko w skos na prawo. I po trzech dniach rębacze przebili się do spalonego chodnika wentylacyjnego. Istotnie, był zawalony, lecz między oberwanym stropem w piętrze a rumowiskiem było tyle przestrzeni, że wiatry mogłyby tamtędy przechodzić. Miałyby krótszą drogę do szybu wentylacyjnego, a tym samym górnicy w przodku mieliby więcej wieżego powietrza.

Po tygodniu Broda ze swoją załogą dotarł do uskoku. Wszystkie roboty szły składnie, według planu dyrektora Jeschonika. Dyrektor zjechał do kopalni, obejrzał robotę. Pokiwał głową, pochwalił Brodę, popatrzył bystro na Józka Kulisza. Kulisz stał półnagi, specony i c?arny, patrzący spoza łba na niego.

Wy jesteście Kulisz? zapytał.

Ja jestem Kulisz, panie dyrektorze!

Hm, dobrze!... A jak wam się powodzi?... Zadowoleni jesteście z zarobku?...

135

Kulisz zacisnął usta i milczał.

- Możecie zarobić więcej, Kulisz! zaczął znowu nie zrażony dyrektor. Ale co chciałem powiedzieć. Wy, Broda... wy pójdziecie za przodownika do wiatrowej, a przodownikiem w chod-u zostanie Kulisz! ... Od tej chwili. Uważajcie, co wam powiem, Kulisz!... Teraz będziecie kopali wzdłuż szprunku...

- Wzdłuż uskoku!... poprawił go Kulisz.

- Na diabła mi wasze polskie uskoki!... zachnął się dyrektor. Wzdłuż szprunku, powiedziałem! Przebijcie się do starej wiatro-... Tam powinna być wiatrowa! Tak stoi w mapie! Od jutra za-nacie robotę! Gliick auf!... i rzucił i poszedł.

Wtedy załoga Brody wracała po szczybie pod szyb, Kulisz nie grał po drodze na harmonice.

- Czemu nie grasz? zapytał Broda.

- Eh, jasny pierun! mruknął niechętnie Kulisz. Powiedz-mi, Brodo, dlaczego dyrektor mianował mnie przodownikiem? przecież jest wielu starszych. Ja jestem najmłodszym rębaczem!...

to rozumieć?... ‘

Broda zatrzymał Kulisza. Przepucili wszystkich towarzyszy, ;dli pod cianą.

- Słuchaj, Józku!... Wiesz, że ci dobrze życzę! Nie miej mi za tego, co ci powiem!... Chcesz wiedzieć, dlaczego dyrektor

Jeschonik mianował cię przodownikiem?... To ci powiem. Bo ty iż młodszy i najładniejszą dziewczynę za żonę!...

- Co prawilicie? -r-krzyknął Kulisz i zerwał się gwałtownie.

- Powoli, synku, powoli!... I co ci jeszcze powiem... Dyrektor :honik to znany babiarnik! Lata za każdą spódnicę... Twojej Mo-i już dawno się przypatruje i ogląda za nią, gdy ją spotka!... riesz, synku, uważać!... A jak co... Pamiętaj. Możesz liczyć na niego!... W kopalni łatwo o wypadek... dodał tajemniczo. Oczywiście błysnęły jak u zbójcy. Wstał i pociągnął za sobą Kulisza. Już czas, by nocna zmiana zjeżdżała do kopalni.

ulisz objął przodownictwo w przodku, w gryzał się widrami aliznę węglową, zapamiętywał się w pracy, a w chwili odpoczynku siadał na uboczu, lecz nie grał.

Szczęć Boże! pozdrowienie górnicze.

Temu pierunowi pizło co do głowy... mruknął Kostrzewa, gdy się to dwukrotnie powtórzyło.

Co mu pizło do głowy? zapytał kto z mroku.

A że taki młody chwant, a już został przodownikiem!...

Nie każdy ma tak szwarską babę jak on!... miech zarechotał w przodku.

Kulisz nie słyszał ich rozmowy. Gryzał się myślami. Od pewnego czasu jego Monika zmieniała się. Zapamiętanie miłosne u niej przekształciło się w oziębłość, ba, nawet w opryskliwość. Coraz częściej robiła mu wymówki, że mało zarabia, że nie ma się w. co porządnie ubrać, że ją męczy to ustawiczne pranie pieluch i jego brudnej bielizny, że ma dosyć takiego życia. Usiłował ją udobruchać, przyciągał do siebie, całował. Odsuwała się od niego i cierpiącym głosem domagała się, by jej dał spokój. Kulisz z przerażeniem spostrzegał, że jej miłość do niego wypala się z dniem każdym. Pozostaje gorzkość i niesmak.

Zabiję pieruna!... warknął zniechęcony, myśląc o Jeschoniku. Broda obejrzał się, podniósł lampę, owiecił jego twarz.

Głupi jeste mruknął. Lecz co ci powiem, to ci powiem, Józku!... Licz na mnie!...

Przodownik Kulisz, ze swoją załogą docierał wzdłuż uskoku do starego chodnika. Żałował, że nie ma koło niego Brody. U swojej gromady spostrzegał wyraszącego niechęć. Rozumiał, że to był ich żal czy zgoda zawiść, że on, najmłodszy rębacz w przodku, nieoczekiwanie zajął tak ważne i odpowiedzialne stanowisko. A gdy sobie uprzytomnił, za jaką cenę owo stanowisko uzyskał, rosła w nim nienawiść do dyrektora Jeschonika.

Zabiję pieruna! meł w zaciniętych zębach i prał kilofem spoza głowy w kruszejść cianę przodka. Towarzysze nie mogli za nim nadżyć i coraz mnożyły się ich pomruki i zjadliwe uwagi.

W końcu najstarszy z nich, Kabiesz, nie wytrzymał.

Cóż tak, pierunie, drzesz jak opętany!... wybuchnął ocierając pot zalewający mu oczy. Mylisz, że jak zostałeś przodownikiem, to już musisz dyrektorowi Jeschonikowi do zadku włożyć? Przechlebi mu

się chcesz?... A on za to bydzie twójš Monikę...

Nie dokończył, bo Kulisz wycharczał jakie przekleństwo, cisnął kilofem i skoczył do gardła Kabieszowi. Kabiesz zwałił się na spšg,

137

Kulisz uklšklł mu na piersiach i trzymajšc oburšcz jego chudš rdykę, jšł prac mu głowę po spšgu i ciskać zduszone słowa. Przytoczyli kamraci, porwali Kulisza za ramiona od Kabiesza.

Wy, winie przekłete!... marniał przez zacinięte usta. kamraci trzymali go za ramiona, przywalili swoim ciężarem do pšgu, nie puszczali.

Wy, winie p.rzekłete!... Wy, jasne pierony zapieronowane!... Ty dziady sakramenckie!... Wszystkich was pozabijać jak szczu-yl,. Wy...

Ustał wreszcie, paroksyzm gniewu przewalił się, kamraci odstš-ili od niego. Lecz patrzyli czujnie. Jeżeli znowu się zerwie, by toczyć na jednego z nich, ponownie go przywałš swoim ciężarem o spšgu. Przecież ten człowiek chyba zwariował!... Nigdy nie yliby przypuszczali, że ten spokojny i stateczny Kulisz potrafi yć tak wciekły. Jakby zły duch weń wstšpił, opętał, rozum po-aeszał!... Z powodu głupiej baby, Niemczury, rudzielca przegrze-onego!... Głupi, po trzykroć głupi Kulisz!... Jakby to mało innych ab i dziewczuch było w Rudzie!... Ciska tamta ryszawo czarownica rok na każdego chłopca, ba, na każdego chłopca!...

No, chwytejmy się roboty, bo nic się nie stało!... przerwał ieRokojšcš ciszę najstateczniejszy z nich, Pasierbek. A wy, abieszu, wydzierzcie po drugi raz swój pysk niewyparzony!... atecie najstarszy, ale głupi jak sadło. No, kamraci!...

Spękana ciana w przodku waliła się za lekkim uderzeniem ki->fa. Węgiel rozkruszał się w pył. Strop trzeszczał. I gdy dwóch rę-aczy grzebało w sypkiej cianie, reszta kamratów podbijała stem-Le, gęsto, mocno. Posypał się w końcu gruz z obwału w starym lodniku. Cuchnął szlamem i jakim kwanym odorem.

Tu gdzie ležš nasi koledzy, co wtedy tu zostali! zauważył asierbek. Uważajcie, kamraci!...

Kamraci uważali, lecz zwłok swych towarzyszy nie mogli zna-ć. Rozwierała się przed nimi coraz większa przestrzeń, z ober-anego piętra wytaczały się kamienie, wiatła pociemniały, zru-dały, powietrze stało się ciężkie, ludzie oddychali szybko, w sk.ro-Lach tłukły młoty.

Foczekamy, aż nadejdzie inżynier i dyrektor! rzekł opa-3wany już Kulisz.

Może po nich posłać? zapytał Pasierbek.

Wiedzš...

Usiedli przeto pod wylotem lutni, gdyż powietrze w przodku było ciężkie. Płomyki w benzynowych lampach pojaniały, ludzie oddychali głęboko, łupanie w skroniach ustawało. W przodku został tylko

Kulisz. Wyszedł na osypisko, podniósł nieznacznie lampę i patrzył w głębi obwał. Wyszedł jeszcze wyżej, na czworakach. Lampę przesuwiał ostrożnie. Stał mocno w usypisku, jeszcze raz ostrożnie owiecił czeluć. Dostrzegł pod stropem jakby taflę tkaną z pajęczyny. Szarś, przejrzystś, równś.

To metan! uwiadomił sobie.

Ujśł knota, że wiatło przemieniło się w drobnś niebieskś kroplę, i zaczął powoli podnosić lampę. Koło wiatła pojawiła się jasna smuga o niebieskim nalocie. Smuga rosła, wydłużała się w miarę podnoszenia lampy, wypełniała jej obłe szkło, sięgała do podstawy siatki drucianej. Kulisz podniósł lampę jeszcze wyżej. Nad kropelkś wiatła utworzył się teraz jakby rosnący kołpak, wydłużył, sięgał do połowy cylindrycznej siatki. Wystarczy!... Gazy sś!... Powoli, bardzo powoli opucił lampę i jśł z niś ostrożnie schodzić po usypisku. Stał na spśgu, podkręcił knot, gromniczne wiatło wyparło mroki. A więc gazy sś!...

Nie poszedł do iowarzyszy, lecz usiadł pod cianś w przodku. Otępiął na wszystko. Już nie widzi ani umiłowanej do szaleństwa miedzianowłosej głowy Moniki, nie widzi przelicznego Ignasia, nie widzi nic. Nastala w nim czarna, milczśca pustka. Sięgnśł do marynarki na stemplu, poszukał, znalazł harmonikę. Wytarł i zaczął przypominać tamtś przedziwnś melodię, słyszans ubiegłej niedzieli na koncercie w Bytomiu. Monika także była, lecz nudziła się... Odpędził to wspomnienie. Jśł znowu przypominać sobie... Zapytał się wtedy sśsiada, co to jest. To jest Chopina Preludium H-moll” powiedział sśsiad. Uchwycił pierwsze tony, spróbował snuć melodię. I zdumiony spostrzegł, że nie słyszy, lecz widzi owś muzykę!... Jakby ogromny tłum żałobników kroczył po twardej drodze we mgle. Pokutnicy jacy, w czarnych kapuzach na głowach, z dużymi otworami na oczach, nioscy ogromny krzyż na przedzie. Idś strasznie powoli... Krok za krokiem, lecz zanim stopy położś na płask w pyle, tyle czasu upływa!... Ów czas jest przesy-139

y czym, co przypomina wiekuistoć. Nie, to przypomina zgę-ałe ciemności, które stanęły krśglś cianś koło niego i milczś. >tchłani całej kopalni dzieje się jakie nienazwane misterium. iowu słyszy tych ludzi, co tu przed nim byli, zmartwychwstajś echy szeleszczśce, myli uwiedłę, spojrzenia wyblakłę, rdzawy ;k olejnych kaganków, mizerne radoci i zgniłe troski, oczodo-v wybielałych czaszkach, nie dokończony krzyk, umarłę west-ienie. Z drugiej strony stśpa inny jaki pochód. Dziewice w bie-:o z ołtarzy zstśpiły, zakryły twarze mulinowymi zasłonami, majś gromnice w dłoniach, w drugich lilie i krocź również po-i, powoli... Naprzeciw żałobników krocź... Chwiejś się czarne rśgwie z wyhaftowanymi piszczelami, wiatr szumi tak dzi-e...

kończył grać, podniósł głowę i zdziwiony spostrzegł, że koło ;o stojś towarzysze milczcy i zasłuchani. Odetchnęli głęboko, człowiek, gdy złoży ciężki tłumok, który go do ziemi przy-ttał.

- Co to było?... zapytał Pasierbek.

ik dziwnie brzmi jego głos w tej przekłętej ciszy!...

- To?... To nie było nic!... Już jest dyrektor?

- Idzie, bo trzasły dwierze przy pierwszej wiatrowej... adszedł, lecz bez sztygara i bez inżyniera Racka.



- Glilck auf! rzekł wyniole. No i co?... Przebite? za-ił Kulisza.

Ś Przebite, panie dyrektor! Zatrzymałem robotę, jak pan dy-or naporęczył.

Gazy sš? Schlagende Wetter?

Ś Zdaje się, że sš... Ale niewiele.

Ś ciany, firszt?...

Ś ciany kruche, strop się wali. Wszystko podbudowane. Stem-3bok stempla... Drzewo strzela... Strop cinie...

Firszt! poprawił go dyrektor.

Strop! odparł hardo Kulisz.

^rektor podniósł swš elektrycznš lampę, powiecił mu w twarz, rzegł piekło w jego ciemnych oczach.  
Ť

Dreck, nie strop!... wrzasnł. Tu sš niemieckie gruby,

jest firszt, a nie jaki zasmolony strop!... To tam w ruskiej ze mówiš strop, tu jest niemiecki firszt!

Prychnęły stłumione, kpišce miechy. Szybko zgasły, bo dyrektor znowu podniósł lampę i owiecił twarze górników. Chciał co powiedzieć, lecz opanował się.

Mierzylicie gazy, Kulisz?

Mierzyłem... Koło 3 procent metanu... Raczej 3 procent!

Przekonam się! Chodcie ze mnš!

Wy tu poczekajcie! zwrócił się Kulisz do towarzyszy. Poszedł za dyrektorem. Stanęli przed usypiskiem w starym chodniku. wiatło Kulisza zrudziało.

Maoie dobrš lampę? zapytał dyrektor.

Dobrš!

Nie paruje? - Nie paruje!

Potrzymajcie mojš elektrycznš, ja zmierzę gazy waszš...

Wymienili lampy. Dyrektor obejrzał Kuliszowš lampę, spróbował, czy dobrze zakrecona, dmuchnł kilka razy u podstawy szkła, obejrzał siatkę drucianš nad szkłem. Zawiesił jš na pasku u spodni i jšł się gramolić na usypisko. Kilof mu przeszkadzał, odrzucił go przeto. Kulisz stał pod usypiskiem i czekał. Osaczał go niepokój zmieszany z pragnieniem mierci dla dyrektora. Dyrektor wczołgał s-ię w

oberwane piętro, zdjął lampę z paska, ujął knota. Płomyk przemienił się znowu w niebieską kropelkę. Kulisz zakrył marynarką elektryczną lampę. Chodziło o to, by blask jej nie przeszkadzał dyrektorowi w wypatrzeniu bladoniebieskiej aureoli w jego lampie. Kulisz patrzy i dygoce ze wzruszenia. Tam tyle gazów!... Najmniejsza nieostrożność... Niebieska kropelka podnosi się, podnosi... Teraz znika w piętrze... Dyrektor co mruży... Znienacka obsunął się kamień pod jego stopę, dyrektor zachwiał się, stracił równowagę, zwałił na usypisko. Kulisz widzi, że z jego lampy, wypełnionej po daszek niebieskim płomieniem, wydiera się wietlista smuga, wystrzeliła... Równocześnie rozpękł się widrujący, płaski huk, błękitny płomień skłębił się pod stropem, wytrysnął z czeluci, zatopił przodek i cisnął Kuliszem pod cianę. Teraz drugi huk, słabszy...

Kulisz w drobnutkim mgnieniu oka widzi zwałającą się na niego niebieską cianę płomieni i słyszy ich przejmujący szum.

Ignis jatuuś!... przeleciała ostatnia myśl i wszystko się skończyło.

141

=t'=\* -ws-sg?l

ntowniczy i marzycielski rektor Kepeusz-limok doczekał się jeszcze owej osobliwej godziny, o której mawiał, że może być sem jego żywota.

ostano wił jeszcze zapisać w diariuszu w zielonych okładkach to ystko, o czym doniosły gazety polskie i niemieckie. I to wszyst-o czym sam wiedział. Rozłożył go przeto na biurku, przysłonił o firankš, bo senne słońce kładło się na pożółkły papier i ra-blaskiem wypłowiałe oczy, wybrał odpowiednie gęsie pióro jansowego kofliczka, wypróbował na paznokciu i zamylił się. że napisać, by to znowu wypadło pięknie i składnie? Sprawie-roć, strajk, cały Górny lšsk strajkuje, 90 tysięcy górników atników walczy o poprawę bytu, zmaganie się proletariusza tpitalistš, czerwone sztandary na kominach hut i kopalni, nasz ndar płynie ponad trony!!...” Nie wiedział, od czego zacząć. o stare serce uwierało go bolenie i klekotało nierówno, oczy lodziły mgiełkš. Przetarł je chustkš, zapatrzył się w zapisane ty. Jšł je powoli przewracać.

Niewiele tego zdołał napisać. Za kartš zatytułowanš ozdobnym pismem gotyckim Ignis jatuus znajduje się wzmianka o Schaffgo-tschowej kopalni Kleofas, na której Roku Pańskiego 1896 pc wstał wielki pożar w szybie w najniższym poziomie od pałšcego się knota olejnego, wyrzuconego przez nieuwagę ze strony jednego z hawierzi na pomost, czyli bon, przez co ogień rozszedł się szybko w całej kopalni i w samym szybie o drzewianym ocembrowaniu, tak że stało się wielkie nieszczęście i 106 hawierzi życie postradało.

Odwrócił następnš kartę. Zasmucił się czytając, że Roku Pańskiego 1898 dnia 23 Maja na rannej szychcie koło godziny dziesiątej Józef Kulisz i dyrektor Wilhelm Jeschonik życie stracili podczas mierzenia gazu Grisou, czyli węglowodoru lekkiego, w starej sztrece w pokładzie Joanny, jako że gaz ów zapalił się od lampy benzynowej, gdyż go tak moc było w rzeczonej sztrece, i wybuchnšł, podczas czego dyrektor Jeschonik został opalony i zabity, a Józef Kulisz przez wybuch zwałony rozbił głowę o kamienie i nieprzytomny, wywieziony na wierzch, umarł nie poznawszy ani Moniki, ani Ignasia. Boże, daj mu wiekuiste odpocznienie. Amen!

Westchnšł półgłosem, powtarzając ostatnie zdanie z diariusza: Boże, daj mu wiekuiste odpocznienie. Amen! Przewrócił następnš kartę. I smutek jego nie zelzał, gdyż jakby przez mgłę czytał niekształtne już litery głoszące, że Roku Pańskiego 1900 dnia trzeciego Septembra o godzinie trzeciej nad ranem umarła Monika, trawiona żalem i boleciš po mierci Józefa i zabita suchotami, co położyło kres jej dziwnemu žiiciu ma o szczęliwemu. A ci, co jej za życia złorzeczyli, przekonali się teraz o wielkiej krzywdzie jej wyrzšdzanej i teraz jej dobrorzecžš, co już wszystko nieskoro i niech Bóg ich sšdzi za to wszystko, a szlachetnej Monice da wieczne odpocznienie. Amen!

Przewracał i czytał następne karty skšpo zapisane:

Dzisiaj Ignatius skończył szeć roków. Po wagacyach pójdzie do szkoły. Niech się ćwicz w mšdrociach szkolnych, ja atoli będę go ćwiczyl w mšdrociach życiowych.

Na innej karcie była tylko wzmianka, że Ignatius dobrze pojmuje naukę i dobrze się chowa. Zatrzymał się na obszerniejszej notatce, prawišcej z entuzjazmem o wielkiej rebelii, jaka się sroży wRusk^ej

obotniczego, gdy z drugiej strony Japońcy biją Moskale i na >zlśsk Pruski przechodzą tameczni ludzie, by uciec przed szubieni-Śś, i przyjmują pracę w grubach, szerząc hasła wielkich wyswob-  
Izicieli narodu robotniczego.

Na ostatniej stronie przeczytał: Ignatius nazywa mnie starzikiem od wczoraj pracuje w pokładzie Joanny. Gdy słucha moich nauk > krzywdzie robotnika, podobny jest do wilka. Dzisiaj mu opowia-  
ałem o wielkim cesarzu Napoleonie Bonapartem, którego pobiła imia ruska i angielskie dzieci, jako że pracowały po szesnacie go-zin we fabrykach młodo umierając i z pracy rzeczonych dzieci rosły fortuny magnatów angielskich i klęska Napoleona. Ignatius owiedział mi potem, że jest podobny do angielskiego dziecka, bo n także pracuje jako czternastoletni chłopiec w grubie magnata 'chaffgoischa. I był gdy powiedział- one słowa podobny do fłka. Daj Boże, żeby z niego wyrósł rewolucjonista i orędownik wyzyskiwanego narodu robotniczego!

Na tym kończył się diariusz z dopiskiem u dołu kartki:

Napisałem, gdy był dzień Patronki Górników świętej Barburki 'oku Pańskiego 1910, podpisano Fabrycysz Kepeusz, emerytowa-y rektor szkoły parafialnej w Rudzie na Szlśsku pruskim.

Przeczyta! i znowu się zamylił. Tak! Ignatius podobny czasem do dlka, gdy słucha jego wywodów o krzywdzie robotnika i gdy mu umści z niemieckiego na polskie treć przedziwnych ksiżek enthama, Milla i Ricarda1, gdy'usiłuje mu klarować dziwne po->cia o liberalizmie, gdy mu następnie mówi o Robercie Owenie2

Karolu Marksie. Chłopak niewiele rozumie. Wszystkie tamte ;umne cudzoziemskie słowa śś dla niego pustym dźwiękiem. Zara-my jednak wewnętrznym ogniem starzykowych myli, pojmuje

] B e n t h a m Jeremiasz (17481832) burżuazyjny prawnik igielski i twórca filozofii użytecznooiowej, głosicie] burżuazyjnego libera-tmu. Był zwolennikiem nieograniczonej swobody konkurencji kapitalistycz-Jj. Ricardo Dawid (17721823) angielski ekonomista, najwy-tniejszy przedstawiciel klasycznej szkoły burżuazyjnej ekonomii politycz-;j. Mili James (17731836) angielski historyk, filozof i ekotno-dsta, zwolennik Ricarda.

2Owen Robert (17711858) wybitny angielski socjalista uto-jny, twórca ruchu spółdzielczego, pierwszy propagator ustawodawstwa ro-rtniczego”.

podwiadomie, że te niezrozumiałe dla niego pojęcia mówiś o jakiej niesłuchanie wielkiej i ważnej sprawie, której sens spotyka w bezbarwnym życiu rudzkim i w swej pracy w pokładzie Joanny. Górnicy wracający lub idący wieczorem i wczesnym rano na szychcę, różańce wiatel wędrujących w mroku w kierunku szybów, wałsce dymy z kominów, krzyki w karczmie, pijani ludzie zataczający się na drogach w dzień wypłaty zarobku, narzekania kobiet, chude, obdarte i rozkudłacone dzieci ze wszami we włosach, rachityczne, o wydętych brzuchach i wykrzywionych nogach, nędza, młodzi inwalidzi górniczy i hutniczy chodzący po żebraniu, pogrzeby, błyszczące karety i w karetach jacy

panowie patrzyli z wyranym obrzydzeniem na czarne pogłowie ludzkie jakby na obmierze robactwo; następnie pierwsze poczucia doznawanej krzywdy w pracy, dziesięciogodzinna szychta, obniżania czy zgoła oszukiwania w zarobku o tym wszystkim prawiły tamte cudaczne księżki, tłumaczone w nie mniej cudaczny sposób przez dziwnego trochę starzyka Slimoka.

Starzyk Slimok wciśz jeszcze kręcił gęsim piórem w palcach, nie wiedząc, jak rozpocząć kronikarski zapisek o górnośląskim strajku. Odłożył je, gdyż posłyszał zbliżający się tumult, krzyki wielkiego tłumu, a potem pieśń o czerwonym sztandarze i o jakiej Polsce, co jeszcze nie zginęła. Wstał przeto spoza biurka, podreptał do szafy, wdział staromodny surdut z długimi połami, zarzucił mieszny hawelok z brzówsz pelerynkš, podobnš do opuszczonych skrzydeł nietoperzowych, włożył na głowę tabaczkowy melonik, ujął za parasol i popieszył do drzwi. Przecież bez niego nie może się odbyć taka wielka i tak ważna demonstracja!... Z drugiej izby wybiegł Ignac. Boże, jaki on liczny!... Smukły, hardy jak jego matka Monika, czarne, płonšce oczy jak u ojca, bujna, kasztanowata czupryna, usta piękne jak u matki i twarde jak u ojca!... W długich rżęsach ciemnieje nalot pyłu węglowego, który tak trudno wymyć. -Dlatego oczy jego sš jakby głębsze i mocniejsze w wyrazie.

Starzyku! Idš!... zawołał podniecony.

Idš, synku, idš!... Ja też idę!

Pójdę z wami, starzyku!

Rektor zawahał się, lecz potem się zgodził.

10 Pokład Joanny

145

Chod! Pójdziemy! Dzisiaj będzie przemawiał ten młody Kor-anty!

Ujęli się za ręce i poszli. rodkiem drogi kroczyły tłumy górni-ów, dreptały baby, plštały się dzieci, nad głowami czerwieniły się ransparenty z jakimi polskimi napisami, na przedzie piewano olskie pieni... Ludzie szli twardym krokiem, ciskali pogrózkami, ralili krzywakami o ziemię, grozili komu w przestrzeń, zachęcali .ę wzajemnie do wytrwania i wciśz szli.

Bokiem chodnika przemykali jakby ukradkiem sztygar Łomozik dozorca Runiok, obaj z pokładu Joanny. Natknęli się na rektora Slimoka.

Dokšd idziecie? zapytał.

Dzień dobry, panie rektor! Musimy ić na gruba, bo tam lusi kto być...

Po jakimu? nasrożył się rektor. Dostrzegł w nich pierw-szych łamistrajków.

Pnzeca wiecie, że pokład Joanny musi być dozorowany! liech wszyscy strajkujš, lecz kilku ludzi

musi być w pokładzie oanny! Inaczej zawali nom wszystkie chodniki...

A niech zawali! wtrcił popędliwie Ignac.

Ty utrzymaj się pod nosa! obruszył się sztygar Ło-łozik. Szpikol zatracony, już swoje rozumy rozsypuje!... łeknie go uczycie, panie rektor, aże pięknie!

Ś Cicho, Ignac! Oni mająś recht... Oni mająś prawie Ś poprawił. Tam musi kto być, bo jak nie będzie nikogo, to zawali anki i chodniki do imentu w tamtym przeklętym pokładzie!...

Tam zginął mój ojciec! upierał się Ignac.

Dlatego muszś tam ić ci dwaj, by inni nie ginęli No, rzebocicie, panie Łomozik i wy, panie Runiok! A szczęć Boże!...

I rozeszli się. Rektor z Ignacem przyłszyli się do pochodu, tygar Łomozik i dozorca Runiok poszli na przełaj w kierunku ybu Arnolda.

Na szybie zastali pustki. Stary Niebrój podtrzymywał tylko peń pod kotłem, maszynista Krupa krztał się w hali wyciś-3wej koło maszyny, maszyny spoczywały, \* a w nadszybiu spot-ali dyrektora Racka oraz dwóch inżynierów.

Nie ma was więcej? zapytał dyrektor Racek.

- Nikt nie chce pójć. Każdy się boi, że go okrzyczś łamistrajkciem.

Hm!... mruknął i zamylił się. Już postanowił. Jutro zgłosi się do Komitetu Strajkowego i do Zjednoczenia Zawodowego Polskiego, by mu wyznaczono lub pozwolono zwerbować kilkunastu górników do obsługi maszyn i do dozoru w pokładzie Joanny. W przeciwnym razie wszystkie chodniki diabli wezmś! W innych pokładach strop jest zdrowy, lecz w tym przeklętym pokładzie Joanny jakby z ciasta ulepiony! Diabła wart!... Jeżeli się nie przypilnuje, wystarczy, że załame jednś i drugś stropnicę na chodniku czy gdziekolwiek, a potem już obwał pójdzie!... No i do pompy w drugim poziomie potrzeba maszynistów!... Jeżeli pompy stanś, woda zatopi kopalnię!... I będzie to samo jak wówczas, gdy po dyrektorze Jeschoniku objśł kierownictwo Arnolda.

Dyrektor spodziewał się już od dawna strajku. Nie przypuszczał jednak, że tak zniecka wybuchnie i że obejmie cały lśsk. Wspaniale się to udało!... Wszystko stanęło. Huty, kopalnie, fabryki!... Ha, słusnie!... mruknął po polsku. Spojrzał nieufnie na inżynierów. Ci go nie rozumieli. Przyszli gdzie znad Renu i umieli dopiero kilka słów w kolawej polszczyźnie. Tyle by się można jako tako porozumieć z górnikami. W przeciwieństwie do dyrektora, patrzyli na strajk jak na karygodne zakłócenie porzśdku społecznego i nie mogli zrozumieć, dlaczego dyrektor traktuje tę sprawę tak obojętnie. Robi nawet wrażenie, że sympatyzuje ze strajkującymi górnikami. W tym podejrzeniu utwierdzało ich jego polskie pochodzenie. Przyszedł z Zagłębia Dśbrowskiego. Nazywali go z przekśsem Russisch-Pole. Zdobył zaufanie Rady Nadzorczej Schaffgotschowego koncernu, gdyż przejšł plany po dyrektorze Jeschoniku, dał sobie radę z odbudowś pokładu Joanny, umiał usprawnić wydobyć z niego węgla; zmniejszyła się ilość nieszczęśliwych wypadków i dlatego nie zwracano

uwagi na jego pochodzenie. Jedynie Główny Urząd Górniczy we Wrocławiu krzywił się i raz po raz wyrażał życzenie, by dyrektorem był Niemiec, a nie Russisch-Pole. Tamci dwaj inżynierowie znad Renu, Richard Kapistran i Oskar Boelsche, uważali się każdy za jego następcę.

Zjedziecie do kopalni! zwrócił się dyrektor Racek do sztygara i dozorca. Pan, panie Łomozik, przejdzie zachodnie

10—

14?

pole Joanny, a pan Runiok wschodnie. Pozostaniecie tam, aż was zluzuje nocna załoga. Po południu przyjdę do was. Spotkamy się

O godzinie czwartej na przekopie u wejścia do pokładu. Do tego czasu załatwię sprawę nocnej załogi. No, szczęście Boże!...

Winda już czekała. Rzekli przeto:

Szczęście Boże, panie dyrektorze!

Wstąpili nachyleni do windy, dyrektor zadzwonił, winda uniosła się lekko i poleciała w głąb. wiadomość, że zjeżdżając w opuszczonej kopalnię, że w tym olbrzymim kretowisku nie spotkasz człowieka, że na przekopie rozejdziesz się i przez kilka godzin będziesz błądzić w pojedynkę po wyludnionych chodnikach i filarach wiadomość ta była im niemiła. W takiej samotności cisza stokrotnie, ciemność gęstnieje, a ze wszech stron wypełza nieuchwytny

1 mieszy lęk. Przepychając się wtedy do człowieka stare, naiwne i niedorzeczne wierzenia o Ziemijskim Duchu, o Szarleju, Pusteckim czy Skarbniku, o możliwości pojawienia się postaci poległego w tym miejscu towarzysza; szmery kopalni urastają do krzyku wystraszonego człowieka, pęknięcie słojów stempli przemienia się w rozdzierający krzyk bólu, a gdy staniesz i słuchać ciszy cisza dzwoni przeciśniętym, lamentującym głosem jak skrzydło komara. Poza tym trudno się oprzeć wrażeniu, że jest się podobnym do żołnierza na straconym posterunku. Towarzysze go odbiegli, został osamotniony i teraz wie, że każdy jego gest obronny staje się bezcelowy. Owa bezcelowość jest męcząca. W opuszczonej kopalni dochodzi się wtedy do przewiadczenia, że mierzć czyha w niej inaczej aniżeli wtedy, gdy oto za najbliższym węglem chodnika spotkać można człowieka. Towarzysz podniesie lampę, powieci w oczy i powie dobre słowo. To wystarczy. mierzć za w opuszczonej kopalni jest zuchwalsza i podlejsza. Nawet ta głupia lampa, gdy zganie i nie można jej zapalić, przemieni człowieka w szamoczącego się robaka!...

Zstąpili z windy pod szybem, oddzwonili Krupie, że winda wolna, i poszli przekopem. Milczeli. O czymże tu mówić, gdy myli tłoczysz się pod czaszkę i gaszysz słowa!...

Zatrzymali się u wejścia do głównych chodników przewozowych w pokładzie Joanny. Umówili się, którędy każdy z nich pójdzie. Na wszelki wypadek, by wiedział jeden o drugim, gdzie kogo szu—

kać, jeżeli nie zejdziesz się o godzinie czwartej na przekopie. Rozkład pokładu Joanny w obu polach znali dobrze. Wystarczy przymknąć oczy, a pod powiekami widzisz wszystkie chodniki, przecinki, pochylnie i filary.

Gdyby co... dodał jeszcze przezornie sztygar Łomozik. Gdyby tak co, to rura wodociągowa!

Szczęć Boże! mruknął Runiok i zanurzył się w chodniku. Chyba nie będzie trzeba alarmować i tłuc kamieniem w wodociąg? Lecz dobrze, że sztygar i o takiej sprawie pamięta!

Nie musieli tłuc kamieniem w wodociąg. Obaj przewędrowali rozległy teren pokładu i wrócili na przekop w umówione miejsce. Gdy brodzili w ciszy, kroki ich dudniły jak w beczce. Zatrzymali się, podnosili lampy, oglądali stemple i stropnice. W kilku miejscach pozaczyli je kredą na znak, że jutro, pojutrze będzie je trzeba wymienić. Czasem po drodze wstąpili do jednego i drugiego na wpół wybranego filara, obejrzeni strop i stwierdzali, że jeżeli strajk potrwa dłużej jak tydzień, filary się zawalą. Zwłaszcza te, w których pozostało już niewiele węgla. Gdzie mogli powyciągali na przecinki drabiny i porzucone widry. Czasem przystanęli i słuchali szeptu kopalni. Smukłe stemple wspierały łniący strop filarów, lecz pękały. To tu, to tam wystrzelał leciutki, drewniany trzask rozdzieranych słoików, poszarpane za ciany calizny węglowej szeleciły ukradkiem. Głosy te wypływały z mroków na kształt lepkich macek. Czasem były podobne do stępań kogo, co skrada się przyczajony i czyha na chwilę nieuwagi człowieka. Czasem za wydawało się, że to cisza przemawia, że to jej niezrozumiała mowa pełna klęstw, groby i nienawici.

Wychodzili z filarów na przecinki, opuszczali się pochylniami na chodnik i znowu wędrowali w mrokach, jak człowiek zabliskany w najczarniejszej nocy. Docierali do przodków i wtedy ujmowali knota w lampie i mierzyli ilość metanu pod stropem. Uspokojeni opuszczali powoli lampy i rozjaniali wiatło. Z ulgą stwierdzali, że w szybie wentylacyjnym pracują maszyny.

Wracali radując się myślą, że u wyjścia z pokładu będą znowu razem. U progu ostatnich drzwi w chodniku pozdychając ich myśli splodzone przez ciszę i samotność. Spojrzysz sobie wzajemnie w oczy i przywitasz się bez słów.

149

Sztygar zastał na przekopie Runioka.

No i co? zapytał.

Nic!

U mnie też nic. Tylko za uskokiem gazuje!... Który pierun zostawił otwarte dwierze za ostatni przecinką, wiatry uciekały do chodnika wentylacyjnego i za uskokiem nzbierało się gazów! Lecz już wychodzisz...

Podnieli czujnie głowy, gdyż posłyszeli daleki, stłumiony łoskot zatraskujących się drzwi na przekopie. Senne wiatła w ich lampach drgnęły gwałtownie.



Dyrektor idzie... zauważył Łomozik.

W głębi przekopu pojawiła się kropla wiatła. Zbliżała się, rosła, błyszczała. Głos kroków także rósł. wiatło było złociste, pomnożone na wyczyszczonych mosiężnych częściach lampy i na połyskliwej cholewie butów. Kroki były mocne i twarde. Łomozik pomyślał, że tak chyba stępa człowiek, który jest również mocny i twardy.

Szczęć Boże, towarzysze! pozdrowił ich dyrektor wynurzający się z mroków.

Łomozika i Runioka zdziwiło to określenie towarzysze”. Lecz niczym się nie zdradzili. Zdali mu raport z przeglądu pokładu. Wszystko w porządku. Tam a tam naciska strop. Filary zagrożone. Jutro, pojutrze będzie trzeba wymieniać stęple i stropnice. Czy przyjdzie załoga?

Dyrektor słuchał i notował uwagi górników. Na pytanie Łomozika, czy jutro przyjdzie załoga, spojrział w jegooczy.

Chodzi wam istotnie o przyjęcie załogi? zapytał dziwnie.

A pewnie! Przecież to nasza kopalnia!... odparł Łomozik.

Dobrze to powiedzielicie, panie sztygar. Wprawdzie jeszcze nie nasza, lecz będzie nasza...

Kiedy?

Dyrektor wstrząsnął ramionami. Znowu spojrział w ich oczy. Ocięgał się, zastanawiał, lecz w końcu zapytał:

Za kim trzymacie, towarzysze?...

Jak to rozumieć, panie dyrektor? . zapytał ostrożnie Łomozik. Runiok poruszył zabawnie grdykę, jakby się chciał udła-wić jakim wylatującym słowem, i splunął.

150

Pytam wyranie. Z kim trzymacie? Z robotnikami czy z właścicielami kopalni?

Nastęła cisza. W ciszy ważyły się myśli. Myśli za były podobne do osaczonych ludzi, wypatrujących miejsca, którym można by się wymknąć.

A za kim trzyma pan dyrektor? zapytał Runiok. Dyrektor umięchnął się, usiadł wygodniej na kamieniu pod

cianę.

Wzajemnie sobie nie ufamy zaczął. I wy, i ja jesteśmy urzędnikami, płatnymi urzędnikami kapitalisty. Kapitalista nie pracuje, lecz otrzymuje większą część zysków z pracy górników i z naszej pracy. My jednak w stosunku do górników znajdujemy się w położeniu korzystniejszym. Wy zarabiacie mniej, ja

więcej, lecz zawsze otrzymujemy większą zapłatę aniżeli górnicy najlepiej płatni. I dlatego wahamy się, czy opowiedzieć się za socjalizmem, czy popierać interesy kapitalisty. Robotnicy uważają nas często i bardzo słusznie za sprzymierzeńców kapitalizmu. My za powinniśmy być zronięci organicznie ze spraw robotnika. Chociażby już tylko swym pochodzeniem robotniczym... Mój ojciec był górnikiem w Dębrowie Górniczej dodał. Nie mamy powodu kochać kapitalisty. Robotnikami, w tym ciętym tego słowa znaczeniu, powiedzmy, w tym ciasnym znaczeniu także nie jesteśmy. Stanowimy jakś pośrednią klasę między kapitalistą a robotnikiem. Jesteśmy więc jakby na rozdrożu. I dlatego się was pytałem, z kim trzymacie, zwłaszcza dzisiaj, podczas strajku...

Jo z robotnikami... rzekł twardo sztygar Łomozik.

Jo też z robotnikami! mruknął nachmurzony Runiok.

Więc słusznie i trafnie nazwałem was towarzyszami! rzekł dyrektor, wciśnięty lekko umięchnięty. No, ale dajmy temu spokój. Robi to bowiem wrażenie, że usiłuję was chytrze wybadać jako sługus kapitalisty". Strajk potrwa długo, jeszcze nie raz wrócimy do tego tematu. Ja zdaje się po skończonym strajku nie zagrzeję tu miejsca... Lecz mniejsza z tym. Znalicie starego rektora Slimoka z Rudy?

Jak toK znajemy? zdumiał się Runiok. Znamy! Dzisiaj go spotkaliśmy, gdyśmy szli na Arnolda... Patrzył na nas, jakbymy byli łamistrajkami...

151

— Już was nie spotka...

Po jakimu?

To był dziwny człowiek, jaki fantasta, rozwichrzony romantyk, chwilami podobny do lekko, pomyłonego wizjonera, lecz zacny człowiek. To był gorliwy zwolennik Marksa, człowiek pełny sprzeczności, podobny trochę do dziwaka w tym ubraniu z okresu dyliżansów...

Dobrze, dobrze, panie dyrektor! przerwał mu Łomozik. Jo tam wiewa nie rozumiem, co pan dyrektor o nim prawi... Przepraszam, że przerwałem... Ale co się z nim dzieje?...

Powiem. Poszedł na wiec. Potem robotnicy chcieli ruszyć do Bytomia. Rektor Sjimok szedł na przedzie... Zastąpiła im drogę konnica. Ułani gliwiccy. Robotnicy nie chcieli się rozejść. Wtedy ułani szarżowali... Na drodze został roztratowany rektor Słimok...

Urwał, nastąpiła cisza. W ciszy szeleszczą oddechy ludzi, błyskają się nie domówione słowa. Gdzie w głębi przekopu mlaszczą krople wody. Krople odmierzają struchlały czas, wystukują niestrudzony rytm ukrytego życia kopalni. Między jednym a drugim mlaniem kropel czas przemienia się w wieczność. Wieczność za jest czarna i niezgłębiona,

Jasny pierun!... cisnął wreszcie Łomozik.

To było wszystko. Dyrektor Racek wstał, poda! dłoń Łomozi-kowi i Runiokowi.

S O godzinie szóstej wyjedcie z kopalni!... rzekł jeszcze. Załogi nocnej nie będzie. Jutro zjedzie z wami kilku towarzyszy. Już załatwiłem z Komitetem Strajkowym. Szczęć Boże!...

Odtąd co dnia zjeżdżała załoga do kopalni. Trzech górników do wschodniego pola, pięciu do zachodniego, po dwóch górników do reszty pokładów, dwóch maszynistów do pompy w drugim poziomie, czterech górników do chodników wentylacyjnych. To wszystko.

Strajk trwał.

Minął tydzień, minął drugi tydzień, a strajk wciąż trwał. W pokładzie Joanny zawały się filary, kruszyły się nogi międzyfila-rowe, strzelały stemple, rozbiegały grzmoty w piętrze, wyrzusał się spąg w chodnikach i na pochylniach, wysadzał i paczył tory kolejowe, a stemple i stropnice trzeszczały, łamały się i wy-

walały z siebie żółte słoje. Nieliczna załoga, dowiadczeni budowacze ratowali chodniki, przecinki i pochylnie, wymieniali stemple, podbijali wyginane stropnice podporami na rodku chodnika, mozolili się uparcie, stawali się zapanikami z wrogim żywiołem. Naruszona równowaga w piętrach usiłowała się mścić. Ludzie zapiekali się w uporze. Praca stała się teraz dla nieb. walki. Stukały siekiery, wznosiły się stemple, zapach żywicy niósł się po dusznych gankach, mieszał się z cierpkim zapachem potu, ludzie za popluwali w dłonie i stękali z wysiłku.

Choćby jasny pierun!... mówili. Ale nie damy się, aże nie!...

Przeklęty pokład musimy uratować!

...bo to będzie kiedy nasz pokład!

Minął trzeci tydzień, mijał czwarty tydzień, a strajk wciąż trwał.

Potraficie, towarzysze, zabezpieczyć chodniki i pochylnie? pytał dyrektor Racek.

Z biedą, panie dyrektor!... Nie możemy wydolić z roboty! Zapieronowany strop pieroński łomie nam wszystko w oczach!... Jak tak dalej pójdzie, pokład Joanny diabli wezroś!...

Minął piąty tydzień, na niektórych kopalniach przystąpiono już do pracy. Na Schaffgotschowych kopalniach wciąż jeszcze strajkowano. Generalna dyrekcja nie chciała się zgodzić na ów omiogodzinny czas pracy, jak to uczyniły już inne dyrekcje. W pokładzie Joanny ciany porastały puszystym mcherfi, podobnym do nastroszonego szronu. Załogi stawały się bezsilne wobec mnożących się obwałów. Zarwane stropy w filarach osłabiały strop na chodnikach przewozowych, w pochylniach i w przecinkach. Ludzie opuszczali ramiona. Podejmowali się pracy, z góry wiedząc, że ich wysiłek jest bezcelowy. Dyrektor starał się pozyskać więcej górników do pracy, lecz wszyscy odmawiali. Odmawiano nawet tych, którzy już pracowali przy obudowie. Wystawione pikiety około szybu często zawracały ich do domu. Przepuszczano tylko maszynistów, by pilnowali pomp w drugim poziomie.

Dyrektor Racek był bezsilny. Z przerażeniem stwierdził, że jeżeli nie zdoła przekonać górników z Arnolda, że w ich interesie leży ratowanie pokładu Joanny, po skończonym strajku pozostanie z niego tylko obwały.

153

Pod koniec piątego tygodnia strajku, w sobotę, znowu nie zjechała załoga budowniczy do kopalni. Z trudem namówił dwóch laszynistów do pilnowania pomp odwadniających.

Przed południem udał się do kopalni. Postanowił obejrzeć porządek Joanny, przekonać się naocznie o jego zniszczeniu, obmyślić sposób ratowania go przed zagładą. Przewędrował już sporo chodników i pochylni, oglądał, słuchał ciszy i jej stękania, dotykał łonów stępli, obliczał ich wytrzymałość, kreślił kredą znaki, oglądał w filarowe zawaliska i wycofywał się ze zgrozą. Za uskokiem zauważył, że przeciśnięty wiatru jest osłabiony. Zmierzył gazy. niepokoił się ich wysokim procentem. Zrozumiał, że chodnik wentylacyjny gdzie się zawalił. Postanowił przejść przez wszystkie chodniki odprowadzające zużyte powietrze do szybu wentylacyjnego. Najczęściej były to ganki wiodące przez tak zwane stare roboty. Już dawno uprzętnięto z nich tory kolejowe i wodociągi, zostały ogołoczone ze wszystkiego, co kiedy stanowiło ich życie. Zapuścił się w pierwszą pochylnię wentylacyjną. Wiedział, że przed nim płóży się ogromna sieć ganków, chodników, przecieków, pochylni i upadnie, że wszystkie są splątane,ajemnie wchodzące sobie w drogę, że jedne z nich są już zaodzone krzyżem zbitym z odłamków desek na znak, że tam idzie, inne znowu prowadzą w stare zawaliska, inne jeszcze, te wybrane i ochraniające, doprowadzą go pod szyb wentylacyjny. Ich ułożenie w opuszczonych wyrobiskach posiadał w pamięci. Sam przecież pilnował, gdy rysowano ich mapę.

Wędrował już długo. Serce kołatało głośno w piersi, w skrośkach łupało. Spotykał znajome widoki chodników o załamanych ścianach i stropnicach, z nieokreślonym zadowoleniem wyczuwał pach kopalni, skupione oczy błyszczyły w mrokach i wyławiały lich kształty ludzkiego wysiłku. Gdy zmęczony oparł się o stemniak, by uciszyć rozkołataną serce i nabrać tchu, patrzył zdumionym dookoła. W nieoczekiwanej chwili jakby przejrzał. Do czasu tego nie widział. Trzeba było samotności i czarnej, dzwonnej ciszy, by ujrzeć owe lady. Oto naprzeciwko, na węglowej łanie, jak łatwo mu czytać pismo człowieka! ciana jest równa, skłiwa i twarda, a w jej chropowacie pozostały lady kilofa, dobiec jego zakreślał krótkie wycinki koła, wgryzał się w calinę, krzeszał równomiernie. Kto tu był przed nim, przed wielu laty, czarny jaskiniowiec, i pozostawił w spadku obraz swego żywota. Żywot ten był twardy i chropowaty jak ta ciana węglowa. Mnożyły się równe znaki uderzeń. Jeżeli podejść i końcami palców wieść po nikłych wyłobieniach, można czytać jak w księżce. Księga była zamknięta na siedem czarnych pieczęci, teraz cisza ją skruszyła i otworzyła szeroko. Tu był człowiek!

Tu był człowiek! powtórzył głośno i zastanowił się nad tym prostym odkryciem. A jeżeli był człowiek, były z nim jego myśli, jego serce i jego wola. Myśli błyskały się w chodniku i przeciekają do jego mózgu. Rytm serca wybija w ciszy powrotny czas i splata się z rytmem jego serca. Wola stężała w kształcie wyrzeźbionego chodnika w calinie i pozostała. Wyczuwa ją koło siebie, przeżywa, jakby to jego wola była.

Jakie to piękne słowo człowiek"! pomyślał z dziwnym wzruszeniem.

Gdzie w głębi strzelił stempel, gdzie posypał się krótki, zmierzwiiony łoskot. Racek skupił się w

sobie jak wilk przed skokiem. Spojrzał na zegarek. Już czas!...

Znowu zważyło się na niego przykre poczucie samotności. wiatło stało się dlań najwierniejszym towarzyszem, który potrafi obronić. Przypomniała mu się jaka pień kocielna o Gwiedzie Morskiej, wiodszej człowieka po burzliwym morzu. To było bardzo dawno. Wtedy żyła jeszcze matka...

W głębi chodnika ponownie strzelił stempel, potem wybiegło urywane stękanie drzewa, a w końcu posypał się hurkot kamieni. Dyrektor Racek poszedł w tamtym kierunku. Stał przed zmierzwionym obwałem. Sterczs z niego połamane stemple. Kamienie sš szare i kanciaste. Obwał zagroził drogę. Racek nachylił się, powiecił w oberwane piętro. Nie przejdzie!... Jasny pierun trzanie!... To już chyba koniec z pokładem Joanny... Przede wszystkim trzeba wracać. Nie będzie miał komu zdać raportu. Pójdzie tylko do Komitetu Strajkowego i jeszcze raz spróbuje jego ludzi przekonać, że jeżeli do pokładu Joanny nie zjedzie załoga, wtedy wszystko stracone. Po strajku pokład będzie wprawdzie odbudowany, lecz zanim to nastšpi, większość jego załogi pozostanie bez pracy. Jedynie budowacze będs mieli zajęcie. Reszta górników

155

będzie się tułać od kopalni do kopalni i skamleć o pracę. Pracy za nie będzie. Pracę będs miały Zagłębie Dšbrowskie, po stronie rosyjskiej, i Karwińskie, po stronie austriackiej. Podczas górnołšskiego strajku zdołały bowiem zdobyć dla siebie rynki zbytu. Węgiel górnołšski za będzie zsypywany na hałdy. Jedynie pokład Joanny byłby niezastšpiony. Wszystko wytłumaczy ludziom z Komitetu Strajkowego. Lecz cóż z tego?... Tamci powiedzš jak mu już zresztš owiadczyli że niech wszyscy diabli wezmš pokład Joanny!... Lecz przecież tu chodzi o was samych! Przecież to będzie kiedy wasz pokład!... Tamci wybałuszš oczy pełne tomaszo-wej niewiary i umiechnš się chytrze.

- Nie fanzol, pierunie zapieronowany, aże nie fanzol!... Pie-seczku pański zagiżdżony!... Tobie chodzi o tantiemy, a nam chodzi o poprawę zarobku, o niżkę godzin pracy... Niech diabli wezmš pokład Joanny, a ciebie wraz z pokładem!...

Dyrektor Racek umiechnš się z goryczš do swych myli. Wracał jak pobity żołnierz z pola klęski. Mijał stare ganki nasycone zapachem cmentarza kopalni. Ganki były zagrodzone krzyżami, wyrabowane, opuszczone, na wpół zawalone, obronięte puszystš, białš niedziš, z grzybami podobnymi do wrzodów toczšcych zbutwiałe stemple, wypełnione zatrutym oddechem ziemi, duszne, cuchnšce, smutne i przerażajšce w swej umarłej ciszy. W tamtych gankach wszystko bowiem umarło. Cisza, czas i życie. Pomyślał, że gdyby tak wejć przez nieuwagę w ów przekłęty wiat, mierć wyjdzie naprzeciwno.

Mijał po kolei wejcia strzeżone krzyżami zbitymi z obłamków desek. Za krzyżami wałęsa się chyba legendarny Szarlej czy tajemniczy Godula, czy zgoła Ziemiński Duch, przewzany Pusteekiro czy Skarbnikiem. Tak by pomyślał każdy ze starszych górników i wędrujšc tędy samotnie, szeptałby zabobonnie pacierze.

Podkuty but poliznš się na wywiechtanym spšgu, Racek zważył się na wznak, lampa za wypadła z

dłoni i zgasł. W oczy chlusnęła kolśca ciemnoć. Racek zakłśł i poszukał dłońmi koło siebie. Znalazł lampę. Bezimienny lęk pierzchnł, gdy dłonie wyczuły jej rozgrzany kształt. Usiadł, pociśgnł za rubkę. Zapalniczka szczęknęła w lampie i nic!... Pociśgnł drugi raz, trzeci! Znowu nic!... Kiż diabli? Czyż zapalniczka zepsuta? Jeszcze raz!

156

I jeszcze!... Długo usiłował wskrzesić płomień w lampie, zanim się przekonał, że daremny trud.

Jasny pierun wymamlał z pasjš.

Musi teraz wracać po ciemku. Najtrudniej dojć do pierwszego chodnika, gdzie juź na stemplach wlokš się rury wodocišgowe, a na spšgu płoźš się szyny kolejowe. Rury i szyny zaprowadźš go na przekop. Lecz zanim do nich dojdzie, trzeba dłuęo bšdzić. Jšł sobie przypominać rozkład chodnika wentylacyjnego. Gdyby to była prosta upadnica, doszedłby bez trudu na główny chodnik. A stamtšd z łatwociš dotarłby pod szyb. Lecz chodnik wentylacyjny, wytyczony w zawiłym kretowisku starych robót, raz sunie do upadu, raz skręca na poziome chodniki, potem stacza się znowu do upadu... A po drodze czyhajš wejcia do zagazowanych ganków! Wymacany dłońmi krzyź u wejcia ostrzeże go, uwaruje przed zabłškaniem. Lecz jeźeli trafi na wejcie, gdzie nie ma krzyża?...

Zrozumiał, że teraz rozpocznie się chytre podchodzenie mierci. Będzie to co podobnego do zabawy w ciuciubabkę. Umiechnł się do tamtego miesznego porównania. Ujrzał się bowiem w roli małego chłopca z przewiśzanš chustkš na oczach; którego szuka kolega również z zakrytymi oczami. Obaj bęđš kršżyli w ciasnym kole splecionych dłoni i obaj bęđš się wzajemnie szukać... Ze splecionego koła za polecš mamišce okrzyki i nawoływania.

Wstał i ruszył powoli. Macał ciany kilofem, ostroźnie, bardzo ostroźnie, krok za krokiem, z namysłem. Oczy zamknł, bo gdy usiłował patrzeć w ciemnoć, wyczuwał bolesny ucisk pod powiekami. Cisza stała się teraz głębsza i czarniejsza. Z jej głębi wymykały szare szepty kopalni. Szepty konały z krzykiem w jego uszach.

Szedł dłuęo, bo czas stanł jak zepsuty zegar.

Szedł bardzo dłuęo. I nie doszedł.

## SKRZYWDZONY CZŁOWIEK

Zachodnie i wschodnie pole pokładu Joanny rychło odbudowano wbrew przewidywaniom nieboszczyka dyrektora Racka. Nowy dyrektor Boelsche znad Renu umiał zręcznie patrzeć i potrafił się wiele nauczyć od swego nieszczęsnego poprzednika. Jego rywal za, inżynier Kapistran, poszedł na wojnę. Powiedział, że milej mu walczyć na polu chwały za wielkš ojczyznę niemieckš, aniźeli grzebać za węęlem pod ziemiš. Kwane winogrona!...

Dyrektor Boelsche uradował się chełpliwie z tamtego porównania. Dobrze się wszystko układa od owej chwili, gdy górnicy wydobyli rozbite zwłoki dyrektora Racka ze lepego szybika. A. potem jeszcze, gdy inżynier Kapistran ubrał się w mundur [eutnanta i wyjechał na front. Hołota górnicza za

spokorniała. Już się nie burzy i nie wygraża, już jej wywietrzały z głowy re-selianckie myśli wywrotowe. Pewnie, że wywrotowe!... Niewiele ryzykali mimo tak długiego strajku. Omiogodzinny dzień pracy. ro wszystko. A zarobki?... A poza tym, ilu ich poszło z niczym >d bramy!

Nieliczna za załoga zastała pokład Joanny zawalony. Trzeba go było odbudować jakby od nowa. Przez pół roku kopalnia Arnold przynosiła straty. Przez pół roku spuszczano do szybu stemple i stropnice i przez pół roku wydobywano z pokładu Joanny rumowisko. Zapasy drzewa na placu szybowym malały, hałda rosła i rosła. Gmerało na niej mrowie biedoty górniczej, baby, dzieci i nieraz starzy górnicy, którzy stali się teraz opuczorzami. Wszyscy grzebali w usypisku małymi motyczkami i szukali kęsów węgla. Kęsy węgla były lekkie, tłuste, łuszczące się, powleczone miejscami złocistym nalotem pirytu. Przeszedł jeden i drugi deszcz i hałda zaczęła się palić. Siny, krztuszcący dyrn o zapachu wędzonego mięsa czołgał się ciężko po stoku hałdy i rozwlekał po jałowych wydmuchowiskach. Ludzie krztusili się, kaszlali, wymiotowali i skarżyli się na łupanie w potylicy.

Dyrektor Boelsche popędzał budowaczy do popiechu. Jego za popędzała narzekająca dyrekcja koncernu, koncern znów popędzali radcy z Głównego Urzędu Górniczego we Wrocławiu. Wrocławski Urząd Górniczy rozumiał, że będzie potrzeba bardzo dużo węgla. I to niezadługo. Wojna bowiem lada miesiąc, lada tydzień, a może lada dzień wybuchnie. To będzie wojna zwycięska, lecz żeby była zwycięska, potrzeba węgla. Zwłaszcza takiego, jaki zawiera pokład Joanny. Koksujący, tłusty, o wielkiej ilości kalorii. Huty będą go pożerać ponad zwykłą miarę, z wielkich pieców popłynie stal, ze stali urosną armaty i pociski...

W pokładzie Joanny pracowali budowacze na trzy zmiany. Ludzie przedzierałi się przez obwały w chodnikach i gankach, rosły rzędy stempli, pachniały żywioł, uwijali się wozacze, a pierwsze lokomotywki elektryczne, wprowadzone do Arnolda przez dyrektora, przelatywały z szumem i grzechotem w przekopie, łupały jednym ogromnym wiatłem na przedzie, niskie, przysadziste, wlokąc za sobą po kilkadziesiąt wagoników rumowiska.

Gdzie było można, rumowisko wrzucano do wybranych filarów, budowano z nich kaszty, wspierano spękane stropy.

Za dużo węgla pozostaje w filarach!... zzymali się sztygarzy i co starsi budowacze. Węgiel jest suchy, drobny, po prostu miał sypki. Przyjdzie trochę wilgoci, powstanie pożar!... A co potem?

159

Poszli do dyrektora Boelschego.

Panie dyrektorze! Za dużo miału zostaje w filarach... Nastąpi samozapalenie... Pożar!

Dyrektor Boelsche polękał się tych słów. Wydłł jednak usta dla niepoznaki, spojrział chłodno na sztygarów i mruknął:

Zobaczmy!...

Nazajutrz zjechał do pokładu Joanny, obejrzał i uspokojony wyjechał. Owszem, pożar może powstać, jak powstaje zresztą w każdej kopalni. Lecz żeby tak bardzo groził, jak twierdził sztygarzy, to chyba nie!... W najgorszym wypadku każe wznieć tamy u wejścia do podsadzanych filarów. Za to filary poza uskokiem muszą być czyste. Z powodu metanu. Tam nie może powstać pożar. Inaczej znowu całą kopalnię diabli wezmą, jak się już to raz zdarzyło w roku...

Przypomniał sobie, w którym to roku pożar unieruchomił kopalnię. Chciał sięgnąć do kroniki, grubej księgi w czarnych okładkach, lecz w końcu machnął dłońmi.

Myląc o kronice przypomniał sobie dyrektora Racka. Po jakiego diabła laźł sam jeden w opuszczoną kopalnię? Cemu nie zabrał z sobą na wszelki wypadek drugiej lampy, elektrycznej! Typowa polnische Wirtschaft! uwiadomił sobie ze zjadliwym zadowoleniem. On by tak nie uczynił. Kopalnia się wali niech się wali! Czy to jego kopalnia? Narażać życie dla kogo? Wydł znowu mięsiste usta, dmuchnął przez szczelinę między wargami. Lecz to dziwna kopalnia. Wszyscy dotychczasowi dyrektorzy kończą w niej swój żywot w sposób niesamowity. Przypomniał sobie ich śmierć, wyłuskaną z zapisków kroniki. Obleciał go zabobonny lęk. Zachnął się niemile, nachylił nad papierami. Raporty sztygarów i dozorców głośiły w kolawej niemczyźnie, w pokrzywionych literkach, na pobrudzonym papierze, że pokład Joanny lada dzień będzie odbudowany. Raporty wymieniały chodniki, upadnice, pochylnie, przecinki i filary. Zestawił wszystkie nazwy, spisał, stanł z kartką przed ogromną cienną mapą pokładu Joanny. Jśł zakrełać nowe znaki w gęstwie dawnych zjiaków. Obleciał spojrzeniem całą mapę. Jeżeli oddaje wiernie pokład Joanny, to w niej

Polska gospodarka (pogardliwe).

160

węgla, ho, ho!... Wystarczy na długie lata. Pokład ujęty w płaszczyźnie poziomej sięgał bardzo daleko. Kiedy, po wojnie, zaproponuje, żeby bito drugi szyb w zachodnim polu. Opłaci się biorąc pod uwagę przysięż odległość przodków w zachodnim polu od podszybia. Zwłaszcza, że za uskokiem najlepszy węgiel. Tylko ten metan!... Ha, usprawni się przewietrzanie!

Spojrzał na drugą część mapy, na pokład w przecięciu pionowym. Mapa doskonale informuje!... Dyrektor Boelsche czyta z niej, jakby oczy jego umiały patrzeć poprzez ziemię. Oto pokład zaczyna się tuż pod powierzchnią i w lekkim nachyleniu leci coraz głębiej i głębiej. Sto metrów, dwieście metrów, trzysta metrów... Kończy się na mapie na głębokoci siedmuset metrów. Pokład z pewnością sięga jeszcze głębiej, lecz już nie starczyło mapy... Do tej głębokoci dotarły widry wiertnicze i na tej głębokoci zamierzono pierwotnie skończyć. U niego będzie inaczej. U niego musi być inaczej! Pogłębi szyb, stworzy trzeci, potem czwarty, a choćby i piąty poziom, popędzi przekopy coraz dłuższe i przekopami będzie cigał umykający pokład. Umiechnął się, bo zrozumiał, dlaczego jego poprzednicy zatrzymali się na mapie na siedmuset metrach głębokoci. Oto dlatego tylko, że nie znali jeszcze nowoczesnej techniki górniczej. On, Boelsche, sprowadził już elektryczne lokomotywki na przekop w pierwszym poziomie, w tym roku sprowadzi je na drugi poziom, zmieni windy dwupiętrowe na trzypiętrowe, a nawet czteropiętrowe... Nie, to pochłonie dużo wydatków! Musiałbym zmienić maszynę wyciągową... A pewnie, że musi zmienić!... Maszyna stara, dychawiczna i słaba. Na jej miejscu postawi jeszcze w tym roku nowoczesną maszynę elektryczną. Przebuduje wieżę wyciągową. To musi być cud nowej techniki. Zamiast stali beton!... A może



zamiast windy skip?...

Olniła go ta myl.

Oto niedawno czytał w angielskim piśmie górniczym o zastosowaniu skipu w jakiej walijskiej kopalni. Sprawozdawca krytykował nowe urządzenie wyciągowe, lecz i podkreślał jego zalety. Zamiast windy olbrzymia skrzynia stalowa. Zamiast wciskaczy pod szybem olbrzymi zbiornik na węgiel poniżej poziomu podszybia. Automatyczne urządzenia. Skip opuszcza się jak winda, automatycznie otwiera zasuwę zbiornika, węgiel wsypuje się do skipu,

U Pokład Joanny

161

zasuwa zamyka się sama... To musi być ciekawe urządzenie!... Nad tym automatycznym zamykaniem się zasuwę zbiornika rozwinął inżynier angielski. Ganił jego urządzenie. Twierdził, że zawodzi, s wymaga jeszcze wielu poprawek. Ha! niech poprawiajś!... Gdy oprawiś, on taki skip urzodzi w szybie Arnolda!... Skip z urobkiem wyjeżdża na powierzchnię, samoczynnie się twiera i węgiel zsypuje się na transporter wiodący wprost do sortownic. Z czego ten transporter zrobiony?... Chyba elektryczna o-ry, długa tama gutaperkowa, szeroka, lekko wklęsła... Tama również zawodzi... Rwie się, pęka, strzępi... Ha, dyrektor Boelsche tutaj zaczeka.

A w kopalni? Wyrzuci przestarzałe maszyny, zmieni przede wszystkim pompy w drugim poziomie. Stare, za mało wody cyskajś!-

Znowu się umiechnął do tego zabawnego określenia. Pompy od cyskajś!... Po roku, po dwóch latach pogłębi szyb i utworzy zeci poziom. W trzecim poziomie ustawi nowe pompy. I także elektryczne!... Zresztą innych nie można. Przecież te skierowane pompy w drugim poziomie są również elektryczne. Z takich pomp pozostał chyba praszczur Noe w swej arce.

Rozemiał się głono, trzasnął się dłoniś po udzie! Spoza biurka nad oknem podniosła głowę blada sekretarka, Irmgarda Słowik. Spojrzała zaciekawiona na swego szefa. Dla zaakcentowania swej irliwoci służbowej także się umiechnęła. Jej umiech był również blady i jakby przylepiony do ukarminowanych ust.

Czy pani kiedy słyszała, żeby Noe posługiwał się elektryczną pompą w swej arce?... zapytał uradowany własnym dowcipem.

Nie wiem, panie dyrektorze...

Dlaczego pani nie wie?... bawił się jej przestraszonym umieniem.

Bo ja... bo ja nie czytałam jeszcze Biblii...

Krowa! mruknął pogardliwie dyrektor. Spojrzał na nią niechęć. Nowa myl strzeliła mu do głowy.

Jak się pani nazywa? Zawsze zapominam.

Irmgarda Słowik, panie dyrektorze.

Co to za barbarzyńskie nazwisko? Słowik... Co to znaczy sio-k” po niemiecku...

Nachtigall...

Czemu się więc pani nie nazywa Frdulein Irmgard Nachtigall?...

Ja nie wiem, panie dyrektorze...

Pani jest Niemkš czy Polkš?...

Jestem lšskš Niemkš, lecz... tu potknęła się bojaliwie.

Lecz co?

...lecz moi rodzice nie umiejš jeszcze dobrze po niemiecku.

Krowa! mruknšł powtórnie, lekko zgorszony, i odwrócił się do mapy.

Słowik! Nachtigall!... Słowik!... Głupia krowa! mruknšł /. pogardš.

Dyrektor Boelsche nie rozumiał tutejszych ludzi. Ni to Polacy, ni Niemcy, diabli ich wiedzš, co to za mieszańcy! Tamci rebelianci wykrzykujš o jakiej Polsce, której nie ma, czytajš jakie polskie gazety, zwołujš jakie zebrania, chóry, diabli wiedzš co jeszcze... A inni łaszš się jak psy obite, czepiajš się pańskiej klamki, bełkocš po niemiecku, nalezš do Kriegeryereinu”1. Cóż to za cudaczny konglomerat? Szlachetne imię Irmgarda, przypominajšce starogermańskie sagi, wyprawy zdobywcze, Las Teutoburski, wodza Arminiusza, a obok jakie barbarzyńskie nazwisko Słowik”, cuchnšce gnojem i wódkš, oblaže wszami, wrzaskliwe, bełkotliwe...

Otrzšsnšł się ze wzgardš. Irmgarda Słowik patrzyła na niego z pokorš i nienawiciš. Zagryzła usta i jęła stukać na maszynie. Dojrzewało w niej jakie buntownicze, nie uwiadomione jeszcze postanowienie.

Dyrektor Boelsche wrócił do przerwanych myli o kopalni. Stanšł znowu przed mapš i zapatrzył się w pokład Joanny. Na czym to się zatrzymał?... Aha, na tych pompach elektrycznych w trzecim poziomie. To wszystko możliwe. A przede wszystkim, zanim zmechanizuje do reszty pokład Joanny w trzecim już poziomie, zanim zaprowadzi na przekopie transportery, a w szybie skipy, musi rozpocząć od poziomu pierwszego i drugiego. Tamten jego poprzednik, jaki Russisch-Pole niczego nie dokonał. On za jeszcze w bieżšcym roku sprowadzi do kopalni pierwsze wrębiarki do niskich pokładów, widry i młoty pneumatyczne do pokładu Joanny. Wy-Stowarzyszenie byłych wojskowych, weteranów.

163

dobycie węgla musi wróć dwukrotnie!... No, i niecki każe wyrzucić, a na ich miejsce zaprowadzi rynny. Inne kopalnie już dawno... Nie, nie tak dawno! Od roku zaledwie posiadajš takie rynny.

Szczeka to diabelstwo, czyni piekielny hałas, ryczy, podskakuje rytmicznie, węgiel zjeżdża susami do gospody w podstawiony wagonik, lecz zastąpi całość zgrają szleprów, grabiścych żelaznymi grabkami urobek do niecek i zsypujących go opieszale do wagonika. Skończy się to marnotrawstwo czasu!...

Wyprostował się, chciał rozciągnąć ramiona, gdyż rozpierała go radość tworzenia, lecz przypomniał sobie, że patrzy na niego Irmgarda Słowik.

Głupia krowa!... mruknął już teraz z pasją i wyszedł. Irmgarda Słowik dosłyszała owo obelżywe określenie: Blode Kuh.

winia germańsko! cisnęła za nim niemiało i aż się przeraziła tego zuchwalstwa.

Wszystkie zdarzenia zmówiły się przeciwko Irmgardzie Słowik. A najboleńiej dotknęło powołanie do wojska Józefa Rozmusa.

Bydzie wojna, Irma!... Pojada na wojna, a jak wróci, zrobimy wesołość. pocieszył ją na dworcu przy odjeżdżającym pociągu.

A co będzie z dzieckiem?... zatroskała się blada Irma.

Jeszcze go nie ma, a jak będzie, id do mojej starki, ona już wie wszystko... A z Bogiem, Irma, a dźierz się...

Irmgarda Słowik dźierzała się, lecz gdy wyszła dzisiaj z biura, nareszcie się załamała. Od przechodzących górników dowiedziała się, że wojna wybuchła. Gdzie, jaka wojna, z kim, niewiele już to obchodziło. Widmo wojny pełne płomieni, zburzonych domów, leżących zabitych żołnierzy, krzyku, dymu, przerażenia i strachu, to widmo przesłoniło jej cały świat. W tym chaosie widzi swojego Józefa Rozmusa...

Pobiegła do biura sztygarów i jeszcze raz wpatrzyła się w mizerny oleodruk na cianie, przedstawiający pobojuwisko pod Sedanem<sup>1</sup>. Tak, to jest wojna!... Domy się palą, ludzie uciekają, żoł-

1 W wojnie niemiecko-francuskiej Francuzi ponieśli klęskę pod Sedanem w roku 1870.

11 erze przebijają się bagnietami, krew cieknie... To wszystko wojna! A na tej wojnie jej Józef!...

Wojna zaskoczyła wszystkich. Spodziewano się jej wprawdzie, lecz nie przypuszczano, że objawi się w hulaszczych krzykach pi-ismych poborowych, w wywieszonych flagach, w wiśtecznym na-Iroju, w jakim radosnym podnieceniu, w szumie szumnych grzmiścych słów, w uroczystych kazaniach i w przedziwnym otumanieniu, które pozwalało przeżywać jej pojawienie się, jak stu-harwne zjawisko w korowodzie szarych, nikłych, jednostajnych dni. Ludzie byli oczarowani wojną.

Dyrektor Boelsche skończył w jej pierwszych dniach odbudowę pokładu Joanny. Obecnie postanowił rozpocząć wydobywanie węgla. Teraz węgiel popłynie szerokimi rzekami po stalowych sitach sortowni, potoczą się wagoniki w przekopie, rozkrzyczą się widry i młoty pneumatyczne. Lecz potrzeba mu ludzi. Ludzie czekają pod bramami. Chyba dokuczyło im to wyczekiwanie przez cały rok. Prawie cała

załoga z pokładu Joanny odpokutowała swój strajk bezrobociem. Spokornieli dzisiaj, spotulnieli...

Dyrektor Boelsche miał swoich zauszników, pieseczków pań-ikich. Ci przeglądali z nim spisy wracających górników i mówił. Pięknie proszś, panie dyrektor, ten za bardzo pyskował! Ten /a bardzo wrzeszczał o Polsce! Ten najbardziej wygrażał panom! Ten najgłośniej piewał Czerwony sztandar! Ten nawet w gospo-ilzie piewał Jeszcze Polska nie zginęła!... A ten powiadał, że przyjdzie czas, a Niemców diabli wezmś!... Tak mówił, proszś pie-1. nie, panie dyrektor!... A ten jeszcze każdemu mówił, że kiedy cała gruba bydzie naszś grubś, to znaczy ich grubś, proszś pięknie, panie dyrektor!...

Jak to rozumieć? pytał się przez tłumacza, sztygara Donocika.

To należy rozumieć, że kiesi przyjdzie czas, że panów powiesi się na wieży szybowej, a cało gruba stanie się własnościś Liórników...

Dyrektor Boelsche słuchał i skrełał.

Niewiele więc pozostało z dawnej załogi z pokładu Joanny. Resztę powoła się do służby wojskowej. A potem pójdś na front!... Na ich miejsce przyjdś inni do pokładu Joanny.

165

Przy nazwisku Ignacego Kulisza zawahał się. Sztygar Kapica tłumac/ył, że to wprawdzie jeszcze szczeniak, lecz on najbardziej podjudzał górników do staku na ułanów gliwickich podczas tamtego strajku...

Fanzolisz, pieronie głupi! mruknś wtedy sztygar Donocik. Ty by nie buntował, gdyby ci tak starzyka zabito... Głupi, pieronie, aże głupi... To jest porzśdny chłopiec, panie dyrektorze zwrócił się po niemiecku do Boelschego. Tego trzeba zostawić. Sierota i wszystko... Ojciec zginśł w kopalni... W pokładzie Joanny.

Aha! mruknś dyrektor Boelsche. A ile ma lat?

Idzie mu na szesnasty...

Ignacy Kulisz został przeto przyjęty do pracy i przydzielony z powrotem do pokładu Joanny. Zdumiał się, gdy w towarzystwie Michejdy, starego rębacza, ujrzał biegnścś lokomotywkę w przekopie. Wynurzyła się z mroku z wylupiastym wiatłem na przedzie, niska, pękata, podobna do poczwary, sypiśca niebieskimi iskrami z kabłśka pod stropem i pędem wlokła za sobś bardzo długi różaniec wagoników. Pociśg ze zgiełkiem przetoczył się koło nich, uczajonych między stemplami, wionśł na nich wichrem, oszołomił oczy, poraził swś potęgś.

Chciałbym być takim maszyniśtś... rzekł potem Ignacy z roziskrzonymi oczami, Stanśł na torze i dłuo patrzył za znikajścym czerwonym wiatłem, uczepionym do ostatniego wagonika.

Możesz! mruknś Michejda i pociśgnśł chłopca za sobś. Wstśpili do pokładu Joanny. U wejcia do głównego chodnika

wciśż jeszcze tkwiła tabliczka z napisem Joanna-Flóz.

Co to znaczy, Michejdo? zapytał wskazując na tabliczkę.

Głupi! To nie wiesz? To po szwabsku pokład Joanny. To była taka jedna grefina, córka górnika Gryszczyka. Ona dostała majątek po starym Goduli, który jak mówisz starzy ludzie, z diabłem kramarzył... A za co? Diabli go tam wiedzś! Powiadajś, że za umiech. I cóż? Za takś pakatel została grefinś, potem wydała się za grafa Schaffgotscha i tak samo musiała umrzeć, jak my umrzemy... Na diabła jej przyszedł taki majątek za jeden głupi umiech...

Ale nie musiała się mordować w kopalni, nie bolały jś krzyże, nie łupało w kociach!

Michejda spojrział na chłopca, pomyślał i splunął.

166

Nie musiała... Pewnie, że nie musiała! mrucał. - Ale i tak karwęczyła przez całe życie, jedziła do badów, moczyła się w jakich wodach, stękała... Doktorzy mieli dobry zarobek. Już tam, synku, lepszy kśsek suchego chleba i zdrowie, jak tamte przekłete pieniądze, a kwękać... I co jeszcze dodał tajemniczo na drugim wiecie nie bydzie miała spokoju!

Po jakiemu?

- Bo ten jej wszystek majątek to zdarte z robotnika... Z jego krzywdy! Ale chodmy, nie obsrywajmy się, bo mamy jeszcze kęs cesty do przodka...

Ignacy był innego zdania. Nie podzielał bowiem jego filozoficznych uwag o mizernej wartości pieniędzy. On by to wszystko inaczej urzśdził. Jak tego jeszcze nie wie. Lecz wie, że inaczej. Tak chyba, jak go uczył starzyk, stary rektor limok z Rudy. Starzyk Slimok nieraz mu tłumaczył, że byłoby najlepiej, gdyby taka kopalnia stała się własnościś wszystkich górników i wszyscy dzieliliby się dochodami po sprawiedliwoci... A taka grefina Joanna Gryszczyk mogłaby być tylko dyrektorem albo czym... Eh, co tam sobie głowę łamać... i

To jedni by robili jak konie, a drudzy by się lenili! powiedział raz starzykowi Slimokowi.

To by musiała być między robotnikami jednoć! rzekł wtedy starzyk.

Ignacy nie wierzył w owś jednoć. Starzyk siedział w ksiśżkach, więc tak myślał. Gdyby pracował w kopalni, inaczej by mówił!...

Umiechajśc się sceptycznie do wspomnień o starzykowych przykazaniach i naukach, szedł za Michejda głównym chodnikiem. Wiedział, że niedługi już żywot chodnika. Gdy tylko zostanie wybrana reszta filarów w górze, po jego prawej stronie, cały urobek pójdzie upadnicami do poziomu drugiego.

Michejdo! A co zrobiś z tym starym chodnikiem? zapyta! zniecka.

Z jakim starym chodnikiem?

No, z tym, którym teraz idziemy!

Jak mylisz?

Że zamieniś go na chodnik wentylacyjny... rzekł niepewnie.

16?

Mśdzy z ciebie łeboń! pochwalił go Michejda i cmoknął zadowoleniem. Innemu szpikolowi to tylko głupstwa w gło-

ne, a ty już mylisz jak stary hawierz!... No, no... Docierali pod uskok, gdy Ignacy znowu się zapytał: \_\_ Michejdo, a prawda to, że tu siedzi duch Szarlej?... Czy

‘ustecki?...

Drzysty starej baby! Ś mruknął pogardliwie Michejda. o tam jeszcze nie widział żadnego Szarleja ani inszego Ziemskiego )ucha... Jeli co jest, to chyba duch dyrektora Racka lub twojego jca, Boże mu tam dej radoć wiekuistš, łebo tych inszych kamra-ów, co tu poginęli. A już ich jest spora gromadka... Za tych... ‘oczkej, aż porachuję... W pokładzie Joanny zaczęto grzebać v roku pięćdziesiątym i ósmym, dzisio mamy czternasty... No, to est ile?

Ignacy wyliczył w pamięci, szybko.

Pięćdziesiąt i szeć lat...

No, widzisz! mruknął znów z uznaniem Michejda. Na-ret masz głowę do rachunków. Inżynierem powiniene zostać łebo aarkszajdrem... Toż widzisz, za tych pięćdziesiąt i szeć roków to u już kupa kamratów poległa...

Przeszli w milczeniu przez uskok.

W tym miejscu był twój ojciec ranny, potem umarł w ce-howni... To tu było! Wybuch gazów! Oto tu!... i wskazał na hodnik wiodšcy w górę, a z boku chodnika na filarowe okno a walone rumowiskiem. W tym oknie to było! A zdejmij czap-zysko z głowy, a porzekej za duszę ojca!...

Ignacy zdjął posłusznie czapkę z głowy i stšpajšc za Michejdš, zeptał pacierz za duszę ojca. Zanurzali się w coraz głębszš ciszę, apach kopalni wzmagał się, był słodszy i cieplejszy aniżeli u wej-cia z przekopu. Roztršcane mroki były jakby gęstsze i czarniej-ze. Ignacemu wydawało się, że rozstępujš się przed nimi z sze-2stem jak czarna, atłasowa zasłona. Kroki dudniły głucho, echo a rozłamywało się pod stropem i spadało im pod nogi. Ignacy vjLdział, że pod stropem rozcišgajš się pierwsze pasemka metanu. /lichej da takze o tym wiedział, bo bezwiednie uchylał głowę opuszczał do spšgu swš benzynowš lampę. Czasem przystanš na [robnš chwilę, podniósł głowę, przechylał jš lekko do tyłu i sma-I

Itował powietrze. Pociśgał nosem, rozcierał językiem na podniebieniu i spluwał. Potem znowu siedł w milczeniu.

Ignacemu wydawało się, że myli Michejdy, myli wszystkich towarzyszy, którzy tędy przeszli przed chwilę, ba, myli wszystkich tych górników, którzy tu kiedykolwiek byli, nawet myli jego ojca kręsz koło niego na kształt ciemniejszych od mroku smużek

O przeróżnych kształtach. Wszystkie sę szare, chociaż powinny być ciemniejsze od ciemności w chodniku, i wszystkie sunę, i motają się w pustce jak glony w ciemnej wodzie płynącej. Jedne z nich sę kanciaste, drugie w łagodnych fałdach, inne w obłych przechyleniach, w powolnych plęśkach i w spiralnych liniach wałęsają się koło niego i ocierają o jego czoło.

Michejdo! Czy można myli widzieć? zapytał zaskoczony swoim przywidzeniem.

Co takiego?

Czy można myli widzieć?...

Michejda zatrzymał się, podniósł lampę, powiecił w oczy Ignacego. Ujrzał ich głębię o kolorze kasztana, liczne i urzekające.

Fanzolisz synku... rzekł łagodnie. Myli można tylko czytać...

Z czego...

Z ludzkich oczu... Ale to nie każdy poradzi.

I znowu ruszył, duży, ciężki, tajemniczy ze swoimi myłami.

I znowu pociśgał nosem i smakował powietrze. A potem mruczał:

Nie podoba mi się...

Co wam się, Michejdo, nie podoba?

Te gazy zapieronowane!... Ziemski smród... Rozsypały się teraz dni szare, długie, jednostajne.

Na powierzchni przewalały się zdarzenia, szumiało rozwichrzone życie, gasły gwałtownie ludzkie istnienia, wojna ogarnęła zdawałoby się cały wiat, wiadomość dokonywanych zabójstw jęła ciężyc i przerażać, mnożyły się smutki, wracali ranni, napełniały się szpitale, przez ulice prowadzono ogromne stada ludzi zgaszonych, obdartych, brudnych, w nieprzyjacielskich mundurach wojskowych, gazety krzyczały o zwycięstwie, raz po raz na okopconych murach miast wykwiwały chorągwie jaskrawymi kolorami,

sensacji, stawały się Dbmierzłym wspomnieniem, a wszystko przemieniało się w żebra-:zś hołotę, zdychajścś w pogardzie u progu pokładu Joanny.

W pokładzie Joanny życie posiadało inne wartoci. Twardy albo niękki węgiel, pękajścycy strop, smak metanu, rudziejścce wiatło v benzynowej lampie, słony pot ciekńścycy w kściki ust i szczypiścycy n oczy, zapach pyłu węglowego, a przede wszystkim walka z czar-lym, lepym a mciwym żywiołem ziemi stanowiły w nim istotę :ycia. Ludzie rzśdzili się tutaj nnymi prawami aniżeli na powierz-:hni. Solidarność i wysiłek fizyczny, chytroć nad chytrociami podchodzenie mierci w jej legowisku, poczucie wspólnoty wobec ej niańczonej zbrodni, patos bez gestu i gest bez patosu, stokratna isza i tajemniczy oddech ziemi, które trzeba zrozumieć i przetłu-naczyć na ludzkie mylenie prawa te urabiały człowieka na drębnś miarę i wielkość.

Zdarzenia wiata ocykały się tutaj w chropowatych słowach jak gromnie dalekie wspomnienia, aczkolwiek mogły się dziać wczó-aj—

Nabrały kolorów, gdy do pokładu Joanny wprowadzono pierw-zś grupę serbskich i rosyjskich jeńców. Jeńcy szli jak skazańcy. V oczach ich pełgał niepokój i wstyd upokorzonego człowieka. Umiechali się blade do górników, których twarze wynurzały się mroku w okolu rudego wiatła, i umiechali się do niezrozumia-fch słów, które szły do nich jak człowiek w podkutych butach, wypatrywali czujnie zrozumienia.

Podwiadomie ulegali wzruszajścemu przekonaniu, że znaleli ę wród ludzi, którzy rozumiejśc ich udrękę i krzywdę. Nie chcśc ‘spółczucia, tylko zrozumienia. Dzieli ich pozornie złachmanio-y mundur wojskowy i język, lecz poza tym wszystko u nich spólne. Wojna za stała się ogromnś, bezrozumnś i bezsensownś srodniś zbiorowś, która rozdziela ludzi.

Tu bydziecie robili, ponimaji, wy pomieszczyki, skurczybyki ierońskie!... pastwił się nad nimi sztygar Kapica. Zachciało ę wam wojny, chcielicie nas pobić, a teraz macie. Bydziecie rzyć, aż wam strzępce pójdśc z dupy!... Wy dziady zapieronowane,

russische Séhweine!...1 wrzeszczał i ruszał gronie wśsami, a równoczenie strzygł oczami, czy go słyszy dyrektor Boelsche.

Dyrektor Boelsche stał z boku i przypatrywał się jeńcom z drwiścym umieszkiem.

Pierunie, ale ty jeste głupi, aże głupi! warknśł dozorca Ligęza. Strzępisz se język na tych otrokach, a przecież to też ludzie, ni!... Głupi jeste jak stare sadło!... Staremu chcesz się wkręcić do zadku bez wazeliny!... i splunśł z pasjś pod jego nogi.

Was ist los?... Was ist?...2 zapytał zaintrygowany dyrektor

Boelsche.

Jak piniesz, pierunie zapierunowany, nie pozy jesz długo!... ostrzegł go zduszonym głosem Ligęza. Poparły go pomruki towarzyszy.

Nic, proszę pięknie, panie dyrektor! popieszyl z odpowiedziś zaskoczony Kapica. Oberhauer



Ligęza gniewa się, że tak mało jeńców... Że potrzebuje więcej...

So?... mruknął przeciśgłe dyrektor. Widać, nie uwierzył Kapicy. Kazał mu przeto tłumaczyć to, co powie do załogi przodkowej. Kapica tłumaczy usłuznie, że pan dyrektor naporęcza, iż nie wolno kamracie się z jeńcami, że to jest strajhar, gdyż to sš wrogowie naszej ojczyzny, i jeżeliby go nie usłuchano i górnicy jednak się z nimi kamracili, z tymi lumpami, to grozi im Kriegsge-richt i taki każdy jeden chachar pójdzie na front za karę... Zrozumiano?...

Nastało milczenie. A Michejda, który stał w głębi przodka, prawie niewidoczny, cisnął z pogardš:

A całuj nas, pierunie, w dupę!... Prychnął krótki, zbiorowy miech.

Co powiedział? zapytał dyrektor Kapicy. Kapica za był oburzony. Co podobnego?... Wobec samego pana dyrektora takich słów używać!... Że towarzysze mająš jego, Kapicę, w pogardzie i nienawici, wiadoma rzecz. Nie mogš przeboleć, że ma większe łaski u pana dyrektora aniżeli ktokolwiek inny. Po prostu zawisz-czš mu tego. A tamten czarny diabeł, dozorca Ligęza, patrzy jak

1 Rosyjskie winie!

2 Co się stało?... Co jest?...

171

zbój. Juž by go dawno spławił, lecz jego trzeba się bać!... Wszak mu ten opryszek raz powiedział w zawalisku, że jeżeli będzie wciśz panom dupę lizał i donosił im na kamratów, to niech nosi miech na swoje koci. I radził mu po dobroci, by juž sobie zamówił trumnę u stolarza Liszoka. To znaczy, że on go może zabić!... U takiego Ligęzy wszystko możliwe! Trzanie znieacka lampš w głowę, zawlecze do zawaliska i koniec. Kto zabił Kapicę? Nikt nie będzie wiedział. Wszyscy pomyłš, że nieboszczyk Kapica, Boże mu tam dej radoć wiekuistš, amen! polazł do zawaliska, kamień spadł mu na ciemię i juž jest po Kapicy! Przekłęty Ligęza!... Trzeba go będzie wypchać na front!... Lecz żeby wobec pana dyrektora wyrażać się tak obelżywie!... To co straszego!...

No, Herr Kapica, co tam powiedziano? zapytał zniecierpliwiony dyrektor.

A, co powiedziano?... Powiedziano, że dobrze... że nie będš się kamracie z wrogami ojczyzny.

Gruchnął znowu miech. Dyrektor zagryzł usta, spojrział z tłumionš wciekłościš na górników, odwrócił się i poszedł. Za nim podyrdał Kapica.

mierdzi, gizard, tchórzem! Do galot robi ze strachu!... Pierun zapierano wany!... mruczał oburzony Ligęza. Potem porozdzielał jeńców między swoich ludzi w przodku.

Miejcie na nich wzglšd, kamraci! rzekł jeszcze do załogi. Chude to, głodne i słabe. Pouczcie ich najpierw, jak się mająš zachować w kopalni. Papierosy, zapałki, lampa, gazy, tšpanie... Na każdego z nich czeka matka lub żona z dziećmi... To sš nasi... tu się zawahał lekko. To sš nasi bracia! rzekł mocno i poszedł do następnego przodka w upadzie.

Jeńcy byli istotnie głodni, słabi i chudzi. Ślaniali się podczas pracy, szybko męczyli, łapali z trudem oddech, pocili się ponad miarę i narzekali. Jedni po serbsku, drudzy po rosyjsku. Rychło się jednak dogadali z górnikami. Górnicy za, wbrew zakazowi dyrektora, jeszcze w tym samym dniu pokumali się z nimi.

Dni wojny wlokły się beznadziejnie. Nadzieja bowiem skurczyła się, spopieliała i przemieniła w obmierzłe truchło. Kiedyż do jasnego pieruna będzie koniec z tś wojnš, aże kiedy?... Zmieniali się ludzie w pokładzie Joanny, zmieniali się jeńcy. Coraz kto

172

z górników, niewygodny dyrektorowi Boelschemu, wyjeżdżał na front, jeńcy za umierali. Jeńcy szybko umierali. Niedożywiani, gnani do pracy, bez opieki lekarskiej zapadali rychło na grulicę, a dławieni kaszlem kładli się wyczerpani na spšgu i prosili zrezygnowani:

Dobij, bracie!... Nie dam rady!... Dobij!...

Wkładano ich na trecinę, na wagonik bez cian i wywożono na powierzchnię. Potem umierali w lazarecie obok swoich baraków pod hałdš. Górnicy usiłowali dzielić się z nimi chlebem, lecz sami mieli go mało. Wydzielany na kartki, ledwie że ledwie starczył dla nich. Czasem kto przyniósł ugotowanych kartofli w łupinach i wsuwał do wyciśniętej dłoni. Kartofle były zimne, lecz syciły na chwilę parszywy głód i przedłużały żywot serbskiego czy rosyjskiego otroka o kilka miesięcy.

Dyrektor Boelsche wcale się nie przejmował nadmiernš miertelnociš jeńców. Wojska niemieckie parły naprzód i dostarczały ich pod dostatkiem. Dyrektorowi chodziło przede wszystkim o węgiel. Ludzi miał dużo. Jego ludzie za nie mogli się już buntować. Władze zmilitaryzowały załogi górnicze, za wszelkš próbę buntu czy sprzeciwu groził sšd wojenny. W najlepszym wypadku winowajca był wysyłany na front, w najgorszym i najskuteczniejszym stawał pod szubienicš.

Pokład Joanny przemieniał się w kotłowisko. Sprowadzone przez dyrektora Boelschego rynnny ryczały już w przodkach, węgiel sypał się bez przerwy w podstawione wagoniki, wiertarki, pędzone sprężonym powietrzem, wgryzały się w ciany, lokomotywki na przekopie w obu poziomach nie mogły nadšżyć z odwożeniem urobku. Szleprzy zarzucili już niepotrzebne niecki i teraz łopatomi sypiš urobek do rynnny i sypiš. Urobek podskakuje w podrzucanej rytmicznie rynnny i posuwa się wylizganymi korytami w dolinę. Motorki pod rynnny wyjš z wysiłku, łańcuchy z zawieszonymi rynnny puszczš, pył bucha tumanami, dławii, zaćmiewa wiatła, a knapszaftowy lekarz przewietla płuca górników i markoci się, że pylica czyni w nich spustoszenie.

Odstrzały dynamitowe huczš płaskim grzmotem, a biały, słod-kawy dym czołga się leniwie gankami i chodnikami, zatapia wiatła mlecznš topielš, ludzie się krztuszš i pieronujš.

173

Dotychczas nie używano dynamitu w filarach za uskokiem. Lę~ ano się bowiem metanu. Lecz dyrektor Boelsche polecił pracować im wiertarkami i nakazał używać dynamitu.

Panie dyrektorze, lecz tam gazy!... tłumaczyli mu szty-irzy.

Quatsch!...1 Wydmuchać, wodś zlać przed odstrzałem!

Ludzie nie chcś tam pracować dynamitem!

Przeznaczyć do tej pracy jeńców! Wyszkolić ich, pokazać niech oni idś!...

To też ludzie! omielił się sprzeciwić Ligęza.

Dreck, nie ludzie! To sś przede wszystkim wrogowie Nie-iec. To sś jeńcy! wrzeszczał dyrektor. A potem zniecka wał, przymrużył wylupiaste, rybnie oczy, wydśł usta i ciszonym osem wycedził:

Panie Oberhauer LigensaL. Ostrzegam pana! Pański stosu-:k do jeńców kwalifikuje się pod sśd wojenny. Ostrzegam!... Ja szystko wiem...

Kapica! pomyłał z odrazś Ligęza. Zatlukę go jak psa!...

Panie dyrektorze! Przepraszam, że się omielam zwrócić “age.—. zaczął teraz najstarszy ze sztygarów, Burian.

No! Los, los!... szczeknśł dyrektor.

Jeżeli przeznaczymy jeńców do takiej niebezpiecznej roboty, two o wypadek... Eksplozja gazów, pożar...

Quatsch! przerwał mu dyrektor. Nie bęđś sami! Przy-ielę do nich najbardziej spolegliwych ludzi!... Pan więc pójdzie, nie Burian, i pan, panie Oberhauer Ligensa... Jak się nazywa Titen lump, co mi kazał oto niedawno sein Arsch lecken w po-idzie Joanny?... No, Kapica?...

Kapica stał z boku najbliżej stołu dyrektora, ze służalczym miechem, w pokornej postawie. Załupał oczami i zaskoczony głym pytaniem, wyjškał:

To był Michejda, Hauer Michejda, pięknie proszę, panie dy-ctor!...

I Michejda będzie przy jednej grupie...

Panie dyrektorze, przepraszam... Uważam, że również nadaje się wietnie Herr Steiger Kapica... odezwał się teraz Ligęza.

Dyrektor spojrział na Ligęzę, chwilkę co pomyłał i zgodził się /. jakim okrutnym zadowoleniem.

Zupełnie słusznie! I pan sztygar Kapica!...

Ależ panie dyrektorze!... zaskamlał zdumiony Kapica.

Maul halten!1 wrzasnśł na niego dyrektor. Dosyc mi się pan, panie Kapica, naszwendał po kopalni,

namerdał ogonkiem jak piesek, naplotkował... Mam tego dosyć!... Powiedziałem! Resztę ludzi dobiorę sobie jeszcze jutro! Możecie odejść! Glück auf!... rzucił szyderczo.

Po tygodniu w filarach za uskokiem pracowały już załogi jenieckie. Ponieważ każdemu jeńcowi dodano ćwiartkę chleba dziennie, przeto nie wahali się pójść w niebezpieczny rejon. Zresztą, nie zdawali sobie bardzo sprawy, że narażeni są na eksplozję gazów. W kopalni znajdowali się po raz pierwszy w życiu, a oszołomieni zdarzeniami na froncie i potem w obcym kraju, osaczeni niechęcią, oswojeni już z poczuciem niższości wobec każdego człowieka przemawiającego do nich obcym im językiem, oniemieleni życzliwym, aczkolwiek szorstkim, stosunkiem górników do siebie, podjęli się pracy w tamtych filarach bez szemrania. Mierć spowszedniała im na froncie. Mierci gwałtownej a nieoczekiwanej w kopalni jeszcze nie spotkali. Niepokoiła ich tylko niezwykła ostrożność przydzielonych do nich przodowników, rębaczy, dozorców i sztygarów. Widry wiertarek wyły w maszynkach, maszynki za kształcie ogromnej rękojści rewolwerów szarpały nimi i trzeba było zapierać się piersią i naciskać mocno dłońmi, by się nie zwalić pod ich wstecznymi uderzeniami. Na prawej dłoni pojawiły się bąble, dłoń puchła, boleśnie, a widry wkręcały się w caliznę, tonęły szybko po nasadę, dziurawiły cianę w przeróżnych, skłonionych kierunkach, wskazywanych przez dozorców przodowników. Rozprężające się powietrze oblepiało wylot wiertarki l<sup>ub</sup> warstwę szronu, szron za parzył palce i chłodził przyjemnie czarne, spocone ciało. Wycie wichru, wylatującego w<sup>szk</sup> stru- /ra z maszynki, tłumilo wszystkie inne głosy, wrazało się w uszy

1 Milczeć!

175

na kształt szybkich, tępych pchnięć, zalepiało je przeciśniętym, jednostajnym szumem. Pobok stali przodownicy i lepili czujnie na strop. Czasem kazali wstrzymać wiertarki i wtedy spadała cisza na wszystkich jak ogromna, czarna woda. Przodownicy słuchali, czy stemple strzelają, czy w stropie t<sup>ę</sup>pie, owiecali go czujnie, wyławiali wszelkie szmery... Uspokojeni kiwali d<sup>ł</sup>oini<sup>ę</sup>, a wtedy wiertarki, nacięte kciukiem, uderzały znowu w jazgotliwy krzyk.

Potem jeńcy odpoczywali pod cianami na chodniku, a tamci przygotowywali wszystko do odstrzału. Strzelec wsuwał szare tulejki z dynamitem w otwory, ubijał je drewnianym dr<sup>ż</sup>kiem, zapychał mchem, rozci<sup>ę</sup>gał przewody elektryczne, sapał i kl<sup>ę</sup>ł, a przodownicy wpuszczali w przodek strugę zgęszczonego powietrza, inni znowu zlewali ciany, strop i sp<sup>ę</sup>g rozpylonym wachlarzem wody, a w końcu mierzyli po raz ostatni ilość metanu w filarze.

Następnie wszyscy chronili się w odległy stary filar, na w<sup>p</sup>ół zawalony, strzelec naciskał r<sup>ę</sup>czkę maszynki elektrycznej i wtedy jeńcy odruchowo się kulili, gdyż powietrzem i ciałami ich wstrząsał płaski grzmot wybuchu. Zawsze im przypominał się front, jak skuleni czaili się w rowie, a naokoło pękały podobne grzmoty. Z t<sup>ę</sup> różnic<sup>ę</sup>, że tamte były ostre, w filarze za stłumione.

Potem jeszcze wywalał się słodkawy dym, siny, czasem biały, a wtedy wszyscy krztusili się i klęli. W dymie znikwały wiatła przodowników. Tonęły jak we mgle podczas ciemnej nocy. Przodownicy ogl<sup>ę</sup>dali przodek. Zrywali zwisające obłamy calizny, stukali kilofami w strop, słuchali jego dźwięku, ogl<sup>ę</sup>dali czujnie, pali oczy ogromnymi zwałami zerwanego węgla, a potem wołali na towarzyszy- jeńców, że czas już imać się pracy.

I znowu szczękały przeraliwie rynny, rzucały się konwulsyjnie, węgiel zsuwał się w podskokach do gospod, a jeńcy, omotani czarnš chmurš pyłu, ciskali urobek łopatami w rynny, przywlekali stemple, podbijali strop.

W skšpej požodze rudych wiatełek, w słodkim, dusznym i rozparzonym powietrzu i w czarnej mgle pyłu podobni byli do szamocšcych się poczwar, zlanych potem, o wybłyskujšcych białkach oczu.

176

Mijały dni i mijały, a dyrektor Boelsche zacierał dłonie. Wskanik wydobywania węgla z pokładu Joanny wznosił się białš, łamanš kreskš na czarnej tablicy w cechowni. Tantiemy rosły i cyfry na jego koncie bankowym mnożyły się i pęczniały. Dyrektor Boelsche triumfował. Marzył jeszcze o zdobyciu Kriegsverdienstkreuz1 i o mianowaniu go naczelnym dyrektorem koncernu Schaff- {, 'otscha. Gdyby się tylko wojna skończyła pomylnie. Bo co tam niewyranie na zachodnim froncie...

A w końcu jego Edeltraude o jasnych włosach, o niebieskich oczach, umiejšca tak pięknie grać Schuberta, deklamować Schille-,ra i piec wspaniałe kruche ciastka! Jak bardzo jest podobna do złotowłosej Lorelei z ballady Heinego! Ileż to razy bywał z niš na Loreleif elsen pod St. Goarshausen nad Renem i ileż to razy patrzył na niš z zachwytem, gdy kšpišc się w Renie wynurzała się /. wody w obcisłym, czerwonym trykocie, podobna istotnie do złotowłosej Lorelei...

Roztkliwił się patrzc na jej fotografię.

Moja umiłowana Lorelei!... Moja najdroższa Lorelei!... szeptał wzruszony. Zbudził go ze słodkiego zapamiętania jazgot telefonu w sšsiednim biurze.

Kiż diabli!...

Słyszysz głos dziewczyny biurowej. Głos ronie w zdumienie, zamienia się w jakie urywane okrzyki. Teraz odłożona z hałasem słuchawka przecięła go suchym trzaskiem.

Do jego biura wpada Irmgarda Słowik, blada i trzęšca się, i co bełkoce. Oczy jej sš przerażone.

Was ist los? — krzyczy dyrektor Boelsche, niezadowolony i zły, że mu przerwała tak piękne chwile.

Panie dyrektorze... Panie dyrektorze... krtusi się słowami.

Was ist los? woła znowu.

Telefon... z podszybia...

Dyrektor Boelsche przelškl się jej głosu. Włożył fotografię Edeltraudy do portfela i popieszył do telefonu. Telefon wcišz dzwoni. Ponieważ słuchawka leży odłożona na biurku, więc dzwo—

Woj stawy krzyż zasługi.

12 Pokład Joanny

nek w telefonie terkocze jak długi, ponury werbel żałobny. Porwał słuchawkę, przykładła do ucha, odsuwa nieco i krzyczy, chcąc zagłuszyć tamten przeklęty dzwonek.

Cóż jest, do wszystkich diabłów?... ciska się już ze złości. Szczekanie dzwonka ustało. Teraz sypią się brzęczące słowa.

Dyrektor słucha z napięciem, wytrzeszcza rybie oczy, chwyta się dłoni za piersi i mamie z wysiłkiem:

O, mein Gott!... 1

W pokładzie Joanny eksplozja... Pożar... Ludzie zabici!... podpowiada mu blada Irmgarda Słowik.

Na kotłowni zawyła syrena. Urwała zniecka. Teraz znowu wyje krótkimi, jęczącymi frazami. To alarm!...

Przerażeni ludzie biegną koło okien. Syrena wyje bez przerwy.

1 O, mój Boże!

#### POD GOKŁ WIĘTEJ ANNY

1 rzez wyrwaną dziurę w dachu zaglądały gwiazdy. Towarzysze leżeli pokotem na słomie i spali. W nikłym blasku ciekłym przez dziurawą strzechę stodoły oczy Ignacja wyławiały pomierzwiłe kształty plecaków, tobołów, karabinów ustawionych w dwa nastroszone kozły i ludzi. Blikał się między nimi ciepki swąd potu i słodki zapach słomy.

Swąd potu i mrugające gwiazdy zawiodły myli Ignacja do pokładu Joanny.

Ludzie koło niego piścy byli podobni do uznojonych górników, którzy legli na spłgu po skończonej pracy i teraz chrapią. Wybrali się na Górę świętej Anny jak nabożni pštnicy i zanim zasnęli, zamknęli w sercach wizję przyszłego wzruszenia. Wzruszenie będzie poprzetykane buntem, gniewem i krwią.

Ilu nas jutro zostanie? pomyślał Ignac i szybko odegnał tę myl, jako myl głupi i mieszn. Nie należy tak myleć! Za taką mylś bowiem sšczy się jad lęku. W pokładzie Joanny również nikt tak nie myślał, chociaż wszystkich oczekiwała mierzć w płonących filarach za uskokiem. Nawet Kapica tak nie myślał!...

12\*

A jednak szli w dymy i wynosili na plecach poduszonych Serbów i Rosjan.

Gwiazdy mrugają w dziurawym dachu, a głupi pies poszczekuje samotnie gdzie ogromnie daleko.

Jego szczekanie robi wrażenie, że to kto bardzo, zapobiegliwy czuwa w głębi nocy i obwołuje swójś czujność.

Uważajcie, ludzie, uważajcie!...

Ludzie uważajś. Jeżeli czasem rozłamie się w ciemnościach wylękniony strzał karabinowy, pies zaczyna ujadać, a głos strzału przypomina łamanie suchego patyka w dłoniach. Potem znów nastaje cisza. Cisza za jest czarna, zasiana gwiazdami i rozpruwana szczekaniem głupiego psa. Za cianś sśsieka tłuczś miarowe kroki młodego Balarusa. Chodzi tam i sam, mruży co i słucha psiego szczekania. Kolbę karabina ciska pod prawś pachś, lewś dłoniś podtrzymuje nachylonś lufę i strzyże oczami.

Ignac umiechnś się, gdy o nim pomyłał. To był jeden z tych, co nie bardzo kwapili się do powstania.

Zabijś mnie, pieruna... wzbraniał się. Albo jo głupi! Niech inni idś!...

Lecz poszedł. Podobnie jak poszli inni.

Już było jedno powstanie, wszystko diabli wzięli opierał się z początku. Było drugie powstanie! Za diabli wzięli. A by-dzie trzecie... Za wszystko diabli zabiera!... Nie pójdś i zbyte!...

Lecz poszedł.

Na zebraniu w cechowni długo się wadzono i mśdrowano, zanim zdołano się wzajemnie przekonać, że raz musi być wszystkiemu koniec. Kto nie chce pozwolić, by łśsk był polski? Powiedźcie, kiedycie tacy mśdrzy?... Nie wiecie! To ja wam powiem! Pasibrzuchy germańskie, orgole przekłete, kapitalisty przegrzeszone, nienaźrane talarów wydrzyduchy pieruńskie! Ci nie chcś oddać łśska Polsce. A przeca to ziemia polska! My w niej grzebiemy, my tu się rodzili i nasi ojcowie, i nasi starzykowie, i ojcowie starzyków, i starzykowie starzyków. A wszyscy bylimy otrokami, na panów robilimy jak głupie pierony, nie wolno nam było głowy podnieć, dziecka nam germanili, dziecka za wypierały się nas, ojców i starzyków, a ty, pieruński otroku łśski, dierz pysk i zbyte!... Juź temu chyba wszystkiemu koniec musi być, no nie!...

180

Gruby Kubaczka pienił się za sztygarowym stołem w cechowni, prał pięciś i wypominał ludzkś krzywdę i ludzkś niesprawiedliwość. A górnicy słuchali, kiwali głowami i pomrukiwali piero-nami.

Ś Jo tam nie padom, żeby każdy musioł ić do powstano! Bo kto tu musi zostać, żeby nasz pokład Joanny diabli nie wzięli! No nie?... Niech zostanś te stare dziadygi i te usmarkane szlepy, i ci, co ze strachu w galaty robiś, i jeszcze insze pieruńskie li-moki zalimaczone! Ale kto jest chłop z wiary, ten biere karabin i maszeruje z nami!... Kto idzie z nami?... huknśł gronie w głśb cechowni.

Zakotłowało w czarnym pogłowiu ludzkim, wynurzyły się zacinięte dłonie ponad głowy, rozgorzały siwe oczy...

W pokładzie Joanny zostały stare dziadygi, usmarkane szlepiry i ci, co ze strachu w galaty robiś.

Niewielu wszystkich było. Kuternogi, dychawiczne ułomki z kurzsz lepotsz i ci z reumatyzmem w kociach i z pylicsz w płucach, niedorostki trzymajšce się jeszcze mamulczynego fartucha i chytre okpiwiaty, rajcujšce zawzięcie i walšce się w piersi, że w pokładzie Joanny musi przecież kto mšdrzejszy pozostać. Inaczej znowu go diabli wezmš, jak już go tyle razy wzięli diabli!...

Reszta, przeważajšca reszta, poszła z Ignacem na czele i z lękliwym Balarusem w pierwszym szeregu.

Powiadosz, Ignac, że to będzie ostatnio batalia z tymi niemieckimi kapitalistami? upewniał się kilka razy, gdy maszerowali w spiekocie pod Górę więtej Anny.

Musi być ostatnio!

A co potem? Gdy to wszystko Polsce przypadnie?

Polska nie da nam uczynić krzywdy!

Możesz przysięgać?

Mogę!

Balarus przez chwilę zastanawiał się kiwajšc kudłatš głowš w takt ocięzałych kroków marszowych, a potem rozjanił się i rzekł twardo:

Ha, jeżeli przysięgosz, to warto prać tych wszystkich orgoli germańskich!...

181

I jšł teraz wypominać głono krzywdy lšzaków, chociaž wszyscy kamraci znali je dobrze. Lecz słuchali go z przyjemności. piewać już nie można, bo gardła wyschły i zalepiły się pyłem z drogi, zmęczenie pęta nogi, w głowie lęgnš się robaczywe myli, że lepiej było pozostać w domu przy babie i czekać, co inni zrobiš, aniželi tłuc się po wiecie i wędrować po istnš mierć na jakim tam zasmolonym polu chwały”, jak będš pisać gazety... Pienin powiecił być tak niemšdrym!... Paskudne to myli, przeto dobrze, że Balarus klnie i wymyła. Słuchajšc jego słów, doznaje się wrazenia, że rozszerza się widnokršg, że obejmuje się spojrzeniem wszystkie ubiegłe lata od dzieciństwa aż po dzień dzisiejszy, kaprawe troski konajš w przydrożnych rowach, a przed człowiekiem wynosi się ogromna ciana ludzkiej krzywdy, piętrzy się, zalewa i pochłania...

Pieruna jasnego! wrzeszczał Balarus zapalajšc się w gniewie coraz większym. Głód ci groził, jeli pierunie, byłe Polo-kiem i socjalistš!... Wyciepli cie z roboty, bratku, jakš kreskę zrobili ci w, Arbeitsbuchu” i gdzie tylko zapukoł do dwierzy takiego pieruńskiego dyrektora na grubie łebo w hucie, to ten jeny roz łypnšł okiem do ksišżki i powiada, że dla polskich rebeliantów i socjalistów nie ma roboty! Pieruna jasnego!... Czytołe polsko gazeta, marsz z roboty!... Chciołe se zapiewać Jeszcze Polska nie zginęła łebo ten Czerwiony sztandar, orgol germański łapie cie za frak i pisze mandat karny! I buch pięć marek sztrafu!... Dziecka w szkole musiały szwandrosić po niemiecku,



musiały się stawać Niemcami, a chciało temu przeszkodzić, za buch pięć marek sztrafu!... Alles verboten! i verboten!... Ale robić, aż zdechniesz za żebraczy fenik, to nie było już verboten!... To był więty zapde-runowany Befehl!...2 No ni, kamraci?...

Mosz prawie! przywiadczyli kamraci w szeregu, poprawiając karabiny na ramionach.

Sie wie, że mom prawie! Ale terazki, moi złoci kamraci, terazki to już wiem!... Jak tych dziadów kalwaryjskich pobijemy na tej Górze więtej Anny. Bo chyba więto Anna norii pomoże.

1 Wszystko zabronione.

2 Rozkaz

182

Kopnie jednego i drugiego Orgescha”1 tš więts nóżkš, wyrżnie pieronem w całš tš bandę germańskš, rozkurzy, ziemiš zatrzęsie, że ich diabli wezmš!... 1 jako padom! Jak tych dziadów kalwaryjskich pobijemy na tej Górze więtej Anny, to chociaż my pierwsze powstanie przegrali i w drugim powstaniu dostali my po ga-latach, i plebiscyt tamte dziady angielskie... Jaki lord Dżordż2 temu winien!... Jako padom! Choć nas w plebiscycie oszydzili, to terazki, w trzecim powstaniu, musimy se wszystko odbić! Ale wszyciutko!... I ten plebiscyt pofikslowany, i te dwa przegrane powstania, i ta nasza krzywda robotniczo, i to germatnizowanie nas w szkole, i wszystko!... Pieruna jasnego, ale bydziemy prać tych dziadów germańskich!...

Ignac umiechał się do wspomnień o Balarusowych przechwałkach. Pociechy jutro nie będzie z niego wiele. Zasyje się gdzie w krzaki, przy waru je na płask w brudzie i będzie wzdychał do więtej Anny, żeby waliła piorunami w Niemców. Lecz za to mocny jest w gębie, a to także dużo znaczy.

Teraz Balarus stšpa jak słoń za cianš stodoły i waruje pilnie, czy jemu i piścym kamratom nie grozi mierć wyskakujšca spoza opłotków. Oto może znieacka wisnš granat cinięty z tamtej gęstwy pokrzyw za wychodkiem, oto może znieacka wystrzelić raca pod niebo, zawinie u szczytu nocy i przerażone oczy dostrzegš zbójeckie gęby orgeschowych” żołnierzy niemieckich! Oto znieacka może się rozszczekać karabin maszynowy i już wszystko diabli wzięli! I Balarusa, i jego kamratów w stodole, i trzecie powstanie, i sprawiedliwość społecznš, i wszystko!... I tak Balarus marnie sczenie nie dożywszy tej radosnej chwili, że szyb Arnolda i pokład Joanny stanš się polskim szybem Arnolda i polskim po-1 Członek faszystowskiej organizacji wojskowej.

2 Lloyd George Dawid (18631945) reakcyjny polityk angielski, wróg Polski. Lenin tak go charakteryzuje:

Pierwszorzędnymacher burżuazyjny i spryciarz polityczny, popularny mówca, umiejšcy wygłaszać jakie tylko chcecie, nawet rrewolucyjne przemówienia przed audytorium robotniczym, zdolny do zapewnienia posłusznym robotnikom niezgorszych ochłapów w postaci reform społecznych (ubezpieczenia itp.), Lloyd George służy burżuazji znakomicie i służy jej włanie wśród robotników, zapewnia jej wpływ włanie, wśród proletariatu, tam gdzie burżuazji najbardziej potrzeba i gdzie jest jej najtrudniej podporzšdkować sobie moralnie masy.” (Dzieła, t. 23, s. 122, Książka i Wiedza 1951

kładem Joanny... Trzeba więc bacznie czuwać! A jak co, narobić piekła, że cały regiment powstańców wywali się z chałup i stodoł, i zaczną pracować ze spluw, że tamtym się odechce!... Stępa tedy ciężko koło stodoły, wytrzeszcza oczy w mroki, a karabin nianczy pod pachą i w lewej dłoni.

Ignac umiechał się do tych ciepłych myśli o swym kamracie Balarusie z czwartej pochylni, w drugim poziomie pokładu Joaniny. Podłożył ramiona pod głowę i patrzył przez dziurę w dachu na gwiazdy. Przypomnił mu się starzyk limok... Ileż to razy starzyk Slimok opowiadał o jego ojcu, który widział gwiazdy z dna szybu Arnolda. Na wiecie było słońce, niebo było błękitne, a w głębi szybu dygotał pomost, na pomocy grały elektryczne pompy, szepleniła czarna woda, a ojciec Ignacja podnosił głowę i szukał gwiazd na niebie. Gwiazdy zawsze były. I to była łaska uciszenia dla ojcowych oczu i dla jego serca. A potem zginął!...

Zginęło ich wielu. W pokładzie Joanny kociły się talary dla Schaffgotschowego koncernu, lecz żeby się mogły kocić obficie, wymagały ludzkiej krwi. Krew ludzka była, talary także były. Duże, złote, błyszczące, toczące się z brzękiem po zielonym suknie... Za talary można mieć wszystko! Zbytek wygodę, pałace, futra, jedwabie i miłość!... O, tak!... Nawet miłość!

Syknął, zacisnął usta, wycedził przekleństwo.

Ujrzał w myślach Irmgardę Słowikównę jadącą na wozie z grubym Kubaczką. Kubaczka siedział na ociepcie siana, stękał, bo mu upał dokuczał, i coraz spoglądał na białą przepaskę z czerwonym krzyżem na prawym rękawie. Obok niego siedziała Irmgarda Słowikówna. Na kolanach piastowała krótki, zgrabny karabin kawaleryjski. Gdy oddział Ignacja, przewany batalionem Joanny, jako że wszyscy towarzysze byli z pokładu Joanny, mijał sanitarny wóz Kubaczki, Irmgarda wypatrywała Ignacja. Dostrzegła go zakurzonego, szarego od pyłu, o niadej twarzy porysowanej jasnymi strużkami potu. Odkryta głowa jarzyła się w słońcu kasztanowym płomieniem. Kasztanowe oczy były urzekające aż do radosnej utraty tchu. Ich spojrzenia spotkały się jak dwa jasne umiechy.

Irmgarda uparła się, że pójdzie na linię z oddziałem Ignacja.

Nic tam po tobie! Będiesz zawadą... tłumaczył już z gniewem.

Pójdę! Ja chcę być przy tobie...

Siedziała obok Kubaczki spokojna, skupiona, o zaciniętych ustach, blada i zawzięta. Ni to dziewczyna, ni wdowa, ni zawitka czy pokrytka, co utraciła panieństwo. Jej narzeczony, Józef Rozmus, zginął gdzie nad Mozę, ona za potraciła dziecko nie doczekawszy się chwili rozwiązania.

Ignac ujrzał już teraz we wspomnieniu, jak podczas pierwszego powstania podburzyła górników z szybu Arnolda i powiodła ich do biura dyrektora Boelschego. Dyrektor przypuszczał, co go czeka. Zabarykadował drzwi i skamlał do telefonu o poratowanie. Górnicy wyłamali drzwi, wywlekli

przerażonego dyrektora, wsadzili do taczki i wywieźli na hałdę. Na hałdzie wywrócili taczkę, a dyrektor-Boelsche potoczył się w dolinę po kamienistym piargu. Pod hałdą zerwał się, obejrzał i pognął przed siebie, zataczając się jak pijany. Na mocie stała Irmgarda Słowikówna i patrzyła za nim z dziwnym umiechem.

Ignac widział ją wtedy po raz pierwszy. Potem spotykali się często. Tak długo, aż w końcu wprowadził ją do swej organizacji bojowej. Towarzysze ostrzegali go, radzili czujność. Ignac ręczył za nią.

Nie zdradzi! zapewniał towarzyszy,

Przecież to germanka!... Irmgarda Słowik!...

Była! Teraz jest nasza...

Jeżeli zdradzi, ty ponosisz konsekwencje!... Zginiesz!...

Nie zginę, bo nie zdradzi!...

Tak bardzo jeste jej pewny?

Tak bardzo jestem jej pewny!

I wtedy dopiero zrozumieli, że ich komendanta Ignęca i Irmgardę Słowik łączy co więcej aniżeli przelotne uczucie.

Przecież jej chyba nie miłujesz? To zawitka! Miała dziecko, potraciła je... Kto wie, z kim się zadawała!...

Ignac spojrział na swego wiernego towarzysza Zeflika Moronia tak twardo, że ten zamilkł.

...bo ci te słowa wepchnę do gardła! warknął, a jego kasztanowe oczy błysnęły rudym ogniem. Towarzysze odwieśli Moronia, nawymylali mu od pierońskich mamlasów, zapewnili Ignęca, że mu ufają i jego Irmgardzie.

185

Jej nie musicie ufać! Mnie ufajcie! To wystarczy!

Nikt się nie obruszył na jego twarde słowa. Miłowali go bowiem i cenili. W pierwszym powstaniu wywiódł cały oddział z matni, rannych towarzyszy wyniósł z ognia, przeszedł szczęśliwie do Wisły pod Strumieniem, a poprzednio jeszcze, zanim przeprowił się przez Wisłę, zaatakował z flanki oddział Grenzschtzu<sup>1</sup> i oskrzydłający rozbitą batalion Kutrzeby. Tamtych wyratował i wszystkich swoich ludzi doprowadził do Strumienia na łśku Cieszyńskim.

Ignac patrzy teraz przez dziurę w dachu na gwiazdy i myśli o Irmgardzie. Trudno mu zasnąć, jeżeli tyle myśli tłoczy się w głowie. Zmęczenie wprawdzie wycieka z utrudzonych koci, lecz krzepiwszy sen nie

nadchodzi. Słuchem wyławia wszystkie głosy z nocy, wietrzy w nich zapowied jutrzejszego dnia. Góra więtej Anny trzyma się jeszcze mocno, lecz niedługi już czas jej trwania w rękach powstańców. Oddziały niemieckiego Orgeschu” napierają coraz mocniej. Jego batalion Joanna” wraz z pięciu innymi oddziałami mają obsadzić najbardziej niebezpieczne punkty, zluzować zdziesiątkowane oddziały odgryzające się od trzech tygodni Niemcom.

Dzisiaj jest cisza. Niemcy widocznie także przygotowują się do uderzenia. Tamten głupi pies wciąż naszczekuje. Chwilami jego szczekanie przechodzi w wycie. Chyba mierz wieszczy. Że go też nikt nie pchnie bagnietem!... Psiakrew, denerwuje to wycie!... Ustaje, gdy pod gwiazdy wytrynie rozczochrana rakietka niemiecka. Wtedy po nocy rozlewa się trupie wiatło, wślacza się do dziury w dachu, zaćmiewa gwiazdy i rozplywa w dusznym wnętrzu stodoły. Najmilsi jego towarzysze piś. Wartownik Balarus już dawno zszedł z posterunku. Teraz pi skulony pod wrotami na gumnie, zakutany w słomie, a jego lęk o życie przyczaił się po drugiej stronie wrót i czeka na jego przebudzenie. Nowy wartownik za cianś nie chodzi, lecz skrada się jak kot i słucha psiego szczekania i piania kogutów. Jak te koguty dziwnie pieją?... Ich głos leci na przełaj nocy jak czubaty herold zwiastujący niesłychaną nowinę. Nowina naprawdę niesłychana! Oto za niedługi czas pobledną gwiazdy  
1 Straż graniczna.

186

zdy od wschodniej strony, potem rozleje się różowiejszy wit po niebie, potem powoli przyjdzie dzień, a w dniu, w olepiającym słońcu, rozszczekają się zamiast psa karabiny...

Ignac podniósł się na łokciu i słuchał. Wartownik istotnie nie stępa, lecz skrada się cichaczem.

Tak samo skradała się Irmgarda Słowikówna.

Na Ignęca zwały się radosne wspomnienia tamtej osobliwej chwili, w której Irmgarda zdobyła się na wspaniałą gest miłoci i gniewu. Jego wierni towarzysze, a zarazem niewierni Tomasze, patrzyli na nią w zdumieniu. Nie mogli jej pojąć. Nikt jej nie mógł pojąć. Nawet Ignac, chociaż wiedział, że jest mu wierna do ostatnich granic. Chciał użyć w myślach porównania, że mu wierna jak pies, lecz zachnął się niemile. Psia wierność jest mu w swej utajonej istocie chwilami obmierzła i upokarzająca, wierność Irmgardy jest olniewająca w swym patosie bez patosu.

Dyrektor Boelsche postanowił bronić straconej placówki podczas drugiego powstania. W zabudowaniach szybu Arnolda zamknęły się oddziały złożone z byłych żołnierzy Grenzschtzu” i z niemieckich bojówek. Ignac postanowił zdobyć szyb Arnolda. Zresztą przed godziną otrzymany rozkaz to samo mu nakazywał. Z początku przypuszczał, że dyrektor Boelsche i jego bojówki ustąpią. Przecież są osaczone ze wszech stron i w razie oporu nikt nie wyjdzie żywy. Lecz gdy pierwsi ludzie Ignęca podeszli do bramy, posypały się strzały. To było hasło do walki. Ignac i jego ludzie zdobywali po kolei sortownię, biura, magazyn, hałdę, zabudowania nadszybowe... Pozostała jeszcze główna hala maszynowa. Boelscho-we niedobitki oszańcowali się w niej za grubymi murami, zawaliły okna workami z mianem węglowym, wystawiły karabiny. Ludzie Ignęca nie mogli brać szturmem przeklętej hali. Trzeba było czołgać się w pojedynkę, przebiegać chyłkiem owych kilka metrów otwartej przestrzeni, gdzie czekała śmierć. Walało się na ziemi już kilku charczących ludzi Ignęca. Konali, kopali ziemię, rzucali się, aż w końcu uciszali się i leżeli podobni do skulonych

tlumo-ków porzuconych w ucieczce na drodze. Ignac rozważał, czy nie wycofać się, otoczyć wielkim piercieniem i wziść głodem Boelschego i jego sfanatyzowanš bojówkę. Lecz towarzysze nie chcieli o tym słyszeć. Zresztš po drugiej stronie otwartego pola czeka już

187

kilku towarzyszy, którzy zdołali je przebiec. Przyczaili się za węglem komina i teraz złorzeczš Niemcom w maszynowej hali. Od komina do ciężkiej, żaluzjowej bramy hali dzieli ich kilkanacie głupich kroków. Gdyby mieli ręczne granaty, dorzuciliby je do bramy i wysadzili. Lecz nie mają ani granatów, ani nie mogą się wycofać. Domagają się granatów, lecz jak im je podać? Irmgarda w biurowym fartuchu, z jasną, rozwichrzoną czupryną, z wypiekami na twarzy, zacięta i o zimnych, tak bardzo zimnych oczach, przybiegła i podała Ignacowi duży kłębek szpagatu.

Masz!... Przerzuć jeden koniec do komina, na drugim końcu uwiśz granaty...

Tak się stało. mignšł kamień uwiśzany do końca szpagatu, rozleciał się sznur falistš liniš, legł na ziemi. Potem towarzysze za kominem podcišnęli duży pęk granatów omotanych drugim końcem szpagatu. Potem jeszcze poleciały granaty pod bramę. Jeden, drugi, dziesiąty!... Brama rozwalila się, rozdarła i runęła. W czeluć hali poleciały dalsze granaty... Wtedy tamci z hali wybiegli... Wybiegli i ci spoza komina... Reszta ludzi Ignac rzuciła się na pomoc... Na przedzie Ignac. Walka była krótka. Przebijano się bagnietami, żgano nożami, łupano sobie głowy żelaznymi łomami, ujmowano pazurami za gardła, tarzano na ziemi... Ignac szalał!... W chwili gdy przebił bagnietem jakiego rośłego Niemca, zwałił go na ziemię i teraz próżno usiłował wyrwać karabin z bagnietem z jego piersi, z boku skoczył do niego dyrektor Boelsche. Boelsche ujšł Ignaca z tyłu za szyję, podbił mu nogi i pocišnął na ziemię... Jęli się przewalać spleceni ramionami i nogami, dławili się wzajemnie, charczeli, oczy wylażyły na wierzch, przekrwione i nieprzytomne... Boelsche był rośły i silny, Ignac był młodzieniaszkiem... W jakim krótkim ułamku chwili Ignac dostrzegł Irmgardę. Skradała się kocim ruchem między krzyczš i walczš gromadš. Podbiegła lekko do Ignaca szepionego z dyrektorem Boelschem nachyliła się spokojnie, przyłożyła Boelschemu rewolwer do czubka łysej czaszki i strzeliła!... Płomień olepił Ignaca, uciski Boelschego zwiotczały, jego wytrzeszczone oczy jęły mętnieć...

Ty, Irma?... zapytał wtedy zdumiony Ignac. Irmgarda stała przed nim spokojna i skupiona. Tylko te oczy!... Patrzyły niebieskim lodem... Usta jej przebiegł króciutki umiech. Spojrzała na

188

i rewolwer w prawej dłoni, spojrzała na walczšcych koło siebie i /nowu jęła się skradać jak kot...

Gdy wystrzelała cały magazynek, poszła pod kran i jęła obmywać dłonie z krwi. A potem, w nocy, płakała w jego ramionach jak bezbronne dziecko. Długo płakała... Usnęła dopiero nad ranem, gdy koguty zaczęły pisać w górniczym osiedlu.

Teraz również piejš w głębi rzedniejszej nocy i głošz idšcy dzień. Głupi pies przestał już szczekać i wyć. Może go kto istotnie pchnšł bagnietem? Irmgarda na pewno tak samo czuwa i patrzy w gwiazdy leżšc gdzie niedaleko na wznak na słomie, z podłożonymi białymi ramionami pod głowę, myli o

Ignacu i słuca nawoływań kogutów po nocy. Ich pianie ostrzega przed zdradą. Irmgarda nie zdradzi Ignasca...

Ignac usiadł i przez chwilę patrzył w gwiazdy. Niebo między nimi rumieniło się lekko, potem zaczęło rudzieć. Tamten głupi pies znowu się rozszczękał. Ignac wyszedł ostrożnie przed stodołę, natknął się na wartownika. To był już trzeci wartownik. Patrzył w rosnącą lunę na skraju nocy. Luna rozłupiała się gęstymi strzałami.

Tam się już pierś jak diabli! mruknął.

Tak... Poza tym nic?

Nic, komendancie!... A, przeboczcie! O której ruszamy?...

Jeszcze czas... O wicie!...

...bo mnie tu głupio tak stoć i dziwać się, jak tam gore, a ten przeklęty pies szczęko jak opętany, a koguty już wrzeszczą... Przydałoby się jednego zarżnąć... Jeszcze nigdy żech koguta nie jadł, komendancie!... Tak se myśl, że dobrze by było tak se podjąć porządnie na ostatni raz!...

Jak to na ostatni raz?

A bo pierun wie, co mnie jeszcze czako...

Fanzolicie, pierunie... No, czuwajcie, ja też czuwam...

To wy nie picie, komendancie?

Nie pię...

To dobrze!... Człowiek nie czuje się taki samotny jak palec... Pieruna, ale strzelajś jak wszyscy diabli!... Niezadługo my bydziemy strzelać!... Już mom na kolbie pięć kresek... pochwalił się chępliwie.

189

Ignac wrócił na legowisko i znowu patrzył w gwiazdy. Luna rozlewała się po ciemnym granacie nieba i gasiła je ostrożnie.

Ciężki swąd potu, gasnące gwiazdy i rosnąca luna ponownie zawiodły jego myli do pokładu Joanny. Gdy brodził w czarnym, smolistym dymie i przez potniejsze szkła maski wypatrywał pobitych i poduszonych kamratów serbskich i rosyjskich, wyławiał w oddali podobną lunę palącego się filara i stempli. Luna była tępa i ruda jak zastygająca krew ludzka. Żar parzył dłonie, dłonie błędziły po spłgu i szukały omackiem człowieka.

Umiechnął się z goryczą do tamtych wspomnień.

Nie żał mu było wysiłku, dławienia się dymem i zapasów ze mierciś. Przeciwnie!... Lecz żał mu było tamtych jeńców serbskich i rosyjskich, którzy zginęli w pokładzie Joanny. Pełzająca łuna po granacie nieba wywoływała wizję przeżytej nocy w kopalni. Gdy się rozdzwoniły rury, gdy towarzysze zrozumieli, że ten płaski huk w podziemiu, co przedziurawił uszy bolesnym sztychem i który pogasił wiatła w lampach to eksplozja za uskokiem, już postanowił.

Spikolu zatracony! wrzeszczał na niego stary Michejda. Uciekej pod szyb, bo to eksplozja!...

Ignac nie uciekał pod szyb, jak inni towarzysze o wytrzeszczonych, błędnych oczach, lecz pognał za sapiścym Michejda.

Pieroński snoplu! - zastanowił się zniecka Michejda. To leć w te pędy pod szyb i dzwoń na wierzch, żeby spucili aparaty... A może będś w magazynie pod szybem... No, grzmij!...

Ignac spotkał po drodze biegnących towarzyszy z załogi ratowniczej. Na plecach nieli aparaty tlenowe. Spieszyli i nie zważali na Ignęca. Ignac podbiegł do Szymiczka i poprosił o jeden aparat.

Nie, a nie zepsuj!... A piesz za mnś!... Nie uciekniesz?

Nie ucieknę...

Dobiegli do drzwi przed ostatniś wiatrowś. Z głębi chodnika walił siny dym. Wykręcał się w chodnik wiatrowy i czołgał ociężale pod górę. Przed wynurzającś się cianś dymu skupili się towarzysze. Kto między nimi co wołał, kto rozkazywał, rury krzyczały bez przerwy. Z dymu wybiegali krztuszcy się ludzie, ślaniali się i padali twarż na spśg. Towarzysze podbiegali do nich i wywlekali ich w czyste powietrze. To byli szczęliwcy. Wybuch zastał

190

ich w pierwszych filarach za uskokiem. Ci zdołali uciec, chociaż chyba nie wszyscy. Inni wczeniej potoczyli się i zwalili na spśg. Ignac widzi, jak towarzysze przemieniają się w poczwary o płaskich, szklanych oczach, o maskach wydłużających się w karbowane ryje, jak koledzy przytracają na nich aparaty, jak próbują kurków od butli ze sprężonym tlenem, jak podciśgają im rzemienne paski na potylicy, jak usadzają im na głowach hełmy, jak wkręcają rurki gumowe, jak podnoszą elektryczne lampy i próbują wiatła...

Pierwsza drużyna ratownicza ruszyła w dymy. Szeciu górników, stary Michejda na przedzie, pochód zamykał młody Bogusz.

Teraz druga drużyna!... Prowadzi ją Kapica!... Ten sam Kapica, co siał i zbierał nienawieć i pogardę dla siebie. Ten lizus przeklęty! Ten wazeliniarz, pieseczek pański, renegat pieruński! Patrzcie, patrzcie!... Krzyczy, rozkazuje, zapędza do popiechu!...

Nikt się jemu nie dziwił prócz Ignęca. Dziwiono by się, gdyby się był wycofał ukradkiem pod szyb. Kapica sformował drużynę, przejrzał aparaty u wszystkich siedmiu towarzyszy, pobiegł naprzód, skinął dłoniś i po kolei jęli się zanurzać w czerniejścym dymie.

Dwa aparaty tlenowe zostały w zapasie.

I gdy nadbiegający towarzysze pchali przed sobą wagoniki z ceglami i cementem, gdy drudzy wlekli nosze, Ignac nakładał na siebie aparat. Nie zwracano na niego uwagi w ogólnym podnieceniu. Ignac słyszał, że kto wymyśla dyrektorowi Boelschemu. Widać dyrektor Boelsche przybiegł przerażony skutkami swego lekkomyślnego zarządzenia.

A mówiłem panu dyrektorowi, że jeńcy nie nadają się do tej pracy!... krzyczy kto z ludzi. Czyżby to był dozorca Ligęza?...

Ruhe! Ruhe!...1 próbuje się bronić dyrektor i macha dłońmi, jakby odpędzał natrętną muchę. Jaki on teraz mieszy! Wybałuszone oczy, dolna szczęka drży, ręce dygoczą, w spojrzeniu pełga parszywy strach.

Ignac mozoli się z aparatem, nie potrafi spiąć rzemyków, aparat leży mu krzywo na barkach. Kto mu pomaga. cięga sprzączki pod pachami, cięga sprzączki maski na potylicy. Maskę ugniata,

Spokój!

191

lecz to dobrze. Ignac tyle już wie, że powinna ugniatać, bo wtedy nie ma szczeliny między twarzą a jej cianami. Dławi się, lecz kto mu przekręcił kurek od butli z tlenem. Butla spoczywa na jego krzyżach. Ciężka bestia!... Powietrze wydyma worek na piersiach, Ignac oddycha już z łatwością... Powinni przecież zapytać się go, dlaczego nakłada aparat... Zapomnieli! Widocznie ten, co mu pomaga, przypuszcza, że Ignac należy do drużyny ratowniczej.

Z dymu wynurzają się pierwsi ratownicy. Wloką zaczadzonych jeńców, kładą na spłogu i znów odchodzą. Teraz druga dwójka się wynurza, potem trzecia... Ignac wstąpił między nich i utonął z nimi w dymie. Przez płaskie szkła w masce widzi, że dym gęstnieje, że zamienia się jakby w gęstą, brudną mgłę, że go oblepia rozpa-rzonymi mackami. Mając w nim elektryczne wiatła lamp. wiatła błędzą, kołysząc się, szukają na spłogu towarzyszy, znikają w filarach, wypływają na kształt ponurych majaków... Obok niego przechodzą koledzy. Stękają z wysiłku, gdyż bezwładne ciała zaczadzonych kamratów są ciężkie... Ignac posuwa się za swoimi dwoma poprzednikami. Dym gęstnieje, upał wzrasta. Czuje, jak mu serce wali, jak pot cieknie już strużkami spod maski, po karku, po grzbiecie... Doszedł za mdłymi wiatłami na jakie rozdroże. Z dwóch stron bucha czarny, smolisty dym. wiatła już nikt. Widzi się jakby zatopiony w gorzej, kleistej mazi. Widzi się, bo dostrzegł koło siebie cień człowieka w masce. Ów człowiek także się schyla i szuka dłońmi po spłogu. Ignac także szuka. Czołga się na czworakach, za tamtym czarniejszym od dymu konturem towarzysza. Upał wzrasta. W oczach zaczyna migotać fioletowe, łamane błyski. Serce bije bólem. W skroniach łupie. Pot cieknie, szczypie w oczy, syci solą kściki ust. Natrafił na ciało leżące pod cianą. Przywalone stemplem!

Dotychczas wszystko działo się w milczeniu. W uszach tylko przelewał się ogromny szum. Owo milczenie było przerażające. ' Z ulgą krzyknął na towarzysza, co już był znikł w dymie. Głos rozłamał się pod maską, zadudnił. Tamten usłyszał, bo z dymów wywleka się wiatło. wiatło jest okolone rudą tęczę. Rozjania się, kołysze się przed jego oczami.



Tu leży! krzyczy Ignac i dziwi się, że aż tyle wysiłku potrzeba, by móc wydobyć głos ze zduszonych płuc. Poezwarny ryj

192

wynurza się przed jego oczami, kiwa zabawnie, czarne dłonie co wskazujś. Ignac rozumie. Zawiesza hak lampy za paskiem u spodni, nachyla się, odwala stempel, ujmuje oburącz nogi strutego towarzysza, podnosi. Kolega także podnosi. Teraz Ignac idzie przodem, ugina się pod ciężarem, potyka, lecz nie puszcza...

Nie wie, jak długo tak wędrował. Po drodze kilka razy odpoczywali. Dym parzył go w odsłonięte ręce. Czyżby zabłądzili i zamiast do ludzi na czystym chodniku zmierzajś w głśb płonących filarów? ...

Nie zabłądzili. Przesuwajś się koło niego okrutne straszydła, zgięte, o rozmazanych wiatłach. Kto go usuwa, przejmuje z jego mdlej ścych dłoni nogi strutego towarzysza. Kto drugi chwyta Ro pod ramiona i prowadzi... I to wszystko wciśz dzieje się w przerażajścym milczeniu...

Ten kto dowlókl go poza cianę dymu na czysty chodnik, posadził pod cianś, zdejmuję z niego maskę, aparat, szarpie sprzśczkami, mruczy...

Pieroński łebniu... Maską ci parowała... nadychołe się dymu... Teraz bydziesz rzygać... Kto ci kozoł tam włazić w aparacie?...

Kto go głaszczę po głowie. Głowa za kołysze się, wiruje, zatacza jak ogromna, pusta kula zawieszona na czarnym powrozie. Mdli go bolenie... Kto mu wlewa w usta koniak... Pije łapczywie, krztusi się... Teraz zaczyna wymiotować...

Jak przez sen słyszy jeszcze czyjś uwagę. Chyba to znowu Li-gęza? Głos jest ciepły i życzliwy.

Tóż rzygej, zatracony pikolu... To ci ulży... UratowanyL. Koło niego przewalały się krzyki i rozkazy.

Tyle z nich rozumiał, że drużyny ratownicze zabierajś się do budowy tamy. Ostatnie wagoniki z cegłami i cementem przetoczono koło niego, teraz w głębi chodnika, przed drzwiami, trzecia drużyna nakłada maski gazowe, usłuzni koledzy ciśgajś sprzśczki, kto owieca ich butle z tlenem, sprawdza cinienie, słyszy wołania: Sto czterdzieci atmosfer, sto trzydzieci i pięć... sto piętnacie... W tłoku ludzi i lamp tkwiś ociężałe postaci cudaczných maszkar. Kto im nakłada hełmy na głowy, kto woła: Gotów!... Teraz drzwi się otwierajś i tamte maszkary wpychajś w dym wagoniki z cegłami i cementem.

13 Pokład Joanny

193

Przed górnikami stoi zafrasowany dyrektor Boelsche i skrzeczścym głosem wydaje rozkazy. Nikt go nie słucha. Decydujś tutaj sztygarzy: Ligęza i jeszcze kto drugi, którego Ignacy nie zna po nazwisku,

oraz gruby Balarus z Michejdš. Przed drzwiami za mnoży się rzšd zduszonych jeńców i górników. Może jeszcze żyjš, a może już daremny trud?... Ležš pokotem pod cianš na poprzek chodnika, szarzy, zmięci, cuchnšcy dymem i sztywni. Liczne dłonie podejmujš ich, kładš na nosze i wynosžš... Koło lgnšca przebiegajš dudnišce kroki towarzyszy.

Ignac powoli przychodzi do siebie. Patrzy już przytomnie, tylko że jest jeszcze słaby... Łeb kręci się jak wrzeciono... Spoza drzwi, z głębi płonšcego rejonu\* wcižš jeszcze wychodzž górnicy w maskach, wlokšcy bezwładne ciała kolegów.

Odłšczył się jeden z ratowników, podszedł do lgnšca. Zdejmuje maskę oddycha głęboko i pyta:

Tu sš dwa zapasowe aparaty? Gdzie sš?...

To Kapica! Jak bardzo się zmienił! Jego szczurzy pysk, chytry, olizły w swym wyrazie jak glista, przekształcił się we wspaniałš twarz człowieka!...

Gdzie sš zapasowe aparaty?... Mój nawala!... Tlen wycieka z butli koło kurka. Powieć!...

Ignac wstaje z wysiłkiem i wieci na manometr przy butli.

Siedemnacie atmosfer!... - czyta głoŃo zduszonym głosem.

Wystarczy mi butlę zmienić! Zmieniaj! woła na lgnšca.

Ignac sięga do zapasowego aparatu, co obok niego leży, wykręca butlę z tlenem, wykręca uszkodzonš butlę z aparatu Kapicy, zmienia... Kapica przechyla głowę mocno w bok, by dojrzeć, czy mu jš Ignac dobrze zakłada pod aparatem na plecach. Ignac przykręca do wylotu kurka karbowany przewód gumowy, poprawia, oglšda jeszcze raz, przekręca kurek... Syknšł tlen, wydšł worek na piersiach Kapicy. Kapica nakłada znowu maskę, przez chwilę przytrzymuje jš oburšcz na twarzy, oddycha.

W porždku! zawołał już w masce. Przypinaj!... Na te ostatnie dziurki!...

Ignac z trudem cišga rzemyki, kciukiem podsuwa spržszkę pod ostatniš dziurkę. Kapica syka z bólu, niecierpliwi się...

Pierunie, czy mosz palce z ciasta!... dudni jego gniewny głos pod maskš. Spiesz się...

194

Ignac pieszy się, lecz kiedy taki słaby!... W ustach czuje obrzy-lliwy smak goryczy, w głowie huczy sto młynów, nogi dygocš... Zapišł i siadł ciężko pod cianš. Kapica podrzucił kilka razy ramionami. Aparat leży dobrze.

A jak co, to powiedz, zech jest w dymie!... Niech na mnie i/,ekajš... zawołał jeszcze, podniósł lampę i popieszył.

Ignac już nie dosłyszalł ostatniego zlecenia Kapicy. Znowu go naszedł zawrót głowy, znowu trzewia

jęły mu podchodzić pod gardło, usta wypełniła cuchńca, gorzka bryja... Kto go podnosi, kto prowadzi, potem kładzie na chłodne nosze. Żaglowe płótno jest twarde i chropowate. Nosze uginają się rytmicznie, nad wy-l rzeszczonymi oczami lgnńca przesuwał się do tyłu stropnice. Powoli zanurza się w ciemnościach, ztraca wiadomość...

Ocucił się w knapszaftowym lazarecie1.

No, już odwrzył oczy, ty łeboni zatracony? słyszy nad sobą życzliwy głos. Kto ci, pierunie, kozoł wlaźć w aparacie do dymu?... pikol jeste, aże špikol pierzyński! Trocha se ;po-cišgle tego dymu i zmorzyło cię festelnie!... Ale teraz już dobrze!... No, nic nie mów... Jo jeny tak dudla, bo jakby to był mój synek, to spierę opaskiem po gšłatach, ale pochwolić to bych go pochwolił!... Tak się należy!... Kamratów ratować w nieszczęściu to ha-wierski zakon!... zakończył z namaszczeniem.

Ignac widzi nad sobą schylonš twarz starego Hesa, pielęgniarza szpitalnego. Jego siwe oczy i zmarszczki na twarzy umiechają się życzliwie.

Panie Hes, bo Kapica wziął nowš butlę zapasowš...

Cóż ty fanzolisz, biedoku? Jakš butlę zapasowš? Z gorzałš?

Nie! Z tlenem...

A ja zarozki padół, że to tak po lekku z tobš nie pójdzie!... Terozki fantazyrujesz!... No, leż se, leż, a Kapicy nie wspomnej, bo on tam zostoł...

Gdzie został?

A cóż się pytosz tak głupio?... Dyc chyba wiesz, że zostoł w ogniu!... Tama musieli zbudować, czekali jeszcze godzina na niego, wszyscy tam poszli, żeby go szukać, nie znaleli, ogień co—  
górnicy.

13\*

15

roz większy, toż każdy wiedzioł, że tam zostoł. Tlenu mu brakło w aparacie i skończył... Piękń mierciš skończył!... dodał z uznaniem.

Ale on miał nowš butlę z tlenem! woła już przerażony Ignac.

Fanzolisz, synku!... No, leż pięknie, a nie wrzeszcz!... Zaroz przyjdzie siostrzyczka, zmierzy ci goršczka... Do ci malinowego soku...

Wycie go tam замуrowali! krzyczy Ignac. Przecież miał tlenu na dwie godziny!...

Hes macha pobłaźliwie dłoniš i dzwoni na siostrę. Siostra sfrunęła w bieli do łóżka lgnńca,

szeleszcząca wykrochmalonym fartuchem.

Siostrzyczko, bo Ignac mo goršczka!... Fantazyruje cosikej

0 drugiej butli z tlenem... Trzeba mu dać zimne kompresy na głowa...

Ignac przypomina sobie wszystko po kolei. Przypomina sobie

1 to zdumienie, gdy nazajutrz przytomny już i powracający do sił owiadczył przed sztygarem Ligęzš i dyrektorem Boelschem, że Kapica wymienił butlę z tlenem, że poszedł w ogień, że prosił jego, by zgłosić kolegom, iż mają czekać na niego...

Gwiazdy w dziurze na dachu blednš lekko, łuna pożaru także blednie, głupi pies poszczekuje od niechcenia, koguty w dalekich wsiach piejš bez przerwy. Dziwna taka noc pełna gwiazd, piania kogutów, szczekania psa i myli o człowieku!...

Czy ja jestem winien jego mierci? pytał kiedy Irmgardę. Już się wtedy przewaliło pierwsze powstanie i drugie, zanosilo się na plebiscyt.

Nie jeste winien jego mierci! rzekła Irmgarda miętko, położyła mu dłonie na ramionach i spojrzała głęboko w oczy. W jej oczach była wierność i oddanie.

A jednak nie może się pozbyć tego przekonania, że jest winien mierci Kapicy. Dotykał potem palcami jego zastygłej, czarnej twarzy, gdy za siedem miesięcy ogień zdechł w filarach za uskokiem i gdy rozwalono tamę. Kapica siedział po drugiej stronie tamy, oparty o cianę!... Przekonany, że koledzy zaczekają na jego powrót, błšdził po filarach i chodniku, szukał ostatnich ofiar,

196

ii nie pieszył się, boć wiedział, że mu tlenu starczy na dwie go-I iny. Znalazł opalone zwłoki jeńca serbskiego, zarzucił je sobie na ramię i powłókl się do swych towarzyszy... Towarzysze czekają ‘ ‘ niego!... Doszedł i w drodze stanęła mu tama!... Zwłoki serbskiego kolegi złożył na spšgu, potem usiadł pod cianš i czekał na woja mierć... A gdy już tlenu nie było, zdjšł maskę i skonał. ) czym ten człowiek mylał w ostatniej godzinie?... Może przeklinał lgnšca, a może umiechał się cicho do myli, że oto za godzinę, za pół, za kilka minut wszystko się skończy...

Niemiałymi palcami gładził jego czarnš, stężałš twarz i w myłach błagał go o przebaczenie. Nikt z towarzyszy krzštających się w milczeniu koło wyniesienia zwłok Kapicy nie przypuszczał, co się dzieje z Ignacem. Jego gest uważali za wzruszający objaw podziwu.

Boelsche winien jego mierci! rzekła raz Irmgarda twardo. Gdyby był usłuchał sztygara Ligęzy i nie polecił jeńcom pracować dynamitem w tamtych filarach, nie byłoby tego wszystkiego. Dlatego on, dyrektor Boelsche, musi za to odpowiadać!... Ty nie!... Ty niewinny!.. A może mierć była dla Kapicy odkupieniem jego przewiny!... dodała po chwili.

Jakiej przewiny?

Był pańskim psem... dodała dziwnie.

Irmgarda pomciła zniwagę wyrzdzzonš jej przez dyrektora Boelschego. Podburzeni przez niš górnicy wywieli go w taczce na hałdę. A potem było drugie powstanie. Irmgarda zastrzeliła dyrektora Boelschego.

Tak krwawo mciła się za swojš zniwagę? zapytał jš w kilka dni póniej.

To nie była juź zemsta. Ciebie broniłam przed mierciš... rzekła. Potem zarzuciła mu ramiona na szyję, przytuliła się i zaczęła łkać. Leżeli spleceni ramionami, a Ignac przechylił wtedy głowę i z głębi ciemnej nocy w izbie patrzył na gwiazdy w obrębie okna. Takie same gwiazdy jak dzi...

Co się dzieje w jego pokładzie Joanny?...

Zostali tam ludzie, którzy nie mogli czy nie chcieli pójć do powstania. Przez tych kilka lat jak wiele się zmieniło! Kiedy przewidział, że główny chodnik w pierwszym poziomie stanie się

197

chodnikiem wentylacyjnym. I tak się stało. Filary ponad chodnikiem juź dawno wybrano. Zostały zawaliska. Wszystko przeniosło się teraz do drugiego poziomu. A w trzecim poziomie bije się przekop... Górnicy chyba juź dotarli do pokładu Joanny. Nowy dyrektor, Emil Michejda, wrócił gdzie z Ameryki. Był górnikiem na szybie Eleonory w Zagłębiu Karwińskim. Ignac wiedział, że jego ojciec był górnikiem i on był górnikiem, że jako siedemnastoletni chłopiec złożył maturę w Gimnazjum Orłowskim jako eksternista, że potem skończył Szkołę Szttygarów w Ostrawie, że następnie wyemigrował do Ameryki. Wrócił stamtšd inżynierem górnicznym. Teraz jest dyrektorem na szybie Arnolda. Może to będzie nasz...

.Komendancie!... posłyszał stłumione wołanie w odchylonych wrotach stodoły.

Co jest?...

Spicie?

Co jest? v

- Jaki pierun łazi tu po nocy! Strzelać czy nie strzelać?...

Ignac zerwał się i wybiegł po cichu na dwór. Obok wrót ujrzał wartownika. Stał nachylony do przodu, pełen czujnego wyczekiwania, z karabinem wymierzonym w rzedniejszy mrok gęstwiny. Istotnie, kto w niej stšpa ostroźnie...

Stój! Kto tam? zawołał Ignac.

- Na, dyć stoję! Cóż wrzeszczysz, pierunie! poleciał oburzony głos z nocy.

Hasło!

więto Anna! A teraz, pierunie, powiedz odzew!

Joanna! rzucił Ignac.

Wszystko w porządku! mrucał tamten głos. Za chwilę wynurzył się z gęstwiny rozczochrany powstaniec w cyklistówce na bakier, z karabinem w pogotowiu. Szedł ostrożnie i nieufnie.

A, pierunie! zawołał na wartownika dyć opuść ta swoja apluwa, bo jeszcze ci strzeli, a mnie zrobi dziura w brzuchu!... Komendanta waszego szukam!... Łażę jak pierun po tych stodołach, a nie mogę go znaleźć!... Jest tu, łebo nie ma!... Bo już mnie to, pieruna, dosmoliło z takš zasranš wojnš!...

Jestem! O co chodzi? zapytał Ignac.

# I

A to wy jesteście?... Meldunek z komendy!... O trzeciej godzinie pobudka!... O trzeciej trzydzieści minut wymarsz!... Amunicja w trzeciej stodole za drogą... Na prawo od kocioła... Wszystko ma być fiksum fertig do trzeciej trzydzieści!... Oto kartka!... i podał Ignacowi rozkaz.

Ignac owiecił kartkę elektryczną lampki, przeczytał, podpisał

i zwrócił powstańcowi.

A pięknie proszę, komendancie, jeszcze tu jedna żeńska stwora czeka na drodze... Chce do komendanta... Łazi ze mną i pado, musi być z wami przed wymarszem. To jest ta Irmgarda, sanitariuszka... Padołech jej, żeby czekała na drodze, bo zły duch nie pi, strzeli taki mamlas pieroński, co stoi na warcie, i może być po paradyzie... Zawołać ją?

Ś Idę do niej!... Prowadcie...

Poszli opłotkami na drogę. Spod topoli wyszła Irmgarda.

Irma, czemu nie pisz? zawołał Ignac z tłumioną radocią w głosie. Możecie odejść! zwrócił się do powstańca w cyklistówce.

Czemu nie pisz, Irma zapytał znowu.

Chciałam być z tobą przed wymarszem na pozycje.

Bylibyśmy...

Lecz ja chcę z tobą rozmawiać... Miałam przykry sen... Dyrektora Boelschego widziałam we nie...

Jeste przewrażliwiona, Irma... miej się z tego...

Mam takie dziwne przecucie...

Jakie przecucie?

Że nam co grozi! Tobie albo mnie-

Wszystkim grozi mierać. Nie ma o czym myśleć!

Lecz ja nie chcę... Ignac! Powiedz mi, dlaczego nie zostałe w domu? W pokładzie Joanny, jak ci drudzy? Ja się lękam o ciebie!... Ignac!...

Cicho, Irma! szeptał Ignac przygarniając ją do siebie. Id spać!... Jeszcze masz godzinę przeszło czasu do pobudki!... Rano czeka cię praca!... Masz wszystko przygotowane? Watę, opatrunki, jodynę?... Nie zapomnij o przepasce z czerwonym krzyżem na rękawie...

Ignac!... Ja nie chcę, żeby szedł do ataku... prosiła szeptem.

199

Muszę!... Nie bśd niemśdra! Cóż się tobie stało? Wczoraj jeszcze była inna...

Tamten sen...

miej się ze snu!... Zresztś, powiem ci krótko! Ja idę, bo muszę ić. Całe pokolenia lśskie czekały na tę chwilę. To jest walka jedyna w historii polskiego lśska. Nam chodzi o sprawiedliwość społecznś i narodowś...

Ja nie wiem, Ignac, co to jest ta sprawiedliwość społeczna i narodowa... Ja tylko tyle wiem, że to może być twoja mierć... Albo moja... Wolałbym, żeby była moja, a ty żeby został... Ignac!

Gdy ci powiem, że to jest walka z kapitalizmem i z nacjonalizmem niemieckim, także nie zrozumiesz? Ty jeste zapatrzona tylko w swoje małe szczęście... Ja ci jestem potrzebny do tego małego szczęścia, więc teraz stajesz się nierozśdna... Nie rozumiem cię, Irma... Id spać!... rzucił twardo, odwrócił się, przeskoczył rów i poszedł na przełaj do swojej stodoły.

Za godzinę jśł budzić swoich towarzyszy. Mruczeli, klęli, narzekali na obolałe i odparzone stopy, czochrali się, ziewali i znowu klęli. Ignac popędzał ich ostrym głosem. Rozkazy jego były podobne do smagnięć biczem. Ludzie zrywali się, ubierali szybko, wyciśgali swoje karabiny z kozłów, ustawiali się przed stodołś w ociężały szereg. Potem pili kawę i gryli chleb. Wciśż mruczeli i przypominali sobie, jak to dobrze było w domu z babś pod pierzynś, człowiek się grzał i odpoczywał, rano zjadł co małowiele i szedł na szychtę, a tu, do jasnego pieruna, trzeba walić cztery-dzieci kilometrów spod Gliwic na Łabędy, na Pławniowice, przez Ujazd w jednym dniu, nożyska bolś, stopy popuchły, odparzeliny piekś, ranny chłód dojmuje... W pokładzie Joanny jak było, to było, ale zawsze jako było! A tu, pieruna zapierunowanego, trze-3a się tłuc po nocy, pysk się drze z niewyspania, koci bolś, a człowiek nie wie, czy wróci...

Kto strachem mrze, może się jeszcze wycofać!... cisnśł ignac z pasjś.

Ale, pierunie głupi! zawołał kto z szeregu. Kto pado, :e strachem mrze, aże kto? Głos był oburzony i zły. Obelga )owiem spotkała ich ze strony lgnśca, wielka obelga.

Więc nie kwękaście jak baby w połogu!

No, no!... Cicho, kamraci, cicho!... Komendant Ignac mo prawie!... Narzekocie jak kury na grzędzie... uciszył ich jaki stateczny głos. Ś

Szereg milknśł powoli. Ludzie stali osowiali patrzśc pochmurnie na przecierajścy się wit. Dygotali z chłodu, byli bowiem lekko ubrani, w marynarkach, w kurtkach, w podartych spodniach. Ich buty nie były lepsze. Trzech powstańców było boso, jeden miał popękane lakierki. Wyciśł w nich otworki na małych palcach. Tłumaczył kolegom, że ma kurze oka, że go piekś jak wszyscy diabli, a gdy zrobił dziury w lakierkach, już mu dobrze, a stopy nie bęđś się tak bardzo pociły.



Na lewych rękawach pstrzyły się biało-czerwone opaski. Wszyscy byli w kapeluszach, czapkach lub cyklistówkach pociąganych zawadiacko na ucho. Na prawym skrzydle stał skulony Balarus z hełmem na głowie. Wygrał go w karty od pijanego żołnierza włoskiego z okupacyjnej załogi. Na przodzie hełmu nalepił sobie białego orła wyciętego niezdarnie z papieru. I chociaż kurczył się z chłodu, puszył się swym hełmem. Niósł go w plecaku od Gliwic i dopiero teraz włożył go na głowę. Rad był ogromnie, że mu go wszyscy zazdroszczą.

Uciszyło się już zupełnie. Balarus wytarł nos z hałasem do palców, zatrząsł na nim głono, a potem jęł nucić baranim bekiem:

Jozech jesrt powistamiec, bergmón pieronowy, Leja Niemcom rozum przez eadek do głowy! Leja Niemcom rozum, do Pónb6ezka rzekom, Jak móm przyleżytoć to kwaterka łykom! Pójdš se do nieba tak blank bez niczego, Jakzech szoł nad Odra na Genmama złego...

Ignacowi ludzie rozjaniłi się, potoczyły się miechy, a Balarus nabierał tchu, by zapiewać drugą zwrotkę, lecz padła komenda i skończyło się jego piewanie. Ludzie ustawili się nieskładnie w dwuszereg i ruszyli na plac przed kociołem. Dołščyli się do stojšcych już tam oddziałów. Gdy spojrzeli i wzrokiem oblecieli ich szeregi, otucha wstšpiła w serca.

No, sporo tu chłopstwa!... zauważył uradowany Balarus i znowu zatrząsł na nosie.

201

Ignac zdał raport porucznikowi Ziętkowi. Ziętek stanšł z dowódcami oddziałów pod wieżš, by omówić plan natarcia. Wszyscy lepili w jego mapę owietlonš nikłym wiatełkiem elektrycznej lampki. Ziętek tłumaczył. Punkt wyjciowy niemieckiego uderzenia to Gogolin. Niemcy przeprowadzają się przez Odrę pod Krapkowicami. Ich uderzenie będzie oskrzydlające Górę świętej Anny. Północne skieruje się na Kalinów, południowe na Lenicę... My jesteńiy między Olszowš i Popicami. Natarcie nasze na południowy stok Gprzy świętej Anny. Nie wolno nam dopuścić do zajęcia Lenicy!... Centrum będš bronić pułki F i C. Północne skrzydło niemieckie będš odpierać grupy Bandtkego, Lanca i Janusza. Którš godzinę macie na zegarkach?...

Wszyscy sprawdzili, uzgodnili.

Za czternacie minut ruszamy. Punktualnie o godzinie trzeciej trzydzieci!...

Ignac był zdumiony dokładnymi relacjami porucznika Ziętka

o niemieckich planach, lecz nie pytał się, skšd je posiada. Wystarczy, że je posiada, a jakš drogš doszły do polskiego dowództwa obrony Góry świętej Anny nie jego to rzecz.

Niedaleko zebranych, na stopniach wiodšcych do kocioła, przed zamkniętymi drzwiami stanšł ksišdz kapelan Woniak. Ubrany po cywilnemu jak wszyscy powstańcy, z karabinem na ramieniu, ze stułš w dłoni. Zdjęł karabin, stułę przewiesił przez ramiona na piersi, dał znak drużynom. Powstańcy zdjęli czapki, stanęli na baczoć, ksišdz Woniak za uklšł, karabin postawił przed sobš. Splecione dłonie złożył na wylocie lufy, twarz ukrył w dłoniach

I zaczął się modlić. Rozgrzeszał powstańców, udzielał im absencji in articulo mortis i wadził się z Bogiem na swój powstańczy sposób.

...Oto, wielki Panie Boże, zebrała się tu brać powstańcza mrucała półgłosem do swych dłoni na karabinie. Pijaki z nich przegrzeszone, heretyki i nieznabogi, wielu z nich niewiele wie o Tobie, pacierza nie umiesz porządnie zmówić, klniesz jak szewcy, do kocioła nie chodzisz ani do spowiedzi, ale porządne z nich karlusy, gdyż serca ich umiłowaly wielką sprawę! I dlatego odpuść im, o Boże, te wszystkie grzechy, jak ja je w Twoim

W obliczu groźszej mierni.

202

imieniu odpuszczam. In nomine Dei... Indulgentiam, absolutionem i't remissionem peccatorum vestrorum, tribuat vobis omnipotens et misericors Dominus... 1

Amen!... - poleciał stłumiony odzew z tłumu.

Ksiądz Woniak pobłogosławił teraz wszystkich zamaszystym, energicznym ruchem dłoni. A potem włożył zwinięty stół do kieszeni, przerzucił karabin na ramię i zawołał:

Ś Kamraci, idziemy!...

Lej go! huknęło zbiorowo bojowe zawołanie powstańców. Gdy ksiądz Woniak modlił się o łaskę dla powstańców, Ignac

słuchał jego dziwnych słów i błędził oczami po swej wiernej gromadzie z pokładu Joanny. Potem umiechnął się z goryczą, bo na tle rozjaniającego się nieba dostrzegł ogromny, szary maszyw klasztoru na Górze świętej Anny. W kilku oknach jarzyły się wiatła.

Mnichy się modlą!... uwiadomił sobie cierpko. Lecz nie wiedzieć, na czyją intencję? Czy proszą o zwycięstwo dla powstańców, czy o zwycięstwo dla Niemców?... Chyba o to drugie!...

Kolumny ruszyły. Powstańcy rozbiegli się, rozplnęli w terenie, jeśli brodzić w rosie przez łąki, pola i zagajniki. Lekka mgła motała ich sylwetki i przemieniała w błędzące cienie. Szli jak górnicy na szczyt. Stąpali ciężko, wychyleni do przodu, z karabinami w dłoniach. Rozglądali się nieufnie.

Każdy z nich drgnął niemile zaskoczony, gdy z wieży klasztoru spłynął pastelowy dźwięk sygnaturki.

Czemuż te germańskie klechy tak dzisiaj wczynie dzwonić na Anioł Pański?... zapytał kto we mgle. Cóż tak narozspobożnieli?...

Nasuwało się każdemu podejrzenie, że to może być umówiony sygnał dla zaczajonych oddziałów, niemieckich. Chyba z wieży klasztoru można dostrzec sunące linie powstańców?...

Rozrzucony oddział Ignacia mijał głęboki wódolec, gdy z nienacka wyszła z niego Irmgarda. Szła lekko, znowu tym swoim kocim

1 W imię Boże... Pan wszechmocny i miłosierny niech wam udaieli toz-giraeszenia i odpuszczenia grzechów waszych.

203

skradaniem się, bez szelestu. W dłoniach trzymała swój karabin kawaleryjski, za pasem tkwiły trzy ręczne granaty.

Irma! syknął Ignac zdumiony. Wracaj!... Nie wolno ci ić z nami! Ty sanitariuszka, tobie nie wolno strzelać...

Irmgarda zerwała z rękawa opaskę czerwonego krzyża, schowała do kieszeni.

Pójdę z tobš, Ignac!... rzekła z uporem.

- Jestem komendantem! Rozkazuję ci!... Wracaj!...

Irmgarda zawahała się, stanęła niezdecydowana. Tyraliera Igna-ca minęła jš w milczeniu. Irmgarda zawróciła i zniknęła w wš-dolcu.

Grupa Ignšca szła długo. Gdzie daleko na prawo, lecz bardzo ialeko, klaskały już gęste, stłumione strzały. Po drugiej stronie Judniły armaty. Ignac wykręcił wzdłuż stoku Góry świętej Anny ia południowy zachód w kierunku Lenicy. Znienacka z lewego skrzydła zachłysnął się niemiecki karabin maszynowy. Strzały ;erkotały rytmicznie, jakby kto młotkiem bębnił po blaszanym łachu. Zawyły pociski, kto krzyknął, kilku zwałiło się ciężko na :iemię, ludzie przypadli do bruzd. Wycie leciało nad nimi bez >rzerwy. Chwilami serie strzałów trafiały w ziemię. Podnosiły ię drobne kłęby pyłu.

Ignac zrozumiał, że znalazł się ze swymi ludmi pod ostrzałem :arabiny maszynowego. Pole ostrzału jest zbyt szerokie, by je >rzebiec skokami. Próbowało to kilku uczynić, lecz legli rażeni, judzie, przybici teraz do ziemi, nie będš mogli się ruszać tak ługo, dopóki tamten łajdak nie zamilknie! Jasny pierun trzanie!... 'o tu zrobić?... Zdobywać go? Nierozsšdne zuchwalstwo!... Ludzie iu zginš, zanim dojdš!... Jasny pierun trzanie!...

Rozglšda się bezradnie. Co podniesie głowę, wycie kul zmusza o do rozplaszczania się na ziemi. Ludzie klnš i złorzecš Niem-3m. Kto popędliwszy woła, żeby skoczyć do nich... Leżeć! woła Ignac. Myli, jak jwybrnš z matni. Podnosi iowu głowę. Patrzy do tyłu, bada teren. Tamtym wšdolcem moż-a by... Zdumiony spostrzega Irmgardę. Dziewczyna sunie chył-Lem jak kot, niewidoczna dla Niemców, bo zakrywa jš drobne zniesienie, krzaki, jaki wał graniczny... Skrada się, skacze lek-d, biegnie... Co zamierza uczynić?... Ignacy patrzy zdziwiony

i znowu jej nie rozumie. Czyżby biegła na gniazdo niemieckiego karabinu maszynowego?

Irma!... Irma!... Wracaj!... krzyczy na niš. Jazgot nowej serii zagłuszył jego wołanie. Irmgarda zdaje się słyszeć Ignšca. Zatrzymała się bowiem za drzewem, spojrzała w jego kierunku, skinęła dłońiš i znowu się skrada. Jak szary kot... Ludzie Ignšca także jš widzš..Skupieni ledžš jej drogę. Zatrzymali oddech, patržš w napięciu... Irmgarda dochodzi do tamtego przekłętego gniazda. Niemcy jej nie widzš, bo wcišž zasypujš batalion Ignšca seriami. Irmgarda stanęła za kęps krzaków. Namyla

się... Jeszcze ma kilkanacie kroków do celu... Wszyscy widzą już we wschodzącym słońcu. Przewiesza karabin przez szyję, sięga po granat, odbezpiecza... Teraz poderwała się... pędzi... padła! Granat wylatuje szarą smugą, zakreśla obłą linię, wybucha w gnieździe!... Teraz drugi!... I trzeci!...

Lej go!... ryczą ludzie łgnąc, zrywają się i pędzą w kierunku gniazda. Karabin milczy. Opadają nad nim trzy słupy dymu i ziemi... Teraz Irmgarda strzela!... To Niemcy biegną z przeciwnej strony!... Irmgarda przyczaiła się, celuje długo i wciąż strzela...

Powstańcy dopadli gniazda. Naokoło walają się cztery trupy niemieckie. Karabin wywrócony. Niemieccy żołnierze już niedaleko!... Posypały się na nich strzały. Postawiony i odwrócony karabin maszynowy pluje ogniem. Tamci biegną jeszcze, zwalają się po kolei, reszta zatrzymuje się i ucieka.

Ignac szuka ich muszketą i dopędza seriami.

Gdy w końcu wstał, bo miał przed sobą tylko puste pole ostrzału, a towarzysze rozbiegli się znowu w tyralierę, pięciu za najsilniejszych towarzyszy niosło zdobyty karabin maszynowy i skrzynki z amunicją, słońce zatopiło już podnóże Góry świętej Anny. Odbijało się martwo w zastygłych, otwartych i jakby zdumionych oczach Irmgardy. Leżała na wznak.

Ignac uklęknął obok niej, nachylił się nisko i powoli zamykał jej powieki drżącymi palcami. Potem podniósł się ciężko i opanowany już popieszył za swoimi ludmi.

O Górę świętej Anny rozgorzała ostatnia walka.

A było to dnia 21 maja 1921 roku.

205

O, WIĘTA MASZYNO!...

Ciżba już 'dzisiaj nikt nie wierzy w powiarki o Szarleju w pokładzie Joanny ani o brodatym Skarbniku, który przyplłtał się do kopalni z jakiej straganowej broszury o duchach. Pustecki przywędrował do pokładu Joanny z Zagłębia Karwińskiego, polazł w stare zawałiska i rzekomo siedział tam na kamieniu ciężko<sup>^</sup> zafrasowany i krelił kilofem tajemnicze znaki w pyłe węglowym. Ci, co go widzieli, już dawno zmarli, podobnie jak pomarli i ci, starzy dziadogowie i pensjonicy, co zapewniali fuksów, iż w pokładzie Joanny przebywa Ziemiński Duch. Przejęli go ich pradziadowie od kudłatych wiergułów beskidzkich, wiergułowie za wygrzebali go w starych pergaminowych szpargałach, przekazywanych w 'dziedzictwie z ojca na syna, z gazdy na chudobnego chani-ka 1. Postać jego, otoczona glorią czarodziejskich zaklęć w narzeczu morawskim, spisanych kolawś szwabachś, nie zdołała się zadomowić w pokładzie Joanny. Przyszła w dobie jakiego ciężkiego terminu, gdy gwarkowie urabiali jeszcze skałę pikami i łamulca-1 Chudobny chanik ubogi parobczak.

206

ni i zapuszczali się sztolniami w głębi pokładu, a potem odeszła, wygoniona przez Szarleja, Skarbnika i Pusteckiego.

O Goduli także już niewiele wiadomo. Owszem, był jaki Go-dula, pan nad pany, kuternoga i ponury samojednik, pozbawiony męskoci przez pławniowickich kłusowników, cudak i chyba jakiś charakternik, gdyż samego diabła haniebnie okminił. Duszy mu bowiem nie zapisał, a wycygnął od niego krociowy majątek. Jak to uczynił, nikt tego nie wiedział. Mówiono, że za sprawą tajemniczego inkluza, który wianował malutkiej Joasi Gryszczykównie, a ona go oddała grafowi Hansowi Ulrichowi von Schaffgotschowi... Starzy górnicy słabo go pamiętali. Zachodziły u nich niejasne wspominki starzyków, mocno już przeinaczone i mocno postrzępione, łatanie od biedy ubożuchną fantazją łaskiego otrocka graf-skiego, opowiadane w czasie zimowych wieczorów przy rozpalonym morcinku<sup>1</sup>. W popękany morcinku buzował ogień, a bezzębny starzyk cykał ulimnity cybuszek fajki i fanzolił. Istotą owych wspomnień był podziw pomieszany z zazdrością, że oto człowiek urodzony w żebraczej kobiele, jakiś wagabunda i frant przechytrzały, syn dworskiego fornala, dorobił się tak ogromnej fortuny.

Były czasem o nim wzmianki w Miarkowym kalendarzu mariańskim, czasem pojawił się mądry i dociekliwy artykuł w niemieckiej gazecie, a wszędobylski nadsztygar Bernhard Knosalla twierdził, że widział go w Gliwicach. W oknie gmachu dyrekcji „Berg und Huttenmannischen Verein'u” ujrzał jego portret. Z ulicy nic się nie zobaczy, trzeba wejść do rodka. Zrobiony jest ze szkła, z takich nieforemnych, kolorowych tafelek szklanych ujętych w obrzeżenie z ołowiu. Przewietlony z zewnątrz patrzy na człowieka wielkimi i czarnymi jak u diabła oczami, a tak bystro i nieufnie, jakby się lękał, że mu kto zamierza coś z jego talarów uszczknąć!... Usta jego są szerokie i zacinięte, i takie grone, że aż niemiło patrzeć!...

Wszystkie więc tamte postaci już się dawno skończyły. Skończył się i stary graf Hans Ulrich von Schaffgotsch w drugim roku wojny wiatowej. Ten to naprawdę straszny. Nie w pokładzie Joanny, bo lękał się tam zjeżdżać, tylko na powierzchni. Łaził jako zgrzybiały staruszek, łysy, o miesznych, łzami podeszłych

<sup>1</sup> W narzeczu łaskim mały piecyk żelazny.

207

oczach, z białą, capią bródką, sapiący i szmatławy i baczył pilnie, czy kto z robotników nie próżnuje, czy nie ocięga się w robocie, czy nie pali fajki, czy kto nie wynosi gnotka pod pachą lub kęsa węgla. Jeżeli dojrzał takiego nieszczęśnika, skrzeczał jak zakatarzona sroka, machał niedołąźnie łaską, wypluwał gniewliwe słowa i pieszył do dyrektora z wymówkami. Jeżeli zauważył na dziedzińcu kopalni kupę kobylińców, stawał nad nią i rozglądał się za ludmi. Gdy dojrzał kogo, wołał do siebie i kazał mu je zbierać w dłonie, do czapki, na łopatę i zanieść na gnojowisko.

Es ist alles Gold!... To je wszystko złoto!... mamrotał jakby na uniewinnienie.

Lubił przychodzić na most wiodący do sortowni. Stawał na uboczu i patrzył na dziewczyny pchające wagoniki z węglem. Dziewczyny przechylone mocno do przodu zapierały się wyciągniętymi ramionami w wagonik, a wiatr oblepiał im czerwone barchanowe spódnice na udach. Schaffgotsch

umiechał się wtedy, oblizywał usta językiem, a potem zadowolony odchodził.

Ignac przypuszczał, że i owa mieszna postać starego hrabiego Schaffgotscha przejdzie do legendy, jak przeszedł do niej Godula i tamte wszystkie Ziemskie Duchy. Niech przejdź, nikt nie będzie za nimi płakał. Ich miejsce zajmują teraz maszyny i ludzie, czarni pštnicy, latami wlokący się przez pokład Joanny. I zostanie pokład Joanny rozrastający się w głębi ziemi, z drugiego poziomu na trzeci poziom, i próbujący dotrzeć do czwartego.

Ludzie wracający z powstania, nasycony krzykiem wojny i oczadzeni zapachem krwi, ze zdumieniem wstępował w swój pokład Joanny. Gdy wyczuli jego znajomy zapach i gdy ujrzeli się w jego filarach, i gdy stanęli pod stromymi cianami ociosu, przeżywali radośną ulgę, której nie umieli nazwać. Wiedzieli tylko, że wstąpili jakby strudzeni do domu, gdzie każdy kšt jest im ogromnie bliski. Pokład wydawał się być żywą istotą. Inne w nim życie aniżeli u człowieka, lecz podobne. W czym za jest podobne, znowu nie umieliby powiedzieć. Zresztą, po cóż mówić o tym? Każdy przecież widzi, że pokład Joanny żyje, że wstępuje upadnicami w jšdro ziemi, nurza się w ciemnościach, których jeszcze oko ludzkie nie przejrzało, że wiezie za sobą ludzi, oddycha upałem i trującymi smrodami ziemskimi, mieni się w wietle lampy, łusz-208

/y się tłustym blaskiem, złoci pirytem i szeptem. Jeżeli za wsłuchać się w szept calizny węglowej, wyłowić można słowa, których nie ma w ludzkiej mowie, a które przepowiadają jakie niesłychane zdarzenia. Mogą być nimi toczące się talary za toczącymi się kółkami wózków z urobkiem, mogą być tumany pyłu niosące / . sobś pylicę w płucach, mogą być bulgoczące gazy w leniwych ciekach pod ociosami, ludzki umiech wynurzający się z mroków, ucisk bratniej dłoni, w którym konają złe myśli, a rozjarza się wiadomość, że oto człowiek stoi przede mną ‘

Jeżeli położyć dłoń na ociosie, wyczuwa się życie pokładu. Jakby kto położył ją na piersiach piścego człowieka.

W cianie przebiegały ledwie uchwytny drgania. Ignac wiedział, że wywołując je maszyny w filarach i naruszana równowaga ziemi. Nowe maszyny wyjść i ciskają się oszalałe, w calinie piaskowca za w górotworach ronie gniew żywiołu. Przymknął powieki i nie widzącymi oczami ledzi, jak w piętrze rozbiegają się bez przerwy drobne, bardzo drobne pęknięcia na kształt cieniutkich nitczek, jak pęknięcia rosnące, wydłużają się w łamanych liniach, sięgają coraz wyżej, jak się rozszerzają, jak całe ławy górotworu obsuwają się drobnymi skokami, jak zamknięta energia stłacza się, napina, by którego dnia wybuchnąć gronym tšpaniem, zarywać stropy w filarach i wyrobiskach i grzebać ludzi pod swym rumowiskiem.

Ho, ho! powiedz górniczy. Wali jak sto diabłów!

Podejść z nowymi stemplami i stropnicami, zaciśnię reszpy, podbij, podeprz na wszelkie sposoby i patrzeć będą, jak stemple i stropnice wyginają się, i będą słuchać, jak rozgniatane stękają z wysiłku, aż legną pokotem.

Nie legną pokotem!...

To pod Górą więtej Anny kładli się ludzie pokotem z tej i tamtej strony. Rozgrzany wiatr majowy

niósł z sobą cłkiwy zapach krwi ludzkiej, potu i dymu. W pokładzie Joanny zmiażdżone stemple zastąpił nowe, pachnące żywicą, jasne i wilgotne własnym sokiem.

W pokładzie Joanny, jak i we wszystkich pokładach pięćdziesięciu i trzech kopalni przyznanych Polsce, górnik jest zwycięzcą. Pod Górą świętej Anny kazano mu się wycofać...

14 Pokład Joanny

209

o w I o -

**O O O**

**CB CU**

53 >o -^ \*G

H. &.L :“S

:>5J ^J \*-> O CU \_”L O “q

&\$> s? s o cd tev

c .2 o



**CJ**

**OJ**

- y:t^

3 co

a P>

5 §. s

ř N

g -o :

8 cc

” - I

1/5 “S1 ? <u \*S

i i 11

; O

.jS “3 -o ‘5° c

C\* S B N .5

w 3

O S S s

ft’ eso “ř

.\_J ‘U

i

**N - O**

i

5

1 H

11

So

N 3

. >> co

L > Ĥi”

.1 e

**S**

š I s J

2 C

oj

co c

# **N P**

cd 'O eg

t'i Ě

Q +3 cd.

CB .rt; hh”

^CJ CQ

C/3 cu-te

M §

2 Ě

44 te

n ej

Ś CB

NJ L2

**CU C**

nie-taki

‘03

CUN 2

jrzdili Ale..]

i ; “to 3

T3 CJ

**CB CU**

**CU**

t 'S

JS CS .

i I i a i

cu a :

ń -2

to rLJ ctj g^ -'..

ty . CS

ř i

if CB U

§ cł

3. O.

o

-

rt

o y-

.3 &

fi CJ ,-<U -'4)

g a

m

ŠN

r-j M : (y

C

w Ś



**O**

O3

f-4"- ^

j td

n

**S-**

**S**

**i**

**S**

>Tft >>

s

NO3

**UW**

cb;:^

Po,0 g cu\* cu

Ť' tO N

u

**O**

r. cu

o;:2 S3 g

Ljt>\

1

**S**

g

CU S''

**N**

**O**

i cd :S cu <Z) fe

r6 'co

N 3 S O 3 CU

cu

**O**

<sup>1</sup>

cu .9

F .2

te N



**CO CU**

- ŠŤ

# +J O CO

o 44 n.i

‘CO .

o

3>>o

N -‘to :

flcis CU O CUN

co cj “8 g

cj tiD

es .2

:S 3

cd Ś. ,jj P “P -cd

S9 °

N

W

cu

tU 13

la

p PN 13 CU

Starzyk Berthold wyparł się go po raz drugi, gdy Ignac poszedł do pierwszego powstania.

Twoja matka była Niemkš, ty Niemiec! krzyczał w gniewie i biegał po pokoju.

Mój ojciec był Polakiem, a ty wyrzekł się mojej matki! Nie masz prawa... v

Precz! Precz! krzyczał piskliwie sztygar Berthold. Ignac poszedł bez żalu. Teraz pozostał osamotniony. Irmgarda

zginęła, starzyk limak zginšł, ojciec zginšł, matka zmarła... A starzyk Berthold? Ten także już umarł podczas trzeciego powstania.

No, no! Tylko się nie roztkliwiać! mruknšł do siebie. Lecz gdzież, u pieruna, siedzš ci kamraci? Trzeba maszynę puszczać... Zaniepokoił się. Od poczštku szychty czeka na nich w dziesišym filarze. Mieli przyjć z inżynierem Donocikiem. doszedł pierwszy spod szybu, gdyż zjechał pierwszš windš. Chodziło mu o przygotowanie wrębiarki do pracy. Tamci mieli się zebrać, poczekać na inżyniera Donocika i przyjć razem. Podszedł do wrębiarki, nachylił się i w nieoczekiwanej chwili pogłaskał jš życzliwie.

Ignšca zawsze urzekały maszyny.

I znowu umiechnšł się do wspomnień ze swych chłopięcych lat, gdyż ujrzał się w towarzystwie Brodowego Karlika, wyprawiającego się z nim po szpulki po niciach. Niedaleko bowiem domu, w którym mieszkał z rektorem Kepeuszem-Slimokiem, był nieduży domek, a w tym domku pięć dziewczyn. Wszystkie miały niebieskie oczy, puszyste włosy ułożone we wdzięczne "skiby na głowie i wszystkie przez cały dzień piewały niesłychanie rzewne piosenki o Karolinie, co szła do Gogolina, a syneczek za niš z flaszeczkš wina, i wiele jeszcze innych. Lecz Ignacowi najbardziej przypadła do serca tamta zalotna Karolinka z Gogolina. Poza tym przez cały dzień szyły na maszynach, gdyż były to szwaczki. Czuwała nad nimi gruba pani Kawulokowa z brodawkš na brodzie.

Ignac z Robertem zawsze prosili o szpulki po niciach. Dziewczyny patrzyły na nich, umiechały się przyjanie i dopytywały, jak się nazywajš. Gdy powiedział po raz pierwszy, że jest synkiem Moniki, jedna z nich zapytała:

Której Moniki? Tej rudej?...

Cóż się pytasz, Gustla? wtręciła druga. Przecież widzisz po jego ryszawej czuprynie, że to może być synek tylko tamtej Moniki...

W słowach tamtej Moniki kryła się niezrozumiała dla Ignęca wzgarda. Wszystkie dziewczyny jęły chichotać, nachylać się i wzajemnie szeptać do ucha jakie słowa, które znowu wywoływały drażniący chichot. Lecz potem zawsze wysuwała się z okna dłoń ze szpulkami. Dłoń była mała, różowa, miękka, z pokłutymi koniuszkami palców. Robert nawet twierdził, że taka dziewczęca dłoń pachnie woniśwym mydłem i że gdyby ją ucałował, nic by nie było..

A na co wam te szpulki? dopytywały dziewczyny.

My z nich zbudujemy maszyny! odpowiadali niezmiennie, wciśz się dziwiśc, że zawsze pytajś się ich o przeznaczenie szpulek. Przecież im tłumaczś każdym jazem, a one wciśz zapomi-r najś.

Zmajstrujcie z tych szpulek automobil, a potem nas przewiezicie! wołały rozchichotane dziewczyny. Wtedy wszystkie miały liczne, białe zęby i były jeszcze piękniejsze.

Z tych szpulek Ignac z Robertem budowali maszynę. Zapatrzili się w nią i urok na nich rzuciła, gdyż codziennie wybiegali na podmurowanś skarpe niedaleko szybu Arnolda i podziwiali starś\* dychawicznś lokomotywę o ogromnie miesznym, pękatym kominie. Lokomotywa przetaczała wagony z węglem, podsuwała próżne, przeraliwie gwizdała, a na lokomotywie stało dwóch umoru-i sanych ludzi bardzo dumnych i zarozumiałych, że umiejś takiego potwora prowadzić. Ignac wtedy zrozumiał, że tamta lokomotywa żyje, chociaż jej życie jest odrębne od życia widzianego wród ludzi, że posiada, jak człowiek, swe cnoty i narowy, że martwi się jak człowiek i raduje jak człowiek. Utwierdzało go w tym mniemaniu podglśdanie ludzi pracujścych przy maszynach. Zauważył bowiem, że odnoszś się do nich, jak na przykład człowiek o współczujścym sercu odnosi się do konia, zachęcajś do wysiłku, poganiajś dobrotliwie, czasem głaszczś usmarowanś dłoniś, czasem wymylajś ciężkimi słowy, a czasem chwałś...

213

Ignac z Robertem zaczęli więc,,

wszystkie szpulki obracały się na gwodziach.

i old

szumiał nagrzaný wriśtr pachnścy smarami, leciaty pasy tfansmi—

Epe, para psykała w wylakierpw^anych .cylindrach, czasem cos l pulastych' głowicachz ^tł i

p p ypw^nych .cylindrach, czasem cos

golaib. w kopulastych' głowicach,,a czasem maszyny^stały w ci-szy l wtedy Ignacowi wydawało się, ze kto umarł koło niego, i było mu smutno.

ifi^WS' riSa's^iflsta "V 'aMikickbMf vcz'apce r w za-H pMz^Slf^Mf^i^Wmlechnięfy Igna-  
^mó^gK^r^cfel^ó^zilf^^ było jego , -tyHo- -si^isl^pa1!^?^^1^ Czasem mawiał: Ty, synek, doć się napatrzyłeś! Przynie mi za to wody

ii w68E:%L' &o-ri:ewY&?Ja)fmaż^msta pozwalał muza to napić się jef^f^^fklttš-  
rurkęPl^riafePżariurzał rurkę w ko-riš^Tqt23Gišgrłglax^Mtto1^otfzduni.i.bW^<sp(SStffiegał, że  
woda wlewa mii iišj^o^jist^irzeima^einE.-hgtšcwodyi žfofjš musi połykać, bo już

gdzie ^mtódtAWoc&aizah^afchniała smarami i lasem. bñ jido^roarkip ty pikolu! Ostrzegął gó

piw; Eprięgi'/Patem Ignac wracał do domu i dłTgo;meawigł)zasnść; 'ŁjóowEi^Zlwidzial maszyny.  
o^fbtefe]tšwajai siię1 :>.niiat,o^:awały mu się najlepszymi  
przyjaciólmID^SaseimcJusiłowałiiciłimowę przełożyć na. ludzki język. Meraz  
cjnansiębfo/udawałoolftwówczas spostrzegął, że każda ma-^iM Sp?Sfc Jedna tak, druga inaczej.  
Jeżeli wsłu-iblJS5r,i można z nich wyłowić ku niesłycha-i&P;.zabawne, słowa powtarzane  
rytmicznie. j do gędziolenia małego dziecka, czasem do j ^šrczmie, czasem do"" szczebiotu ptaków w  
le-r,g^jg3^gsnego chichptu tamtych pięciu dziewczyn-szwa-czek o niebieskich oczach, š czasem do  
gderania starego rektora

Slimoka, gdy był z czego niezadowolony. Czasem zanosily się ogromnym miechem lub wymyłały  
ludziom twardymi pierunami, a czasem nachodziła je łaska miłoci, gdyż szepteniły przymilnie...

Maszynistów za uważał za jakich tajemniczych magików, sprawujących z namaszczeniem swe  
czarnoksięskie praktyki koło żywych i gadających maszyn.

Ocknł się z zamylenia, gdyż błśdzšce oczy trafiły na zwitek papieru pod cianš. Zaciekawiony wstał,  
podszedł, podniósł i rozwinł! Stara gazeta. Z nudów zaczął jš przeglšdać. Kto z górników miał w niš  
chleb zawinięty. Chleb zjadł, gazetę zmišł i cisnł. Ignac wygładził jš na kolanie i zaczął czytać. Ze  
zdumieniem spotkał się w niej ze swojš odezws, pisanš podczas trzeciego powstania, Z odezwy  
został tylko fragment, bo gazeta była przerwana w połowie. -Czytał więc własne słowa. ;oo< (

...Uciemieżony i uciskany od wieków przez niemieckich kapitalistów, bankierów i junkrów robotnik  
łšski chwycił za broń i nie da jej sobie wydrzeć nikomu, dopóki nie zdepcze międzynarodowych  
intryg, które ziemię łšksš zaprzedać chciały kapitalistom niemieckim. Górnik i hutnik łšski nie  
ustanš...

Odezwa urwała się na nie dokończonym zdaniu. Nie szkodzi, już i tak swoje zadanie spełniła. Nic w  
niej nie, zełgał. Przecież pierwotnie łšsk. miał. być przyznany Polsce w całoci. Lecz gdy rzšd  
niemiecki owiadczył Aliantom, że w razie utraty łšska nie będzie mógł uczynić zadoć swym  
zobowiązaniom reparacyjnym, Lloyd George zadecydował urzšdzenie plebiscytu. Plebiscyt za był z  
góry przesšdzony na niekorzyć Polski, ponieważ mieli w nim głosować i głosowali wszyscy, którzy  
się na łšsku urodzili. A więc i Murzyni z cyrku. Londynowi nie chodziło tutaj o sprawiedliwość, lecz  
o węgiel i p ten rosnšcy z węgla kapitał!...

Ignac splunął z odrazą, zasepił się. Potem odwrócił gazetę. Obok różnych komunikatów i kronikarskich wiadomości znalazł, szczęście, wiersza. Jść go powoli czytać, nachylony do lampy na stole.

....., ; Warszawo, Warszawo.....; < :

winna twa wyprawa aż do bram Kijowa.

215

Warszawo, Warszawo, ty zawiniła,

że dzi za kordonem jest lśka połowa,

że ciśgle otwarta jest lśka mogiła.<sup>1</sup>

Tego wiersza nie znał i było mu teraz żal, że tylko fragment z niego został. A więc kto w rymach oskarża rząd polski i marszałka Piłsudskiego, że jego wyprawa na Kijów pogrzebała sprawę lśka... Ha, było tak, było!...

Jasne pieruny! mruknął z niechęcią.

Już mijają cztery lata od tamtej chwili, gdy ze swymi ludmi schodził z Góry świętej Anny. Ludzie wtedy klęli, buntowali się, że musiał ich krzykiem spędzać z pozycji. Dziwny to był rozkaz, by zaprzestać walki...

A potem wrócił ze swoją wierną gromadą do pokładu Joanny, W tych dniach rozpocznie się wojna celna między Niemcami a Polską.

Ignac był przekonany, że z dniem 15 czerwca 1925 roku, w dniu znoszącym prawomocność klauzuli Konwencji Genewskiej, Niemcy wstrzymają na granicy pociągi z polskim węglem. Przez trzy lata 20 procent polskiej produkcji węglowej było do nich wysyłane, lecz od 15 czerwca nie pójdzie ani jedna tona!... Wtedy cały świat przekona się o polskiej gospodarce, o polnische Wirtschaft, gdy Polska zacznie dławić się własnym węglem, gdy z braku zbytu będzie musiała zamykać kopalnie, gdy tysiące robotników będzie bez pracy, gdy wybuchnie bunt i rewolucja!... Może wtedy ci, co im narzucili Konwencję Genewską, zrozumieją, iż popełnili błąd, i naprawią go... Może dojdzie do rewizji tamtych wszystkich umów i lśsk wróci do Niemiec.

Przez owe trzy lata dyrektor Michejda i dyrektor Krzystek zdołali "urzeczywistnić plany dyrektora Boelschego. Dyrektor Boelsche marzył o elektrycznych wiertarkach, młotkach pneumatycznych, wrębiarkach, rynnach potrzebnych, transporterach, o lokomotywkach docierających do przodków, o zamulce, ba, nawet o skipach. Lecz stanął w połowie drogi. Trwająca wojna domagała się od hut żelaza i stali, huty dotnały się jak najwięcej

<sup>1</sup> Wiersz poety lśkiego, ks. Emanuela Grima, skonfiskowany przez cenzurę sanacyjną.

216

węgla. Nie czas więc na zagraniczne nowinki techniczne, bo trzeba węgla, bo trzeba jak najwięcej węgla!...

Dyrektor Boelsche rozpoczął rabunkową odbudowę pokładu Joanny. Waliły się ławy węgla w filarach, waliły się słabo wspierane stropy, pędzono nowe chodniki, zostawiano całe pola nie wybrane, wycieńczano ludzi, szukano miękkiego węgla, w stropach za tępą krótkimi grzmotami, łamały się stemple na przejazdowych chodnikach, rwały się liny na upadnicach, na powierzchni tworzyły się zapadliska, a w końcu za uskokiem wybuchł pożar...

Ze górnicy ginęli pod obwałami, że jeńcy serbscy i rosyjscy konali w pożarze, to wszystko godne tylko machnięcia dłoni. Trzeba węgla, jak najwięcej węgla!...

Gdy się załamał front niemiecki i przyszła klęska, załamał się dyrektor Boelsche, bo ujrzał swoją klęskę. Pokład Joanny stanowił zmierzwiłe kretowisko, którego odbudowa pochłonie wszystkie mności się w nim kapitały, a tantiemy diabli wezmą!... Jego nierozsądna obrona szybu Arnolda w drugim powstaniu była już rozpaczliwym gestem bankruta.

Przez owe trzy lata więc, od powstania nowej granicy polsko—niemieckiej za hałdami Arnolda, dyrektor Michejda, a następnie dyrektor Krzystek zdołali odbudować i zmodernizować pokład Joanny. Zbyt na jego koksujący węgiel był zapewniony i chociażby nastąpił okres zastoju, jak przewidywała złośliwie dyrekcja Schaffgotschowego koncernu, węgiel z pokładu Joanny będzie wciąż poszukiwany. Dyrektor Michejda zdołał już przekonać i po długich ociąganiach uzyskał zgodę na przeprowadzenie swych planów. Gdy po fokę poszedł na kopalnię Donnersmarck, przejął jego pracę dyrektor Krzystek, syn górnika z Zagłębia Karwińskiego.

Przede wszystkim trzeba było pomyśleć o pogłębieniu szybu. Pierwszy poziom był już prawie wybrany, główny chodnik przewozowy zamieniony na chodnik wentylacyjny, górnicy wybierają teraz filary w drugim poziomie, trzeci jest w przygotowaniu. A do czwartego pogłębia się szyb.

Na dnie szybu wyjść elektryczne wiertarki, ryczy rozprężające się powietrze, wkręcają się widry w piaskowców kaliznę, drżą głębokie otwory, a górnicy wałkują w dłoniach czerwone tulejki

21?

z dpnarytem, wsuwają w otwory, ubijają lękodrewnianymi nębijkami, wkładają spłonki i wychodzą po drabinach do wykutej niszy w kaliznie szybowej. Ś :

Ogień! woła strzelec i czeka.

- Gotów! g|| odpowiada mu sztygar Mołdrzyk po przeliczeniu swoich ludzi,

, Strzelec naciska rączkę dynamomaszynki, na dnie szybu pęka skłębiony grzmot, koło niszy skowyczą przelatujące kamienie, za chwilę spadają, z dołu za wywala się biały, słodkawy dym.

Mołdrzykowa drużyna spuszcza na linach zabrane z sobą wiertarki i młotki, schodzi po drabinach,

nurza się w dymie i mocując z kęsami skruszonego kamienia. Skwierczą liny z kubłami, płonny urobek wędruje wzdłuż prawej ciany szybu na powierzchnię, a gdy spąg oczyszczony, znowu skłębli się na dnie ryk maszyn.

Dno szybu opuszcza się coraz głębiej, dociera do nowych pokładów dzi jeszcze bez nazwy, a znaczonych na mapie cyframi, upał wzrasta, woda cieknie na skórzane hełmy i pokostowane man., tyle wiertaczy, inżynierowie wymierzają i notują poplątane cyfry w notesach, a maszyny krzyczą zbełtanym zgiełkiem. Za rok, może wczynie, ludzie dojdą do tej. głębokoci, z której już będą mogli poprowadzić przekop w czwartym poziomie. Przekop będzie bardzo długi, bo musi gonić za uciekającym pokładem Joanny, lecz prosty, sklepiony, szeroki i bezpieczny. W czwartym poziomie za będą już tylko maszyny doglądane przez ludzi.

W drugim poziomie górnicy usiłowali podchwycić tak zwany oszydny strop, cienką ławę łupku, przylepioną niżej warstwą węgla do piaskowcowej calizny. Ta głupia ława łupku utrudnia pracę, bo kruszy się i grozi obwładaniem. Podeprzeć ją, podpisać resztkami czy nawet zabezpieczyć organami, wszystko diabła warte. Żeby, pienin\* przynajmniej stękał, żeby trzeszczał i posypywał miałem, jak to dzieje się ze zdrowym stropem, człek miałby czas uskoczyć w bezpieczne miejsce. Lecz ta bestia siedzi cicho, milczy i zniechęca łamie się i spada na schylone grzbiety ludzkie. Jedynie jeszcze okorki wtykane gęsto za reszpy i stropnice stanowią jakąś taką ochronę. Lecz ileż to potrzeba drzewa, aż drzewa!... ,

Głowili się inżynierowie, zastanawiali i sprzecali. Kto z nich poradził, by ową ławę łupku opuszczać. Zakrzyczeli go koledzy,

udowodnili, że to niemądry pomysł. Opuszczanie czy zrywanie za węglem ławicy; stropu grubości około ośmiu decymetrów przysporzy nieużytecznej roboty rębaczom, obniży urobek. Trzeba będzie przecież ów kamień wybierać z węgla, odrzucać do zawału, mi-trężyć czas, że zawsze będzie istniała możliwość, że węgiel będzie zanieczyszczony łupkiem, jego wartość spadnie... Nie, lepiej już przeboleć tę drobinę węgla i nie wykonywać przybierki aż do stropu, lecz zostawić pod nią niegrubszą ławę węgla. Jak grubszą, wykaże dowiadczanie. Chodzi bowiem o to, by oszydny strop nie ulegał zwiertzeniu i nie kruszył się. W wyniku obudowa może być mniej wytrzymała i będzie też mniej kosztowna.

Od dwóch lat przeto rębacze zostawiają nad sobą trzydecy-metrową ławę węgla. Pomysł okazał się skuteczny. Strop był wytrzymalszy, filary pożerały mniej drzewa, górnicy czuli się bezpieczniejsi.

Równocześnie przyszła kolej na zamułkę. Kłopot był tylko z materiałem, lecz gdy się przekonano, że stare hałdy nadają się wietnie na zamułkową przeróbkę, zbudowano specjalny młyn koło szybu, młyn miażdżył zwietrzałe i przepalone kamienie, a strumień wody porywał już żwir i rudy piasek, włókł z sobą grubymi rurociągami do drugiego poziomu, rurociągi za rozbiegały się po wybranych filarach i zalewały wyrobiska buchając bryłami. Grube tamy z okrągłych stanowiąły zaporę dla zamułki. Rura uwieszona pod stropem dygotała utajoną pasją, dzwoniła rytmicznie, a z jej otworu wpuszczonego poza tamę lała się zamułka dzień i drugi, czasem i trzeci, aż w końcu poziom jej dosięgnął płaszczyzny stropu. Woda za wyciekała przez szczeliny w tamie. Teraz może się strop zarwać!... Ugrzęźnie jak liwka w krowińcu i będzie siedział po wieki wieków, amen!... A korzyć stąd wielka! Powierzchnia ziemi nie fałduje się, nie tworzą na niej zapadli-ska, nie pękają domy i nie



obsuwajš szczytowymi cianami, nie powstajš Wšdolce z gnijšcymi wodami, nie grozi poŹar w wyrobiskach, nie plęgriš się w nich trujšce gazy...

Gorzej z tym przeklętym spšgiem. Plastyczny, jakby był z wosku uczyniony, wybrzusza się, podnosi tor kolejki, cienia przekrój chodników, utrudnia transport urobku. Ha, nie ma innej rady, jak od czasu do czasu skopać go pikami i kilofami i wyrównać.

213

219

Poza tym dyrektor Krzystek zarzucił pomysł pędzenia pochylni i upadnie wzdłuż uskoku. Dziwił się swoim poprzednikom, że byli tacy nierozsšdni. Przecież największe cinienie moŹe być tylko w okolicy uskoku! I to nie tylko z góry, lecz ze wszystkich stron!...

W drugim za i w trzecim poziomie przeprowadził po dwa przebiccia przez uskok do koksujšcego węgla Joanny. Wystarczy!... Odrzwia ustawiono gęsto, bardzo gęsto, jako że strop był nad podziw łamliwy, a zamiast stropnic kazał zacišgnšć na stemple stare szyny stalowe, poprzednio wypalone w kotłowym palenisku, by nie pękały pod naciskiem jak szkło.

Ignac z zadowoleniem oglšdał te prace i podziwiał dyrektora Krzystka. Mšdry z niego chłop!... Nie umiał się tylko pogodzić z jego próbš powiększenia filarów do trzydziestu metrów. Dawniej ciana w kaŹdym filarze była długa okołó szeciu metrów w poprzek, do siedmiu metrów wzdłuż. Teraz spróbował wycišgnšć ciany wzdłuż do trzydziestu metrów. Tłumaczył górnikom, że większa stšd korzyć, gdyŹ przy większym skupieniu ludzi na takiej cianie odpada koniecznoć pędzenia zbytecznych juŹ chodników i przecinek, taniej wypadnie zamułka, urobek się powiększy...

Nie przekonał starych rębaczy oraz lgnšca. Stało się bowiem to, oo przewidywali. Strop nie wytrzymał!... Musiał poprzestać na piętnastometrowych cianach.

Teraz postanowił dowiadczyc wrębiarki w filarach. JeŹeli nie zawiodš, urobek się powiększy. Dzisiaj Ignac ma przeprowadzić takš próbę w swoim filarze. Zdaje się, że jednak będzie trzeba pozostać przy elektrycznych wiertarkach i przy detonicie powietrznym B. Rwie jak pierun, daje krótkotrwały płomień o nis-, klej temperaturze i nie grozi wybuchem pyłu węglowego i metanu. Ha, gdyby dyrektor Boelsche zastosował ów materiał, nie doszłoby do katastrofy za uskokiem!... Inna rzecz, że wtedy chyba jeszcze nie znał detonitu B. Trzeba go tylko odpowiednio naładować w otwór strzelniczy. Przeładowany czy nie doładowany wydziela bowiem za długi płomień.

Ignac więc, podobnie jak wszyscy dowiadczeni rębacze, nie miał zaufania do wrębiarek w filarach. Za to z uznaniem patrzył na wydłużajšce się rynny potrzebne, na kasowanie upadnie, ko-

łowrotów, tarcz bębnowych i tej całej gmatwaniny chodników, pochylni, zwrotnic i upadnie. Węgiel w podrzucanych rynnach zjeŹdżał teraz do upadu lub czołgał się pod górę skokami, zsypujšc się w gospodzie do podstawionych wagoników.

Dyrektor Krzystek marzył jeszcze o tym, by powiększyć wagoniki do ładowności ponad trzy tony zamiast obecnej pół tony, by zwiększyć szybkość lokomotywek, by tak rozbudować chodniki przewozowe, żeby lokomotywki mogły dojeżdżać do gospod czy zgoła do samego przodka. Musiałyby jednak być zaopatrzone w bębny z nawijającymi się przewodami elektrycznymi. Gdyż trudno wyobrazić sobie taki przewód wiszący pod stropem. Fatak już sporo porażen elektrycznych u górników idących przekopem.

Dyrektor Krzystek wyliczył, że w ten sposób ilość ludzi zajętych przy przewozie urobku zmniejszy się do 50 procent, wydajność pracy wzrośnie o 27 procent, na jednego górnika za wypadnie trzy tony urobku na szychtę... ,

A zarobek? zapytał wtedy Ignac.

Zarobek musiałby wrócić w tym samym stopniu! odparł dyrektor. Jeżeli mówię o usprawnieniu wydobywania węgla, to przede wszystkim chodzi mi o was, górników... Wtedy myślę zawsze o swoim ojcu, który...

Dlaczego pan dyrektor mówi, że zarobek musiałby wrócić? Czemu nie musi wrócić?

Ha, gdyby to była nasza kopalnia, a nie baronów węglowych. Przecież udział niemieckiego kapitału tłumaczył dalej w naszym przemyśle górnośląskim wynosi 50 procent, drugie miejsce zajmuje polski, trzecie francuski kapitał... A zanosi się, że polski przejdzie w ręce kapitalistów anglo-amerykańskich...

Czyli że górnik i hutnik śląski swoim powstaniem nie zdołali się wyzwolić spod opieki kapitalistów?

Nie zdołali...

Jasny pierun!

Wyzwolisz się dopiero, gdy kopalnie i huty będą znacjonalizowane.

Jak to rozumieć?

Gdy staniesz się właścicielem całego społeczeństwa!... Ale dosyć

220

221

tego! ^ rzekł i poszedł w upadnicę. Ignac stał długo u jej progu i patrzył za jego schodzącym wiatłem. . : / . ,m

Teraz pokład Joanny wypełnia zorganizowany zgii9pfacy?2>d godziny, szóstej rano do dziesiątej w nocy ryczał rfi rfy, w^Jś motory, kołtuni się zgiełk ryńien i wagoników\*; -gr^ci fiot^eP-zsy-pujscy się: węgiel, pękają odstrzały, trzeszczą stóMBffifPoratujś się grzmoty w piętrze, rude wiatła mętniejś -‘w1 t&lflariSSn ^>fW,xWi-wieka się swśd potu i zapach kopalni, ktićl^Mę {ararV’?^8c’š\\*.’.; “

W nocy za, od dziesiątej wieczorem do szóstej, niel Wflmem/caL'fi-żyny budowaćzy wymieniajś na eho flniSaLif '-p^lama.rie "odrzwia, luserze łatajś wodociśgi, zamułkarze mozołś się z rurami, technicy naprawiajś Wrębiarki i lokómotywki'..". "1 J

Lecz co będzie z chwilś rozpoczęcia wojny %ęlnVj mięży Niom-Gami a Polskś?

Nie zdołał znaleźć odpowiedzi, \*bq\_ trzasnęły ,drzM, w upadzi:, posłyszał kroki. Wiedział, że to" "iaś K&mraci. Spojrzał na zegarek. No, wcale tak bardzo się1 ri?d s^lo^mliti!. ^erdiieci nunut!!..

Szczęć Boże, -pnie' sz%y%gtl:)^~'^syflkff'^^wSrle'^ głósy kamratów. WstępoWalff gęsiego ;flpzez:' dliri(iKfHo filif\*a. "LGi:'!

j Jest pań inżyiiiief?^^- zapytał. - ""-

Jest nas dwóch! Ja, Dońocik, iklIlgi S-yM8w%K^aNb,aioba^ czymy!... disizucn :':::i^i';\:- \$i v fóffl toiil3ivh nsś oggsasif.l .....

Ignac obleciał spojrzeniem gutaperkowfe^w^4e, "M61a§§!: z lucfzi kazał ,się:: usunść)-gjdfOgis ^aMełal:;; smS3yg&%\ai kółko. Zgęszczpnś,powietrze b Maszyna zakołysśła;.sie. townie.

krzykiem i burzej: zazgrzytały. .tłpki; ^^ zębce. Zębce gryzły z ^^

szyna czołgała się krótkimi podrzutami. ilsłobs

To było wspaniałe!... > .

Na]wdzięczniejszy umiech tamtych pięciu dziewczyn-szwaczpk

pięciu dziewczyn nie były tak liczne i tak urzekajśce, i ta'tnosza-łamiśce w swej urodzie jak ta wspaniała maszyna czołgajś/

przeapoto-

m

powego!... Wrębiarka ryczała, szamotała się, rwała cianę, posuwała niepowstrzymanie, straszna w swej gfozie, liczna w swej urodzie, a za niś zwałały się olbrzymie ławy węgla, buchały tumany pyłu, a pył krztusił płuca, przemieniał ludzi w zwiewne cienie i otulał wiatła w rude błyski. Rytm maszyny przenikał lgnśca. On za, prowadzśc jej cielsko drobnymi ruchami dłoni, zaczął żyć jej życiem, stawał się jej czśstkś. Urzeczony jej nadludzkim pięknem, nie krzyczał, lecz wszystkie swoje myli i wszystko swoje czucie jśł formułować w kszałt jakiej ekstatycznej modlitwy dziękczynnej. ) i O, więta maszyno!...

PAMIĘTNIK ELWRA

Zabierając się do pisania pamiętnika elwra” czuję się poniekąd w miesznym położeniu. Robi to bowiem wrażenie, że jestem podobny do sentymentalnej dziewczuszki gimnazjalnej, której zebrało się na amory i teraz spowiada się w pamiętniku ze swych anemicznych uczuć. Albo że jestem podobny do Conradowego kapitana piszącego dziennik na zablisknym statku. To drugie porównanie byłoby już przyjemniejsze. A nawet jakie bliższe prawdy. Tam dziki żywioł, wody, burze, orkany czy tajfuny, ster złamany, żagle podarte, rebelująca załoga, tu za wzburzone uczucia ludzkie, desperacki gest człowieka rzucającego wszystko na jedną kartę i osobliwa forma jego buntu, gdyż nie chce się czuć dobrze w roli wyzyskiwanej ofiary jakich tam trustów, karteli, syndykatów, dumpingów, koncernów, fuzyj i wszystkich innych diabłów, mieszczących się w jednym klasycznym mianowniku k a p i - t a l i zm!... Tutaj więc, w drugim poziomie na szybie Arnolda, górnik jest

224

podobny do Conradowego człowieka zabliskanego na morzu, a ja jestem podobny do kapitanowego skryby gryzmołskiego przy karbi-dówce swoje elucuhrare na Twój pożytek, niewiasto. Bo jeżeli, Hanko, zamierzasz pisać magisterską pracę na niesłychanie frapujący temat: „Formy walki klasowej”, to może znajdziesz w niniejszym zamorusanym diariuszu jakie przyczynki do swej pracy. Widać, że Twój profesor musi być mocno czerwony”, jeżeli dał Ci dzisiaj taki temat do opracowania. Strzeż się, niewiasto, bo pójdziesz do kryminału i zmarnujesz swoje piękne lata na obieraniu kartofli w więziennej kuchni!...

Właciwie to wczoraj miałem rozpocząć swój pamiętnik elwra jak go pięknie okreliłem. Lecz nie było czasu. Nie przypuszczałem zresztą, że wszystko stanie się tak nagle. Nie było więc czasu, a raczej sposobności. Pomyśl sobie, ciążąc do drugiego poziomu papier i ołówek to też wymaga pewnego sprytu. I zanim się wszystko ułożyło, zanim ludzie trochę zaskoczeni oswoili się jako tako ze swym nowym położeniem i ze swoją rolą buntownika, minął czas na ustawicznym gadaniu i wiecowaniu pod szybem. A potem trzeba było pójść spać. Tę pierwszą noc przespałem za drzwiami wiodącymi z przekopu do pokładu Joanny. Twardo, bo twardo, i niewygodnie, lecz ponieważ jest tam cieplej, przeto mogłem zdjąć marynarkę, zwinąć, podłożyć pod głowę i spać snem sprawiedliwego. Jak będzie w następne noce nie wiem.

Nie wiem także, dlaczego mnie towarzysze przewali elwrem. Wiem tylko, że to jakiś zniekształcony wyraz wchodzący w dziedzinę górniczego argot. Lecz trudno mi dociec, czy pochodzi od francuskiego eleve, wychowanec, uczeń, czy też od niemieckiego Helfer, pomocnik. Mniejsza z tym. Tak czy siak, jest zgodny z moim stanowiskiem w kopalni. Bo jestem uczniem i równocześnie pomocnikiem.

Nie przypuszczałem nigdy, gdy mi górnicy powiedzieli: „Wiesz ty, pikolu, co? Ty pójdziesz sztyndrować, żeby wyrósł na ludzi!...” gdy po trzech latach pracy w kopalni wysłali mnie na własny koszt do Gimnazjum Chorzowskiego że dzisiaj będę z nimi okupował kopalnię Arnolda. Ja wiem, matka martwi się o mnie i z pewnością będzie stała w tej chwili przed bramą z kobietami i dziećmi z całej osady Arnoldowej. Może będzie ciskała

kamieniami w policję i wymyślała nie wiedzieć komu za swójś krzywdę. Bo za krzywdę będzie uważała to, że nie wyjechałem z kopalni, że mi grozi niewygodą, że nie mam się gdzie porządnie umyć, że może jestem głodny i że mi zimno. W duchu mnie jednak pochwała. Jestem tego pewny!

Obecnie cała załoga z pokładu Joanny oraz z pokładów Fryderyka, Wacława i jak tam się jeszcze nazywajś, siedzi pod szybem i wiecjuje. W tej chwili jest jeszcze dobrej myli, chociaż już znalazło się kilku między nimi, którzy zaczynajś sarkać. A że to porywanie się z motykś na słońce, że to poroniony pomysł sztygara Ignacego Kulisza, że lepiej nie zadzierać z panami... Zakrzyczeli ich wszyscy, napierunowali od jasnych pierunówi Teraz siedzś po cichu, lecz widać, że nie sś przekonani. Rada załogowa nie wypuciła sztygarów na powierzchnię. Jeden z nich, sztygar Werner, siedzi między nimi i co im tłumaczy półgłosem.

Załoga z drugiej zmiany nie zjechała do kopalni, lecz okupowała zabudowania szybowe, sortownię, lampownię, szyb i cechownię. Załoga z trzeciej zmiany nie przyszła. Ta została w domu!... Jak przed chwilś telefonował Bogusz, maszynista z hali wycišgowej, aa wieży powiewa czerwona chorśgiw, po podwórzu wałęsa się policja, lecz zachowuje się przyzwoicie, a dyrektor Krzystek po-fechai do Katowic.

Wszystko więc w porzśdku.

Ciekawe, jakie stanowisko zajmie prasa? Polska Zachodnia może będzie psioczyć, Polonia i Gazeta Robotnicza będś nas popierały. Jak jeszcze dodał Bogusz, zanosi się na strajk na sśsiednich kopalniach. Czyli dobrze się zaczyna.

Sztygar Ignacy Kulisz dobrze to obmylił. Przede wszystkim przekonał załogę, że nie powinna się zgodzić na 10 procent obniżki zarobków. Konferował w tej sprawie z panami, lecz ci nie chcieli z nim najpierw rozmawiać, a potem dopucili go przed swe oblicze i rzekli, że... I znowu były jakie dumpingi, stawki wywozowe, kryzys ogólnowiatowy, zdobycie rynku wiatowego przez węgiel angielski z powodu obniżenia parytetu funta szter-linga do 40 procent. Że okres koniunktury dla polskiego węgla już się skończył, bo skończył się siedmiomiesięczny strajk górników angielskich w listopadzie 1926 roku. Zdobyte za wskutek

logo rynki zbytu przez górnołśki węgiel tracimy na rzecz węgla angielskiego. Że koniunktury nie wyzyskalimy w pełni, bo brat nam było wagonów kolejowych, Gdańsk i Gdynia nie były przygotowane na tak wielki przeładunek, że urzśdzenia kopalni były przestarzałe. I stśd te wietówki, urlopy turnusowe, redukcje, a nawet zamykanie nierentownych szybów. Owiadczyli w końcu ze kopalnia Arnolda może być w ruchu, lecz załoga musi się zgodzić na 10-procentowś obniżkę zarobków, gdyż przemysł górnołśki musi stosować dumping chcśc zatrzymać chociażby część zagranicznych rynków zbytu. Sztygar Ignac Kulisz wyjanił ludzionr, pod szybem, że ów dumping to nic innego, jak sprzedaż węgla za granicś poniżej własnych kosztów, które przerzucą się na konsumenta w kraju. Ponieważ za w kraju jest stosunkowo małe spo-‘rzebowanie węgla, przeto kopalnie jakoby pracujś z deficytem. ( w rezultacie stśd ta proponowana obniżka zarobków.

No i co? pytali górnicy sztygara Kulisza.

- No i nic! Okupujemy kopalnię i tak długo będziemy siedzieli, aż tanici ustąpią.

A jeżeli nie ustąpią?

W najgorszym wypadku musielibyśmy pójść na kompromis..

Ni!... Nigdy w życiu zahuczało podszybie zbiorowym protestem. Nawet tamci wrzeszczeli, co przed chwilą chcieli wyjechać na powierzchnię.

I teraz siedzimy więc w kopalni, i czekamy, co z tego wyniknie. Widzisz, Hanko, takie są te nasze sprawy górnicze.

Rozpoczęło się to wszystko wczoraj rano. Zjechalimy do kopalni jak zwykle. Poszlimy do pracy jak zwykle. Ja byłem po-pychaczem”, nie popychadłem!... To jest różnica. Po prostu pchałem wagoniki do gospody pod rynnę. Z rynnien sypał się węgiel i sypał. W górnych filarach dudniły strzały, z dolnych filarów walił pył węglowy. Robota szła z miejsca. Lecz gdy po szycie /ebralimy się pod szybem i czekalimy na sztygara Łomozika. by nam zaczął wydawać znaczki kontrolne, przyszedł sztygar Ignac Kulisz... liczny to mężczyzna!... Posiada twarde oczy kasztanowe i wspaniałą czuprynę również koloru kasztana. Stał na wywróconym wagoniku i urządził wiec. Wy tłumaczył górnikom, o co chodzi. Że komitet strajkowy uchwalił okupację kopalni, że w ten

18—

22?

sposób zmusimy naczelną dyrekcję do odwołania 10-procentowej obniżki zarobków. Mówił wspaniale. Nie umiem powtórzyć jego słów. Wydawało mi się chwilami, że tak chyba przemawiał... Brakuje mi porównania. Gdzież mnie tam, przyszedłemu konstruktorowi maszyn z Politechniki Warszawskiej, marzyć o pięknym stylu!... Ty by to lepiej opisała. Zresztą, poszukaj w jakiej księżce, która opisuje przemówienia wielkich buntowników, podstaw na miejsce jednego z nich sztygara Ignęca Kulisza o kasztanowej czuprynie i o kasztanowych płomieniach w oczach, a będziesz miała jego pełny obraz. Na fantazji ci nie zbywa. Otóż przemawiał jak bóg rewolucji! Przypuszczałem, że propozycja jego, by nie wyjeżdżać z kopalni tak długo, aż panowie ustąpią, że ta jego propozycja trafi na sprzeciw. Ale gdzież tam!... Powstał ogromny szum i wołanie, że dobrze mówi, że nikt nie wyjedzie. Nawet sztygarzy i dozorczy muszą pozostać na dole. Kto bardziej popędliwy niż rozsądny wrzasnął, żeby podpalić pokład Joanny, lecz wymiano go, na wymylano mu od pierońskich mamlasów. Przeworniejsi jednak, gdy pierwszy zapał ochłódł, jęli się martwić, kto im dostarczy jedzenia. Sztygar Kulisz uspokoił ich, tłumacząc, że wszystko obmyślone. Żywność dostarczysz do kopalni koledzy z drugiej zmiany. Potem wiecowano aż do późnej godziny. Koło godziny dziewiętej wieczorem uciszyło się, ludzie rozeszli się po przekopie i po pokładzie Joanny w poszukiwaniu noclegu. Przy windzie w podszybiu została tylko wyznaczona warta. Chodziło o to, by nikt nie wyjechał ukradkiem na powierzchnię.

Dzisiaj do południa, koło godziny dziesiątej, spuszczone nam windą żywność. Były to jakie kbiałki,

koszyczki, węzółki, a obok tego całe bochenki chleba, wieńce kiełbasy, cztery beczki piwa, wędzony boczek i pięć konwi goršcej kawy. Załoga w podszybiu poweselała i zabrała się do jedzenia. Niektórzy zaczęli sobie nawet chwalić taki żywot.

- Pieruna, człowiek nic nie robi, odpoczyvp, a jeszcze jeć dadzš!... Ho, ho, wytrzymamy!...

Sporo tej żywnoci przyniosły żony i matki na kopalnię. Załoga okupujšca nadszybie ma nam jš dostarczać pod ziemię i troszczyć się o nowš.

Dzisiaj po południu proklamowano strajk na pięciu sšsiednich

kopalniach. Jak wynika z relacji maszynisty Bogusza, na wiecie robi się szum, prasa socjalistyczna pisze sšźniste artykuły. Prasa sanacyjna wspomina o nas półgębkiem.

Piszę o nas”, aczkolwiek jestem przygodnym górnikiem. Tyle tylko, co przez wakacje podejmuję się pracy w kopalni, na swoim dawnym szybie, by co zarobić na dalsze utrzymanie się podczas studiów, by nie zrywać kontaktu ze swojš braciš górniczš i by moi opiekunowie widzieli, że ich górniczy grosz nie idzie na marne. A poza tym stare moje matczyisko ma ze mnie sto pociech, bo widzi, że nie spaniałem”, że się nie wstydzę pracy w kopalni, jak powiada.

I jeszcze jedno. Nie podałem w tym rozgardiaszu, ilu nas tu jest. A więc jest nas tutaj około dwustu górników. Spora gromada!...

Niewygodnie mi się pisze, bo siedzę pod cianš, papier trzymam na kolanach i gryzmołę przy syczšcym wietle karbidówki. Karbi-dówka cuchnie, lecz daje jasne wiatło. Trzykrotnie przerywałem to dzisiejsze swoje pisanie. Teraz kończę, bo trzeba mi się rozpatrzeć za legowiskiem. Gwar taki w podszybiu jak na odpucie. Ludzie dowcipkujš, piewajš, opowiadajš kawały. Sš one zbyt pieprzne, by je spisywać. Nie nadajš się dla Ciebie, Hanko!

Pokład Joanny, dnia 17 sierpnia 1931 roku

Dzisiaj w trzecim dniu okupacji kopalni Arnolda, zaszedł przykry wypadek. Zwarzyło to nastroje załogi. Juž znowu pojawiajš się głosy, niemiałe wprawdzie, by dać spokój nierównej walce. Głosy te nie znajdujš posłuchu, lecz też nie spotykajš sprzeciwu.

Sztygar Werner wytrzymał w kopalni przez dwa dm. Dzisiaj nad ranem, gdy wszyscy spali, zebrał umówionych z nim kilku sztygarów i górników i poszli do pokładu Joanny, skšd chodnikiem wentylacyjnym udali się na pierwszy poziom. Przy maszynie wycišgowej drzemał Somerlik. Zatelefonowali do niego z podszybia, poprosili o windę. Somerlik nie umiał, czy nie chciał się połapać, że tu chodzi o dezercję, windę opucił na pierwszy poziom

# J

zekał. Wszyscy Wernerowi ludzie wstąpili do niej, ostatni miał uczynić Werner. Zanim jednak zdołał dobiec od sygnału do

indy, Somerlik nie wyczekał owego ułamka sekundy, poderwał i Werner dostał się między windę a cianę szybu. Zmiażdżony

adł do czwartego poziomu, winda za wyjechała bez niego na

(wierzchnie.

Teraz go tam wydobywajś ludzie z naszej załogi...

Wypadek ów, jak wspomniałem, wywołał wśród załogi ponury istrój. Wenera wprawdzie nikt nie lubił, lecz tu chodzi nie Wenera, ale o człowieka,

Sztygar Ignac Kulisz zarządził, by ludzie rozeszli się po kopalni, zynajmniej po dwóch razem, i by przejrżeli wszystkie roboty lodzi mu o to, by zapobiec obwałowi na chodnikach i upadrii-ch, by zabezpieczyć maszyny w filarach i w cianach w niskich >kładach, a przede wszystkim pragnie, jak wywnioskowałem. jść ludzi pracś.

Lampy nasze zostały wymienione, żywność wciśż jest spus-ana windś. Przyszły gazety. To znaczy, nie przyszły, lecz spus-ono je wraz z żywnościś. Rozpisujś się o nas, ale rozpisujś! Ga-ty sanacyjne za nabrały wody do ust i udajś greków.

Maszynista Bogusz zdaje nam sprawę telefonem. A więc na wie-Ś szybowej wciśż czerwona chorśgiew, policja wałęsa się w obrę-e kopalni, baby i dzieci gromadzś się przed bramś i wymylajś raz bardziej, dyrektor Krzystek wrócił z Katowic, lecz zdaje się, bez niczego.

Po południu wyjechał na powierzchnię sztygar Ignac Kulisz. ik mi telefonował Bogusz, Kulisz konferował z dyrektorem rzystkiem. Za godzinę zjechał. Nikomu jednak nic nie powie-dał, gdzie był i co rpbil. Tyle tylko zaznaczył, że nie ma oba-y o żywność. Przypuszczam, że Kulisz omawiał z dyrektorem rzystkiem sprawę dostarczania żywności załodze okupacyjnej )bi to takie wrażenie, że dyrektor Krzystek jest po naszej stro-e.

Ludzie wałęsajś się teraz po wszystkich pokładach i przeżywajś udzenie, że sś na szychcie.

10

W drugim poziomie, dnia 18 sierpnia

Dzi już czwarty dzień okupacji!

Gdy się rano zbudziłem pod drzwiami, oczy trafiły w ciemności. Moja lampa zgasła. Widocznie wyczerpał się karbid i podczas snu skołało jej wiatło. Leżałem po przebudzeniu na wznak i



słuchałem dziwnego szumu poza głowś. W pierwszej chwili nie mogłem zrozumieć, skśd pochodzi. Potem dopiero jśłem sobie powoli uwiadamiać, że to przecież wiatr przeciekajścy w szparach drzwi. Wentylator w szybie wentylacyjnym ssie powietrze, ono za wpada szybem zjazdowym na kształt wichru i rozpływa się po całej kopalni. Drzwi muszś go dawkować że tak się wyrażę by nie poleciał drogś najmniejszego oporu”. W przeciwnym razie przodki i filary zostałyby zagazowane. Być może, że to będzie kiedy moja praca, owo rozprowadzanie powietrza po kopalni oraz budowa wentylatorów i turbin wentylacyjnych.

Szum przeciekajścego powietrza w ciemnościach jest do złudzenia podobny do szumu dalekiego wodospadu. Tak przynajmniej wyobrażam sobie szum jakiej Niagary czy Wiktorii słyszany podczas cichej i czarnej nocy z wielkiej odległoci. Otaczajśca mnie ciemność sprzyja rozigraniu fantazji. Oto chwilami ulegałem przykreemu złudzeniu, że widzę okrutne postacie czerwonoskórych myliwych skradajścych się w wysokiej, rytmicznie szeleszczścej ijrawie. Potem zastśpiła ich ogromna zgraja czarnych dzikusów, którzy biegnś do mnie, krzyczś co gronego gardłowym głosem i potrzśśajś dzidami i dużymi tarczami. Znikli, lecz poprzez szum dosłyszałem jakby ich dziwny piew o pierwotnej, bardzo ubogiej melodii. To nie była melodia. To był raczej skandowany rytm draźniścy, oplatany kilku powtarzajścymi się tonami. Melodia za, złożona z owych tonów, podobna była do zdobniczego szlaku. Szlak biegł zygzakowato jak na grzbiecie żmii, sunśł w nieskończonoć. wystukiwany rytmicznie przez kogo o prostaczym umyle.

Wyławiany rytm z szumu stawał się coraz bardziej draźniścy i pełen niepokoju. Niepokój za rósł w ciemnościach, osaczał mnie. dławił myli. Ogarniał mnie mieszny, nielogiczny lęk.

Zerwałem się, usiadłem. I teraz dopiero jśłem pojmosferać, że ów rytm pochodzi ze skrzydeł wentylatora. Skrzydła toczś się opę-

231

anie, roztlukujś powietrze na drobniutkie fale, fale dobiegajś tym olbrzymim kretowiskiem podziemnym aż do mnie i wystukujś swój puszysty rytm w szczelinach drzwi i w moich czujnych uszach. Poszukałem omackiem lampy. Leżała wywrócona, woda się z niej wylała. I lampa, i kałuża między szynami cuchnęły karbidem. Wymacałem drzwi, podobny do człowika o wylupionych oczach. Znowu przykre uczucie! Gdy bowiem usiłowałem patrzeć z otwartymi powiekami, czułem w górnej części oczodołów uciska-jścy ból. Gdy je zamknśłem, ból ustawał.

Otworzyłem drzwi i ujrzałem przed sobś drobne krople wiatła porozrzucane w łamanej linii. wiatła jarzyły się w ciemnościach jako znaki ludzkiego czuwania. Dziwna rzecz, że widok wiatła w kopalni może sprawić tyle nieznaney radoci! Postśpiłem w ich kierunku. Szedłem powoli, przesadnie nachylony. Mijałem leżścych górników. Skuleni lub na wznak rozwaleni, podobni byli do szarych tłumoków. Spali jak bezbronne dzieci. Ich oddechy, mijane przeze mnie ukradkiem, odganiały człapiśś za mnś zmorę lęku. Czułem się bezpieczny w ludzkiej gromadzie. Oto wystarczy krzyknść, a zerwś się wszyscy i przyskoczś w obronie.

mieszne przywidzenie! Nie wiem, skśd się wziśł u mnie ów dziwny lęk. Jeżeli logicznie rozumować,

zjawisko to można przypisać bardzo zwykłym, i rzekłbym, prozaicznym wpływom. Prosta bowiem rzecz, że jeżeli przebywa się czwarty dzień pod ziemią, ztraca się poczucie czasu wymierzonego przez słońce, a ustawiczne napięcie nerwowe i fizyczne wyczerpanie musz w sumie wpływać na powstanie tak niemiędnego stanu psychicznego.

Zrozumiałem w tej drobnej chwili genezę duchów w kopalni, tych wszystkich Szarlejów, Pusteckich, Skarbników i jak tam się jeszcze nazywajš, o których mi naopowiadano do syta podczas mej trzyletniej pracy w pokładzie Joanny. Uwierzyłem wtedy w ich istnienie, bo między czternastym a siedemnastym rokiem życia chyba najłatwiej o takš wiarę.

Przekraczałem ciała pišcych towarzyszy^ Zgaszonš lampę trzy—małem w dłoni. Miałem dosyć wiatła od gorejšcych karbidówek w chodniku. Potršciłem kogo niebacznie. Tamten usiadł, przetarł oczy i mruknš oburzony:

Pieruński szmatławcze, a kup se okulary!... i znowu się położył.

Dotarłem na przekop. Tu już było janiej, bo pod stropem wisał długi różaniec karbidówek. Były podobne do wietlistego fe-stonu rozwieszzonego pod czarnym sklepieniem lasu podczas kończšcej się majówki.

Cóz sie, pierunie, smykosz? zwrócił się do mnie jeden z górników czuwajšcych przy windzie.

Juž chyba czas wstawać?

Głupi! Dopiero trzecio nad ranem. Porzšdni ludzie teraz piš. Ty też id spać!... A może chcesz zwiąć na powierzchnię? Š dorzucił podejrzliwie.

Nie odpowiedziałem. Wymieniłem swojš karbidówkę na palšcš się benzynówkę i zawróciłem.

To już dzika w nocy pišty taki chytrok!... Dezerter!.. doleciał mnie głos naburmuszonego wartownika. To znaczy, że ja byłem jakoby pišty z rzędu, który zamierzał wyjechać czy wyjć drabinami na powierzchnię. Nie chciało mi się wyprowadzać go z błędu. Minšłem pišcych towarzyszy, wszedłem za drzwi i położyłem się na swoim okorku.

Usnšłem i niło mi się ogromne słońce. Pławiłem się w nim, syciłem, a ono mnie przewietlało czy przepływało przeze mnie, jakbym był ze mgły stworzony. Nie zaznane dotychczas wzruszenie ogarnęło mnie całego. Byłbym gotów uklęknš i bić przed nim pokłony jak przed bóstwem. I ten sen uwiadomił mi póniej, po przebudzeniu, czego mi brakuje, co powoduje mój nieuzasadniony lęk. Brakuje mi słońca! Słońca brakuje nam wszystkim w kopalni. Wiem, że gdyby moi towarzysze umieli sformułować to swoje podwiadome pragnienie w słowa, krzyczeliby: My chcemy słońca!...

I gdy już wracałem ze snu, w połowie drogi jeszcze uległem złudzeniu, że stoję na nieobeszłej łšce, wiatr szumi w wysokich trawach, trawy kołyszš się z chrzęstem, rytmicznie, a słońce wcišz wieci mi w oczy. Jak to dobrze, gdy słońce wieci w oczy!...

No, elwer, wstawaj! zbudził mnie ochrypy głos. Podniosłem z wysiłkiem powieki. Nade mną stał wężaty górnik, podobny do straszyla, i wiecił mi karbidówkę w oczy.

233

Spisz i pisz, a tam już pod szybem rozdowajś kawa i wurszt!... Migaj pierunem, bo ci wszystko zjedźś!... zachęca? mnie dobrotliwie.

. Poszedłem i stanłem w tłumie. Ludzie byli osowiali, o zmiętych twarzach, o zgaszonych oczach. Spostrzeżenie to utwierdziło mnie w przekonaniu, że to u nich istotnie pierwsze objawy braku słońca.

Podstawiali blaszane garnuszki do konwi. Jeden z górników nalewał chochlś ciepłś kawę. Kawa pachniała goryczś, cykoriś i rodzinnym domem. Drugi wręczał każdemu pajdy chleba, trzeci po kawale kiełbasy. Towarzysze brali, odchodzili w głśb przekopu, siadali pod cianś i jedli. Przeważnie milczeli.

Kilku z nich już zjadło swójś porcję. Teraz palili fajki. Zaskoczyło mnie to, gdyż wciśż widok dymiścej fajki kojarzył się u mnie z opowiadaniem starego Czendlika w pokładzie Joanny za uskokiem:

I nic... Powiadam, pierunie, pochyń to fajfczysko! A on wyciśga siarki, zapala i fuk!... Ciepnęło nim pod ciana, a pod stropem takie modre płachty ognia!... Gaz się zapalił! Lecz jo nic nie myślś. Porwołech marynarka i rozegnołech pieruństwo. Dobrze, że było mało tych gazów...

A gdyby było dużo gazów?

Byłaby pienińska breweria. Jak wtedy, gdy jeńcy serbscy i rosyjscy zostali w ogniu...

Pod szybem w drugim poziomie, 19 sierpnia 1931

Nie dokończyłem wczoraj rozpoczętych notatek. Ogarnęła mnie niechęć do pisania. Włóczyłem się do wieczornej godziny... Jak to zabawnie brzmi: do wieczornej godziny"! Nie ma u nas ani porannej, ani wieczornej godziny, lecz jest już piśś dobę trwajśca noc. To męczy. To nas wszystkich męczy. Dzisiaj niewielu ludzi poszło na szychtę. To znaczy do przodków i filarów, jak tego domaga się sztygar Kulisz. Leżś pod cianami i ociosami, żujś tytoń, spluwajś i milczś. Wyczuwam, że mocujś się z pragnieniem wyjazdu na powierzchnię a poczuciem obowiśzku,

wy—

234

trwać do końca. Niech tylko kto rzuci jakie podniecajśce słowo, zerwś się i wyjadś...

Włóczyłem się więc do wieczornej godziny, przypatrywałem się ludziom, chciałem się dowiedzieć, o czym myślś. Nie zdradzili się. Patrzyli na mnie nieufnie. Co ich razi w mym zachowaniu. Czyżbym już tak bardzo oddalił się od nich? Jeden górnik tylko, pokiereszowany na gębie, z niebieskimi bliznami na policzku, zapytał szorstko:

Ty, elwer, co tam spisujesz w tej księżce?

Piszę pamiętnik.

Smolisz, pierunie! Jeli jest to co przeciwko nam, nie wyjdiesz żywy!... To ci padom!

Mogę was przekonać.

Eh, całuj mnie w pięta! mruknął i jśł dłużyć kozikiem w okorku.

Cóż to za fraczkorz? zapytał sśsiad. Strzyknął w moim kierunku linś z tytoniu.

Cicho, cicho, kamraci! To jest nasz elwer, Francek Kuderai Z politechniki. Bydzie maszyny budował. Koledzy z pokładu Joanny utrzyjmyjś go w szkole... jest na pierwszym roku...

Ha, jeli tak... Było trzeba zaraz powiedzieć! Ale niech siedzi, a nie kręci się jak zło bdzina koło nas! No nie?...

Dzisiaj w popołudniowych godzinach wywieziono na powierzchnię trzech towarzyszy. Zachorowali. Jeden z nich nie chciał się zgodzić na wyjazd z kopalni.

Ni, pieruna! wzbraniał się zmęczonym głosem. Niech tu doktor zjedzie, da mi jakie kapki albo z pół litra gorzały, a jo tu zostań! Jeszcze baby powiedzś, żech dezenter!...

Sztygar Kulisz jednak zdecydował. Musi wyjechać i skończyć. Lekarz do podziemia zjechałby, lecz on by tego samego zażśdał. Podszybie nie jest miejscem dla chorych.

Dobrze! zgodził się chory górnik. Trzymał się za brzuch i stękał. Ale dajcie mi, sztygar, takś kartka napisanś, że jo nie z dobra woli wyjeżdżona od was, kamratów!...

235

20 sierpnia 1931 roku

Dzisiaj, w szóstym dniu okupacji, znowu trzech górników zachorowało. Wywieziono ich na powierzchnię. Wród załogi rozeszła się mało prawdopodobna wieć, że to przeciwnicy okupacji dodajś „co” do żywnoci, by ludzie chorowali i przerwali swój strajk pod ziemiś. Sztygar Ignac musiał im długo klarować, że tego rodzaju przypuszczenie jest niesłuszne. W dotyczcym wypadku bowiem musieliby już wszyscy chorować. Ludzie uspokoili się. Lecz ich pomruki gęstniejś, gdyż sś coraz bardziej zmęczeni i zniechęceni A raczej apatyczni. Jeżeli przysiść do nich i służyć, najczęćiej rozmawiajś nie o jedzeniu czy o wódce, której nikt tutaj nie dostaje, lecz o swych wycieczkach do lasu, o przechadzkach w pogodne dni, o wygrzewaniu się w słońcu na ławie pod cianś. Ten wyraz słońce” wciśż powraca do rozmów w przeróżnych wariantach. Kto z nich ze swadś opisywał swójś wyprawę na ryby. Lecz istotś tego opowiadania były nie ryby, lecz słońce w wodzie.

Wiecie, kamraci! tłumaczył z przejęciem zasłuchanym towarzyszom. To człowiekowi aż się słodko robi koło serca, jak widzi, tu rybka smyrk, tam rybka smyrk we wodzie, a na dnice to takie złote

pętelki gmerajš i gmerajš. A to jest słońce we wodzie. Wiecie, jużech moc rzeczy widzioł, lecz jak se terazki wspomnš na te złote pętelki, to mi się słodko robi...

Ożywili się wszyscy, gdy po południu zadzwonił maszynista Bogusz i zdał relację sztygarowi Kuliszowi z tego, co się dzieje na powierzchni. I sztygar Kulisz musi wyczuwać bolenie brak słońca, bo nie omieszkał po skończonej rozmowie zapytać, czy dzisiaj wieci.

Stłoczył się koło niego tłum górników i wszyscy czekali, aż skończy rozmowę i zawiesi słuchawkę.

No i co?... jęli potem dopytywać.

Wszystko w porzšdku, koledzy! Na powierzchni cisza. Policja daje spokój naszym kolegom okupujšcym zabudowania kopalni. Tylko nie wolno im piewać. Zagroziła, że jeżeli będš piewać Czerwony sztandar lub Międzynarodówkę, zmuszš ich siłš do opuszczenia obrębu kopalni. Dyrektor Krzystek wcišz kon—

feruje z panami i w urzędzie wojewódzkim. Coraz głoniej o nas na wiecie, wszystkie polskie gazety socjalistyczne rozpisujš o naszym strajku. Wród robotników powstajš komitety pomocy. A teraz najciekawsza wiadomoć.

No, jaka, jaka?

Oto nasze baby zmówiły się, wywlekły kolegów z trzeciej zmiany z domów, otoczyły ich i poprowadziły na kopalnię. Działo się to z kociš muzykš. Uderzały pokrywkami, tršbiły na lejkach, waliły warzšchwiami o dna blaszanych garnków, uzbrojone w miotły i w kije wiodły ich do bramy. Przyjęli ich ubawieni koledzy z drugiej zmiany. Kobiety wepchnęły opornych za bramę, pomogły jš policji zamknšć i poszły do domu. Owiadczyły, że wszyscy powinni okupować Arnolda, a nie jedynie dwie zmiany... ,.

I jeszcze jedna miła wiadomoć. Oto piekarz Gudrych przywiózł pełny wóz chleba na kopalnię, a rzenik Majewski dostarczył pół wieprzka i duży kosz kiełbasy i kiszek.

Owe pozornie drobne szczegóły, w niczym przeciež nie przybližajšce bezporednio zwycięstwa, zdołały pokrzepić na duchu całš załogę. Nawet najwięksi malkontenci, ustawicznie narzekajšcy na przedłużanie się pobytu w podziemiu, odkryli w sobie animusz i jęli wtórować w docinkach i w pomiewiskach z nieszczęsnych swych kolegów pogněbionych przez kobiety.

Obserwowałem sztygara Ignšca Kulisza stojšcego na uboczu ze swš wiernš gromadš powstańcš. Zdołałem się dowiedzieć, że jego zaufani to uczestnicy walk o Górę świętej Anny w trzecim powstaniu. Oni stanowiš jego najbardziej zajadłych stronników, warujš na zmianę przy windach pod szybem, rozdzielajš żywnoć, tworzš co w rodzaju policji w podziemiu, jeżeli można by się tak wyrazić. Bez nich nie dałby sobie Kulisz rady. Nie potrafiłby opanować wzrastajšcej niechęci towarzyszy do tamtego, szaleńczego według ich mniemania pomysłu. Kršżył między siedzšcymi pod cianami towarzyszami, wszczynał rozmowy, tłumaczył, przekładał i dowodził uparcie, że muszš zwyciężyć. Pilnował, by większoć towarzyszy była zajęta jakškolwiek pracš. I on to wpadł na pomysł, by wrębiarki w cianach wywlekać na chodniki, by wynosić z filarów wiertarki, drabiny,

wszelkie narzędzie.

237

Na jakiego diabła mamy to robić? zzymali się niektórzy,

Nic nie mie zginść czy zniszczyć się. To będzie kiedy aasze!... mawiał twardo.

Diabła tam nasze”. Panowe, a nie nasze!

Nasze, powiadam!...

Ludzie po niadaniu rozchodzili się do pracy. Wracali różnie. Umówiono się, że o1 dziewištej wieczorem zejds się wszyscy pod szybem. Chodziło o skontrolowanie, czy kto nie został w przodku, czy nie polazł w zagazowane miejsca za uskokiem.

Gdy patrzyłem od windy na zebranš gromadę czarnych, zaroniętych i wynędzniałych postaci, doznawałem wrażenia, że znajduję się wśród jakich ponurych spiskowców, trzymających noże w zanadrzu.

Wszyscy już zaczynamy powoli tracić poczucie czasu. Jednostajna ciemność zaciera pojęcie rozwidnionego dnia, wstajšcych poranków, zmierzchów i nocy. Ludzie zasypiajš o różnych porach dnia i nocy, wałasajš się senni, ziewajš, a do pracy wlokš się z niechęciš.

Sztygar Kulisz schudł, szcerniał na twarzy, a jego rudawy zarost czyni go podobnym do krogulca. Nie wiem, czy się dobrze wyrażam, lecz w jego twarzy jest naprawdę co krogulczego. Dzisiaj koło godziny szóstej po południu znowu wyjechał na powierzchnię. Wiedziałem, że wyjeżdża, by omówić sprawy z Komitetem Strajkowym. Poza tym przypuszczam, że spotkał się z dyrektorem Krzyskiem.

Wrócił za godzinę, skupił koło siebie swojš wiernš drużynę i co jej tłumaczył. Wnioskujšc z ich twarzy, niewesołe były to nowiny.

Dowiedziałem się tylko, że jutro do południa ma się odbyć konferencja Komitetu Strajkowego z przedstawicielami koncernu i z wojewodš. Kulisz wemie w niej udział.

W drugim poziomie 21 sierpnia 1931 roku

Był i zjechał. Wrócił zmieniony. Jego krogulczy wyraz twarzy stał się już teraz zły i drapieżny. Górnicy czekali na jego zjazd. Stanšł na wywróconym wagoniku i jšł ciskać słowa. Były podobne

238

do miotanych kamieni. Twarde i kanciaste. Mimo ponurego ich brzmienia, że panowie nie chcš ustšpić, zdołał porwać zebranych. Rzucił w końcu może ryzykowne pytanie:

- Chcecie wobec tego nadal okupować Arnolda czy wyjeżdżamy na powierzchnię?...

Okupujemy! Okupujemy!... krzyczeli wszyscy.

A więc pozostajemy tak długo, aż tamci ustąpią! rzucił w ten sposób, że nikt nie potrafiłby mu się sprzeciwić.

Zostajemy!... Tak jest!... Zostajemy!...

Choćby nóm z głodu przyszło tu zdychać!

Choćby pokład Joanny podpalić!... A my się mieli w nim usmażyć!...

Tak jest!...

Ignac Kulisz słuchał spokojnie. Był wspaniały w tym gecie słuchania!... Urzekał swš męskš, zdobywczš urodš. Liczne karbi-dówki kopcily, wiatła pełgały w sklepionych mrokach, z mroku wyblyskiwały białka ócz i czerwien krzyczšcych ust, wycišgały się rozcapierzone dłonie ponad głowy, słowa z tłumy leciały jak eieżka, miądzšca lawina, a on wcišz stał spokojny i patrzył w jego oczy,

A gdy się uciszyło, rzekł tylko to jedno zdanie:

A więc zostajemy!...

I znowu zerwał się ogromny wicher krzyku, przytakiwań, prze-cleństw na panów i grób.

Słuchajšc tej całej sceny, rozumiałem powoli tych, którzy wywołujš rewolucję i stajš na czele rewolucji.

Potem poszedłem z nie znanym mi górnikiem do pokładu Joanny na trzeci poziom. Mielimy zbadać ruocišg замуłki, pozamykać wentyle, dotrzeć do pompy w czwartym poziomie i sprawdzić, czy w żompiu dużo wody. Jeżeli będzie jej nadmiar, kto z górni-sów, znajšcy się na maszynach, puci pompę i będzie jej dozorował na zmianę. Mógłbym to ja zrobić, lecz przypuszczam, że chętnych będzie sporo. Ja zresztš miałem inne plany.

Przewędrowaliśmy w milczeniu sporo chodników, upadnie i przecinek, aż w końcu dotarliśmy na poziom czwarty. Woda była!... Na dnie szybu czerniła się spokojna i cicha. Z boku mlaskała cienka strużka, ciekajšca po cianie do żompia. Z boku w ni—

szy spoczywała liczna, nowa błyszcząca pompa elektryczna. Puciłem ją w ruch mimo sprzeciwu towarzysza.

Pierunie, zepsujesz! krzyczał na mnie.

Przecież się uczę o maszynach!

A to ty jeste tym elwrem? No, to puszczaj!... Ale jak ci co w niej strzeli, to pamiętaj, jo ci zabranioł...

Nie strzeliło. Pompa grała jasnym, wysokim tonem. Nasyciłem się jej życiem, zatrzymałem po chwili i poszliśmy.

Wracaliśmy znowu w milczeniu.

Pod szybem dowiedziałem się, że zachorowało dalszych czterech towarzyszy i że ich musiano wydać na powierzchnię. Wśród ludzi zauważyłem ponowne zasępienie. Poszedłem do swojego legowiska. Przed drzwiami zebrała się gromadka starszych górników. Siedzieli w kucki, lampy trzymali między stopami na spšgu i słuchali najstarszego. Nieznacznie do nich przysiadłem. Opowiadał o duchach w kopalni. Upierał się, że on sam kiedy widział Szarleja w starym wyrobisku. Szarlej szedł z dołu upadnicš, a lampa mu się wieciła jak sto diabłów. wiatło było czerwone. I gdy doszedł, był to wielki, tęgi chłop z czarnš brodš, o surowym wzroku. Skinšł palcem i...

I co potem? zapytał kto niecierpliwym głosem.

A potem pado: Pieroński mamlasie, uciekaj stšd, bo tu za chwilę zawali!..." No i jo porwoł lampa i w nogi. A ledwo žech tak dobiegł do dwierzy. Jak tam, pierona, nie gruchło, jak nie rypło, zawaliło na fest to miejsce, gdziežech stół przed chwilš!...

A czy wiecie o tym, jak stary Mołdrzyk spotkoł się oko w oko z Godulš?...

Š A może to też był Szarlej?

Ni! GodulaL. Tóž to było tak... i potoczyła się naiwna bajda o Goduli pokutujšcym w pokładzie Joanny. Z zainteresowaniem s>uchałem tamtych wszystkich opowiadań o Szarleju, Goduli, Pusteckim, Skarbniku i Ziemskim Duchu. Kto tam wspomniał jeszcze o jakim italskim przybusiu Strandelli, lecz nie pytałem się, kto to był,, by nie przerywać opowiadania.

Gdy się potem położyłem na swym okorku za drzwiami i nastała cisza, tylko wiatr szumił w szparach, byłem zadowolony, że mogłem znowu dojrzeć kopalnię od strony jej zmierzchajšcego romantyzmu.



W czwartym poziomie, dnia 22 sierpnia 1931 roku

Nie wiem, czy dzisiaj mamy rodę czy pištěk. Wiem tylko, że już zaczyna się ósma doba okupacji Arnolda. Czyli już minęł cały długi tydzień. ‘

Siedzę na krzele przy wygodnym stoliku w czwartym poziomie, w sklepionej hali, piszę, mój współtowarzysz drzemie w kście na stosie pakuł, a ja od czasu do czasu wstaję i oglšdam pompę. liczna, wspaniała maszyna! Gra wysokim, wibrującym, jakby jedwabnym tonem. Jeżeli przyłożyć ucho do turbiny, można posłyszeć szum przelewającej się wody. Szum jest wilgotny i napęczniały. Jeżeli za przyłożyć dłoń, wyczuwa się leciutkie, rytmiczne drganie. Wspaniała maszyna!... Gdyby nie obecność łysego Zeflika, pogłaskałbym jš dłoniš jak dziecko po głowie. Łysy Zeflik drzemie, lecz od czasu do czasu otwiera oczy i zerka na mnie ciekawie. Widocznie nie może mu się pomiecić w głowie, dlatego piszę i piszę.

Okazało się, że było niewielu ochotników do pompy. Sztymar Ignac Kulisz wyznaczył przede wszystkim mnie. Dla towarzystwa dał mi łysego Zeflika. Nawet nie wiem, jakie jego nazwisko. Łysy Zeflik i skończone! To wystarczy.

Bogusz nadal siedzi przy swej maszynie wyciřgowej. Spucił mi windę, przepiřł i pojechałem z Zeflikiem na czwarty poziom. Mijajřc trzeci poziom zauważyłem pod szybem kilka wiateł. Czyżby to byli dezercerzy zamierzajřcy wyjć drabinami z trzeciego poziomu na powierzchnię? Zatelefonowałem z czwartego poziomu na drugi, zameldowałem Kuliszowi. Nie wiem, czy zrobiłem le czy dobrze.

Łysy Zeflik wcale się tym nie przejmował.

A niech uciekajř! tłumaczył mi powoli. Wyjdř na powierzchnię i tak nie bęđř mogli pójć do domu. Baby ich stłukř i przywlokř na szyb z powrotem, gdyby przeleli przez dziurę w parkanie.

A wy chcielibycie już na powierzchnię? zapytałem.

A czemu ni? Ale jak długo tu sř koledzy, nie byda takř winiř, by ich opuszczać. A czy wygrómy czy ni, swoje zrobimy. Jak nie bydzie inaczej, to pójđř na bieda-szyby lub na przemyt.

Iu Pokład Joanny

241

Rozmawiajřc z Zeflikiem stopniowo pojmovalęm, w czym tkwi owa nieufnoć towarzyszy do mnie. Pobyt w gimnazjum, w liceum, a następnie ów jeden rok na politechnice oddaliły mnie już poniekřd od wiata, z którego się wywodzę. Wcale się nie wysfe-rzyłem”, lecz nabrałem jakich odrębných cech, które nie mogř się zmiecić w wiecie górnika. Uważajř mnie już za obcego, tolerujř z pobłaźliwym gestem w swej gromadzie. Pracujřc co roku podczas wakacji w kopalni, zwracałem uwagę na jej egzotykę i na egzotykę jej człowieka, czyli na cechy drugorzędnę i nieistotne, a zapomniałem patrzeć na ich życie oczami samego górnika. Uderzały mnie takie cechy, których już się wyzbyłem, jak szorstkoć, najeźenie owymi znanymi już w całej Polsce pierunami”, dziwił mnie rzekomy brak współczucia, niechęć do ujawniania swych uczuć, odraza do patosu, a nie mogłem poza

nimi dojrzyć tego prawdziwego człowieka-górnika.

Gdy patrzę na nich leżących pod cianami w drugim poziomie lub gdy słucham ich rozmów, wciśz bezwiednie przypisuję im te same formy odczuwania i przeżywania, które ja posiadam. A one sš przecież inne! Widzę ich dšżenie do poprawy bytu, a nie umiem tego dšżenia przeżywać. Widzę ich nędzę, lecz zbywam jš jakim tanim, zdawkowym współczuciem i litowaniem się, podświadomie za raduję się, że znajduję się w innym, korzystniejszym położeniu. Źe gdy skończę politechnikę, będę mieszkał nie tak, jak oni mieszkajš, będę miał za żonę nie zwykłš dziewczynę o chropowatych manierach, lecz wytwornš panienkę, może snobizujšcš, może intelektualistkę, z którš współżycie jeszcze bardziej mnie oddali od ich wiata. Słowem, stanę się dezserterem. Nie ci sš dezserterami, którzy ukradkiem usiłujš wyjć po drabinach na powierzchnię, lecz ja się nim stanę, bo juź się od nich oddalam. Ich radoci muszš teraz stać się znowu moimi radociami, ich smutki moimi smutkami. Mozolna to będzie droga!

Nie umiem tego dokładnie ujšć. Lecz Ty, uczona niewiasto Hanko, czytajšca kiedy owe gryzmoły, domylisz się, o co mi chodzi, i jako bieglejsza w formułowaniu słów i myli, będziesz umiała to nazwać dokładniej. A jeżeli... Przerwał mi łysy Zeflik. Zapytał się, jak długo tu jeszcze pozostaniemy. Nie przy pompie, lecz w ogóle, na dole.

242

Bo juź mnie to nasmoliło! dodał.

Nie wiem. To zależy od cierpliwości ludzi, od wyniku rozmów Komitetu Strajkowego z panami, od wielu przyczyn...

Eh, do bani z takimi mšdrociami! mruknšł z pogardš i zawiedziony wyszedł z hali.

Elektryczna pompa wciśz gra i ssie wodę z żompia. Poziom jej powoli się obniża. Zaproponowałem łysemu Zeflikowi, by uważał na niš, a ja się trochę przejdę po kopalni.

Sam zdziwił się.

Sam!

Nie radzę! A znosz ty dobrze kopalnia? Poleziesz do jakiej dziury...

Uspokoilem go. Znam przecież dobrze kopalnię, a przede wszystkim pokład Joanny, do którego wiodła mnie teraz ciekawoć. Lęk został na drugim planie. Teraz była ciekawoć, ta sama, jaka mi towarzyszyła w kopalni w tamtych pacholących latach.

Wyszedłem na nie wykończony przekop w czwartym poziomie, zapuciłem się pochylniš na trzeci poziom. Stamtšd juź wędrowałem znajomymi chodnikami. Wciśz pod górę. Wzišłem z sobš dwie lampy, elektrycznš i benzynowš. Mijałem na wpół wybrane filary, przełaziłem p.rzez wrębiarki i rynny złożone w chodnikach, przeciskałem się koło wózków. Wyszedłem na drugi poziom. Z głównego chodnika przewozowego wiodły dobrze utrzymane upadnice na pierwszy poziom. Poszedłem. I znów mijałem lady pracy ludzkiej przerwanej w połowie, wagoniki, stemple i resztę

maszyn ułożonych pod cianš. Dotarłem do ostatniego filara pod pierwszym poziomem. Teraz już wchodziłem w rejon, który zawsze pragnłem obejrzeć. Tu już były tak zwane stare roboty, wyrobiska, niskie chodniki i ciepły szum wiatru. Zrozumiałem, że wszedłem na główny chodnik wentylacyjny. Jeżeli pójde z wiatrem, dojdę chyba i pod szyb wentylacyjny. Dla ostrożności znaczyłem drogę, którš przebywałem. Towarzyszył mi osobliwy lęk pomieszany z radociš. Im wyżej się posuwałem, tym rzadsze lady ludzi. Spšg zalegała warstwa pyłu węglowego. Zostawiałem w nim lady stóp jak w popiele. Stemple były zbutwiałe, obrosłe płaskimi grzybami i białš, puszystš pleniš. Kroki dudniły głucho. W bocznych chodnikach stały krzyże zbite z okorków. Znak to, że tam niebezpie-16\*

243

zeństwo. Jeżeli powiecić w głšb, można było widzieć nawisły strop, przełamane stropnice, typowe zawaliska. Powietrze było tu już ciężkie i słodka we. Wlokło się ociężałe za mnš. Pył wzburzony stopami włókl się także za mnš. Naokoło niepokojšca cisza. Jakbym wszedł w jšdro ogromnego cementarzyska, gdzie już nawet i zwłoki ludzkie zbutwiały. Samotność stawała się niepokojšca. Ciekawoć parła mnie wcišz pod górę.

Nie wiem, jak długo szedłem. Postanowiłem dojć do granicy. Zezwiednie czyhałem spojrzeniem, czy nie dostrzegę Ziemskiego Ducha z czerwonym wiatłem. Wszak tylko tu może być miejsce jego narodzin.

Dotarłem w końcu na poziomy chodnik. Schodziły się w nim aoczne pochylnie, niskie, cuchnšce ciepłym zaduchem kopalni. Dšł z nich szumišcy wiatr. Zbiegały się tu wiatry z całej kopalni

teraz już razem pędziły chodnikiem. Gdzie w głębi dudnił wen-ylator. W miarę mego posuwania się wiatr przechodził stopniowo v wicher. wiatło w benzynówce dygotało gwałtownie.

Jeszcze jedna pochylnia dobrze utrzymana, kilkanacie kroków )od górę i stašłem w sklepionym podszybiu. A więc jestem na niejscu!.,.

Wicher wpada z łomotem w studnię szybowš, wygina się i pę-lzi w górę. Na krawędzi podszybia lni żelazna balustrada. Oble-)iona liskimi, wilgotnymi zawiesinami, podobnymi do czarnych )lwocin. Oparłem się ostrożnie i spojrzałem w dół. Szyb spadał v nie, znaš mi głębinę. Z boku wiodła wšska galeryjka żelazna, iblepiona również zawiesinami. Na jej krańcu, pod przeciwległš cianš szybu, czerniła się drabina.

A więc tędy można wyjć na powierzchnię! uwiadomiłem obie. I tędy można by uciec przed jakim wielkim niebezpie-zeństwem.

Wracałem szybko. Nie mogłem się oprzeć złudzeniu, że wcišz łyszę za sobš ciężkie kroki. Głupie przywidzenie, a jednak nie miałem się obejrzeć. Mijałem znajome już mi chodniki, po-hylnie. W jednym tylko miejscu zawahałem się. Schodzić w głšb >o pochylni, czy wejć w przecinkę?... Sš moje znaki!... Obłamek korka jeden i drugi wskazujš, że wyszedłem z przecinki. Tym ardziej oddalałem się od starych robót, tym lżej było mi na sercu.

Byłem zadowolony, że jednak pokonałem lęk, że nie zawróciłem Śl pół drogi.

Ile godzin minęło, nie wiem. Zapomniałem wczoraj nakręcić zegarek. Z radociš wstšpiłem w jaskrawo owietlonš niszę. Pompa pracowała. Koło niej stał łysy Zeflik i wiecił na wodowskaz.

Jeste, pieniński limoku? zawołał uradowany. Gdzie był?... Trzy godziny cie nie było!... dodał z wymówkš.

Jest co nowego?

Hale, pierunie, co się tu robiło!... Rebelia na drugim poziomie! Posłuchaj!...

Wyprowadził mnie do szybu, stanšł przed bramkš, przechylił głowę w bok jak kogut, gdy wypatruje jastrzębia, i słucał. Uczyniłem to samo. Z góry spadał zbełtany, gniewny krzyk wielu ludzi.

Co to jest? zapytałem.

Ludzie chcš uciekać na powierzchnia. Błozny pieruńskie!...

Zatelefonowałem na drugi poziom. Posłyszałem gniewny, wzburzony głos w słuchawce. Na moje pytanie, co się tam dzieje, wyjanił, że już nic. Ale było niedobrze. Ludzie się zbuntowali... Mniejsza częć!... Lecz już wszystko w porzšdku. Teraz im przemawia Ignac do rozumu.

W czwartym poziomie, dnia 23 sierpnia 1931 roku

Dziewišta doba strajku! Wczoraj trzykrotnie przerwałem pisanie pamiętnika. Nie rozumiem, po co rozpisywałem się o swej wyprawie pod szyb wentylacyjny, kiedy na drugim poziomie działa się stokroć ważniejsze rzeczy!...

Nikt nas nie zluzował. Wciekły już łysy Zeflik dodzwonił się nareszcie windy u Bogusza. W całym tym rozgardiaszu trudno mu się było orientować, to znaczy Boguszowi, kto dzwoni, dlaczego, w jakim celu. Zjechała winda na czwarty poziom, wywiozła Zeflika na drugi i tam Zeflik uczynił piekło.

Od wczoraj do południa nic bowiem nie jedlimy i jesteśmy głodni jak wszyscy diabli. A pompa musi być dozorowana i musi pracować, bo wody nie ubywa w zompniu. Podejrzewam, że kto z załogi celowo otworzył gdzie w drugim poziomie przewód z za—

mułkš lub wodocišg. Woda cieknie do zompia w takiej iloci, że pompa z trudnociš daje jej rady. Teraz tam łysy Zeflik piekli się za siebie i za mnie. Aż tu go słucać. Nie rozumiem słów Zeflika, tylko poznaję jego podniesiony głos, powolny i jakby z namysłem ciskany.

Zjeżdża!...

Przerwałem swoje gryzmoły, bo musiałem wysłuchać jego relacji, zjeść kawał chleba z kiełbasą, wypić sporą blaszankę kawy i znowu słuchać jego wydziwiał. Wcieka się na swych kamratów z drugiego poziomu. Po prostu zbuntowali się wczoraj i do późnej godziny musiał im Kulisz tłumaczyć, żeby jeszcze wytrzymali dzień, dwa...

Wyjechał na powierzchnię, bo tam jakie ważne narady. Z kim

Zeflik nie wiedział. Lecz w każdym razie w naszej sprawie.

A co towarzysze?

Siedzisz i mrużysz... Jo bych też mrużo! Psiakrew, już dziewięsty dzień pod ziemią!... Już powoli zapominam, jak moja baba i dziecięta wyglądasz, czy w ogóle żyjesz, nie wiem, co jest teraz na wiecie, dzień czy noc, wszystko mi się w głowie przewracało, słabota mnie bierze, łeb się zawraca... Pieruna jasnego, mnie tak się wydaje, że długo już ta nie wydzierzymy!... A byłoby szkoda naszej mitręgi... Jak mylisz, elwer?... Mów, pierunie! Siedzisz w księżkach, sztydujesz na pana, to powiniene wiedzieć więcej od zasmolonego hawierza, jakim jo jest, ni!... Pierońskie takie porządki!

Siedzimy do końca! rzekłem spokojnie, chociaż mnie mocno obesza jego ironiczna uwaga o moim sztyduwaniu na pana”.

Bylibymy winiami, gdybymy mieli opuścić Ignę Kulisza!

mrużał udobruchany już Zeflik. Ty porządny chłop, elwer!...

W czwartym poziomie, 24 sierpnia

Jestem sam ze swoją pompą. Ma tu przyjść maszynista z załogi okupującej nadszybie. Woda już nie cieknie do żompia. Okazało się, że istotnie ktoś potwierdzał kurki wodociągów w przodkach

246

w pokładzie Joanny i jeden wentyl zamulkowy. Upadnica wiodąca do trzeciego poziomu wypełniona zamulkiem. To wygląda na sabotaż lub prowokację. Łysy Zeflik dzisiaj uległ; zaczął się skarżyć na ból żołądka. Słabł coraz bardziej. Potem leżał już na pakulach pod cianą i stękał. Wywiozłem go na powierzchnię. Długo musiałem się umawiać z upartym Boguszem, że to nie ucieczka, lecz konieczność. Bogusz windę spuścił, wprowadziłem do niej ślaniającego się Zeflika, posadziłem, wyszedłem do sygnału, zadzwoniłem i wskoczyłem do windy. Młody Bogusz czekał jeszcze chwilę, zanim ruszył. To nie jest potrzeszczony Somerlik... W podszybiu trzeciego poziomu było ciemno. W podszybiu drugiego poziomu było widno. W przelocie mignęły mi liczne wiatła i stłumiony gwar głosów. W pierwszym poziomie w podszybiu także ciemno. Winda leciała w górę, stukając prowadnikami. Co się ze mną działo, gdy w miarę podnoszenia się windy owiewał mnie coraz cieplejszy wicher, pachnący słońcem. Znowu to słońce!... Gdy winda już podbiegała pod górę, zwałniała, dostrzegłem, że wiatło karbidówki szarzeje, jakby było przyprószone pyłem, że serce

rozpiera mi dziwne wzruszenie, że sponad głowy cieknie mglisty blask, że nurzam się w nim...

Winda wychynęła z szybu, stanęła i lekko opadła na stawidłś. Zakryłem oczy dłoniś. Gwałtowna ulewa wiatła olepiła mnie bolenie. Gdy wychodziłem z windy, otoczony górnkami z drugiej zmiany, nie rozumiałem, co do mnie mówiś. Słaniałem się i w głowie mi szumiało. W końcu otworzyłem oczy, zdumiony spostrzegłem, że wszystko jest szare. Mimo olniewajścego słońca wszystko jest szare. Ludzie, twarze, zieleń drzew, niebo i nawet słońce... Powoli szaroć ta znikala, lecz została na moim ubraniu, na dłoniach i na twarzy. Bo gdy spojrzalem w lustro w gabinecie sztygara szybowego, nie mogłem siebie poznać. Szara, zmięta twarz, zarosła, chuda, błyszczśce oczy...

Ale przede wszystkim sza.ra, obca twarz!

Oddałem im chorego Zeflika i znowu wróciłem do windy.

Wracasz? zapytał mnie kto troskliwie.

Wracam!

-Ś Dzisiaj rozpoczynamy głodówkę! Wytrzymasz?

247

Nie odpowiedziałem. Zakrzyczał sygnał i winda poleciała ze mnś do czwartego poziomu. Jakbym do grobu zstępował!... Z wysiłkiem tłumilem w sobie zrywajścy się głupi, idiotyczny szloch. Żal mi było słońca.

Jeszcze w czwartym poziomie, 25 sierpnia 1931 roku

Okupacja trwa, głodówka wczoraj rozpoczęta trwa.

Moja maszyna pracuje cicho, pokornie i wciśż gra wysokim, jasnym melodyjnym tonem. Z tego jedynego tonu można by wyprowadzić dziewiśś symfonię Beethovena. Wody w żompiu ubywa. Był tu maszynista Karliczek z drugiej zmiany, lecz gdzie poszedł. Dużo mi naopowiadał. Na powierzchni wielkie poruszenie. Kobiety i dzieci codziennie demonstrujś przed bramś kopalni. Przedwczoraj za wszystkie poszły pod gmach naczelnej dyrekcji i domagały się rozmowy z naczelnym dyrektorem. Gmach obstawiła policja, naczelny dyrektor nie pokazał się. Prasa lewicowa bije na alarm, domaga się interwencji rzśdu, prasa prawicowa ubolewa obłudnie nad ciężkim położeniem górnika lśskiego. Strajk rozszerzył się na siedem kopalni. Na wieży szybu Arnolda powiewa już nie czerwona, lecz - czarna chorśgiew. To na znak wszczętej głodówki. Dzisiaj rano policja sama dopilnowała, by wypełnić windy żywnociś i spucić w dół. Bogusz spucił, a za kilkanacie minut odebrał sygnał, że już może windę wyciśgać. Wyciśgnśł, lecz z tś samś żywnociś, którś był spucił.

Czy zwyciężymy, Karliczku? zapytałem, gdy skończył.

Nie wiem, ale chyba panowie muszś ustśpić. Opinia społeczeństwa jest do nich wrogo nastawiona. Ogłoszenie strajku głodowego wywarło ogromne wrażenie.

Opowiadał mi jeszcze, że samochody latają jak opętane między Katowicami a szybem Arnolda. Rzekomo w sali posiedzeń w gmachu dyrekcji prawdziwe piekło. Spierają się, sprzecniają, grożą wzajemnie. Panowie kryminałem, przedstawiciele górników czynnym wystąpieniem, nawet zaburzeniami.

Powinno się was pociśgnąć do odpowiedzialności sądowej! krzyczał naczelny dyrektor, tęgi mężczyzna, zwalisty chłop

248

O szerokich barach, o kwadratowej twarzy, o dużych, odstających uszach.

A was powinno się wpakować do kryminału! zareplikował sztygar Ignac Kulisz.

Nie będziemy się z wami układali, dopóki załoga nie wyjedzie z kopalni! krzyczał znowu naczelny dyrektor.

Nie wyjedziemy wcześniej, dopóki nie uzyskamy gwarancji, że zapowiedziana obniżka zarobków będzie cofnięta.

To siedcie w kopalni do sądowego dnia!

Zmusimy was głodem do opuszczenia kopalni! Nie dopucimy żywności dla was! poparł go wicedyrektor po niemiecku.

Nie będziemy siedzieli w kopalni ani do sądowego dnia, ani nas głodem nie zmusicie do wyjazdu z niej. Ogłosiliśmy strajk głodowy. Dzisiaj, jutro i pojutrze!...

A co będzie, po pojutrze?

Pojutrze wieczorem wyjedziemy, lecz opucimy płonący pokład Joanny!...

Groba podpalenia pokładu Joanny, a tym samym całej kopalni, zaskoczyła panów. Teraz samochody latają jak koty z pęcherzem u ogona jak to określił maszynista Karliczek. Radzisz

I radzisz!...

Sytuacja jest góra i napięta! dodał poważnie i z namaszczeniem, rad ogromnie, że umie się tak pięknie wyrażać. Widać, pragnie mi zaimponować. Drobną to rzecz, bo poza tym dzielny to człowiek. Zjechał dzisiaj do mnie, rozłożył na stole chustkę, Śna chustce bielił się chleb i płatki gotowanego boczku. Długo wpatrywał się w tamte smakołyki, kiwał nad nimi głową, cmokał, potem zwinął w chustkę, poszedł do szybu i cisnął wszystkim do zompia.

Jak głodówka, to głodówka!... mruknął uniewinniając-co.

Maszyna gra melodyjnie, mnie kiszki grają niemelodyjnie. Chętnie bym co zjadł. Nie wiem, czybym zdołał się oprzeć pokusie, jak się jej oparł Karliczek o przestrzępionych wśach. Jego ubranie

pachnie słońcem... W ogóle bije od niego wieży wiew przestrzeni, takiej rozzielenionej przestrzeni, i słońca... Mnie za po—

249

iedział, że gdy wyjadę na powierzchnię, będę musiał się porząd-e umyć w łazience. Że cuchnę jak trup. My tu chyba wszyscy cuchniemy jak trupy. Jest godzina ósma wieczorem. Czuję się zmęczony i senny. Za-:Z położę się na pakułach pod cianś. Maszyny dogłśda Karliczek, ‘rócił przed chwilś z drugiego poziomu po drabinach. Opowie-:iał mi, co się tam dzieje. Ludzie leżś pod cianami i milczś. Lecz ytuacja jest grona i napięta!...” Znowu jego ulubione w5Taże-e. Szytygar Ignac Kulisz wymógł u wszystkich zgodę, że wytrzy-ajś jeszcze do jutra godziny dwunastej w południe. Do tej godny musi się wszystko rozstrzygnść... A potem?... Co potem?... zapytałem prawie że apatycznie. Ś Potem co będzie, to strach pomyśleć! Ludzie podpalś pokład >anny i wyjdś!... Przynajmniej takie postanowienie jest wród ch. Kulisz nie będzie chciał dopuścić, lecz jemu wymyka się po-oli władza nad nimi. Zgodzili się tylko dlatego czekać do jut.ra łożnia, bo zapowiedział, że według owiadczenia wojewody do j godziny będzie sprawa załatwiona.

Dobrze, dobrze! Tak mało mnie już to wszystko obchodzi!... Zmęczony jestem i senny...

Na czwartym poziomie w dwunastym dniu okupacji Arnolda

Za chwilę winda wywiezie mnie na drugi poziom. Maszyna stoi, oj a liczna, wspaniała maszyna. Maszynista Karliczek krzśta się łożo niej i mruży jakś dziwnś pień. Nie wiem, czy to jest zerwany sztandar czy Kiedy ranne wstajś zorze... Powiedział, że łożo godziny dziewiętej zadzwoni na Bogusza, każe mu spucić indę do czwartego poziomu i razem wyjedziemy na drugi poziom, rzyłścimy się do czekającej gromady ludzkiej...

Na drugim poziomie Arnolda

Ludzie czekajś. Patrzś na zegarki i czekajś. Lada chwila musi echać szytygar Ignac Kulisz i obwieścić wyniki strajku. Chodźś iędzy nimi ciszone pomruki. Gdy patrzeć od podszybia w głśb

50

przekopu, widać porozrzucane wiatła karbidówek i głębokie, pofałdowane cienie. To śś ludzie. wiateł jest dużo, ludzi jest dużo. Ich myli takie mam wrażenie można wyczułać na kształt ciężkiej, szarej mgły wlokścej się smugami. Czekajś spokojnie. Lecz to jest złudny spokój. Pod jego pokrywś wrze...

Na przekopie, u wejć do pokładów, warujś Kuliszowi ludzie. Widać, że nie chce dopuścić do ostateczności.

Godzina czwarta po południu

Bunt zduszony! Teraz znowu leżś wszyscy, lecz klnś i ciskajś pierunami.

Ludzie Ignśca Kulisza zdołali wszystko zażegnać. Zażegnał przede wszystkim sam Kulisz. Zjechał na



kilka minut przed godziną pierwszą po południu. Owiadczył, że jeszcze nie ma wyników. Ludzie poderwali się z ogromnym krzykiem. Rzucili się pod szyb do windy. Zdawało się, że zmiotł do szybu Ignacja i jego towarzyszy. Wszyscy strasznie krzyczeli i złorzeczyli. Ujmowali się pazurami pod gardła, szamotali... Pewna część pobiegła w głąb przekopu. Wiem, że zamierzali wszcząć pożar we Wszystkich pokładach. Lecz tam czekała warta... I tam musiało być starcie... Kto z Ignacowych ludzi zatelefonował do Bogusza na powierzchnię. Bogusz uciekł z windy. Przed rozjuszonymi ludmi ziała pustka w szybie. Niektórzy rzucili się na drabiny. Na drabinach stali ludzie Ignacja. Nie dopucili...

W tej chwili wszystko się waży!... Jeżeli wyjedziecie przed czasem, możemy utracić to, o co walczyliśmy... Poczekajcie jeszcze tych kilka głupich godzin. Do godziny siódmej czy ósmej najwyżej!... Mam przyrzeczenie na piśmie, że do tego czasu zapadnie decyzja!...

Dziwny to człowiek ten Ignac Kulisz. Stał na wywróconym wagoniku i krzyczał do ludzi. Przekrzyczał i przekonał. A raczej uciszył. Rozeszli się powoli, bardzo powoli... Tamci z głębi przekopu wrócili z niczym. Kilku miało rozbite łby... A więc tam była istotnie walka! Teraz klni i wydziwiaj!... Ciskaj przypuszczeniami, że Ignac jest prowokatorem, że trzyma z panami". Reszta milczy i patrzy spode łba na zwolenników Ignacja.

251

W tej chwili odbywa się chyba ostatni wiec okupacyjny pod izybem. Mówi znowu Ignac. Opadła ludzka zawziętość. Ludzie łuchają go obojętnie. Ignac klaruje, że jeżeli do godziny ósmej wieczorem nie będzie rozstrzygnięcia, wyjeżdżamy wszyscy...

Ale kopalnię podpalimy! wrzasnął zniecierpliwiony głos.

Ignac zbył go milczeniem.

Teraz wszyscy czekają. Ignac znowu wyjechał na powierzchnię. )bok mnie siedzi maszynista Karliczek. Szepce mi w czasie piana, że sytuacja jest gromka i napięta". Znowu mnie ogarnia męczące...

Godzina siódma trzydziści minut wieczorem,

Już postanowione!

Ludzie wyjeżdżają spokojnie. Czarni, kudłaci, apatyczni. Ustalili się w szeregi jak po skończonej szychcie i miarowo posuwają się do windy. Wszyscy milczą. Winda wypełnia się trzynastką, maszynista podciśga dolne piętro, które wypełnia się drugą trzy-lastką. Zajązgotczy sygnał, winda się podrywa i niknie w studni zybowej. Za chwilę wynurza się druga winda, próżna. I znowu to samo. Ludzie posuwają się dwójkami, wchodzi nachyleni, ustawiają się, sygnał. Winda się podniesie, pierwsze piętro czeka itworem, ludzie wchodzi, zamyka się bramka, sygnał, winda zni-:a. Wszystko dzieje się sprawnie, lecz w przerażającym milczeniu.

Wiadomość, przyniesiona przez Ignacja Kulisza z powierzchni, że panowie zgodzili się na obniżkę zarobku tylko o 5 procent, wiadomość ta nikogo nie przejęła. Przyjęto ją obojętnie.

Do windy wchodzi ostatnie dwójki.

Już kończę. Obok mnie stoi chudy, zaronięty na twarzy sztygar gnać i mówi z goryczą do swojej wiernej gromady:

Pamiętacie tamte chwile? Wracamy .jak .wtedy spod Góry świętej Anny!...

Ostatnia winda! Już kończę!/  
/

A więc wracamy, jak tamci wracali spod Góry świętej Anny!

!52

# POGRZEB JAZONA

Stary organista Balarus zdołał przekonać Wentrubowych muzykantów, że jedynie marsz pogrzebowy z sonaty B-moll Chopina, z tym wspaniałym finałem unisonowym, nadaje się do tak niezwyklej uroczystości żałobnej. Muzykanci nie wiedzieli bardzo dobrze, cóż to za Sonata B-moll i jaki ów finał unisonowy. A o Chopinie wiedzieli co nieco. Mały, krępy Firmuga z rzadkš, capiš bródkš i w paradnych butach nabijanych mosiężnymi ćwiekami na obcasach i wzdłuż cholew, ten mieszny Firmuga, bardzo zdolny flecista, westchnł z żalem:

Ha, żeby z takim Chopinem chodzić po fechcie!... To by ludzie sypali nie groszami, ale złociskami!

...

Głupi, pierunie! zbeształ go golibroda Wentruba, grywajšcy na tršbie. Chopina już nie ma, a nie mówi się Chopin, lecz Szopen! Żeby wiedzioł, tršbo jedna! Nie wierzysz, zapytaj się pana Balarusa! Prowda, panie Balarus!

Szopen, moi ludeczkowie, Szopen! A pójdcie do kocioła, żeby wam zagrać tę jego Sonatę B-moll, W jednym miejscu będzie tak: Ti... dri... tititi!... Żebycie potem nie pomylili. A potem zrobimy ze próba z nut!... No, pójdcie, pójdcie, nie ocišgajcie się!

253

Ilu was to jest? Wentruba, Firmuga, Żaczek, Cachel... Jak wy się tam nazywacie?... A, Fierla z Kopanin!... Dobrze, dobrze! I wy z tym bębnem! Wasz bęben diabła tam nadaje się, Kopoczku, do Sonaty B-moll Chopina, ale niech będzie!

Poprowadził całš gromadę judzkich muzykantów do kocioła, wywiódł ich na chór, Firmudze kazał dymać miechy, a reszcie polecił stanšć w należnym szacunku koło siebie i słuhać uważnie. Od uważnego słuhania bowiem dużo zależy. Miał wszystkich w lekkiej pogardzie, gdyż grywali na weselach i w karczmach na zabawach tanecznych, wszyscy prócz Firmugi byli pijakami, do kocioła nie chodzili, przesiadywali w oberży "Pod Powstańcem", a obecnie, w okresie największego bezrobocia, włóczyli się po dalekich dziedzinach od jednej pampuchowej chałupy do drugiej i grali kolawe tanga i rzewne melodie niemieckie, haniebnie je" fałszujšc. Oburzał się poniekšd, że profanuje Chopina, zamierzajšc takich ludzi uczyć marsza pogrzebowego z jego sonaty B-moll. Przecież to zwykłe muzykusy, którzy zachwycajš się tylko walczykami, polkami, lendrami i którzy rznš na pamięć tanga Kilss die Hand, Madame albo Mein Peter ist ein Trompeter lub zgoła Boję się sama spać! Lecz czegož się nie robi dla znamienitego człowieka i jego grzesznej duszy!... Boże, jej tam daj radoć wiekuistš, amen!...

Przechylił głowę lekko do tyłu, oko zasłte bielmem zakrył powiekš, drugim wpatrzył się w brzucnatego aniołka wymalowanego na plafonie i wzruszony grał pianissimo na dychawicznych organach. Tamci za słuhal. Balarusowi chodziło o to, by przekonać ich, że jedynie marsz pogrzebowy tak wielkiego mistrza jak Chopin powinien być odegrany na pogrzebie Ignšca Kulisza, który skończył w przekłętym bieda-szybie. Kładł palce miękko na klawisze, naciskał ostrożnie pedały, a z uszeregowanych piszczałek za jego plecami sšczyła się przedziwna melodia.

Melodia urzekała wszystkich zebranych. Golibroda Wentruba przechylił głowę, podparł jś dłońi i zapatrzony, również w aniołka na plafonie rozważał umiejętnie akordy za akordami, układajścymi się w przeogromny smutek i żal za kfm, który już odchodzi i nigdy nie wróci, A dokšd odchodzi?... Ha, żeby to człowiek wiedział! Grzebał w ziemi od dziecka, grzebał w bieda-szybie, w prze-254

klętym pokładzie Joanny, od kilku miesięcy, i teraz także idzie pod ziemię... Widział siebie, jak stšpa na przedzie, tuż za dyrygującym Balarusem, jak koło niego kroczy mieszny Firmuga wystrojony jak lalka, piskajšcy fałszywie na flecie, on za, mistrz fryzjerski Adalbert Wentruba, dmucha swój smutek w smukłš tršbkę i wybija takt krokami w czarnym pyłe nadroźnym. Za nim kolebie się Żaczek z drewnianš nogš i buczy na basowej skrzydłowce, koło niego za drobi Cachel, wydyma policzki i postękuje na waltorni. Za nimi szmatle się Fierla z Kopanin z obojem w dłoni; pogrywajšcy tylko od czasu do czasu, a obok niego Kopoczek z bębnem!... Najlepiej będzie Kopoczkowi. On tylko wali palicš do taktu... liczna melodia!... Jako, pieruna, aż miętko się robi koło serca!... A bo też ten Balarus to majster nad majstrami!...

Fierla złożył ręce na zapadłym brzuchu, Żaczek oparł się o cianę i zakrył oczy dłońmi. Muzyka przypomniła mu najmilszego kamrata, z którym od Góry świętej Anny użerał się z dolš i niedolš górniczš, a teraz mu wypadło odprowadzać go do grobu, pobekujšc żalonię na skrzydłowce!... Ha, pieruna jasnego!... Czego to się człowiek doczekał! Dwanacie dni siedziało się razem z nim pod ziemiš, trzy dni głodowało, panowie wystrychli wszystkich na dudków, wyrzucili z pracy i zamiast chodzić po fehcie Š- jak radził nieszczęsnemu kamratowi Š poszedł do bieda-szybu i został!... O, jasny pierun!... Muzyka płynie cicho, słodko, a żal za najmilszym towarzyszem ronie i dławi...

Cachel usiadł w ławie, schylił się nisko, dłonie złożył jak do pacierza, na dłoniach oparł czoło i zamknšł oczy. Pod powiekami widzi swego komendanta z pierwszego i z drugiego powstania, widzi go pod Górš świętej Anny, widzi go przy wrębiarce w fila.rze w pokładzie Joanny, widzi go potem pod szybem, jak prawi do zebranych towarzyszy, że zwycięstwo musi być nasze, robotnicze, górnicze... A teraz widzi go w bieda-szybie, jak grzebie i grzebie pikš pod cianš, jak podcina miętki pokład Joanny, wyłažšcy gdzie z czwartego poziomu aż pod powierzchnię, jak się węgiel sypie, jak on zacina zęby, zagryza usta, gdyż mu tak trudno walczyć z krzywdš człowieka!... Mógł pójć z kamratami na przemyt Granica biegnie tuż za hałdš wymarłego Arnolda. Na Arnoldzie pustka, liny na wieży sš sfolgowane, a na linach kołyszš się wrony

255

sraczš... A mógł ić na przemyt, mógł ić po fehcie z waltomiš y chociażby z okarynš!... Nie, a nie!... On będzie grzebać

swoim pokładzie Joanny... Czy wzišł lub z tym pokładem tanny, czy co u diabła?... Teraz leży rozmiąždzony, czarny, po-many, nakryty białym przecieradłem w trumnie. Trumnę zbili imraci ze skradzionych desek z Arnolda, płachtę przyniosła ta Šuba Mojeciczka... wieczki palš się koło trumny, powtykane

szyjki butelek po piwie, a dzieci naniosły kwiatów i zasypały ijmilszego kamrata w trumnie!... Jasny pierun!... Kopoczek pa'trzy zdumiony przed siebie i nic nie widzi, tylko :arnš otchłań bez dna i bez granic, a w otchłani kolebie się drob-i wiatełko lgnšca... wiatełko odchodzi, odchodzi, odchodzi...

Obejrzał się niespokojnie, spostrzegł Firmugę podskakującego ibawnie po wystających pedale od miechów. Podskoczy, nacinie ęboko i puszcza. I znów podskoczy, nacinie... Oburącz trzyma ę niklowanej sztabki przed sobą, a grube łzy sypią mu się na ice.

Cóż beczysz, pierunie? pytał go Kopoczek. Lecz zaraz się Jwrócił, boć zauważył, że zadał Firmudze głupie pytanie.

Organista Balarus wciśz jeszcze gra, nawraca, kołuje, a żalosne kordy wypływają z gęstwy piszczałek i błskają się pod malowa-ym stropem kocioła. Jakby to były żywe stwory. Załamują się dłoie, słaniają się z wielkiego żalu i suną powoli wzdłuż plafonu oło brzuchatych aniołków i zdumionych świętych, co usiedli na blokach.

Balarus w jakiej nieoczekiwanej chwili skończył i zatrzymał alce na klawiszach. Melodia wciśz jeszcze płynie w echach pod :ropem, przycicha stopniowo i kona z westchnieniem za złoconym łtarzem.

No i co? zapytał zasłuchanych.

Gramy! rzekł za wszystkich Wentruba. Idziemy na róbę!...

Tylko pamiętajcie to miejsce! Ti... dri... tititi!... zauważył rganista i przebiegł palcami po klawiszach. Żebyście nie fałdowali!... Trzeba wziąć cis” z przydechem, panie Wentruba!...

Poszli przeto na próbę przekonani już do reszty, że jedynie larsz pogrzebowy Chopina nadaje się na ostatniś drogę Ignśca

Kulisza. Wentruba pamiętał o cis” z przydechem i zdołał rychło opanować tamte misterne półtony. I zrozumiał, o co chodziło organicie Balarusowi. Owe półtony wyrażą chyba zduszone łkanie tych wszystkich kamratów, którzy ustawią się za trumną, tak jak wyszli z bieda-szybów, brudni, w rozchełstanych koszulach na piersiach, z odkrytymi głowami, z zapalonymi karbidówkami i pójdą w czwórkowym ordynku za trumną swego najmilszego kamrata, sztygara Ignśca Kulisza... Tak, te półtony wyrażą na pewno zduszone łkanie ludzi twardych, którym nie wypada głońo narzekać.

Balarus zaprowadził Wentrubową kapelę do organistówki. Nikt im nie będzie przeszkadzać, dzieci nie będą się wspinać do okna i wytrzeszczać na nich oczu, a ludzie nie muszą wiedzieć, że szykuje się pogrzeb z muzyką. Każdy myli w tej chwili, że Ignśca Kulisza poniosą w trumnie, uczyni to szeciu najsilniejszych towarzyszy, co byli z nim razem w powstaniach i co z nim razem siedzieli dwanaście dni pod szybem, podejść do jego ostatniego bieda-szybu, włożyć mu grudkę węgla do trumny, tę samą grudkę, którą on wykopał, grudkę z przeklętego pokładu Joanny, nakryć trumnę wiekiem i podejść przed siebie... Przed trumną kto może poniesie czarną chorągiew, tę samą, która powiewała na wieży Arnolda, może poniesie kto i czerwony chorągiew, tę samą, co także powiewała na szybie Arnolda, za trumną pójdą towarzysze czwórkami. Za towarzyszami baby i dzieci... I nikt nie wie i nie powinien do ostatniej chwili wiedzieć, że Wentrubowa kapela pójdzie przed trumną i będzie grała Ignacowi Kuliszowi marsz pogrzebowy Chopina. Wszyscy muzykanci to wierni towarzysze Ignśca Kulisza. Nawet ten lekko pomyłony Firmuga... On za, Adalbert Wentruba, nie jest górnikiem i nie był towarzyszem Ignśca Kulisza, lecz golił go trzykrotnie w tygodniu i strzygł jego liczną kasztanów

czuprynę raz na miesiąc!... Jakie on miał piękne, jedwabne włosy!... Aż radość była brać je w palce, a żal cinać nożycami!...

Balarus zaprowadził więc wszystkich do swego dużego pokoju w organistówe, której okna wychodziły na sad pełny dojrzewających gruszek i jabłek i pełny brzęczenia pszczoł i wrzasku wróbli, posadził ich na krzesłach i rozpoczął próbę. Grał na harmonium, tamci buczeli i piskali na swych instrumentach, Kopoczek za

56

17 Pokład Joanny

257

odmierzał takt palicš na bębnie. A co uderzył, kiwnął głowš i znów lepił do nut.

Grali przez dwa dni od rana do zmierzchu. Tyle tylko, co w południe wybiegali do domu po mizerny obiad i znów wracali do oorganisty. Wieczorem, po drugim dniu próby, poszli wszyscy do gospody, żeby przepłukać wysuszone gardła. Usiedli za długim stołem i rozmawiali o Ignacu Kuliszu. Wszyscy. 1 muzykanci, i ci drudzy, siedzący przy innych stołach. Pili powoli piwo, bo na wódkę już nikomu nie starczyło, pykali fajki, smrodzili machorkowym dymem i wsparci ciężko łokciami na stole, snuli głono posępne wspomnienia i szare troski o jutro.

Organista Balarus nigdy nie chodził do karczmy byłego powstańca Pyrtka. I chociaż żywił głęboki szacunek do powstańców, to nawet napis nad drzwiami: "Oberża Pod Powstańcem" nie zdołał go tam skusić. Uważał bowiem każdš karczmę, gospodę czy oberżę za przybytek grzechu i wszelkiej obrazy Boskiej. Że jednak dzisiaj poszedł z Wentrubš i z jego muzykantami, uczynił to z zadowolenia, bo grali już dosyć składnie Chopina. Siedział teraz za stołem między Wentrubowš gromadš i patrzył nieufnie na ludzi i koło siebie. Uraził go z miejsca ogromny szynkwias, a za szynkwasem szeroka, rozłożysta półka. Na jej deskach pyszniły się rzędy butelek po wódcie i likierach. Butelki były wprawdzie puste, lecz zawsze przywodzące niedobre myli. Na butelkach pstrzyły się bowiem barwne etykiety, wspomnienie dawnych, dobrych czasów, gdy węgiel szedł i szedł za granicę i nie można było nastarczyć z wydobyciem go spod ziemi. Błyszczały nęcšco i napełniały serce Wentruby melancholiš.

Bo Wentrubš także na nie patrzył. A w pewnej chwili co mu do głowy strzeliło i zapiewał ni w pięć, ni w dziewięć:

Hej, kaj sie mi podziały moje złote czasy...

Urwał jednak, bo wszyscy popatrzyli nań zgorszeni.

I gdy powrócili do przerwanej rozmowy, organista Balarus znowu rozglšdał się po izbie. ciany sš pięknie pomalowane w różowe kwiaty. Na cianie bielš się trzy tekturowe wywieszki z napisami: "Cukier krzepi", następnie: "Nie pluj na podłogę!" i trzecia z mšdrš uwagš, która najbardziej przypadła do organistowego serca: "Oszczędnościš i pracš ludzie się bogacš!"



To. było bardzo piękne. Lecz jeszcze piękniejsze były dwa afisze propagandowe i portret Kociuszki. Kociuszko rozparł się w złoconych ramach i patrzył w niebo ze złożonymi rękami na piersiach jak jaki więty. U dołu za był napis: Patrz, Kociuszko, na nas z nieba!...”

To się bardzo podobało organicie Balarusowi. Jeżeli bowiem o niebie głosi napis pod bogobojnym Kociuszks, to znów Oberża Pod Powstańcem” nie będzie chyba tak wielkš jaskiniš grzechu!...

Uspokojony rozglšdał się dalej. I patrzył teraz na afisze wiszące po obu stronach Kociuszki. Na prawym afiszu szła drogš mierć i prowadziła pod ramię górnika. Oboje byli mocno pod gazem i zataczali się od rowu do rowu. mierć zgubiła po drodze swojš kosę, górnik czapkę. mierć trzymała w lewej dłoni butelkę z mocnš”, górnik pokrzywionš karbidówkę. Widać, że oboje, mierć i jej towarzysz, pocišgali mocno po drodze z butelki, gdyż nie było w niej wiele wódki. Zaledwie trochę na dnie. Pod ich nogami rozsypał się napis ułożony z jaskrawych, czerwonych liter: Alkohol jest twoim wrogiem!...”

Afisz z lewej strony Kociuszki przedstawiał przodek w jakim zarabowanym filarze. Połamane stemple, a pod stemplami na spš-gu leży na wznak górnik przywalony ogromnym głazem. Ze stropu spadajš dalsze kamienie. W stropie za widać dujš nogę w potężnym bucie. Ow but należy chyba do Szarleja czy do Pusteckiego, czy też do innego Ziemskiego Ducha, który w gniewie tupnšł nogš, przebił strop i teraz spycha rumowisko na górnika. Pod tš przejmujšcš scenš radził czytelnikowi napis wzięty z górniczego przysłowia: Słabe zerwij, mocne podbuduj!”

Wszystko było bardzo ciekawe i pouczajšce, lecz nikogo to nie wzruszało. Ani muzykantów, ani reszty górników, którzy teraz wypominali gromadzšce się krzywdy, roztržsali je i spierali się nad sposobami zaradzenia złu. Niektórzy kiwali sceptycznie głowami, inni znowu ciskali się i walili pięciami po stole. Wszyscy za stwierdzili, że brak między nimi sztygara Ignšca Kulisza, kumpla nad kumplami, człowieka z honorem i nieustraszonego bojownika o sprawę robotniczš, jak to pięknie okrelił oberżysta Pyrtek. Widać, że dużo ksižzek czyta!...

17\*

Tak chyba zginšł nasz Ignac Kulisz? zapytał znieuacka Balarus, gdy się trochę uciszyło. Wskazywał palcem na afisz z leżšcym pod obwałem górnikiem.

Tak zginšł nasz najmilszy kamrat Ignac Kulisz!

Balarus czytał kiedy dziwnš ksižkę pod osobliwym tytułem: Die curiose Geschichte uher Iason und seine Argorlautenfahrt nach Kolchis I. Przypomniał sobie w tej chwili jej treć i zdumiony pomyślał, że słyszy nowe opowiadanie o wyprawie Argonautów po złote runo do Kolchidy. Jazonem był Ignac Kulisz, Kolchidš pokład Joanny, złotym runem wydobyty węgiel z bieda-szybu. Jazon zginšł z ręki mciwej Medei. Ignac Kulisz zginšł w swym bieda-szybie.

Przekłęty pokład Joanny! Po stokroć przekłęty! Cięży nad nim ponure fatum Godulowych talarów, które jak zjadliwe Eumenidy dybiš na ludzkie życie. W pokładzie Joanny-Medei zginšł najpiękniejszy



i najszlachetniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek Balarus spotkał w swym długim życiu.

Przeklęty pokład Joanny płoży się pod ziemią ogromnym, skonym zagonem od niezmiernych głębin pod samą powierzchnię. Zaledwie kilkumetrowa warstwa gliny i piasku legła na jego górnych krańcach. Godulowe talary przestały się w nim kocić. Ludzie wyszli z podziemi kudłaci, czarni, z ponurymi oczami, skrzywdzeni i oszukani. Tak, przede wszystkim oszukani!...

Po cóż im było męczyć się przez dwanaście dni i dwanaście nocy na drugim poziomie, by dzisiaj stanąć przed słońcem i patrzeć na wiat jak człowiek, który wszystko stracił. Nie ma dla nich pracy! ... Toć to samo, gdyby im powiedziano, że nie ma dla nich powietrza, nie ma wody, nie ma słońca, nie ma niczego!... O, eheu! Miserere!...

Usiedną za stołem z żonami i dziećmi i patrzą zdumieni, jak kocista, wyszczerzona bieda sięga łyżką do wyszczerbionej miski, tłucze po jej pustym dnie i chichocze z radoci!... Staną w progu i patrzą, jak kominy przestały dymić, jak niebo dziwnie wyblękitniało i jak piki, kilofy, karbidówki leżą porzucone w kącie

1 Przedziwna historia o Jazonie i jego wyprawie Argonautów do Kolchidy legenda grecka o Jazonie, który wyprawił się po złote runo baranie do Kolchidy.

sieni jak nieużyteczne graty. Rozejrzą się po okolicy i widzą tylko dymiśce hałdy, a na hałdach mrowie biedoty ludzkiej dławiącej się w czadach w poszukiwaniu złotego runa”, zagubionych kawałeczków węgla... A gdy spojrzą w głąb siebie, zobaczą przerażającą pustkę i ujrzą się podobnymi do człowieka zawieszzonego w jakiej ogromnej, czarnej nocy, w jakim zapadłym szybie bez dna!...

A potem skrzyknęli się wszyscy i jęli radzić.

Jedni poszli na przemyt. Wszak granica niedaleko. Tuż za wódzami i za dymiścami hałd. Granica biegnie zygzakami, znaczona białymi kamieniami, wydeptana butami strażników granicznych polskich z tej strony, niemieckich z tamtej strony! A za granicą dymią kominy i toczą się koła na wieżach szybowych, i krzyczą pociągi. Przy granicznym kamieniu stanie jeden i drugi orgol pieruński, przykładają do ust dłonie zwinięte w trójkąt i szyci: Chcielibyśmy Polski, pieruńskie dziady!... Teraz macie Polskę!... Tę hałdę zryjcie!...

Smignięty kamień przeleci granicę i wyrznie w tamten parszywy pysk szyci. Lecz posiany jad zostanie w sercu. A taki Chcielibyśmy Polski, bilimy się o nią w trzech powstaniach, a teraz mamy zapłatę!... O jasne pieruny!...

Jedni więc poszli na przemyt. Przecież nie pójdą rabować czy zabijać! Przejdzie się w nocy granicę, przeniesie towar z tytoniem, kilka pęczków z Maggi”, pudełka cygar, papierosów i kamieni do zapalniczek, może nawet i nieduże torebki z kokainą czy z innym diabelstwem, paser za czeka w ukryciu i dygoce ze strachu. Potem przelicza towar i brudnymi paluchami grzebie w portfelu. Paluchy lini, wyciąga skądś pieniądze i płaci... Że tam strażnik czyha i gotuje się do strzału, że tam strzał pacnie i kula trafi, jego to nie obchodzi... Jutro znowu na przemyt po nowy transport!...

Inni, ci młodzi i obrotniejsi, poszli po fehcie. Z mandolinami, harmonikami, okarynami i nawet z bršblami. Rozleli się po całym lšsku, i tym zielonym, i tym białym, przystajš przed chałupami sytych pampuchów i grajš... Potem wycišgajš dłoń, a na dłoni pojawiajš się grosze, kawałki chleba, które stajš ociš w gardle, czasem doleci krzywe słowo, czasem zakłopotany umiech...

260

26!

Nic nie wskórajš ci, co w pochodach maszerujš do Katowic defilujš przez ulice czwórkami, z wywróconymi kieszeniami marynarek i u spodni. Kroczy koło nich policja i lepi spode i, mieszczuchy mijajš ich chyłkiem, wojewoda wyjeżdża lub nie zyjmuje...

A. jeszcze inni poszli na bieda-szyby. Wszak bieda-szyby pojš- j ły się już w Rybnickim i w Mysłowiekim, i w Dšbrowskim, coło Siemianowic!...

[gnać Kulisz wiedział, że pokład Joanny wychodzi na powierz-nię tuż z przeciwnej strony hałdy. Bezpańskie to wydmucho-sko, bajora cuchńšce, nieużytki, zapadliska i jamy po wybrani piasku.

Tu jest nasz pokład Joanny! rzekł Ignac Kulisz. Tu piemy!...

Zaczęli grzebać. Poszły studnie w ziemię, aż ludzie trafili na giel pokładu Joanny!... Przebili się przez jego warstwę, doli do sipšgu i jęli grzebać gwarkowym sposobem, jak to czy-i ich pradziadowie. Nad głowš janieje kwadratowy wyimek ;kitu z gwiazdami. Błękit jest czarny, gwiazdy mrugajš, a słoń-wieci z jesiennym dosytem. Skšpe ocembrowania strzegš cian :ed osypaniem. Koziół zбитy z czterech pali na krzyż, na kole :ełożony kołowrót, na kołowrocie druciana lina, na końcu liny ilawy, zardzewiały kubeł blaszany. Koledzy na powierzchni )ierajš się ramionami w kołowrót i toczš go z wysiłkiem, ; dna bieda-szybu unosi się kubeł z pierwszym urobkiem. Wę-1 jest tłusty, łuszczšcy się, pachńšcy kopalniš i dzwoni, gdy go sypać na sito i gdy potrzšsać, rozdziela się na miał, na orzeszki, grubsze kawały. Pampuchy zwiedziały się, zjechały wozami wszystkich stron wiata. Tani węgiel, dobry węgiel. Pali się rawdzie jak słoma, lecz daje dużo ciepła, a niewiele kosztuje!... ožš się na wydmuchowisku studzienki szybowe, množš się piska żółtej gliny i czarne kupy urobku, skwierczš kołowroty, przestraszone konie, gdy im wypadnie wymijać czarne jamy, seszczš pampuchy, baby i dzieci osiewaj a, urobek na sitach, ; boku już pojawiły się jarmarczne budy z butelkami piwa, )dowš wodš, goršcš kielbasš i bochnami chleba. Z drugiej stro-przemylny kowal Juraszek postawił swój warsztat, sklecił

polowš kunię i z kudłatym terminatorem naprawia narzędzia, ostrzy piki i kilofy, sztukuje i wišze liny piercieniami, nituje, spawa, tłucze młotem po kowadle, a kudłaty terminator dyma mieszkciem, poci się i odpędza wrzaskiem usmarkane dzieci, co się wielkš kupš zbiegły i patrzš, by co zwędzić dla siebie.

Pod ziemiš za grzebiš ludzie gwarkowym sposobem. Wcinajš się w cianę,/czyniš wdzierki, podgryzajš pikami od spšgu, zbijajš kunami/a urobek wysypuje pomocnik w kubeł, szarpie za drut, na powierzchni zaszczeka dzwonek i kubeł sunie w górę. Potem próżny spada raptem w dół, toczšc kołowrót hamowany kawałkiem deski. Rębacz kruszy caliznę, posuwa się coraz dalej od

prymitywnego podszybia, dociera chodnikiem do wymierzonej granicy i rozpoczyna filarów wybierkę. Lecz kłopot z drzewem. Pokład gruby ponad cztery metry, a drzewa nie ma. Drzewo za musi być! Inaczej zwali się wszystko, zagrzebie człowieka! Powstań wyprawy po drzewo. Do lasów, na kopalnię, na drewniany most wiodący od szybu na hałdę ponad torami kolejowymi. Most został rychło rozebrany, teraz stempli starczy na jaki czas. Lecz trzeba nimi szafować oszczędnie.

. Za to strop wygina się, rzadkie stemple trzeszczą i także się wyginają, górnicy patrz nieufnie i słuchają. Czy doleci ich uszu charakterystyczny szelest nad głową, czy sypie się nieznacznie miał, jakby palcami ciskany?...

Filary nie mogły być przeto tak obszerne jak w poziomie pierwszym i drugim czy nawet trzecim. O jedną czwartą mniejsze. Nieliczne stemple nie utrzymałyby stropu.

Rębacz posuwa się ciałem, obchodzi wybierkę swoje podszybie, komora rozszerza się, stemple coraz mocniej strzelają, aż w końcu wszystko diabli wezmą. Gdzie w którym kącie strop zarywa się z trzaskiem, wali się gruz i glina, rębacz ucieka do szybika, siada okrakiem na poprzeczny drzątek u końca liny i woła, żeby kamraci pieszyli z wyciąganiem, bo bieda-szyb diabli biorą!..

Bieda-szyby schodzą coraz niżej za opuszczającym się pokładem Joanny, ludzie biją coraz głębsze istudnie, urobek coraz trudniejszy, powoli przygasają wiatła karbidówek, a czasem k nawet gasną, gdy je pucić przed człowiekiem na dno szybu.

263

Kowal Juraszek majstruje teraz wentylatorki ze starych rur od pieca, ze starych pogiętych lutni, wyniesionych z usypiska złomu, z puszek po konserwach, ze starych kół rowerowych. Wycina skrzydełka z blachy, nawleka na o, wkłada do dużej blaszanej puski, łączy rzemieniem z rowerowym kołem, dorabia pedałek i wentylator gotowy. Te najmłodsze fuksy muszą teraz deptać pedałek, kręcić wiatraczkiem, a wiatraczek zachłystuje się wsysanym powietrzem i wpycha je, jak umie, rurami na dno bieda-szybu. Chłopcy stają się podobni do spoconych i uznojonych szlifierzy ostrzących noże na wroga lub do umorusanych przśdek, snujących nie nitki, lecz smużki powietrza dla tamtych pod ziemią.

Panowie za narzekali i skamlali, że bieda-szyby stanowią groną konkurencję, że węgiel z bieda-szybów wypiera węgiel z usypisk na podwórzach kopalni, że ludzie kradną drzewo gwareckie, że nie płacą podatków, że to i tamto, a przede wszystkim, że jest to naruszenie prywatnej własności, czyli po prostu kradzież...

Władze nie umiały sobie z tym zjawiskiem poradzić. Przyszły przeto nocą drużyny kopalniane i wysadziły bieda-szyby dynamitem. Górnicy wracający o wschodzie słońca do pracy zastawali jedynie głębokie leje, porozrzucone kozły, rozbite przejazdy. Za radą Ignąca postawili szafasy obok swoich szybików i na noc zostawiali w nich wartowników. Wartownicy byli uzbrojeni w ciężkie łagi i sztaby żelazne. Po kilkakrotnym przepędzeniu drużyn kopalnianych nastąpił spokój.

Na rodku terenu stał główny szafas sklecony z desek, blachy i gałęzi. Górnicy nazwali go Generalną Dyrekcją Bieda-szybów". Urzędowała w nim Rada Górników z Ignącem na czele. Tu zawierano

umowy z nabywcami węgla, umawiano się o cenę, handlowano ze skłóconymi pampuchami spod Lublińca, godzono po-wanione strony, ustalano miejsca nowych bieda-szybów, prowadzono ewidencję górników.

A potem?

A potem runął strop, zanim Ignac zdołał odskoczyć. Zbiegli się kamraci, zjechali na dół i długo się mozolili, podbijali stemple, grzebali, uskakiwali przed sypiącym się obwałem, aż dogrzebali

264

się do Ignasca Kulisza. Ciepłe jeszcze zwłoki przywiśzali do liny i wyciśgnęli na powierzchnię. Nikt nie płakał. Wszyscy byli ponurzy, zamknięci w sobie i klęli z cicha.

Przyszły baby i umyły ciało Ignasca. Potem je ubrały w jego stare łachy górnicze, nakryły przecieradłem Mojeciczki. Koledzy zbili z desek trumnę, Ignasca włożono do niej, nakryto przecieradłem, dzieci nasypały kwiatów, koledzy ustawili trumnę w szałasie na stole, zapalili karbidówki i wiece, zgłosili o jego mierci, gdzie należało zgłosić, i skończone. Przyjechała komisja, obejrzała, pokiwała głową, co zapisała i pojechała. Teraz Ignac czeka na swój pogrzeb.

Może bymy poszli go odwiedzić? zaproponował organista Balarus, wzruszony tś przedziwnś odysejs” sztygara Ignasca Kulisza i jego ludzi.

Poszli całś gromadś. Nawet oberzysta Pyrtek poszedł z nimi, babie za kazał pilnować interesu. Potykali się po nierównym gruncie, klęli, a rozmowy wiedli przyciszone. Noc była czysta i pachnśca jesieniś. Rzadkie wiatła przyczepione do drewnianych słupów mżyły sennie. Skręcili z drogi na teren bieda-szybów. Wyskoczyło do nich kilka ciemnych postaci z kijami. To byli wartownicy. Poznali kamratów, wskazali drogę, dwóch ofiarowało się przeprowadzić koło zdradliwych dołów i urwisk.

Dotarli do Generalnej Dyrekcji Bieda-szybów”, jak głosiła tabliczka na największym szałasie. Tabliczka była owietlona benzynowś lampś. Ze szczytu zwisała czarna chorśgiew, spływała upionymi fałdami po dachu i rozłożyła się na ziemi.

Wstąpili wszyscy do rodka na palcach, z czapkami w dłoni. Ignac leży w trumnie nakryty przecieradłem po brodę. Oczy ma zamknięte, usta leciutko rozchylone. Wybłyskujś białe zęby, jakby w pobłażliwym umiechu. liczne, kasztanowe włosy jarzś się starym złotem w wietle wiec i karbidówek. wiece sś wetknięte do szyjek butelek po piwie. Obok, przy drugim stole, siedzś jego najwierniejsi towarzysze, byli powstańcy spod Góry świętej Anny, i grajś w karty. Bez wrzasku, bez pierunowania. Po cichutku, jak przystoi przy zmarłym towarzyszu.

Przestali grać, wstali zdziwieni, gdy zobaczyli tyłu towarzyszy pchajścych się do szałas. Zrozumieli, że tu chodzi o ostatnie wi—

265

enie się z nieboszczykiem Ignacem. Poprawili przeto wiece karbidówki, by więcej wiatła padało na jego twarz, i usunęli I do tyłu.

Ludzie postali nad trumnš, wysłuchali w skupieniu łacińskiego icierza organisty Balarusa, powiedzieli zgodnie: Amen!... jęli się powoli wycofywać.

Nazajutrz wzenie rano Wentruba ze swymi muzykantami dud-jeszcze i grał u organisty Balarusa. Już wszystko szło składnie, lko że owo fatalne cis” nie wychodziło tak, jak tego wymagał ganista.

Panie Wentruba! Uważajcie! W tym miejscu wskazywał i nuty w tym miejscu ti... dri... tititi!... Jeszcze raz... A wy m, nie walcie tak w ten bęben, a wy, Firmuga, dmuchajcie Dniej, mocniej!...

Potem organista Balarus udał się z Wentruba i jego muzykan—

mi na teren bieda-szybów. Firmuga wystroił się nad podziw.

swych ozdobnych butach, w aksamitnych spodniach bufiastych,

aksamitnej marynarce, w kwiecistej kamizelce z czerwonymi,

danymi guzikami, w czarnym kapeluszu o szerokim rondzie był

>chę mieszny. Lecz że piastował pod pachš flet w zielonym

krowcu, przeto wszyscy patrzyli na niego z podziwem. Zmiar—

wali już bowiem, że organista Balarus wiedzie kapelę na po-:

zeb lgnšca Kulisza.

Kto zatršbił dononie na strażackiej tršbce. Nastšpiło porusze-i w ogromnym zbiegowisku ludzkim. Górnicy wyłazili z bieda-:ybow wspinajšc się po ocembrowaniu lub koledzy wycišgali i kołowrotem. Bvli podobni do przedhistorycznych troglodytów ^nurzajšcych si” z jaskiń na tajemniczy zew, umorusani, chu-1, obdarci, przymykajšcy trzepotliwie powieki, bo słońce raziło ire oczy. Oglšdali karbidówki, poprawiali wiatła i szli powoli drogę, gdzie ustawiali się w milczeniu w równe czwórki. eciu najbliższych towarzyszy lgnšca Kulisza wyniosło trumnę załasu. Kroczyli teraz ostrożnie, bo trumna była ciężka, a grunt ł zdradziecki. Nieli jš na ramionach, słońce za srebrzyło na ? j anielskie główki i skrzyżowane palmy z tektury. Doszli do ;da-szybu Joanny, w którym dosięgła mierć lgnšca Kulisza. >żyli trumnę na skraju szybika, zdjęli wieko i najstarszy z górników podniósł kęs węgla z małego usypiska, ostatniego urobku lgnšca Kulisza, i włożył pod jego stopy. Potem jš nakryto, na wieku położono duży wieniec ze złocistych dali i poniesiono na drogę. I znowu towarzysze szli ostrożnie, bo przejcia między szybikami były miejscami wšskie i łatwo mógłby jeden i drugi stoczyć się w zapadlisko. Za nimi tłoczyły się kobiety i dzieci.

Górnicy stali już na drodze. Dziwny to był orszak pogrzebowy. W podartych marynarkach, z rozwartymi koszulami na piersiach, zasępieni i wcišz milczšcy, a wiatła w ich karbidówkach były blade jak umiech chorego dziecka.

Trumna płynęła nad pogłowie ludzkim, dotarła na przód szeregow i stanęła. Przed trumnš za

wynurzył się czarny sztandar rozgarniany leniwo ciepłym wiatrem, a obok niego czerwony...

Organista Balarus zdołał już ustawić swoich muzykantów przed trumną. Teraz czekał na znak. Dostrzegł go. Odwrócił się przeto, podniósł pałeczkę i skinął...

Potoczył się uroczysty marsz pogrzebowy Chopina.

Balarus kroczył wzruszony. Wymierzał takt marszu powolnymi, dostojnymi ruchami ręki, a co raz obejrzał się i patrzył na ten dziwny pogrzeb. Przecież już tylu nieboszczyków odprowadzał na cmentarz, już tyle razy napiewał się przed trumną Miserere mei, Deus... 1, napatrzył się do syta pogrzebnikom, lecz po raz pierwszy w życiu idzie przed taką trumną! Spowszedniały mu bowiem lamenty i płacze, częstokroć pełne obłudnego pochlipywania w pachnącą chusteczkę; nasłuchiwał się do syta obmierzłego trajkotania kobiet obmawiających zmarłego za trumną; oswoił z widokiem paradnego karawanu ze szklanymi cianami, z wieńcami i szarfami głośzcymi całemu wiatu złożonymi literami tekturowymi o rzekomym nieutulonym smutku; przywykł już do widoku na białe wylakierowanych aniołków klęczących na karawanie, lecz takiego pogrzebu, jak żywy, jeszcze nigdy nie widział. Oto ciepły wiatr jesienny rozkłada czarne i czerwone fałdy sztandarów, rozwiewa Balairusa siwe włosy i czesze je łagodnie, dymy rozeszły się, kominy stoją jakby umarłe, a wszystko naokoło struchlało w oczekiwaniu dziwnego zdarzenia, które już się stało. Ludzie za

> 1 Zmiłuj się nade mną, Boże..." kutnych Dawida.

początek jednego z psalmów po—

267

lś w przejmującym milczeniu, posępni i cisi, tylko blade płomyki arbidówek trzepoczą się jak ich serca. Nawet kobiety idą w milczeniu, jakby ich języki pomarły. Dzieci tylko przepychają się, ięgną bokami podniecone niezwykłym widowiskiem. Balarus wie, że dla nich ów dziwny pogrzeb ma tę samą wartość, co przybycie ygana z małpką do kolonii górniczej lub widok pyskatego magika Spustowego, który wyciąga guziki z nosa. Dzieci przeżywają idąc łapczywego sycenia głodu jaskrawszych doznań. Wszak czoraj w południe słuchał, jak się przekomarzały: Aha, widzicie! U nas zabiło w bieda-szybie sztygara Kuisza, u was nie!... Jest wam żal, jest?... chępiły się przed dziećmi sąsiedniej kolonii.

Lecz nie o to chodzi. Istnieją bowiem różne wartości, które nie-lz Balarusowi trudno pojąć. Tu nie chodzi o dzieci. Tu chodzi tę wartość, której dotychczas nie umiał dostrzec, bo zagubiła się w spowszedniałym ceremoniale pogrzebowym. Gdyby teraz e dyrygował, lecz piewał przed trumną psalm pięćdziesiąty, doszedłby do słów: Asperges me hyssopo, et mundabor, lavabis e, et super nivem dealabor!... 1, gdyby doszedł do tych słów, usiałby przyłożyć dłoń do starego serca, gdyżby je rozpierała [kryta radosna tajemnica. Oto wiedzie do ziemi człowieka czy-2go, obmytego i ponad niego bielszego...

Koło trumny idą jego najwierniejsi towarzysze, Jazonowi drużynie, których powiodł do Kolchidy po złote runo. Pokonał spiwe byki, posiał w bruzdy smocze zęby...

Zachnął się, bo nie mógł znaleźć w niczym podobieństwa mię-y czynami Ignśca Kuisza a posianymi zębami smoczami. Chyba )dulowe talary?... Nie, nie układa się to całkowicie po myli tra-ców greckich. Raczej po myli żydowskiego psalmisty... Lavabis i, et super nwem dealbabor!...

Jazon nie przyniósł z Kolchidy złotego runa, lecz przyniósł ojś mierć. Za jego trumnś krocżś czarne szeregi, które nie icżś. Muzyka tylko płacze, chociaż ten łajdak Firmuga piska szywie na flecie, a Wentruba, dmuchajşcy swój smutek do

1 Pokrop mnie hyzopem, i będę oczyszczony, obmyj mnie, i ponad eg bielszym się stanę.”

trşbki, nie umie porżśdnie wziść owego kunsztownego cis” z przydechem! A tyle razy mu klarował! Ti... dri... tititi!... Albo ten Źaczek z drewnianş nogş! Buczy obrzydliwie na skrzydłowce. Cachel za dmie ratami do dychawicznej waltorni! Albo ten Fierla z Kopanin! Beczy na tym swoim oboju jak krowa! Jedyne Kopoczek wali porżśdnie palicş po bębnie, a co uderzy, kiwnie głowş i lepi uważnie w nuty.

Lecz mimo to muzyka jest piękna. Płyne dostojnie nad czarnş ziemiş, załamuje ramiona nad głowş, płacze z ogromnego żalu, że już nie ma Ignśca Kuisza o licznych, kasztanowych oczach,

0 bujnej, kasztanowej czuprynie, o płomienistym sercu, o myli ostrej jak grot, o woli hardej jak stal.

...lavabis me, et super nwem dealbabor! szepce stary Balarus za muzykş, która skanduje tamte wzniosłe, królewskie słowa psalmisty, i przyciska dłoniş serce.

...bo to człowiek, który do ostatniej godziny wojował z ludzkş krzywdş! powtarza za muzykş po polsku. I dlatego stał się on ponad niego bielszy!

Trumna mija wymarłş kopalnię Arnolda, mija kracżśce wrony na wieży szybowej, opuszcza się w dolinę, mija dymişćś hałdę, mija granicę z białymi kamieniami i z gapişcymi się strażnikami, wchodzi w ulicę wiodşćś między rude domki górnicze, wędruje bocznş drogş na cmentarz, przemierza ostatni szlak pielgrzymki Jazona, muzyka za wcişż płynie w jesiennym słońcu, dostojna

1 pełna niewysłowionego żalu.

# SZLAKIEM SZARLEJA

Skończył się pokład Joanny w pierwszym poziomie, kończył się w drugim poziomie. Zostały wyrobiska, zagazowane czelucie, zarr wane stropy, obwały, butwiejŝce stemple, pustaczyny, słodkawy zapach, stęŝała cisza i ogromna tama, mocna, betonowa, pleczysta, zamknięta dwojgiem ŝelaznych drzwi. Rygle były cięŝkie i zardzewiałe. Pragnŝc je odsunŝć, trzeba było ujŝć oburŝcz, zaprzec się nogŝ w ocios i ciŝgnŝć. Lub po prostu tak dŝugo walić kamieniem, aŝ rygiel odsunie się ze zgrzytem.

Tama zamykała pierwszy poziom. Powstała w przededniu drugiej wojny wiatowej. Nowy dyrektor techniczny, przysłany przez amerykański koncern Harrimana, człowiek małomówny, o cudacznym, trudnym do wymówienia nazwisku, przewany przez górników Rudzielcem”, dyrektor ów polecił jŝ zbudować pod pierwszym poziomem. Jej zadaniem było zabezpieczenie kopalni przed pożarem. Liczył się bowiem z moŝliwociŝ samozapalenia się węgla w wyrobiskach nad pierwszym poziomem, zwłaszcza ŝe

górne granice pokładu zostały odsłonięte przez bieda-szyby i powietrze miałoby łatwiejszy dostępszczelinami sięgajŝcymi chyba aŝ do wyrobisk. I gdyby powstał taki pożar, nic nie zdołałoby go ugasić. Jedynie woda, lecz w tym wypadku niŝsze poziomy byłyby skazane na zatopienie. Tama za potrafiłaby skutecznie odgrodzić pożar tamtych wyrobisk od reszty kopalni.

Stańęła więc potęŝna tama, mogŝca oprzec się nawet wybuchom i eksplozji pyłu węglowego. Niewiele kosztowała, a koncern Harrimana nie będzie naraŝony na ryzyko.

Po okresie turnusowych urlopów, wietówek i redukcji załogi, po objęciu kopalni przez koncern Harrimana, Arnold oŝwił się nieco. Ratował go węgiel z pokładu Joanny, zwłaszcza spoza uskołu. Zanosiło się bowiem na nowŝ wojnę, huty potrzebowały koksujŝcego węgla, przeto odbudowa pokładu Joanny nie była naraŝona na zatrzymanie.

Górnicy wybierali resztki filarów w drugim poziomie, wybierali nogi, rabowali stemple i osgany, zostawiali za sobŝ puste chodniki bez torów kolejowych i rurociŝgów, stawiali ostrzegawcze krzyŝe, obudowywali jedynie chodnik wentylacyjny i schodzili powoli na trzeci poziom. W czwartym poziomie za pędzili nowe chodniki, pochylnie i przecinki. Praca ogniskowała się w filarach na trzecim poziomie. W podszybiu czwartego poziomu przygotowywano urŝdzenia skipowe. Przyjdzie bowiem czas, o którym ongi marzył dyrektor Boelsche, ŝe wszystek urobek będzie opuszczany upadnicami na czwarty poziom, skŝd będą go wydobywać skipy, windy w kszałcie olbrzymich skrzyń, samociŝŝ napelniajŝcych się pod szybem i samoczynnie pozbywajŝcych się węgla na powierzchni. ,

I kto wie, czy zamiast lokomotyw w przekopach nie zaprowadzi się transporterów na kszałt szerokich tam gutaperkowych sunŝcych przez cały przekop i przez główne chodniki. Lecz Rudzielec uważał, ŝe na tę nowoc jeszcze czas; zwłaszcza ŝe poufne instrukcje nakazywały mu powciŝgliwoć w inwestycji Arnolda i sŝsiednich kopalni Harrimana.



Ludzie patrzyli zdumieni na maszyny. Wszędzie maszyny i maszyny! W przodkach, filarach, na głównych chodnikach, w przekopach, na cianach w niskich pokładach, w podszybiu i na po—

270

271

wierzchni. Maszyny ryczały, wyły, piszczały przeraliwie, wzniecały gęste, kłębiące się ciany pyłu, raniły i zabijały ludzi, rosła w płucach pylica, urobek za płynął czarną rzeką po sitach sortowni, zsypywał się dzień i noc do podstawionych wagonów, mnożyły się dolary, wielokrotniały zyski, rosły tantiemy i dywidendy, akcje na Wallstreet wrywano sobie z drapieżnych dłoni, rozbijano wzajemnie łby o nie, szachrowano, górnicy za byli potulni, mrużący nieszkodliwie, wdzierający się coraz głębiej i coraz dalej w pokład Joanny.

Człowiek w pokładzie Joanny był przede wszystkim bezsilny.

Nie podoba ci się? Proszę! Wolna droga!... mawiano w biurze dyrektora, gdy się upominano o podwyżkę zarobku.

Za pobliską granicą aczkolwiek srożyło się bezrobocie w Zagłębiu Ruhry i Westfalii tuż za hałdą Arnolda, dymiły kominy górskich kopalni po niemieckiej stronie, nie było wzięć, turnusowych urlopów i zwolnień z pracy. Przeciwnie, przyjmowano prawie z otwartymi ramionami tych, co rozgoryczeni przechodzili na tamtą stronę. Lecz należało spełnić jeden warunek. Swoje dzieci trzeba było posyłać do niemieckiej Minderheitsschule<sup>1</sup>, młodszy górnicy musieli stać się członkami Jungdeutsche Partei<sup>2</sup>. To wszystko. Byleby stało się zadość zachłannemu najconalizmowi niemieckiemu. Inni wiśzali tobołki i wybierali się z żonami i dziećmi do Francji i Belgii. A inni jeszcze pierunowali ciężko i grzebali maszynami węgiel w pokładzie Joanny.

Z dawnej załogi niewielu już pozostało. Rozprószyli się po wiecie. Zostali ci najupartsi i najtwardsi. A obok nich ci najpo-korniejsi.

Jeszcze mniej ich pozostało, gdy wczesnym rankiem nadleciały pierwsze samoloty hitlerowskie i poszybowały wdzięcznymi kluczami na wschód, a tuż za hałdą rozkładały się pierwsze strzały. Rozwyły się syreny na kopalniach, rozwyła się syrena na szybie Arnolda. Z domów wybiegali górnicy, co ongi wracali spod Góry świętej Anny, pieszyli po karabiny i amunicję do cechowni, przyłszczali się do nielicznych żołnierzy polskich i wspólnie bronili

drogi Freikorpsowi<sup>1</sup> na polski górski. Oddział „Freikorpsu” prowadził na szyb Arnolda Hauptsturmführer Wilhelm Pisarski z Bytomia, oddział byłych powstańców górskich sztygar Maciej Hoffmann. Obaj polegli.

Przez trzy dni szyb Arnolda zamarł w bezruchu i przez trzy dni powstańcy spod Góry świętej Anny i młodzież harcerek bronili Zagłębia górskiego. Potem jedni konali dobijani przez Freikorps, gdy ranni nie mogli się podnieść z ziemi, drugich rozstrzelano gromadnie pod cianami kamienic, a reszta poszła w wiat.

Na wieży szybowej Arnolda, podobnie jak na wieżach wszystkich szybów łskich, rozłopotala się czerwona chorągiew ze swastyką.

Potem jeszcze wróciły niedobitki z dalekiej ucieczki. To byli ei łatwowierni, którzy zaufali ulotkom rzucanym z niemieckich samolotów. Przepracowali kilka dni w pokładzie Joanny, a potem również stawali pod cianš i patrzyli zdumieni w wycelowane lufy karabinów lub konali powoli w hitlerowskich obozach koncentracyjnych.

Ciężka zmora wpełzła w pokład Joanny i dławiała buntowniczą myl człowieka.

Namnożyło się bowiem pieseczków pańskich, lizusów, wazeliniarzy, piętogryzów, orgoli pieruńskich i przeskoczków, czapkujących uniżenie, fanzolšcych łamanš niemczyznš, strzegšcych nowego niemieckiego porzšdku. Łazili nawet do pracy ze swastykami w klapach od marynarek, kamratów w przodku witali nowym pozdrowieniem Heil Hitler i strzygli uszami, co kto mówi i jak mówi: Po polsku czy po niemiecku. Puszyli się swojš kolawš niemczyznš i bełkotali niemrawie.

Na, dyć ty, pierunie, język se połómiesz na tej niemieckiej mowie! obruszali się koledzy w przodku. Mów, jak ci dziób urósł, a nie wygłupiej się mi tu niemieckimi drzystami!

Ja, kameradzi! Jetzt müssen sie nur deutsch sprechen<sup>2</sup>, bo terazki sš my Niemcami! tłumaczył pański pieseczek.

A całuj mnie, pieronie, w zadek!... Gidie zasmolony!

1 Szkoła mniejszoci niemieckiej na Górnym łsku.

2 Zwišzek Młodzięży Niemieckiej organizacja faszystowska.

1 Korpus Ochotniczy organizacja hitlerowska.

2 Teraz musicie tylko po niemiecku rozmawiać!

272

18 Pokład Joanny

273

Nur Ruhe!... Jo wóm padom, nur Ruhe! groził tamten i nadymał się podobny do purchawki.

Potem pojawiły się pierwsze denuncjacje. Na wyjeżdżających z szybu górników czekali gestapowcy przed windš. Górnicy wychodzili gęsiego, a pieseczek pański wskazywał tylko palcem. Gestapowcy zabierali z sobš upatrzonych, wsadzali do więziennej karetki i odwozili. Po kilku miesišcach przychodziły od nich kartki z owięcimskiego obozu, pocieszajšce żonę i dzieci, że Ich bin gesund und es geht mir gut!<sup>1</sup>. Tamci wierzyli tak długo, aż w końcu nadeszła urna z prochami nieboszczyka wraz z listem z komendy obozu. List donosił, że dotyczący więzień zachorował na zapalenie płuc i mimo troskliwej opieki zmarł...

To wszystko.

Lecz wystarczyło, by zdławić w zarodku każdą myśl, która mogłaby przyjąć wyrażoną formę buntu. Ludzie zdawali się być porażeni nadmiarem zbrodni, upodlenia i zdrady. Przestali ufać najwierniejszym towarzyszom. Widmo powolnej śmierci w obozie, łamanych koci podczas przesłuchiwań, sponiewierania godności ludzkiej, nieoczekiwanych aresztowań w nocy lub po wyjeździe z kopalni, a z drugiej strony przewalające się pociągi z wojskiem niemieckim, pijanym zwycięstwem, defilady, chorągwie, komunikaty w radiu i w prasie, pycha i buta, jaka potworna burza przewalająca się nad wiatem, miazdźca potęga, rozjuszona bestia ludzka – wszystko to przerażało bojaliwszych, porażało wolę u odpornych.

Franciszek Kudera w pierwszych miesiącach przycał się chytrze. Wbrew rażącej rzeczywistości uparcie wmawiał w siebie i w swych towarzyszy w przodku, że Niemcy wyjdą pokonani z wojny. Było to już prawie zuchwalstwem, a jak chcieli inni – zalepieniem i okłamywaniem samego siebie. Kudera upierał się przy swoim.

Człowiecze! Wpierw mi włosy na dłoni wyrosną, aniżeli Niemcy mieliby być pobici! tłumaczył mu kto z towarzyszy.

Wyrosną!... powiedział Kudera tajemniczo.

Jego mocna wiara jąła się bardzo powoli udzielać innym.

1 Jestem zdrowy i powodzi mi się dobrze!

274

Powiadasz, że zostaniesz pobici? dopytywano się go niemiało.

Powiedziałem!

Kiedy?

Nie jestem jasnowidzem! Lecz wiem, że będę pobici!

Na czym opierasz takie przypuszczenie? pytali ci stateczniejsi.

Kudera był w kłopotcie, bo nie umiał powiedzieć, na czym opiera takie przypuszczenie.

Co mi tak w duchu mówi – objanął niezdarnie. Wymiali go wszyscy, popukali palcem po czołach, splunęli i zabrali się do pracy.

Radio przyniosło ponurą wieść, że Paryż zdobyty. I znowu na ulicach przewalające się tłumy, maszerujące oddziały Hitlerju-gendli i piszczących dziewczyn z Bund Deutscher Madel, swastyki, orgie swastyk i sztandarów, wyjąca tłuszcza, mowy, toasty i histeria.

Paryż zabrany! – powiedzieli towarzysze Kuderze, gdy przyszedł do przodku.

Zabrany! I cóż z tego?

Jeszcze wierzysz w klęskę Niemiec?

Wierzę!...

Wstrząsnęli ramionami i znowu zabrali się do pracy. Nie warto dyskutować. Kudera poszedł znowu do swoich maszyn. Wędrował po wszystkich pokładach, a przede wszystkim po pokładzie Joanny, i jako technik pilnował motorów. Niemcy nadali mu tytuł Maschinsteiger<sup>3</sup>. Wiedzieli, że studiował na Politechnice Warszawskiej, że posiada tytuł inżyniera, że jest przekonanych polskich, lecz ponieważ nie mogli mu nic obciążającego zarzucić, pozwolili mu jako dobremu fachowcowi pełnić podrzędniejszą służbę w kopalni przy maszynach. Mieli go jednak na oku, o czym Kudera wiedział dobrze. Przyciął się przeto i nie zdradzał ze swymi przekonaniem.

1 Organizacja młodzieży hitlerowskiej.

2 Związek Niemieckich Dziewcząt organizacja hitlerowska.

3 Maschinsteiger sztygar techniczny.

18\*

275

Gdy zaprowadzono na łsksu Volkslisty<sup>2</sup>, nie wahał się długo. Podpisał ją w końcu po przełamaniu moralnego oporu. Towarzysze jego również łamali się w sobie, zastanawiali głęboko.

To zdrada! mówili do niego.

To nie jest zdrada! Jeżeli nie podpiszecie, macie dwa wyjścia. Albo was czeka obóz koncentracyjny, albo przesiedlenie do Seneralnej Guberni. Większość łszaków podpisze. Przecież nawet z ambony nawołuje się wiernych do jej podpisania. Radio londyńskie to samo głosi. Lecz nie chodzi mi o ambonę czy o Londyn. Tu przemawia u mnie rozsudek. Podpiszę, przyciąję się, a w odpowiednim momencie wbiję nóż w plecy...

Komu?...

Komu? Głupie pytanie! Jeżeli Niemcy są podli i posługują się podłymi bronią, zmuszając nas wbrew naszym przekonaniom do podpisania Volkslisty<sup>2</sup>, to dlaczego ja miałbym wobec nich zgrywać się na romantycznego bohatera? Użyję takiej samej pod-tej broni, którą już zresztą Mickiewicz opisał przychylnie w swoim Konradzie Wallenrodzie. To będzie taki nasz łski wallenrodyzm.

Towarzysze nie wiedzieli dobrze, co to jest ów romantyczny bohater czy jaki tam wallenrodyzm, lecz w duchu przyznawali mu słusność. Podpisać, przyciąć się, a potem wbić nóż w plecy!... A. le jak ten nóż wbić?...

Sabotaż! wyjanił zagadkowo Kudera.

Jak to rozumiesz?

Niszczyć wszystko, co przyczynia się do niemieckiego zwycięstwa. Maszyny, rurociągi, urządzenia, drzewo, przedwczesne jbwwały, tory kolejowe w przekopie, przewody elektryczne... Lecz :óz wam będę mówił!... Wy sami wiecie najlepiej!...

Za to czeka obóz lub szubienica!...

Czeka! Dlatego chodzi o taki sabotaż, żeby tamci nie mo-\*li znaleźć sprawcy...

Zdrada może...

A czy mało zawałisk dla zdrajcy? rzucił twardo Kudera. Dczy jego były zimne, usta zacinięte. Starsi towarzysze dopatrzyli się w nim teraz podobieństwa do sztygara Ignęca Kulisza.

Minęło kilka tygodni.

276

Nowy dyrektor kopalni Arnolda, Fritz Teichmann, domagał się od załogi wzmożonej pracy, zwiększenia ilości urobku. To wszystko mało, co teraz górnicy wydobywają. To bardzo mało. Obniżył przeto stawki i zaprowadził pracę na akord, nakazał prowadzić odbudowę rabunkową. Byle więcej i więcej węgla!... Stemple? Diabła tam stemple!... Podbudowa? mieć się z tego! Zamulka czy podsadzka wybranych komór?... To dobre w czasie pokoju. Teraz trzeba węgla i jeszcze raz węgla!... Pokład Joanny jest niewyczerpany. Można w nim szafarzyć według woli. Filary wymagające podbudowy zostawić na zawał!... Nowe filary wybierać!... Skąd trudniejszy transport, machnąć dłońmi! Brać, co pod rękę!... Tylko pieszyć się i pieszyć!... A drzewa oszczędzać!... Polskie lasy już wprawdzie mamy, lecz to trzeba dla całych Niemiec. Gdy zagarniemy lasy rosyjskie, wtedy można będzie sobie pozwolić na obudowę przodków... A ludzie? Że ludzie będą ginąć pod obwałami!... Gwizdać na wszystko. To nie są Niemcy, to jest ein Diingungs-volk! 1 Niech gin! Na ich miejsce przyjdą inni!... Gdy rozpoczniemy wojnę z Sowietami, będziemy mieli pod dostatkiem ludzi!... A że górnicy tutejsi nie pójdą na takie warunki? Ha, niech spróbuj!... Owięcim ze swymi krematoriami czeka!...

Wyłuszczył to składowanie i jasno na odprawie inżynierów, sztygarów i dozorców, zawołał na zakończenie Heil Hitler i wysłał ich do kopalni.

Wydobycie węgla wzmogło się znacznie. Liczba ofiar także wzrosła. Lecz równocześnie jęły nadchodzić pierwsze meldunki od dozorców i sztygarów, że to tu, to tam zaszedł jakiś nieprzewidziany wypadek. Przewód elektryczny na przekopie zerwany!...

Sabotaż? zapytał nasrożony dyrektor Fritz Teichmann.

Nie sądzę! Bo strop, się oberwał i kamienie zniszczyły przewód! tłumaczył inżynier Kunz.

Za kilka dni nowy meldunek, że najdłuższa rynnna transportowa na trzecim poziomie zepsuta. Rozleciał się motor. Przyszedł Kudera i wysłuchał grzmiących słów dyrektora Teichmanna.

Wy tłumaczył mu spokojnie, że nadmierna praca motorów powoduje ich niszczenie, że obłunione rubki wylatują, że nie ma czasu sprawdzać...

1 Lud mierzwa.

277

Raus! Verfluchtes Schwein!... 1 ryczał Teichman.

W duchu przyznał słuszość tłumaczeniom Kudery. Tak, motory pod rynnami są przeciążone pracą. Na nocnej zmianie drużyna luszary i mechaników będzie od dzisiaj przeglądała motory pod rynnami.

Przyszedł trzeci meldunek. Przyniósł go wystraszony Machej o wylupiastych oczach. Płaczliwym i załknionym głosem meldował, że elektryczna lokomotywka na przekopie w trzecim poziomie...

Co jest z nią?...

Kaputt, Herr Direktor! Lokomotive kaputt!... bełkotał Machej łamaną niemieczyzną. Coraz spoglądał na klapę marynarki, czy widać dobrze sporą swastykę w dziurze od guzika.

Tłumacz pan, do cholery janiej! ryczał dyrektor. Co jest z tą lokomotywką? Sabotaż?...

Jawohl, Herr Direktor! Sabotaż!... i długo klarował w kolawych słowach po niemiecku, że dwie osie w lokomotywie elektrycznej nr 5 na przekopie w drugim poziomie zatarły się, że się nawet zaczęły palić, że maszyna jest do niczego, że już trzeba wywieźć na powierzchnię, zmienić osie i łożyska...

Jak to się stało?

Kto napchał suchych trocin do panewek, trociny napęczniały powoli oliwą, rozszerzyły się, zablokowały osie, osie się rozpały, płomień wybuchał...

Maszynistę i pomocnika aresztować!... Zadzwoń na Gestapo! zawołał do sąsiedniego biura na kancelistę. Aresztowano Gajdę i pomocnika Zuczka. Byli wystraszeni, o niczym nie wiedzieli. Gestapo przesłuchiwało ich długo. Wyli i ryczeli z bólu. Wypierali się uparcie, że o niczym nie wiedzą. Lokomotywka kursowała do połowy szachty. Potem w pewnej chwili Gajda poczuł swąd spalonej oliwy, Zuczek dostrzegł płomień buchający spod kół. Zatrzymali, płomień ugasili. Osie były zatarte!...

Po trzech dniach wypuszczono ich wreszcie. Gajda miał tylko pięć zębów wybitych i teraz miesza się do jedzenia. Zuczek ze złamanym żebrem poszedł do lazaretu.

1 Precz! Przeklęta wino!

278

Odtąd już mnożyły się podobne zdarzenia. Jeszcze cztery lokomotywki wyciągnięto na powierzchnię z

zartartymi osiami. Dziwna rzecz, że lokomotywkami jedzili najgorliwsi Niemcy. Przynajmniej tak o sobie twierdzili. Poszli wszyscy do owięcimskiego obozu.

Rozpoczęła się wojna ze Zwiżkiem Radzieckim. I znowu fanfary grzmiały w radiu i na ulicach, maszerowały oddziały Hitler-jugend i mizdrzyły się w zgrabnych mundurkach dziewczyny z Bund Deutscher Madel wypinając piersi pod obcisłymi białymi bluzkami. Popadały w wyjątkową ekstazę, gdy wypadało wołać Heil Hitler przed pomnikiem poległych żołnierzy Freikorpsu” na rynku. Rozłopotały się chorągwie, rozmigotały swastyki, pociągi gnały dniami i nocami wypełnione czołgami i armatami, a w pokładzie Joanny grzebali czarni ludzie, milczeli, rynnny za psuły się bez przerwy, rwały się liny w upadnicach, rozchodziły się tory w przekopie i w głównym chodniku, wywracały się wagoniki z urobkiem, tworzyły się zatory, a poza tym tu i tam waliły się stropy. Nie ulegało wątpliwoci, że to skryta robota polskich sabotaży-stów. Dyrektor Teichmann obiecywał szubienicę i sute nagrody. Nic nie pomogło. Rozpucił po wszystkich przodkach zaufanych swoich ludzi, wybranych przez nie mniej zaufanych sztygarów, ludzie ledzili, wężyli, podsłuchiwali, prowokowali do zwierzeń, lecz tak długo, dopóki Sohlich nie wykrył Bujoka, jak odkręca rubkę z motoru pod rynnami. Bujok został powieszony za tydzień na placu przed szybem. Sohlich nazajutrz zginął. Po prostu przepadł w kopalni. Szukano go, zagłędano do wszystkich dziur i zawalisk. Nie było Sohlicha.

mierć Bujoka na szubienicy wywarła ogromne wrażenie. Lecz nie takie, jakiego spodziewał się dyrektor Teichmann. Wciąż bowiem rwały się liny, zacierały łożyska w lokomotywkach, kto sypał piasek w panewki, kto odkręcał kurki wodociągów, kto wywalał stemple i zarywał strop w miejscach największego ruchu, lecz wszystko działo się w dziwnych okolicznościach. Nie wtedy, gdy górnicy przebywali w kopalni na rannej i popołudniowej szychcie, lecz w nocy z niedzieli na poniedziałek, gdy w kopalni pracowały nieliczne drużyny budowaczy, monterów i lusarzy. Przydzielano do nich również zaufanych ludzi, lecz ei

279

wiadczyli się Bogiem, że ich ludzie są niewinni. Przecież na krok ich nie odstępowali. Więc któż, u diabła, może to robić?... To musi być ręka niewielu ludzi.

Zniknięcie Sohlicha przeraziło zaufanych dyrektora Teichmanna. Każdy z nich wiedział bowiem, że wczynieć czy póniej może jego los podzielić.

Wojska niemieckie parły na wschód, zajmowały miasta za miastami, do kopalni sprowadzano coraz więcej jeńców radzieckich, niepewnych górników wysyłano na front, a w kopalni mnożyły się wciąż sabotaże. Teichmann wciekał się, walił pięciami w biurko, obiecywał wystrzelać wszystkich dozorców i sztygarów, podejrzewał swoich szpicli o współpracę z sabotażystami, kilku wysłał do Owiećimia. Lecz to nic nie skutkowało. Nadal rwały się liny, sypał się piasek w panewki, rozłaziły się tory kolejowe, wywracały wagoniki z węglem, psuły się motory i rynnny...

Franciszek Kudera również się wciekał i krzyczał na ludzi, hałasował przed inżynierami, klął i przed dyrektorem, obiecywał, że z miejsca zastrzeli takiego łajdaka, gdy go zastanie na wykonywaniu sabotażu. Wkładał w swe oburzenie tyle ognia, że pochmurny dyrektor lepił wprawdzie na niego spode łba, lecz w końcu uwierzył w jego lojalność.

Franciszek Kudera przezwiał się teraz Franzem Kuderš, nosił odznakę partyjnš w klapie marynarki, duš swastykę, i mówił płynnie po niemiecku.

Strzelać nie trzeba! radził mu udobruchany dyrektor Teichmann. Wystarczy mi podać nazwisko sprawcy!... Będziemy z niego drzeć pasy!... Eh, uczyni to za nas Owięcim!... Heil Hitler, Herr Maschinsteiger Kudera!...

Heil Hitler, Herr Direktor!...

Dyrektor Teichmann podwoił nagrodę dla tych, którzy wyledž sprawców tych zbrodniczych czynów. Złakomił się na niš Santarius o suchej szyi kondora, a lisich oczach. Dyrektor pozwolił mu zjeżdżać do kopalni o kaŹdej porze dnia czy nocy. Santarius zjeżdżał. Włóczył się po chodnikach i przodkach, na widok wiatła ujmował swego wiatła w lampie, czasem nawet je gasił i zakradał się do ludzi. Nadstawiał ucha, słuchał, co tamci mówiš. Czasem zjawiał się jak duch, powiecił zdumionym i zaskoczonym górnikom w oczy i w milczeniu odchodził.

Eh, Santariusie? zapytał go stary Szymiczek na trzeciej pochylni. Czy się nie boicie tak sami łazić po pokładzie Joanny?...

A co bym miał się bać? zachnšł się niemile Santarius.

Źe wóm moŹe Szarlej łeb ukręcić!...

Kto taki?

Szarlej!... Duch Szarlej!... To ogromnie mciwy duch!... Wy możecie se co z nim doigrać!...

Po jakiemu?

Po jakiemu? Bo jeŹeli kto czyni panom sabotaŹ, to nikt inny, tylko duch Szarlej!...

Nie ma ducha Szarleja! wrzasnšł Santarius, gdyŹ obleciało go mrowie po grzbiecie. ‘

No, no!... Dwa razy bym nie powiedział!...

Santarius przez kilka dni namylał się głęboko, czy nie zrezygnować z takiej niebezpiecznej służby. Gdy jednak wyliczył w notesie, ile marek otrzyma w dniu wypłaty, że będzie miał ich więcej aniŹeli sam nadsztygar Meisel, pokonał lęk i podjšł się z większš jeszcze gorliwociš ledzenia sabotaŹystów. Zamykał się w biurze z dyrektorem Teichmannem i długo omawiali sposoby ich wyleŹenia. SabotaŹyci dowiedzieli się widocznie o roli Santariususa, bo juŹ od tygodnia przeszło nie zaszedł Źaden podejrzaný wypadek. To jeszcze bardziej umocniło go w przekonaniu, że jest na ladzie złoczyńców. W mył instrukcji dyrektora Teichmanna zapuszczał się w odległe ganki, zachodził ludzi z tej strony, z której nie spodziewali się nikogo, gasił wiatło, czołgał się po omacku, docierał na odległość rzutu kamieniem i słuchał. Ludzie pracowali, klęli, omawiali różne sprawy, lecz o sabotaŹu nie wspominali. Ni o jego sprawcach. Rozczarowany cofał się na czworakach, docierał na chodnik i udawał się do następnego filara. Instynktownie żywił do sztygara Franza Kudery nieufność. Podejrzewał go, że jego chełpienie się swastykš i jego oburzanie się na sprawców sabotaŹy że to



wszystko obłuda. Nie podzielił się jednak jeszcze ze swymi wstpliwociami z dyrektorem Teichmannem, gdyż postanowił Kuderę dobrze podpatrzeć.

281

Kudera również go ledził. Widział w nim niebezpiecznego przeciwnika. Rozumiał, że tu może rozpocząć się gra na całego. Stawką będzie życie. I jeżeli uda mu się wyleźć chociażby jednego sabotażystę, jeżeli tylko zdoła rzucić na jednego z nich podejrzenie, mogą być wszyscy wsypani.

Łącznicy, jak ich nazywał Kudera, donosili, gdzie się obraca Santarius, dokąd poszedł, skąd przyszedł. Zdawali mu relację przygodnie. Wiedzieli, gdzie go zastać. Kudera wtedy szedł oglądać maszyny, a w rzeczywistości ledził tropy Santariususa.

Przybiegł wozacz Michna i zameldował Kuderze, że Santarius poszedł chodnikiem wentylacyjnym w kierunku drugiego poziomu. Kudera wziął z sobą elektryczną lampę i popieszył za nim. Minął kilka pochylni, wyszedł na główny chodnik przewozowy w drugim poziomie, zapucił się w chodnik wentylacyjny. Szedł pod górę ostrożnie, owieczając lady w pyłe na spłgu. Tak! Tędy szedł przed chwilą Santarius. W pogmatwanych ładach butów tylko jego buty były podkute podkówkami i ćwiekami. Ludzie Kudery za i on sam nie mieli butów podkutych. I ten szczegół był przez niego obmyślony. Lady Santariususa wiodły również pod górę na pierwszy poziom. A więc łajdak czego? się domyła!... Kuderze chodziło o unieszkodliwienie Santariususa, jeżeli wpadnie na lady. Nikogo nie nakryje, lecz kotłowi maszynicy na szybie wentylacyjnym będą aresztowani i przesłuchiwani. Kto z nich nie wytrzyma i może wsypać!... Wtedy wszystko diabli wzięli!...

Szedł szybko, by dobiec do Santariususa, zanim przejdzie tamę. Ponieważ od dziesięciu dni nikt nie przechodził chodnikiem wentylacyjnym, lady jego butów były bardzo wyrane w nowej warstwie pyłu. Kudera czytał w nich, co przed chwilą robił i myślał Santarius. Oto idzie pewnie. Doszedł na rozstaje. Zatrzymał się, oglądał stare lady Kudery i jego ludzi. Poszedł kilka kroków w zawałisko, przeszedł za krzyż, zawrócił, udał się w górę. Teraz zmierza na pierwszy poziom. Lecz jemu nie wolno przejść tamy!... Inaczej wszystko przepadło. Odkryje zapas ładunków, lonty, zapasowe lampy!... Kudera dopadł przecinki, spojrział w czeluć. Gdzie daleko w niej zamajaczyło nikiłe wiatło. To Santarius! Kudera zgasił swoją lampę i znalazł dobrze drogę, szlak Szarleja, jak ją określał w rozmowie ze swymi ludźmi, szedł po ciemku,

szybko, bardzo szybko, kierując się dalekim wiatłem Santariusowym. Lękał się tylko, że gdy Santarius posłyszeli kroki, gotów spłoszony zawrócić!...

Santarius docierał powoli do tamy. Wcisnął wiecior po spłgu i upewniał się coraz bardziej, że tędy przechodziło niedawno pięciu górników. Gdy bowiem porównał odciski butów w pyłe, mógł w końcu wyliczyć, ilu ich było. Chwilami zdawało mu się, że słyszy za sobą stukot kroków. Wtedy stawał, ledził za siebie, a włosy jeżyły mu się pod hełmem. Przypominał sobie bowiem przestrożę starego Szymiczka. Szarlej czy co?... Nie, to złudzenie!... Wicher tylko szumi między stemplami. Poza tym cisza... Szedł znowu... witało mu powoli w głowie, że trafił na ład tych łajdaków, którzy dybią na całość niemieckiej ojczyzny. Niemiecką ojczyznę mogą diabli wziąć, lecz tu chodzi o te trzysta marek!... To chyba ważniejsze!... Znajdował się w tym odludnym miejscu po raz pierwszy. Przerazała go cisza i wiadomość, że tak daleko odszedł od ludzi. Jak łatwo tu zostać!... Ani diabeł nie

znajdzie, gdyby tak co... Ale co?... Stanął, spojrzął za siebie, bo znowu posłyszał szybkie dudnienie kroków. Jakby kto biegł za nim!... Głupstwo! Nikt nie idzie! Gdyby kto szedł, musiałyby być przede wszystkim wiatła! A wiatła nie ma! A może jednak Szarlej!... Oparł się o cianę między stemplami i dygotał z przerażenia... Tamte kroki ucichły. Eh, chyba złudzenie... Oto przed nim majaczy mur. To chyba owa tama, o której tyle mówiono... Szara ciana tamy była mu ulgą. Tępe wiatło lampy rozjaśniło się w szarym muru, przyniosło mu ulgę. Stanął przed nim. Jął owiecać żelazne drzwi. Widzi dwa ciężkie rygle. Spróbował odsunąć pierwszy. Rygiel ani drgnął. Postawił lampę na spłgu, ujął oburącz, szarpnął. Rygiel zazgrzytał, lecz utknął w połowie. Schylił się po kamień i zaczął mocno tłuc. Odsunął pierwszy od spłgu. Teraz drugi, ten górny. Uderzył kilka razy. Urwał nagle, bo słyszy wyranie kroki. Obejrzał się. Z mroku wyłania się Parteigenosse Franz Kudera!... Duch?... Jezus... Maryjo!...

Przerażony oparł się o cianę, wytrzeszczył oczy i patrzy...

Co tu robisz, ty winio?... zapytał Kudera spokojnie, owiecając mu twarz zapaloną już lampą elektryczną. Ujrzał wykrzywione usta, błędne oczy, przeraliwy strach. Mów, ty łajdaku?’

283

Po co tu przyszedłeś?... Szpiegować?... Zdradzić?... Ty winio przeklęta!

Herr Kudera, erbarme meiner...! Zaskomlił Santarius zakrywając oczy dłońmi. Ujrzał bowiem swój śmierć...

Ciężki cios w skroń zwałił go na spłg.

Wszystek nagromadzony gniew, okrutny żal za powieszonymi towarzyszami, żal po kolegach, rozstrzelanych pod cianami i zamęczonych w obozach koncentracyjnych, żal za doznane krzywdy i to bezmierne obrzydzenie, jakie wyczuwał na widok tego czołgającego się u swoich nóg i skamlącego o litość łajdaka wszystko zwałiło się na Kudera jak czarna burza. Kuł pięciś w jego oliniony pysk, kuł długo, aż w końcu ustał, gdy poczuł na niej krew. A tamten czołgał się wciśż, skowyczał, prosił o łaskę życia. Kudera patrzył na niego z odrazą. Kopnął go, gdy tamten próbował powstać. Potem spokojnie, bardzo spokojnie wyciśgnął rewolwer i strzelił. Santarius zwałił się, przez drobną chwilę kopał spłg, potem ustał. Kudera ujął go w pół i powłókł w najbliższe zawalisko. Przerzucił przez kupę kamieni, kamienie stoczył na niego, zakrył. Jego lampę zgasił i cisnął w zawalisko. Potem zawrócił.

Pod drugim poziomem spotkał starego Szymiczka.

Ty, Franczek, był tu Santarius! zgłosił Kuderze.

Wiem...

Mówiłeś mu niedawno, że duch Szarlej może mu łeb ukręcić...

Już ukręcił!

Szymiczek spojrział zdumiony na Kudera, rozemiał się dziwnie, trzasnął go dłonią po ramieniu i odszedł w milczeniu.

Następnej nocy dyrektor narobił piekła, zaalarmował Gestapo. Kto podłożył ładunek dynamitu do najsilniejszej lokomotywki w trzecim poziomie, lokomotywkę rozsadziło, a Santarius znikł w kopalni. Kto to mógł uczynić? Nie chodzi o Santarius, bo to było cierwo nie człowiek. Ein Aas und kein Mensch!... Tylko lokomotywka!... I to wtedy, gdy w kopalniś nie było żywej duszy. Z niedzieli na poniedziałek w nocy!...

Panie Rudera, zmiłuj się'

284

Stanęli wszyscy przed dziwnś, tajemniczś zagadkś. Urzędnicy Gestapo usiłowali za wszelkś cenę wykryć sprawcę. Dyrektor ogłosił nagrodę w wysokoci jednego tysiąca marek za naprowadzenie na ład. I nagroda nie pomogła. Nikt nic nie wiedział, nikogo nie było w kopalni, wszyscy górnicy umieli się wytłumaczyć, gdzie spędzili dotyczcś noc. Bezradni urzędnicy Gestapo odeszli z niczym, sprawę odłożyli w akta. Wydobycie węgla poważnie zmałało. Powodem było zniszczenie lokomotywki. Parteigenosse Franz Kudera podsunął mył dyrektorowi Teichmannowi, by odtśd przeprowadzać rewizję wśród górników zjeżdżających do kopalni, gdyż najprawdopodobniej kto z nich przemycił małś bombę zegarowś, włożył do lokomotywki i bomba jś rozniosła.

Dyrektor Teichmann był zadowolony z propozycji sztygara Kudera.

Otrzyma pan pięć tysięcy marek, gdy mi pan wyledzi sprawcę!...

Spróbuję, panie dyrektorze! zgodził się Kudera.

Wojna wciśż trwała. Wojska hitlerowskie parły naprzód, zajmowały coraz nowe miasta, łodzie podwodne topiły po dalekich morzach krocie statków i okrętów alianckich, w ogromnych obozach konało z głodu tysiące a tysiące jeńców radzieckich, hitlerowcy zachłystywali się mnożściami się zwycięstwami, a górnicy grzebali w pokładzie Joanny coraz głębiej i głębiej. Patrzyli zdumieni, jak na obłskany sabat czarownic, jak koło nich wyrasta nienawić, zbrodnia i upodlenie, jak cierajś się koło nich namiętnoci i pierwotne instynkty, jak przewala się koło nich piekło, i trudno im było zrozumieć i pojsć sens tych zdarzeń.

Franciszek Kudera wrócił z Cieszyna złamany. Spotkał się tam ze swymi zakonspirowanymi towarzyszami na odprawie. To byli już ludzie nielegalni", ukrywający się pod przybranymi nazwiskami, ze sfalszowanymi dokumentami osobistymi, wyzywający zuchwale mierć. Byli to ludzie zdecydowani na wszystko. Franciszek Kudera był dla nich towarzyszem Arnoldem.

Stary Szymiczek musiał mu długo tłumaczyć wartość tego rodzaju walki, przekonywać go i podpieać. Franciszek Kudera nie mógł bowiem otrzcć się z widoku nabranego w serce i oczy w cieszyńskim parku Sikory. Wmieszany przypadkiem w pędzony

285

tłum patrzył z bolesnym skurczem serca, jak dwudziestu i pięciu nie znanych mu osobicie towarzyszy zawisało po kolei na szubienicach. Nie mogli wołać, bo przed egzekucją lekarz zastrzyknął im jakąś ciecz w języki, które spuchły, wypełniły jamę ustną i uniemożliwiały wydobyć głos. Lecz wszyscy patrzyli dobrze, bo czytali w ich szarych oczach, że w myślach krzyczą: Niech żyje Polska! Niech żyje polski kraj!...”

A przedtem jeszcze patrzył i słuchał mimo woli, jak dwie młode dziewczynki w mundurkach Bund Deutscher Middel odłączyły się od swych towarzyszek w szeregu i stanęły opodal niego za krzakiem. Mizdrzyły się w lusterkach, szeptały wdzięcznie, a jedna z nich, nazywana przez swą koleżankę Ewi aus Skotskau, liczny podłotek o pastelowej twarzy anioła, o pięknych, błękitnych oczach ocienionych długimi, czarnymi rzęsami, opowiadała jej o jakim czarnowłosym Hansie i o jego miłowaniu. Gdy rozpoczęła się egzekucja, tamto stworzenie o anielskiej twarzyczce przekształciło się w rozhisteryzowaną wampirzycę. Jej wspaniałe, szafirowe oczy więtej Cecylii były pełne brudnym, lepkim, cuchnącym podnieceniem, jej wieże, urzekające usta lekko rozchylone drżały pośledliwie. Gdy w końcu tłum zmuszono do przedfilowania koła ofiar, pobiegła i ona i splunęła przed nimi z pogardą. Potem wróciła wdzięczna i wiotka, usiadła na trawie obok koleżanki i wyszeptała zmęczonym głosem, że czuje się tak, jakby przeżywała wielką rozkosz ze swym Hansem.

Popatrz się na tamtych wisielców! szeptała po polsku, wskazując czarującym umiechem na szubienice.

Kudera nie umiał powiedzieć, co bardziej nim wstrząsnęło. Czy widok wieszanych towarzyszy-bojowców, czy podsłuchana rozmowa tamtych dwóch samiczek podniecających się płciowo obecności mierci i szubienic.

Głupi, Francku, aże głupi! przemawiał mu długo i dobrotliwie mądry Szymiczek. Jeszcze nie znasz dobrze życia. Czasami mnie się zdaje, że go też nie znam. Ale to tylko chwilami. Bo poza tym jest mi wszystko zrozumiałe i jasne. To wszystko są ludzie. I ci, co zawili na szubienicy, i te młode strzygi z Bund Deutscher Middel. Tylko że między nimi jest ogromna różnica. Tak wielko różnica jak... jak... Nie umiem powiedzieć, jaka róż-

286

nica. Ty mnie rozumiesz. Widzisz, mnie chyba słów na określenie tej różnicy. Tam na szubienicy to szczyty ludzkoci, tamten za wiat tych dziewczyn to dno ludzkoci. Nie wiem, czy to dobrze powiedziołech... Ale ty mnie chyba rozumiesz, no nie?...

Usiłuję rozumieć!

To dobrze. A przecież jedno! Wojna ciśnie się i ciśnie, lecz tak mi się wszystko wydaje, że się przewali. Niemcy dochodzą pod Stalingrad. To gdzie jakie ogromne miasto nad Wołgą. Szukałem na mapie i znalazłem. Niemcy chcą przejść Wołgę i pomaszerować dalej na wschód. Sowiety ich nie puszczą. I tam będzie ferośnie batalia! Pod tym Stalingradem. I kto wie, czy tam nie rozstrzygnie się cała wojna. Ale nie o tym chcę mówić. Oto musimy chwilowo zaprzestać swojej roboty. W kotłowni na szybie wentylacyjnym jest nowy palacz. Nasz Dziuba jest chory. Nogę se sparzył... Poleży z miesiąc. Jest nowy palacz, ten Kostrzewa. Nie możemy go wtajemniczać w naszą robotę. Maszynista

Gocman mu nie dowierza. W cięgu więc miesișca możemy tylko dwa razy zrobić swoje. Wtedy, gdy druga zmiana z Konderlș maszyniștș i z palaczem Holeksș bęđș mieli w niedzielę szychta na noc. Z niedzieli na poniedziałek. To bęđș tylko dwie niedziele w tym miesișcu. A potem zobaczymy... A wiesz, co ci jeszcze powiem?

Proszę!

Co mi mierdzi w powietrzu. Będzie dobrze po tej naszej lokomotywce przycupnșć i siedzieć cicho. Gestapo węszy, ludzie Teichmanna węszș... Co mi mierdzi!...

Tak radzicie, Szymiczku?

- Tak ci radzę, synku złoty!... I jeszcze jedno. Niech łșczniczka Zosia nie przynosi ci do domu żadnych papierów... Bo wiesz, diabeł nie pi... I jeszcze jedno. Rewolwera nie no z sobș...

Nie noszę!

Wiem, że na powierzchni nie nosisz. Lecz myłș o pokładzie Joanny. Schowaj go na dawnym miejscu. Niepotrzebnie się wygadał przed Teichmannem...

Przed Teichmannem? Kiedy?...

Widzisz, jaki niemșdry! Wtedy, gdy udawał przed nim gorliwoć i groził, że zastrzelisz kaźdego, kogo zdybiesz na sa—

287

botażu... Nie przerywaj! To zwróciło jego uwagę, a raczej uwagę Gestapo na ciebie.

Skșd wiecie?

Wiem. Ta nowa urzędniczka, sekretarka Teichmanna, to nasza... Od chwili, gdy jej brata zamęczyli hitlerowcy w obozie. Siegfriede Buchholtz!... Tak się nazywa! Po polsku niewiele rozumie. Jej brat był niemieckim komunistș. Ale ja jestem ostroźny-TY gadaj swoje, a ja myłș swoje!... Udaję przed niș greka. Niech się wypaple tak bardzo, żeby jș w razie czego można było szanża... Jak to się mówi?

...szantażować!

Tak! Szantażować. Ona mnie ostrzegła... Mówiła, że Gestapo było u Teichmanna, że mówili o tym twoim rewolwerze, w ogóle o tobie. Ty, Franczek, czy ty mosz co z niș?...

Czemu się pytacie?

No nic, nic!... Tak się pytom. Ty młody, ona młoda, nic by nie było dziwnego. Tylko uważaj!... A może... zawołał znienacka i uderzył się dłoniș w czoło. Może to jș ty przecișgosz na naszș stronę? Bo gdy mi to mówiła, była jako dziwnie jakby wylęcano, jakby się bała o ciebie... No, dobrze,

dobrze! Nie chcę nic wiedzieć. Tylko radzę ci, bądź ostrożny... Sam mi mówiłeś o tamtych strzygach z Bund Deutscher Middel w Cieszynie.

Tamto co innego...

Diabła tam, synku!... Wszystko jednakowe nasienie. Jak zobaczy galaty, polecą, ojca się wyprze... Ale przebież, Francku. Zygryda może być inna... Eh, na wielu rzeczach się rozumiem, lecz na babach nic a nic! Ale to jedno ci padom. Bądź ostrożny, aże ostrożny! A co z lenymi ludmi”?

Sz! Na Zaolziu zostali prawie wszyscy z organizacji wyspani. W Beskidach chronisz się niedobitki. Czantoria, Barania, Kaczory, Salmopol, Klimczok... Tam sz nasze bunkry. Pod Łyszą Górą poza Olzą siedzi grupa radzieckich spadochroniarzy. Mają radiostację nadawczą. Jest z nimi kilkunastu naszych. Poza tym w lasach pszczyńskich. Lecz wszystko po rozbiciu i rozsypce jest w stadium reorganizacji.

Co takiego? Mówisz tak uczenie, że cię nie rozumiem!

Obecnie tworzą się nowe oddziały lenych ludzi. Wszyst-

ko jest w poczętkach, bo nie ma broni, nie ma amunicji, łączność zerwana... . i

Dobrze, dobrze! Nie trzeba więcej mówić. Im człowiek wie mniej, tym lepiej... W razie czego nie wsypie nikogo, gdyby mnie te bestie męczyły. Więc pamiętaj! Na razie przerwa w naszej robocie, co do tych dwóch niedziel jeszcze się umówimy, ostrożność wobec Zygrydy, rewolwer schowaj, gdzie należy, udawaj trusią i dobrego Parteigenosse. I nie pozwól się sprowokować. Id już!... Szczęć Boże!...

Szczęć Boże, Szymiczku!

Rozeszli się w przeciwnie strony. Franz Kudera ze swastyką w klapie poszedł w dół pochylni na czwarty poziom, Szymiczek zarzucił na ramię torbę z kluczami i obcęgi i poszedł naprawiać wodociąg na trzecim poziomie.

Od ciany pomiędzy stempli oderwał się pieseczek pański, Kuczaty. Był wciekły, bo niewiele słyszał z ich rozmowy. Doleciały go tylko pojedyncze słowa, jak. Gestapo, rewolwer, Stalingrad, Teichmann. Jasny pierun trzanie! A tak zręcznie się przyczał ze zgaszonych lamp! Tylko że zoyt daleko!... Lecz powie panu dyrektorowi, że co mówili o rewolwerze...

Zapalił lampę i udał się pod szyb.

Uciszyło się na szybie Arnolda i w pokładzie Joanny. Niemcy docierali pod Stalingrad, a Fiihrer” zapowiadał w radiu, że to będzie największe jego zwycięstwo. Jeńcy radzieccy konali gromadami w barakach, wyczerpani pracą w kopalni i głodem. Na ich miejsce przychodziły nowe transporty. Sztygarzy i dozorczy zmuszali ich do większego wysiłku biciem i kopaniem, zapisywaniem do kary, przekazywaniem Gestapo, które zabierało ich i jak chodziły słuchy rozstrzeliwało na terenie dawnych bieda-szybów i grzebało w zapadliskach. Zygryda zdała relację z wyniku denuncjacji

Kuczatego. Przyszedł i jśł opowiadać, że Kudera rozmawiał długo z Szymiczkiem i że mówili co o rewolwerze. A co mówili o tym rewolwerze? Kuczaty nie wiedział. Wciekły dyrektoi wyrzucił go za drzwi kopnięciem w tyłek.

Nazajutrz wozacz Balarus spotkał Kuczatego pod szybem. Balarus należał do grupy ludzi Kudery. Wiedział o wszystkim. Zatrzymał Kuczatego, powiecił mu lampš w oczy i zapytał kpišco:

288

li> Pokład Joanny

289

Hej, Kuczaty! Nie wiecie, co się stało z Santariusem?

Z Santariusem?... Skšd jo mogš wiedzieć?

Myłotech, że wiecie! Bo wy czasem za duzo wiecie! Mówiš, że mu duch Szarlej łeb skręcił. Nie wiecie?...

Hau ah!, pierunie! Co mi tu fanzolisz o Szarleju i Santariusie? wrzeszczał rozgniewany juź Kuczaty.

- Nie szarpej sie, pierunie, jak wróbel na nici!... Jo cie sie, dziadzie jeden, pytom po dobroci, a ty mi tu zarozki z pierunami wyjeżdżosz. Jak nie wiesz, to nie wiesz!... Bo jo myłół, że wiesz!... rzucił obojętnie i poszedł.

Teraz więc i Kuczaty ustał w szpiclowaniu. Chociaż w cišgu miesišca dwukrotnie przerwały się przewody elektryczne na trzecim poziomie i spalił się transformator w podszybiu, i to znowu z niedzieli na poniedziałek, gdy nikogo nie było w kopalni, a szyb na powierzchni obstawiony był Werkschutzami”, i chociaż dyrektor Teichmann obiecywał Kuczatego wysłać do obozu koncentracyjnego za niedbałš służbę, Kuczaty nie omielił się szukać sprawcy. Lękał się, że podzieli los Santariususa. Za karę poszedł nie do obozu, lecz na front.

Dziuba leczył się wcišż w lazarecie i zanosilo się, że nie wróci do kotłowni. Groziło mu bowiem kalectwo. Szymiczek i Kudera namylali się długo, czy nie wcišgnąć palacza Kostrzewy w spisek, lecz maszynista Gocman odradzał. Psuło to poważnie pracę Kudery i ograniczało jego akcję sabotażowš. Można jš było teraz przeprowadzać co drugš niedzielę. A to zbyt mało. W innych dniach nie było można, bo wówczas podejrzenie padłoby na ludzi zupełnie niewinnych, którzy kończyliby swój męczeński żywot w Owięcimiu, jeźeliby ich wczenej nie rozstrzelano lub nie powieszono.

Niemcy dotarli pod Stalingrad i teraz rozpoczęły się tam walki. Walki przedłużały się wbrew zapowiedziom Fuhrera”, nadawa- Ś nym ongi w radiu, górnicy zaczęli podnosić głowy, słabiułka nadzieja jęła pełgać w ich sercach i oczach. Omawiali w przodkach ostatnie wiadomoci. Upewniali się wzajemnie, że tylko armia radziecka potrafi uporać się z Niemcami.

Minęły znowu dwa miesišce. I znowu jaka niewidzialna ręka zniszczyła z niedzieli na poniedziałek w dwutygodniowych odstępach tor przetokowy na trzecim poziomie, dwukrotnie nadpi-lował kto liny w

pochylniach i zniszczył elektryczny kołowrót. aa trzeciej pochylni. W nieuchwytności sprawcy było co niepokojącego, co, co przerażało. Duch czy kiego diabła?... Dyrektor Teichmann pieniał się z wciekłości, krzyczał, dzwonił na Gestapo, obiecywał strzelać do wszystkich. W końcu postanowił obsadzić pokład Joanny i przekopy wybranymi, zaufanymi ludmi przez niedzielę i przez noc z niedzieli na poniedziałek. Jeżeli sabotaż się powtórzy, wszyscy będą wysłani do obozu.

Równocześnie Gestapo jęło wpadać nieoczekiwanie do mieszkań górników, gdy w domu były tylko ich żony i dzieci, górnicy za byli w pracy. Przekopali wszystko, nakrzydzeli się do woli, nawymylali, pobili tu i tam żonę, przerażone dzieci pokryły się w kštach, po czym odchodzili wciekli, bo niczego nie znaleli. Zygryda ostrzegała kilkakrotnie Szymiczka, by się miał na bacznoci i by ostrzegł także pana Franka Kudere”. Przede wszystkim jego!... Przychodziła pónym wieczorem, pukała umówionym sposobem do okna, a gdy Szymiczek wyszedł, przypadała do niego i ostrzegała trwożliwym głosem. Wypowiadała wszystko jednym tchem i znikwała bez pożegnania. Wtapiała się w mroki. Zostawał po niej nikły zapach, nie wiedzieć, jej jasnych, puszystych włosów czy jej młodego ciała.

Szymiczek nabierał do niej coraz większego zaufania.

Akcje sabotażowe ustały. Nie było sposobu, by móc wywieć w pole dyrektora Teichmanna i Gestapo. W każdś niedzielę przez cały dzień i noc na poniedziałek włóczyła się po kopalni, a zwłaszcza po pokładzie Joanny,- dozorujšca załoga. Kudera nie chciał nikogo z niej narażać na groźšce kary. Było wprawdzie wśród niej kilku pienińskich orgoli, których można by się łatwo pozbyć, niszcźšc byle co w kopalni podczas ich wartowania, lecz oprócz nich było sporo porzšdnych ludzi.

Owa beczynność drażniła i niecierpliwiła Kudere. Mitygował go Szymiczek.

Franciszku, sied cicho! mawiał. Jeszcze przyjdzie czas, że im pieruńsko dolejemy sadła za skórę! Widzisz, Gestapo wcišż

w 291

niucha i łazi, gotówce wpać!... Tylko ta łšczniczka Zosia!... Powiedz jej, do pieruna, żeby i ona uważała na siebie. Za często przychodzi do ciebie za dnia, gdy jš ludzie widzš... Juź tam nawet baby plotkujš, że to twoja galanka, że przychodzi do ciebie na noź że tylko czekać, a skoro bydzie chodziła z wielkim brzuchem... Jest nom to na rękę takie babskie fanzolenie, lecz Gestapo może inaczej myleć. Niech przychodzi tak, jak to robi Zygryda... Przyjdzie w nocy, zapuka, powie, co ma powiedzieć, ‘i juź jej nie ma!... Bywasz z niš?

Z łšczniczks Zosiš?

Nie. Z Zygryda?

Nie bywam...

Hm... Ale kiedy jej musisz powiedzieć jakie dobre słowo. Ona tylko o tobie myli. Ale nie słuchaj, co jo ci tam, stary dziady ga, plotę o miłoci. Rób, jak chcesz. Tylko uważaj pieruńsko. mój złoty



synku!... A wiesz, co ci jeszcze powiem? Oto tak se

O wszystkim rozmyłom i tak mi się wydaje, że jeżeli Niemcy de końca stycznia tego roku nie zdobędą Stalingradu, koniec ze wszystkim!

Jak to mylicie?

Jako ci padom. Jeszcze niespełna dwa tygodnie poczekamy\*

I jak do końca stycznia go nie zdobędą. Hitler będzie miał pie-ruńskš mierzišczka. Przegroł wojna na amen! Jo ci to, Francku, padom. A wierz mi łebo ni, lecz tak temu będzie!...

W przodkach i filarach pokładu Joanny rozniosła się przepowiednia Szymiczka. Jeżeli Niemcy do końca tego miesiřca nie ^zobędą Stalingradu, wcale go nie zdobędą i to będzie początek klęski Hitlera!”

Górnicy słuchali w pierwszej chwili z niedowierzaniem, lecz potem z dniem każdym jęli się niř przejmować, wyliczali dni w kalendarzach, ile ich jeszcze brakuje do końca stycznia, słuchali z niepokojem niemieckich komunikatów wojennych, drżeli w obawie, że usłyszš, iż Stalingrad zdobyty, że Niemcy przeszli Wołgę, a potem z ulgš odkładali gazetę lub odchodzili od głonika radiowego. Komunikaty o niczym bowiem nie mówiły, jak tylko o zaciekłych i bohaterskich walkach o Stalingrad”.

Dni wlokły się ociężale, górnicy liczyli już je na palcach, myleli o nich, czekali z niepokojem. Niepokój był radosny i bolesny

292

zarazem, bo dopuszczał możliwość rozczarowania. Mozolšc się w kłębach pyłu w filarze, wstrzymywali zniecka elektrycznš wiertarkę, wstrzymywali wrębiarkę w cianach i zaczęli liczyć

Jeszcze pięć dni!...

Jeszcze cztery dni...

Słuchajcie, kamraci! Jeszcze trzy dni!...

Wysyłali kogo ze swoich pod szyb, pod byle jakim pozorem, by dowiedział się od maszynisty Kubienia, co tam głosi komunikat radiowy. Górnik telefonował z podszybia do hali maszynowej ns powierzchnię i wołał do słuchawki:

Panie Kubień! Co tam ze Stalingradem?

Stoi fest jak pierun! brzmiała codziennie ta sama odpowied. Radio bulczy, że sř wciřš hejtige Kdrnpfel i koniec.

Górnicy się denerwowali. Już teraz o niczym nie mówili, jai o ostatnim dniu stycznia. Szymiczek

chodził po całym pokładzie ze swymi narzędziami luserskimi i zamiast naprawiać wodociąg komentował swój przepowiednię. Już teraz był siebie pewny Klśł z radoci, walił pięciś kolegów po ramionach i krzyczał:

Jeszcze te dwa zasmolone dni!... A koniec! Finitus!” Ś dodał w jakim miesznym żargonie.

Przyszedł ostatni dzień. Napięcie wzrosło do ostatnich granic Maszynista Kubień już był zły, że go wciśż alarmujś telefonami z podszybia.

Pieruni jani! wrzeszczał do słuchawki, Mylicie, że nie mam nic innego do roboty, jak tyl.co wóm telefonować, że Hitler przegrywa ostatnie portki pod Stalingradem?... Stalingrad trzymo się jak pierun, Niemcy już cienko grajś!... A dejcie mi już więty pokój, bo wóm powiem, że Stalingrad diabli wzięli!... i wiesz! słuchawkę ze złociś. Jeszcze może się jaki pański pieseczek przyplśtać, podstyszy i będzie pieruńska ostuda!... Zaraz polecı z ciepłutkim do starego i nadrzyszcze mu, że maszynista Kubień czaruje, by Niemcy nie zdobyli Stalingradu!

Górnicy wyjechali z dopołudniowej szychty na powierzchnię, w, podszybiu i w nadszybiu zetknęli się z towarzyszami ze zmiany popołudniowej.

1 Ciężkie walki.

293

1 co? wołali ci wracajścy z pracy, czarni, usmoleni, o błyszczścych oczach.

W porzśdku!... Trzymo się Stalingrad! wołali towarzysze ze zmiany popołudniowej.

Szymiczek wracał ze szychty do domu z Kuderś. Postanowili te ostatnie godziny przełęczeć przy radiu. Jeżeli bowiem do” północy nie będzie komunikatu o przełamanı przez Niemców frontu pod Stalingradem, finitus...

Wieczorem wywabiło Szymiczka dyskretne umówione pukanie w okno. Szymiczek wyszedł. W nikłym blasku szerniałego niegu dostrzegł postać Zygfydy. Czaiła się pod cianś.

Uwaga, uwaga, panie Szymiczek!... Ostrzeżcie pana Kuderę Tu chodzi o jakś Zosię!... szepnęła i znikła.

O, jasny pierun! zmartwił się Szymiczek i popieszyl do mieszkania Kudery. Otworzyła drzwi jego stara matka. Powiedziła, że nie ma syna w domu, że gdzie poszedł. Kiedy wróci? Nie wie, kiedy wróci. On w ogóle nigdy jej nie mówi, dokśd idzie i kiedy wróci. Teraz Bogu dzięki już ustało to łażenie w nocy z niedzieli na poniedziałek i powrót nad ranem, jakby wracał ze szychty z kopalni. Umazany, zasmolony i zmęczony. I nie powie nigdy, gdzie był... Teraz znowu gdzie poleciał... Była tu ta Zosia, wyszli razem.

Powiedzcie mu, gdy wróci, że ja tu byłem, że ma uważać Włanie z powodu Zosi. Zygfyda ostrzega...

Poszedł do domu zmartwiony. Zapomniał powoli o zmartwienia, bo siedział przy głoŃniku do północy. Stalingrad stoi nie zdobyty!...

Poszedł spać jak pijany.

Nazajutrz rano zdumiał się, gdy spostrzegł wśród górników hałaliwš radoć. Wszyscy omawiali sprawę Stalingradu. Wszyscy byli juŹ teraz przekonani, Źe rychły koniec z Hitlerem. Od tej chwili powinna zacząć się jego klęska. Szymiczek poszukał w tłumie Kudery. Ujrzał go.

Gdzie byłe wczoraj w nocy? zapytał.

Wiem o wszystkim. Zygryda była \*u was. Ostrzegala was i mnie z powodu Zosi.

Grozi co?

294

Chwilowo jeszcze nie... Lecz mam takie wraŹenie, Źe zaczyna mi się grunt palić pod nogami. Jestem obstawiony szpiclami, ledŹš mnie... Udawajcie, Źe mówicie ze mnš 0 pracy. Znowu nas ledŹš! Nie oglŹdać się!... Oto taki kawał rury - pokazał na wodociŹgu pod pułapem nadszybia trzeba zmienić. wyciŹgnšł notes i kawałek kredy. Podszedł do blaszanej ciany i rysował zawiły plan wodociŹgowy. Objaniał. Gdy skończył, uspokojony rzekł: Szpicel odszedł. MoŹe uwierzył, Źe mówimy o wodociŹgu, który trzeba naprawić.

Stalingrad! rzekł Szymiczek podajšc mu dłoń.

Stalingrad! odpowiedział z radociš Kudera.

I jeszcze jeden dzieŹ minšł. Podsluchane komunikaty z radia moskiewskiego, londyŹskiego i szwajcarskiego”głosily, Źe Niemcy ponieeli najwięksŹ klęskę pod Stalingradem. Armia Paulusa otoczona. Reszta cofa się pod naporem wojsk radzieckich. Panika!...

Wzruszeni ludzie ciskali sobie nawzajem dłonie, klepali się po plecach, zapewniali wzajemnie o zwycięstwie armii radzieckiej, przepowiadali rychły, a sromotny koniec Hitlera, a potem podchodzili do radzieckich jeŹców i tłumaczyli im wszystko. Podnosiły się umęczone i apatyczne twarze.

Słyszycie, towarzysze! wołali do nich. Stalingrad zwycięski! Niemcy pobici pod Stalingradem! Niemcy uciekajš spod Stalingradu!... Wasza armia wali w nich, Źe aŹ strzępcy lecš im z tyłków...

JeŹcy nie rozumieli, co to sš owe strzępcy lecšce z tyłków, lecz domylili się, Źe tu mowa o zwycięstwie armii radzieckiej pod Stalingradem. Patrzyli przeto w oczy górnikom, umiechali się jak oniemielone dzieci, ciskali im dłonie, pogadywali co po swojemu...

Pod koniec szychty przyszedł nadsztygar Meisel i zastał ich w gromadzie z górnikami. Zerwali się wszyscy, rzucili do pracy, lecz Meisel juŹ wszystko widział. Wsiadł z pyskiem na górników, namyślał im od rebeliantów, zagroził doniesieniem do Gestapo, Źe co spiskujš z jeŹcami, a potem, wciekły, porwał kilof i jšł nim okładać jeŹców. Lecz tu stała się rzecz nieoczekiwana. Najmłodszy

wród nich, przewzany Maszkš, uderzony bolenie w głowę, zatoczył się i runšł w rumowisko. Zerwał się szybko, wciekły, ocie-295

kajšcy krwiš, ujšł ciężki kamieñ i cisnšł nim w twarz sztygara Meisla. Meisel przewalił się jak długi na wznak. Z rozbitego łba ciekła krew.

Teraz wypadki potoczyły się szybko.

Gdy nieprzytomnego Meisla niesiono pod szyb, przybiegł chłopak spod szybu do czwartego poziomu. Szukał sztygara Franca Kuderę. Znalazł go na czwartej przecince przy naprawie motoru.

Panie Kudera! Telefon z powierzchni! Macie natychmiast wyjeżdżać... Dyrektor kazał!... zawołał. A po cichu dodał: Gestapo czeka na was...

Skšd masz tę wiadomoć? zapytał Kudera spokojnie.

Dyrektor telefonował. Tylko potem jeszcze zadzwonił maszynista Kubieñ. Pytał się naszych, co zrobił Kudera, że czeka na liego Gestapo na powierzchni. To my już wszyscy wiedzieli, co est. Dejcie mi kartka z powiadczeniem, żech was uwiadomił, że nocie wyjechać na powierzchnię...

Kudera wyrwał kartkę z notesu, potwierdził, że wozacz Josef Ihybiorz uwiadomił go o godzinie dwunastej minut trzydzieci, że jest wzywany do wyjazdu na powierzchnię. Podpisał i oddał.

No, jeste kryty!...

A czy wiecie, że nadsztygara Meisla wywieziono na po-ñerzchnię?

Nie wiem. Co się stało?

Ten nasz Maszka wyrznšł go kamieniem w łeb, bo Meisel ił jeñców kilofem. Teraz Maszkę czeka szubienica. Powiedzš itlerowcy, że to Meuterei... Bunt! poprawił.

Gdzie jest Maszka?

W trzecim poziomie w czternastym filarze... A co teraz, pa-ie Kudera? Was też powieszš? szepnšł z trwogš.

Jeszcze mnie nie wieszajš... No, id już, id!... A jeżeli zo aczysz starego... Eh, nic, nie trzeba...

Ja nie zdradzę, panie Kudera! zawołał chłopiec z żarli-ociš w głosie. Czemu mi nie ufacie?...

...jeżeli spotkasz starego Szymiczka, powiedz, żeby czekał na nie przy kołowrocie przy trzeciej pochylni w trzecim poziomie!

Powiem, panie Kudera!... A wy teraz uciekajcie... i po-lał z powrotem.

Za godzinę Kudera i Maszka natknęli się na Szymiczka przy kołowrocie na trzeciej pochylni,

A więc stało się, Francku! Już wszystko wiem. Byłem pod szybem, rozmawiałem przez telefon z Kubieniem... Zygfryda telefonowała na szyb wentylacyjny do Gocmana. Gocman do Kubienia. Gestapo nakryło Zosię. Zosia musiała się czym już zdradzić. Gocman uwiadomił Kubienia o wszystkim. Kubień nas. Gestapo aresztowało Zosię, gdy przyszła do ciebie dzisiaj przed południem. Matka twoja także aresztowana!...

Kudera zakrył oczy dłońmi, oparł się o cianę.

Nie martw się! Matkę twoją puszczą, bo jej niczego nie będą mogli udowodnić. Tylko chodzi o łączniczkę Zosię. Gotowa wsypać całą organizację...

Nie wsypie! Ma cyjankali...

Co ma? Co to jest?

Cyjankali! Otruje się, a nie zdradzi...

Ach tak! Cyjankali!... No tak. No, ale nie będziemy starymi babami. Trudno! To walka. Myślałem w pierwszej chwili, że wywieziemy cię w wagoniku z rumowiskiem na hałdę. Ale to nie jest iste. Gestapo będzie czatować na każdy wagonik, do każdego będą zglądać na hałdzie. Jeste dla nich za grubo szyszk! Najpewniejszą drogą pozostaje nasz szlak Szarieja.

I ja tak myślę...

A co z tym? wskazał na milczącego chłopca, jeńca radzieckiego.

Będę go chciał wyprowadzić, bo inaczej czeka go mierz Szubienica. Obaj nie mamy nic do stracenia.

Idcie! Lecz nie wychodźcie wcześniej, jak koło godziny dziewiętej w nocy. Ja uprzedzę maszynistę Konderlę i palacza Holekę na szybie wentylacyjnym. Będę na was czekał. Jeżeli zauważycie, że dolne rygle w drzwiach wiodących od wentylatora do hali maszynowej są odsunięte, to znak, że powietrze czyste. Możecie wyjść... Jeżeli rygle nie będą odsunięte, wracać... To znaczy, że szyb wentylacyjny obstawiony. Lecz jeżeli dotychczas tamte pieruńskie mamlasy nie wpadły, że na sabotaże wyprawialiśmy się przez szyb wentylacyjny, to chyba teraz także nie wpadną na myśl, że można tamtędy uciec. Tym bardziej że już

29?

swoje zrobiłem. Wszyscy górnicy wierzą, ba, nawet i inżynierowie, i dyrektor Teichmann, że w szybie wentylacyjnym nie ma drabin. Dotychczas nikt nie sprawdzał, bo trudno zresztą sprawdzić. No, idcie. A więc tak wyłacie, żeby o dziesiątej w nocy być pod wentylatorem. Odsunięte dolne rygle od drzwi wiodących do hali maszynowej, nie do kotłowni... Odsunięte rygle to znak, że możecie wychodzić miało. Ja obmyślę resztę... Szczęść Boże, mój synku! Szczęść Boże, Maszka!... Dzielny z ciebie chłop!... Pójdiesz z towarzyszem Arnoldem do lasu!... Prac Germańców!... No, bywajcie!... O twojej matce będę pamiętał. I poszedł.

Kudera patrzył za odchodzącym wiatłem. Zrozumiał, że to odchodzi od niego wszystko, co umiłował w pokładzie Joanny. Walkę, ludzi, robotę, sam pokład. Jeżeli uda mu się wyliznąć z obławy, pójdzie z Maszką do swych partyjnych towarzyszy w lesie.

Pójdziemy, Maszka, do lasu. Będziemy partyzantami!.. Boisz się?...

Maszka siedział pod cianą otępiały i patrzył w wiatło karbi-dówki. Ocknął się, podniósł głowę i mruknął, że się nie boi, że na wszystko się zgadza.

Chodmy! Idziemy! rzucił Kudera i pociągnął go za sobą. i

Wędrowali długo, wspinali się pochylniami coraz wyżej' i wyżej, zapuszczali się w odludne stare roboty, mijali boczne chodniki i przecinki zagrodzone krzyżami, stąpali powoli, dyszeli ciężko. Czasem wychodzili na poziomy chodnik, a wtedy odpoczywali idąc powoli. Potem znów skręcali w pochylnię i nachyleni mocno do przodu kroczyli wciśz w milczeniu. Kroki ich dudniły nieprzyjemnie.

Wyszli ponad drugi poziom, zapucili się w labirynt chodników, przecznic, pochylni i przecinek, wiodących pod tamę IV pierwszym poziomie. Osaczyła ich ponura samotność. Szlak Szarleja wydawał się dzisiaj Kuderze niesamowicie pustką wypełnioną lękiem. Lęk pełzał koło nich i zaglądał im w oczy. Ku-iera spostrzegł się, że już kilka razy bezwiednie oglądał się na oczekiwaniu cigających go wiatel. Głupstwo. Popatrzył na zegarek. Kilka minut po drugiej! Teraz na powierzchni Gestapo czatuje na niego. Czatować będzie długo, jeżeli nie spostrzeże się i jeżeli już nie obsadziło wylotu szybu wentylacyjnego. Znowu obleciał go nierozsądny lęk. Dotarli w końcu do tamy. Zastąpiła im drogę szara ciana. Żelazne drzwi były zardzewiałe. Odsunął rygle, wszedł do rodka, pociągnął za sobą Maszkę i zasunął rygle. I dopiero teraz, gdy znajdował się w niskim przejściu zamkniętym z obu stron drzwiami, uprzytomnił sobie mierz zadany w tym miejscu Santariusowi.

Ze miesznym zadowoleniem spojrzął na zasunięte rygle w pierwszych drzwiach. Jakby odgrodziły go na całe wieki od tamtej myśli, że mierz Santariusza będzie mu wyrzutem sumienia. Rozgrzeszył się z niej już wtedy, gdy po jej wykonaniu wracał do swej pracy i na drodze spotkał Szymiczka. Umiech Szymiczka rozgrzeszył go do ostatka. Lecz że teraz zamknął za sobą rygle i znalazł się z pochmurnym Maszką za drzwiami, tamto wszystko przestało istnieć.

Zbierane wichry przed tamą skręcały w chodnik prowadzący do szybu wentylacyjnego na wysokości pierwszego poziomu. Chodnik za, przegrodzony tamą, wiódł pod górę i kończył się wylotem do szybu wentylacyjnego o czterdzieci metrów powyżej. Między obu wylotami nie było drabin. Rozpocynały się dopiero od ujęcia górnego chodnika. To było to samo miejsce, gdzie kiedy podczas strajku okupacyjnego zapucił się samojedny. Obecnie podczas hitlerowskiej okupacji jego wyprawy sabotażowe w towarzystwie Szymiczka, Balarusa, Miętusa i Redicha tędy prowadziły. Czasem cała piątka schodzili po drabinach, czasem tylko zapuszczał się tu ze starym Szymiczkiem. Potem wynurzali się przed witem spod ryczących skrzydeł wentylatora, przemknęli przez halę maszynową o przyćmionych wiatłach i zasłoniętych oknach i rozchodzili się w rzadniejszym mroku.

Będziemy tu czekać do godziny dziewiętej w nocy! objaną Kudera milczącego Maszkę. Możesz się położyć!

Maszka zrozumiał, ułożył się po cianś, skulił, zakrył oczy czapkš i po chwili zasnł. Oddychał lekko i spokojnie. Kudera słuchał cienkiego wycia wichru przedzierajšcego się szczelinami w drzwiach i cichego oddechu towarzysza. Obecnoć człowieka

299

w tej przekłętej pustce była mu ulgš. Gdyby bowiem wypadało samotnie czekać tyle godzin, wiedział, że nie oparłby się głupiemu przywidzeniu,; iż tu gdzie kto chodzi, stuka, zagłšda i podsłuchuje. Wszak to szlak SzarlejaL. Sam wymylił tę pretensjonalnš i romantycznš nazwę i teraz pragnie jš wypędzić z myli. Niš trzeba wypędzać, bo czyni to obecnoć pišcego człowieka obok niego. I znów pomyłał, co by było, gdyby wypadło muł w pojedynkę czekać na wyznaczonš godzinę.

Nerwy! Głupie, rozklekotane nerwy! szepnł do siebie, by się we własnych myłach usprawiedliwić. Zdawało rnu siš bowiem, że ujrzałby koło siebie jaki skłębiony rój poczwara z widzenia więtego Antoniego, wygrzebanych z czeluci chłopięcych przeżyć podczas opowiadań matki w czas zimowych wieczorów czy podpatrzonych gdzie na jakim obrazie w mrocznej zakrystii, Ezy teź wysnutych z rozigranej fantazji, gdy jako chłopaczek leżał na wznak w łóżku, patrzył przerażonymi oczami w mroki izby, a po izbie wałęsały się rude blaski z pobliskiej koksowni. Matka spała w drugim łóżku, oddychała szeleszczšce, a jemu się wystawało, że opuszczony przez wszystkich unosi się w mrokach o truchleje z nieopisanego lęku przed czym, czego w iudzkiej nowie nie można okrelić. Były to jakie rozdziawione pyski ko ebišce się na ptasich nóżkach, tańczšce szkielety o zielonych, wylupiastych oczach, nietoperzowe skrzydła, toczšce się głowy, obrzydliwe maskary, rozcapierzone paluchy z zakrzywionymi pa~ ;urami, okrutne straszydła, podciepy spłodzone z diablego łajna, wiedmy-staruchy oddajšce się cuchnšcym kozłom brodatym, :hrzškajšce wieprze, olbrzymie stonogi, ropuchy, jaroszki, wi-ielce... Cała ta straszliwa czereda dobija się teraz do drzwi w ta- nie, drapie, wyważa je, skrzczy, chichocze, a on je widzi skro elaznej ciany jak przez szkło. Kłębiš się za niš pełne złoci jadu. Spłoszył je odgłos zbliżajšcych się nierównych kroków, ‘o (kulawy duch SzarlejaL. Zmykajš z piskiem, kryjš się w zawaliskach, wczołgujš pod kamienie, a Szarlej podchodzi do za-yglowanych drzwi i patrzy. Pukać czy nie^ pukać?... Nie puka. yiko patrzy, a Kudera widzi jego straszne, zimne, czarne oczy. czy przechodžš przez tamę, unoszš się w ciemnościach, plšsajš zbliżajš się do jego oczu... Zakrył gwałtownie twarz dłoniš. Dudził się...

00

Ujrzał nad sobš schylonego Maszkę. Trzymał karbidówkę i wiecił mu w oczy. W jego oczach był zatroskany lęk.

Š Jasny pierun! mruknł ze złociš Kudera i głęboko odetchnł. Czemu wiecisz, Maszka? zwrócił się do chłopca.

- Towariszcz, czto to plachoje wam prisniło... Mietajeties’

kriczitie...

Dobrze, dobrze, Maszka! Juź wszystko dobrze!...

Wy nili o Germancach?...

O Germancach! Już dobrze. Dziękuję ci, Maszka!... Połóż się, jeszcze mamy czas!

Spojrzał na zegarek. Godzina piąta po południu. Jeszcze cztery godziny. Maszka położył się na dawne miejsce, zakrył twarz ramieniem i znowu usnął. Kudera pozazdrocił mu tego spokojnego snu. Postanowił już czuwać do końca. Otworzył drugie drzwi i wyszedł. Za drzwiami wydobył z ukrycia dwa rewolwery. Jeden dla siebie, drugi dla Mazki. Chyba Maszka umie strzelać? Jeszcze by!... Młody, ale był przecież na froncie! Przeliczył tulejki z niebieskiego parafinowanego papieru z nadrukiem Energit A". Wystarczy! Napchał nimi pełne kieszenie, do ostatniej włożył garć spłonek i odłożył cztery grube zwoje lontu. Donaryt w czerwonych tulejkach zostawił. Będzie potrzebny Szymczkowi i jego ludziom. Nie wiadomo, kiedy się wojna skończy, czy nie będzie go jeszcze trzeba użyć w kopalni. W kście piętrzyła się mała kupka ręcznych granatów w kształcie pokarbowanych jaj. Wziść czy nie wziść? Mogł się przydać jego ludziom w pokładzie Joanny. Jemu też... Może wypadnie przebijać się przez linię oblawy na powierzchni. Wziął po namyle cztery. Dwa dla siebie, dwa dla Maszki. Trzy pozostałe rewolwery owinął w szmatę i zostawił koło granatów. No, to wszystko. Nakrył kamieniami, zatarł lady. Teraz jeszcze elektryczne lampy. Sięgnął za okorek pod stropem, wymacał ich prostokątne kształty. W szybie wentylacyjnym bowiem karbidówki nie nadają się... Zgasną od wichru, zanim wstąpiś do szybu. Elektryczne są ciężkie, ale nie zawiodą. Wydobył dwie, trzy jeszcze zostały. Wypróbował, czy wiecś, czy akumulatory nie wyczerpały się. wiecś bystro... Swoją karbidówkę zgasił, włożył za okorek. To już chyba wszystko?... Tak, wszystko. Obladowany wrócił do tamy, wyłożył na spąg rewolwery, naboje, energit, spłonki i lonty. Gdy będą mieli ru-301

ziać... Spojrzał na zegarek. Godzina szósta dochodzi! Gdy będą mieli ruszać, podzieli się z Maszka.

Zbudził chłopca, podał mu połowę swego chleba. Maszka miechnął się i zaczął jeć powoli. Kudera zjadł szybko swój orzeź. Wcisną milczeli. O czymże mieli rozmawiać. Maszka po-tada swój wiat zamknięty na siedem spustów, w jego wiecie łskają się wspomnienia jakich nieobesztych stepów czy nie-głębionych rzek, przestrzeni, obłoków, słońca, a wiat Kudery amykał w sobie pokład Joanny i jego ludzi. Pojawiła się przed im łszczniczka Zosia. Ujrzał jej dziecinne i jakby zdumione nie-ieskie oczy, gdy słuchała jego zleceń. Pojawił się przed nim jej radowany umiech, gdy zdawała mu sprawę ze swej roboty podsuwała mu zwitek bibułki z rozkazami podziemnej organi-icji. Potem ujrzał jś, jak przesłuchiwana przez Gestapo, bita, aniewierana odmawia zeznań. Zawsze mawiała, że zanimby jś Dprowadzono do celi, połknie dawkę cyjankali. Lęka się bowiem, j zdradziłaby w męczarniach. A więc w tej chwili Zosia już e żyje?...

Zakrył odzy dłoniś. Twarz jego stęzała w bolesnym skurczu, drzucił hardo głowę, spojrzał na rewolwery, tulejki z energitem, nty... Uciszył się.

Przed godziną dziewięć ruszyli. Przeszli drugie drzwi, zasunęli gle i jęli się znowu piść niskim chodnikiem pod górę. Wichry wędły w nim, słodkawy zaduch był ciężki. Kroczyli powoli. Kura szedł przodem, Maszka za nim. Drogę owiecali elektryczny-i lampami. Szli długo. Minęli stary chodnik przewozowy na srwszym poziomie, zapucili się pochylniami w górę. I znowu szli ugo. Tak przynajmniej wydawało się Kuderze. Maszka sapał nim, pocił się, coraz przystawał i łapał oddech. Kudera, gdzie zwałała szerokość chodnika, obejmował go w pół i wiódł pod rękę. W pewnym miejscu



Maszka zakrztusił się, rozkaszał. Oparł ; o cianę plecami, ujął dłoń za pier i dusił się kaszlem. Kasi był suchy. Kudera zrozumiał, że to grulica pożera płuca jego towarzysza. Przygarnął go tkliwie do piersi i uciszał. No, chod, Maszka! rzekł w końcu, gdy kaszel ustał. /jdziemy na powierzchnię^ nasi ludzie doprowadz nas do la-n, tam będziesz zdrowy... Tu są takie góry, trochę mniejsze jak

twój Ural. To są Beskidy. W tych Beskidach odpoczniesz, nabierzesz sił, będziesz ze mną chadzał na wyprawy na germańskie pociągi!... Pod szybem spoczniemy. Bo potem mamy dwadzieścia i sześć drabin, każda po sześć metrów. To razem koło stu siedemdziesięciu metrów w górę. Daś radę?...

Da, da, towarzyszu!...

I znowu szli, Kudera lekko się niepokoił, by się nie spóźnić na umówiony czas. Minęli jeszcze kilka poziomych i dwa strome chodniki, posłyszeli ogromny szum.

Czto to? zaniepokoił się Maszka.

To szumi wicher w szybie wentylacyjnym... Chod, chod!..

Eto nie woda?...

Nie! Wicher.

Tale szumit Dniepr ostroj...

Być może! Chod, nie bój się...

Tak szumit nasz wieter na stepi...

Ty Kozak?

Ja Kozak!... Ej... chciał co zawołać, lecz znowu zakrztusił się kaszlem. Gdy Kudera ponownie przygarnął go, do siebie i głaskał po głowie, dojrzał w jego smutnych oczach łzy. Udawał, że ich nie widzi. Ha, zdarzy się i łza w męskim oku!... On by też może... On nie! Trzeba się w sobie zamknąć, zagryć usta i walczyć!

Umiechnął się do tego patetycznego określenia wysupłanego i rozwichrzonych myśli. Łęczniczka Zosia nigdy tak nie myślała, a jednak wszystko czyniła z jakim bohaterskim patosem. Po cóż o tym mówić?

Szum wichru wzmagał się, rósł, przewalał i gdy w końcu stanęli w niskim podszybiu, leciał koło nich z pierwszego poziomu jak napęczniała, szara burza.

Teraz MaSzka, trzymaj się mocno! krzyczał Kudera poprzez dudniący szum. Pójdę pierwszy, ty za mną. Nic się nie bój. Rób to, co ja robię. Uważaj dobrze na drabinach. Jeżeli spadniesz, przepadł! ... Idziemy!...

Wyszedł na wsskś, stalowś platformę, biegnącś wzdłuż lewej ciany szybu. Za nim kroczył niepewnie Maszka. Stanęli przed

drabinš. Lekko nachylona tonęła wierzchołkiem w czarnym jšdrze wichru. Wicher prał w nich od dołu, wydymał ich marynarki, wydymał nogawki, usiłował ich porwać z sobš. Wicher był ciepły i słodki. Dudnił w ich uszach jak przecišgły łoskot pocišgu na mocie.

Kudera jšł wychodzić na drabinę. Stalowe szczeble były olizr łe, wilgotne, oblepione lepkiem błotem. Lampa kołysała się przewieszona hakiem u paska od spodni. Wynosił się powoli, ruchem jednostajnym, wymierzonym. Za nim wychodził niepewnie Masz-ka. Kudera wyszedł na pierwszš platformę, pomógł wyjć Maszce. Odpoczęli na krótkš chwilę. Maszka co mówił lecz wicher wyrывał jego słowa z ust i postrzępione ciskał w górę. Kudera dał mu fenak dłoniš, by milczał, bo i tak wzajemnie się nie usłyszš. Chyba żeby przytknęć usta do ucha i krzyczeć.

Wynosili się teraz z drabiny na drabinę, z platformy, na platformę, odpoczywali na kaŹdej i znowu ruszali. Od głęby szybu odgradzała ich krata z Źelaznych prętów. Gdy kto z nich spojrział w głšb, odwracał natychmiast głowę, bo doznawał wrażenia, Źe unosi się w pustce podobny do szarego, wydętego wichrem tłumoka. Źmudna to była droga. Maszka zostawał w tyle i Kudera musiał czekać na niego na kaŹdej platformie. Podawał mu łonie i podcišgał. Maszka sapał i z coraz większym trudem łapał Dddech. Kudera głaškał go po głowie i na migi tłumaczył, Źe juŹ niedaleko. Jeszcze kilka drabin i juŹ...

Im wyŹej się wznosili, tym wyraniej dochodził ich stłumiony toskot wentylatora. Jakby tysišc cepów prało w darnie jednostajnie, bez wytchnienia. Cepy rozbijajš powietrze na drobne, ku-iste fale jak na rut, rut za uderza szybkimi sztychami w uszy. W błony uszu bęniš nieprzeliczone krocie kocistych palców.

Wyszli w końcu z ostatniej drabiny. Stanęli w sklepionym gan-ot. Nad głowš piętrzyła łe metalowa kopuła. Ganek wiódł lek-w pod górę. Grunt był olizły i Kudera wskazał chłopcu, by rzymał się mocno poręczy wzdłuŹ ciany. Ganek był czarny, wy->ełniony gwałtownym pędem wichru i wzrastajšcym łoskotem. >zli teraz powoli. Wicher pchał ich do przodu, Źe musieli zapie-ać się stopami i przechylać się do tyłu. Łoskot przechodził v ryk. Stanęli w końcu w jego jšdrze. Rozdzierał bolenie uszy

S04

i wypełniał ich płuca, brzuch i czaszkę. Kudera podniósł lampę, owiecił. Ujrzeli przed sobš wentylator na odległość ramienia, To nie był wentylator. To było olbrzymie kolisko utkane z szarej mgły i z pienišcego się grzmotu. Sto tysięcy diabłów oszalało w nim i teraz gzi się w rozwirowanym kłębie, szamoce, tłoczy, bałwani, rozbija powietrze i rydzy. Ryk cina krew ludzkš, dławia serce, rozsadza czaszkę. Kudera trzyma się kurczowo poręczy, przemyka koło ciany. Za nim posuwa się przeraŹony Maszka. Dotarli do prostopadłej ciany. Ujrzeli przyczepionš do niej Źelaznš drabinę. Kudera odwrócił się i na migi wskazał jš Maszce. Zalecał mu ostroŹnoć. Maszka zrozumiał, Źe niebaczne nachylenie się drabiny, wspinajšcej się koło rozwirowanych skrzydeł, moŹe być jego końcem. Skrzydła wsysajš ludzi pod siebie. Ludzie borykajš się z nimi jak z ogromnš czarnš topielš bez dna. Kudera przyłgnšł do drabiny, stšpał ostroŹnie. To samo czyni Maszka. Kudera dotarł do poziomej kraty nad głowš. Przeliznšł się przez wycięty otwór, wyszedł, stanšł obok osi wentylatora.

Pomógł Maszce. Wicher dławi, wpycha oddech w płuca.

Maszka rozejrzał się zdumiony. Widzi się w niedużej komorze. O wentylatora spoczywa w olbrzymiej panewce, panewka wsparta na grubym trawersie. Nad osiś żółci się spora szklana oliwiarka. Z oliwiarki kapie oliwa.

Kudera podszedł do żelaznych drzwi. Były obite w fugach wojłokiem. Prowadziły do hali maszynowej. Podobne drzwi po drugiej stronie wentylatora wiodł do kotłowni, W drzwiach tkwił dwa duże rygle zasuwane dwigniś. Kudera z ulgś stwierdził, że dolny rygiel jest odsunięty. Spojrzał na zegarek. Kilka minut po dziesiątej!...

Skinł na Maszkę, odsunł górny rygiel, otworzył z wysiłkiem. Pociśgnł za sobś chłopca, zatrzasnął drzwi, zaryglował. Zwaliła się na nich ogromna cisza. Spoza tylnych drzwi dochodziło już tylko dalekie dudnienie.

Kudera powiecił na przednie drzwi. Wspaniale!... Dolny rygiel odsunięty!...

Maszka! Uwważaj! Jesteśmy na powierzchni. Przygotuj na wszelki wypadek rewolwer. Odbezpiecz. Granaty przełoż do pra—

2<sup>o</sup> Pokład Joanny

305

wej kieszeni... Teraz otworzę drzwi, wychodzimy. Znajdziemy się w hali. maszynowej. Tam jest nasz towarzyszej. Albo...

Iii Germancy?...

Albo Germancy!... Nq, idziemy! rzekł i jak człowiek ciskajšcy się z wysokiego brzegu w cichš, głębokš wodę pchnł drzwi, otworzył, wyszedł... Rewolwer trzymał w dłoni. Nic. Cisza!... Ogromna maszyna mruży dobrotliwie, łyska srebrnš stalš w nikłym wietle, szumi miękko... Cisza!... Postšpił jeszcze kilka kroków, rozglšdnł się. Pod przeciwległš cianš siedzi maszynista i drzemie oparty łokciem o stół. Wyszli, zamknęli po cichu drzwi. Kudera zasunł rygle. Ich lekki szcęk zbudził Konderlę. Zerwał się gwałtownie, spojrział i rozjanił się.

Jestecie!... szepnł półgłosem. Wszystko w porzšdku. Idcie. Powietrze czyste. Wyjdcie tylnymi drzwiami. Tam was czeka Szymiczek i Zygryda. Już wszystko załatwione. Zygryda was poprowadzi. Nie zdraHzi! To nasza!... dodał szybko, zauważywszy lekki błysk w oczach Kudery. Łšczniczka Zosia nie żyje. Otruła się... Nikogo> nie wsypała...

A moja matka?

Jeszcze jš trzymajš, lecz chyba wypuszczš. Niczego nie mogš jej udowodnić. Nic nie wie. Szyb Arnolda obstawiony. Na hałdzie, w sortowni, na podszybiu... Gestapo się wcieka. No, idcie!... Francku, trzymaj się!... A ty też! zwrócił się do Maszki. Lampy zostawcie. No, idcie z Rogiem!...

Konderla wyrzucił wszystkie słowa szybko, gwałtownie. Podał im dłoń, ucisnął mocno i wypchnął do tylnych drzwi. Maszyna szepleniła cicho. Leciał od niej nagrzaną wiew pachnącą gorącą oliwą.

Otworzyli drzwi, wysunęli się za próg. Kudera znowu wydobył rewolwer, pociągnął Maszkę za sobą, przyczaili się z boku pod cianę. Jęli nasłuchiwać. Z mroku wynurzyły się ostrożnie dwa cienie.

Arnold?... posłyszeli stłumione wołanie.

Szymiczek i Zygryda stanęli przed nimi. Ujęli ich za dłonie i poprowadzili w noc.

# NA TRZECIEJ POCHYLNI

Jedynie na trzeciej pochylni mogłoby się wszystko udać. A jeżeli pójdś gdzie indziej?

Ś Nie pójdś gdzie indziej!

Siedzieli przeto na rozjazdowych płytach, gdzie ongi był elektryczny kołowrót, a dzisiaj czerniła się wyrwa w cianie. Kołs-wrót diabli wzięli. Po prostu rozleciał się na same ograbki, gdy Redich bronił się za nim. Ha, szkoda RedichaL. ‘

Szymiczek splunął z goryczś, bo było mu żal wiernego i odważnego towarzysza. Ileż to razy wędrowali szlakiem Szarleja pod kierownictwem Kudery, przemykali koło skrzydeł wentylatora, a wentylator ryczał jak diabeł obdzierany ze skóry, wicher za szamotał nimi i pod skrzydła cisnąć usiłował. Szli gęsiego olizłym gankiem, schodzili gęsiego drabinami szybem wentylacyjnym, ich wiatła rozsypały się w głębinie jak pół wietlistej koronki z urwanego rózańca, a potem wędrowali zapomnianym chodnikiem do tamy, odpoczywali za drzwiami i w końcu ruszali robić swoje. Piękna to była robota!... Wszystko obmyłał Franci-20\*

307

szek Kudera, prawiścy często o jakim wallenrodyzmie. Diabli wiedzś, co to tam za wallenrodyzm, lecz wynikałoby z tego wszystkiego, że chodziło o to wbijanie noża w plecy”. Pięknie to okrelił przezacny Franciszek Kudera, przez trzy lata wiodścy hitlerowców za nos swojś swastykś w klapie marynarki. Teraz od dwóch lat wałęsa się gdzie po Beskidach z lenymi ludmi, urzśdza zawadiackie wyprawy na niemieckie pociśgi popieszne, zapuszcza się aż pod Pszczynę i Zebrzydowice ze swoim Maszkś, a gdy pociśg zdycha z ludmi, przewalony na bok, i płonie pod skarpś, Niemcy za wyjś w płomieniach, a ci drudzy biegajś oszalali i strzelajś na olep, Franciszek Kudera... Przepraszam! Towarzysz Arnold z szeciu towarzyszami z Armii Ludowej i z Maszkś smyrhajś bokami, miedzami, wśdolcami i opłotkami, w szarzejścym wicie do dalekich lasów beskidzkich. Teraz czeka, by wrócić do. swojego pokład Joanny!...

Ha ludzie sś czasem niemśdrzy. Klnś na pokład Joanny, nazywajś go przeklętym pokładem, a nie wiedzś, że pokład Joanny jest błogosławiony, a nie przeklęty. Może to brzmi za pięknie, jak w jakim naboźnym psalmie, lecz chyba riie ma tu przesady. Nie pokład Joanny jest bowiem winien, że ludzie w nim ginś, że żary wajś się w nim stropy, że wałęsajś się w nim ziemskie smrody, że panowie oszukujś, że Niemcy ze zwariowanym dyrektorem Teichmannem ‘zamieniajś go w wielkie rumowisko przez swojś rabunkowś odbudowę, tylko tu jest winien sam człowiek. Człowiek walczy z żywiołem. Franciszek Kudera co tam klarował po ksiśżkowemu, że tu mci się naruszona równowaga ziemi i że tu chodzi o dwie rzeczy. O odwagę i chydroć. Bez odwagi i chydroci wszystko inne zawodzi. Powiedział, że to jest walka. A człowiek w tej wialce musi być zwycięzcś. Jeżeli dobrze obuduje, jeżeli przewietrzy jak należy, zamuli, zabezpieczy, dopilnuje na czas, by ugasić wszczynajścy się pożar, a jeżeli łajdaka nie można już ugasić wodś postawić tamę jednś i drugś jeżeli więc górnik nie jest pieruńskim mamlasem, lecz człowiekiem z wiary, z owś odwagś i chydrociś, to pokład Joanny jest uległy i daje węgiel. Jak ten koń nie przymierzajśc. Dasz koniowi wody, dasz mu pojeć, poklepieaz po karku, powiesz dobre słowo, wozu mu nie przeładujesz, a gdy

nie może u cišgnšć pomożesz mu, to koń

jest twoim kamratem. A jeli go bijesz i głodzisz, kopnie się bestia, ugryzie, a w końcu zdechnie!...

Towarzysze słuchali wywodów starego Szymiczka i wielce je sobie ważyli, bo Szymiczek był mšdry. Nie sprzeciwiali się przeto, chociaż niejeden miałby tam swoje zastrzeżenie, lecz tkiwali głowami, spluwali i przytakiwali.

Teraz wszystkim jest żal Redicha. To był naprawdę dobry kumpel, lecz nie miał już tego sprytu co Franciszek Kudera, Kudera zwiął przez szyb wentylacyjny. Teichmann i Gestapo chcieli się z wciekłoci w zadek ugryć, czatowali przez całe dwa tygodnie koło wjazdowego szybu, na hałdzie i w sortowni, zagłšdali do każdego wózka, a tu ani Kudery, ani Maszki! Przepadli jak kamień tinięty do szybu. Potem zapucili się do pokładu Joanny. Przeszukali wszystko, włazili nawet z tlenowymi aparatami do zawalisk i nic nie znaleli.

Redich nie był taki sprytny. Broił na własną rękę. Stworzył sobie własną drużynę i czynił zawieruchę w pokładzie Joanny. Jego specjalności było nadpiłowywanie lin na pochylniach i za-gazowywanie przodków. Po prostu schodził w niedzielę w nocy do kopalni szybem wentylacyjnym z dwoma lub z' trzema towarzyszami, piłowali liny i wywalali drzwi regulujące wentylację przodków. W poniedziałek rano przychodzili górnicy do pracy, a tu wszystko zagazowane. Jasny piorun!... Cała szychta minęła, zanim postawili nowe drzwi i zanim przodki przewietrzyli!... I zanim liny zesztukowali!...

Tak długo, aż wpadł. Albo gdzie się przed kim zdradził, albo diabli już tam więdzš!... Dostyc na tym, że w poniedziałek w połowie szychty zjechała do kopalni cała banda gestapowców z Werkschutzami” i ze sztygarem Meierem. Wyszli na drugim poziomie i ruszyli na obławę. Wiódł ich sztygar Meier. Ha, nie opłacało mu się!... Szarlej mu łeb skręcił!... Ale mierz takiego sztygara Meiera nie powetuje straty Redicha.

Redich, jakby przeczuwał, że wczemniej czy póniej będzie nakryty, zabezpieczył się, jak umiał. Za kołowrotem na trzeciej pochylni miał swój schowek. Rewolwer i materiał wybuchowy ze sponkami i z lontem. Głupi! Nie wzišł ze sobš ręcznych grana—

309

tów spoza tamy na szlaku Szarleja!... Gdyby miał granaty, byłby może wyszedł!...

Meier z gestapowcami i Werkschutzem” osaczyli Redicha w trzecim poziomie. Redich łupał węgiel w filarze z kamratami, gdy przybiegł chłopiec z upadu i ostrzegł go. Redich. cisnął kilofem, porwał lampę i w nogi przez obwał w górne filary! Ci za nim!.. Redich zwięwał na drugi poziom. Wiedział, że może uciec szlakiem Szarleja, lecz nie chciał go zdradzić, gdyż obaj maszynicy i obaj palacze z szybu wentylacyjnego byliby wsypani. Skierował się więc na trzeciš pochylnię powyżej trzeciego poziomu. Tamci za nim. Kołowali, zaganiali z boków, obsadzali Werkschutzami” wejcia do starych robót, aż go w końcu przyparli u szczytu trzeciej pochylni. Redich zresztš wiódł ich tam celowo. Osaczony bronił się spoza kołowrotu. Lecz cóż to znaczyło siedem nabożów w rewolwerze? Wystrzelał wszystkie. Jednego gestapowca trafił w czoło, drugiego w brzuch. Gdyby miał granaty,

rozniósłby tę przeklętszą bandę. Tamci za chcieli go ujść żywego. Wiedzieli bowiem, że Redich mógłby dużo powiedzieć o podziemnej organizacji na szybie Arnolda, o komórkach partii, nawet o byłym Parteigenosse Franciszku Kuderze. Gdyby mu zaczęto wbijać drzazgi za paznokcie, ciskać końce palców obcęgami, przypiekać pięty rozżarzonym żelazem, wiśzać mu ręce ze stopami, wieszając na poprzecznym drążku i wlewać wodę do gardła może by nie wytrzymał i wszystko by wypiewał. Gestapowcy czekali przeto w ukryciu, dopóki Redich nie wyszyple się z naboju. Potem ruszyli. Redich tymczasem zdołał już podpalić lont płomieniem karbidówki. Lont prowadził do szczeliny pod prawą podstawą kołowrotu. W szczelinie było pięć tulejek z donarytem. Tamci weszli ostrożnie do niszy, a płomyk także wszedł ostrożnie po loncie do szczeliny. Tamci zawołali: Hande hoch! a równocześnie wszystko poszło w pieniny!... I kołowrót, i czterech gestapowców, i sztygar Meier, i Redich!... Piśty gestapowiec uniknął mierci, bo nie wysuwał się zbyt do przodu. A szósty leżał obok martwego siódmego i trzymał się oburącz za dziurawy brzuch.

I Ręce do góry!

310

I tak skończył Redich!...

Szkoda chłopca! mruknął kto z zasłuchanej gromady. Wszyscy znali tę historię, lecz słuchali jej chętnie po raz nie wiedzieć który, bo stanowiło to dla nich wartość jakiego wspaniałego rapsodu bohaterskiego, którym krzepili się w chwilach zwątpienia i którym podniecali się do walki.

A Franciszek Kudera? Ho, ho!... Franciszek Kudera robi swoje! Stary Szymiczek miewa od niego wieści. Albo je przyniesie Zygfryda Buchholtz, albo Kudera przyjedzie do Katowic raz pod takim nazwiskiem, potem za pod innym, raz tak ubrany, innym razem inaczej, pchnie kogo ze swoich do Szymiczka i Szymiczek przyjeżdża tramwajem do Katowic. Spotykaj się u legalnego” towarzysza Hanzla przy Gliwickiej. Szymiczek zdaje Kuderze sprawę, co dzieje się na Arnoldzie, Kudera opowie co mało wiele o sobie. Nie dlatego żeby nie ufał Szymiczekowi, lecz że nie lubi się chwalić. Ledwie że tam co napomknął o nocnej wyprawie swojej drużyny do koszar w Bielsku po amunicję, karabiny i automatyczne pistolety. A za węglem łąził posterunek, za drzwiami za wrzeszczeli żołnierze i krzyczał dyżurny oficer. Nie! To musiała być wspaniała wyprawa i stodiabelna odwaga! ... Albo jak Jwykradli rannego towarzysza z bielskiego szpitala! Przy rannym siedział wartownik, towarzysz poszedł do ustępu i spucił się z trzeciego piętra na przygotowanej przez pielęgniarkę lince. Pod linką czekał Kudera z towarzyszami. Zabrali go i nieśli do lasu. A mróz był jak wszyscy diabli. I donieli. Albo jak przenosili rannego towarzysza przez Wisłę, ostrzeliwali przez niemiecką policję. Przenieli, i to także w zimie. No, w ogóle dziwy ten człowiek wyprawia...

A skąd macie te wszystkie wiadomości? zapytał kto z gromady.

Mam. A to chyba wystarczy, nie?... odparł Szymiczek. Nie mówił im bowiem ani o spotykaniu się z Kuderą w Katowicach, ani o łączniczce” Zygfrydzie. Był ostrożny. Może kto gdzie pult-nść nieopatrznie przed babą, baba wydrzyszcze przed drugą i już może być pieruńska ostuda! Gestapo leci na takie wieści jak trutnie na miód.

Koledzy zgromili tamtego ciekawego towarzysza.

Pierunie głupi! Cóż się pytasz?... Mówcie dalej, Szymiczku, mówcie!...

Szymiczek przeszedł na inny temat.

Jeżeli więc Niemcy będą chcieli tu przyjść, a chyba przyjdą dzisiaj, to na isto, do trzeciej pochylni. Gdyby stąd rozpoczął się pożar, cała kopalnię mógł diabeł wziąć. Stare, zbutwiałe stemple, kruche ciany węglowe, suchy miał pod cianami, powietrze ciśnie wystarczająco... Trudno byłoby ugasić!... Zwłaszcza gdyby ogień rozplątał się po sąsiednich zawaliskach. Wtedy już ani tama by nie pomogła. I gdyby ją postawiono poniewczasie, już nic nie wskóra. Tama mogłaby sobie stać u dołu pochylni, mogłaby być oblepiana cementem i gliną, ogień by nie zdechł. Przeszedłby po starych stemplach i w węglowym miałe do obwałów, do wyrabowanych filarów, do starych chodników i rozszedłby się z czasem na całą kopalnię. A Niemcy chyba dobrze o tym wiedzą!... Wtedy nie pozostałoby nic innego, jak Arnolda zatopić, jak to już raz kiedy uczyniono. Ale to już bardzo dawno. A hitlerowcom tylko o to będzie chodziło. Albo spalić, albo zatopić!...

I znów pomyślał z wdzięczności o tamtej dziwnej dziewczynie, sekretarce dyrektora Teichmanna, Zygrydzie Buchholtz, ni to Niemce, ni Polce, mszczącej się za śmierć swego brata-komunisty w obozie koncentracyjnym. A równocześnie rozmiłowanej po dziewczęcemu w Kuderze.

Szymiczek powiódł wzrokiem po swojej gromadzie. Spora gromada!... Dwudziestu przeszło towarzyszy siedzi koło niego i patrzy w jego oczy. A druga dwudziestka czatuje rozrzucona na progach każdego chodnika, pochylni czy upadnicy. A jeszcze inne dwudziestki warują w niskich pokładach i na przekopie. Wszystko dobrze obmyślane i zorganizowane. Plan taki wysunął Kudera na odprawie w Katowicach. Maszynista za w hali wyciągowej to nasz chłop!...

Już tu od trzech dni czatuj.

Na powierzchni uczyniła się pienińska zawierucha. Niemcy biegają jak koty z pięcherzami u ogonów. Pakują się, wiążą tłu-rnoki, baby ich narzekają, oczy wybałuszone, w oczach przerażenie. Żołnierze wymykają się chyłkiem z linii, docierają po ciemku do górniczych mieszkań, pukają do okien i skamlą o cy—

wilne ubranie. Armia radziecka wczoraj była już w Sosnowcu., dzisiaj po południu w Katowicach, jutro chyba będzie tutaj!...

‘Gestapowcy biegają z rewolwerami w łapach, krzyczą, obiecują strzelać, spędzają cywilną hołotę hitlerowską do podstawionych wagonów, palą akta i wierzą jeszcze w zwycięstwo. A ka-tiusze rzną gdzie pod Żorami czy Mikołowem jak wszyscy diabli...

Arnold, podobnie jak wszystkie łaskie kopalnie, od trzech dni wietuje. Dyrektora Teichmanna już nie ciekawi, czy w kopalni są ludzie, czy ich nie ma. Czy przy pompie w czwartym poziomie waruje maszynista, czy też woda zatapia pokład Joanny. Pilnuje tylko, by maszynista stał za maszyną



wyciągnął i by pod kotłami była para. W każdej chwili bowiem może zakrzyczeć telefon na biurku, a z telefonu zaskrzeczy rozkaz, by przygotować windę do zjazdu i by zaufany i już dawno wybrany człowiek czekał. To będzie znak, że wszystko skończone! Pozbierać resztę, co jeszcze można zabrać, i w nogi!... Lecz chyba nie wczynie, aż tamci z kopalni wyjadą i zameldują, że zatapia ją woda lub że płonie jak kupa miecia!... Nie, po co czekać?... Jak tylko tamci zjadą, jego służba skończona!... O, mein Gott, raein Gott!...

Stary Szymiczek wszystko przewidział na odprawie w Katowicach. Stary górnik musi bowiem zawsze wszystko przewidzieć. Jeżeli mierć wyczuje, która w piętrze nad głową niemrawie szła-pie i caliznę kruszy, by zepchniętymi kamieniami wydusić życie, to jakżeby nie przewidzieć, co tamte pieruńskie limoki zamierzają uczynić z pokładem Joanny i w ogóle z całym Arnoldem?... Zresztą Zygryda, dzielna dziewczka, dużo pomogła!... Gdy się wszystko uciszy i ułoży po górniczej myli, musi się Szymiczek zakręcić koło wesela. Jeżeli dziewczyna przaje Franciszkowi, czemuż by nie miał się z nią ożenić!... Pieruna, za ojca chrzestnego się wprosi! Lecz musi być synek jak smok!...

Umiechnął się do swych myli i przypomniał sobie o maszynicie Kubieniu na powierzchni. Kubień z pewnością teraz gryzie swój rudy wół i uważa. Szymiczek już dawno wszystko z nim umówił. Jeżeli te piekielniki z trupami główkami na czapkach staną w windzie, zaciskacz w nadszybiu zadzwoni umówionym sygnałem, pomocnik Kubienia za, kulawy Liberda, już wie, co ma

313

zrobić. Po prostu zatelefonuje do podszybia i Śstrzeże załogę dołową, która czeka godzinami i słucha wicheru spadającego w głębi szybu. Teraz posłyszysz krzyk telefonu.

Ś Dłaczego dzwonisz, Liberda?... zapyta kto z nich.

Zjeżdżaj!...

Zjeżdżaj?... W porządku! Już się robi! wrzanie do słuchawki i zacznie walić kluczem lusarskim czy kamieniem w wodociągową rurę. Niemcy tego nie przewidzieli, że wodociagowymi rurami można się wietnie porozumieć. Rury biegną przekopem, rozchodzą się w pokłady, rozbiegają splątanymi drogami, po całej kopalni, dochodzą do przodków, a ludzie słuchają i rozumieją.

Zaciskacz w nadszybiu zadzwonił, jak było umówione. To znaczy, że są trupy główki”. Potem zadzwonił, ilu ich jest. Omiu!... Wszystko w porządku! Kulawy Liberda cisnął zwitkiem konopia, gdyż wycierał łożyska maszyny, pobiegł do telefonu. Ryży Ku-bień siedział na stołeczku za maszyną i czekał. Taki stołeczek jest podobny do królewskiego tronu lub przynajmniej do paradnego fotela pana dyrektora Teichmanna. Kubień siedzi na nim i mógłby sam Hitler wejść do hali, Kubień ani drgnie. Trzyma tylko stery maszyny w dłoniach i patrzy spokojnie na dużą tarczę z jedną wskazówką i na podłużną tablicę z podziałką, po której suną w dół i w górę dwie wskazówki. Tarcza i tablica wskazują, na jakiej głębokości znajduję się windy.

Kubień siedział więc na stołeczku przed maszyną i czekał. Liberda za wrzeszczał przez telefon do podszybia, że omiu zjeżdża. Uwaga! Omiu zjeżdża!...

Kubień podciśgnął powoli stery, maszyna westchnęła, bębny z natoczonymi linami drgnęły, zaczęły się obracać. Lecz pomaleńku, pomaleńku!... Zjadś na czas na dół, aże zjadś!... Trupim główkom mogłaby się przedwzenie jaka krzywda stać w szybie. I tak może robiś ze strachu w spodnie, bo winda nierówno jedzie. Potrzśsa sobś gwałtownie, tłucze się przewodnikami między lizgami, maszyna podrywa niś dziwnie... Kubień patrzy na wskazówki na tarczy i na tablicy, obserwuje ich nierówne plśsanie i umiecha się złośliwie. Jeżeli się lina zerwie, to nic. Albo winda runie do żompia pod czwartym poziomem i trzeba będzie trupie

314

główki w workach wynosić, albo winda zawinie na lizgach w połowie szybu i będzie tam tkwić, aż się nad biedakami zmiłujś żołnierze radzieccy.

Nie! Lina się nie urwała! Lecz zanim winda zjechała na trzeci poziom, rozdzwoniły się rury po całej kopalni.

Cicho, kamraci! zawołał Szymiczek, chociaż wszyscy byli cicho. Bo idś...

Rury krzyczś i krzyczś, by warować, by się strzec, by przygotować granaty!...

Szymiczek przygotowuje się do ostatniej walnej rozprawy. Ciska rozkazami, wskazuje, gdzie się poukrywać. A więc u wejcia do wszystkich trzech przecinek w pochylni. Po obu stronach. W każdej przecince po czterech ludzi. Kilofy i granaty w pogotowiu. Ukryć się za stemplami. LAMPY POGASIĆ. Zapalki także w pogotowiu. Ci w pierwszej przecince od góry, najbliżsi od spodziewanego podpalenia, przygotować cztery aparaty tlenowe i butle z kwasem węglowym... Ho, ho!... Stary Szymiczek wszystko przewidział! Kisiała, Bromboszcz, Hajek i on, Szymiczek, nakładajś aparaty. Ludzie rozchodzś się na wyznaczone stanowiska.

Rury już nie krzyczś, więc tamci sś w podszybiu. Teraz prowadzi ich kto ze sztygarów. Albo ten słodki Zeman, albo napuszony Buzek, który przemianował się na Buscheck. Ludzie we wszystkich pokładach czekajś, czajś się za stemplami, pogasili kar-bidówki. Na trzeciej pochylni wysunęli się do przodu w przecinkach ci z granatami. Ci za z kilofami stanęli za nimi.

Za chwilę rozpocznie się igranie z trupimi główkami. Bo i to obmylił Szymiczek. Oto gestapowcy ze sztygarem pójdś przekopem, wejdś prawdopodobnie do głównego chodnika przejazdowego w pokładzie Joanny i zapuszczś się w kierunku trzeciej pochylni. Lecz zanim dojdś...

O, już się zaczęło! Rury zaczynajś dzwonić. Rurami leci tajemniczy alarm. Niezrozumiałe znaki skandowane rytmicznie, czasem urywane, cudaczne staccato przegradzane złowieszczymi synkopami. Wygrywa je młody Oczadły jak na fagocie a po drugiej stronie przekopu jego kolega, Piskorz, jak na bębenu. Obaj bowiem grywali w jazzbandowym zespole Apollo” w restauracji pana Pyrtka, który napis Oberża Pod Powstańcem” przema-315

lował na Restaurant zum krummen Hund” 1. Szymiczek wie, co teraz myłś trupie główki. Naokoło noc, przekłeta, nieprzenikniona noc, pustka, cisza, dudniśce ich kroki, skaczśce cienie ich nóg po cianach, samotność, opuszczona kopalnia, tajemniczy labirynt, a znienacka wystrzela w ciszy

denerwujący rytm przedziwnych dźwięków w rurze. Dźwięki oddalają się, zbliżają, zabiegają im drogę, piętrzą się nad nimi i zniemacka milkną. Potem znowu. Rytm z początku lekki i jakby figlarny przekształca się w ponury werbel, który głosi śmierć. Szymiczek wie, że tamtych, musi przerażać ów niesamowity głos w rurach. Idzie z nimi, przed-biega ich, wraca, ucieka, potem znowu dopędza i towarzyszy im wiernie, natrętnie, obmierzle. Tamci strzygą uszami, oglądają się, wypatrują ładu człowieka, najdrobniejszej kropli wiatła w ciemnościach... Nie ma nikogo! A jednak jest kto!... Musi być dwóch czy trzech, czy zgoła kilkunastu!... Drażniące dźwięki w rurze przerzucają sobie, niewidoczni i dlatego straszni, żonglują nimi jak brzęczącymi piłkami, ciskają w przestrzeń i zniemacka wszystko milknie. Wtedy zestokrotniona cisza spada na trupie główki i dławi ich ponure serca.

Podróżnicy zablaskani w dziewiczej puszczy muszą słuchać z podobną trwożą tajemniczych głosów bębna osaczających ich ze wszystkich stron. Za chwilę posypią się strzały z zielonej gęstwiny. Za chwilę winie cinięty granat z ciemności i rozpęknie się ognisty strug śmierci. Trupie główki kulą się, stępnają niepewnie, wciekają w poczucie swej bezsilności, myślą o odwrocie. Wodociąg zamilkł.

Ś Szymiczku, chyba już dochodzisz? Ś zapytał kto z ciemności.

Szymiczek milczy. Wie, że jeszcze raz rozdzwoni się ponury, żalony, niepokojący werbel. Długo czekał.

Czyżby poszli do innego pokładu? - zaniepokoił się ten sam głos w ciemnościach.

Nie poszli do innego pokładu. Zygryda Buchholtz dobrze słuchała i dobrze notowała w pamięci przebieg ostatniej narady w gabinecie Teichmanna.

- ...Im dritten Horizont, dritter Bremsberg! - rzuciła Szymiczekowi stłumionym głosem w tamtą noc przed trzema dniami, gdy

Restauracja Pod Kolawym Psem.

316

go znowu wypukała z mieszkania i przyczajona czekała pod cianą.

Dla Szymiczka to wystarczyło. Przyjdź więc na pewno do jego pochylni. Chyba że w ostatniej chwili zmienili plan. Zygryda byłaby jednak uwiadomiła maszynistę Kubienia, Kubień za jego.

I znów rozdzwoniła się gwałtowna, krótka pobudka, wystukiwana na kształt ubogiej melodii. Rytm rwie się, strzępi, przewala, wystrzela jak raca ostatnim synkopem i zapada cisza.

Cisza aż dzwoni. Szumi w niej leciutki, słaby, komarowy wiew stęchłego powietrza. Rozłupują się drobne szelesty oddechów niewidocznych ludzi i westchnień kopalni. Czas cieknie między szelestami jak czarna mgła, sieje mak, i ludzkie oczy, zmęczone czuwaniem, przywierają się po niewoli. -

Czyżby fałszywy alarm? Ś dziwi się znowu czyj głos Św mrokach.

Może iposzli do innego pokładu? zastanawia się głos z drugiej strony.

Cicho! Idś!... syknął trzeci głos. To był głos Szymiczka. Gdzie daleko trzasnęły drzwi. Leciutki sztych trścił wewnątrz

uszu. Teraz drugie drzwi!... Aha, idś do drugiej pochylni!... A polem jeszcze trzeci łomot drzwi. Zmiętił się drobny szum powietrza, spęczniał jak czarna purchawka i rozplynął w leniwś smuzkę.

- Idś!

Wychylone głowy z przecinek wypatrujś wiateł. wiatła kolebiś się na dnie pochylni szeroko, nieskładnie... Oczy liczś... Trudno je policzyć, bo szmatłś się kolawie, kryjś, znowu wyblyskujś. Podobne do wystraszonej kupki baranów wietrzścych wilka... Oczy już zdołały policzyć. Omiu ich idzie. A więc tylu, ilu podał wodociśg z podszybia. wiatła błyszczś, błyszczś postrzępione bryzgi na wyglancowanych cholewach. Przylatujś stamtśd splśtane głoso. Idś niepewnie. Widać, że gestapowcy rozglśdajś się nieufnie, przeczuwajś zasadzkę.

Patrzś na nich oczy z trzeciej przecinki. Oczy wyławiajś z mroków kształty znieawidzonego człowieka. Tamci idś głono, buńczucznie. Nie wypada okazywać lęku. Pod pachś trzymajś nastro—

317

szone pistolety automatyczne. Dwóch z nich niesie pakuły. Trzeci sporś bańkę blaszanś. Widać z benzynś.

Minęli trzeciś przecinkę, podchodzś do drugiej. Kto z nich zakłśł, kto głono się rozemiał. Widać tamten przeklinajścy wyrzñł łbem o złamanś stropnicę i teraz narzeka, bo mu czapka spadła, a guz ronie na głowie. Koledzy radzi sś temu. Takie drobne na pozór zdarzenie odgania lęku. Gruby miech wypędzą znów niepokojścś samotnoć. -

Ludzie z drugiej przecinki wypatrujś ich przesuwałśce się kontury. Wiedzś dobrze, co naporęczył Szymiczek. W zbiorowym wysiłku wszystko musi toczyć się składnie jak w zegarku. A więc, gdy tamci dojdś do połowy drogi między drugś a pierwszś przecinkś, Szymiczek trzanie kamieniem w wodociśgowś rurę. Raz tylko. Wtedy trzeba odliczyć: Raz, dwa i trzy!... ŚŚ i cisnś granatami. Szybko uskoczyć w przecinkę. Równoczenie cisnś i ci z pierwszej przecinki.

I tak się stało.

Z drugiej przecinki wyzierały za gestapowcami poźśdliwe oczy. Dłonie trzymały przygotowane granaty. Tamci w pierwszej przecince to samo czyniś. Czekaś... Już!...

Rozłamał się zgiełk uderzanej rury, palce odbezpieczyły granaty, granaty mignęły w pochylnię. Rozłamały się splśzczone grzmoty eksplozji, wytrysły przerażone krzyki, poleciały rude płomienie...

Wrzask ronie, przemienia się w bolesne wycie. Kto charczę, kto się dławii. Wybucha jasny płomień, cieknie między torem kolejowym, skacze jak ognisty wodospadzik po podkładach. Kto stamtśd ucieka

na olep. Za nim drugi!... i trzeci!... Ten pierwszy zwała się. Potykajś się nam nim jego dwaj towarzysze. Tworzś szamoczścś się kupę.

Granatem w nich! krzyczy kto z drugiej przecinki. ‘ Poleciały dwa granaty, pękły, bluznęły strugś ognia. I już było po wszystkim. Ludzie Szymiczka dziwili się, że to już koniec. Ile minut minęło od chwili, gdy poleciały pierwsze granaty? Trudno powiedzieć. Było to raczej mgnienie oka.

318

Towarzysze wybiegli z drugiej i trzeciej przecinki. Dym zastłpił im drogę. Z góry pochylni wciśz cieknie benzyna jadowitś, płonścś strużkś, podbiega pod nogi, syci żarem duszne powietrze. Przed nimi, poniżej pierwszej przecinki ronie ciana płomieni. Skwierczś w nich ciała poległych gestapowców i przewodnika, palś się ubrania, zajmujś stemple pod prawym ociosem. Stemple płonś jak pochodnie. Po drugiej stronie Szymiczek ze swymi siedmiu towarzyszami’. Na co czekajś? Powinni już wybiec koło lewej ciany, bo udławiś się dymem!...

Wybiegajś! W długich skokach, nisko nachyleni wylatujś ze smolnego dymu. Dym czołga się w kłębach i wypiera ludzi do upadu. Płomienie uczepliły się prawego ociosu i teraz rozwijajś się jak szerokie, rude, postrzępione wstęgi, huczś, rozplaszczajś pod stropem, oblizujś stropnice i ofelowania.

Został tam jeszcze Szymiczek z dwoma towarzyszami. Może ucieka w tej chwili przecinkś do chodnika obchodowego. Chodnik ów biegnie za kilkumetrowś caliznś równolegle do pochylni.

..Nie! Oto wybiega z dymów w aparacie, z maskś na twarzy, podobny do ponurego straszydła o długim ryju, o ogromnych, wytrzeszczonych szklanych oczach. Za nim drugi i trzeci towarzysz!...

Zeszli do upadu, zdjęli maski.

Spod hełmu Szymiczka wylaźś siwe, osmalone włosy. Spokojny i opanowany ciska rozkazami, lecz przede wszystkim klnie.

Ale mymy się dostali! Jasny pierun trzanie!... Dawać mi siekiera, musza rozbić wodociśg. A reszta niech biegnie pod szyb po aparaty i alarmuje całś załogę dołowś. Ale nas dostali, skurczybyki zapierunowane!... Jeżeli magazyn zamknięty, wywalić dwierze!... Przynieć wszystkie aparaty! Wyjechać na powierzchnię lub zatelefonować do Kubienia. Ludzi na powierzchni zaalarmować. Niech tam Kubień wyje na syrenie jak wszyscy diabli!... Że w pokładzie Joanny pożar!... Pieruńsko mymy się oszydzili!... Teraz tamci się smaźś jak krupnioki w kastrołu, ale co nóm po tym, kiedy zapierunowany ogień!... Przynieć butle z kwasem węglowym! Sposobić materiał do budowania tamy! Hej, kto tu najstarszy! Szczerbowski! Wy, Szczerbowski, obejmijcie przewodnictwo! A już, pieruni! Co jeszcze stoicie?...

Pognali wszyscy za Szczerbowskim, przy Szymiczku zostało tyl—

319

3ło trzech towarzyszy z aparatami. Nałożyli je na siebie, wzajemnie sprawdzili, czy dobrze leźś, czy

kurki od butli z tlenem otwarte. Założyli maski, przemienili się w cudaczne poczwary. Poszli w dym spływający coraz niżej do upadu. Karbidówki zostawili pod cianś, bo i tak im niepotrzebne. Nic przy ich wietle nie zobaczś w dymie. Poprowadził Szymiczek. Każdy z nich trzymał pod pachś butlę ze sprężonym kwasem węglowym. Byli podobni do maszkar przy nionych w jakim obłędzie czy do majaków zrodzonych w gorścce. Zanurzili się w dymie po kolei. Trzymali się lewej ciany. Brodzili uciźźliwie. Szymiczek dostrzegł skro jego zwałów rude błyski. Przeszedł na prawś stronę, wymacał dłoniś rurę wodociśgowś, ciśł kilka razy siekierś. Rurka pękała. lecz woda nie cieknie! O, jasny pierun!... Widać tamten przekłety sztygar, co przyprowadził gestapowców, zamknśł gdzie wentyl. Albo jeszcze na powierzchni, albo pod szybem!... Nie ma teraz czasu na sprawdzanie!

Wsunśł siekierę za pasek, ujęł mocniej pod pachę ganicę, otworzył kurek i wycelował rycźścś strugę kwasu w jśdro ognia. Jego towarzysze uczynili to samo. Jasne strumienie wyjęś, pieniś się. duszś płomienie, płomienie za wycofujś się opornie. Szymiczek depcze im po piętach. Obok niego towarzysze. Z pasję atakujś ogień, zaciskajś zęby, klnś i zachęcajś samych siebie:

A ty zapierunowany ogniu! A jeszcze go!... A jeszcze!... Zdychaj bestio!... Tak!...

Żar piecze w dłonie. Z ulgś wyczuwajś wszyscy radosny chłód bijścy od wylotu ganic. Lecz ich nogawki zaczynajś tleć. Strzepujś ogień z nóg, pocś się w rozparzonym dymie, na olep już teraz tryskajś białymi strugami kwasu, ogień za dławii się powoli. Przepalone stropnice walś się, ze stropu spadajś kęsy węgla z hurkotem> Ogień wyranie zdycha. Kurczy się i blednie w dymie. O, tam jeszcze błyszczyc jaskrawo!...

Szymiczek obszedł z boku ognisko, trysnśł strugś kwasu. Wciśż trzeszczś stropnice i wciśż zwalajś się kęsy węgla czy kamieni. mignśł koło niego złamany, szpiczasty koniec stropnicy, zahaczył -o rurkę od aparatu, wyrwał!...

Ś Jasny pierun! To już koniec! uwiadomił sobie Szymiczek. Lecz nim się wycofa, musi resztę kwasu wypucić w konajścy

320

ogień. Próbuje lewś rękś wetknść zerwanś rurkę do maski. Dławii się. Dym go dławii. Bestia przeciska się do maski. Pali w płucach, łeb się kręci, w oczach rozlatujś się błękitne błyskawice o rudych brzegach. Jeszcze tych kilka sekund!... Dostyc!... Wypucił sycźścś butlę, bo go jęła ogarniać wielka omdłałość. Zawrócił do upadu. Tamci chyba ugaszś do reszty. Plśtały mu się nogi, załamywały kolana. Wyszedł z dymu i zwalił się na spśg. Czuje, że kto go podnosi, wlecze do upadu, zdejmuje maskę, co mrućcy... Potem wszystko się skończyło.

Ocucił się pod szybem. Leżał na płytach, ze zwinięts marynarkś pod głowś. Cuchnśł wymiotami. Widzi koło siebie jak przez mgłę wieniec wiateł.

Co jest, koledzy? wymamlał z wysiłkiem.

Żyje!

A jo zarozki padól, że jak się porzšdnie zerzygo po tym na-dychanym smrodzie, to wszystko w porzšdku!

Co jest, koledzy? pyta powtórnie.

Co by miało być? Nic nie jest!

Ogień na trzeciej pochylni?... Ś Zdycho gizd zapierunowany!

Zgaszony?

I teraz dowiedział się, że ogień nie ugaszony, lecz zdycha. Ludzie budujš dwie tamy. Nie starczyło kwasu w ganicach, jego towarzysze ustšpili, pozornie pożar ugasili, lecz ogień dotarł w popękany oszydny strop, w owš ławę węgla pod stropem i tam się tli... Nie można-dojć do niego. Więc górnicy budujš tamy. Jednš tamę nad trzeciš przecinkš. Tam pracujš w aparatach, bo dymu, aże dymu! ... Zmieniajš się co godzinę... A drugš tamę w upadzie, u wejcia do trzeciej pochylni.

A co na wierzchu?

Niemcy wiejš aż uciecha... Radzieccy żołnierze podchodžš już pod hałdę... Na hałdzie okopali się Niemcy. Opierajš się... Lecz już ich czas policzony! No, a teraz leżcie, SzymiczkuL.

Szymiczek nie leżał. Gdy przyszedł jako tako do siebie, wstał z trudem i kazał się zaprowadzić pod trzeciš pochylnię. Zdumiony był widokiem tyłu towarzyszy. Okazało się, że Kubień umiał zaalarmować skutecznie całš kolonię górnicžš. Gdy się towarzysze

2] Pokład. Joanny

321

dowiedzieli, że w Arnoldzie pożar, wszystko ruszyło biegiem na szyb. Brakło lamp i tylko tyłu zjechało, ile ich starczyło dla nich. Tamci na powierzchni niecierpliwiš się, spuszczajš wózki z drzewem, wapnem, cementem i piaskiem i chociaż kulki gwizdžš nad nimi, to tylko się uchylajš i znowu swoje robiš. Po obu stronach kopalni strzelanina, gdyż Niemcy nie chcš ustšpić. Ci za, co zjechali na dół, uwijajš się gorliwie. Szymiczek widzi, jak pieszš po przekopie, pchajš wagoniki z materiałem, jak wynoszš cegły z upa-du chodnikiem obchodowym dla tamtych pracujšcych w dymie, jak w taczkach wiozš pod górę wapno i cement, mozolš się z wodš w konewkach, jak wszyscy sš podnieceni, klnš szpetnie, zawzięci i uparci. I jak drużyny ratowników w aparatach, z nie nałożonymi jeszcze maskami, niecierpliwiš się, by móc zluzować swoich kolegów na trzeciej przecince. A tamci na trzeciej przecince wytrzymujš do ostatka. Całe dwie godziny. Na jak długo starczy tlenu w butli...

Tamy już sš prawie pod stropem!... objania go kto z górników. Nie poznaje go Szymiczek, bo towarzysz umorusany, czarny jak diabeł, spocony. Ogień tam zdechnie na fest!

A kto przewodzi robotom? pyta podniecony Szymiczek.

Kto?... Franciszek KuderaL.

W jego stroskane serce spłynęła ogromna ulga.

ZAMUŁKA PŁYNIE . ‘

Franciszek Kudera z ulgą słucha jednostajnego brzęczenia w rurze nad głowś.

Obok niego siedzi stary Szymiczek i także słucha. Żuje powoli tytoń, miesi go językiem i spluwa z zadowoleniem. Rura nad nimi gra grubym, szeleszczącym basem metalicznym.

Zamułka płynie, Francku! zauważył Szymiczek patrząc z uwielbieniem na rurę.

Płynie... potwierdził Kudera i znowu się zamylił. Pierwsze oddziały radzieckich wojsk przeszły przez podwórze

kopalni Arnolda, gdy stanął w nadszybiu. Był uznojony, brudny, zaronięty na twarzy i obdarty, gdyż szedł z nimi już trzeci dzień i drugą noc. Pędził w ich towarzystwie od Sosnowca skokami przez pola, hałdy i wśdolce, pchał się do pierwszej linii, przypadał do ziemi, zrywał się i znowu szedł. A obok niego MaszkaL. Bez? Maszki w ogóle nie dałby sobie rady. Był mu tłumaczem i opiekunem wśród tych dziwnych żołnierzy idących bez wytchnienia, podobnych do zajadłych chłopów, którzy w nagonce ruszyli na srogiego zwierza i teraz w milczeniu zapędzają go w matnię, osaczają i tępiś. Patrzył na tych ludzi w zdumieniu. W ich częstokroć sko-

21\*.

3^3

nych oczach dostrzegał jaki zaciekły upór, zdumiewało go ich żywiołowe parcie naprzód, szli jak ogromna szara lawina.

Kuderze pieszyło się do pokładu Joanny.

Po drodze bowiem, gdy mijał kopalnie na wyzwalanych już terenach, spotykał się z górnikami, którzy warowali koło szybów.

Co tu robicie? pytał.

Strzeżemy naszej kopalni! Hitlerowcy chcieli ją podpalić!..., odpowiadali tamci.

Naprawiamy przewody elektryczne, bo hitlerowcy chcieli naszą kopalnię zatopić! tłumaczyli na innym szybie. Pompy stanęły, ale już idź! dodawali z radosną przechwałką.

Wszędzie więc górnicy obronili swoje kopalnie, lecz czy jego towarzysze potrafiś obronić pokład Joanny?... Bo nie wśtpił, że dyrektor Teichmann będzie chciał zniszczyć Arnolda. Albo zatopi cały dół, albo wzniesi pożar w pokładzie Joanny! Wysuwał się przeto wciśz do “pierwszej linii, krzyczał na żołnierzy, by się pieszyli, ci za zamiewali się ubawieni, patrząc na obdartego cywila z czerwonym przepaską na rękawie, który na nich krzyczy i zachęca do popiechu. Maszka tłumaczył im, że to porządny człowiek, że to ich człowiek, że to komendant partyzantów, że zniszczył siedem



popiesznych pociągów niemieckich z wojskiem i materiałem wojennym, że spalił schronisko na Salmopolu w takich górach, które nazywają się Beskidy, a w schronisku tym oszańcowali się gestapowcy i esesmani i tam się spalili, że wykradł rannego towarzysza ze szpitala, że...

Maszka, skończ, pierunie, z tym fanzoleniem!... przerywał mu Kudera.

W ot, geroj! ŚŚ wołał Maszka wskazując szerokim gestem na swego komendanta, towarzysza Arnolda, i znowu zaczynał wyliczać jego zasługi i czyny. A teraz chodzi mu o takś szachtę, gdzie jest pokład, a ten pokład nazywa się Joanny Joannowiczówny, węgiel za w tym pokładzie jest cenny jak samo złoto, bo koksuje, i jeżeli Gernancy podpalili ten pokład, to cała szachtę czort wemie... t

O szyb Arnolda wszczęła się walka pod koniec dnia. Walka była krótka. Niemcy okopali się na hałdzie i mając kopalnię i jej podwórze pod ostrzałem, nie dopuszczali do niej radzieckich żołnierzy—

324

rzy. Na kotłowni za wyła syrena. Kudera słyszał jej narzekanie z daleka i poruszony i zniecierpliwiony truchlał. To alarm!... Pożar na dole!... A więc jednak!...

Kudera znał dobrze teren kopalni. Wiedział, że jeżeli okrążyć hałdę wielkim kołem przez zapadliska po bieda-szybach, można Niemców zająć od tyłu i od lewego skrzydła. Pobiegł z Maszka do oficera, wytłumaczyli mu wszystko. Dobrze!... Powiedli za sobą kilkunastu radzieckich żołnierzy z trzema karabinami maszynowymi. Syrena na kotłowni wciśz wyje!...

Obeszli, dotarli, wdrapali się na hałdę z tyłu pozycji niemieckich, ustawili karabiny maszynowe i rozpoczęła się koba!... Kudera potem już nie wracał, lecz poszedł na most wiodący z hałdy do sortowni. Z mostu widzi swoich towarzyszy-górników. Biegną chyłkiem na szyb, uwijają się po podwórzu, wpychają wagoniki do windy. Słyszysz, jak rżęzi para, jak tam gdzie wrzeszczą przerażone kury w kolonii górniczej, płaczą dzieci, beczą kozy i klaszczą strzały karabinowe. Górnicy coraz uchylają się nisko, kryją za wagoniki lub zgoła kładą się plackiem na ziemi. Widać, że tam jeszcze nad nimi bzykają ostatnie kulki. Potem zrywają się i znowu pieszą z robotą.

Kudera poszedł przez opustoszałą sortownię. Wionął w niego znajomy zapach węgla. Zapach jest lekko słodki i ciepły. Maszyny stoją. Wszędzie ciężka cisza. Przez zakurzone szybki przeszcza się ostatek zachodzącego słońca. Wnętrze sortowni robi wrażenie, że to czarna, zakurzona kostnica, w której leżą pokotem zdechłe tru-py-maszyny.

Wybiegł z sortowni na most wiodący do nadszybia.

Hej! Towarzyszu! zawołał na przebiegającego górnika. W którym pokładzie pożar?

W pokładzie Joanny!

Kudera zjechał do kopalni i objął kierownictwo akcji ratowniczej. Opanował szybko zamieszanie. Jść wydawać rozkazy krótkie, ostre, stanowcze. Uczuł się znowu w roli dowódcy swego oddziału lenych ludzi beskidzkich, gdy wydawał im ostatnie, decydujące rozkazy przed rozpoczęciem roboty. Lada chwila nadjedzie niemiecki pociąg popieszny. W pociągu są tylko żołnierze i oficerowie. Na

czeniu, odchodžš. Wtedy trzeba skoczyć i szybko odkręcić ruby. I zniknąć, bo już wracajš...  
Przeczekać. I znowu skoczyć... Potem odsunąć kraniec rozkręconej szyny, wygiść lekko na zewnątrz  
toru Skoczyć w mroki! Przeczekać... Znowu wrócić! W szparę włożyć klin, by odsunięta szyna nie  
wróciła w dawne położenie... Znowu odskoczyć... O, już idzie pociąg... No, już!...

Tam była walka i tu była walka. Nie było między nimi różnicy. Tam wróg i tu wróg! Jego leni ludzie,  
pomagali armii radzieckiej chociażby tylko w drobnej mierze w jej miażdżącym pochodzie na  
zachód. Teraz jego towarzysze pomagali mu zniszczyć ogień...

Już bestia zdycha!...

W rurze nad głowš zamułka płynie i płynie. Piękny, czysty kwarcowy piasek zmieszany na wpół z  
wodš, bez domieszki gliny i próchnicy, cieknie z powierzchni rurami, wędruje po trzecim przekopie,  
pcha się chodnikiem obchodowym w górę na trzeciš pochylnię i bucha z wylotu rury za tamš... Teraz  
już raz nareszcie ogień będzie zduszony! Wgryzł się, bestia, w węglowy strop jak czerw w owoc i  
drżzył w nim kanały, przemieniał w koksowy żużel wydzielał czad, truł ludzi i skradał się chytrze i  
wytrwale coraz dalej i szerzej!... Gdy zamułka dojdzie pod strop, ogień zacznie nareszcie zdychać!  
...

Kudera wstał i owiecił manometr wmontowany w rurę tuz przed tamš. Wskazówka jeszcze tkwi pod  
jedynkš.

Jeszcze czas, Francku! - zauważył Szymiczek. - Zanim zamułka zaleje tamte wszystkie wyrobiska i  
całš pochylnię od dołu aż po trzeciš przecinkę, ho, ho!... Ale pięknie to obmylił, synku!... -  
pochwalił go szczerze. - A co miołech powiedzieć, a nic nie dać... Ty, Francku, jeste teraz  
naczelnym inżynierem. Teraz ci już nie mogę mówić przez ty”, lecz wypada mi ci troić, ni? Ale o nie  
tym chciołech mówić. Wiesz, jeste teraz naczelnym inżynierem. To to samo co dyrektor!... Słusznie  
ci sie należy!... Ale tu mi chodzi o co innego...

Więc mówcie, Szyrniczku, mówcie, a nie kołujcie!...

Dyć mówię! Wiesz, a kiedy sie żenisz?... Zygryda ci prza-jeL.

Kudera umiechnł się, poklepał Szymiczka życzliwie po ramieniu.

Najpierw ogień, Szymiczku, musi zdechnąć!... A potem będzie czas o czym innym pomyleć!

Nastało milczenie. I znowu słuchali radosnego brzęczenia za-mułki w rurze i zapatrzyli się w swoje  
myli.

Oto już jest prawie po wszystkim. Dobrze tak siedzieć pod cianš i słuchać tamtej muzyki. Człowiek

wie, że już jest zwycięzcą, że już nareszcie pokonał przeklęty ogień. Rura brzęczy i brzęczy, a jej głos podobny jest do grania fanfary na zwycięstwo.

Zachnął się, bo mu się wydało, że porównanie jest zbyt sztuczne i mieszne. Nie ma żadnych fanfar, nie ma żadnego powodu do zgrywania się, chociażby tylko we własnych myślach, w roli bohatera. Podjął się walki z ogniem tak samo, jak podejmowali się jej wszyscy, dosłownie wszyscy górnicy z Arnolda, z tym samym gestem, jak na przykład podbijają stempel pod nawisły strop czy po prostu wycierają pot z twarzy rękawem koszuli. Nic więcej nie było w ich geście.

Przypomniawszy sobie tamte pierwsze chwile po objęciu kopalni Arnolda przez załogę górniczą i radę zakładową.

Ha, to były wspaniałe chwile!...

Nie było niczego! Ani prądu elektrycznego, ani wiatła, ani żywności. Mapy kopalni częściowo zniszczone, niewiele zdołała uratować Zygfryda! A potem brak karbidu, akumulatory w elektrycznych lampach wyczerpane, brak butli z tlenem do aparatów ratowniczych, brak kwasu węglowego do gaszenia pożaru na trzeciej pochylni, maszyny unieruchomione, a tu pożar grozi całemu pokładowi Joanny, woda wypełnia żompie w czwartym poziomie i zalewa nieczynne pompy elektryczne!... Nie ma inżynierów i większości sztygarów, bo uciekli z ostatnimi oddziałami wojsk niemieckich, ludzie głodni!... Jasny pierun!...

I gdy jedni stawiali tamy i zamykali ogień na trzeciej pochylni, naprędce zorganizowana ekipa pobięła naprawiać elektryczne przewody, sztukować je, wieszając chociażby prowizorycznie na masztach, a reszta poszła na dół i ratowała zagrożone filary i chodniki. Nikt się nie pytał, czy mu za to Zapłać lub ile mu

327

1

plac. Zrozumieli, że to już jest ich kopalnia, a nie czyja inna. i ratując pokład Joanny, ratują go dla samych siebie. Krzywił się teraz Kudera myśląc o tamtych słowach, które ci-:ał w zebrany tłum towarzyszy przed szybem na powierzchni, czy nie miał innych, prostszych na podporządku. Pragnął, by każde rło podobne do bryły węgla, a nie do mdłego cukierka owinię-go w kolorową bibułę. I mimo to nie mógł się ustrzec, by od czasu do czasu nie posłużyć się jakimś górniczym zwrotem, któ-

dla jego towarzyszy był pustym dźwiękiem. Zrozumieli go dopiero wtedy, gdy powiedział prosto, że w myśl Manifestu Północnego Komitetu Wyzwolenia Narodowego z dnia 22 lipca ubiegłego roku kopalnia Arnold, podobnie jak wszystkie kopalnie w Polsce, stała się własnością całego narodu polskiego i że teraz żyje już nie na kapitalistę, lecz na rzecz wspólnego bra...

Przypomina sobie tę dziwną chwilę, gdy nazajutrz zjechał na ł, poszedł do pokładu Joanny w towarzystwie najstarszych gór-ców i członków rady załogowej i gdy w pewnej chwili przerwał i narady, przystąpił do ciany w filarze, położył na niej dłoń Szekła prosto:

To jest nasz węgiel!...

To wszystko. I to jedno zdanie zrobiło więcej aniżeli tomy uczo-ch wywodów. Towarzysze byli wzruszeni, aczkolwiek usiłowali \*o nie okazać. Podchodzili do ociosu i za przykładem Kudery idli również dłoń na węglu i wymawiali, jakby jakie zakłęcie Y sakramentalnš formułkę:

To jest nasz węgiel!...” <

W ich gecie było jednak tyle prostoty, że mimo ogromnego tosu, który cechował ów lub człowieka z węglem” jak to niej okrelił odczytany Zdzisław Kobiela nikt się go nie po-tydził ni nie żałował, że dał się opanować tak osobliwemu Tuszeniu i że to wzruszenie zamknšł w tak nie mniej osobliwym cie. Ludzie w pierwszych dniach pracowali przez całš dobę. Takiego

przykład Kubienia nie miał kto zastšpić, bo obaj maszynicy Irugiej i trzeciej zmiany, Kunz i Lehmann,k powędrawali na za-5d. Tkwił więc za swojš maszynš i chwilami drzemał. Wtedy wybiegał kulawy Liberda, tršcał go i mrucał:

Pieruna, Kubieniu, nie pijcie, bo wyjedziecie windš do korony na wieży i do żompia i narobicie stomiliońskiego mara-

. SUL. ||:

Ale kiedy mi, synku, gorol po oczach szłapie!... uniewinniał się Kubień.

Lecz potem przyszedł go złuzować brat Szymiczka z sšsiedniego szybu.

Kudera przez kilkanacie dni nie opuszczał kopalni. Gdy zmęczenie było już tak wielkie, że w nocy zasypiał za biurkiem po odejciu którego z górników, kładł się na kilka godzin na leżance w biurze. Gdy się budził, dziwił się, że pod głowš ma poduszkę i że nakryty jest grubym kocem. Domylił się, że to Zygfryda w porozumieniu z jego matkš troszczy się o niego. Matka przynosiła mu w południe w dwóch garnuszkach, zawišzanych w chustę, trochę polewki z ziemniaków i l ugotowanej kapusty z kęsem czarnego chleba.

Syneczku złoty! narzekala, gdy jadł. Siedzisz tu i siedzisz, już schudł-jak szczapa, pójd do domu przespać się, odpocząć...

Mamulko, jeszcze nie!... Aż wszystko będzie zabezpieczone!..., Po raz pierwszy od pięciu miesięcy odpoczywa teraz po tamtej

harówce. Z poczštku niepokoił się, że mitręży czas siedzšc beczynnie pod tamš i słuchajšc bełkotu zamulki. Lecz stary Szymiczek umiał go przekonać, że należy mu się odpoczynek sprawie-\*’ dli wie, gdyż z takiej roboty nawet konie zdychajš!... vi )ff Odpocznij se, Francku, odpocznij!... To ci się słusznie należy, flj\* jr aże należy!...

[ JI Siedzi więc teraz wygodnie oparty o cianę i snuje myli pod (Ś\* wtór metalicznego szumu zamulki. Zresztš i tak nie próżnuje, bo pilnuje manometru. Wprawdzie wystarczyłby do tego pilnowania sam Szymiczek, lecz ponieważ to jego dzieło, więc nikt mu nie może zarzucić, że

leniuchuje. Wstał znowu, owietlił manometr.

Oho! Już się rusza! zawołał uradowany.

Szymiczek podszedł, wpatrzył się we wskazówkę. Ruszyła lekko spod jedyńki.

Kiedy wstrzymamy dopływ zamułki? zapytał.

329

Gdy manometr wykaże pięć atmosfer cinienia!

To znaczy, gdy wskazówka będzie na pištce?

Tak jest, Szymiczku! Gdy wskazówka stanie na pištce!

Rury wytrzymajš cinienie?

Zobaczmy! Dobrałem odpowiednie rury!...

Usiedli znowu i znowu się zamylili. Rozumieli, że w tej chwili dokonuje się wielka rzecz. Chyba największa, jak długo istnieje pokład Joanny. Oto zamułka gasi ogień. Wprawdzie przed wojnš co podobnego zaszło na Kleof asie, lecz wtedy zginęło trzech ludzi, a zbierajšca się para wywaliła tamę i szeciu ludzi, czyli cała drużyna, zostało odciętych w lepej przecince. Przez szec dni grzebano się do nich. Że wtedy ludzie nie poszaleli, to dziw! Osiwieli tylko niektórzy. A byli już blisko skonania. W ostatniej chwili załoga ratownicza przebiła się do nich...

Kudera wiedział o tym i dlatego też zostawił otwór w tamie pod stropem. Gdy para będzie się zbierała, znajdzie miejsce i wyjdzie sobie spokojnie. Teraz ze szczeliny w tamie sšczy się rzadkie pasmo dymu i spływa do wentylacyjnego chodnika.

Pasemko dymu przypomniało mu mierć dwóch dzielnych towarzyszy. Wyjechał wtedy do Krakowa na trzy dni, gdy się to stało. Jako w dwa miesišce po wzniesieniu tam. Wtedy jeszcze wszyscy łudzili się możliwościš ugaszenia pożaru kwasem węglowym. Wyzaczył do tej pracy tylko ochotników.

Inżynier Kudera wszystko obmylił i omówił ze sztygarem Moł-drzykiem. Wemie szeciu ludzi z drużyny ratowniczej oraz dozorcę Hajka. Za tamš zostawi odwód złożony również z szeciu ludzi. Pocišgnie drut telefoniczny. Jeden z górników poniesie przenony aparat telefoniczny. Wszyscy będs mieli na sobie strażackie pasy z piercieniami po lewej stronie. Przez piercienie, pozwalajšce się odmykać, będzie przecišgnięty powróz. Wezmš z sobš lampy elektryczne, chociaź nie będzie z nich wiele pociechy, i butle z kwasem węglowym oprócz zwykłych narzędzi. Spróbujš zerwać strop z gniezdźšcym się w nim ogniem i zagasić. Pamiętać o tym, że zapas tlenu w butlach wystarczy tylko na dwie godziny. Poniewaź na przejcie od tamy pod pochylniš do miejsca ogniska trzeba przeznaczyć okołó dwudziestu minut czasu, w drodze powrotnej również dwadziecia minut, przeto na pracę pozostaje tylko jedna godzina i dwadziecia minut. Obowiškiem sztygara będzie, poza dozorowaniem pracy, kontrola manometrów wykazujšcych iloć atmosfer tlenu w butlach. Manometry sš niefortunnie umieszczone na butlach, butle za na plecach ratownika. Jeźeli się jednak okaźe, że próba ugaszenia

pożaru zawodzi, wycofać się!... Odwócl za tamš musi być w stałym pogotowiu. W fazie alarmu ludzie nałożš maski i ruszš za tamę.

Kto pójdzie na ochotnika? zapytał nazajutrz sztygar Moł-drzyk w cechowni.

Wszyscy! Nawet ten dychawiczny Bromboszcz wrzeszczał, że pójdzie!

Mołdrzyk wybrał szeciu, drugich szeciu do odwodu i poszli.

Odwód został przed tamš. Mołdrzyk ze swymi ludmi wstšpił przez podwójne drzwi za tamę. I wszystko się działo, jak było omówione na odprawie. Pierwszy kroczył Mołdrzyk brodzšc na olep w czarnym, smolistym dymie. Trzymał dwa dršzki w dłoniach i wyszukiwał nimi drosrę. Chodziło bowiem o to, by nie wejć w boczne okna, wiodšce w zawaliska. Dym był tak gęsty, że elektryczne lampy istotnie nie zdołały przebić ciemności głębiej jak na pół kroku. Wszyscy byli podobni do gromady lepców z obrazu Breughela<sup>1</sup>, niezdarni, potykajšcy się. Mołdrzyk wiódł ich na linie zaczepionej u jego pasa, a przeprowadzonej przez piercienie u pasów kaźdego z ratowników. Była to gwarancja, że nikt nie zejdzie z drogi. Jeźeli kto Spotknšł się i upadł, szarpnięta lina ostrzegła wszystkich o wypadku. Tamten wstał i zawołał: Upadłem! Wstałem! Idę!... a reszta ratowników podawała jego słowa jeden drugiemu. Doszli na miejsce. Źar piekielny. Rozpoczęli pracę. Sztygar Mołdrzyk skontrolował, czy polowy telefon i jego przewód funkcjonujš. W porzšdku!

Podcinali stemple, wywalali ie, zrywali strop. Sypał się rozżarzony gruz ze stropu, ludzie gasili. Chłodzili się mrozem, jaki wytwarzał się u wylotu ganic. Pracowali prawie omackiem. Dym zasłaniał i zatapiał wszystkich. Dym był goršcy i prawie że dotykalny. Kłębił się i przewalał iak smolna mgła. Sztygar coraz spoglšdał na zegarek. Juź sporo stropu zwalili, gdy znów nań

<sup>1</sup> Breughel malarz flamandzki z XVI wieku.

330

331

ijrzał. Pracujš juź jednš godzinę i pięć minut. No, to jeszcze :ostaje piętnacie minut!... Pracował razem z innymi. Po chwili rierdził, że pozostaje mu jeszcze siedem minut czasu. Tknęło

by owietlić manometr u sšsiada. Jezus!. Maryjo!... Tlenu wy-rczy tylko na dziesięć minut!..., W butli niecałych trzynacie losfer! Powiecił drugiemu! Ten ma czternacie atmosfer! Trze-tylko dwanacie i którš tam dziesięštš!... Zrozumiał, że zaszła worna pomyłka. Albo zegarek zepsuty, albo przeliczył się z ilo-

tlenu. Raczej to drugie. Praca w Źarze, nadmierny fizyczny siłek, zaciekłoć ludzi usiłujšcych w tak krótkim czasie wyko—

jak najwięcej pracy spowodowały przypieszzone zużycie tlenu.

- Stać! zawołał przez maskę. Wracamy!... Hajek prowa-!... Tlenu starczy nam wszystkim na dziesięć do dwunastu mi-:. Do tamy dwadziecia minut. Ić powoli, z jak najmniejszym siłkiem.

Oddj^chać oszczędnie. Dojdziemy do tamy!... Już!... Ja ronię po drużynę odwodowś, by wyszła naprzeciw.

Kudera całś tę scenę odtwarzał teraz na podstawie raportu fgara Mołdryka. Rozumiał, że tu mógł się każdy załamać. :z tylko dwóch się załamało. Uważali, że jeżeli na własń rękę cś się do ucieczki, dobiegnś wczesniej do tamy i będś urato-li. Zlekceważyli rozkaz sztygara! Mimo protestu kolegów po-li przed siebie. Tamci szli powoli, oddychali powoli, a z każ-a oddechem wyczuwali podchodźcś mierć. Jeżeli nie zdśżś czas? Jeżeli odwód nie nadejdzie?... Z ogromnym wysiłkiem :znali swój strach i pragnienie przypieszenia kroku, ucieczki... ygar został. Za chwilę dotarł do nich.

- Powoli! Oddychać oszczędnie! Odwód nie przyjdzie! Telefon działa! Zniszczony rumowiskiem!... wołał przez maskę, chodzenie wlokło się w nieskończoność. Minuty przedłużały w wieczność. Pod pochylniś potknśł się Hajek o ciało leżścego arzysza. O kilka kroków leżał drugi. Dobiegli do połowy dro-tlen swój zużyli, zaczęli się dławić. Zerwali maski z twarzy... scze żyjś, lecz już się trujś...

- Nie podnosić! krzyczy sztygar Mołdryk.

achylajś się bowiem towarzysze, pragnś podnieć i wynieć za tamę.

Nie podnosić! Bo i wy zostaniecie! woła znowu i odpycha ich od leżścych.

I słusznie. Wysiłek ów spowodowałby szybsze wyczerpanie resztek tlenu w ich butlach. Nie donieliby ich za tamę. Sierce kowyczy z żalu, ale chłodny rozsśdek każe słuchać sztygara Mołdryka.

Ostatnim wysiłkiem dotarli do tamy, przestśpili drzwi, zerwali maski z twarzy na wpół już zduszeni i kładli się na spśg, łapiśc ciężko oddech. Sztygar zmienił szybko butle z tlenem .i' poprowadził drużynę odwodowś do pochylni. Wynieli tamtych, lecz już strutyh...

Przekłety ogień! cisnśł z pasjś Kudera.

Teraz bestia zdycha! Popatrzył na manometr. Wskazówka dochodzi do dwójki. A więc już wszystkie wyrobiska w ciśgu tych trzech dni wypełnione pod strop. W tej chwili drobny piasek z wodś, party cinieniem już dwóch atmosfer, wczołguje się w jśdro stropu. W wyobrani widzi, jak lepka, rzadka zamułka, podobna do bryi, wsiśka szczelinami, podnosi się, przeciska i dusi przekłety ogień. Ogień za wycofuje się, parska, syczy... Gdy cinienie dojdzie do pięciu atmosfer wystarczy. To będzie znak, że zamułka wypełniła już najdrobniejsze szczelinki, że ogień już zduszony! Żeby tylko rury wytrzymały!...

Patrzy z Szymiczkiem na drgajścś wskazówkę za szkłem. Wskazówka posuwa się bardzo powoli. Tak powoli, że trudno zauważyć jej drgania. Patrzyli w napięciu, z tłumionś radociś, aż zakryła dwójkę.

Dwie atmosfery! zawołał Szymiczek.

Liczę, że za trzy, cztery godziny powinniśmy skończyć. Zęby tylko rurociśg wytrzymał. Szymiczku, sprawdcie, czy ludzie uważajś wzdłuż rurociśgu!... Chodzi mi przede wszystkim o kolana.

Jakie kolana?

No tam, gdzie rury skręcajś pod kštem prostym...

Ach, rozumiem, rozumiem... Ze teź się tak głupio pytam!... Idę, Francku, idę!...

Poszedł. Kudera został sam. Zwaliły się na niego wspomnienia z tamtych dni, gdy przeprowadzał ruocišg przez pierwszš tamę, następnie przez obwał do drugiej tamy...

333



Już dawno obmyślał, w jaki sposób zamulić pożar. Tlenek wę-La bowiem, a jak mawiali górnicy oksyda, przeszczał się przez parki w stropie i w calinie węglowej. Zwłaszcza w okresach liżki barometrycznej wychodził z niewidocznych szczelin w miejscach odległych od trzeciej pochylni, docierał do przodków i powodował u ludzi lekkie zatrucie. Równocześnie istniała możliwość, że pożar będzie trwał i rozszerzał się mimo otamowania, gdyż rze spękane piętro docierało powietrze.

Kudera chodził przeto pod trzeciś pochylnię, krężył koło obu im, zaglądał za nie, obliczał i radził się starych, dowiadczonych 5rników. Przekonał się, że zamulkowych rur nie będzie mógł rzeprowadzić z upadu przez płonścś pochylnię na trzeciś prze-nkę, gdyż rurkarze nie potrafiliby w niej pracować. Temperatura bowiem za dolnś tamś wynosiła ponad trzydzieci pięć stopni,

w miarę posuwania się pochylniś do ogniska pożaru wzrastała i bardzo, że w rozparzonym i nasyconym wilgociś powietrzu ikt by nie wytrzymał nawet kilku minut. Ponieważ za wylot ru-)ciśgu musi znajdować się w najwyższym punkcie wzniesienia uchylni, przeto nie pozostało nic innego, jak skierować go trzeciś rzecinkś, wychodzcś u szczytu pochylni. W tym miejscu stała ruga tama. Długość przecinki wynosiła dwadziecia metrów. Na-;ępnie skręcała w stary chodnik upadowy długości szesnastu me-ów. Chodnik był zamknięty pierwszś taniś, pod którś teraz Judera czatuje i ledzi ruch wskazówki manometru.

Gdy przed miesiścem zapucił się poza niś, doznał wrażenia, 2 wstąpił do biblijnego pieca ognistego. I tu było bowiem po-aetrze gorśce i wilgotne. Zszedł upadowym chodnikiem na prze-inkę i na ósmym metrze zagroził mu drogę zawał. Nie było go podczas budowania tam i powstał widocznie niedawno. Ha, nic ziw nego! Stemple i stropnice zbutwiałe, zżarte grzybami, strop taby, więc pewnego dnia ruszył i przełamał obudowę. Patrzśc ^tedy na zaporę pomyślał z goryczś, że wypadnie mu zrezygnować z powziętego planu. Wylazł po usypisku pod strop. Dojrzał, e znajduje się w nim ogromna wyrwa, długości około szeciu letrów, wypełniona rumowiskiem. Między rumowiskiem a nadwerężonym stropem można przejć na drugś stronę jak pod spła-zczonym kloszem, czołgajśc się już nie na czworakach, lecz na

brzuchu. Trudno jednak przewidzieć, jak mocno trzymajśc się spękane głązy w stropie. Wiedział z dowiadczenia, że wystarczy czasem tylko trścic lekko taki zwisajśc kamień, by się obsunś i przygnióć człowieka.

Zabrał z sobś Szymiczka i młodego Chroboka. Nałożyli na siebie aparaty, zabrali elektryczne lampy i poszli za pierwszś tamę. Powiódł ich upadowym chodnikiem na przecinkę, w przecince pod zawał. Poleciał im tu czekać i uważać, on za spróbuje przejć na drugś stronę. Szymiczeik nie chciał go pucić, Chrobok znowu upierał się, że poczołga się za nim. Kudera się nie zgodził.

Ś Siedcie pod stropem i uważajcie! rzekł i polazł w dziurę. Tamci przykucnęli na usypisku i patrzyli za nim z trwogś i podziwem. Widzieli, jak posuwa się z trudem, że musiał zdjśc aparat z pleców i popychać go przed sobś, że mozoli się między głązami, podobny do czarnej, nastroszonej ropuchy, że

odgarnia kamienie, oddała się, że w końcu znika po drugiej stronie. Jedyne słaby odbłask jego wiatła dowodził, że ogląda resztę przecinki. Potem dostrzegli znowu pełne wiatło, a za wiatłem jego czarna postać. Wracił z tym samym wysiłkiem. Dotarł do towarzyszy znużony i dyszący. Towarzysze ujęli go za ramiona i wywlekli z zawału, sprowadzili z usypiska i powiedli pod tamę. Za tamę zdjęli maskę.

W porządku! rzekł zmęczonym głosem. Można przejść! Gorąco, bo gorąco, lecz mniejszy upał aniżeli za tamę pod pochylnią i mniej wilgoci w powietrzu. Da się wytrzymać. Tędy, koledzy głos jego zdrzął tłumionym uradowaniem przeprowadzimy rurociąg przez zawał do pierwszej tamy. Wybijemy w niej otwór, wpucimy wylot rurociągu i zaczniemy zamulać!...

Towarzysze słuchali w zdumieniu.

Ależ, pierunie! Któż ci tam pójdzie?... zauważył Szymiczek.

Ludzie!

I ludzie poszli, jak przewidział Kudera.

Ogłosił w cechowni, że potrzebuje zdrowych i odważnych ochotników. Że muszę przeprowadzić zamulkowy rurociąg przez zawał do tamy u wylotu trzeciej przecinki. Że to robota niebezpieczna,

34

335

lecz w inny sposób nie będzie można ugasić pożaru. Potrzebuje sześć drużyn. Kto na ochotnika?...

Zerwali się wszyscy. Powstała ogromna wrzawa. Rwali się i ci młodzi, i starzy, zdrowi i cherlacy, i ci z pylicą w płucach, i ci z reumatyzmem w kociach. Najbardziej za wydzierał się zajadły a mocno dychawiczny Bromboszcz.

Jo ida, pieruna jasnego! Panie inżynier, jo ida!... Jo musza ogień zdusić! wrzeszczał i przepychał się do stołu.

Bromboszcz nie poszedł, gdyż Kudera wybrał trzydziestu i szeciu młodych górników. Musieli pójść do lekarza, by zbadał ich serca i ciśnienie krwi. Trzech odpadło. Na ich miejsce przyszli inni. Tamci trzej krzyczeli, że to pieruńska niesprawiedliwość, że im nic nie jest, że są zdrowi jak konie, że lekarz się pomylił...

Czy wam chodzi o zarobek? zapytał Kudera.

Co znaczy, o zarobek! O żaden zarobek!... Nóm, pieruna jasnego, chodzi o zagiżdżony ogień, panie inżynier!...

Nie pomogło ich lamentowanie i wymyślanie na niesprawiedliwość ludzką. Wtedy wszyscy zgodnie okrzyknęli, że lekarz jest pieruńskim limokiem i gizdem niemrawym”, że jemu raczej kury macać i

pieluchy prac, aniżeli badać górników i takie niesprawiedliwe i krzywdzące wyroki ogłaszać.

Pierunowi okna wybijemy w jego mieszkaniu!..., odgrażali się rozżłoszczeni.

Szymiczek musiał ich długo uciszać.

Nazajutrz Kudera zjechał ze swymi drużynami na dół, zaprowadził je pod tamę nad trzeciś przecinkš. Dziwdli się wszyscy, po cóż tylu ludzi, jeżeli wystarczy jedna drużyna. Lecz Kudera był przezorny.

Rury były przygotowane. Drużyny rurkarzy doprowadziły już rurocišg aż do zawału. Mordowali się z nim przez kilka nocy, zmieniali się co godzinę, lecz swoje zrobili. Teraz puszyli się; i chełpili między górnikami na powierzchni, że jeżeli inżynier Kudera ogień zdusi, a co nie ulega wštpliwoci, to będzie w tym ich duża zasługa.

Kudera wyjanił towarzyszom, jaka ich czeka praca. Zabierze z sobš pierwszš drużynę i spróbuje... Co plecie? Nie spróbuje, lecz musi przeprowadzić rurocišg przez zawał na drugš stronę. Dwie

336

następne drużyny będš pomagały przed zawałem. Następne trzy dokończš pracy. A więc doprowadzš rurocišg do pierwszej tamy, wybijš w niej dziurę i wylot rurocišgu wpuszczš poza tamę. Czy wszyscy zrozumieli?

Na, toć my rozumieli! Cóż bychmy nie mieli rozumieć, panie inżynier.

Robota nie jest łatwa. Kto pragnie się wycofać, jeszcze może...

Pieruna, panie inżynier! odezwał się za wszystkich młody i zadzierzysty Lipka. My nie robimy z gęby cholewy! Powiedziało się słowo i zbyte! Prowda, kamraci?...

Słusznie, słusznie! przywiadczyli koledzy.

W porzšdku! rzekł Kudera. Przecież ja nic nie mówię! Teraz pójdzie ze mnš pierwsza drużyna. Za dziesięć minut druga. Za następnych dziesięć minut trzecia. Szymiczku, wy pilnujcie zegarka i wysyłajcie ludzi... No, pierwsza drużyna, aparaty, maski nałóżyć!... Koledzy, pomóźcie im...

Pierwsza drużyna nałóżyła aparaty i ruszyła za Kudera. Przesłpili drzwi w pierwszej tamie. Owionšł ich upał. Zeszli po upadowym chodniku, dotarli na przecinkę. Zamajaczył przed nimi zawał. Kudera wyszedł na usypisko, ludzie za nim. Lecz gdy pierwszy górnik spojrział w ciasnš, najeżonš wiszšcymi głazami czeluć, obleciała go trwoga. Rzekł wtedy do swego kolegi:

Disz, pierunie! Ty jeste sóm, a jo móm doma babę i dziecka!... Jak tam zостаńš, kto je bydzie żywił...

Ta drobna pozornie uwaga wystarczyła. Cała szóstka załamała się, orzekła, że nie pójdzie. Zdumiony Kudera nie rozumiał ich w pierwszej chwili. Jak to, nie pójdziecie?... Ze mnš nie pójdziecie?...

Drużyna milczała i nie okazywała ochoty do wczolganiania się w zawał.

Nie idziecie? zapytał Kudera.

Milczenie. Patrzą w niego ogromne szklane oczy i nic. Ha, trudno! Nie można ich zmuszać. Nakazał odwrót. Wracali ponurzy i wciekli. Wstyd pieniński, aże wstyd!... Ale trudno... Stało się z nimi co, czego sami nie mogli zrozumieć. Oto wracają jak banda

2J Pokład Joanny

337

chórzy. Obleciał ich parszywy strach, gdy spojrzeli w pomierzwiolną czeluć zawału. Teraz strach wlecze się za nimi...

Druga szóstka! zawołał Kudera przed tamą.

Zerwała się druga szóstka, nałożyła maski, poszła za nim. Nie mogła zrozumieć, dlaczego koledzy wrócili tak wczesnie... Co się stało?... Rychło zrozumieli. Bo gdy wyszli pod strop i spojrzeli w czeluć, kto z nich zawołał przerażonym głosem: Jezus!...

Koniec! Zwalił się na wszystkich głupi, po stokroć głupi, lęk. Zawahali się, przystanęli, potem zaczęli schodzić z usypiska. U góry stał Kudera i patrzył na nich. Już się nie dziwił. Zdumiewała go tylko ta dziwna przemiana u jego ludzi. Oto przed chwilą rwali się, radowali, że należą do tak zaszczytnych wybrańców, że oni, a nikt inny zdusi pożar, a teraz stają się podobni do obitych psów.

Wracamy! zawołał Kudera, bo wiedział, że druga drużyna nie pójdzie! Tu bowiem wchodzi w grę co mocniejszego ad ludzkiej woli. Zrozumiał, że objawiony lęk tego towarzysza, który wykrzyknął z przerażenia, udzielił się całej drużynie. Zaraził ich jak trędem. I teraz wracają ze spuszczoneymi głowami i także klę na tamtego lękliwego towarzysza, na siebie, na swój strach, na życie!... Co teraz powiedzą inni?... Jasny pierun trzanie!

Trzecia drużyna! zawołał spokojnym głosem, gdy tamtych wyprowadził. I znowu to samo. Widocznie ich wola została już adkruszona niesławnym powrotem pierwszej i drugiej drużyny. Bo gdy kto z nich zawołał płaczącym głosem przed zawałem: Pieruna, jo tam nie ida!... wszyscy się załamali. A więc wracać!...

Czwarta drużyna! zawołał znowu przed tamą. Ludzie teraz uwzięli się. Za szklanymi taflami w maskach jarzyły się zimne, twarde, skupione spojrzenia. Ruchy ich były również twarde i zdecydowane. Borykali się z nadchodzącym lękiem. Lecz tak długo, dopóki wsuwana w zawał rura nie tręciła w zwisających głaz w stropie. Głaz runął, rura wytręcona z jiloni potoczyła się ze zgiełkiem, a ludzie... Ha, ludzie!... Strach zwalił się na nich jak czarny wichur. Odskoczyli, stanęli przed zawałem.

- Jeszcze raz! zachęcił ich Kudera spod stropu.

Tamci wycofują się. Kudera widzi, że niektórym drżą ręce. Strach, wielkooki, wylupiasty strach, już

ich opętał!... Wracamy! rzekł i poszedł za nimi po piśtż drużynę. Pierwsza dwójka wczółgała się za Kudera w zawał. Reszta miała podawać im rury. Lecz komu z nich obsunęła się maska. . Krzyknął przeraliwie i przytrzymujśc jś oburścż, pognał z powrotem. Potknął się, runął na spşg. Dławi się!... Kudera skoczył,, porwał go w ramiona, przytrzymał mu prawidłowo maskę na twarzy. Dwaj towarzysze ujęli kolegę pod ramiona i cała drużyna wracała szybko do zbawczej tamy. Wyszli.

- Szymiczku! zawołał Kudera. - JZajmijcie się nim! i wskazał na towarzysza lekko strutego. Siedział pod cianş i czekał miesźnie. Za chwilę trochę zwymiotuje i będzie ^wszystko w porzşdku. Nic się nie stało. Szósta drużyna! zawołał.

Milczenie. Nikt nie wstaje. Wszyscy unikajş jego wzroku. Pali ich wstyd. Kudera widzi, że jest już bezsilny. Ludzie sş zdenerwowani, podnieceni i łatwo podatni zbiorowej psychozie lęku. Siedzş pod cianş, patrzş ponuro w wiatła lamp, spluwajş niedbale, gdyż w ten sposób usiłujş ukryć swoje zakłopotanie, i gryzş się w myłach, że tak haniebnie zawiedli.

Kudera odłożył aparat, usiadł obok nich. Pod cianş.na uboczu siedzi tamten biedak lekko struty, wcişż czka, a jego czkawka jest podobna do gdakania kury. Teraz wymiotuje... Opiekuje się nim Szymiczek i jeden z towarzyszy. Już skończył. Szymiczek i towarzysz odprowadzajş go pod szyb...

Kudera obmyła ostatni sposób, o którym mówił mu dowiadczony Szymiczek. Jeżeli się nie uda, jutro wybierze innych kolegów.

Siedzieli długo. Ludzie powoli się uciszali. Wcişż wszyscy milczş. Tylko oddechy szeleszczş w ciszy. ,

Kudera przypuszczał, że już chyba nadeszła odpowiednia pora.. Nic nie mówiąc wstał powoli i jşł nakładać na siebie aparat. Towarzysze patrzyli na niego z wyranym zdumieniem. Sam pójdzie czy kiego diabła?... Patrzş na jego palce cişgajşce sprzşczki, patrzş w jego dziwnie spokojne oczy, obserwujş jego opanowane ruchy i co się z nimi dzieje. Czujş podwiadomie, jak tężeje w nich

22\*

339

la, jak się napina, urasta... Przecież Kudera nie może tam ić n!-... Zginie!...

Rudera poprawił szleje aparatu na karku, ujşł maskę, zatrzy-ił jş wpół drogi do twarzy. Patrzy na towarzyszy i pyta spoiny:

Koledzy! Kto pójdzie ze mnş na ochotnika?

! stała się rzecz pozornie niezrozumiała i dziwna. Oto wszyscy zerwali i wszyscy jęli się do niego przepychać i wołać, że idş dm, że wszyscy idş, że muszş ogień zdusić!

\ więc Szymiczek prawdę powiedział. Radził mu bowiem, że wolno w takim wypadku na ludzi

krzyżeć, nie wolno im roz-;ywać, nie wolno zmuszać, tylko czekać, aż się ucisz. A potem >ytać, kto pójdzie z nim na ochotnika. Pójdś wszyscy. I po-idział jeszcze, że strach przed ogniem można zdusić w ten spo-i, jak mu radził. Nie zdusi jednak strachu przed wodś... Rudera wybrał dwie\* drużyny. Nałożyli skwapliwie aparaty, kali jego skinienia.

Za dziesięć minut następne dwie drużyny!... Za dalszych esięć minut reszta!... Lipka, wy obejmiecie za Szymiczka kie-mictwoL. Idziemy! rzekł i poprowadził pierwszś dwunastkę tamę. Czuł, że już teraz dokończś dzieła... Przypieszajś kroku, ś go mijać. Kudera ponosi radoć. Oto jednym prostym zda-m pognębił lęk towarzyszy, teraz pognębi z nimi ogień. Wczoł-

się pierwszy w szczelinę, dotarł na jej drugi koniec. Ludzie zli za nim, rozłożyli się przyplaszczeni pod niskim stropem Śównych .odstępach. Pracowali z pasjś. Mordowali się z ciężarem , przewlekali je wspólnym, zgodnym rytmem, skręcali ruba-i (posuwali się za Kudera na drugś stronę obwał. Przyszła ga podwójna drużyna. I znowu to samo. Pierwsza grupa prze-i obwał, dotarła do tamy. Druga mocuje się teraz z rurami awale. Rury przesuwajś się drobnymi skokami, zgrzytajś mię-kamieniami, a tamci przed pierwszś łączś je, umacniajś pod ipnieami, podpierajś krzyżulcami, a dwóch kolegów kuje kli-li i młotami w betonowś cianę. Wyłamali otwór w tamie.

rzyszła reszta towarzyszy. Druga grupa przeczołgała się przez

rał, pierwsza wraca. Przeszedł ostatni towarzysz, wchodzi w za—

trzecia grupa... Ta już nie ma wiele do pracy. Zabezpiecza

ruociśg dużymi kamieniami, tworzy nad nim co w rodzaju sklepienia. Chodzi o to, by uchronić rury przed pęknięciem, gdyby zwałił się na nie kamień. Druga grupa przebiła do reszty otwór w tamie. Buchnś żar i czarny, gęsty, lepki dym... Teraz już nie da się długo wytrzymać!... Żar piecze, ludzie pocś się nadmiernie... Wepchnęli wylot ruociśgu w otwór, ostatnie rury przykręcili i koniec!...

W skroniach coraz większe łupanie, głowa się toczy, pot cieknie pod maskś na twarzy, cieknie na piersiach, plecach, lędwiach,, pot lepki, gorścy...

Wracamy! Ś woła Kudera i dziwi się, że głos jego chrapliwy i głuchy. Ludzie wczółgujś się pod obwał, posuwajś podrzutami, zapierajś stopami, pieszś... Znowu nachodzi ich lęk. Kudera wlecze się ostatni.

Dym ciga ich, mota kłębam i zasłania oczy. Dym jest gorścy. Kudera widzi przed sobś połamanś linię wiatel. wiatła rozplływajś się w dymach, jakby rozmazane brudnym palcem. Przeszedł na drugś stronę, stoczył się niezdarnie po usypisku. Kto go podnosi, stawia na nogi. Kudera daje znak, by szli. On musi ić ostatni. wiatła wędrujś przed nim mętniejśszym sznurem. Czuje coraz większe znużenie. Nogi załamujś się nieporadnie. Głowa cięży. Zauważa zdziwiony, że mu opadajś spodnie. Widocznie podczas czołgania zerwał pasek. Teraz spodnie pętajś mu nogi. Ogarnia go głupie, niczym niewytłumaczone przerażenie. Broni się. Nie może się opainować. Przerażenie zwala go na spśg.

- Koledzy! zdołał jeszcze krzyknąć.

Widzi w czarnej mgle dymu, jak nachylajś się nad nim wiatła. Usłużne ramiona podnoszś i wywlekajś za tamę.

To wszystko działo się wczoraj, a Kuderze się wydaje, że już minęły lata. Trzasnęły drzwi. Kudera ocknął się z zamylenia. Tamta scena przepadła, już jej nie ma. Doznał wrażenia, że zbudził się z ponurego snu. Wstał, owiecił manometr. Wskazówka dochodzi już do czwórki!...

Klasnął w dłonie, rozemiał się głono.

miech ten przypomniał mu lekarza, któremu opowiadał wczoraj wieczorem o swym załamaniu się w powrotnej drodze spod

341

wału. Lekarza mieszyły \e opadajśce spodnie. Potem spoważ-

ł i jśł mu uczenie tłumaczyć, że to wszystko jasne i zrozumia—

Upał i wilgotne powietrze uniemożliwiły normalny przebieg

enia się. Ponieważ pot z powodu wilgoci w powietrzu nie mógł

ulatniać, ciało nadmiernie się rozgrzewało, w rezultacie jęły

wydzielać toksyny. Nazwał je po łacinie, lecz Kudera zapom-

ł ich nazwy. Toksyny zaatakowały nerw wiodścy do płatu mó-

t, gdzie znajduje się siedlisko woli. A równoczenie nerwowe

>ięcie i pewnego rodzaju uraz psychiczny wywołany opadajś-

ii spodniami spowodowały jego załamanie się.

>obrze, dobrze! pomyłał Kudera i znowu się rozemiał. Pod-sł głowę, bo w głębi chodnika postłyszał kroki. Dostrzegł licz-wiatła. Z mroków wynurzył się Szymiczek wiodścy za^sobś :u górników.

- Wszystko w porzśdku, Francku! meldował Szymiczek. Śy trzymajś, ludzie uważajś. A oto kamraci przyszli, bo nie \$ś się doczekać... Ile na manometrze?...

tanęli pod manometrem, podnieli lampy. Wskazówka prze-:za czwórkę!...

1 rurze uwiędło brzęczenie, przemieniło się w leciutki szept, ogradzany drobnym pykaniem. Jakby kto przez sen wzdychał, zie stojś teraz i patrzś czujnie na wskazówkę manometru. Izś jej drgania, liczś drobne kreseczki dzielśce ich od uprag-Lej piśtki. W miarę docierania wskazówki do tamtej radosnej

y i oni stajš się coraz bardziej radoni. Serca dygocš, oczy š. Milczš wszyscy, tylko oddechy szeleszczš głono. W odjach przewija się rojsnšce wzruszenie. Podniecenie ludzi udzie-ę Kuderze. Oto patrzy na wykres swego zwycięstwa!... le ylałL. Oto patrzy na wykres zespołowego zwycięstwa czło-:a w kopalni. Gdy strzałka stanie na pištce... No, to> co?... się nie stanie! Ludzkie serce będzie pijane triumfem, i to wszy-A jednak to wiele, bardzo wiele! W takiej osobliwej chwili wiek w kopalni ujrzy się wielkim... Eh, nie potrafi ujšć tego inie w ozdobne myli. Gdyby mu to kazano wyrazić znakami M-aicznymi, potrafiłby...

skazówka drży leciutko, posuwa się wcišz po kreskach, jak nek po schodach, który w zanadrzu niesie gociniec z dalekiej włóczęgi. Jeszcze trzy kreseczki... Jeszcze dwie... O, jak długo trwa to przejcie na ostatniš kreskę!... No, ruszajze się szybciej, do pioruna! Juž!...

Wskazówka stanęła na pištce! Ś

Kudera patrzy jak oszołomiony. Serce podłazi pod gardło i dławi. Oczy zasłania słoneczna mglistoć. Czuje na twarzy czyjš chropowatš twarz. Drapie go szczeciniastymi kłakami. Na ustach czuje czyje usta. W nozdrza wionšł cierpki zapach żutego tytoniu. To stary Szymiczek całuje go wzruszony. O, ten drogi Szymiczek!... Co mamie, lecz Kudera nie rozumie jego słów. Wie tylko, że sš to radosne słowa. Dłoń jego ciskajš chropowate dłonie towarzyszy, potrzebšajš niš gwałtownie. Kto wali go łapš po ramieniu, wszyscy krzyczš, skaczš... Poszaleli, te wariaty!... Teraz biegnš w głšb chodnika. Kto z nich wystukuje na ruocišgu, umówiony sygnał. To znak, by w głównym chodniku zamknšć za-mułkowy wentyl, a równoczenie znak, że ogień zdechł!

W całej kopalni rozbiega się radosny alarm wystukiwany w rury. Przejmujš go po drodze jedni, podajš drugim. Metaliczne głosy rozbiegajš się w podziemiu i wylatujš z mroków jak złote ptaki. Ludzie ciskajš kilofy, zatrzymujš wrębiarki, lokomotywki, widry, kołowroty, maszyny i krzyczš, że ogień zdechł!... Słyszycie! Hej, kamraci! Przeklęty ogień zdechł!... Przerzucajš tamte kanciaste słowa z filara do filara, ze ciany do ciany.

Zapychacz w podszybiu telefonuje zdławionym od radoci głosem do hali maszynowej, woła na Kubienia, że ogień na trzeciej pochylni zdechł!... Kubień złazi ze swego królewskiego stołeczka, podskakuje w pantoflach po błyszczšcej posadzce, wpada na wchodzšcego inżyniera Mokrosza, wrzeszczy jak pijany, że ogień zdechł!... Leci juž wiadomoć przez most do sortowni i wykrzykuje radosnš nowinę poprzez grubiański zgiełk maszyn. Leci na wielkich skrzydłach do warsztatów, do kuni, do kotłowni, na hałdę, do biur, a kulawy Liberda wspina się wiewiórczym sposobem po wšskiej drabinie na wieżę szybowš. Pod pachš trzyma choršgiew. Zatyka jš obok rozmigotanych kół na koronie wieży. Rozpływa się biało-czerwonymi fałdami w słońcu i w ciepłym, nagrzanym wietrze. Kurzejka za cišgnie za lewarek w kotłowni. Na jej dachu rozwyła się triumfalna syrena.

343

Ogień zdechł... Hej, ludzie, słyszycie? Ogień zdechł!... za-nłystuje się syrena na dachu kotłowni.

W kolonii leci wieć od domu do domu. Na ulice wybiegajš komety i dzieci. Wszyscy krzyczš, klaszczš w dłonie, patrzš na cho-tgiew i słuchajš syreny.



Matka Kudery, staruszka, wychodzi z izby, bo jš sšiadki woja. Jedna przez drugš krzyczš., że ogień w pokładzie Joanny lechł!...

To go mój synek ugasił! szepce wzruszona.

# NOWI LUDZIE

Kierownik szybu Arnolda, inżynier Franciszek Kudera, opracował kosztorysy, plany i szczegóły tyczące się pogłębienia szybu do piątego poziomu i przebudowy urządzeń wyciągowych w podszybiu na czwartym poziomie i na powierzchni. Chodziło mu przede wszystkim o zamianę wind na skippy i o doprowadzenie elektrycznych kolejek w czwartym poziomie aż do przodków. W tym wypadku zamierzał korzystać z planów byłego dyrektora z koncernu Harrimana, inżyniera Rudzielca”, i z głównego chodnika przewozowego popędzić diagonale, chodniki przekłoniowe, które by uniezależniły transport urobku od korzystania z pochylni. Usprawniłoby się w ten sposób wywożenie węgla z przodków i uprościłoby skomplikowane przetaczanie, przepinanie i opuszczanie wózków. Równocześnie oszczędziłoby się znacznie na ludzkiej pracy. Lokomotywki dojeżdżałyby do gospod, gdzie z rynien zsypuje się węgiel w podstawione wózki, zabierałyby je i odwoziły wprost pod szyb. Lecz w tym wypadku wózki musiałyby być, zaopatrzone w hamulce, gdyż lokomotywki nie utrzymałyby ich

345

u w pochyłych diagonalach. I te głupie hamulce komplikują—

plany Kudery. Chodziło o hamulce automatyczne. Ale i to

się zrobić!...

Trzyletnim Planie musi się dużo zrobić! Liczył się z trudnościami, jakie wynikały na skutek zniszczenia wywołanego przez wojnę. Podobnie jak przemysł w całej Polsce trzeba było odbudować oś podstaw, podnosić z ruin, tworzyć prawie z niczego kim cudem” jak zwykli nazywać wysiłek polskiego robotnika i kopalnia Arnolda wymagała olbrzymiego wkładu pracy, by jej produkcję podnieść do stanu przedwojennego, stłpsnie przewyższyć przynajmniej w dwójnasób. Rabunkowa metoda wydobycia węgla, stosowana przez dyrektora Teichmanna podczas wojny, przemieniła podziemie, a zwłaszcza pokład Joanny w podziemny kretowik bez planu, pełne obwałowań i nie wybranych miejsc, których odbudowy nie będzie można przeprowadzić. Poły również słabo zabezpieczone chodniki przewozowe i wentylacyjne, całe pola bez jakiegokolwiek podsadzki, zużyte maszyny, zniszczone tory kolejowe.

Wir brauchen Kohle!... Mehr Kohle!...1 krzyczał Teichmann na inżynierów i sztygarów, ci za krzyczeli na ludzi. Górnicy rwali i rabowali węgiel, gdzie się dało, a inżynier niczy, Kaspar Kraft, fałszował mapę kopalni. Ogromne, nierównie lub z grubsza podziobane pola zakreślał na niej jako wysoka, kreślił fikcyjny wizerunek podziemia pocieszając się, że wojnie wszystko się odrobi. Zapędzony do pracy slawisches gungsvolk jak określał Polaków i jeńców radzieckich w pokład Joanny w podziemiu wzorowy, in ein Musterflöz, który rzemianuje się z Joanna-Flöz na Hitler-Flöz. Wszystkie te zamyśli diabli wzięli już wtedy, gdy Teichmannem radzili ów, który pokład podpalić. A potem uciekli nie czekając na ekipy podpalaczy”, jak wzgardliwie określali grupę apowców i sztygara Buka, wysłanych na dół z benzyną i parą. I nie dowiedzieli się nigdy, jaki los ich spotkał. Dziwili się tylko, dlaczego wierna i niemieckiej sprawie oddana Siegfried Buchholtz nie pojechała z nimi, chociaż było jeszcze miejsce wiochodzie. Po drodze dopiero zrozumieli, że ta dzielna Niemka Potasebujemy węgla! Więcej węgla!...

pp Przypominały i

ka, sekretarka i zaufana powierniczka dyrektora Teichmanna współpracowała z nolciri- \* k +  
lucnmama,

,i °.rZyStami na kOpabli Arnolda-r SZCZegÓły Z JGJ urz^ania, urywane SłUChaWki' ^ Tei\*mann  
lub

Tmta znamienna uwaga jedne—

JNie dowiedzieli sip +<=.^ ij,

blisko Dół rok,, T § y> Ze P°Zar na trZedej P°chylni trwał

blisko poł roku. Lecz po drodze pocieszali się wzajemnie że wro

mk węglowy, z którym me będzie umiał się uporać Kudera i jego ludzie umieli się z nim uporać

E

me

CQ w

b0WiTrzšdził

cym rytmie.

czriej za tymi ^^

d° kowanego pola,

i-T°

Drugim zwycięstwem było opanowanie życia kopalni. W pierw-SrS iWyd°byCie ^^ gWałt°Wnie Spadł° z P-0^

trzeba się było mn ” S przeszKoa. A przede wszystkim

trzeba się było porac z wałscymi stropami w chodnikach z roz teścym się torami kolejowymi w przetopach i z psutymi sl lokomotywkami l motorami. Czasami ^ wrażenie zHaki zakonspirowana szajka zapierunowanych orgoli” mic s ę za

347

imieckš i swojš klęskę i próbuje sabotażu. Lecz w następnych esiścach ilość wydobytego węgla zaczęła wzrastać. Górnicy za i sobie radę ze wszystkim.

Fakby jaki ogromny, wiosenny wichur przewalił się po zatęchli przodkach i przeniknął ludzi do głębi. Stało się bowiem na iecie co, czego w pierwszej chwili nie mogli zrozumieć. Przez, e lat pracowali w kopalni, pracowali ich ojcowie i dziadowie, ligdy, nawet w najmielszych marzeniach, nie dopuszczali do bie myli, że może być inaczej. Praca w kopalni urastała w ich czuwaniu jako łaskawa jałmużna nie znanych im bliżej wiel-żów, o którš musieli prosić, upokarzać się, wyzbywać się często ych przekonań politycznych i narodowych, a poza którš zawsze aszyło widmo bezrobocia i głodu. A tu naraz stało się inaczej!...

Dylko najwięksi miałkowie mówili o tej dziwnej chwili, która nadeszła. Był jaki italski przybu Strandella, ajk opowiadali rzykowde wygrzewajšcy się pod cianš na słońcu i wspomina-y dawne czasy, o Goduli, Szarleju, Joannie Gryszczykównie, ibi Schaffgotschu, Pusteckim i Skarbniku. Ów legendarny juž. andella co tam majaczył o nowym porzšdku społecznym, krzywdzie robotnika, o nadchodžšym czasie, w którym doj-wa rewolucja. Lecz któž mu tam wierzył?... Duch Szarlej za-:ił go na dole, bo zaczął kramarzyć z grefinš. A potem jeszcze

O wie wspominali o jakim rektorze limoku-Kepeuszu i jego chowanuku Ignacym Kuliszu. Rektor limok zginął podczas ijku, Ignacy Kulisz skończył marnie w przeklętym bieda-szy-. Ileż to razy tłumaczył on swoim towarzyszom, że powinni leczyć i walczyć, bo sprawiedliwość nie spadnie im sama do ręk,

dojrzałe jabłko z jabłoni!... Temu już ludzie bardziej wierzyli niż za nim. A teraz Franciszek Kudera, syn górnik, ongi sędziw w pokładzie Joanny, potem uczeń politechniki, elwer, zi naczelny inżynier... Było le, było strasznie le przed woj—

I w czasie okupacji. Zdawało się, że już wszystko diabli wzięli. Jak Kudera tłumaczył, że nie a nie! ... No i dobrze tłumaczył!... )to dzisiaj przyszły te czasy, o których mawiał Strandella ulisz, i elwer Kudera.

Tajtrafniej to określił stary Szymiczek, który Kuderę prawie wychował. Stary Szymiczek powiedział krótko, że dawniej

górnicy pracowali tylko dla panów, teraz pracuje dla wszystkich, a więc i dla siebie. Dawniej kopalnia była pańską kopalnią, teraz stała się kopalnią robotniczą. Że teraz każdy kęs węgla to nasz węgiel. Każde uderzenie kilofem to na naszą korzyść. Każdy skrzywiony gwóźdź czy złamany stempel to nasza szkoda!... Ha, jeżeli tak, to teraz warto pracować, aże warto!... Drugi poziom był już skończony.

W trzecim poziomie między przekopem a uskokiem zostały już Śwybrane wszystkie filary. To była również robota dyrektora Teichmanna. Po cóż się pchać za uskok, jeżeli to przedłuża transport, jeżeli tam grozi metan, a pod dostatkami filarów na podporządku?... Teraz po gruntownej obudowie przewozowego chodnika, chronionego przed obwałami w filarach starymi nogami i nowowzniesionymi organami, przystąpiono do wybierania węgla za uskokiem. Położono drugi tor, wzmocniono odrzwia i wpuszczono pod uskok elektryczne lokomotywki. Zabierały stamtąd nagromadzone wózki z urobkiem pozauskokowym i gnały z nim pod szyb. Inżynier Moł-drzyk za wytyczał nowe chodniki wentylacyjne, wieszal godziny”, a przodowi rębacze przebijali się za ich kierunkiem przez nie wybrane pola, grzebali się przez zawaly, wyprowadzali przez wyrzuszajscy się spąg i łożowały strop w uskoku i łączyli ze starymi chodnikami wentylacyjnymi, żeby pole za uskokiem móc oczyścić z gromadzącego się metanu. Nowe prędy powietrza wpadały teraz za uskokiem, wędrowały szparko chodnikami, sunęły ociężałej przez filary, wywlekały spod stropu ziemskie smrody” i wracały do szybu wentylacyjnego. Górnicy widzieli w nich pewne podobieństwo do siebie. Oto wiatry idź pod szyb wentylacyjny, podobnie jak górnik wraca ze szychty do domu. Uznojony, umorusany i ociężały. Przodownicy za przed rozpoczęciem szychty wchodziłi pierwsi do przodka. Ujmowali wiatła w benzynów-kach, zamieniali je w błękitne kropelki, podnosili ostrożnie pod strop i lepili bystro w rosnący nad nimi niebieskawy kołpaczek. Potem orzekali, że można pracować lub że trzeba doprowadzić lutniami nowe powietrze. Kto z górników biegł na skrzyżowanie chodników, przekręcał wentyl w rurociągu i do dużych, blaszanych rur wpadało z wyciem sprężone powietrze, ii dmuchało wprost na ludzi. Lecz stosowano to tylko w najodleglejszych filach-349

W tych miejscach, dokąd już nie tylko wiatry, lecz i człowiek docierał uznojony i jakby z sił wyczerpany. Były to nieliczne, tak zwane parzoki,

O wysokiej temperaturze, gdzie trzeba było pracować półnago, gdzie trudniej się oddychało, a zapach kopalni był ciężki i przesycony mdłą słodkością.

W czwartym poziomie za ludźmi przebijali się przez uskoki i pędzili nowe chodniki, pochylnie i upadnice od granicy pokładu. Ogromne to pole między trzecim i czwartym poziomem przecinali wzdłuż i wszerz, tworzyli z niego szachownicę, przygotowywali do najbogatszego węglowania, jakiego w pokładzie Joanny jeszcze nie było. I stąd ta troska inżyniera Kudery o skipy, diagonalnie

1 wózki z automatycznymi hamulcami.

Pracowali tam już nowi ludzie, reemigranci z Francji, Belgii i Westfalii, autochtoni” ze łska Opolskiego Kudera uważał to okrelenie za niefortunne i głupie oraz górnicy z Dšbrowskiego i z Zagłębia Karwińskiego. Kudera niepokoił się z poczštku, czy ci ludzie potrafiš się zżyć z sobš i ze starš załogš Arnolda. Utworzyła się bowiem jaka osobliwa wielogwarowa wieża Babel, która mimo przewagi miejscowych górników nadawała całej załodze Arnolda charakter jarmarcznego’ zbiegowiska, w którym łatwo o zatargi i nieporozumienia. Przekonał się jednak, że jego obawy były płonne.

Oto starszy sztygar Kasperlik wybrał do rabowania stempli w filarze nad głównym chodnikiem w trzecim poziomie czterech dowiadczonych górników. Długo nalegał na sztygarów i dozorców, by wyszukali mu odpowiednich ludzi. Chodziło o takich, którzy byli obeznani z tš najniebezpieczniejszš pracš w kopalni. Musieli fto być górnicy dowiadczeni i jak mówił \* spolegliwi, chytre lisy i karlusy nad karlusami.

-‘ Polę tam jakiego pieruńskiego mamlasa, mamlas ciupnie siekierš i zostanie pod obwałem! tłumaczył dozorcóm na odprawie. Potrzebuję ludzi, co nie robiš do galot, gdy trochę strzeli w Stropie, którzy rozumieš się na robocie, ludzi statecznych, i opaterynych...

Sztygarzy i dozorczy grzebali w notesach i szukali takich statecznych i opaterynych” ludzi. A może ten? ... A może tamten?... W końcu wybrali Bonifacego Łomozika z Herne, Józefa Kubalę z Lilie,

351

Ludolfa Zabysztrzana z Charleroi w Belgii i Emila Kallusa spod pola, przezwanego przez Niemców: der verfluchte polnische ‘.ónig 1. Przybyli wraz z wielu innymi na szyb Arnolda po woj-ie, gdy w polskich gazetach wydawanych we Francji pojawiły ę nawoływania, by górnicy wracali do kraju do swoich już ko-alni. Za gazetami poleciały listy od kamratów, którzy już byli do olski wrócili. Zabierali się przeto, pakowali i przyjeżdżali z żo-ami i dziećmi, chociaż im tego odradzały emigracyjne gazety lon-yńskie. Byli to pozornie inni ludzie. Ich polski język był u nie-Łórych mocno poradlony niemieckimi, francuskimi lub zgoła wa-ińskimi czy czeskimi naleciałociami, ich metody pracy różniły ę częstokroć i wywoływały zdziwienie lub nawet wzajemnš krymkę; zarysowały się w ich współżyciu drobne skazy, wywołane irębnymi zwyczajami czy nawykami wyniesionymi z dawnych Śodowisk górniczych. W istocie jednak łczyła ich jedna pod-yiadomie nieraz dzierzgana wię wspólnoty górniczej. Kudera rzał jš w tamtym starym filarze skazanym na zawał. Starszy sztygar Kasperlik wytłumaczył wybrancom, że czeka ti odpowiedzialna praca. Naturalnie, jeżeli się zgodzš na jej wy-manie. Chodzi, mianowicie o wyrabowanie filara nad głównym .odnikiem w trzecim poziomie, gdyż łajdak grozi załodze pracu-cej w ostatnich dwóch filarach. Stoi bowiem wybrany, pusty, spełniony stemplami i nie chce’ się zawalić. Zamulić go nie DŻna, bo to za kosztowna robota. Jedynym najprostszym wyj-iem, uprzedzajšcym jego zawał w nieoczekiwanej, chwili, będzie

zrabowanie stempli. Wtedy strop runie i już po paradzie!... Bę-ie spokój po wieczne czasy.

Czy już pracowalście w takim rabunku? zapytał zatro-any.

Wszyscy pracowali. Nie nowina dla nich taka robota.

To dobrze! uradował się Kasperlik. A więc zgadzacie na tę pracę?

Cóż byśmy się nie mieli zgodzić rzekł za wszystkich Kuta z Lilie.

Cudzoziemski akcent zwrócił uwagę Kasperlika. Spojrzał na

1 Przeklęty polski król.

niego i zachwyił się jego wspaniałymi, męskimi, szarymi i aż zuchwałymi oczami i energicznš twarzš.

Czy to was koledzy Francuzi nazywajš le meilleur fils du monde?

A nazywajš... mruknš niedbale Kubala z leciutkš przechwałkš w głosie.

Co to znaczy? zapytał Kallus.

Najlepszy zuch wiata przetłumaczył Zabystrzan z Charleroi, gdyż umiał po francusku.

Przez cały czas pracowalście w Lilie? zapytał znowu Kasperlik.

Nie przez cały czas. Byłem w Legii Cudzoziemskiej, w Afryce, w Indochinach, a podczas wojny z makistami...

Germanie nazywali takich makistów Heckenschiitzenl wyjanił Kallus. A my nazywali ich partyzantami...

Hm, to z niejednego pieca chleb jadalicie?

Jadałem... Czasem kołacze, czasem suche ziemniaki... Różnie bywało! zbywał go Kubala.

W porzšdku. Zjedzicie ostatniš windš, zaczekacie za kołowrotem na sztygara Michnika. On wam powie, co a jak macie robić.

Zjechali ostatniš windš, zaczekali za kołowrotem, doczekali się sztygara Michnika. Nie znali się wzajemnie, gdyż na Arnoldzie pracowali zaledwie od dwóch, trzech miesięcy. Zanim jednak nadszedł sztygar Michnik, zdolali wzajemnie opowiedzieć dużo o sobie.

Przed zdumionymi oczami rozwarła się księga pełna przedziwnych historii o życiu. Życie szumiało w niej jak wicher w ogromnym lesie i tętniło radosnym zgiełkiem walki. Naiwne przygody robinsonowe, pełne niesłychanych odkryć, romantyczne wędrówki kolumbowe, potykania się z

wiatrakami, desperackie usiłowania, by rozbić mur głowś, wszystkie tamte porywy nieokiełznanego serca przeplatały się z opisami zuchwałych wypraw po ludzkś sprawiedliwość. Droga była daleka i kamienista, wymiewana przez głupawych frantów, pogardzana przez sytych, opuszczona i beznadziejna. Pielgrzymowali po niej i wierzyli. Wiara mówiła im wciśż o ostatecznym zwycięstwie. Przeczyły jej widziane i doznawane krzywdy społeczne. Wiotczały im czasem ramiona, serca

23 Pokład Joanny

353

padały spod błękitów, jak ptaki o wyłamanych skrzydłach. Wiara Dopieląta i trzeba było jej szukać i szukać uparcie, by nie zwst-ić. Kto jś znalazł w umiechu dziecka, inny znowu w ucisku tiropowatej dłoni przyjaciela, jeszcze inny w przejęciu życzliwe-o słowa po drodze. Droga za była bez końca, za którś rosła tęsk-ota, gdyż wiodła na skraj wiata, gdzie już nie ma ludzkiej rzywdy. Odyseja ludzkiego serca rozłociła się czasem rozchi-aotanym szychem sowizdrzalskiej peregrynacji, czasem załkała krytym żalem za poległym towarzyszem. Z trudem formułowane Jania prawily zasłuchanym kamratom o dniach posępnej klęski, goryczy snów, które się nigdy nie spełniś, i o cierpkiej słodyczy iwilowych zwycięstw.

Słowa w mrokach ciszy chodnika szeleciły jak struga ciekniś-jj wody, w której przeglśda się słońce. Towarzyszyły im szepty ręga i stropu, postękiwania stempli, nasycaly się zapachem ko-alni jak dojrzałe jabłka.

U wszystkich słowa kończyły się na granicy, za którś była już riko czujność serca. Czujności tej nie można zdradzać, lecz każdy luł je nadal w mylach, gdyż prawily mu o urodzie kopalni, tóra zaczarowała ich dusze. Uwiadamiali sobie, jak to najdaw-iejsze pokolenia gwarków przekazywały im w dziedzictwie ra-3ć i honor pracy w podziemiu. Gdy ich oczy błśdziły teraz w za-tyleniu po ociesie, dostrzegały lady człowieka, który był tu iedy przed nimi i poszedł. Oto mnoż się równe szeregi uderzeń ilofa, sunś niestrudzenie w głśb chodnika i przepadajś w mro-ach. Za nimi drugie, trzecie, dziesište... Tu wszędzie był człowiek rzed nimi, taki sam jak oni, jak ich ojcowie i dziadkowie, i pra-dadkowie. Zostawił tu swoje serce i niesposób teraz odejć od iego. Oni również zostawiś tu swoje serce, które ich dzieci i wnu-awie, i prawnukowie odnajdś.

Zamylili się. Aż w końcu ich zamylenie przerwał dwiecz-f, metaliczny głos Kubali z Lilie. Zgarnśł myli swoje i trzech vych towarzyszy w jedno zdanie i rzekł spokojnie:

Jestemy kamratami!...

Każdy go zrozumiał, chociaż Kubala nie umiał tego ujść w obie—

me słówka.

Przyszedł sztygar Michnik i poprowadził ich do filara. Sta—

f

nęli u wejcia, podnieli wysoko lampy i patrzyli. Rozwarła się przed nimi komora wypełniona, jakby



lasem, stojścymi stemplami. Stemple podpierały splekany strop. Były proste, lekko wygięte lub rozszczepione, z wywalonymi słojami. Z głębi ziała groza. Wzrok błyskał się między nimi, nurzał w przestrzeni i tonił w nie-odgadnionej ciemni. Ludzie milczeli. U wszystkich dojrzywało twarde postanowienie. Filar szeptał...

Zaczynamy! rzekł sztygar Michnik.

Allons enfants de la patrie! zanucił Kubala z łobuzowskš przekorš.

Poszli za Michnikiem do filara, dotarli do tylnej nogi. Podobni byli do ludzi podchodźcych w nocy do trumny kogo bliskiego. Nie wolno mścić ciszy! Ze wszystkich stron podpełzała do nich na palcach, zapatrzyła się w ich oczy z wyzywajścym uporem. Zgasło w niej mruczenie Marsylianki Kubali. Cisza była wroga. Jeżeli krzyknść głono, pierzchnie bezszelestnie i posypie się miał ze stropu, zacznš strzelać stemple, strop polecie na głowy z przejmujścym grzmotem. Tak wydawało się ludziom. Wiedzieli, że to mieszne przywidzenie, lecz trwali w nim z przyjemnościš, bo owa przyjemność była miarš ich siły. Za chwilę podejmš się pracy. Muszš być zwycięzcami. Cisza ich podniecała. Rozłomie się wkrótce stukot siekier, polecš łukiem białe trzaski, pustka nasyci się zapachem drzewa i ludzkiego potu, a stemple powalš się z łoskotem. Wtedy czarna cisza przylepi się rozczapierzona do cian, jak olbrzymi nietoperz o wytrzeszczonych oczach, przerażenie za wypełni czeluc, wpełźnie w szczeliny w piętrzę i wykrzesze w nim tšpanie.

Uderzyły siekiery w podstawy stempli tuż nad spšgiem. Rozleciał się rytmiczny łoskot. Dwóch towarzyszy ršbało, dwóch stało obok i patrzyło w górę. Wysoko wzniesione karbidówki roztršcały mroki pod stropem. wiatło potykało się nieufnie na szczelinach. Sztygar Michnik stanł w rodku filara i baczył na wszystkich.

Runęły pierwsze stemple. Towarzysze wywlekli je na chodnik i cisnęli z ulgš pod cianę. Zmienili się w pracy. Teraz czuwali ci, co poprzednio ršbali. Sztygar Michnik wyteżał słuch. Chodziło mu o to, czy między jednym a drugim ciosem nie dosłyszcy zapowiedzi zawału. Siekiery zakreliły w wietle krótkš, półkolistš, srebrnš

355

ię, zawiszcząły i wyłupały głuche stęknęcie. To stemple stę-

Uderzenia siekier stały się podobne do młocki w czarnej stodole. ralały się stemple, zmieniali się ludzie. Rosła przed nimi czarna zestrzeń, głębsza i bardziej niepokojšca aniżeli przed rozpoczę-Śm pracy. Strop, wyzbywany podpór, ulegał nieznacznie nacis-wi piętra. Wyginał się i lekko trzeszczał. Czasem tšpnł krótkim, żranym grzmotem. Jakby kto w” złoci uderzył nogš w podku-n bucie w podłogę. Tšpnięcie wybiegało szerokim fałdem i znie-:ka skonało w pół przecięte. Michnik i jego towarzysze znali ów is i umieli go przetłumaczyć na ludzkie zrozumienie. To sš srwsze biegusy wysyłane na zwiady. Chytre okpiwiaty, lecz swej chytroci głupie. Wylecš z mroków nad głowš, rozłamiš

na dwoje i zdechnš. Lub szczeknš jak czarny pies zachrypły rzepadnš.

sia chodniku mnoży się rżsd stempli, w komorze ronie pustka, zy ludzkie tonš w jej głębi bez dna. Tšpania za množš się, la tujš nieskładnie. To wszystko strachy dla fuksów i mamla-7. Michnik i jego ludzie wiedzš dobrze, że. strop trzyma się jesz—

w swych zazębieniach. Zazębienia kruszš się jednak powoli. y zacznie się sypać, jakby go kto to tu, to tam dziecięcš gar-š ciskał na ludzi, będzie to znak, że już czas umykać. Vydobyto jeszcze szeć stempli, zmieniono się jeszcze trzy razy, ma pustka rozparła się do połowy filara, gdy między jednym rugim ciosem Michnik posłyszał szeleszczšcy szept miału.

Uwaga! zawołał na ludzi.

szrestali ršbać, wytężyli słuch. Cisza!...

Nachylili się znowu. Uderzył jeden z nich i czeka. Wszyscy :hajš. Uderzył drugi i czeka z podniesionš siekierš. Wcišz sa... Za trzecim uderzeniem pojawił się szelest miału... Teraz igi i trzeci... To już oczekiwany znak!

- Uciekać! krzyknšł Michnik.

judzie porwali siekiery, porwali lampy i uciekajš między stem-mi. Michnik czeka, aż dobiegnš do niego. ^Wycofa się ostatni, stropie rozleciał się długi, obły grzmot. Strop pęka, obsuwa .. Michnik widzi zdumiony, że Łomozik z Herne zatrzymuje w połowie drogi, zawraca... A strop już się zarywa! ...

Wracaj, pierunie! krzyczy.

Łomozik schyla się po siekiere, którš zostawił na spšgu. Trzej towarzysze przemknęli koło Michnika, znikajš w chodniku. Michnik krzyczy wciekły, wycofuje się tyłem. Widzi, jak olbrzymia tafla stropu nachyla się powoli, jak się kruszy i jak znienacka leci. Praenšł czarny wicher, wymiółł go z filara. Lampy zgasły, W uszach grzmi skłębiony ryk. Napór powietrza wpycha się włochatš pięciš w gardło i tłamsi oddech. Pod zaciniętymi powiekami stężał ostatni obraz. Strop się waży, przechyla, leci gwałtownš szarš smugš, a wicher zgarnia Łomozika pod lewš bocznš cianę...

Przewaliła się burza. Szczekajš jeszcze pojedyncze kamienie, konajš szelesty. Chmura pyłu włazi w płuca i krztusi. W skroniach łupiš młoty. Ludzie ocykajš się powoli, szukajš omackiem lamp. Zabłyśła potarta zapalka. Płomyk rozjarzył się w pyle z drobnym pryskaniem, wyłupił z ciemności błyszczšce, szeroko rozwarte oczy. Drugie wiatło, trzecie... czwarte... Michnik wstał pierwszy. Boli go w boku. Z policzka broczy krew. Lepi się na palcach, cieka do lewego kšcika ust. Michnik wypluwa jej słony smak i patrzy na ludzi. Trzej towarzysze stojš, sš cali.

- A Łomozik? pyta Kubala.

PierunL. Został! - mamie ze złociš Michnik. Cisnęło nim pod lewš cianę!...

Poszli do zawalonego filara. Z jeżyło się przed nimi olbrzymie usypisko sięgajšce w głšb piętra. Przeszli pod lewš cianę. Dostrzegli, że ława oszydnego stropu legła ukonie bokiem, oparła się kantem o cianę. Pod ławš z nagromadzonym na niej gruzem czerni się ciasna wnęka. Wystarczy

odgarnąć rumowisko, by spojrzeć w głąb.

Odgarnęli, spojrzeli. Można się wczołgać pod jej skone sklepienie.

On chyba tam leży, jeli go skutło... zauważył Zabystrian, Ś Tak, on tam z pewnością leży...

Co teraz? zapytał kto. Kucali wszyscy i nisko nachyleni lepieli w szczelinę. Oddechy były ciężkie.

Idziemy po niego! rzekł spokojnie Michnik... Niech jeden z was poleci po ludzi do filarów. Będś tu potrzebni. Ja

357

lezę pierwszy... Wy za mną... Potem każdy chwyci za nogi poprzedniego. A tymczasem tamci przyjdź i będś nas wyciągać, ki łańcuch... Bo trudno będzie wycofać się w inny sposób...

Ja idę, monsieur chef-mineur! 1 rzekł twardo Kubala. r jesteście ranny, krew wam cieknie po gębie... Wy pilnujcie... i nie czekajśc przyzwolenia położył się na spłgu i wczołgał pod epienie. Ciasno mu było. Drogę zagrażały kęsy węgla. Prze-:hał się między nimi, odpierał końcami stóp, odpychał łokciami, npę suwał przed sobą. Czeluć prowadzi w głąb. Czuje, że za a wlecze się kto z towarzyszy. W pewnej chwili zauważył, jblam obsunął się lekko, że mu przygniata grzbiet. Oblediał go

, Słyszysz za sobą wołanie. Głos jest tępy. Cofnąć się?... Wyczekał /ilkę skurczony, napięty w sobie aż do bólu... Obłam zatrzymał .. Kubala znowu się czołga. Już mu coraz trudniej posuwać .. Podrzuca ciałem, zapiera się łokciami, zapiera stopami, od-ha. Pot zalewa mu oczy. Wie, że towarzysze czołgajś się za i i poszerzajś szczelinę. Przechylił głowę, spojrział za siebie. . Wlokś się rozplaszczeni jak żaby, mocujś z czym, szamocś, :ajś... To dobrze! Wyczuł radosnś ulgę, że nie jest sam. ”ciśz ociera grzbietem o nachylonś cianę obłamu. Jeżeli się mie, nakryje go jak ogromne kamienne wieko w trumnie, roz-:cie... Jeszcze kilka podrzutów... I jeszcze... Wysunięte wiatło pia...

- Jest! chciał krzyknąć, lecz polękał się. Zabobonny strach upłął u niego myl, że jeżeli krzyknie, obłam stropu zsunie . Wymacał dłońmi Łomozika. Leży pod cianś zwrócony głowś >rzodu. Kubala wykręcił mu ramiona poza głowę, ujęł mocno kici i próbuje się cofać z ciężarem. Nie może... Ciało Łomo—

jest ciężkie...

i warzysz za nim widzi jego wysiętek. Ujęł Kubalę za nogi w kach i trzyma. Co woła za siebie. Teraz ciśgnie go za nogi. i też chyba ciśgnie za nogi następny towarzysz. A tego na-‘ lego jeszcze następny. Boli jak wszyscy diabli!... Łańcuch to-:yszy wlecze go, on za wlecze Łomozika. Łomozik stęka... ięc żyje, ten złoty pienin!... Tylko tamten trzyma za mocno

Panie kierowniku, sztygarze.

w kostkach. Łamie je dojmujścy ból... Podobny jest do wora wleczonego za jeden koniec po piargu.

Boli jak wszyscy diabli...

Tonnerre de Dieu x wrzeszczy na towarzysza za sobś. Bo mi nogi wyrwiesz ze zadku! A w duchu jest rad, że Łomozik stęka i kwili, że Łomozik żyje, że go wywleka z zawalu...

Wywlekane trwa wieki. Kiedyż to się skończy, u diabła?... Zmartwiał zniecka, skurczył się w sobie, przyczał, bo czuje, że płyta znowu się lekko obsunęła.

Ciśnijcie! woła do tyłu. Żeby tylko zdśżyli!... myli z niepokojem.

Zdśżyli!

Wywlekajś go liczne dłonie ze szczeliny, on za wywleka Łomozika. Podnosź go, wiecś w oczy. Nogi drźś pod nim, ręce drźś, spod zgarniętej koszuli na brzuchu, na piersiach sśczy się krew. Eh, to głupstwo!... Porysował sobie skórę na kamieniach.

Obok niego stoi inżynier Kudera nie mniej uznojony, dysźscy, w podartym ubraniu. A więc i on był w szczelinie?... A obok niego gromada towarzyszy. Czterech z nich odnosi Łomozika. Kudera klepie Kubalę po ramieniu i co fanzoli, pierun, o braterstwie. Ha, gadaj sobie zdrów!... Braterstwo czy nie braterstwo, kolegę trzeba ratować!... Wsuwa koszulę do spodni, podchodzi do szczeliny, nachyla się i patrzy. Widzi zdumiony, że szczelina zamknięta!... Ha, to mu się udało!... Zapierunowany blok siadł poniewczasie! Ale miał pienińskie szczęcie... Widzisz, ty dziadzie zatracony!

Schylony w kucki patrzy w szczelinę, a widźc głaz na spśgu, wyobraża siebie pod nim. Lecz że nie jest pod nim, kpi więc i szydzi po francusku z minionego niebezpieczeństwa. Dla wyrażenia większej pogardy pierdnśł głono. Huknęło, jakby korek wyleciał z butelki. Gruchnśł nad nim miech długi, rubaszny.

No, no! zawołał przez miech inżynier Kudera. Kubala wstał i lekko się stropił. Szybko się jednak opanował

i rzekł:

Dobrze, panie inżynier, że mi to nie przytrafiło się w zawale, jakżech Łomozika ciśgnśł za ręce...

1 Przekleństwo francuskie.

359

- Dlaczego?

- Bo byłby się biedaczysko zaczaździł!... Byłby zagazowany na

inowu potoczył się miech. Ludzie ukryli w nim radoć i wzru-ie, których nie wypada okazywać.

Ś A co z Łomozikiem? Żyje ten pierun? zapytał kolegów.

S Żyje, tylko dwa żebra złomane!

Ś No widzi pan dyrektor! Wszystko w porządku! Filar zawa-solid, Łomozik wysmyczony z zawału, żebra mu się zrosnę, mi liter eau-de-vie i wszystko w porządku. No nie, kami

rtknął palcami piersi, wyczuł pod nimi krew. Tonnerre de Dieu! syknął strzepując palcami. To nic. wyjadę na wierzch, pójdę do szewca, szewc zeszyje mi drał> skórę na piersiach i na brzuchu i znowu będę mógł ić do Śte!... 2 No nie?... idera spostrzegł, że ten rubaszny gest Kubali połączony z ge~

jego wspaniałego bohaterstwa są traktowane na równi przez rstkich górników, że oba czyny są podciśgane pod wspólną oć. Przekonał się również, że rozgłos o tym wypadku usunął szczyt wszelkie wzajemne uprzedzenia wśród załogi. I już się ; nie dziwi, gdy sobie przypominał, jak Kubala skrzywił się ;chęciś, gdy wyrażając mu swe uznanie usiłował podkreślić oć jego wysiłku i z nawyku rzucił tamto słowo braterstwo”, go pogardliwym geście odkrył znowu jedną cechę człowieka ipalni” i zrozumiał sens tego, co wiat zwykły nazywać boha-wem. Te wartoci, które gdzie indziej trzeba drapować w matyczne fałdy, stroić w wawrzyny, palić im kadzidła i dekla-ać o nich napuszonymi słowy, dla górnika są czym tak bar-prostym i naturalnym, że nie pomieszczą się w żadnej od-nej formie.

są nowi ludzie! uwiadomił sobie w radosnym olnieniu. 2 żywił przeto obaw, że pokład Joanny zawiedzie. Przeciw-pokład Joanny stanie się najwydatniejszym pokładem w ca-olsce! Tylko te przekłete hamulce u wagoników!... Bo wszystko inne da się przeprowadzić! I skipy, i przebudowę podszybia w czwartym poziomie, pędzenie diagonali i odbudowę pokładów za uskokiem, uporanie się z wentylacją i z nadmiarem metanu w odległych polach; coraz bardziej stroma krzywa na statystycznej tablicy zilustruje wykonanie planu z nadwyżką, tylko te głupie, po stokroć głupie hamulce u wózków, mających kiedy zjeżdżać w pochyłych diagonalach, te hamulce nie dawały mu spokoju i trapiły go złośliwie. Wierzył jednak, że rozwiśnie i to zagadnienie.

Stary Szymiczek podsunął mu bowiem prostą myśl.

Francku, nie. starej się! Po prostu ogło wśród załogi, by ludzie pomyśleli i pogrzebali w głowie. A co kto wymyli, chociażby mu się zdawało, że to psu na buty, niech wrzuci do skrzynki pomysłów. Albo powie tobie. Nasi ludzie są chytry. Gdy zaczną spekulować, to co wydlubiś ze swych głów!...Już i tak sporo wymylili!

I wydlubali!

Przez te kilka dni gromadzili się przed tablicą w cechowni. czytali wywieszone na niej ogłoszenie, zachęcające do wynalezienia automatycznych hamulców, żuli tytoń i spluwali, wciśz mś-drowali i spoglądali jeden na drugiego. Mniejsza już o nagrodę, chociaż i taki nabytek nie chadza piechotą! Lecz przede wszystkim chodzi o honor załogi z pokładu Joanny. Oto koledzy z pokładu Fryderyka, Wacława, Ulricha, Hansa i Zygryda wymylili już przeróżne urządzenia ułatwiające pracę górnikowi. Dawniej nie byłby nikt ani palcem w bucie kiwnął na tego rodzaju sprawy. Czyż to była ich kopalnia? ... Dawniej takie nowe urządzenie, każdy taki zagraniczny wymysł ułatwiał wprawdzie człowiekowi pracę, lecz zastępował wielu już zbytecznych górników i ci górnicy szli na zieloną trawkę. Człowiek

za pracujący takim nowoczesnym howadem jak mawiali koledzy z dawnej cesarskiej strony naršbał węgla do stu diabłów, lecz tak samo zarobił tych kilka marnych groszy, jakš tam mizernš złotówkę, że starczyło bodaj na słoń wodę. Dzisiaj co innego!...

Jak powiedział stary Szymiczek, którego starzyk pamięta! pierwsze chwile pokładu Joanny, dzisiaj każdy taki wynalazek i każde najmniejsze ulepszenie w maszynach górniczych stanowi

361

yc dla samego górnika. Powiedział także, że im więcej ta-i wynalazków i ulepszeń, tym lepiej dla wszystkich, gdyż to wspólna własność wszystkich razem i każdego pojedynczego, zekonał.

aczelny inżynier Franciszek Kudera nazwał to jako cudacz-umysłowš rewolucjš górnika. Pięknie to okrelił, lecz mniej ;umiale, aniżeli to uczynił stary Szymiczek. tali przeto przed tablicš i medytowali, ak! Kamraci ze wszystkich prawie niskich pokładów wymy—

już co i wynaleli, kamraci z pokładu Joanny jeszcze ni-jo! Wstyd to pieruński, aże wstyd!... Oto na ten przykład

Holeksa z pokładu Fryderyka obmylił sposób samoczynne-)twierania drzwi na przekopie dla pocišgów jadšcych z pod-)ia. Dotychczas robił to chłopiec. Obecnie już go nie trzeba! ga, odpowiednio wygięta szyna z jakimi wymylnymi kluka-aakami, naciskana przez pierwszy wózek, czyni to skutecznie

ludzkiej pomocy. Po prostu drzwi otwierajš się na czas, spuszcžš pocišg, a potem zamykajš się same. lbo taki Recmanik z pokładu Waclawa!... Zdawałoby się, że ip tršba, że nie umie do trzech naliczyć, a co pokazał!... Zmaj-wał rozsuwany tor kolejowy, który można przedłužać do >dku w miarę potrzeby. Albo taki Lacheta z pokładu Zyg-la! Temu nie można się już dziwić, bo to człek chytry i prze-ilny. Tak długo kombinował, aż wynalazł uproszczony i łep-sposób łšczenia rur zamułkowych. Oprócz tego rury w ko-ich wyklada bukowym drzewem zamiast kosztownej porcela-Zamułka bowiem cierała ich wnętrza i rury pękały. Porce->we wkładki były dobre, lecz tłukły się łatwo i były za kosz-ne. Lacheta pokiwał nad nimi głowš, poszedł do stolarni, wy-;ył je z bukowego drzewa i w porzšdku. Tanie, a trzymajš ej i dłużej aniżeli porcelanowe!...

ub chociażby ten zezowaty Oszelda! Tak długo łaził po swoim ładzie Hansa, aż w końcu poszedł do inżyniera Kudery i podział, że ma pomysł nowej zębatki. Majstrował jš w kuni z ko-ami przez cały tydzień. I zmajstrował! Gdy jš założono w sta-l wyrobisku w Hansie, przymocowano linš do stempla, a drugi iec liny pocišgnięto do wyrobiska i - obwišzano niš stempel

przeznaczony do wyrabowania, stał się cud. Oszelda usiadł sobie wygodnie, zapalił fajkę i lekko jšł pocišgać ramieniem zębatki. A stempel w wyrobisku wyłaził jak z masła!... Teraz luserze robiš dziesięć takich zębatek!... Szkoda, że ich jeszcze nie było, gdy oto niedawno rabowano stemple w filarze w pokładzie Joanny!... Obeszłoby się bez tej całej brewerii...

Otóż wszędzie, we wszystkich pokładach istnieje to racjonalizatorstwo, jak to znów inżynier Kudera okrelił po ksišżkowemu, wszyscy się ruszajš i kombinujš, a w pokładzie Joanny nic a nic!... Teraz

znowu gotowi ubiec...

Najbardziej gardłował Kubala z Lilie.

Tóż, pierunie, cóż wrzeszczysz a strzepisz to pyszczysko po francusku! obruszali się koledzy nie rozumiejąc jego zabawnego różnojęzycznego żargonu, jakim się posługiwał w chwilach wzburzenia czy podniecenia.

Trzeba mieć tu! krzyczał Kubala stukając się w czoło.

A nie tu! i pukał teraz palcem w łokieć.

Kiedy taki mśdry, to czemu ty nic nie wymylisz?

A czy wiecie, czy nie obmylam?...

Rozeszli się rozjśtrzeni i li, bo im Kubala szpetnie przygadał. Udobruchali się jednak nazajutrz, gdy usiadł ze starszyznś z pokładu Joanny na płytach rozjazdowych za uskokiem i owiadczył, że wczoraj był w goršcej wodzie kšpanj', lecz dzisiaj już jest wszystko w porzśdku, że muszś być wszyscy d'accord 1. Że musi być wród wszystkich... że musi wszystkich wišzać amitie2, a lepiej powiedziawszy, camaraderies... Diable! Jak to się mówi po polsku?... No, kumple muszś być ze wszystkich morowe i finl... Koniec!...

Po trzech tygodniach przyszedł do biura naczelnego inżyniera Kudery w towarzystwie młodszego rębacza Lipki z dwunastego filara. Kudera dostrzegł ich idšcych przez podwórze. Lipka niósł jakie spore tekturowe pudełko, Kubala plik zwiniętych arkuszy pod pachš. Zauważył, że Kubala kroczy ciężko, kołyszśc się jak kaczką. Kudera wiedział, że to jego nawyk wyniesiony z marszów w afrykańskich piaskach podczas służby w Legii Cudzoziemskiej.

1 Zgodni

2 Przyjań

3 Koleżeństwo

363

- Dlaczego zwialicie do Legii? zapytał go raz w przodku. r kogo poderznięlicie nożem?

- Radotage!1 - mruknšł niechętnie. Nikogo nie poderznš-i!

- A może, pierunie, uciekł przed jakš spódnicš?... wtršcił o towarzysza Lipka.

- Ani przed spódnicš!... Po prostu wyrzñšłem w pysk dyrekto-rapami, a sztygara lampš po łbie, bo mnie oszukali na zarobku... było w Douai. Wtedy byłem jeszcze smarkaczem. I dałem dęba. mnie szukała policja. Oparłem się aż w Tulonie... A potem... ipi jeszcze byłem, stupide2...

Veszli teraz szeroko do biura, Kubala mruknął swoje Bon-r.'...3 i z miejsca przystąpili do sprawy. Rozłożył arkusze na rku, Lipka wydobył z pudełka małe wózki kopalniane, podob-do dziecięcej zabawki, i położył obok planów. I obaj zaczęli naczyć Kuderze istotę swego wynalazku. Kubala w swym żar-ile polsko-francuskim, Lipka w narzeczu lśskim poprzetykan gęsto niemieckimi zwrotami technicznymi. )tóż to jest tak!... Wszystko ogromnie proste. Przyczepki samo->dowe już dawno co podobnego posiadajś, co oni teraz przed-dajś obywatelowi inżynierowi. Chodziło tylko o przystosowa-tego wynalazku do wózków w kopalni. Naturalnie konstruk—

musi być inna, mocniejsza i prostsza. A więc każdy wózek Izie zaopatrzony w zderzak o półokrągłej powierzchni. Zderzak Izie z przodu i z tyłu wózka. Tuż u jego dna. Drżzek zderzaka ieci się w spiralnym resorze. To bydzie tako fedra spiral-

okrelił to po swojemu Lipka. Podobnie jak u wagonów ejowych. Przy naciskaniu zderzaka resor się kurczy i połščzo—

z hamulcami pod wózkiem zaciska automatycznie szczęki ha-lcze na kołach. Wszystko ogromnie proste i łatwe!...

- Dobrze! Gdy wózki będą napierały na lokomotywę w dia-lali, ciskane zderzaki zacisną szczęki na kołach. Co jednak Izie, gdy lokomotywka będzie pchała próżne wózki pod górę iiagonalni? Naciskane zderzaki będą również działały na halce! zauważył Kudera,

1 Głupstwo, bzdury

2 Głupi, nierozsędny 8 Dzień dobry

Ha! Trzeba mieć tu... zaczął Kubala i już zamierzał popukać się w czoło, lecz połapał się, że to nie wypada. Przełknął więc swójś przechwałkę i jśł tłumaczyć z Lipkś. Oto bardzo proste rozwiązanie. Przy każdym zderzaku będzie taki niewielki stalowy bolec. Bolec po prostu wsunie się w przedziurawionś szyjkę zderzaka i już po paradye! Oto w tym miejscu!

Lipka zademonstrował to wszystko na dwóch wózkach przyniesionych w pudełku. Istotnie wszystko działa doskonale, nawet ów bolec, jak go nazwał po swojemu.

No i co, monsieur chep. zapytał z triumfujścś minś Kubala.

Rzeczywicie, że to bardzo proste. Kudera dostrzegł swójś mieszoć w tym odkryciu. Przecież każdy rozsędniejszy chłopiec może wpać na ten sam pomysł, a on, inżynier ze skończonś politechnikś, suszył sobie nad tym głowę! Rozemiał się głono, gdyż przypomniał sobie anegdotkę o Newtonie1 i jego kotach. Ubawiony opowiedział jś Kubali i Lipce. Oto Newton posiadał kotkę, a że często przebywał poza mieszkaniem, wyciśł u dołu drzwi półokrągły otwór, by mogła wychodzić swobodnie na dwór. Potem kotka okociła się i miała dwoje kociśt. Zatroskany Newton wyciśł wtedy jeszcze dwa mniejsze otwory, by i one mogły wyjć za matkś. Dopiero przyjaciele zwrócili mu uwagę, że wycinanie nowych otworów było niepotrzebne, gdyż kocięta mogś wychodzić starym otworem, -r- A prawda! rzekł wtedy zaskoczony Newton. Że też na to nie wpadłem!...



Teraz już Kubala nie wytrzymał.

Ha, monsieur camarade le chef! Bo trzeba mieć tu! i stuknął się kilka razy w czoło. A nie tu! popukał się teraz w łokieć.

Umiali się wszyscy serdecznie, ukleпали wzajemnie po plecach i rozeszli zadowoleni: Kubala i Lipka, że uratowali honor pokładu Joanny, a nagroda także się przyda, inżynier Kudera, że poznał bliżej ciekawego dlań Kubalę i Lipkę oraz że nie widzi już teraz żadnych większych trudności w zrealizowaniu zakreślonego planu. Pozostała jeszcze jedna sprawa.

1 Newton (1643-1727) sławny angielski matematyk, fizyk i astronom.

# I

Współzawodnictwo załogi Arnolda, a przede wszystkim załogi składu Joanny gdyż tylko ów pokład można było brać tutaj

rachubę współzawodnictwo to z innymi kopalniami w wyzbyciu węgla lekko szwankowało. Apel Pstrowskiego, nawołu-cego do współzawodnictwa towarzyszy rębaczy z innych kopali rzucającego wyzywające pytanie: „Kto wyršbie więcej ode nde?” apel ów poruszył ludzi. Nikt jednak nie wiedział, jak na-żyć za Pstrowskim. Przecież wszyscy pracowali, nikt się nie le-:, a jednak trudno było ukopać węgla ponad normę. Jeżeli czasem liznš nakruszona przez nacisk piętra sypała się jak popiół pod ofami i wiertarkami, tego się przecież nie mogło liczyć. To by-ł tylko sprzyjający zbieg okolicznoci. Chodziło o co innego.

- Więc o co chodzi? pytali starzy i młodzi rębacze.

- Chodzi o taki rodzaj pracy, dzięki której można by uzyskać samš normę, a nawet wyższš aniżeli w filarze o kruchym wę-! tłumaczył inżynier Kudera na zebraniu załogi w cechowni, judzie myleli i myleli. Nie mogło im się to pomieścić w gło-, by w filarze o twardym węglu wydobyć tyle urobku co w fi-;e, gdzie ciana jest kupš popiołu! Ba, nawet więcej!

To jest niemożliwe! jęty się podnosić niedowierzające

- Od takiej roboty konie zdychajš! mruźli inni.

- Ten cały Pstrowski to jaki krętacz! Co tam kmieni z tymi nami! Zamydlił oczy kolegom i teraz udaje bohatera!...

Trudno nieraz dojć do wyznaczonej normy, a ten pierun ;runowany fanzoli w swej odezwie, że wyrobił 270 procent ly! To musi być jakie cygaństwo!... Chcielibyśmy go widzieć w naszym twardym filarze! ugo się spierano, przekonywano, powštpiewano, aż w końcu -alono wysłać na wniosek inżyniera Kudery dwóch rwo-, lecz porzšdnych kamratów: Kubalę z Lilie i Lipkę z Gro-d. Niech pojedš na szyb Jadwigi do Zabrze, niech zjadš na liech przypatrš się temu magikowi Pstrowskiemu, jak on węgiel!... Oni chyba nie pozwolš, by ich jaki tam Pstrowski ódł w pole! Niech tam posiedzš przy nim szychtę, dwie, niech brze przypatrš, a potem powiedzš, co a jak... aci, Kubala i Lipka, pojechali na Jadwigę.

Po trzech dniach wrócili.

No i co? zapytał inżynier Kudera wobec zebranej rady zakładowej.

No, nic! zaczął Kubala. To on jest tym meilleur fils du monde! Bylimy i widzielimy. Pstrowski ma tu! puknš się kilka razy w czoło. A nie tu! i wskazał na zgięty łokieć.

No, dobrze, dobrze! Ale jak tam z tš jego normš?

Pieruna, kamraci! zaczął teraz Lipka. To jest blank prawda z tym Pstrowskim. Fajnisty karlus!

Godej, Kubala, pierzynie więty, bo ty z nim szwandrosił po francusku! Jak ci to fanzolił?

Co tu dużo opowiadać. Jutro spróbuję z Lipkš tak pracować w swoim filarze, jak mi to pokazał Pstrowski. A jeli mi to dobrze pójdzie, powiem wam i poproszę... My musimy, Lipka i ja, przecignść Pstrowskiego.

Sie wie, pieruna, że przecigniemy! Wiecie, koledzy, co wam powiem? Dejcie nóm teraz jeszcze czas, aż nabieremy gryfu w robocie. A potem, jak już bydymy mieli tych 270 procent normy, to przyjdziecie pięknie, siedniecie se pod sztrusem, żebyście nóm nie zawadzali w robocie, a my wam pokażemy, jak się robi te normy!... Zgoda, Kubala?... Tóž, pierunie, godej, bo jo nie poradž tak pyskować, jak to ty umisz!...

I na tym stanęło, że Kubala z Lipkš spróbujš zastosować w swej pracy tę samš metodę, którš podpatrzyli u Pstrowskiego. Nie będzie to zbyt wierne naladownictwo, bo Pstrowski pracuje w chodnikach, a oni będą w filarach. A to jest duża różnica.

Wyszukali filar za uskokiem, w którym węgiel był twardy jak wszyscy diabli. Wybrali czterech pomocników, by im dostarczali drzewo do obudowy. Wymówili sobie u inżyniera Kudery i w radzie zakładowej, że jedna lokomotywka będzie tylko dla nich przeznaczona, że wózki będą na czas dostarczane, że nie będą musieli na nie czekać. A normę będzie się liczyło dla obu rębaczy i czterech pomocników.

Juž tutaj nastšpiła zmiana w ustalonym porzšdku, bo pomocnicy, majšcy dostarczać stempli i przygotowywać je do podbudowy, mieli również pełnić funkcję ładowaczy sypišcych węgiel w rynnę.

367

ła załoga, nie tylko z pokładu Joanny, lecz i z tych ubogich, ch pokładzików, załoga dzienna, popołudniowa i nawet noc-:łożona z budowaczy i łusarzy, ba nawet załogi wierzchowe irtowni i w warsztatach, wszyscy byli ogromnie ciekawi, co

I dwaj pokažš. Pięciu towarzyszy, co dotarło na szyb Arnolda nocnej Walii, jęło się teraz zakładać, jak to widywali u swych niskich kolegów. Inni także ich naladowali. Stawki były prze-2 i z dniem każdym rosły i mnożyły się. Były nimi kromki >a posmarowane masłem, tytoń, łańcuszki od zegarków, zega—

nawet koza. tamci pracowali.

zdołali wydobyć w cišgu jednej szychty, nikt nie wiedział, także nie wiedzieli. Dowiadawali się dopiero nazajutrz. Po-až mieli inne floki blaszane marki ze swš cechš, przycze-i do wózka, przeto szychtmajster Romanek, sprawujšcy swój i w nadszybiu, łatwo mógł notować ich urobek. I on sam zdu-rał się, cmokał głono i potrzšsał głowš z niedowierzaniem, widział, że z każdš szychtš množš się wózki obu rwotów. Po izonej szychcie odnosił zapiski do biura, a nazajutrz w ceni gromadziły się tłumy przed tablicami i porównywały cyf-)bok kolumny Kubali i Lipki Romanek podawał jeszcze ich sk w procentach. Za normę przyjęto tę ilość wózków, jaka idąla przeciętnie na jednš szychtę w cišgu

ubiegłego mierniki były przeróżne. Raz doszedł nawet do 152 procent ponad ę, potem spadł poniżej normy i utrzymał się na tym poziomie : trzy dni.

trzy dni były jarmarcznym zamieszaniem wśród załogi. i triumfowali. To byli nieliczni więc Tomaszowie, narze-, stępacze i cierpiętnicy, przemśdrzałe besserwisery”, jak azywano ze wzdardś z niemiecka. I zdawało się przez te trzy re dni, że tamci siedzś na złotych koniach.

Ha, widzicie! wrzeszczeli z nie ukrywanym zadowole-, A nie mówilech, ni?... Pociśgli, pociśgli, aż wyprzśgli!... Hi, mędrale!... Oni nas tu chcieli rozumów uczyć!... fanzo-mi, radzi bardzo, że wycię diabli wzięli. Jo dycki padom!... mamłasił chudy, cienki, wysoki Opiola,

przezwany chyrtoniem. Jeny pomalućku, bo wszystkiemu koniec i temu na trokach!... Przyszli zasmoleni gówniorze i nas tu, starych bergmanów, chcieli uczyć, jak się robi we fiłorze!... Rychli mi tu oto na dłoni broda uronie, jak oni...

Nie fanzol, aże ni, stary pierunie morski!.. zgromił go Szymiczek. Gromił go jednak bez wielkiego przekonania, bo i jego ogarniało zwśtpienie. Kiz diabli? Co się z tamtymi stało? Tak się strupili, tak się jeżyli, a tu naraz poniżej normy!...

Pod szybem wszyscy czatowali na Kubalę i jego towarzyszy, lecz niczego się od nich nie dowiedzieli. Na ciskane pytania pełne niepokoju czy na triumfujśce docinki Kubala bulgotał co w cudacznym żargonie, w którym były wszystkie możliwe słowa francuskie, arabskie, z paryskiego argot i jakie malajskie czy zgoła chińskie, a najmniej polskich. Jego towarzysze za umiechali się tajemniczo i milczeli. Trzymali się kupy, razem wyjeżdżali z kopalni, razem wracali do domów i razem schodzili się nazajutrz na kopalni, i ostatniś windś zjeżdżali.

Inżynier Kudera był także zaniepokojony. Na drugi dzień zjechał do kopalni i poszedł do ich przodka.

Co się stało, koledzy? zaczął z miejsca.

Kubala odłożył wiertarkę, otarł pot z twarzy, splunś i tylko się umiechnś. Przemówił za niego Lipka:

Obywatelu dyrektorze, jo im cosikej powiem. Kto strachem mrze, temu, za reszpektem, bdzinś z woniś!... Proszę nie mieć strachu. Jeszcze jutro bydzie poniżej normy, a potem to nóm obywatel dyrektor kupi liter... Jak to się nazywo, kamrat, po twojemu? zwrócił się do Kubali.

Eau-de-vie!...

...To nóm obywatel dyrektor kupi liter odwiń!”...

Proszę nie słuchać, monsieur chefl wtrścił Kubala. My nie pijemy gorzały!...

Więc dlaczego wam opadły skrzydła?

Trzeba mieć tu! Ś mruknś tajemniczo Kubala i puknś się kilka razy w czoło.

Kpinkujecie, wygłupiacie się... cisnł zirytowany już Kudera.

24 Pokład Joanny

369

Kubala, nagi do pasa, spocony i czarny jak diabeł, o błyszczą-jrch białkach oczu, podszedł do niego i rzekł spoko jniie:

Monsieur-chef! Jeszpcze jutro będzie poniżej normy. Zmieni-my bowiem plan. Nasze obliczenia były faux1... Chodziło nam

przecięcia warstwie węgla w cianie... A tego trzeba się uczyć wypraktykować... Już jesteśmy na tracę2... Jak to się mówi, ipka, po polsku?

Na szpurze!... Ś

Na ladzie! poprawił obu Kudera. Nie zawiedziecie? apytał już spokojny.

Kubala nie rozumiał. Teraz wytłumaczył mu Lipka.

Obywatel dyrektor sie nas pyto, czy sie na nas nie oszydzi?...

Diable! zachnł się Kubala po francusku. Jeszcze jutro ędlzie poniżej normy, a potem już allons, enfants de la mine!s zucił parafrazując pierwsze słowa Marsylianki.

Kudera odszedł uspokojony. Wiedział, że go nie zawiodł i że ie zawiodł całej załogi. A tamtym nielicznym więtym Toma-zom miny zrzędł...

Minł jeszcze jeden dzień. Na tablicy w cechowni pojawiła się .czba wykazująca wydobycie węgla z filara Kubali-Lipki poniżej normy. Towarzysze już wiedzieli, że to jest przygotowanie do na-arcia. Jak u człowieka, który pragnie przesadzić rów w wycigu, tanie nad nim, bo za szeroki, i cofa się kilka kroków, by nabrać ozpędu. Potem skoczy i pogna jak wszyscy diabli!... Trudno po-2m takiego cigać!

I znów minł jeden dzień. Nazajutrz tłoczyli się wszyscy przed ablicš w cechowni.

Pieruna jasnego!... 184 procent ponad normę!... krzyczeli dumieni i podawali sobie tę nowinę. więtym Tomaszom istotnie :ęby zrzędły, chyrfcoń Opioła s pluwał ze złoci i podejrzewał zychtmajstra Romanka o oszustwo, stawki poszły w górę.

Pierunie, Opioła, bo wóm broda na tyłku uronie! wrze-zjczeli za nim ci młodszy, nieustatkowani, majšcy jeszcze wicher v głowie, a język prędko i narwany.

1 Niedokładne.

2 lad.

## 8 Parafraza Marsylianki: Naprzód, dzieci kopalni!

Starsi górnicy musieli im nawymyślać od bajali i łeboniów i uczyć ich moresu. Bo Opiola jaki jest, to jest, ehyrtoń z niego i zręda, lecz zawsze porządny górnik. A że tam czasem fanzoli głupawo, to temu jego baba winna. Przecież tak le znowu nie myła!...

Tymczasem w filarze Kubali-Lipki działały się dziwy, przedziwy.

Maszynista nie mógł nastarczyć z odwożeniem pełnych pociągów pod szyb, strzałowy liczył zdumiony tulejki z detonitem i bar-barytem, wkładane przez Kubalę do torby, wozacze nie mogli pojsć, co się dzieje z tylu stemplami zabieranymi, przez załogę Kuba-li, a na nowej tablicy w cechowni krzywa biegła z dniem każdym coraz wyżej, wspinała się pod coraz wyższe cyfry, zdumiewała każdego. Bo w biurze sporządzono specjalną tablicę dla załogi Kuba-la-Lipka. Tablica była pokratkowana i zaopatrzona z jednej strony w daty, z drugiej w procenty. A skona krzywa pięła się zygzakiem. wyżej i wyżej.

Oto już dosięgła cyfry 191 procent!

Nazajutrz przekroczyła dwusetkę! Oparła się koniuszkiem na 201

, procent! Kiż diabli?. Za tydzień dotarła do 249 procent!... Nie! To

co niemożliwego!... Chyba tamci ludzie czarujś lub kiego diabła?...

Chyba żyły z siebie wypruwajś, nabawiś się suchot, nogi połamiś,

wyproszczś je za kilka dni!...

Nie wypraszczałi nóg, lecz wracali pod szyb tak samo uznojeni jak wszyscy towarzysze. Ani mniej, ani więcej!...

Po pierunie wy to robicie? dziwili się koledzy pod szybem, patrzśc na nich ze zdumieniem.

Gdy dociśgniemy do normy Pstrowskiego, powiemy!... Może wtedy każdy przyjc, popatrzeć się... odpowiadał za swoich towarzyszy Kubala. I wciśz się łajdak umiechał tajemniczo.

Na czwarty dzień stał się wród załogi niesłychany rumor. Kubala-Lipka dociśgnęli do 272 procent!... A więc pobili rekord Pstrowskiego!... Nie, to niemożliwe!...

Szychtmajster bił się w piersi i pokazywał zapiski, że to rzetelna prawda. Może przywiadczyć jeden i drugi zaciskacz w nadszybiu, może zawiadczyć sztygar KonderlaL.

Na drugi dzień było na kopalni Arnolda co w rodzaju więta. Z Kubala zjechali i udali się do jego filara inżynier Kudera, inży—

Mołdrzyk i cała rada załogowa, ilu ich w niej było. Razem omastu ludzi. Przyszli, obejrzeni filar. Taki sam jak dziesiątki łych filarów. Zabudowany normalnie, węgiel twardy, urobek rzstnięty.

stanęli wszyscy w oknie filara i patrzyli. Przygotowywali się do rodzin zdarzenia, o którym wiedzieli, że ich bardziej wzruszy żeli jakiegokolwiek inne zdarzenie. Może jedynie zdławienie poza-w pokładzie Joanny mogłoby się równać z tym, pzego teraz iš wiadkami. To będzie przełamanie jakiej ciężkiej zapory pradzajšej górnika od nowej rzeczywistości. Z radosnym nie-:ojem oczekiwali chwili rozpoczęcia pracy. vubala i jego towarzysze rozebrali się, zrzucili koszule, w przód-był bowiem upał. Stali w wietle benzynówek półnadzy, luskularnych ramionach i piersiach. Ich białe torsy na tle gę~ czerni, owietlone skšpo rozrzuconymi płomykami lamp, polały zuchwały, wyzywajšcy gest antycznych zapaników. Ku-a patrzył na nich z zachwytem. Pomyślał, że wyglšdajš jak scy półbogowie w Kadesie. Ich widok bowiem skojarzył się z je-przeżyciami w gimnazjum, gdy rozczytywał się w greckiej mi-gii. Skrzywił się jednak, bo porównanie wypadło sztucznie ado. i.

- Allons, enfants de la minę! zanucił Kubala i wstšpił do :a. Za nim jego wierna pištka.

uszyła długa rynna ze zgiełkiem, poleciał w niš węgiel czorajszego urobku, zawyły wiertarki, rozduńczyły się wleczo-tempie i ciosy siekier.

widry kręciły się jak wrzeciona, wyły i tonęły w cianie, kie-ane lekko w skos. Zaskoczyło to Kudereę i jego towarzyszy. :zego nie prostopadle, lecz w skos?... I co ciekawsze! Kubala Ści otwór nie na dłoń pod stropem, jak to czynił dotychczas [y z rębaczy, lecz o pół metra niżej! wider tonšł! Zanurzył >o rękojeć maszynki. Kubala zatrzymał jš, wymienił na dłuż-przytknšł i znowu wider wyje i wkręca się, wkręca... Utonšł :ianie! Wystarczy!...

:raz drugi otwór, potem trzeci, potem jeszcze czwarty!... .idera patrzy zdumiony, bo otwory połączzone pomyłanš kresie twarzš prostopadłej linii, lecz kształt trapezu. Wszystkie zšS

biegnš skonie na prawo, pod stropem za i nad spšgiem odchylajš się od poziomu pod drobnym kštem.

Równoczenie Lipka wiercił otwory na lewo od Kubali. Pierwsze trzy były rozmieszczone w kształcie trójkšta. Drugie trzy również w tym samym kształcie. I jego otwory biegly skonie w kierunku przyszłego włomu Kubali.

Kudera i jego towarzysze jęli pojmovać tajemnicę Pstrowskiego przejętš teraz przez Kubalę i Lipkę. Zrywajš z przestarzałym sposobem wiercenia, wprowadzajš nowy system pracy.

Skończyli, wynieli wiertarki. Drzewo było już przygotowane. Strzałowy Gšgor czekał. Teraz wszystko toczyło się składnie, równo, bez potykań. Każdy ruch był przemyślany, każdy z szeci kolegów wiedział, co mu wypada robić, by nie zakłócać biegu pracy. Leciały ostrzegawcze wołania, dudniły strzały po kolei. Najpierw te, które miały dokonać włomu, patem już następne, rwšce cianę. Wywalał się splaszczony grzmot i sypały się zwały węgla. Potem węgiel ciskany do rynny skakał w niej i zsuwał się do gospody. Kubala i LSjpką równoczenie zrywali nadkruszonš caliznę i podbijali stemple. Potem jeszcze wypatrywali w niej położenie warstwie, wwlekali wiertarki, ujmowali je i

znowu wgniatali wyjšce widry w cianę. . ! ! .

Inżynier Kudera, podobnie jak i jego towarzysze, byli zdumieni i zaskoczeni rytmem pracy drużyny Kubali. Rozumieli, że jest ona przede wszystkim zorganizowana i przemyślana do najdrobniejszego szczegółu. Wszystko jest do niej przygotowane. Poczšwszy ed kilofów poprzez drzewo aż do rynny i jej motorów. Każda rubka obejrzana i dokręcona. Drzewo pod rękš. Nie ma przerwy wywołanej szukaniem go i znoszeniem w ostatniej chwili. Ruchy całej szóstki zazębiajš się o siebie jak tryby w maszynie, wpływajš harmonijnie jedne z drugich, tworzš łańcuch przyczyn i skutków, układajš się w radosny i twórczy wysiłek... W ich pracy wybijał się przede wszystkim rytm. Po przygotowaniu przodka następowało wiercenie, odpały, zrywanie węgla, ładowanie do rynny, budowanie, wiercenie, odpały, zrywanie...

Rytm był równy, każdy ruch w jego składzie celowy i skończenie piękny. Urok ich pracy oszałamiał i radował. Tu już człowiek przestał być najmitš czy otrokiem, uważajšcym pracę za wy—

373

sk i przekleństwo życia, lecz stawał się ogniwem w jakim >rymim zespole twórczym, stawał się sam twórcš formujšcym we wartoci. Wysiłek jego pulsował wartkš krwiš i jarzył się necznš myłš.

Patrzymy na nowych ludzi! rzekł Kudera do towarzy-r\_ w ich pracy jest serce i rozum. Dotychczas w pracy gór-:a czego z nich nie dostawało. Albo nie było przemylenia zystkich jej składowych części, wiele wysiłku szło na marne, >o też ibrakło serca i robotę się odwalało. I w tym leży tajemnica ivego człowieka!...

SJe musiał janiej tłumaczyć, boć i tak wszyscy go rozumieli, sš istotnie owi nowi ludzie”, którzy w swš pracę kładš serce azum. Pięknie to okrelił inżynier Kudera!... Serce i rozum!... \* latego bijš rekordy najlepszych rębaczy pokładu Joanny! Oto jednš seriš odstrzału zyskujš więcej urobku, aniżeli to udało się innym rębaczom i przodowym. Zużywajš mniej materiału buchowego, mniej u nich wysiłku fizycznego, zyskujš na cza-bo wiercš mniej otworów, a równoczenie przy tym systemie ;rcenia strop jest mocniejszy, gdyż nie narusza się go odstrza-li.

V połowie szychty inżynier Kudera i jego towarzysze poszli pod b. Rada załogowa z Szymiczkiem wyjechała na powierzchnię, dera udał się na obchód do wschodniego pola Joanny. Wędro-t samotny gankami. Czasem mijały go pocišgi z urobkiem, cza-i spotykał górników w chodnikach. Wstępował w przodki, przy-;rywał się pracy rębaczy, zestawiał jš z pracš Kubali i Lipki, edział, że wprowadzenie nowego systemu wierpenia i nowych tod pracy napotka na opór górników, lecz wierzył, że wcze-j czy póniej nastšpi u nich, i ta ostatnia faza rewolucji umy-wej” jak to okrelił w jakim dziennikarskim żargonie. ;eciež już i tak zaszła wród nich ogromna przemiana. To jest nasza kopalnia! To jest nasz węgiel!...”, mawiali nieraz, r się wdał z nimi w rozmowę w przodku czy pod szybem. Łoże u niektórych była to naiwna chęć przychlebiecia się czy ypodobania, lecz u przeważajšcej większości były to szczere powiedzi. - Proces przestawiania się mentalnoci górnika... zacžł

formułować wyłuskujšcš się mył, lecz odegnał jš rychło. Po cóž szukać tak wytwornych okreleń?



Downiej harowaliśmy na panów, teraz robimy dla siebie...” ; przypomniało mu się powiedzenie jednego z górników na zebraniu w cechowni. To było chyba najtrafniejsze określenie, wiadczące o owym procesie przestawiania się mentalności górnika na własność społeczeństwa”.

Kudera zstąpił pochylniami do czwartego poziomu. Swoją niepokoj o Zygrydę pragnął stłumić uciszającym zagubieniem się w pokładzie Joanny. Szycha miała się już ku końcowi. Lokomotywki wlokły ostatnie wózki z urobkiem. W podszybiu na czwartym poziomie obejrzał pracę monterów mozolnych się nad zakładaniem pod jezdni ogromnego basenu na węgiel. Jazgotliwy stukot młotów nitujących blachę, rozłamujące się echa w szybie i szum wichru wchłonęły jego myśli o Zygrydzie. Pozostała radość tworzenia. Basen, przebudowa szybu, skippy, diagonale... Przeszedł w zachodnie pole, jść wynosić się pod trzeci poziom. Postanowił dojść do filaru Kubali i jeszcze raz napatrzeć się jego pracy. Mijał skrzyżowania ganków i torów, mijał drzwi, zagłębiał się w ciszę. Stał w niej i słuchał. Wiatr tylko szumi, woda szepleni w ciekach pod cianą, gazy w niej bulgoczą miesznymi bańkami, a oddech jego szeleci.

Z ciszy jęły się wynurzać wspominki dawnych lat. Oto widzi się jeszcze nieletnim chłopcem biegającym z konewką i sikawką za uskokiem. Zlewał pył na cianach, by w razie wybuchu metanu nie zajął się i nie eksplodował. Potem widzi się jako z lekka przez górników pogardzany elwer. Przyszły wspomnienia strajku okupacyjnego i wspomnienie dziennika pisanego dla zapomnianej już Hanki-akademiczki. Potem ujrzał się jako Maschinsteiger, stanęły przed nim widoki walki z okupantem, ucieczka z Maszką przez szyb wentylacyjny... Czy Maszka jeszcze żyje?... Rozstali się na hałdzie w tamtym dniu, gdy pokład Joanny zaczął płonąć. Maszka poszedł zdobywać Berlin, on zjechał na dół zdobywać pokład Joanny.

Ileż lat minęło od chwili, gdy pojawili się w nim ludzie? W kronice kopalni Arnolda znalazł datę otwarcia i mianowania go imieniem Joanny Gryszczykówny von Schomberg-Godula. Była

375

ruba książka, oprawna w wińską skórę, mocno już pobrudzona wytlaczanymi górniczymi insygniami i ozdobnymi literami, adały się w gotycki napis Chronik von JOANNA-Flöz. Na wszej stronie wypisał kto dużymi literami: In Gottes Namen! I ta następnej zaczynała się kronika od słów: Es war am 25. ust 1888...2

abawnie przedstawił mu się ów pierwszy kronikarz, który roz-

:sł swą pracę nabożnym westchnieniem: In Gottes Namen!...

bardzo się oszukał!... Z emfazą wymieniony Bóg zagubił się

Da pierwszych stronicach, wyparły go cyfry, wykazy, tony wę-

talary, marki, akcje, dywidendy, walka człowieka o pieniądze,

woć, taka nienasycona chciwość! Cyfry rosły, pęczniały, rano—

się, a między nimi przewijała się czasem lakoniczna notatka

Żarze, o zalewie, o katastrofach. Język niemiecki przeszedł  
czekiwanie w polski język, potem zniechęca utknął na nie  
łączonym zdaniu i przemienił się w suphe angielskie słowa  
Ilarskie. Wyliczały znowu tony węgla, eksport, koncerty, kat, walkę. Po nim wrócił w napuszczonym  
stylu język niemiecki  
wišcy o chwale niemieckiego narodowego socjalizmu. Słowa  
nadęte pychš. Od niechęcia wspominały o ludzkich ofiarach.  
erniej omawiały strajki i zamieszki. Głono mówiły o roz—  
iliwaniach i o szubienicach, o polskich sabotażystach, o poi—  
i komunizmie wśród załogi. Chwilami uciszała się wrzaskliwa  
ia o niemieckich zwycięstwach, gdyż wypierała jš na drobnš  
lę krótka relacja o walce człowieka z nienawistnym żywio—  
W skšpnych, aż do obmierzłoci oschłych słowach głosiła o czy-  
mierci pod obwałem. W słowach tych, na przekór intencji  
mtora, zamykały się ogromne wiaty nikomu już nie znane,  
ęte w czeluć czasu.  
iż ludzi przeszło w cišgu tych dziewięćdziesięciu lat przez po-Joanny? Ileż w nim zostało obumarłych  
słów, westchnień  
‘li, ileż krzywdy ludzkiej?..., Es war am 25 August 1858...  
ly dzisiaj wyjedzie na powierzchnię, otworzy tamtš starš kro-i zanotuje krótko: Dnia 12 czerwca roku  
1948...” Dla tych,  
tedy przyjdš po nim, poda w prostych górniczych słowach,  
V imię Boże!  
teiało się to 25 sierpnia 1858 r.

jak w tym pamiętnym dniu dwaj towarzysze, Kubala z Lille i Lip—ka. przyjšwszy wezwanie Pstrowskiego z kopalni Jadwigi w Zabrze, pokonali go we współzawodnictwie. To wszystko. W tym jednym zdaniu zmieci również ogromny wiat. Lecz to już będzie wiat radosnej, zwycięskiej rewolucji.

Kubala i Lipka kończyli pracę, gdy nadszedł inżynier Kudera. Odnosili wiertarki, sprzstali drzewo, podbijali ostatnie stemple. Wyszli z towarzyszami na chodnik. Czarni, spoceni patrzyli z nieukrywanš przechwałkš w oczy Kudery.

Ile macie? zapytał.

Piętnacie wózków więcej aniżeli wczoraj!... rzekł Kubala.

Gratuluję! rzekł Kudera i cisnął mu dłoń. Rekord Pstrowskiego pobity!... Serdecznie gratuluję wam wszystkim!...

Merci hien!1 mruknš Kubala. Dziękuję pięknie za wszystkich! dodał po polsku.

Był urzekajšcy w swej męskiej, drapieźnej urodzie. Skórzany hełm ujmował' jego skronie i czoło w twardy owal. Oczy wybły-skiwały z mroków, jak oczy wilka. Pocišgła twarz i wdzięcznie skrojone usta, mieszcžsce w swym kształcie miękkoć uczucia i hardš wolę, zmuszały do wiary w tego człowieka, w jego prawoć i zwycięstwo.

Prawdziwy le meilleur fils du monde! pomyślał Kudera.

Ubrali się, zabierali do drogi pod szyb.

Z przeciwnej strony nadbiegł chłopiec. Zdyszany wręczył inżynierowi Kuderze zwinięts kartkę. Kudera rozwinšł, powiecił, przeczytał. Towarzysze patrzyli ciekawie. Spostrzegli, że Kudera zmienia się na twarzy, że jš przebiega wzruszenie.

Co się stało, monsieur chef? zapytał zaniepokojony Kubala. Š Czy jaki malheur?2

Przeciwnie! Słuchajcie, koledzy! Szymiczek mi donosi... Prosiem go o to pod szybem... Szymiczek mi donosi, że moja żona, moja Zygfyda, powiła syneczka!...

Powstał radosny wrzask koło niego. Wszyscy ciskali mu dłonie, wieszowali.

1 Dziękuję bardzo!

2. Nieszczęliwy wypadek.

Š Pieruna, obywatelu inżynierze! darł się szczerze ura-any Lipka. Tóž 30 im pięknie gratulują!... Pieruna faj-sgoL. Tóž jest synek?... Żeby sto roków żył i żeby wyrobił ty-proeent ponad normę!... Tóž jest synek!... Tóž im pięknie to a, obywatelu inżynierze!...

A ja życzę, monsieur chef rzekł układnie Kubala żeby : synek stał się le meilleur fils du monde!...

bach mistrz gómnistrz, dzisiaj sztygar.

budynek obudowa, zabezpieczenie wyrobiska przed zawaleniem się.

calizna <Ś nie naruszona jeszcze odbudowś masa wybieranego pokładu.

cembrzyna ocembrowanie drzewna oprawa szybu.

diagonala chodnik przekštniowy pędzony skonie od chodnika macierzystego.

ganek korytarz, którym tylko ludzie przechodź.

godziny zawieszony pion, według którego pędzi się roboty górnicze.

gwarek -t' hawierz w narzeczu, górnik.

jarzmo szybowe Ś wieniec szybowy, podobny do wieńca studziennego.

kaszt, k as tlik \*Ś podpora stropu wyrobiska, zrobiona ze starych stempli lub szyn, układanych krzyżowo na sobie. Kaszt może być pusty lub wypełniony rumowiskiem.

kapa Ā-\* patrz: stropnica.

kopalnia g a e o w a kopalnia z pokładami węgla, z których wydobywa się metan.

krzyż krzyż z desek w kształcie litery X, zagradzajšcy wejście do wyrobiska, oznaczajšcy obecność gazów kopalnianych.

k u ir z a w k a Ś pokład ilasto-piaszczysty nasycony wodź.

.lutnia rura drewniana, blaszana lub z płótna żaglowego służšca do doprowadzania wieżego powietrza do odległych przodków.

ława Ś grubsza warstwa skały lub warstwa węgla w pokładzie oddzielajšca się równo od przylegajšcej warstwy.

379

g a Ś pas węgla pozostawiony od strony wybranej już zaibierki. Służy do podtrzymania stropu i zabezpieczenia sšsiednich przodków lub chodników.

udowa Ś zabezpieczenie wyrobisk stemplami, stropnicami, jarzmami i organami.

i o s boczna ciana wyrobiska, budowa Ś wybieranie węgla.

rzwia pojedynczy zestaw obudowy chodnika, składajšcy się ze stempli i stropnic.

no Ś otwór przebity w cianie węglowej między wybieranś a już wybranś zafoierkś lub wejcie do zabierki czy komory (filara).

;any gęsty szereg stempli (stojaków) ustawionych wzdłuż wyrobiska dla podparcia stropu i zabezpieczenia od strony zrobów.

ńskówka pańskula, pańska dniówka, gwarowe określenie na najniższe dniowe wynagrodzenie za pracę bez względu na ilość jej wykonania.

:tro inaczej strop lub warstwa calizny karniennej nad pokładem węgla.

: h y l n i a korytarz pochyły, którym urobek opuszcza się do upadu. ‘

e Ś oznacza się w ten sposób rejon pokładu w stosunku do przekopu, czyli przecznicy.

nost Ś boji, bona; drabiny w szybach kończą się i zaczynają pomostami.

w a dnie a Ś winda, czyli klatka wyciągowa; posiada uchwyty sunšce, dla utrzymania kierunku na prowadnikach, czyli lizgach, drewnianych belkach pionowych.

e k o p, przecznica główny chodnik przewozowy pędzony od podszybia w calinie karniennej.

ecinka chodnik przecinający filary.

o w a ć wydobywać stemple ize starych wyrobisk.

karz robotnik łączący rury zamulkowe lub wodociągowe na dole.

p urządzenie zamiast klatki, czyli windy, podobne do olbrzymiej skrzyni metalowej, nabierające samoczynnie urobek w podszybiu i samoczynnie wysypujące go na wierzchu.

g warstwa skalna, na której leży pokład węgla.

) p n i c a poprzeczna belka spoczywająca na stemplach, podtrzymująca strop.

sztolnia chodnik wychodzący z kopalni na powierzchnię.

tšpanie wstrząsy podziemne z odgłosami w piętze, wywołanymi pękaniem skał.

wdzierka przy wybieraniu pokładów grubszych od wysokości chodnika usuwanie ławy węgla na wysokość przyszłej zabierki.

wiatrowa chodnik wentylacyjny.

z a b i e r k a główny rodzaj wybierania węgla systemem filarowym.

zamułka piasek z wodś, doprowadzany rurami na dół celem zamulenia wyrobisk.

žomp, žšp, žšpie, žšpia dno szybu, zawsze poniżej ostatniego poziomu, służące do zbierania ciekajšcej wódy.

## SPIS ROZDZIAŁÓW

str.

Szarlejowa dziedzina . . . . . 5

Godulowe dziedzictwo..... 16

Złote (kula..... 29

Jago..... 45

Powrót Szarleja..... 54

Skon Arnolda” ... ‘ ...-./, .. 84

Nie dokończona szychta . . . . . 102

Ignis fataus..... -118

Cisza..... 142 r

Sikrzywdzony człowiek ... .. 158

Pod Górš świętej Anny..... 179 4\*

O, święta maszyno!..... 206

^Pamiętnik ełwaf..... 224\*4”

Pogimeb Jaaona..... \_?^^

Smakiem Szarleja..... “270”[\*

Na trzeciej pochylni..... 307t\*

Zamiułka ,płynie!..... .

Nowi ludzie . . . . . 345

Słownik górniczy ... .. 379

Drogi Czytelniku!

Pragniemy bardzo, by każda książka wydana przez nas zyskała Twoje uznanie, by stanowiła dla

Ciebie rozrywkę, pomogła w pracy i nauce. Dlatego też chcemy wiedzieć, co mylisz o naszych książkach. Podziel się więc z nami swoimi wrażeniami, napisz nam, co Ci się w naszych książkach podoba lub nie podoba i jakie książki chciałby czytać?

Każdy Twój list, każda Twoja uwaga pomoże Wydawnictwu-w pracy nad tym, aby nasze książki były coraz lepsze. .

Za najcenniejsze wypowiedzi przyznane zostaną wyróżnienia książkowe.

Państwowe Wydawnictwo ISKRY

Dział Kontakt z Czytelnikami Warszawa, ul. Smolna 13 X

Ś